







JÓZEF DZIERŻKOWSKI,

urodzony w r. 1807 — umarł w r. 1865.

POWIEŚCI

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO

W PIERWSZYM ZUPEŁNEM WYDANIU

Tom I.

WE LWOWIE

NAKŁAD I DRUK A. J. O. ROGOSZA.

<http://rcin.org.pl>



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
01-800 Warszawa
Tel. 26-68-53, 28-52-31 w. 42

709

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

Józef Dzierzkowski pochodził ze staro szlacheckiej rodziny osiadłej na Polesiu i tam też we wsi Ksawerówce,*) własności swoich rodziców ujrzał w r. 1807 światło dzienne. Pierwsze lata dziecięce przebył w domu rodzicielskim pod czujną opieką matki. Były to najszczęśliwsze dni jego żywota: był dzieckiem ukochanem przez rodziców, poił się wrażeniami smutnych okolic Polesia, igrał z dziatwą wiejską — i czegoż więcej dziecku do szczęścia potrzeba? Nie trwało to jednak długo. W r. 1814 odumarł go ojciec, matka wyszła powtórnie za mąż, a ośmioletniego Józefa postanowiono oddać do szkół na naukę. Dzierzkowscy posiadali znakomitego a do tego bezdzietnego koligata w osobie Józefa Dzierzkowskiego, który stale mieszkał we Lwowie. Był on adwokatem, bardzo rozgłośniej sławy,**) wice marszałkiem Galicji, a do tego człowiekiem bardzo uczonym. Warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk liczyło go w gronie swoich członków, a z najpierwszymi mężami ówczesnej Galicji, bądź to dygnitarzami, bądź też literatami pozostawał w najbliższych stosunkach. Stary stryjasek wziął do siebie młodego Józefa na wychowanie i oddał go do szkół elementarnych, a następnie do gimnazjum we Lwowie. Dzierzkowski okazywał już od pierwszych lat wielki talent do nauki; to też w szkołach robił pod okiem i kierunkiem stryja znakomite postępy. Nie mało przyczyniło się do rozwinięcia jego młodocianego umysłu uczone i poważne towarzystwo, wśród którego, w domu stryja ciągle pozostawał: ono rozbudziło w nim chęć do pracy dla dobra ogólnego i zamiłowanie do literatury, które go nie opuściły przez cały dalszy bieg burzliwego żywota. Dzierzkowski posiadał żywy charakter i ognistą duszę: niezawisłość i swobodę cenił nade wszystko: było to dziecko natury, któremu bardzo trudno było się nagiąć do systematycznego ciągnięcia wozu żywota i do drobnostkowej pracy dla chleba i mienia. Natura taka czyni z człowieka w danych okolicznościach bohatera, a w zwykłych spokojnych czasach hulakę. Czas od r. 1820 do 1830 był u nas jak i w całej Europie porą odpoczynku po Napoleońskich burzach, a właściwiej powiedziawszy

*) Niektórzy autorowie dziejów literatury polskiej jako miejsce urodzin J. Dzierzkowskiego podają Ksawerów w Galicji. Jest to błąd. albowiem w Galicji żadnego Ksawerowa nie ma.

**) Słynny komik i redaktor „*Momusa*” Aloizy Zólkowski był u niego przez niejaki czas dependentem.

porą otrętwienia. Burzliwy charakter Dzierzkowskiego, nie mając sposobności wylania się ognistą lawą dla jakiegoś wielkiego celu, wtrącił go w grono hulaszczej młodzieży szlacheckiej. Dzierzkowski porzucił szkoły z tak pięknym sukcesem rozpoczęte i rzucił się z całą zapamiętałością swą swą wulkaniczną naturą w szalony wir życia — dla życia. Że wywarło to zgubny wpływ na całe jego przyszłe życie, tego mówić nie potrzebujemy, bo brak systematycznej nauki nieczem się nie da powetować, z tem wszystkim jednak, owo życie hulaszcze między szlachecką młodzieżą, nie było bez pewnej korzyści dla niego. Żyjąc w jak najściślejszych stosunkach z tak zwaną śmietanką społeczeństwa, poznał on dokładnie wszystkie jej wady i zalety, które potem tak dosadnymi barwami w swych powieściach odmalował.

Życiu temu z dnia na dzień położyła kres śmierć stryja. Dzierzkowski znalazł się nagle bez funduszów pomiędzy bogatymi współtowarzyszami: to go zmusiło do pracy. Żyłka literacka, która wcześniej w nim objawiać się zaczęła, kazała mu szukać zatrudnienia odpowiedniego jego piśmienniczej skłonności. Przy rozległych stosunkach z ludźmi nauki, które pozawiazywał za życia stryja, nie przyszło mu to trudno: otrzymał posadę w Zakładzie Ossolińskich we Lwowie, na której aż do r. 1830 stałe pozostawał.

Po r. 1831 osiadł stałe we Lwowie i oddał się pracom literackim. Pierwszą jego pracą ogłoszoną drukiem była szczupła pod względem rozmiarów, ale pełna poezji i głębokiego znawstwa ludzi nowella p. t. „Płacz i śmiech“ wydana r. 1838 w „Pracach literackich“, które wychodziły pod redakcją Józefa Borkowskiego. W kilka lat później r. 1845 wyszła pierwsza jego powieść osobno p. t. „Kuglarze“, nakładem A. Hirsza w Lipsku u Brockhousa. „Płacz i śmiech“ był zapowiedzią rozwinąć się mającego talentu, w „Kuglarzach“ widzimy już ten talent w całej pełni ze wszystkimi zaletami i wadami. „Kuglarze“ doczekały się bardzo pochlebnego ocenienia, i postawiły Dzierzkowskiego od razu między najznakomitszymi naszymi powieściopisarzami. Może nie będzie bez interesu dla szanownych czytelników przytoczenie zdania, jakie wydał o tej powieści zaraz po jej ukazaniu się w handlu księgarskim, jeden z weteranów naszego piśmiennictwa p. A. Bielowski w wychodzącym podówczas we Lwowie Dzinniku mód. Oto wyjątki z jego recenzji: Osnowa „Kuglarzów“, wyjąwszy owo pogmatwanie złudy nikomu nieszkodliwej z występkami jest zresztą dobrze obmyślana i artystowsko złożona; od pierwszej sceny do ostatniej widać pewien związek; charakter i wypadki przesuwają się przed naszymi oczyma w dobrze dobranych kontrastach, częstokroć prawdziwie dramatycznie. Pod tym względem nie autorowi zarzucić nie możemy.“ Dalej: „Opowiadanie autora jest przycinkowe, zaprawione najczęściej prawdziwym dowcipem i serdeczną satyrą.“ Wykazawszy następnie niektóre wady tej powieści, konkluduje p. A. B. „Jakkolwiek jednak bądź, autor „Kuglarzów“ zajmuje jedno z pierwszych miejsc między powieściarzami polskimi, i co do silnego zchwycenia przedmiatu, wydatności charakterów i znajomości świata, ledwie który mu zrówna.“ Zdanie to wypowiedziane

przez znakomitego wydawcę „Monumentów“ przyjęła cała czytająca polska publiczność, i od tego też czasu rozrywano powieści Dzierzkowskiego, a żadne czasopismo, jeżeli chciało mieć nadzieję powodzenia i podobania się, nie mogło się obyć bez jego współpracownictwa. Od roku 1831 Dzierzkowski został literatem z zawodu: z początku pracował w „Dzienniku mód“, zasilanym przez znakomitszych naszych ówczesnych autorów, a następnie w „Gazecie lwowskiej“, gdzie pisywał recenzje teatralne i redagował rubrykę miejscowej kroniki. Rok 1847 powołał go powtórnie do życia publicznego. Powróciwszy r. 1851 do Galicji, przebywał w niej stale aż do śmierci pracując w rozmaitych czasopismach, jako to: „Nowinach, Dzienniku Literackim i Przyjacielu domowym.“

W r. 1858 został współpracownikiem założonego przez H. Stupnickiego „Przeglądu powszechnego“ i był nim aż do r. 1859, t. j. aż do czasu gdy „Przegląd“ zaprzestał wychodzić. Pisywał do tego czasopisma fejetony i z niezrównaną wprawą i humorem redagował rubrykę kroniki miejscowej. Następnie był współpracownikiem „Dziennika polskiego“ wydawanego r. 1860 przez p. d' Abancourta, a po upadku tego pisma przeniósł się do Krakowa, gdzie pisywał do „Kroniki“ Powidaja i „Niewiasty“ Turowskiego. W roku 1863 przeniósł się do Lwowa i wszedł do redakcji „Gońca“, który następnie wychodził pod zmienioną nazwą „Dziennika Narodowego.“ Za artykuł umieszczony w kronice tego dziennika, skazał go austriacki sąd wojenny lwowski (było to podczas stanu oblężenia) na trzy miesiące więzienia, które odsiedział u Karmelitów. Uwięziono go w jesieni r. 1864, a 4. stycznia 1865 opuścił kaźnię. W kilka dni potem zachorował śmiertelnie w skutek przeziębienia na zapalenie płuc, a 15. stycznia zakończył żywot, na ręku kilku szczerych swoich przyjaciół. Do ostatniej chwili życia nie przestawał pracować, a na kilka dni przed śmiercią dokończył pierwszą część prześlizycznej powieści p. t. „Chrzest Polski“ drukowanej w „Dzienniku Literackim“ z r. 1865. Równocześnie drukował i w „Przyjacielu Domowym“ „Wigilję Bożego narodzenia“ i pełną młodzieńczego humoru i werwy nowellę p. t. „Miłość i basetla“. Mimo iż Dzierzkowski prowadził żywot bardzo burzliwy, rzec nawet można awanturniczy, był on bardzo pracowitym i płodnym. Oprócz niezliczonej masy dziennikarskich artykułów najrozmaitszej treści, pozostawił po sobie w spuściźnie przeszło 60 nowel i powieści i dwa utwory sceniczne. Pod tym względem możnaby go porównać ze słynnym amerykańskim nowellistą Edgarem Poe. Dla dopełnienia tego króciuchnego życiorysu J. Dzierzkowskiego, wymieniamy najglówniejsze jego prace w porządku chronologicznym: „Kuglarze 1845; Obrazy z życia i natury 1846; Powieści z życia towarzyskiego 1846; Dla posagu 1847; Okolice Galicji opis do 80 litografowanych widoków Stęczyńskiego 1847 — 1848; Salon i ulica 1847; Szpicrut honorowy 1848; Szkice 1851; Rodzina w salonie 1853; Znajda 1854; Górale 1854; Król Dziadów 1855; Wieniec cierniowy 1855; Skarbiec 1856; Próźniak 1856; Serce kobiece 1858; Uniwersał hetmański 1858 (powieść ta na pół historyczna, jedna z najlepszych powieści J.

Dzierzkowskiego, przetłumaczoną została na język niemiecki przez J. Segla); Sen w życiu 1859; Iskra poezji, dramat, grany po raz pierwszy na scenie lwowskiej r. 1860; Szkoła świata 1862; Niezasłużony ale szczęśliwy 1863; Chrzest Polski i Krzywda i odwet dramat w 7 aktach z czasów konfederacji Barskiej 1864, oba ostatnie utwory napisał Dzierzkowski w więzieniu u Karmelitów.

Już zaraz z początku swego zawodu literackiego, był uważany Dzierzkowski, jak to widzieliśmy z ustępu recenzji A. Bielowskiego o „Kuglarzach,” za jednego z pierwszorzędných naszych powieściopisarzy. Dalsze jego prace nie zachwiały tego zdania, ale owszem ustaliły je w zupełności. Dzierzkowski posiadał obok niezwyklej znajomości serca człowieczego, w jego najdelikatniejszych drganiach, olbrzymią znajomość wszystkich warstw naszego społeczeństwa, począwszy od stróża kamienicznego i kucharki oszukającej chlebobawców na koszykowem, a skończywszy na naszych lordach, których życie streścić się da w trzech słowach: salon, kasyno i stajnia. Był on obserwatorem jakich mało, żaden nawet najmniejszy szczegół codziennego życia nie uszedł jego bacznego oka, wszystko umiał on pochwyć i ze wszystkiego wniosek wyprowadzić. Dodać do tego jeszcze należy, że Dzierzkowski posiadał w wysokim stopniu talent malowania charakterów, że umiał w nie wlać ciepło i życie. To właśnie jest główną zaletą powieści Dzierzkowskiego: każdy charakter u niego jest ściśle określony i prawdziwy. Niema u niego w żadnej powieści owych charakterów bladych, których pełno w nowszych powieściach, ale każda postać u niego jest jakby z jednego kruszcu ulana, każda występuje z tła jakby rzeźbiona, każda rusza się i żyje. Częstokroć realizm ten w malowaniu charakterów doprowadza on aż do ostateczności; niektóre postacie w jego powieściach nie są odmalowane ale odfotografowane. Wybitność charakterów potęguje jeszcze Dzierzkowski przez zręczne użycie kontrastów. Robiono mu z tego niejednokrotnie zarzut, a niektórzy nawet zarzucali kracjom Dzierzkowskiego karykaturalność. Zarzut ten według naszego zdania, jakkolwiek pozorne ma znamiona prawdy nie jest jednak słusznym. Najwięksi malarze dla wywołania efektu uwydatniają silnie światło i cień, najwięksi mocarze słowa używają jaskrawych kontrastów, bo przez to dzieło zyskuje na plastyce. Dość wspomnieć Hogarta, W. Hugo i Słowackiego. Nie należy tego uważać za wadę, ale za właściwość talentu. Są ludzie, którzy lubią ciche wieczór czerwcowy, podczas gdy dla innych burza przedstawia daleko większe powaby; tak samo artyści — jedni lubują się w delikatnie rozproszonym światłocieniu, a inni główną wagę kładą na śmiało zarysowane kontury. Dzierzkowski należał do tych ostatnich: nie chodziło mu nigdy w powieściach o dokładne i nawet w drobnostkach zgodne z prawdą wykończenie szczegółów, ale oto, aby cały obraz był wybitny i prawdziwy, do czego mu wybornie służyły zręcznie użyte kontrasty.

Zalety te, które podnieśliśmy, same nie tworzą jeszcze powieściopisarza: są one tylko materiałem, który dopiero trzeba artystycznie

obrobić i ująć w całość. Powieść jedynie wtedy jest dobra, jeżeli jest architektonicznie zbudowaną, jeżeli jej wszystkie części składowe są należycie ze sobą powiązane. Wymagamy dalej od dobrej powieści, ażeby jej nic przewodnia snuła się nieprzerwanem pasmem przez cały jej ciąg, a nakoniec, aby była zajmująca. Tego ostatniego przedmiotu wymagamy od powieści szczególnie dla tego, ponieważ ma ona wyrabiać smak nawet w nisko pod względem intelektualnym stojącej warstwie społeczeństwa, którą jak dziecko, trzeba naprzód bawić, zanim się uczyć zacznie. W powieściach Dzierzkowskiego widać pewien pośpiech (do pism czasowych pisywał on zwykle z numeru na numer), dla tego też całość, jakkolwiek zawsze śmiało zarysowana, chroma niekiedy w szczegółach, wynagradza on to jednak świetnie zawiązaną i przeprowadzoną intrygą i zręcznem utrzymywaniem ciekawości czytelnika w ciągłym napięciu. Komicznych i dramatycznych efektów pełno w każdej jego powieści. Pod tym względem jest on niezaprzeczenie najwybitniejszym reprezentantem szkoły francuzkiej w naszym powieściopisarstwie, któremu tylko jeden Walery Łoziński niekiedy dorównuje. Głównym zarzutem który aż do znudzenia czynili i czynią krytycy jego dziełom, jest, tendencyjność objawiająca się w malowaniu zbyt czarnymi barwami stanu szlacheckiego, a podnoszeniu natomiast aż do apoteozy postaci z ludu. Zarzut ten jest poniekąd słuszny, nie okaże się jednak zbyt ciężkim skoro zważymy czas, w którym najwięcej najjaśniejszych pod tym względem powieści napisał. Był to czas, w którym degeneracja wyższych warstw naszego społeczeństwa doszła rzeczywiście do szczytu, czas, w którym Leszek Borkowski wydał nieporównaną swoją „Parafjańszczyznę.“ Jeżeli Borkowski, należący do najwyższej arystokracji naszego kraju, a więc znający ją z gruntu, odmalował ją w tak niekorzystnym świetle, nie można brać za złe Dzierzkowskiemu, że nie podnosił dodatnich stron tam, gdzie ich prawie zupełnie nie było.

Zresztą jeżeli powieść ma ewentualnie poprawiać społeczeństwo lub jedną jego warstwę z pewnych wad, powinna te wady przedstawiać o ile można najwidoczniej, w całej nagości, aby do nich wzbudzić obrzydzenie, a nie ukrywać ich, albo łagodzić rzeczywisty stan rzeczy. Dzierzkowski kochał kraj nadewszystko, chciał widzieć naród silnym i poczciwym, dla tego też oburzał się na wszystko co złe i przewrotne, widział rozpustę, bezdusność, w ówczesnej wyższej szlachcie i tę haniebną ranę chciał wypalić żółcią ostrej satyry — gryźł, ale gryźł sercem, jak mówi Słowacki. Jeżeli występował przeciw ówczesnej szlachcie, to nie dla tego, że była szlachtą, ale ponieważ była zepsutą. Ręka chłuszcząca nie zawsze jest nienawistną, ale często miłującą. Na zakończenie tych ogólnych uwag o powieściach Dzierzkowskiego należy powiedzieć kilka słów o jego stylu. Styl u niego nie zawsze poprawny, grzeszący niekiedy germanizmami i galicjanizmami, posiada niezwykle zalety malowniczości i siły. Obrazy u niego są pełne życia, porównania piękne, a dIALOGOWANIE zręczne i prawdziwe.

Dzierzkowski jest przeważnie powieściopiszem obyczajowym

i w tym kierunku zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc w naszej literaturze. Jego „Serce kobiece“, „Rodzina w salonie“, „Szpicrut honorowy“, „Król Dziadów“ i inne przyniosłyby zaszczyt każdej literaturze, a dla nas mają oprócz swojej wielkiej literackiej, także wartość historyczną, jako wyborny obraz społeczeństwa galicyjskiego między r. 1840 a 1860. „Uniwersał hetmański“ należy do najlepszych powieści na pół historycznych w naszym piśmiennictwie, co uznali nawet Niemcy przyswajając tę powieść swojej literaturze. Dzierzkowski próbował także sił swoich w dramacie, a „Iskra poezji“ i „Krzywda i odwet“ są dowodem, że talent jego byłby się świetnie rozwinął i w tym kierunku, gdyby w nim dalej pracował. Nakoniec dodać musimy, że wszystkie jego dzieła ożywione są duchem swoim i gorącą miłością prawdy: są to zalety, któremi nie wielu naszych powieściopisarzy w tym stopniu, co Dzierzkowski, poszczycić się mogą, a które każą umieścić imię Dzierzkowskiego między pierwszorzędnymi gwiazdami naszej powieściowej literatury.

KUGLARZE.

(Pierw. wyd. 1845 r.)

„półpół” - 3-4

dawny i fioletu paska - 4

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 5

Obserwacja pamioty - „fale to bywało” 6

„kółkółkół” - „kółkółkół” 17 - 32 - 33 - 34

„kółkółkół” - „kółkółkół” 32

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

„kółkółkół” - „kółkółkół” - 35-6

WSTEP.

Zapowiadam czytelnikom moim, iż postanowiłem nie mniej i nie więcej, jak tylko rozprawę pisać o kuglarzach i sztuce kuglarskiej...

Sztuka kuglarska jest dawna jak świat! Proszę mi wierzyć na słowo, o dowody nie pytać; nie dla tego, by mi ich brakowało, ale dla tego, że nie godzi się brać dowodów ze starego lub nowego testamentu, gdziebym ich znalazł nie mało — oczywiście między fałszywymi prorokami. — A potem tyle się teraz namnożyło pietystów, a z pomiędzy tych ledwie nie każdy pisze, a z tych znowu każdy pisze taką ilość ksiąg, iż choć kamienowanie wyszło z używania, bałbym się, by miejsce kamieni nie zastąpiły owe wszystkie książki bruxelskiej zapewne tuszy i wzrostu, lekkie jak każde marzenie, a przecież trafiając, mogłyby o szwank przyprawić: aż dopiero jeżeli na poparcie bolesnych forpocztowych twierdzeń swoich wyruszą przeciwnicy z ciężkim foliantowym kalibrem starych polemicznych szpargałów, zginałbym niezawodnie śmiercią zaksiązkowania, śmiercią nienową, choć z nazwy niezwyczajną. Bo znałem szlachcica poczciwego ze zdrowym rozsądkiem, piękną wioską i mурowanym domkiem, który żył lat czterdzieści, błogo przepędzonych między kalendarzem i gazetką z dodatkami, aż mu raptem wskoczył w ciało szatan ksiązkowy. A ponieważ za czterdziestoletniego żywota lubił zawsze wielkie rzeczy, wielkie pierogi, wielkie kobiety, wielkie beczki, wielkie kufry, wielkie wysiewy, wielkie gorzelnie i inne wielkości sobie znane, zmiarkował, że trzeba kupować wielkie książki. Jak pomyślał tak zrobił; zapchał dom swój foliałami bez liku, i połykał je w dzień i w nocy. Ulatywały godziny, dni, miesiące, aż nareszcie został prawdziwie zaksiązkowany. Gdybyż przynajmniej umarł jedną od razu śmiercią, ale on musiał przebyć kilka: najprzód umarł śmiercią finansową; upadł dwór nie naprawiany, poszła wioska źle rządzona, dochody wielkie zmieniły się w wielkie księgozbiory; umarł śmiercią towarzyską, bo z człowieka uprzejmego, miłego w towarzystwie, a nawet dowcipnego z przypadku, zrobił się nudziarz nieznośny, od którego erudycji wszyscy jak od dżumy uciekali; umarł wreszcie śmiercią moralną, z człowieka bowiem

zdrowo sądzącego zrobił się istny głupiec. Zastanawiając się nad tem, a pełny przedmiotu mego, widzę wyraźnie, że ten szatan, co mu się w ciało wpakował, był oczywisty kuglarz, i to kuglarz znakomity, jeżeli potrafił przemienić bogatego w ubogiego, a rozsądnego w głupca, z czego konkluduję wprost, że pierwszym kuglarzem był szatan, i od okrągłości to jabłka rajskiego musiały wziąć pochodzenie zwykłe i pierwsze wszystkich kuglarzy sztuczki ze znikającymi gałkami. Aż mi lżej na sumieniu, że w szatanizmie wynalazł źródło kuglarstwa, bo już mi teraz pietyści dadzą pokój, a łaskawi czytelnicy nie zechcą szukać dalszych dowodów w starożytności czerpanych. A zatem sztuka kuglarska jest stara jak świat, początek swój bierze od szatana; pochodzenie tak arystokratyczne, jakiem się nikt nie poszczyci, choćby najsztuczniejszym kuglarstwem na wczorajszym gładkim powozie wyczarował dziś herb ze strusiami piórami, lub rękę mieczem zbrojną. Z tego to arystokratycznego pochodzenia sztuki kuglarskiej pochodzi zapewne zamilowanie wyższych towarzystw w kuglarstwie, o czem powiem na swoim miejscu.

Tu wypada, od czego może zacząć należało, zrobić definicję kuglarstwa, kiedy o kuglarzach pisać zamierzam; jakkolwiek definicja jest koniecznym początkiem każdej rozprawy, bez której się żaden Niemiec nie ruszy, choćby o robieniu pudru pisał, ale jest to zawsze fatalne błoto, z którego nie tak łatwo wyleść, jeden tylko pegaz pozwala sobie przez te definicyjne trzęsawiska przelatywać lekkim skrzydłem; i już to nam dzisiaj kilku nieznośnych budzicieli, alias excytarzy powiedziało, że my, dla braku gruntownych określeń, więcej gadamy niżeli rozumujemy, więcej plujemy w oczy niż dowodzimy, więcej bajemy niż umiemy, z której to znowu własności naszej ja widzę jasno jak słońce, co powiem w przelocie, bo wytłumaczyć nie potrafię, że do kuglowania więcej od drugih skłonni jesteśmy. Owoż z tego wszystkiego pokazuje się niezaprzeczenie, że definicja jest trudną, a cóż dopiero definicja kuglarstwa, co to niby jest, a niby nie jest.. na cóż mi więcej: definicja utworzyła się sama. To co niby jest, a niby nie jest!.. jest kuglarstwo. A więc kuglarz jest to człowiek, który robi to, co niby jest, a niby nie jest.

Tu zastanówcie się państwo łaskawi nad głębokością umysłu waszego sługi, który bez objawienia odgadł szatańskie pochodzenie kuglarzy. Kuglarz powiedzieliśmy robi to, co niby jest, a niby nie jest, innemi słowy kuglarz z niczego robi coś, ale to coś wydaje się być cossią, a w istocie jest nicossią. Tu coś pięknego mógłbym powiedzieć o gramatykalnej filozofji, ale jako profanus odsyłam państwa do wielkiego kapłana, który stoi na straży tej ciemnej świątyni, kędy samogłoski i spółgłoski nasze grając z sobą w ciuciubabkę, tworzą język jakim bożek sfinx przemawia do kapłanów swoich. A zatem przed początkiem świata, nim się jeszcze coś zaczęło, było nic; z tego nic przedwieczny stworzył świat i ludzi, pomiędzy którymi ja i czytelnicy moi niemalą odgrywamy rolę; szatan dumą popychany chciał Boga naśladować, tak naprzykład, jak goli galicyjscy półpankowie wyścigami konnemi małpują angielskich całopanków, a to wszystko dla większej pociechy wrogów, radujących

się i upadku niemiłej prowincji i lichwiarzów, którzy wysysają krew dochodów szlacheckich jak pijawki, i to nie tylko krew tę co jest, ale i tę co będzie dopiero. Szatan tedy w pysze nieposkromiony, chciał także utworzyć coś, i stworzył... ale w tworze boskim była prawda, która nam tak jasno jak słońce przez wieki wieków świeci; w tworach zaś szatańskich było omamienie, które robi je tworamami kuglarskiemi. Wywinąwszy się nie bez kuglarstwa z moczarów definicyjnych postępujemy dalej. Kuglarze dzielą się na dwa główne rodzaje, jak człowiek, jak świat cały dzieli się na dwie główne części, na część dotykálną — ciało, i część idealną — myśl; tak i kuglarze rozdwoili się na tych, którzy sztukę omamienia na rzeczach ciała mających pokazują, i to jest niższa klasa, motłoch i na tych, którzy złudzenia swoje w dziedzinie myśli wykonywują: to jest klasa niezaprzeczenie wyższa, bo już namacalne coś przemienić na inne coś, mniejsza jest sztuka, jak udać, że tam jest coś, gdzie nic niema; łatwiej ryż w perłę przemienić, niżeli głowę pustą jak pęcherz puścić w świat jakby głowę pełną myśli. Zrobiwszy te przedziałki, powiemy jeszcze, że rodzaj owych kuglarzy pospolitych zostawimy na boku, ale natomiast jako szczególny przedmiot naszej rozprawy wybierzemy sobie kuglarzy umysłowych; to zaś powiedziawszy, choć tyle jeszcze powiedziećby wypadało, ja ani kroku nie ruszę w owej rozprawie, gdyż mimo całej łatwości przedmiotu, w którym wiatrem pisać można o wietrze, przekonuję się, po raz niewiem który, że nie zdalny do porządnej logicznej rozprawy. Ja tu chcę gatunkować kuglarzy moich jak lekarstwa w aptece, co to niby mają pomagać, gatunki na podgatunki, te znowu na niższe jeszcze podgatunczki; a tu ani rusz!.. Mnie zdarzenia i ludzie przesuują się jak krajobrazy czarowne, panoramowym światłem wyobraźni oświecone; tam mnie nęci okolica cudowna górzysta z twarzą stawku osrebrzonego okiem księżycą; tu mruga na mnie dziewczica z okiem rzutkim jak jaskółka, ustami jak jagody, płcią brzośkwiniową... Nie! nie będę pisać rozprawy, wołę obrazki; raczcie więc darować, a to co napisałem przyjmcie za wstęp, albo przyjmcie za co chcecie, bo już nie podrę kiedym raz napisał, a że rozprawie nie podołam, sami to musieliście zrozumieć, widząc jak wpadam w ciągłe epizody, dobre w powieści, ale nudne w rozprawie. Czy powieść czy powieści, bo może kiedym wpadł w sztos kilka razem napiszę; darujcie państwo, że nie będę jednym nieprzerwanym pisał ciągiem. Jedno zacznę i drugie, i tu trochę, i tam trochę, z okolicy w okolicę, z epizodu w epizod motylem przelatywać będę skrzydłem, bo wyznam szczerze, i ja kuglarz, choć literat, a może właśnie dla tego, że literat, postąpię sobie jak bracia kuglarze, którzy kilka sztuczek swoich razem zaczną, jedną nie kończą, drugą przerywają. Zamiast sztuczek kuglarskich będę wam obrazek po obrazku przemieniał jeden w drugi, smutny w wesoły i na odwrót, jak prawdziwy kuglarz, który po śmiejącej się z kapelusza jajecznicy, raptem niewinnemu gołąbkowi łeb ścina.. A sens moralny: dla łaskawych czytelników dłuższa strata czasu, dla mnie powieść więcej arkuszo-wa!.. o co rzecz głównie idzie!

OBRAZEK PIERWSZY.

Tak to bywało.

W około na mil kilka był las sosnowy, wiecznie zielony i wiecznie smutny jednostajnością barwy wesołej, gdzie jedna w drugę pomknęły sosny ku niebu proste, jakby kolumny na jeden wzór wyciosane. Wszedłszy w te lasy, które cudem zachowały się na ziemi naszej, dziwić się trzeba było jakim sposobem oparły się napaści flisów, którzyby je chętnie na wodę, i napaści potażerni, któreby je chętnie na ogień puściły. A tak ciemno, iż mimowolnie przychodzi na myśl dawna wiara Druidów, których świątyniami były lasy nieprzebyte. Z góry tylko, gdyby po nad wierzchołki przemknąć ptakiem, urozmaiciłby się widok tego morza liści wiatrem pofalowanego, jakby skałami wystającymi ze środka: są to drzewa szczególne, ojcowie tych lasów; tam jakby wyspy przepaściowe: to są pastwiska niknące w moczarach, wężami czystych brodów posrebrzone. A tak tam spokojnie, jakby przed ludzi przyjściem jeszcze; ptak tylko przeleci, zwierz przemknie, gad prześliznie, a komar wiecznie nuci piosenkę, której bąk leśny zawtoruje nad błotem, czajka smutno odpowie pod niebem.

W środku tego kilkomiłowego lasu była wioska poleska ze swemi chałupami niskimi i zadymionemi, kołowrotem wiecznie dziurawym jakby las był o sto mil, i cerkiewką z ogromnych na wpół ociesanych brusów, które wiek wpychał coraz niżej w ziemię, tak, że wchodzący do tej leśnej świątyni musieli dwoma schodami w dół się spuszczać. Ale za to zielono wszędzie, sady w około każdej chałupy, bo tam drzewko ledwie posadzisz, już ci się drzewem rodzajnem oplaca; na środku wsi w poprzek drogi wieczna bajura nieodstępna towarzysza wioski poleskich, schadzka najmilsza dzieci wiejskich, dla których ta błotna kałuża wydawała się morzem szerokim, a rzucając w nią kamienie, błota i drzewa kawałki z lekkim swem kołysaniem się i kręgami rozchodzącemi się w koło, to pierwsze marzenia tych biednych dzieci o swobodzie rojonej, która nigdy nie ma się ziścić, pierwsze ich myśli; i nieraz może chłopak, który odważną nogą przebrnął taką rodzinną kałużę, by z jej środka dostać pręt, który w głowę węża zgięty kształtem swoim dziwił i przestraszał towarzyszków zabawki stał się potem flisem po sinym Dnieprze, po błękitnej Wiśle. Ledwieś kałużę przebył, wpadałeś na most, który

wierny przysłowiu urodzonemu na Polesiu był doskonale dziurawy; pod nim płynęła jedna z tych mętnych wód poleskich, rzeka ciągłym ruchem, a staw lenistwem z jakim się przesuwają pomiędzy szeleszczące szuwały; za mostem bliźnia tamtej kałuża, z której wydobywszy się szczęśliwie, wjeżdżało się nareszcie w ulicę z lip odwiecznych, we dwa rzęby po obu stronach drogi sadzonych. Na końcu ulicy stała wielka brama z dwóch olbrzymich sosen utworzona, po nad któremi wznosiło się pokrycie słomiane prętami dla pewności i ozdoby przeplatane. Wprost bramy, na końcu wielkiego podwórza trzaskami bliskiej drewnutni, jakby żwirem posypanego, na którego środku majestatycznie rozpiętał się kompas na słupie, jedynym egzemplarzu muru w tej okolicy — stał dwór drewniany; wprowadzie potynkowany starannie, z dwoma ganeczkami drewnianymi, połączonymi galerijką drewnianą.

Lecz dosyć tych opisów. Był to dom, jakich pełno dotąd na Polesiu; nie odznaczał się on ani większą nad inne wytwornością, ani co gorzej, wielkim porządkiem, jakkolwiek pani szambelanowadziedziczka Zabiniec z kilku przyległymi wnioskami i drugim kluczem nad Dnieprem, była kobietą bardzo bogatą. W okolicy tej odgraniczonej bagnami i lasami od reszty świata, pomiędzy ludem ciemnym jak ich knieje, uchodziła za bogatszą od pani Branickiej, o co gdy przejeżdżający jeden kupiec posprzeczał się, omal go nie ubili poddani pani szambelanowej Skrzeskiej. Krążyła nawet wieść po wieczornicach wiejskich, że pod drewnianym domem jest lamus, a w nim kilka beczek z karbowancami elizabeckimi dodawali optymiści wiejscy, dziad i gajowy. Jakby to nie było, szambelanowa nie była bogatą z łaski nieboszczyka męża, który cały swój majątek darował za żywota najukochańszej Kunusi, alias Kunegundzie. Szambelanową zaś została z łaski bożej chyba, bo ani jej, ani jej mężowi żaden z europejskich ani zaeuropejskich potentatów tytułu tego nie dał, nawet nasz Stanisław August przepomniał dziwnym wypadkiem o Bonawenturze Skrzeskim, jakkolwiek za panowania jego łatwość zostania szambelanem przyrównywano do szybkości, z jaką się jajecznicza sporządza: chyba może dla tego, że nieboszczyk był szambelanem własnej żony; pękiem kluczy obdarzony, biegał biedaczysko za rozkazami imościniemi, przez cały dzień powszedni z kąta w kąt; w niedziele zaś i święta to za grzybami, to za ożynami, które szambelanowa namiętnie lubiła jadać na mokro, czyli inaczej powiedziałwszy w postaci nalewki ożynowej; aż nareszcie syt biegania, pogonił do ostatniego pomieszkania swego pod kaplicę, która tam za sadem z cienia olbrzymich topoli portowym błyszczy krzyżem.

Po śmierci męża, jakkolwiek wielu starało się go zastąpić, żaden nie zdołał wytrzymać czasu próby, którą każdy odbywać musiał około gospodarstwa Żabinieckiego. Nikt nic nie mógł z pamięci żony wygluzować zmarłego męża, osobiwie tych nóg nieocenionych, które tak szybko, tak niezmordowanie samowolne pani rozkazy roznosiły na wszystkie strony: mijali pretendenci, bo tych po krótkim w Żabinach pobycie odprawiała z kwitkiem; szczęśliwy który nie wyszedł z suchotami. Mijali officialiści, z których żaden dłużej nad rok

wytrzymać nie mógł; lata mijały; gospodarstwo szło jak Bóg dał; gospodarskie zabudowania dawniej tak chędogo utrzymywane skłaniały się pomału ku ziemi, popodpierane tu i owdzie drewnianymi tykami.

Pani szambalanowa była to osoba niskiego wzrostu, ale za to taką tuszą obdarzona, iż wyraźnie miała postać beczki postępującej na dwóch małych nóżkach z czopem głowy, która między ramiona wciśnięta, na krótkiej szyi osadzona, znikałaby zupełnie, gdyby nie czepiec o szerokich wachlarzowych, twardo nakrochmalonych szlarkach, cudownie ustrojony fontaziami kolosalnymi z wstążek zawsze jaskrawych, którym doskonale odpowiadała pięć twarzy piwoniowa, sinemi tu i owdzie plamkami nakrapiana. Na tej twarzy, rozrosłej na boki jak dynia, ledwie dostrzedz można było nosa, który się wstydliwie chował między policzki, wystające a świecące zawsze jakby były masłem posmarowane; wyżej znowu w okolicy ocz. brwiami nawet nie odznaczonych — szambalanowa bowiem była przed laty fatalną blondynką — świeciło coś na kształt dwóch główek spilkowych; usta małeńkie wązkie, wązkim rąbkiem odznaczone, i broda tłustością zrównana z resztą twarzy, nikły tak doskonale w tej ogólnej równinie twarzowej, przedłużonej potrójnym wołowatym podbródkiem, spoczywającym na piersi zawsze dla gorąca odslonionej barwą pekeflejszu świetniej, iż żadnego dostrzedz nie można było wyrazu na jednostajnej twarzy. Nawet gdy mówiła, głos jej z zapaśionych płuc tak się dobywał powoli, leniwie, cedzonym sposobem, że nigdy rozpoznać nie można było czy się gniewa, raduje, cieszy, czy smuci. Domownicy, tylko twierdzili, na mnogiem wsparci doświadczeniu, że im powolniej cedziła słowa, tem w gorszem była usposobieniu; cedzenia zaś tego i nudziarstwa z jakim dawała rozkazy, wymawiała lub łajała, bali się więcej niż plag; jakoż Franciszek, stary kredencarz, który jeden z dawnych czasów został na jej służbie mrucał zawsze, że wolałby dziesięć batogów w kacie dostać, niżeli słuchać przez jedną godzinę łajania imościwego. Pełna epizodów, wtedy szpikowała wymówki swoje tysiąciami dodatkami, w których ulubione przysłowie: „tak to bywało“ główną miało rolę, robiła mnogie przestanki, często niejeden pacierz przeklepała, a delikwent stać musiał wyprostowany u drzwi, póki znowu po chwili nie wróciła do zaczętej rozmowy; a broń Boże odpowiedzieć!... w takim razie posłuchanie przyciągało się w nieskończoność, mijało śniadanie, obiad, kawa nawet poobiedna, a obżałowany musiał stać u drzwi niemy i nieruchomy, bo nawet ruchy nieco gwałtowniejsze karciała perorą równie długą, i nie mniej zabawną od poprzedzających.

Dzieci nigdy nie miała, ale za to towarzyszkę od lat czterdziestu, pannę Agnieszkę Krylecką, starościankę Trembowelską, przyjaciółkę od serca, to jest niecierpiałą się serdecznie nawzajem, ale podobno były sobie potrzebne. Panna Agnieszka potrzebowała stołu i pomieszkania, szambalanowa zaś, istoty, na którą mogła ciągle gderać, cędzić co dzień: „tak to bywało za ś. p. szambelana“ ulubiony temat codziennych gderanin na świat cały; lecz by ją mogła nudzić od rana do wieczora, wymówkami bez przestanku, brała po-

wody zarówno z nieba jak i z ziemi; z boskich dopuszczeń jak i z ludzkich przewinień: jednym słowem starościanka była talerzykiem, na który szambelanowa powoli spluwała żółć swoją. Nienawiść ich długo karmiona, w obreby ciasne domowego i samotnego pożycia ścisnięta, nie pojawiała się na pozór bardzo dobitnie, a przecież codzień szukały sposobności niejednej okazania jej, a nawet codzień szukały sposobów dogryzania sobie; szambelanowa nieustannym zręzeniem, starościanka wyszukiwaniem powodów do gderania. Właśnie dla tego starościanka stała się koniecznością życia szambelanowej, której nikt się sprzeciwić nie śmiał, owszem, każdy starał się o ile mógł postępować gwoli imościnej, byle unikać tych gadanin bez końca. Starościanka zaś zmiarkowała od razu, że to jest jedyny sposób utrzymania się przy funkcyi rezydentki, funkcyi, która przy lenistwie szambelanowej była wielce intratną, a razem dogadzała ciągłym sprzeciwianiem się własnej nienawiści; widziała bowiem dobrze, że chociaż zrządzenie było ulubionem zatrudnieniem szambelanowej, przecież każde takie zajście alterowało ją niepomału; nareszcie sprzeciwić się wszystkim i we wszystkim, było największą rozkoszą panny starościanki, która nigdy rodzajowi ludzkiemu darować nie mogła, że się na niej nie poznał. Za panięństwo swoje, mściła się na kobietach, z których każda ładna i młoda, wybierająca się za męża, wydzieraa jej oczywiście tych wszystkich mężczyzn, straconych już dla niej; mściła się na mężczyznach, za tę ich głupotę i złość ubiegającą się za twarzą, młodością i majątkiem. Długo opierała się wszystkimi siłami tej nienawistnej myśli, że przyjdzie umierać starą panną, iść do trumny z woniejącym wiankiem dziewiczym. Kabały karciane, kabały towarzyskie, umizgi, malowidła i róże, wdychania, posty poniedziałkowe do patrona kawalerów, sobotnie do patronki małżeństw; wszystko to odbywała z największą sumiennnością, ba nawet nieraz między postem a postem był czas i na guśla różne, na które zchodziły się wszystkie czarownice i wróżki okoliczne z pod Prypeci i z za Dniepru; z zaciętością rozpaczy chwytala się wszystkich mężczyzn do wzięcia, zarówno starców zgrzybiałych jak młokosów bezwasyh, bo jej tylko męża trzeba było gwałtem! czy ładny, czy brzydki, było to dla niej wszystko równo; onaby chętnie za chłopca pięcioletniego, i nie przesadzę, jeżeli powiem, że nawet za nieurodzonego jeszcze mężczyznę powlekła się za męża, byle raz pozbyć się tego panińskiego stanu, który jej dokuczał nieznośnie, a którego im więcej się wstydziła, tem więcej złości wywierała na wszystkie młodsze i powabniejsze panny. W towarzystwie mężczyzn przybierała postaci nieprzeliczone, zachowane do usposobienia każdego; istna kuglarka zmieniała co chwilę mowę i poruszenia. Tu miejsce powiedzieć, że panna żadna męża jest kuglarzem prawdziwym; wszystko co czuje, co myśli, co lubi, zatai w sobie; czego nie czuła nigdy, co zawsze nienawidziła, w to wszystko ubiera się jakby w strój zmieniający się co chwila; uśmiecha się ze złością kipiącą w sercu, rozczuła nad tem z czego dusznie żartuje, wdycha choć wesola, raduje się twarzą, choć płacze myślą, umizga się uśmiechem czułym, choć drgają palce, by oczy wydrzeć; jednym słowem

wszystkie do celu dążące odgrywa role z mistrzowskim talentem udawania. Aż kiedy przyszła chwila, w której przyznała się starościanka sama przed sobą, że stare panieństwo nieochybnem jej przeznaczeniem, obwiązała głowę chustką żółtą, drugą niemniej w szafianie skapaną chusteczkę wdziała pod brodę i z udaną obojętnością oddała się losowi swemu. Wysoka, koścista, a tak chuda, że gdy przypadkiem długie swe rozłożyła ręce, podobną się wydawała do tych kijów z poprzecznym drągiem, do trzepania sukien przeznaczonych; tylko nosem przeciągniętym i zaostrzonym w końcu, i dwoma wielkimi siwymi oczami, wystającymi złośliwie ze środka głębokich obwódok swoich, człowieczego nabierała podobieństwa: była zatem chodzącą przeciwieństwem pani szambelanowej, myślą i ciałem.

Było to przed południem; szambelanowa siedziała w żółtym pokoju. Tu nie mogę przemilczeć, że wszystkie pokoje dworu Żabińskiego różniły się nazwami barw, które jednakże były tylko pamiętką porządniejszych za szambelana czasów; kiedy bowiem po śmierci jego nielitościwy czas dawne barwy pobrudził i pozdrapywał, pobielono wszystkie pokoje prostem wapnem. Żółty pokój, był to posłuchalny pani szambelanowej; w nim lubiła najwięcej przesiadywać, bo najspodobniejszy był do gderania, czy bowiem przez okno zajrzała na dziedziniec, czy jednemi drzwiami wpadła do garderoby, drugimi do sypialni panny starościanki, czyli trzecimi do przechodniej sieni, zawsze dostrzegła coś nowego, co zasługiwało na zganiecie. Siedziała zaś na szerokiej kanapie, dreliszkiem wybitej z poręczami drewnianymi w kratki wykrawywanymi; nogi trzymała na drewnianym stołeczku jakich używają dziewczki do dojenia krów; na stole czarno przed laty lakierowanym leżała poduszka, z przypiętymi do niej różno-barwnymi sznurczkami jedwabnymi, do których przyczepione drewniane waleczki przesuwane powoli tłustymi palcami tworzyły rodzaj tasiemki, której sposób robienia zaginał wraz z szambelanową: niewiem czy dokończyła kiedy tę robotę, ale to pewna, że początek tasiemki zbrukanej przed czasem i zblakowanej jak młodzież terażniejsza, niknął w pomroce lat tak dawnych, iż nikt przypomnieć sobie nie mógł, kiedy się wzięła do tej niewdzięcznej pracy. W drzwiach od sieni stał chudy i zgarbiony Franciszek, z łysą jak pałka głową, w surducie, który mu za tłuszcjszych i prościjszych służył jeszcze czasów, a teraz opływał jego chude kości wielkiem bogactwem poburkanych i spelzłych fałdów. Starościanka długimi nogami szerokie stawiając kroki, szastała się niezmordowanie od jednych drzwi do drugich, i robiła wiatr otwartym szlafrokiem w kształcie pudermantla, którego tabaczkowe poly rozbiegając się ciągle, odsłaniały łykowane nogi, z pod krótkiej i brudnej spodnicy. Ruch ten ciągły i wiatr były nieznośne dla szambelanowej, o czem doskonale wiedziała panna Agnieszka.

— Przecież nieraz mówiłam... ależ kochana starościanko, nogi cię zbolą.. i nieraz przestrzegałam... ja myślę, że już do Czarnobyla mogłabyś zejść... mówiłam i napominałam Franciszka... kochana starościanko, jedwab mi się płacze od wiatru, który robisz...

jak uważam daremne są napominania... szkoda nóg moja panno starościanko!..

— Zapewne, lepiej siedzieć jak pani szambelanowa.

— Ale Franciszek..

— Że aż nogi puchną, i na końcu pani dostaniesz puchliny wodnej z samego siedzenia, a puchlina w wieku..

— Aj! aj!.. co?.. ja nierozumiem..

— Może być bardzo niebezpieczną, jak się podniesie do góry; to mówił mi pan konsyliarz Klysterski, że u ludzi tłustych z wielkim brzuchem..

— Przeszkadzasz aśka mówić... — Był to już dowód zwiększającego się nieukontentowania.

— Tak! tak! nigdy nie zważasz kochana pani na moje przyjacielskie uwagi i przestrogi; jeszcze się gniewasz, a gniew, jak powiada konsyliarz, dla ludzi z kompleksią taką jak pani kochanej..

— Pozwól aśka!..

— Może być przyczyną nagłej i niespodziewanej śmierci, od czego zachowaj nas panie!..

— Ach! ach! — westchnęła szambelanowa i opuściła jeden z drewnianych klocków, który z łoskotem uderzył o drugi, śmierci bowiem bała się niezmiernie.

— Od czego — powtórzyła uporczywie stara panna, a złośliwe oczy błysnęły z głębi obwódek swoich, jakby gadzina z ciemnej pieczary; — racz zachować nas panie!.. mnie osobliwie, która bez kochanej pani musiałabym zginąć w niedostatku i smutku.

— Zachowaj nas panie!.. — mruknęła szambelanowa.

— Bo jak najadą te wszystkie głodne krewniaki.

— Ależ panno Agnieszko!..

— To wypędzą i tę, która do śmierci była tak dla pani wierną, staranną o jej zdrowie.. — Ta właśnie staranność i bojaźń o śmierć nagłą były to sztyleciki, któremi codzień po kilkakroć umiała panna Agnieszka władać dotkliwie i zdradziecko.

— Ależ moja panno Agnieszko, ty wiesz... czego się tam ruszasz Franciszku? możesz przecie poczekać... że ja nie zapomnę... trzeba być cierpliwszym, wszak nie powiedziałam ci jeszcze... i możesz być spokojna, że ja pomyślę o tobie.. — Tu zdybały się spojżenia obydwóch pań: małe oczki zaszydziły, a wielkie ciekawie patrzyły. Taka była codzienna zemsta pani szambelanowej; nadzieja ostatniej woli, była u niej tą kuglarską gałeczką, która przechodzi widomie przez wszystkie palce, aż przy piątym znika, by znowu to większą jak głowa ludzka, to maleńką jak główka od szpilki, migać i znikać bez ustanku.

— Jak to można zaniedbywać tak służbę?.. Czy kochana starościanka zrobiła wotum biegania?..

Rozmowę przerwał turkot na dziedzińcu; starościanka wyrzwała przez okno na pół ciekawie, na pół niecierpliwie. Franciszek obrócił się ku drzwiom; szambelanowa niewzruszona pałeczkami tylko ruszała..

— Nie trzeba odchodzić, póki ja nie powiem; a co?..

— A to z zielonego futora?.. jeżdżą i jeżdżą, a wietrzą, czy kochana pani...

— Franciszku stój!.. rada im jestem... panno Agnieszko, przestańże biegać... to mój brat cioteczny, ostatni przyjaciel, który mi został po śmierci nieboszczyka... Nie tak to bywało za niego, i on biegał, ale nie po pokoju za wiatrem.

— A, i ta czuła Rozalia przywlekała się z tatkiem?..

— To moja siostrzenica.. i jedyna krewna moja; bo ja nie mam więcej...

Weszli nowo przybyli, mężczyzna w długiej kapocie polskiej, ze słomianym kapeluszem w rękę, a dziewczyna z twarzą bladą i okiem zasępieniem.

— Jak się kochana siostra ma?—wyrzekł tym głosem pełnym i dźwięcznym, w którym mimowolnie czuć się daje harmonia prawdy, bez wszelkiego fałszywego oddźwięku.

— Zle bracie!.. bardzo źle; dobrze żeś przyjechał.. ale daruj, muszę skończyć, bo to ten Franciszek... już nawet panna starościanka wątpi o mnie.—Przez ten czas pocałowali oboje gospodynię w rękę, ojciec z grzecznością, córka z uszanowaniem, a pannie starościance pokłonili się obojętnie, przywitani zimno nawzajem, a nawet z rodzajem nosowego mruknienia.

— Da Bóg jejmość pożyjesz lata matuzalowe za siebie i za nieboszczyka szwagra, któremu się tak zmarło..

— Aj! aj! nie tak to bywało za niego... Jeszcze więc raz powtarzam tobie Franciszku!.. czy aśka masz żywe srebro w sobie?

— Nie żywe srebro, ale niecierpliwość, kiedy widzę pewne zabiegi..

— Ciocia dobrodziejka codzień młodnieje — ozwał się głos córki równie dźwięczny jak ojca, ale sztuczniejszy nieco, może dla tego, że się spiewać uczyła.

— Tego o pannie porucznikównej powiedzieć nie można — przerwała starościanka i po twarzy dziewczęcej przeciągnęła oczami iskrzącymi, jakby przeglądała wszystkie onej zagięcia: — codzień przybywa latek i jeżeli się nie mylę, zmarszczek..

— Nie każdemu dano, tak pięknie wyglądać i zawsze jednako od lat tyłu jak panna starościanka..

— Zwyczajnie, po nocach romansów nie czytamy, po księżycu nie chodzę, o bogatych partjach nie marzę ani w dzień, ani w nocy; nie tworzę sobie kochanków ognistych, pałających..

— Dobrze bracie, żeś przyjechał... stój Franciszku, zaraz ci powiem... Mam z tobą do pomówienia na osobności..

— Na osobności?..—zagadła starościanka, i stanęła na środku pokoju z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Może pójdziemy do ogrodu? — powiedziała porucznikówna z uśmiechem.

— Mogłaby się panna Róża opalić.

— My wieśniaczki już się nie możemy opalić.. albo może do kaplicy.. tam tak miło, tak chłodno i spokojnie; nieprawdaż panno starościanko?..

— Jestem na rozkazy pani siostry.

— Do kaplicy! do kaplicy, mruknęła starościanka, i mimowolnie złośliwie oczy rzuciła na szambelanową, która z niezwykłą uprzejmością przemawiała do brata, a z ukosa patrzyła czasami na przyjaciółki twarz, coraz podobniejszą do chusteczek któremi była obwiązana.

Nowy turkot przerwał rozmowę, a nie był to turkot pojedynczych bryczek, ale zdawał się pochodzić od więcej, i to cięższych powozów.

— Ktoś jedzie z daleka — wesolo zagadła dziewczica.

— W konkury do aspanny — cierpko odpowiedziała starościanka.

— Dwie nas jest panien na wydaniu...

— Pobiegnij przecie asindziej.. Franciszku stójcie na miejscu! aj! aj! nie tak to bywało.... nieboszczyk jak zacznie biegać... — i złośliwie spojrzała stara na porucznika, który utykał trochę na prawą nogę, a zatem, co dobrze wiedziała, nie mógł wiele i prędko chodzić... Biegnijże asindziej przyjąc gości... siadajcież aspanny.. więc Franciszku... skromnie trzeba siedzieć... ten porucznik do niczego, lezie jak na raku...

— Jemu siedzieć w chałupie za piecem...

— Kto wie, kto wie, gdzie on jeszcze siedzieć będzie?

— To pan Skrzeski z dwoma synami...

— Pan pułkownik!... nie wiem dla czego asindziej uchybiasz bratu męża mego, jedynemu krewnemu jakiego miał ś. p. mąż mój.

Pół westchnienia połknął porucznik, oczy panny Róży zasunęły się mgłą, ale natomiast zabłyśły oczy starościanki.

— Gdzież jest?..

— Przebierają się w kancelarji..

— W niebieskim pokoju... a ten nieporządek... I ty tu siedzisz Franciszku?.. — Franciszek porwał za klamkę... — czekajże! jużbyś leciał... Panie poruczniku, pobiegnijże do kuchni, ale prędeż... Mościa panno Rozalio, kwiatów mi nazbieraj!

— Zaraz ciociu, i to najpiękniejszych.

— Darmo moja panno! to bogaci panicze...

— I jeszcze bogatsi być mogą... bo to jedyny brat ś. p. męża mego... aśka mogłabyś się przejść po domu...

— Nogi mnie bolą...

— Zapewne po tem ciągiem bieganiu... nie mam nawet kim się wyręczyć.. nie tak to bywało... patrzcie... ot ten.. ten Franciszek stoi tu jeszcze. — Wybiegł Franciszek — Stój! stój!.. — powtórzono kilka razy, czy dosłyszał czy nie, nie wiem, ale nie zatrzymując się pobiegł, ile mu sił starczyło.

— Czegoż to szambelanowa chce od tego starca biednego?

— Bez uwag racz aśka..

— Zdaje się, że mi nikt uwag robić nie zabroni.

— Przez wzgląd przecie na przyzwoitość... na gości..

— I dziedziców, którym pilno...

— Moja panno Agnieszko, jak nie ma testamentu, to tylko sami najbliżsi krewni dziedziczą.

— Cóż każe kochana szambelanowa?...

— Żebyś się zatrudniła przyjęciem brata mężowskiego...

— A któż jeżeli nie ja; juźci nie poręcznik, który się boi pułkownika... i testamentu.. — I wyszła szybkim krokiem z pokoju, a szambelanowa rzuciła wzrokiem pełnym dziwnego wyrazu, bo była w nim i pogarda i szyderstwo, i radość złośliwa.

Otwarły się drzwi, i weszli nowi goście. Brat nieboszczyka szambelana, był to kwadratowej budowy mężczyzna, z orlim nosem, potężnie zaczerwienionym na końcu, oczami szczególnie krzywo osadzonymi, tak, że zdawały się ciągle zyzem patrzeć, choć tylko patrzyły fałszywie na wszystko. Był to ten rodzaj wzroku niepewnego, błędzącego z przedmiotu na przedmiot, który nie śmie jasno i otwarcie na jednym zatrzymać się miejscu; jest to wzrok właściwy ludziom z sercem fałszywem, umysłem niegruntownym i duszą bez hartu. Na twarzy jego i nosie były jaskrawe plamy, świadki rozkosznego życia, które jadłem i napojem dobrze smakowanym musiało przechodzić przez usta wielkie wywrócone i na dół spadające. Między synami była wielka i dziwna różnica jak w ich wieku, tak i w całej ich postawie; starszy, i to o lat dziesięć przynajmniej, podobniuteńki był do ojca, jeno bez trądu na twarzy i nosie ale natomiast wzrok jego ciągle w dół spuszczone, gdy w upatrzoną porę wystrzelił z pod ciemnych rzęsów i krzaczystych brwi, zdawał przynikać do głębi najskrytsze myśli; przytem cichy, ugrzeczniony i poważny, omal nie poważniejszy od ojca, który w grzeczności swojej miał odcienie rubasznosci życiem rozpustnym nabytej. Młodszy nosił na swej twarzy niewieście pięknej znamiona młodości niezepsutej, która się jeszcze uśmiechała na pełnych ustach, licach różanych, z jasnych przezroczystych ciemno niebieskich strzelała oczów, szczerością i tą świętą ufnością w ludzi i w przyszłość; czasem tylko, gdy sam mówił, lub słuchał z zajęciem, oczy zaiskrzyły się płomieniem wyższym, który jakby natchnieniem oświecał całą twarz zachwycającym urokiem. Podobny był do matki, poczciwej kobiety, z sercem anioła a przeznaczeniem szatańskich cierpień, których doznawała od zimnego i pełnego samolubstwa męża. Dawno już umarła i dawno pamięć jej nawet znikła z tej ziemi, żyła tylko jeszcze w sercu młodszego syna, który był jej ulubieńcem.

Pan Skrzeski przywitał szambelanową z uprzedzającą grzecznością, i kilkakrotnie w tłustą pocałował rękę; szambelanowa nawzajem podniosła się z kanapy, co się jej rzadko trafiało, a co jak się jej zdawało winna była położeniu towarzyskiemu pana pułkownika, który jako majątny wielce był szanowanym od swoich współobywateli.

— Prezentuję pani szambelanowej Dobrodziejce synów moich, którzy dawno już pragnęli widzieć szanowną krewną swoją: to mój starszy syn Aleksander, a to młodszy, Konstanty!

Pocałowała ich w czoło. — Walne chłopaki! powyrastali od czasu jak ich nie widziałam; nie mało a śmiejcie się z nich pociechy..

ja nigdy tego szczęścia nie miałam, a teraz samotna staruszka nikogo mieć nie będzie, któryby mi zamknął oczy.

— Nasze uszanowanie!... zagadał starszy, i z pod oka rzucił badawcze spójrzenie na sztaruszkę.

— Nasze przywiązanie!... dodał młodszy, rozczulony temi słowy — niech ci zastąpi.

— Pocięcha zapewne, ale i kłopotu niemało, a kosztów jeszcze więcej... powyrastali, trzeba ich teraz w świat puszczać, sztarszego oddać zamyślam do wojska, a młodszy chciałby wojażować, i w dyplomacyi dobrzeby go było umieścić; ale to wszystko mościa Dobrodziejko kosztuje: bratowa nie ma dzieci, to też i wydatków nie ma...

Szambelanowa zbyła milczeniem całe to natarcie pułkownikowskie; tymczasem nadeszli i drudzy. Przywitanie pułkownika z porucznikiem nie było serdeczne, niecierpieli się bowiem dusznie, niecierpiani obydwa przez starościankę; każde bowiem z nich rościło sobie prawa do wielkiego spadku po szambelanowej spodziewanego, jeden zatem drugiemu zawadzał niepospolicie, a usposobieniem i zdaniem różnili się jeszcze więcej między sobą obydwaj powinowaci. Porucznik wyniósł z legionów swoje zdanie i tytuł z łaski swej waleczności i kosztem nogi skaleczonej; pan pułkownik zaś został pułkownikiem z łaski majątku, który różnemi drogami nabył a kosztem owych trędów na twarzy nabytych po różnych kuchniach jeneralskich, którym służył wiernie, i u kochanek jeneralskich, którym walecznie adjutantował. Pogardzali sobą nawzajem; bogaty pułkownik miał ubożego porucznika za głupca, a ubogi porucznik bogatego pułkownika za łotra: niemało zaś do nienawiści przykładała się różnica praw i nadziei do majątku szambelanowej; porucznik jako jedyny krewny szambelanowej bał się testamentu każdego, którego właśnie niepotrzebował; a pułkownik jako brat nieboszczyka szambelana, którego właściwie cały był majątek, wyglądał jak kania deszczu łaska-wego testamentu, bez którego cały majątek znikłby mu z przed nosa. Starościanka z drugiej strony nienawidziła obydwoh jako wdowców od lat kilkunastu i jako pretendentów do majątku szambelanowej, który przyzwyczaiła się uważać za własny; chciała testamentu, aby porucznik nic nie wziął, chciała testamentu, ale z przemilczeniem o pułkowniku.

I zaczęła się rozmowa ogólna, w której szambelanowa z dziwną na jej wiek zgrabnością igrała z temi trzema gałkami, tych trzech nadziei, a z całą przebiegłą złośliwością, umyślnie to jednym, to drugim okazywała rodzaj przychylności, szeptała niby tajemniczo, ciesząc się w duszy z niepewności dręczącej ich umysły. Jest to zwykle jeden i ostatni rozum, jedna i ostatnia pocięcha starców bezdzietnych, ta kuglarska zabawka, jaką tumania dziedziców swoich, których, najczęściej właśnie dla tego nie cierpią, że trzeba będzie, chcący czy niechcący zostawić im ten majątek tak gorąco pożądany; a tem wymyślnem dręczeniem mszczą się za brudne uczucia, które nimi kierują we wszystkich uprzedzeniach i grzeźnościach. Testament jest to cel, do którego dążą wszyscy dziedzice, a testament dla starego jest to wyrok śmierci. Pisać testament, to już prawie umie-

rać znaczy; im więc więcej popychają starych do napisania ostatniej woli, tem więcej ich starcy niecierpią, jakby do grobu popychali.

Takie było położenie osób siedzących w żółtym pokoju. Aleksander zrozumiał wkrótce stanowisko wszystkich, i stosownie do niego postępując, był pefen uszanowania dla szambelanowej, zimnej obojętności dla porucznika, z którego otwartych rysów wyczytał wszelką niezdatność do tej walki, ale za to dla starościanki był pefen grzeszności uprzedzających, nie odstępował jej na chwilę, stosował się tak zgrabnie do wszystkich przywidzeń starej panny, że się aż panna Agnieszka udobruchała pomalu, nawet przestała się mięszać do rozmowy pułkownika z szambelanową, o co synowi szto najwięcej. W drugim kącie zasiadła Rozalia z Konstantym; zwyczajnie jak młodzi wiedli rozmowę swobodną i skacząc z przedmiotu na przedmiot, bez myśli, bez nadziei i bez planu.

— I owszem jadąc tutaj uważałem, że gospodarstwo bratowy Dobrodziejki na daleko lepszej stoi stopie niżeli za nieboszczyka.

— Pochlebiasz starej, pułkowniku; nie tak to bywało za ś. p. męża mego; dzisiaj wszędzie nieład, intraty nikną, długi rosna...

— Nieboszczyk brat zostawił, jeżeli się nie mylę, majątek dosyć czysty, bez długów.

— Jakto mości Dobrodziejcu? długów mnóstwo, niech powie pan porucznik.

— A... tak!... — zająknął się, lubiący prawdę porucznik.

— Musiałam je własnymi splancać kapitalikami, to też deportata moje...

— Na cóż deportata siostrze Dobrodziejce, wszak traktacya na przeżycie cały majątek...

— Co też asindziej panie Janie pleciesz, jak gdybym bez transakcyi sama własnego nie miała majątku.

— Ja chciałem tylko powiedzieć...

— Pani szambelanowa prócz wniosku znacznego, jak wiadomo, własnymi trudami dorobiła majątek, bo nieboszczyk brat mój... świeć Boże nad jego duszą! doskonały był człowiek...

Oj nie tak to bywało... — dorzuciła szambelanowa — przecież samby nie umiał... ale broń mnie Boże, bym tała, że wielką część mego majątku winna jestem nieboszczykowi... a zresztą panowie kochani, co mi Bóg dał, to mam, i to jest zupełnie moje. — Ostatnie słowa wyrzekła z taką mocą, oczy zalśniły tak przenikliwie, i uśmiech tak pogardliwy przeszedł po jej licach, że aż obydwa spuścili oczy...

— Co też pan mówi? — rzekła starościanka do Aleksandra — nie w moim to wieku podobać się.

— Smutnaby to była rzecz, gdyby tylko wiek młody miał przywilej do wzbudzania uczyć prawdziwych i stałych, uczucia szacunku, który nie jest tak ognisty jak inne uczucie, ale za to trwalszy.

— Slicznie mówisz, prawdziwie! ktoby się spodziewał w wieku twoim, w czasie tak zepsutum?.

— O wierz mi pani, że są jeszcze ludzie, którzy umieją cenić nie szych, który czernieje, ale złoto, które wiecznie świeci czy w modnej bagatelce, czy w staroświeckim sprzęcie.

— Dalipan, to tam u was inna jakaś edukacja młodzieży.

— I któżby mógł patrzeć obojętnie na tyle poświęceń, tyle trudów, tyle zaparcia się, tyle prawdziwej cnoty, ile pani dobrodziejka dajesz dowodów w swej czulej staranności około ciotki mojej.

Tu spojrzeli po sobie, by się zbadać; ale w oczach nic nie ma, a w sercach.. tam na szczęście nie mogli zajrzeć... Otwarty się drzwi, i ukazała się na progu łysa głowa Franciszka z serwetą pod pachą.

— Dano do stołu! — oznajmił.

— Aj! aj!... Franciszku! niedokończyłam...

Porwali się obydwaj współzawodnicy, by co prędzej podać rękę pani szambelanowej. Uśmiechnęła się do nich złośliwie, i po chwili podała rękę pułkownikowi, który zmierzył pogardliwie porucznika.

— Służę panu pułkownikowi jako gościowi, a asindziej przecie, to tutejszy, swój, jakby gospodarz w Żabińcach.

Porucznik odpowiedział na odwrót pułkownikowi spojrzeniem szyderczym. Pan Aleksander podał rękę starościance; za młodą zaś parą musiano biegać po całym ogrodzie; znaleźli ją za sadem przy kaplicy. Konstanty modlił się nad grobem stryja, którego ledwie pamiętał; Róża patrzyła w jego oczy zawsze wymowne, czy smutkiem czy wesołością przemawiały.

OBRAZEK DRUGI.

Zielony Futorek.

Jadąc z Żabiniec rzeczką po uad stawem, który ciągle na boki rozlewał się mszarami błotnemi, wychodziło się na wywyższone nieco miejsce, otoczone w koło piaskiem, z którego jakby oaza wyglądał gajk brzozowy; od niego zapewne futorek wziął nazwisko swoje, jak gdyby wśród wiecznie niezmiennej, wiecznie smutnej zieloności borów sosnowych weselna tylko zieloność na tę zasługiwała nazwę. W tym gajku stało siedem chat porozrzucanych, i tak dobrze drzewami zakrytych, iż je tylko zdradzał dym tu i owdzie unoszący się, albo uparte szczekanie wiernego stróża wiejskiej zagrody. Na rogu najwyższym tego lasku, patrząc z góry na ten widok poleski, płaskiej krzaczkowatemi wyspami przeplatanej okolicy, ciągnącej się ku wielkiemu borowi, który jakby murem nieprzebytym od ziemi do nieba wyciągniętym wydawał się z dala, stało kilka zabudowań gospodarskich, otoczonych sadem, w dół idącym ku jednej omszonej odnodze rzeczki, choiną porośłej; w koło ciągnął się wysoki częstokół nie tyle wypracowany, ile wielką szczodrością drzewa odznaczający się; na dole przelaz do krynicy, nad którą żuraw zawieszony, jęczącym od czasu do czasu odzywał się głosem. Były to dworskie budynki należące do porucznika Jana Czajckiego, pana i dziedzica owych siedmiu dymów. Było to całe mienie pocziwego szlachcica, którego ojciec w ucziwej potrzebie stracił cały okoliczny majątek, a ojciec pana pułkownika i pana szambelana w nieszczęśliwej niepo-

trzebie nabył. W gajku brzozowym przecięto kilka ścieżek dla panny Rozalji, która kilka lat pierwszej młodości swojej przepędziwszy u bogatej wojewodziny Byleckiej, dalekiej krewnej i chrzestnej matki swojej, wywozła ztamtąd arystokratyczne zachcenia, tak trudno dające się zastosować do zielonego ubogiego futorku.

Jakoś po śmierci wojewodziny, gdy piętnastoletnia Róża przyjechała do dworku ojcowskiego, żal ścisnął jej serce na widok niskiej powały z poprzecznymi belkami, ścian nierównych ledwie pobielonych, i tańczących jak klawisze deszczek podłogi. Wyszła na podwórze; w około tak płasko, tak smutnie jakby na puszczy odludnej; w około tak cicho jakby w samotni pustelnicy: tylko żaba zaskrzeczy przeraźliwie, bąk zahuczy, czajka zapiszczy, żuraw nad studnią zajęczy żałośnie. Długo trwało, za nim zdołała odzwyczaić oczy swoje od widoku pysznego pałacu wojewodziny w naddnie-strzańskiej okolicy, który się jej odbijał w każdej łzie mimowolnie z oczów dobywającej się, cały świecący zbytkiem sal, marmurów, malowideł i luster; cały zachwycający widokiem na rozmaite bogactwa przyrody, zpiętrzone w uroczym bezładzie w koło szerokiej i czystej jak wstęga Dniestru wody. A monotonna nudna i pracowita w życiu, za jeden dzień przepędzony w furtorze między spiżarnią, kuchnią i prackarnią, jeden wieczór w zielonym furtorze w pośród dziewczek, smutnie zawodzących na pół rozdrzemanym głosem, nad nieharmonijnie furczącymi kołowrotkami: wydały się jej snem okropnym po życiu przepędzonym wśród największej różnaitości zabaw, osób i ciągłego roztrzepania. Myślała, że umrze. Napróżno szukała pociechy i nadziei w licznych romansach, które przywiozła z sobą, i które rodzina wojewodziny pozwoliła jej wywieźć ztamtąd. Straciła wiarę w te wszystkie złote i urocze marzenia romansowe, w których tak jej przyjemnie było w pałacu wojewodziny wolne od rozmyślań przepędzać godziny; bo tam wszystkie te marzenia wydawały się prawdopodobne, wśród grzecznych i uprzejmych komplementów mężkich, przyjaznych uścisków kobiecych, wśród zbytku uprzedzającego życzenia, który nieraz na jaw wyprowadzał — daleko niepodobniejsze od romansowych marzeń — zachcenia wojewodziny zepsutej, i wszystko w koło siebie psującej pani.

Było to na początku jesieni; zaszumiały bory, gaje i szuwały nadbrzeżne, głuchym i smutnym głosem jakby rozpacz; każdy liść wiatrem niesiony daleko po płaskiej, żółtej piaskiem, sonej wieczną mgłą równinie, wydał się jej cząstką życia, uciekającą od niej. Przeszła długa i nudna zima w próżnych walkach z rzeczywistością, przeciw której biedna Rozalia, broniła się daremnymi marzeniami czerpanymi z romansów, których odczytywanie i rozpamiętywanie zajmowały długie zimowe wieczory. Odżyła dopiero z pierwszym promykiem słońca wiosnianego; cała bowiem ożywiła się okolica, pozieleniała równina przetrzęta zwierciadłami wód śnieżnych, które pomалу wsiąkały w ziemię, lub do rzeki uciekały; zapachły gaje nowem życiem; ozwały się leśne spiewaki z swym mistrzem słowikiem, którego głos dźwięczny, w jasnej nocy, przy woni kwiatów rozweselił zasmuconą dziewicę, jakby odbicie słabe zaprawdę tych

uroczych opisów, szczerą ręką powieściarzy rozsypywanych. Zaczęła obiegać kąty wszystkie państwa swego, i niedaleko od dworku znalazła trzy brzozy odosobnione od drugich, cudownie płaczące z zielonych listków kroplami, a z pod nich widok obszerny na Żabińce z sadami, chatami, dworem i krzyżem kaplicy, który jak w powietrzu zawieszony wystawał z pomiędzy błagalnych ku niebu wzniesionych ramion topolowych; po drugiej stronie rzeczka-stawek zagiął się tuż u spodu pagórka i im bliżej ciemnej sosnowego boru głębi, tem czystszy i przezroczystszy, wił się węzłem pomiędzy kępy jak kląby karłowate—tam się zapenił i zaszumił nad łotokiem, tu zamruczał młyńskiemi kołem, nikł czasem w powiewnym wodnej trzciny lesie, by znowu przezroczyściej wypłynąć na murawę kwiatami tkaną... A po za lasem, po za borem mgły poleskie w kształcie sinych chmurków zebrane, kapryśnym wiatru tchem przerabiane, ileż cudnych złudzeń, uroczych marzeń przyszłości odsłaniały wyteżonemu naprzód oku zamyślonej dziewicy? Nie mógł ojciec jedyńacze odmówić tej zabawki; pogracowano ścieżki, zasadzono kwiaty, zrobiono siedzenie pod trzema brzozami, które wyobrażały w marzeniu dziewiczym—pierwsza ukochanego ojca, a po prawej stronie, brzozie środkowej, najcieńszej, własne dała nazwisko; a po lewej, po serdecznej stronie, był on... nieznan... o którym romanse ulubione tak zachwycająco piszą, słowik tak czule śpiewa, a sine obłoki tak niepewnie czarująco malują.. I tam za borem, za lasem, za mgłą poleską świat inny, świat użycia, który się jej wydaje jak raj raz zakosztowany, lecz stracony.

Od pierwszej wiosny owej odrodzenia minęło długich lat dzieśięć, tak jednostajnych jakby bliźnięta, a tak nudnych jak dzieśięć wieków; a zimne i nieme przeszły, jakby głązy na jeden kształt wykute, i zimnem swoim zaraziły serce dziewczyny, której najpiękniejsze myśli, najgorętsze żądze, uczucia najwznioslejsze łzami wsiękły w wiecznie suchy piasek poleski, westchnieniami złączyły się z łudzącemi zdradliwie obłóczkami sinemi za gajem, za borem. Piękną była jeszcze w dwudziestym piątym roku, ale tą pięknością dobrze zachowanej płci, która ma się do owej piętnastoletniej płci, krwią drgającej jak kwiatek batystowy do żywego kwiatka; wzrok natchnienia znikł, i gdzieś daleko błędził ognikiem po moczarach poleskich; został wzrok doświadczenia, wzrok cierpienia, wzrok wyrachowania; a jeżeli zawrzy jeszcze burza w głębi piersi wysuszonych, wnet ją zdusi wola nieugięta i uparta jak przeznaczenie, które ją wyrobiło żelazną koniecznością swoją, i broń Boże wypuścić ją na twarz; czyż nie dosyć, że potok życia gorący wyziłobił piersi, trzebaż jeszcze, by zmarszczki wyrył przedwczesne.

W takim usposobieniu, i z takimi myślami siedziała panna Rozalia jednego poranku letniego w ulubionem miejscu swoim; lecz nie w mgły, nie w obłoki patrzała oczami dawnych marzeń, ale w dwór Żabiniński, którego większe i bielsze od drugich kominy sterczały z głębi zieleności sadowej jakby pomniki jakie. W oczach jest myśl uparta, rozrabiająca się po mału przez wszystkie rozumowań prawdopodobieństwa; czasem wzrok jej łysnął i wystrzelił za

bór, ku obłokom, to znowu posepny spadał w dół, póki nowym zamysleniem nie utkwiał w kominach dworu Żabinieckiego. I długie tak siedziała godziny; życie wiejskiej pracowitej szlachcianki chwilowym czasem zapałem chwytane, przemieniła dawno na życie próżniacze, znudzone, milczące i zamknięte w sobie. Co się ojciec nagryzł, tego niewidziała może, albo widzieć nie chciała; a przecież ten ojciec kochał ją namiętnie z całą słabością miłości, a zapałem rodzica; sam pracował za siebie i za nią, byle jej lubego nie truć spokoju, nową rozweselić sukienką, lub ciekawą rozerwać książką: sam ubrany zawsze w starą kapotę, jakie mógł tylko zebrać pieniądze obracał na mniej potrzebne córki zachcenia; to też pomału i klawikorcik Dubieński zawitał do futorka, i pokoik panny Rozalji ubranie, książkami i sztychami, przypominał zbytłowne miejskiej damy ustronie. Krótkie były to chwile radości, cieszenia się; wszystkie te przemijające uczucia ukły w jeduostajności i zobojętniałem usposobieniu panny Rozalji.

I znowu załśniły oczy żywszym ogniem; tam od wsi, ścieżką pomiędzy ługi wiodącą, mignął się przedmit jakiś ciemnawy; to człowiek idzie, ubioru niedostrzedz; może to ciemna poleszucka świta, a może?... aż oczy wybiegły na wierzch, zagrało coś w piersiach... ale nie!.. znikła postać w zakręcie ścieżki choiną zarosłej, a tam jest kładka, a przez kładkę do popowej idzie się pasieki... Patrzy ciekawie; i z głębi choiny, ścieżką do futorku wiodącą, idzie ciemna postać; już się zbliża do figury na rozdrożu postawionej, na pamiątkę jej urodzin, z Jezusem ukrzyżowanym i modlitwą złotem błyszczącą na czarnej tablicy, modlitwą do jej patronki. Idący zbliżył się do figury, i stanął by przeczytać; to nie chłop.. o nie!.. Obrócił się ku brzozowemu gaikowi; zabłyszczalo coś na piersi idącego; to złoty łańcużek od zegarka. Już jest bliżej; mimowolnie wymknęło się westchnienie z piersi panny Rozalji, dawnych czasów godne; jest to Kostuś, śliczny i dobry jak aniołek, niewinny jak aniołek; łzami tylko współczucia, chęcią litości, słowem pociechy, ręką przyjazną dowodzi praw swoich do najszlachetniejszej części człowieczeństwa.

Już ją zobaczył, bo pominąwszy ścieżkę okalającą lasek, przez rów przeskoczył, i pomiędzy głogi przesuwając się gwałtownie, depcząc liście od lat niepamiętnych zebrane, przez trawy i krzaki biegł prosto do góry, ku trzem brzozom płaczącym.

— Jaka nieostrożność panie Konstanty! — krzyknęła, a głos jej zadrżał...

O mój Boże, ileż to razy życzyłem sobie rozpoznać prawdę takiego zadrżenia... a przecież to okropnie, fałsz mieścić w słowa, fałsz w każde najdrobniejsze poruszenie.. A może i prawdziwe było to zadrżenie głosu; takim przynajmniej wydało się Konstantemu, który z zapałem i radością w oczach przyskoczył, i z dziecinną naiwnością rzucił się przed nią na kolana. — W czymże ta nieostrożność?... zawołał.

— Tam na dole w burzanach mnóstwo gadów.

— Ja pod nogi nie patrzałem, ja w górę patrzałem, ku tobie

kuzyneczko droga! — I spojrzeli po sobie dwoma wzrokami wieków swoich, aż się chłopiec zarumienił, i dziewczyny krew wzburzona rzuciła się ku twarzy, i ożywiła zwykłą onej bladość.

Piękni byli oboje, każde w swoim rodzaju; młodzieniec miał piękność kwiatu z pączka wyglądającego, dziewczica zaś powab owocu nęcącego nadzieją smaku. Ztąd może dałby się wytłumaczyć pociąg starszych niewiast dla młodszych od siebie mężczyzn, a nawzajem młodszych chłopców do starszych kobiet; bo starsza wiekiem dziewczica tęskni za pączkiem, za kwiatem, który już przemiął, a młodzieniec pączek, młodzieniec kwiatek, marzy marzeniem niecierpliwem o tym owocu, którego doczekać się nie może. Oczy Konstantego ciekawie patrzyły w oczy Rozalji, z których błyszczał dla niego świat nowy, świat nieznany, świat, który go czarował urokiem swoim i słodkim omdleniem rozbiegał się mu w głosie. I wyciągnął klęczący obie ręce, objął dziewczynę za szyję, i z dzieciinną wyrzekł swawolą: — pocałujże mnie za to, żem do ciebie przybiegł, mimo tej nudnej starościanki, która mi pełną głowę napletła o moich stosunkach, rodzic, przyzwoitości, i innych andronach, równie nudnych i nieznośnych, jak jej twarz mumiowa w tych żółtych ścierkach.

— Ona mnie nienawidzi... mnie osobliwie; i ty nasłuchawszy się, przestanieś lubić nas... lubić mnie. — Pomieszanie było w jej głosie; darmo go szukać na twarzy spokojnej, w oczach ciemnych, coraz przenikliwiej patrzących w spokojny błękit oczów Konstantego, jakby ziemia swą myślą ziemską patrzyła w niebo spokojne. I często, bardzo często, póty wysyłać będzie mgłę i tuman swych spojrzeń ku spokojnemu błękitowi, póki się tam nie nasnuje chmur bez liku, i piorunem tam i nazad wracającym nie przemówią między sobą, ziemia i niebo...

— Dwa razy musisz teraz pocałować, za to, żem przybiegł, i za to, że śmiesz mnie posadzać, mnie, który tak cię kocha jak nikogo dotąd, prócz biednej mamy; wiesz, ja tam krewnych mam nie mało nad Dniestrem, a przecież żadnego tak nie kocham.

— Nad Dniestrem?... ty Kostusiu mieszkasz nad Dniestrem?... — i przypomnienie dawne dziecinne okrasilo lica, a oko pobiegło ku siedlisku dawnych marzeń, po za gaj, po za bór!.. — Tam ślicznie!..

— Jedź z nami Róziu; tambym biegał z tobą po tych wzgórkach, po tych skałach; ach! tam piękniej, jak tu w waszej płaszczyźnie poleskiej żółtej, jednostajnej i niemej jak twarz naszej ciotki.

— Marzenia! marzenia, mój młody Kostusiu!..

— Młody zapewne, i właśnie dla tego to zrobię, co zechcę, bom młody, bo mam czas...

— Czas?... o ten uchodzi! i niczem go nie wstrzymać!..

— Mam nieugiętą wolę! — odpowiedział chłopak, i zaiskrzyły się mu oczy, a żyła wybiegła na czoło; zmęźniał wyrazem siły, która się już z pączka wypierała na jaw.

— I tyż ją masz kuzynku? — zagadała Rozalia z pół uśmiechem i pół ciekawością na twarzy.

— Mam ją, mam, i na dowód nie odstąpię, póki mnie nie pocałujesz dwa razy — to mi się należy!

Szybko schyliła się Rozalia ku niemu, i pocałowała dwa razy, odcałowana nawzajem.

— A trzeci raz, bo cię bardzo proszę, bardzo proszę.. bo ty Róziu tak całujesz, jak mnie nikt jeszcze w życiu nie pocałował.— I prosił i błagał, a oczy jego jakby mgłą z jej spojrzeń czerpaną osłonięte, rozplywały się w łzach czucia niewymownego, które mu piersi rozeprzeć groziło, a silnymi rękami wplecionymi w koło szyi dziewczyczej, ciągnął ku sobie lekko wzdragając się.

I przyciągnął, i pocałował, raz trzeci i czwarty i wiele innych razów podobno, a z po za chmur łzawych oka wystrzeliła błyskawica spojrzenia promiennego, wschodzącym słońcem uczuć młodzieńczych; wiele razy? któż porachuje — i słów nie było komu podsłuchać, bo miejsce było samotne; słowik tylko śpiewał, wtórowała ciekawa kukulka. A ze dworku nikt nadejść nie mógł; stary bowiem porucznik od rana jeszcze był we dworze Żabinieckim, powołany od szambelanowej, która ze znanym nam już kuglarstwem troje tych współzawodników tumaniała ciągle: to nadzieją, to bojaźnią, to rozpaczą, a trzymając ich na uwieży niepewności, igrała z nimi jak kot z myszą..

Płomieniem młodzieńca rozgrzany, stał lód uczuć dziewczycy, ścięty dziesięciu zim samotnych mrozem; westchnęła jak dawniej; zadrżało serce jak dawniej, aż się pierś dawnym wybuchem wypełniła; z nauczycielki uczącej chłopca młodego stała się ucznieniem zbudzonej, mężkiej, silnej i tyle swą władzą wyższej namiętności. Słowa urwane, wyrazy niedokończone wyrwały się z ich piersi zmęczonych wdychaniem, z ust spiekłych palącym oddechem, z ust które wołały całować niżeli mówić.

— Czy kochasz?.. Kocham!.. Zapomnisz?.. W grobie!.. — ozwali się tylko, i Bóg wie jak długo byłoby trwało to omamienie, coraz płomienistszych barw nabierające, gdyby ich nie był obudził tentent konia, burzy pędem cwałującego, przez ścieżkę wiodącą z Żabiniec.

Porwali się oboje zarumienieni na twarzy, z oczami pełnemi wyższej radości, i ujrzeni lecącego oklep na koniu forysia szambelanowej, dającego im zdala znaki jakies. Zbiegli na dół, nie powiedziawszy ani słowa do siebie, i zdybali się z Ostapkiem, który im doniósł, że pani szambelanowa wracając od śniadania padła raptem; jakoż mała jest nadzieja, by ją odratowali, chociaż rozesłano po doktorów i cyrulików; — a jemu pan porucznik dał złotówkę, żeby tu przybiegł, i powiedział panience, by zaraz przychodziła, bo trzeba się imości pokazać przed śmiercią. A i za paniczem rozbiegli się ludzie; pan pułkownik gwałtem za paniczem woła. — Powiedziawszy swoje wieści poleciał Ostapko do dworku, bo tam była Paraska, która podobno więcej niż złotówka przywabiała go do zielonego futorku.

— Spieszmy się — zawołał Konstanty, którego myśli tak bezładnie po głowie biegaly, iż ledwie zrozumiał, o co rzecz idzie.

Rozalia miała czas uspokoić się, i badawcze rzuciła oczy na młodzieńca, chcąc jakby wysledzić z nich wrażenie, jakie na nim zrobiła ta wiadomość. — Spieszmy! rzekła po chwili, z rodzajem smutku... ty śpiesz Konstany po dziedzictwo swoje.

— Jak to?.. — zakrzyczał, i oczy zaśniły... — po nasze: powiedz Rozalio, czy ty je odemnie, czy ja je od ciebie mieć będę. — Piękny, stokroć piękniejszy był w tej chwili Konstany od Rozalji, bo z jego oczów przemawiała prawda czysta i szczerza jak słońce, żadnem fałszu zaćmieniem niepokalana; w spojrzeniach zaś Rozalji błyskały czasem jasniesz smugi nadziei i uczucia, ale w głębi były rozumowanie i rachunek.

I pobiegli oboje szybkim krokiem ścieżką pomiędzy krzaki i ługi; jeszcze się zatrzymali koło figury i spojrzeli w górę, — Konstany wyżej, bo aż w niebo, Rozalia w oblicze ukrzyżowanego zbawiciela; jeszcze jedno ściśnienie rąk krótkie i wyraziste, i niecierpliwa Rozalia pociągnęła go za sobą ku dworowi szambelanowej.

Na dziedzińcu tłumno, nieporządnie, ruch panuje wielki; bryczek para zaprzężonych stoi z zapienionymi końmi; gwar pomiędzy ludźmi pytającymi i pytaniami, ale ani na jednej twarzy nie widać smutku; obojętność codzienna, a nawet śmiech wesóły i rubaszny odbija się na wszystkich twarzach, czekających odmiany. W pokojach cicho; zaciemniono frankami. W żółtej sali jako najdalszej od pokoju chorej, wszyscy trzej zapaśnicy otaczają małego pękatego mężczyznę, z siwym, do góry wzniesionym włosem na głowie, ściśniętym w skroniach czołem, oczami śmiejącymi się, rysami twarzy nie nie znaczącymi prócz kabłąkowatego nosa, który jak na podstawie opierać się zdaje na wyższej wardze, wydętej dumą i zarozumieniem o sobie.

— Jakaż nadzieja?.. — Umrze! nie prawdaż?.. — Ozdrowieje?.. — pytają ciekawie..

— Jest to rzeczą pewną, że jużby dawno umarła, gdybym nie ja..

— Więc ozdrowieje?.. o! kochana szambelanowa silne ma zdrowie.

— Muszę pani powiedzieć, że w razach gwałtownych, w razach stanowczych, kiedy jak powiadają Rzymianie „periculum in morta“, wtenczas ja..

— Ależ racz nam powiedzieć konsyliarzu, czy siostra moja wyszła już z niebezpieczeństwa?..

— Niebezpieczeństwo groziło siłom żywotnym, ale ja... — W ciągu całej tej rozmowy spoglądał pan Klysterski, lekarz z bliskiego miasteczka, na otaczających z wyrazem na pół dumnym, a na pół żartującym z ciekawych i niespokojnych dziedziców przy nadziei.

— Panu porucznikowi grzanka upadnie, jeżeli wyzdrowieje szambelanowa; może nie „ab intestato“..

— Pan pułkownik może się nie doczekać testamentu, o którym się mojej siostrze nie śni nawet.

— Proszę cię panie konsyliarzu — szepnęła do ucha starościanka — powiedz mi szczerze? a ja dam ci za to...

— Co pani mówi?... dam ci coś?... nie słyszę dobrze...

— Dwa dukaciki!..

Zajaśniały oczy Eskulapa; wyteżył palce.

— Moja wizyta czyli rada, kosztuje najmniej pięć dukatów..

— Dobrze! dobrze! niech będzie pięć, tylko mów prędzej, czy może żyć, i czy długo?

— Może żyć może umrzeć — odrzekł i zaśmiał się szyderczo pan konsyliarz.

— To wiem bez pana..

— A jaka gorąca, kochana panna starościanka, od kiedy ją znam, a to podobno było w roku 17....

— Ależ mój panie, pięć dukatów, które zaraz..

— Nie widzę... słowo... „vox!“ powiada filozof, „praeterea nihil“..

— O tu są! — odpowiedziała dobywając z pod spodnicy skórzaną woreczek, a z niego przyręczone pieniądze.

— Jeszcze raz, kiedy puszcę krew, będzie zdrowa... jak nie puszcę, panna starościanka porzuci na zawsze naszą okolicę... mnie to na jedno...

— Gdyby testament przed puszczeniem krwi..

— Gdyby testament, toby można, nie puszczać krwi; nieprawdaż panno starościanko?

— Co za testament?... Czy jest testament, — zagadali obydwaj panowie, zbliżając się do mówiących półgłosem.

— Ja nie pozwałam mówić mojej siostrze o testamencie; toby ją mogło zabić...

— Panie Klysterski, dziesięć obrączkowych, kiedy napisze na imię moje; tylko cicho, tylko zgrabnie.

— Ja wielmożnej starościance byłem zawsze przychylny.

— Panie konsyliarzu! pięćdziesiąt dukacików, jak mnie zapisze.

— Ja zawsze jasnie wielmożnemu pułkownikowi sprzyjałem...

— Panie pułkowniku! — zagadła raptem starościanka, zbliżając się do ucha — testament koniecznie potrzebny, dziedzicem pan; mnie legat dziesięciu tysięcy dukatów jeżeli tak, zgoda; jeżeli nie, przeskodzę...

— Panna starościanka Dobrodziejka — odrzekł pułkownik całując ją w rękę — może być pewna mojej przyjaźni i powodowania się jej światłemi radami.

— Chodźmy więc... Panie Klysterski!... tylko rozsądnie!...

— Panie konsyliarzu, pamiętaj pan ratować moją siostrę, bo coby się nie stało po tych szeptach, w razie nieszczęścia jabym...

— Byle krew puścić! — wyrzekł Klysterski, przestraszony wzrokiem porucznika i dobitnym ręki ściśnięciem.

— Cyt! cyt! — zasyczała starościanka.

— Panu pułkownikowi zaś i pannie starościance oświadczam wręcz, że pisaniu testamentu sprzeciwię się... jeżeli sama się z tem odezwie, i owszem... w rękę Boga jest jej zdrowie, i jej chęci; ale wmawiać w nią, straszyć śmiercią, namawiać, nie dam, na co daje asanństwu moje słowo! Krew zaś asan panie Klysterski, puśćisz zaraz, jeżeli śledztwa nie życzysz sobie.

— A to brutal i nieuk — mruknął konsyliarz;

— Jeżeli tylko testament już nie napisany — półgębkiem ce-

dził pułkownik — tam siedzi od godziny Aleksander, a to walny, i nie w cemię bity chłopak.

Domyślał się raczej niż dosłyszał porucznik, i odpowiedział zaraz głosem dobitnym: — Jest tam moja córka, która nie da ciotki nudzić.

— A tak! — zaśmiała się do siebie starościanka — jest tam i Kostuś, a ja uważałam...

— Co panna starościanka Dobrodziejka uważała?

— To, mości pułkowniku, że jeżeli nie ma legatu, to nie ma i testamentu... jakoż jestem prawdziwa sługa pańska — i dygając z szyderstwem wbiegła do środka pokoi, a za nią panowie krewni i pan Klysterski.

W pokoju słabej cicho i tak ciemno, że wszedłszy, nie widzieć nie można, prócz poduszki z bladą twarzą chorej, bez znaku życia i bez ruchu, i prócz łysej głowy Franciszka u nóg chorej stojącego, która wydaje się jakby zawieszona na ciemnym tle pokoju. Dopiero pomalu wpatrzywszy się, można było dostrzedz pana Aleksandra, siedzącego tuż przy chorej. Trzymał ją za rękę, a oczy niecierpliwe, ciekawe i bezlitośne wpił jak pijawki w twarz nieruchomą.

— Ciocia Dobrodziejka nie słyszy... — po raz dziesiąty powtarzał i niecierpliwym ruchem pociągnął chorą za rękę, aż zadrżało życie boleścią wzbudzone — otwarzyły się małe oczy.

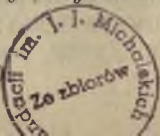
— Gdzie... pułkownik... porucznik... starościanka?... chodicie!... — mówiła słabym i przerywanym głosem, a słowa dowodziły, że jeszcze w jej głowie do zupełnego nie przyszło związku: — Moja wola ostatnia...

— Jaka?... jaka?... a tu jak na szczęście świadków nie ma.

W kącie na sofie siedzieli oboje; on ułożył już całą przyszłość cudowną barwami, czarującą, pełną nadziei; ona słucha, bo jakże nie słuchać słów tak pięknie mówionych przez usta, które tak czule, tak mocno, tak gorąco całują; i to po raz pierwszy w życiu po tylu próżnych marzeniach, o kochankach różnego wieku, różnej urody, zjawia się kochałek aniół, jaki się jej marzył kiedyś za lat najmłodszych; jakże tu nie słuchać, kiedy serce coraz więcej się rozbudza, krew ostygła faluje się odżywieniem, wskrzeszeniem, drgającym niepokojnie po żyłach. Ale przecie daremnie on ją czaruje wzrokiem, mową i ściskającą ukradkiem dłonią; głowa, myśleć i rozumować przez lat tyle nauczona, jak kroplami lodu ziębi jej serce, zimnemi raz po raz spadającymi myślami: o przyszłości, o majątku, o konającej, na której każdym westchnieniu ważą się jej losy... i to raz na zawsze: nędra lub bogactwo!... świat za borem, za gajem, albo chałupa poleska. Pół uchem chce usłyszeć, co się tam dzieje przy łóżku, i usłyszała, choć Aleksander przemawiał głosem skradającego się złodzieja; nateża zatem ucho jeszcze więcej...

— Tam nad Dniestrem jest domek ulubiony mojej matki; nad urwiskiem skały stoi; w około jak w raj, i jak w raj będzie, skoro ty zemną mój aniele, Róziu moja!...

— Jaka jest wola twoja, ciociu?



— Słuchajcie!... wam trojgu wszystko!... nie! nie! nie!... majątek mój!.. — dodała po chwili, — zapisuję...

— Komu ciociu droga? ciociu luba, komu?...

Nie mogła wytrzymać dziewczyna dłużej, skoczyła z sofki, omal klęczący przed nią Konstanty nie upadł potrącony przez nią. — Ciociu! ciocia będzie zdrowa!... ciocia dla nas żyć będzie!

Aż się iza zakreśliła w oku Konstantego, iza rozczulenia nad dobrem Rozalji sercem. Było to tym razem niewinne kuglarstwo ze strony panny Rozalji. Ile to takich na świecie!... jak się nieco otrzęsę z móich sentymentalnych i romantycznych zdarzeń, opowiem później nie jeden przykład podobny.

— Przekłeta lunatyczka! — mruknęła starościanka wchodząca z resztą towarzystwa do sypialni.

Zbudzona z letargicznego uspienia, szambelanowa otworzyła oczy, o ile je otworzyć mogła, i spojrzała w koło siebie, a idąc za popędem dawniejszych czy nowych myśli ciągnęła dalej: — Nikomu!.. i uśmiechnęła się tak złośliwie jak za czasów zdrowych. Nikomu! sama! jestem, niemam nikogo, wszyscy...

— Kochana siostra będzie zdrowa; niech darmo...

— Zapewne! zapewne! puls bije lepiej, jednakże nasza sztuka cudów robić nie potrafi; Bóg jeden wie najlepiej; dla czego trzeba być zawsze przygotowanym.

— Bratowa tak nas zastraszyła, i chociaż panna starościanka twierdziła, że dla samego usposobienia najlepiej byłoby, rozporządzić..

— Kochana szambelanowa zna mnie najlepiej, że nie ja tu posadziłam młodego Jezuitę... Ja błagałam pana konsyliarza...

— Prawda! prawda! i to bardzo wymownie — przerwał Klysterski, dotykając się dukatów, w kamizelce schowanych.

— Nie troszcie się, nie bójcie, kochani moi,.. bardzo wam dziękuję, ani myślałam o śmierci. Bóg łaskawy zachowa mnie... a chociaż wam tak idzie o ostatnią wolę moja...

— O zdrowie twoje!... o zdrowie tylko!... — chórem zawołali wszyscy.

— Nie tak to prędko nastąpi; zrobiłam wotum w tej właśnie chwili, gdyście mnie kładli do łóżka; a co się tycze rozporządzenia, już to ja mam...

Wyteńczyły się wszystkich oczy ku chorej, prócz oczów Konstantego, które z niewymownym uczuciem spoglądały na Rozalię...

— Mam w głowie mojej ułożone... i to zrobię... co wiem... co chcę.

— To mówienie kochaną siostrę męczy; panie Klysterski, mówięś, że drugie puszczenie krwi konieczne: uspokój się zatem, siostrze Dobrodziejko! i podał konsyliarzowi rękę...

— Ty życzysz sobie uzdrowienia mego, bracie mój... ty..

— Przekłety kuglarz!.. — zamruczał pułkownik. Rzecz jest zastanowienia godną, że uczucia prawdziwe, cnota i wszelki zapach szlachetny, kuglarze uważają jako tumanienie, dla nich ludzie dzielą się tylko na dwa rodzaje: na kuglarzy i na durniów...

— W durnia się poszył! — zasyczał Aleksander.

— To gadzina! jęknęła starościanka.

Panna Rozalia uspokojona zwróciła ku Konstantemu ożywione nadzieją oczy, w których niewinny chłopiec postrzegł łzę... Za wszystkie perły świata nie oddałby jej..

Uciszyli się wszyscy, Klysterski puścił krew, uspokoiła się szambelanowa, i dosyć cierpko wyprosiła wszystkich z pokoju; lecz wierna swojemu prawidłu, trzymania równowagi między krewnymi, pozwoliła, by przy niej zostali Konstanty i Rozalia. Może tych dwóch wiekiem i doświadczeniem mniej zepsutych uczuć młodzieńca i dziewczyny nie tyle się bała, ile tych niecierpliwych żądź starców, którym chciwość równą swojej przypisywała, a których, pytając się własnego sumienia, pogardzała nienawiścią pogardy, i nienawiścią jaką w nich ku sobie przeczuwała. Wkrótce usnęła spokojnie, a młodzi ludzie przepędzili całą noc koło niej bez snu, ale nie bez marzeń cudownych, złocących przyszłość rojoną podwójnie: szczęściem używania dla Rozalji, szczęściem miłości pierwszej gwałtownej i świętej dla Konstantego.

Minęło dni kilka swobodnych w domie Żabinieckim; szala życliwych chęci szambelanowej zdawała się częściej przeważać na stronę brata, na co patrzący pułkownik i starościanka ze zjadliwą niechęcią, omal nie pękli ze złości. Najswobodniej przeszły te dni dla obojga młodych: szambelanowa bowiem zdawała się pochwalać to ich uczucie, które lepiej od drugich uważać mogła, będąc ciągle prawie z nimi; a może życzyła sobie tajemnie, by ten związek dogodził obydwom prawom, brata własnego, i brata mężowskiego: z drugiej strony pułkownik przewidując, na co się zanosi, rad był, że choć tym sposobem nie ucieknie mu zupełnie bogate dziedzictwo. Aleksander zamknięty w sobie nie mówił, zawistnem tylko okiem spoglądał na nich, a w duszy nieraz pożałował, że nie zwrócił pierwwej od brata uwagi swojej na Rozalię, której wdzięki dosyćby mu się podobały, choć wieśniacze poleskiej dziewicy ułożenie, wzbudzało w światowym paniezu pogardę, lecz już było za późno; a przeświadczenie o tem zwiększało w sercu jego do brata, nienawisć której zarody tlały od dawna w zimnej duszy. Starościanka chodziła jak ćma z kąta w kąt, do nikogo nie gadała, ale za to jad złości i nienawisści trawił ją okropnie; to też straszliwie w oka mgnieniu prawie zmieniała się: żółciejsza od od szarafanu tabaczkowego, takimi spojrzzeniami patrzyła zarówno na gospodynię i gości żabinieckich, że gdyby oczy zabić mogły, jużby dawno wszyscy poginęli..

OBRAZEK TRZECI.

Szczerłość ostatnia.

Po ciszy kilkodniowej zaczął się na nowo ruch niezwykły na dworze żabinieckim. Szambelanowa skoro wyzdrowiała, zaczęła się wybierać do dalekiej podróży; gdzie i po co, nikomu wyjawić nie chciała; tyle tylko dowiedziano się od niej, że w słabości zrobiła

wotum odwiedzenia miejsca świętego, którego jednakże istotne nazwisko tała przed wszystkimi. Sama jedna ze starym Franciszkiem i równie starym furmanem miała odbywać podróż, uchylając się od wszelkiego towarzystwa, pod pozorem, że kiedy jej wiek późny piechotą pielgrzymować nie pozwala, nie chce przynajmniej grzeszyć próżną, ku niepotrzebnym wygodkom dążącą wystawą, a nawet z tego samego powodu odmawia sobie miłego towarzystwa panny starościanki. Był to dla niej ostatni cios; widziała dobrze, jak się szambelanowa dla niej zmieniła od czasu ostatniej słabości; darmo ją dawnem sprzeciwianem się do dawnego chciała pobudzić trybu, szambelanowa uśmiechała się pół łagodnie, a pół szyderczo, ale nie odpowiadała: zdawała się być niezmiernie zadowolona grą, jaką ciągle utrzymywała między pułkownikiem i porucznikiem; starościankę zaś odsuwała od siebie, jako niepotrzebne i zbyteczne narzędzie domowe, które po długich usługach w kął się rzuca. Darmo czuleniami słowy, uściskami, nadszkakiwaniem otaczała szambelanowę: ta nieporuszona, miała dla niej dawną grzeczność udaną, bez owego nudzenia, które, jakkolwiek przykre, było przecie dowodem szczerości.

W wigilią odjazdu szambelanowej siedzieli wszyscy na ganku przy staroświeckiej kawie, której nowożytna herbata dołąd wypędzić nie mogła; wszyscy pogrążeni byli w milczeniu, i każdy mimowolnie przemysłiał, że ta podróż daleka kobiety tak starej, może być ostatnią, i każdy myślał, co potem będzie, a chciałby odgadnąć jej myśli względem ostatniej woli. Porucznik nawet mimo chęci bał się tej podróży, w której cudze wpływy tak łatwo zniszczyć mogą nadzieję dziedzictwa, wykarmioną tylu latami żądzy i bojaźni, iż stała się dla niego pół pewnością prawie, a co najgorzej, potrzebą; nie dla tego, aby stary i siwy wiarus myślał o sobie: on dla córki marzył przyszłość stosowną do silnego przywiązania ojcowskiego. Pułkownik mimo najzgrabniejszych i najgorętszych nalegań, nie tylko nie mógł się dowiedzieć o celu podróży, ale musiał nawet przyrzec, że się z nią nazajutrz rozjedzie. — Jeżeli asindziej pojedziesz na lewo — powtarzała szambelanowa — to ja udam się na prawo. — I młodzi ludzie posmutnieli, przejęci tem uczuciem pożegnawczem, które zawsze jest rzewne: bo się pewne mienia za niepewne, bo pamiętki są to przyjaciele, a nadzieja, to nieznajoma jeszcze drużyna, która okłamać i zdradzić potrafi.

Czekano na starościankę, której filiżanka kawy, ze zwykłym woniejącym kożuszkiem, na zwyczajnym stała miejscu.

— Panna starościanka od niejakiego czasu zapomina się; nie tak to bywało dawniej... Kawa wystygnie!.. Franciszku, idź no po pannę starościankę.

Wrócił wkrótce Franciszek z doniesieniem, że starościanka położyła się do łózka z mocnym bolem głowy.

— Niech nogi wymoczy!.. — obojętnie rzekła szambelanowa.

Po chwili nadbiegła służąca z doniesieniem, że starościanka mocną ma gorączkę.

— Niech synapizmy postawi!..

I moczenie nóg, i synapizmy, i pan Klysterski, po którego

posłali, nic nie pomogli; gorączka się wzmagala, starościanka gadała od rzeczy, wołała wszystkich, plotła bez ustanku o szambelanowej: to zaklinając, by pisała testament, to przeklinając ją, jej dom, nieboszczyka jej męża i wszystkich przytomnych, aż włosy stawały do góry, tak dziwnie niezrozumiałe były te słowa. Szambelanowa dla przyzwoitości odłożyła wyjazd, a może i rada była w duszy przypatrzeć się męczarniom kobiety, z którą przez lat czterdzieści męczyły się nawzajem; rzadko bywała u starościanki, ale ta zdawała się choć nieprzytomna czuć zawsze jej bytność w pokoju; dawnemu bowiem sprzeciwianiu się wierna, najokropniej wtenczas wyrzekała, robiąc nieustanne, a straszliwe wymówki.

Osiem dni przeminęło; dziewiątej nocy ucichło już wszystko we dworze światła pogasły, lampa tylko w pokoju starościanki blade rzuciła światło na jej pokurezoną i zsiniałą twarz. Burza, która przed zachodem słońca wrzała okropnie nad Żabincami, odsunęła się dalej w głąb lasu, i ztamtąd od czasu do czasu groźny ozwał się grzmot, jaskrawa przemknęła błyskawica. Na ganku przechadzali się Konstanty i Rozalia, i przypatrywali się dalekiej burzy z zajęciem miłości, która wszędzie dostrzega tajemny jakiś z sobą związek.

— Ta burza! te przeciwności, o których mi mówisz, ty piękna Różo mego życia, ty jedyna Różo całej mej przyszłości!

— Czy potrafisz być stałym?... Pojedziesz w świat nowy, który cię zepsuje..

— Przewycięzę wszystko.. — Grzmot ozwał się donośniejszy; Rozalia wzdrygnęła się mimowolnie.

— Czy słyszysz, jak niebo potwierdza słowa moje świadectwem gromu? przewycięzę, i tak będzie pogodnie, jak na tym niebie, co się tu iskry gwiazdami nad nami.

— Oby Bóg dał!.. — odrzekła bez wiary; bo dziesięć lat próżnych marzeń, próżnych gonitw po obłokach za gajem, za borem, nauczyły jej niewiary w przeznaczenie swoje, niewiary nawet w tego Stwórcę, u stóp którego nieraz składała gorące modły o przemienienie tego nudnego losu.

— Bóg jest dobry! — wykrzyknął natchniony Konstanty, jakby w odpowiedzi myślom dręczącym dziewczynę.. — Wiara, nadzieja i miłość! to godło moje!..

— Kłamią!.. — odpowiedziało echo w duszy Rozalji.

Ruch jakiś usłyszeli, i rozbiegli się zapłonieni. Wybiegła służąca, wybiegł Franciszek, jedna za księdzem, drugi wołając z rozpaczą starca bojaźliwego, któremu każda śmierć równowiekowego jest wróżbą własnej śmierci, jest nawoływaniem grobowem.

— Panna starościanka kona!..

— Chodźmy do niej!.. — krzyknął Konstanty — i tam będziemy razem. — Weszli!.. dwie sprzeczności!.. tu życie i najdroższe dwa życia klejnoty: miłość i nadzieja, a tam śmierć z najboleśniejszymi dwoma ranami: rozczarowania i braku nadziei.

— Kto tam? — wołała starościanka głosem zmienionym i zdawało się, że przyszła do przytomności, poznała bowiem od razu

młodych; jednakże słowa wylatywały z ust bez związku. — To wy! młodzi!.. i ja byłam młodą, i byłabym nią dotąd, gdyby... przeklinam! przeklinam! przeklinam!.. I ja pierwiej mam umierać, a radowałam się, cieszyłam, aż mnie piersi ścisnęło; bom myślała, że ją przeżyję...

Zamilkła, a młodzi zadrżeli; pomалу zdawała się starościanka przychodzić do pamięci. — Chodźcie bliżej!.. nie uważajcie, co stara baje!.. Wy się kochacie!.. — dodała i zaśmiała się przeraźliwie.

— Uciekajmy! — rzekł Konstanty. Rozalia drżała ale słuchała, bo nienawisć jaką czuła do starościanki, i jakiej doznawała nawzajem, trzymała ją przykutą do widoku konającej.

— Żal mi ciebie chłopcze, bo ty szczerzy, bo ty głupi!.. zmańdrzejesz, i drugie tak oszukiwać będziesz, jak ona ciebie... Ty myślisz, że ona ciebie kocha?..

— Kocham! — nieśmiało zagadła Rozalia.

— Kocha mnie! — odważnie i wesoło dodał Konstanty.

— Kocha twój majątek, kocha nadzieję dziedzictwa, które boi się, by ją nie minęło, kocha młodość twoją...

— Ty mnie kochasz? — ze łzami dziecinnymi zapytał Konstanty.

Oniemiała Rozalia, zaślepiona iskrzącym wzrokiem oczów chorej, które gorączką rozpalone, natężeniem wysadzone na wierzch, jasniej świeciły od mdłej lampy.

— I wyssie, i porzuci.. jeżeli ty nie porzucisz pierwiej, nim użyjesz do woli.. Uciekajcie od siebie, uciekajcie póki czas!.. nie żałuj za nim fałszywa dziewko, nie minie cię dziedzictwo!.. O ta! ta! nie zrobi testamentu.. Mój Boże! mój Boże! a już pościłam, ja błagałam codzien gorąco i szczerze, bym mogła być przy jej łóżku śmiertelnym, i pożegnać kilku słowy, któreby kamień po kamieniu spadały na jej głowę nienawistną.. Uciekaj chłopcze! póki czas, ona cię zabije!.. zwabiła już.. popsuła; gadzina jadem swym opluła.. rozpustna! każdemu powiesi się na szyję, byle majątek...

— O Boże mój! to okropnie! chodź Konstanty!..

— Nie chodź! nie chodź! — wrzeszczała starościanka z coraz większym natężeniem — posłuchaj mnie, a może się jeszcze wyratujesz; tobie trzeba serca kochającego, ona go nie ma; ja wiem najlepiej jak serce wysycha w proch, w popiół daremną żądzą, która aż do wściekłości przychodzi... Zabić! zamordować! byle dopiąć swego, pójsz za małż, starą nie być panną!.. starą panną.. a przez kogo?.. Słuchajcie mnie oboje!.. ja wam powiem... I ja byłam młoda, młodsza od ciebie, bo ty już zestarzałaś się; darmo dziś gładzisz wczorajsze zmarszczki; jutro nowe się pokażą.. pleć moja nie była tak śniada, tak przepalona jak twoja; piękną byłam, i on był piękny, a dobry jak baranek.. za to go lubiłam najwięcej, bo on byłby mnie słuchał..

W tej chwili weszli pobudzeni panowie, lekarz i szambelanowa przywlekła się na wieść, że już kona jej przyjaciółka i towarzyszka czterdziestoletnia.

— Ale była gadzina, która mi pozazdrościła!.. ha! i ja pierwiej umieram...

Wszyscy stanęli z daleka, nie śmiejąc przerywać tego nadludzkiego prawie natężenia, z jakim chora rozповідаła.

— Kochaliśmy się oboje jak wy, i jak wy, chodziliśmy sami po gajach i borach; w dzień i w nocy nie pilnowani przez nikogo, ale bo ja nie miałam rodziców, a wasi jeszczeby was zamknęli razem, dla tych widoków podłej mamony... Chodziliśmy!... i jak wy!.. o bo nie darmo widzę rumieniec na twej twarzy chłopcze głupi; ty się nie rumienisz mądra porucznikówno!..

— Ona jak anioł czysta i niewinna! — zakrzyczał Konstanty, i okiem pełnem miłości, pełnem wiary błagał, pocieszał i bronił kochankę pomieszana okropnie..

— Przejdzie! przejdzie to! O Boże czterdzieści lat temu; kto uwierzy, że ja stara.. stara panna.. pamiętam jeszcze.. zawierzyłam mu; bo chciałam, bo Bóg mnie skarał za to, że go chciałam przywiązać koniecznie do siebie.. pamiętaj panno Rozalio! Bóg karze winnych, niewinnym przebacza!.. I ona wiedziała o tem, wiedziała, i zdradziła mnie przyjaciółka!.. — Zerwała się starościanka na łóżku i usiadła; okropnie wyglądała; chustki żółte poopadały; siwe włosy w koftunowym bezładzie rozsypały się wkoło kości nieforemnych, pargaminową skórą pokrytych; postrzegła stojących w kącie; wzrok jej na pół obłąkany pobiegł ku nim. — Przyśłicie oglądać waszą ofiarę.. Porucznik starał się o mnie; pan pułkownik, który nie myślał jeszcze o tytule wymagającym odwagi, starał się o mnie; ale ja kochałam tego, który leży w grobie, tam między topolami.. Ona odkryła wszystko przed nimi, i ci odsunęli się ze wzgardą odemnie.. a tamtego uludziła, otumaniła, i poszła za niego; męczyła, dręczyła, pastwiła się nad nim, co dzień, co godzinę, w dzień i w nocy, w święto i w powszedni dzień, póki go nie zagnała w grób... Powiedz, czy nieprawda? powiedz, tłusta ropucho, utuczona grzechami!..

— Panno starościanko! — rzekła szambelanowa — opamiętaj się, ludzie słuchają.

— Niech słyszą..

— Na co groby otwierać, na co zamarte czasy przypominać?..

— Tyś go zabiła, a ja mieszkałam z tobą, by cię męczyć, i ty dla tej samej przyczyny chciałaś być ciągle zemną; to był czterdziestoletni pojedynek nasz!.. szczęśliwa we wszystkim, zwyciężyłaś..

— Więc tylko udawałaś przedemną, że mnie kochasz! — przerwała szambelanowa, przybierając ton mowy godny, by odwrócić uwagę i zmniejszyć wrazenie, jakie widziała we wszystkich na nią zwróconych oczach.

— A twojeż kochanie, czy było szczere?.. cha! cha! cha!.. tyś oszukiwała, i ja oszukiwałam..

— Więc ta twoja staranność koło mnie..

— Jak twoje ciągle nudzenie przyjacielskie..

— Tyle lat oszukiwać, tyle lat zdradzać!.. mnie, która z taką przyjaźnią...

— Ty z przyjaźnią dla mnie!.. tyś mnie zabiła; patrz jak wyglądam! ja straszdyłło przez ciebie, ja stara panna przez ciebie;

przez ciebie on w grobie.. on pewnie w niebie, bo okropny na ziemi odbył czyściec..

— Opamiętaj się, panno Agnieszko!..

— Opamiętaj się ty! ja stanę już wkrótce przed sądem najwyższym, i tam cię oczekuję, bo ludzka kara już cię nie dosięgnie.

— Ludzka kara! mnie?.. każdy patrzył na me życie przykładne..

— Słuchaj, ty przykładna świętoszko! czy myślisz, że ja nie stałam ukryta za parawanem, owej nocy, kiedy była taka burza jak dziś, i on tak konał, jak ja konam dzisiaj?

— Szaleje, biedna! chodźmy!..

— Nie idźcie, nie! słuchajcie!.. twój mąż błagał, twój mąż płakał, twój mąż zaklinał na swój ród, któremu chciał choć część majątku zostawić; tyś się śmiała z umierającego, i gwałtem wydzierała mu z rąk..

— Chodźmy, ja mdleję... ona od rzeczy gada...

— Co wydzierała? — krzyknął pułkownik.

— Kończ pani! zlituj się! — krzyknął pan Aleksander, który z zimnym dotąd szyderstwem przysłuchiwał się całej scenie.

— Cha! cha! — zaśmiała się — chciwe dusze, chcielibyście dziedzictwa!.. daremnie wyciągacie szyję.. nim biednemu zapalili świecy w koło katafalku, widziałam jak inny płomień palił się w pokoju sypialnym pani szambelanowej!.. tak! tak!.. ona wzięła dziedzictwo!.. Oj to dziedzictwo występkiem przodków, rozbojem ziomek własnych, zdzierstwem biednych chłopków zebrane, występki jeszcze rodzić będzie, póki kara Boża nie nastąpi..

— Co wydzierała? mów pani!.. Co paliła w swoim pokoju?

— Chcesz wiedzieć młody Jezuito z miodowym słówkiem, któryś mnie starą chciał otumanić?.. wydzierała...

Wszyscy wpatrzyli ciekawe oczy na starościankę, która coraz wolniej mówiła.

— Sprzeciwianiem się, klótnią, nudziarstwem ciągłym—wydzierała mu życie!.. cha! cha! cha!..

W tej chwili zadzwonił dzwonek w żółtym pokuju.

— Ksiądz z panem Bogiem, ozwało się kilka głosów.

— Pan Bóg do mnie grzesznej!.. ja niegodna, ja nie mogę — krzyczała, na łóżko padła, a wiła się jak wąż w boleściach ciała czy duszy — ja nie chcę, bo nienawidzę, nienawidzę, przeklinam was wszystkich, i nic nie powiem, męczcie się, dręczcie! przeklinam i nienawidzę, i umieram pierwsza!.. precz! precz! gadzino!.. — krzyczała do szambelanowej, która poruszona nad wszelki wyraz przysuwała się do niej z wzrokiem błagającym o przebaczenie, a tuż za nią kapłan ze znakiem przebaczenia.

— Precz! — krzyczała dalej — pojedynek!.. zemsta!.. nienawidzę... wszyscy padli na kolana.

Ksiądz się zbliżył do łóżka. Starościanka już nie żyła!..

Nazajutrz po pogrzebie starościanki, a był to dzień poprzedzający wyjazd gości i gospodyni z Żabiniec, zdybał się pułkownik z porucznikiem w sadzie, gdzie tenże najchętniej przechadzał się. Po grzecznym ukłonie zaczął pułkownik..

— Okropne jednakże były zwierzenia panny starościanki; i wiesz pan, ta cała historia o śmierci mego brata, z tem wydzieraniem, jakaś nieczysta; mnie się zdaje, że to być musiał testament, który szambelanowa musiała spalić zaraz.

— Być to może wszystko — odpowiedział porucznik — od czasu śmierci starościanki, taką zgrozą przejęty jestem do tego całego dziedzictwa, że Bóg widzi jak chętnie wyrzekłbym się jego na piśmie, gdyby nie los mojej córki, której ja nie prócz tego futorka zostawić nie mogę. Niema na tym majątku błogosławieństwa bożego — dodał po chwili, i spojrzął pułkownikowi w oczy, który je spuścił w dół.

— Co się stało, to się już odstać nie może, panie Dobrodzieju; ludzie są ułomni, a Bóg jeden wie najlepiej co robi; ot widzisz pan i teraz może on najlepiej za nas poradził..

— Co pan rozumiesz pod tem?

— Mój Konstanty i twoja córka, panie Dobrodzieju, kochają się..

— Ona za stara dla niego..

— Tem lepiej poprowadzi go, bo wyznam panu Dobrodziejowi, że ma rozum niepospolity; nawet mój Aleksander, także nie w ciemę bity, twierdzi to samo, i teraz żałuję.. ale ja nie żałuję, bo ot lepiej, że się to Konstantemu dostanie.. Cóż pan Dobrodziej na to?..

— Myślę, i wiele bardzo myślę.. o naszej przeszłości, panie pułkowniku.. — Pułkownik milczał, ale oczów nie podnosił. — Wszak — ciągnął porucznik dalej — byłeś już sporym młodzieńcem, w wieku twojego starszego syna wówczas.. kiedy ojciec pański..

— Dajmy pokój przeszłości; ot wolimy dzieci nasze.

— Nie! w tej chwili muszę wszystko powiedzieć, i właśnie jeżeli mam spokojnie myśleć o przyszłości, raz jeszcze niech zajrzą w tę przeszłość, raz ostatni... i tam było przyrzeczenie, i tam namowa, jak tu... może w tem właśnie miejscu stał mój ojciec, wygnaniec z kraju przed twoim, który był ulubieńcem rządu... jak ja teraz goły szlachcic poleski stoję przed grafem galicyjskim. Z niebezpieczeństwem życia, przebrany przybiegł mój ojciec, by się widzieć z żoną i dziećmi, którzy mieszkali wtenczas tu, w Żabińcach, w chacie wieśniaczej. Twój ojciec, panie pułkowniku, był bratem mojej matki, bratem rodzonym, a przyjechał do Żabiniec oddanych mu przez rząd za zasługi... a memu ojcu odebrano je za przewinięcia... Ty pułkowniku stałeś wtenczas tuż koło nas, bo i ja tam byłem młodszy od ciebie, a więc nieśmiałem odzywać się tak z radami do ojca jak owocny palestrant pełen wymowy i układności... czy pamiętasz, panie pułkowniku?..

— Tyle odtąd zdarzeń przeszło, że nie byłoby dziwną rzeczą... gdybym...

— Zapomniał! nieprawdaż?.. to też zapomnieliście obydwaj, ojciec z synem, o siostrze i ciotce, i sierotach biednych, bo mój ojciec pojechał.. i nie wrócił więcej; zapomnieliście, że mój ojciec uwiedziony kłamliwemi słowy...

— Panie poruczniku!..

— Tak jest, kłamliwemi słowy ojca i syna uwiedziony, oddał

wszystkie zapisy dowodzące, że znaczna część majątku tego była wnioskiem matki mojej.

— Rząd nie chciał wierzyć!

— Panie pułkowniku nie rozdmuchuj tej iskry, która popiołem lat i nieszczęść zasypana, aby nie wybuchł płomień nienawiści i zemsty.

Pułkownik pomieszany milczał ze spuszczonej w ziemię oczami.

— Bóg to widział ile razy, czy w marszu swobodnym, czy przy ogniu biwuakowym, czy we wrzawie bitwy, drżało serce moje nie z miłości, ale z chęci zemsty nad temi, którzy mimo przyrzeczeń, łez i przysięg...

— Poruczniku!

— I ty przysięgałeś wraz z ojcem; a przecież matka moja w tej samej chacie skonała, a ja z tym oto tylko obrazem matki boskiej na piersiach i z garstką ziemi z mogiły matczynej poszedłem w świat.

— Przecież zielony futerek? — wtrącił nieśmiało pułkownik.

— Za prawa matki oddano synowi; już się wówczas mścić nie mogłem, bom miał żonę, bo niewinny brat twój pokutował tu za zbrodnie ojca i przeniewierstwo brata, piekielnym czyścem za żywota. To są, panie pułkowniku, przyrzeczenia rodu twego, i dla tego w żadne już nie wierzę.

— Przeszłość zostawmy w spokoju; były winy, nie tajemice, i właśnie dla tego podajmy sobie ręce dla szczęścia dzieci naszych.

— Dla szczęścia dzieci naszych! — półgłosem powtórzył porucznik i zamarzył.

— Ze wszystkiego zdaje się, że szambelanowa testamentu... — urwał pułkownik i ukąsił się w język — to jest... chcę..

— Testamentu nie robi, i jej majątek będzie moim, i dla tego pan pułkownik przychodzi ze słodkimi słowy.

— Wierz mi, że tylko prośby Konstantego syna mego...

— Czują z ciebie ojciec, jak byłeś czułym synem.. o dajmy pokój tej przeszłości: dobrze mówisz... nie chcę pamiętać, że twój ojciec rozdany musiał tułać się...

— Bajki! bajki! — krzyknął i zadrżał.

— Umarł przecie w zielonym futorku u mnie...

— Ojciec twój nie chciał..

— Tyś niechciał — zawołał porucznik mocnym głosem, i oczy swoje utkwiał w pułkownika. — I wierz mi, gdybym był chciał, nie byłbym potrzebował wydierać zapisu i przyznania prawdy.

— Jakto? — zapytał pułkownik, a usta jego zadrgały nowym przestraszaniem.

— Nie strasz się daremnie; ja za moją gościnnością nie chciałem od ojca twego żadnych pism, i teraz bez pism, jeżeli córka moja zechce, przystaję na jej ślub z Konstantym: ale nie czekając na dalsze pani szambelanowej postanowienie, czy robi, czy nie robi testamentu, aby i mnie nie zachciało się zrobić w duszy jezuickiego obwarowania, z jakim pan pułkownik przyszedłeś do mnie... Zgadłem!

prawła?... jeżeli testament będzie, a dobry, a spodziewany, niema ślubu; jeżeli zaś niema testamentu, jest ślub, przyjaźń i pokrewieństwo... Nie tak to będzie! pozwalam na ślub, ale dziś albo nigdy...

— Jąbym nic nie miał przeciw temu, ale zdaje mi się, że trzeba trochę czasu zostawić; bo syn mój nadto młody...

— A gdyby szambelanowa dziś bez testamentu umarła, czy byłby zawsze za młody jeszcze...

— Zapewne, jednakże...

— Dziś albo nigdy! to ostatnie słowo moje...

— Przystałbym, ale zdaje mi się, że po poznanju tak krótkiem, kiedy ta chwilowa namiętność nie jest jeszcze uświęcona próbą czasu, nie godziłoby się narażać szczęścia dzieci naszych. — Choć się szydrczo uśmiechnął porucznik, zaczął jednakże wahać się w myślach swoich.

— Nie śmieć się, i nie myśl, że cię uwieść chcę; ja mego Konstantego więcej kocham niżeli myślisz, bo... bo... Aleksander podobniejszy do mnie...

Długo jeszcze gadali, w końcu porucznik, który mimo wielu dobrych zalet i odwagi nieraz okazywanej na polu sławy mało miało hartu duszy, zmiękł zupełnie i przystał na półroczny rozdział kochanków, po którym, jeżeliby się ich uczucia nie zmieniły, miał się odbyć ślub słowem honoru zabezpieczony.

Porucznik odchodził zaspokojony, chociaż mu sumienie wyrzucało, że podał rękę nienawistnemu prześladowcy rodu jego. Pułkownik zaś, gdy ochłonął z udanego i prawdziwego pomieszania, mówił do siebie: — Przez pół roku musi się odmienić, ona tak długo nie pożyje, jak mnie zapewniał Klysterski; a jeżeli będzie testament, to Kostuś zapomni... oni!... cóż mi tam do nich. — Taki był koniec rozmowy, do której szczerze, pełne zapału i uczucia, wyznanie Konstantego spowodowało pułkownika.

Dzień ten ostatni przeszedł dla wszystkich daleko weselej, niż wszystkie inne dotąd przepędzone w Zabińcach; nie był to spokój dnia pogodnego, ale raczej chwilowe uspokojenie burzy. Śmierć starościanki nie zdawała się robić smutnego na przytomnych wrażenia, przeciwnie, przyłożyła się niepomale do nagięcia umysłów ku zgodzie. Z tego stanowiska biorąc rzeczy, było to zawieszenie broni, przy ciągłej czujności przeciwników. Sama nawet szambelanowa, czy poruszona okropną starościanki śmiercią, czy dotknięta głosem sumienia, pobudzonym przez ostatnie wypadki, posmutniała, jakoż mniej okazywała złośliwość w rozmowach z krewnymi swojemi, nie nudziła nawet Franciszka jak zwykle, i prócz tajemnicy co się tycze miejsca podróży, którego wyjawić nie chciała, rozmawiała zresztą ze wszystkimi z rodzajem rzadkiej uprzejmości. W całym tym obrazie, którego najpiękniejszym światłem był Konstanty z swoją bezgraniczną miłością, strzelającą z oczów, słów i poruszeń wszelkich, jedynym cieniem był Aleksander posepny, zamysłony i milczący; czasem tylko rzucał na wszystkich złowrogie spojrzenia z pod

gestych brwi jak zaczajony morderca z gęstego lasu. Ostatnie słowa starościanki nie mogły mu wyjść z pamięci; to wyrwanie jakowegoś przedmiotu z rąk umierającego szambelana przewracało mu się po głowie w tysiącnych domysłem tworzonych postaciach, a zawsze wracał do tej myśli, że to musiał być testament zapisujący bratu wszystko. Nie mógł wątpić, że ten testament szambelanova dawno zniszczyć musiała, a gdy pomyślał, że jeżeli szambelanova na złość im umrze bez testamentu, cały ten majątek przejdzie w ręce porucznikówny, a chociażby przez nią i w ręce brata, którego o tyle właśnie więcej nienawidział, o ile większe miał nadzieje z bogacenia się, wpadał w złość niepomowaną, tem okropniejszą że ją dusił w sobie; coraz tylko jadovitsze wykłuwały się myśli. prawdziwe gady w gnoju wylegające się.

Po obiedzie wyszedł ojciec z córką do ogrodu, i tam długo rozmawiali, a gdy się rozeszli, ojciec był smutniejszy jak zawsze, córka zaś odmłodziła wyrazem młodej i namiętej nadziei, która nigdy tak żywo nie stała przed jej oczami, w całym uroku wymarzonego używania.

Nadszedł wieczór; miał być ostatni widzenia się kochanków, do dnia bowiem mieli wszyscy wyjeżdżać z Żabiniec. Zakochany Konstanty prosił Rozalję, by się mogli pożegnać, tam, pod trzema brzożami, gdzie się pierwsze odbyło wyznanie; było to kapryśne zachcenie pierwszej miłości, bo miłość taka ma swoje odrębne rozumowanie, nieodgadnione przesady, przeczucia nawet niepojęte dla zimnej obojętnej głowy. Miłość pierwsza ma w sobie odcienie religijnej wiary; ma swoje uprzywilejowane miejsca, gdzie stawia dla bożyszczą swego świątynie cudniejsze nad wszystkie świata budowy. Pierwszego wyznania słowo wielkie, słowo święte, obleka kochanek w widzialne jemu ciało, tworzący wyobraźni władzą ustrojone; i to słowo żyje tam dla niego w kwiecie, w listku, w darni zielonej, w brzożie, która tam najczulej płacze, w strumyku, który tam najdzwięczniej śpiewa — to są jego obrazy świętych. Jak wygnaniec z ziemi ojczystej, nosi z sobą i w sobie przez cudze kraje i morza wiernie zachowaną pamięć rodzinnej świątyni, gdzie się zostały najpiękniejsze chwile jego życia minionego, tak kochanek, choć porzuci to miejsce, chować będzie wszystkie świętości swojej miłosnej świątyni w pamięci serca, i choć los rozerwie związek dawny, czas zziębi uczucia, śnieg głowy lodem spadnie na serce — zadrzy on mimowolnie przy znanej woni kwiatu, podobnej okolicy, mrużeniu strumyka, który pocieszysz i zasmuci razem.

Na darniowej ławce, tyłu chwil świadku, siedziała znowu Rozalia, która pod pozorem bólu głowy pożegnawszy wszystkich, porzuciła wcześniej towarzystwo, i znowu jak dawniej patrzyła w ten widok poleski tak znany, i tam za gajem, za borem sledziła obłoczki przyjaciele; lecz ileż więcej widzi dzisiaj, czego wczoraj nie widziała: cała okolica ustroiła się w świąteczną barwę jej dzisiejszego usposobienia; wszystko piękniejsze w koło niej i ona piękniejszą o całą różnicę rozpaczy i nadziei. Wieczór był czerwcowy pełen woni harmonji, spokoju; promienie zachodzącego słońca tęczowemi barwami

rozbiegły się po łęgach poleskich, złotem osypały się falujące wody: rumieńcem życia oblały nieme i nieżywe dotąd obłoczki, chmury za gajem, za borem. Westchnęła Rozalia, nie z radości, nie z rozpacz, ale środkujące znalazło się uczucie, uczucie żalu za chwilami darmo upłynionemi: czemuż, ach czemuż nie mogę tak czuć dzisiaj, jakbym czuła dawniej przed laty! ta myśl stawała między nią a szczęściem spodziewanem jak ta mgła, co powoli jakby ostatniem słońca promieniami wywołana podnosiła się między jej okiem a owemi obłoczkami za gajem, za borem. Jest to jedna z najboleśniejszych myśli każdego żywota ludzkiego, którą każda godzina, każdy dzień coraz więcej cieniuje, póki nie stanie ciemną chmurą zasłaniającą cały widnokrąg... a gdy żądni ją przejrzyć coraz się więcej do niej zbliżamy, pochłonie nas na zawsze śmierć uczuć, którą zawsze pierwej umrzec musimy, niżeli śmiercią ciała. I dla tego szczęśliwi ci, co nie użyli wiele, a wiele marzyli! Nie żałujmy młodych na katafalku!... żałujmy tych, którzy przebywszy zaczarowany ogród radości i smutków, dożyć muszą puszczy odczarowania. W tej chwili Rozalia litowała się nad Konstantym.

Minęło uczucie prawdy w samotności wylęgłe, a wystrzeliło z oczów uczucie towarzyskie i udane na widok Konstantego, który ledwie oddychając z pośpiechu i natłoku uczuć, ukłękł przed nią jak przed kilku dniami.

— Jestem, moja Rozalio! przyleciałem pędem ptaka, pędem serca mego, które patrz jak bije w łonie.

Uśmiechnęła się Rozalia, pogłaskała twarz młodzieńca, lecz słów znaleźć nie mogła, któreby godnie odpowiedziały.

— I nikt nie wie kochanko; już się wszyscy rozeszli, myślą, że ja śpię a ja tu przy tobie. Cieszę się tajemnicą; bo miłość jak mówiłem jest wiarą, a wiara spoczywa na tajemnicy.

— Czego milczysz kochanko moja!... kochanko!... — powtarzał. Dla młodzieńca pierwszy raz kochającego, to słowo kochanka ma powab niepojęty; jest to przywilej do życia pełnego, męskiego, życia trudów i poświęceń, życia wspólnego w raj, i na puszczy, o którym dotąd marzyć tylko wolno było.

Bo jedziesz jutro! — odpowiedziało uczucie bez wiary.

— O! jak to jutro, i tych jutrz cały szereg maleją w obec miłości mojej, naprzeciw dnia, w którym powrócę... by cię już nigdy nie porzucie.

— Mój drogi! nie gardź temi jutrami; one spożyją najhartowniejszą stal.

— To słowa tylko, kochanko moja; a tu w piersi mojej jest wola czynem brzemienna; tej czas nie spożyje.

— Gdybym cię codzień słuchała, co godzinę, byłabym spokojniejszą.

— Niedowierzasz?... ale nie mnie, chyba sobie?..

— To nie!... wszak tylko ciebie jednego mam na świecie — wyrzekła z zapalem, bo była prawda w tych słowach — w tobie cała przeszłość moja i wszystkie nadzieje...

Podniósł się młody zapalenię z dumą, i spojrzął w niebo tak pogodnie jak dusza jego czysta, żadną myślą niezbrukana.

— Ja się tu zostanę sama z jedną myślą, i z jedną chęcią; ale ty, mój drogi Konstanty jedziesz w świat... rozmaitszy od tego świata mego — dodała z uśmiechem pokazując okolice poleską, pokrytą mgłami wieczornemi, które wznosząc się po nad moczary, pomiędzy krzewy i drzewa, ożywione bladym wschodzącym księżycem światłem, wydawały się jak duchy chodzące po płaszczyźnie.

— Kochanko! gdyby ten świat rozbiegł się dla mnie na dziesięć innych większych i piękniejszych światków, i wszystko, co w nich najwięcej zachwycić, ująć i zaczarować może, zbiegło się w koło mnie, jabym wszystko rozpedził jak te mgły rozgania wietrzyk wieczorny... i wróciłbym niezmienny póki żyję...

— Wierzę, wierzę, ale ojciec twój?

— Mój ojciec przyrzekł mi; ojciec dotrzyma synowi.

— Gdyby nie szło o biedną dziewczynę, która tylko z majątkiem ciotki dobra na synowę.

— Mniejsza o myśli ojca mego!

— Ty nie znasz jeszcze sposobów, jakimi ludzie działają, ty nieznasz środków jakich użyć gotowi!

— Gwałt każdy przemogę...

— Nie gwałt ale namowy, prośby, błagania, ojcowskie łzy, zaklęcia pod błogosławieństwem...

— Przemogę wszystko, bo cię kocham miłością nie na dzisiaj, ale na całe życie moje... Przestań kochanko! pozwól mnie działać, a zobaczysz, że serca mego równie nic nie zmieni, jak i woli mojej nic zmienić nie zdoła, kiedy nawet złowrogie słowa tej umierającej, które dotąd drżą w uchu moim, żadnego na mnie nie zrobiły wrażenia. I ojcu memu nie rób krzywdy; on nie zechce nieszczęśliwym zrobić syna!

— Ty jeszcze młody, mój Kostusiu i nie wiesz, co może interes — przerwała Rozalia i wzdygnęła się mimowolnie przy tych słowach — interes! — powtórzyła. O! wierz mi, ten rządzi wszystkimi...

— Prócz mnie i ciebie, kochanko!... nieprawdaż?

— I mnie! pewnie, i mnie! — odpowiedziała tkliwie prawie — a przecież jeżeli... jeżeli... moim będzie obowiązkiem nie sprzeciwiać się weli ojca twego i mego, bo jeżeli... ciotka wam zapisze swój majątek cały, czyż ja będę mogła myśleć o tobie?

— Rozalio! ja cię nie rozumiem... ty mówisz o majątku: cóż mnie majątek!..

— Czyż w takim razie nie będzie obowiązkiem moim, poświęcić się dla ciebie?...

— O kochanko moja, ja cię nie pojmuje; czyż bez majątku mniej kochaną będziesz?

— A chciałżebyś, by w oczach świata przyszła żona twoja wydała się interesowną?... w oczach twoich nie... ale w oczach ludzi rachunkowych...

Zamyślił się chwile młodzienc, raptem skoczył; oczy błysnęły

tak jak tylko w wieku natchnienia, w wieku pierwszej miłości błyskać mogą. — Czekaj tu na mnie, kochanko!.. ja przybiegnę za chwilę — i poleciał pędem burzy ku skromnemu dworkowi w zielonym futorku.

Rozalia spojrzała za nim z podwójnem uczuciem, miłości ku niemu i litości nad nim; ależ bo on tak szczery, tak dobry!.. ona go kocha, o ile kochać może, i że więcej nie potrafi, nad tem boleje mocniej, niż sama się tego spodziewała. Jakby ona chciała się cofnąć dziesięć lat w tył; wtenczas była jeszcze w stanie nagrodzić mu i odwetować uczucie jego równym uczuciem. Ona go kocha, trzyma się z rozpaczą tonącego tego uczucia, które, jeżeli ucieknie.; na tę myśl wzdryga się jej głowa, w której przyszłego z nim pożycia obrazy rozwinęły się już w całym przepychu i blasku; na tę myśl wzdryga się jej serce resztą niewysuszonych uczuć..

Przyleciał nazad wiatru pędem, ukląkł na nowo, i w jej ręce złożył papier świeżo napisany. — Masz kochanko! tu wyrzekłem się wszystkich praw moich do tego dziedzictwa na imie twoje... ja już nic nie mam, ty masz wszystko .. ja ubogi, ty bogata ... ty mnie uszczęśliwisz w oczach świata majątkiem.., a udarujesz życiem.. bo bez ciebie umrę... Bierz! bierz! nie odpychaj! bo na Boga, ty mnie nie znasz jeszcze; ja twój kochanek, mąż twój, błagam, proszę, każe!.. Jak mnie kochasz Rozalio, weź ten papier., to już twoje!.. ja nic niemam... tylko tę rękę... — I ścisnął, i całował, a płakał biedny młodzieniec jak dziecko.

Wyraz dumy błysnął w oczach dziewczyny, ale powiemy na jej pochwałę, czyli raczej na pochwałę zaraźliwości każdego prawdziwego zapału, że to nie była duma z majątku, ale duma z takiego kochanka zdobytego w porze, kiedy się już ledwie mąż znaleźć może.

A noc czerwcową była uroczą wonią, spokojem, światłem księżycy z góry, pianiem słowika z gaju; i w taką noc słyszeć słowa zapału, słowa, które płomienistą lawą padają, i rosną widomie w kwiaty barw nie widzianych, obrazy uroku nadziemskiego, jakie tylko wyobraźnia poety kochanka utworzyć może! Cała noc przeszła w słodkiej rozmowie; krótka to noc czerwcową na tyle słów i uczuć, które wyrzucił z siebie młody zapaleniec. Co tylko kiedy przemarzył, przeczytał, przeczuł i odgadnął, to wszystko jej powiedział, to wszystko chciał wcałować ustami w serce... To znowu biegał koło niej, osypywał kwiatami zbieranemi po rosie, po księżycu; głowę otaczał wieńcami plecionemi z najzieleniejszych brzozy liści; śmiał się, płakał, przyrzekał i przysięgał... Taka miłość to prawdziwe czary; życie w posąg wleje, iskrę wrzuci w kamień!.. I dziewczyna odmłodziła; odżyły wszystkie zdroje w piersi zamarłe, i rozlały się tak gwałtownie, aż jej tchu brakło: płakała łzami dawnemi. Było to zmartwychwstanie!..

Zaświtała zorza; zbudziły się ptaki w gaju uspione: zadrżały liście wiatrem porannym wzruszone, szemrząc pieśń witającą dzień nowy; z ługów, z krzaków i moczarów, z gajów, lasów i błot pelskich wznosiły się głosy życia ku niebu. Takie było ich pożegnanie!.. Ostatnie słowa powtarzane wśród łez i uśmiechów były: — Kocham!

kocham! — Wielkie słowo, w którym złożony jest talizman najsilniejszego zaklęcia wszystkich duchów niewidzialnych, Elfów tańczących na promyku księżyca, na woni kwiatów, listku drzewa, na rosy kropelce!... Wszystkie żyją, i uroczym wieńcem otaczają tego, który umie to słowo uczuć i powiedzieć!..

Wrócił Konstanty do Żabiniec. Z pierwszym słońca promieniem wyruszyły powozy z dziedzińca; za lipową ulicą rozjechali się szambelanowa z pułkownikiem; ale Aleksander tajnemi wkrótce drogami pogonił w ślady stryjanki, jak tygrys wietrzący łup. Rozalia siedziała pod trzema brzożami i patrzyła za odjeżdżającymi okiem, które schnąc powoli z łez, coraz więcej traciło blasku.. z brylantu. perły, aż do prostego szkła... Widziała jeszcze za wsią, za krzakami ciemny punkt, coraz mniejszy, aż znikł wreszcie w borze ciemnym... a za gajem, za borem obłoczki mgliste polesia!..

OBRAZEK CZWARTY.

Galerja Kuglarzy.

Dosyć już wędrówek po Polesiu. Przyrzekłem podobno pisać o kuglarzach i sztuce kuglarskiej, a ja zamiast tego wodzę państwo po borach i błotach. Są zapewne i tam ludzie, i tam są kuglarze, bo gdzieś ich niema; lecz są to tylko słabe ułamki kuglarskiego cechu, którego główną siedzibą — miasta i stolice. A ponieważ mowa o kuglarzach, wypada mi powiedzieć nieco obszerniej o owej różnicy kuglarzy zmysłowych i kuglarzy umysłowych, na jakich podobąło mi się podzielić zwolenników tej starożytniej sztuki.

Kto kogo rodzi, czy kuglarze zmysłowi umysłowych, czy przeciwnie? nigdzie wyraźnych zdybać nie mogłem śladów; zdaje się jednak, że pierwszy człowiek, który chciał drugiego oszukać, był pierwszym kuglarzem, nie odbierając pierwszeństwa jednakże jego szatańskiej mości. Oszukiwać jest to pole tak obszerne jak obszerny umysł człowieczy, po którym jak po sianożęci bezgranicznej wymyśli i koncepta rosną jak trawy, badyle, kwiaty i bujające po nich i nad niemi różnorodne zwierzęta. Oszukujący zatem wybierał do woli i do potrzeby środki widome lub niewidome. A że postanowienie oszukiwania jest myślą, środki zaś oszukania wynikłością owej myśli, zdawałoby się, że, a priori dowodząc, kuglarz umysłowy starszy o starszeństwo myśli nad czynem. I zapewne ów kuglarz faraonński musiał pierwiej umysłowemi środkami zdurzyć przekonanie narodu egipskiego, nim jął się do durzenia widomemi kuglarstwami; póki przecie Mojżesz prawdziwemi cudami nie odpowiedział zwycięzko na pozorne cuda. I zaprawdę jak spuścił zaćmienie, musieli wszyscy uwierzyć w niecudowność kuglarskich sztuk, skoro wszystkie i węże, i żaby, i pluskwy znikły z przed oczów ciekawej gawiedzi. Zaćmienie zaś przechodzi o wiele wszelką możliwość kuglarstwa prostego, osobliwie od czasu, jak zimni astronomowie jakąś tam wyrachowali styczość ciał jasnnych / ciałami ciemnymi; ztąd to zapewne

pochodzi, że wielu kuglarzy umysłowych próbowało i próbuje utworzyć zaćmienie, jako non plus ultra sztuki kuglarskiej; po omacku bowiem najłatwiej dać figę zamiast dukata, głupstwo sprzedać za rozum. Nie mogąc doskonałego utworzyć zaćmienia, utworzyli tuman, i odtąd puszczaniem tumanów jako przedwstępna, a konieczną sztuczkę trudnią się kuglarze, tak jedni jak drudzy.

W dawniejszych czasach, kiedy ludzie głępsi byli, i żyli więcej życiem powierzchownem, życiem pięciu zmysłów, kuglarze używali więcej sztuczek widomych; dziś odkąd ludzie tak porozumnieli, że życiu umysłowemu więcej się oddali, odkąd już na deskach teatralnych znikają ludzie pod podłogę, przemieniają stroje i twarze dla zabawy i nauki widzów, bo nawet blado pokredowane okazują się duchy — prosta sztuka kuglarska musiała upaść; kiedy gołębie listy roznosić mogą jak proste pocztyliony, któżby uwierzył w gołębia Mahometowego? Odkąd ludzie przestali na tyglu dosmażać się złota, znajdując w nieskończonej dziedzinie umysłowej lepsze ku temu środki, odtąd musieli upaść owi wszyscy kuglarze alchemicy, z pomiędzy których ostatni, Kagliostro, umarł w wigilię rewolucji francuzkiej, kolebki nowego rodzaju kuglarzy działających umysłem na umysły. Odtąd Filadelfia i Pinetì, aż do naszego Boska i innych, spadli z zamków, pałaców i salonów, po których z zodiakową przepaską i laską czarnoksiężką przechadzali się samowładnie: do teatrów i bud jarmarcznych, gdzie bawią, ale nie oszukują nikogo, prócz Gapiettów jeszcze, o których my, belletryści, ignorujemy, i o których my, piszący na welinowym papierze, nie dbamy zupełnie, bo i dbać nie warto o tych groszowych konsumentów.

A ponieważ o groszu mowa, trzeba tu powiedzieć, że sens moralny dawniejszych i nowszych kuglarzy został jeden i ten sam, równie jak i pobudka ta sama. Oszukiwali kuglarze prości dla złota, oszukują kuglarze umysłowi dla złota. A to złoto jest u nich przedstawicielem wszystkich dobrych rzeczy, o jakie tylko śmiertelnemu warto się pokusić. Czyli innemi powiedziawszy słowami wytumaniwszy złoto, wytumaniają się potem inne dobre rzeczy, jako to: nogi baletniczek, lub gardziołek spiewaczki, order za zasługę, intratny urząd, a nawet stolec uczonych. Czasem dzieje się odwrotnie u zgrabniejszych kuglarzy, że wytumaniwszy cnotę, sławę, zaszczyty, za pomocą tych wytumaniają i lube złotko. Złoto zatem, właściwie powiedziawszy, dla kuglarzy jest symbolem, tłumaczonym dowolnie na owe wszystkie dobre rzeczy, stosownie do usposobień każdego kuglarza. Ile tedy jest owych dobrych rzeczy, ile jest rozumień szczęścia ludzkiego, tyle jest rodzajów kuglarzy. Ci znowu dzielą się stosownie do osobistych zdolności na lepszych i gorszych w odcieniach nieprzeliczonych. Wszyscy puszczają tumana; ta tylko zachodzi różnica, że między lepszymi — są kuglarze twórcy, którzy jeniálním wymysłem nowego tworzą tumana; między pośredniejszymi są kuglarze małpy, którzy używają starych i wytartych już tumanów, a radzą sobie niemi jak mogą, i póty próbują póki nie znajdą swojego Gapiette. Są znowu małp małpy i małpich małp małpy, którzy tam gdzieś wysoko utworzonego tumana, przez dziesięć rak okrzesanego

łapią w przekonaniu: że najprzód trzeba puszczać koniecznie tumana, bo wyżsi puszczają; powtóre, że to jest tuman doskonały; stosują go więc do swoich karlich stosunków, i z Rolandowskiego miecza robią klapkę na muchy, a najczęściej sami wychodzą z szwankiem własnych członków, zranionych przyciężkim orężem. Są znowu kuglarze amatorowie; ci puszczają tumany nie dla potrzeby, ale dla przyjemności tumanienia, na prawo i na lewo, w każdej życia chwili. Tamci i ci są to chybione Tallejrandy towarzyscy; chodzą oni wszędzie i zawsze z pęcherzem pełnym powietrza pod pachą, którego trzasnięcie przyciśnięciem umyślnem spowodowane, chcą sprzedawać za huk harmatni...

Nie zabawniejszego, jak walka takich dwóch kuglarzy między sobą! Do tego pojedynku stają zwykle na przekor zwyczajowi pojedynkowemu tyłem do siebie, bo front kuglarza musi być obrócony do widzów; puszczając tedy ciągle tumany przodem, walą się nogami w swe tylne części; cała zaś sztuka w tem, aby ani jednym skrzywieniem z przodu nie okazać bólu, jaki się czuje z tyłu, uśmiechać się ustami, choć grzbiet fatalnie boli, który pierwiej zasyczy, lub skrzywi się, a co gorzej rozczuli, ten przegrał i idzie w kąt...

Wszystkie te rodzaje opisywać szczegółowo nie moja rzecz; najprzód nie potrafię, bo to aż zakrawa na dzieło rozumowe i systematyczne; powtóre, boję się by przykłady przypadkowe nie brano za obrazy istotne, jak się to już niejednemu przytrafiło, a osobliwie od czasu jak się wylęgło to straszne i obrzydliwe monstrum „Parafiańszczyzna“ zwane, monstrum okropne z wielkiem zwierciadłem w szponach, a kto weń zajrzy, wnet siebie pozna choć zmienionego jak niegdyś towarzyszków skrzętnego Ulissa przemieniała zdradliwe Cyrcę; po trzecie, wyznam szczerze, że jestem kuglarzem i puszczam państwu tumana w postaci niniejszego dziełka, by zwabić czytających, a bez tumanu powiedziaławszy, kupujących, a zatem nie mogę wyraźnie i porządnie opisywać, bo jużby nie było tumanu; a narzeczcie, będąc kuglarzem i pisząc o kuglarzach, gdybym przez miłość własną o sobie nie powiedział, powiedziałiliby dobrzy ludzie, że ja zwolennik owego potwora parafiańszczyzny, od czego jak od głodu, ognia i głupiej krytyki zachowaj nas panie!.. Tu tedy i owdzie w mojej kuglarskiej powieści, gdy zdybię jakiego dobitniejszego tumana, odmaluję go, odsyłając do jednej z wyż wyrażonych kategorii.

Jedno tylko przepuścić nie mogę, bym się nieco nie zastanowił, a tem jest proste pytanie, co to jest tuman?.. Tuman, gdybym był filozofem z pod ciemnej gwiazdy, powiedziałbym, że znaczy, tu mam, a tu nie mam! lecz tuman jest raczej, tu mam, a ty nie masz. Tumanie jużbym łatwiej wyprowadził z owego kłębka z niciami w głowie umieszczonego, z którego się snuje coś na kształt rozumu, wedle fraszek i niefraszek puszczonech w świat przez jednego z dzisiejszych kuglarzy, posiadaczów próżnego choć trzeszczącego pęcherza, o których miałem zaszczyt mówić jako o kuglarzach amatorach. Ale nie widząc ani belmes o treści jądra, lelum po lelum, w którym Zeus zawsze robi swistum po swistum, a

które to piękne rzeczy w mądrej tylko głowie mieścić się mogą, dam pokój takowemu wywodowi słowa tuman, i powiem znajome przysłowie: wszystko złoto co się świeci! Owoż może ten tuman czy nie będzie złotem, które choć nie złoto, ale, że żółte i świeci, więc go wydają za prawdziwe złoto; albo czy raczej tuman nie będzie tarczą, zwierciadłem zaczarowanym, w którym każdy patrzący widzi widome uosobioną dewizę rycerzy tumanowych.

Postępując dalej w analitycznej rozprawie o tumanie powiem jeszcze, że tuman jak już nadmienilem: jest zastępcą zaćmienia, ale ponieważ przeciwieństwa się stykają, częstokroć zaćmienie zastępuje się oślnieniem, a więc tuman nie tylko bywa tumanem kurzu lub piasku oczy ćmiącego, ale czasami występuje jako tuman fajerwerkowych błyskotek, któremi się oczy zaślepiają, a czasem tuman ten, osobliwie u rodzaju kuglarzów golarzy, lubiących obgalać drugich, przebiera się w skromną postać puszeki mydlanej i zamydła oczy. Zgoła djabeł zgadnie, gdzie ten tuman siedzi, i mniejsza o to, kiedy już wiemy, na co ten tuman służy; więc gdy nie możemy dojść tumana a priori, bierzmy się do niego a posteriori. Dowiedziona zaś jest rzeczą, że każdy kuglarz twórca, o którym to rodzaju głównie mówimy ma swojego własnego tumana, a ten siedzi u niego wszędzie i nigdzie; bo tu był, tu go już niema; i oczywiście, któżby bowiem trzymał się ciągle jednego tumana, i nim wojował jakby... omal nie zaczęli pisarzy, co to zawsze tumania kozaczyzna albo prowincjonalnemi narodowościami... I to dobre! ale jak to pamiętam za dziecinnych czasów jedna przepustna, druga i trzecia podobno, a za czwartą brało się pytki panie, bo czego nadto, tego i za wiele. Tuman tedy, ten djablik przeklęty, siedzi tam właśnie, gdzie się go najmniej domyśleć można, i w tem sztuka; czasem w spojrzeniach oczów, w mrugnięciu, a proszę to nie brać za żarty.

Był to sobie raz kuglarz, miał już siwe włosy, a pod niemi oczywiście rozum stary; w rozum zaś stary trzeba tak wierzyć jak w stare państwo — jest i kwita!.. U niego tuman siedział w mruganiu. O tak, jak sobie zaczął prawić ni w pięć, ni w dziewięć, trochę o tem i trochę o owem, a lubił gadać o wszystkim, bo i w języku miał tumana, którego nabral za młodu, będąc na urzędzie, ale ten był mniejszy; i o agronomji, i o kartoflach, i o gnoju, o banku narodowym, choć sam bywał już bankrutem, o Twardowskim, komedji dziwnie dowcipnej, którą chwalił niepospolicie, o kompromissach, któremi bardzo zgrabnie obcinał kontusze na fraki i o kłótniach, które fastrygował szwem kuglarskim: każdy słuchał zwyczajnie jak się słucha, kiedy się zjedzie obywatelstwo przy luleczce na ganeczku.. Aż tu stary kuglarz, mik fik!.. jak mrugnął, wszyscy otworzyli gęby, tyle dostrzegli rozumu, oczytania, uczciwości rzymskiej, i to nie dzisiejszych Transtewerynów, którzy podobno długie mają palce, ale owej rzymskiej dawnej cnoty, co to kładzie rękę, nie w żółte złoto, ale w żółty ogień...

Czasem siedzi w języku, jak to już napomknąłem wyżej; językiem panie jak utnie młynca, namiele, namiele aż strach! a same

panie otręby, ale, że francuzkie, dalipan mądre, jakby drukowane, i wszyscy w krzyk, czemu on nie pisze, czemu nie drukuje!.. Darmo panowie! jeden tylko był wielki człowiek, wielki pisarz, wielki kałamarz w małym ciełe, a kuglarz niepospolity; ten przemieniwszy szwarc. którym buty czyścił na atrament, którym papier walał, ten znowu na szlacheckie legitymacyjne dokumenta, te zaś na półimperiały albo banknoty austriackie, te na kurant. a ten wreszcie na wioski, został na końcu dziedzicem! Już to drugiemu się nie uda; prawda, że już skończyły się czasy składek, z których się nie mało czerpnęło sposobem kuglarskiej eskamoterji, na której gdy złapią, krzyczą złodziej, a jeżeli nie złapią, mądrym ogłaszają! Otóż całe jego kuglarstwo siedziało w języku, którym nie tyle gadał ile lizal!.. I ten tuman językowy, to się w lot zmienia jak zechce; brzytwą ogoli, sztyletem przebije, pałaszem obetnie, wężem zdusi, gadziną otruje, w ucho choćby najwyższe płomykiem, powietrzem, dziurką od klucza się wcisnie, i od ucha do ucha, od klamki do klamki, nagada, naje, napije, napluje i zrobi co zechce, najtęższą głowę zagwoździ na wieki, pismo najważniejsze pokiereszuje na miazgę. i w końcu prawda przy nim, on będzie na wierzchu; a obmówieni, ogoleni i obdarci będą mu się kłaniać z dołu, i będą mu wypychać sakiewki do kieszeń, wiecznie otwartych a przepaścistych jak sumienie jego, byle tylko tam w górze więcej kłamał za siebie i za drugich... Czasem zapewne, bo i kuglarzom noga się pośliznie. los go Absalona syna Dawidowego trafi, lecz nim słońce zejdzie dla prawych, nieprawych języki zeżrą na śmierć!..

To znowu wpakuje się tuman w nos; jak zacznie wachać wszystkie kąty cudze, biegać od kuchni do kuchni, od komina do komina, jak zacznie wietrzyć za wiatrem i przeciw wiatru, zawsze coś dobrego wywacha dla siebie, coś pożytecznego wywietrzy. Znałem ja takich kuglarzy, którzy wietrzyli trop w trop, lepiej od wyźła, od psa gończego i zmylonych myśliwców, sprowadzili aż do ostatniej nory gonionego zwierza. Za to też jak psom nagradzano piękną obrózką!... Szczęśliwi! zachowują zwykle do późnego wieku zamarynowane zdrowie, które błyszczy rumieńcem na twarzy, jakby płamami krwi...

A w mimikę twarzy, w uśmiech ust jak wlezie tuman, to oszuka, choćbyś miał głowę ze stali, serce z marmuru. Tu się odkrywa całe bogactwo zmian, które odcień po odcieniu tak szybko i tak rozmaicie następują po sobie, że żaden im nie doścignie telegraf. Powiem państwu, warto widzieć tych kuglarzy telegrafów, jak się ich zejdzie kilku razem w towarzystwie; już to najwięcej takich w płci pięknej, płeć bowiem brzydka niema tyle wyrazistości w twarzach swoich. Rozpowiadasz naprzykład jako krasomówca towarzyski, telegraf kanapowy przemówił już twarzą, ale tak w lot, żeś postrzegł tylko uśmiech grzeczny; telegraf krzesłowy podał dalej, telegraf szezlagowy porwał spieszenie i przekazał telegrafowi podpiecowemu, ten ziewającemu, tamten wędrującemu po salonach za różnymi rzeczami nowemi, i jeszcześ nie skończył pierwszej części swego opowiadania, kiedy w trzecim pokoju przy stoliku zielonym

telegraf bardzo uczciwy, telegraf karciany z ponsową wstążeczką u guzika, który tylko co partnerowi swemu przetelegrafował wiadomość o swojej i sąsiadów kartach, połączone z naznaczeniem żądanej kajeny, powiada, aby zakryć mową obojętną działanie zielonostolikowe, że twoje opowiadanie jest głupie, — bo ty nieznośny nudziarz, literat goły, pisarz lichy i człowiek niebezpieczny, który chce towarzystwo odciągać swojemi opowiadaniem od zwyczajnych używanych i jedynie godziwych zatrudnień salonowych! A jaki to wygodny tumanik; okiem trzeba łypać, językiem mleć, nosem dowąchać się czasem nie gwoździka; twarzą zaś i uśmiechem, które nic nie kosztują, można się wywijać prawdziwie en connaisseur!.. Nie umiesz powiedzieć zdania, a słyszysz jedno i drugie, skrzyw się dwuznacznie; Gwelfy się przestraszą, Gibeliny uwienczą!... A w zalotach!... o mój Boże! któż nie wie, co znaczy uśmiech, którym jak laską czarodziejską wyciskasz niejedne złota źródło z kamiennej kieszeni; uśmiech co namówi i odmówi, przyrzecze i odwlecze, skarże i nadgrodzi, w raj pociągnie, w piekło popchnie; już to do tego trzeba, żeby kuglarka była piękna, bo uśmiech brzydkiej, to liczman, którym już dziś nie przekupisz. Wieleby jeszcze powiedzieć można było o uśmiechach pańskich, co to mają miód dla nieostrożnych much; o tym znowu uśmiechu nad uśmiechy, uśmiechu Judaszowym, który całuje, gdy zdradza, głaszcze, gdy bije, śmieje się, gdy słucha zwierzenia, i śmieje się, gdy zwierzenie milknie, uściskiem... zduszone; lecz nie możemy długo nad tym jednym zatrzymać się tumanem, kiedy i o innych coś powiedzieć trzeba; na przykład o uchu. Już to uszne tumany są tylko służebne, o tyle dobre, o ile ucho jest wielkie wewnątrz, a zewnątrz dobrze zamknięte; a więc choć nieraz uszy osobliwie zgrabnem schowaniem oślich uszów natumanily na świecie niemało, przeskoczmy do rąk.

Tu skarb prawdziwy! bo to ręka i błogosławi, i głaszcze, i bije, i wskazuje, i napomina, i grozi, i przeklina, a co najdogodniej dla kuglarzy, że ściska. Ot! tak powiedzmy sobie prawdę, że to nie lada tuman siedzi w ściśnięciu ręki. Jest coś uroczonego, gdy ściska rękę pulchna niewieścia, ale to fraszki w porównaniu ze ściśnieniem ręki pańskiej. Ściśnienie pańskiej ręki zachwyca od razu; nieraz w mizantropicznym zapale wynikłym z niezaprosin hrabiego dającego obiady: walisz językiem jak stęporem w tę dumną arystokrację. poczciwego o niej słowa nie powiesz, brzydzisz się panami, jak parszywcami towarzyskimi; wszedł hrabia, ścisnął cię za rękę, a ty ogon pod siebie, a język za zęby, i śmiejesz się, ale śmiejesz, kłaniasz się, ale kłaniasz się jak Eunuch przed trzytulnym Baszą. W innym znowu miejscu wpadasz w ferwor obywatelski, narzekasz na księcia pana, że do niczego, że z jego ramienia wybrani zawiaadowcy jego zbiorów rzadkich są bez nauki, są woskowe figury, jeżeli nie co gorszego jeszcze, bo to człowiek w gniewie, a osobliwie kiedy się zacznie rozmowa o sprawie publicznej, nie umie się pohamować; walisz więc dalej na piękne: że mitra nie stanowi zasług w kraju, że człowiek, na którego wychowanie tyle stracono pieniędzy, iżby za nie był przynajmniej dobry automat grający w szachy,

powinienby przecie choć o jednym przedmiocie umieć coś rozsądnego powiedzieć, że historyczne mając nazwisko, trzeba przynajmniej umieć historję swego kraju, że nie dosyć umizgać się w salonie do kobiet, kłaniać się i uśmiechać do mężczyzn, grać nie do rzeczy w Lombra, płacić kiedy się przegrywa, a nie brać często gęsto, kiedy się wygrywa; że to wszystko dobrze, ale przecie... Wszedł ksiązę, i ścisnął za rękę, ale ścisnął z tym talentem jemu właściwym, z tym cieniowaniem tak doskonale wyrachowanem do umysłowej temperatury każdego, i z uśmiechem radośnym kłaniasz się, tryumfujące w koło rzucasz spojżenia, i z większym jeszcze ferworem pleciesz większe jeszcze niż pierwej głupstwa: o zaszczycie, szczęściu, radości — jakbyś już cwałował prosto do rajy Mahometa.. I proszę teraz powiedzieć, że tuman jest próżny wymysł.

Czasem... lecz gotowi mnie zakrzyczyć, siedzi w tabakierce; jakem katolik w tabakierce!.. Znałem człowieka zacnego z najpocziwszem sercem, chęciami, które gdyby się w ręce zmienić mogły, toby nam wszystkie wilki, niedzwiedzie i inne drapieżne zwierzęta własnymi dziesięciu palcami za dziesiątą górę wyprowadziły; ale niewiele może, i niewiele potrafi, bo malutki sobie, choć go żona codzien sztukuje w okolicy głowy; owóz powtarzam, ma w tabakierce swojej, w każdym ziarnku tabaki, jakiegoś czarodziejskiego tumanu. Zejdzie się towarzystwo, co to ma być uczone, rodzaj mieszanin nie obyczajowych, ale rozumowych; on sobie po pocziwemu rozpowiada różne anekdoty dziwnie ciekawe, a wszystkie niezawodne, bo dwadzieścia lat powtarzane, o różnych nieboszczykach w kraju i za krajem, dowcipnych powiedzeniach, z których sam się śmieje dla dobrego przykładu i innych tym podobnych ciekawościach uczonych, które wartością swoją przypominają tytuł nowej książki „Bzdurstwo“. Słuchają wszyscy z tą grzecznością salonową, która, kiedy chce ziewać, udaje, że wzdycha. A wzdychanie, to znowu doskonały tuman uczuciowy, wyborny na pożyczających pieniądze, na ubolewających nad niedostatkiem, głodem i t. d., rozpowiadających przypadki spalenia, gradobicia i inne pomocy wzywające wydarzenia. Słuchają tedy, a myślą w prostocie ducha, „niech gada!“ ot lepiej możemy milczeć!.. milczenie, to także rozum. Paf! paf! uciał ręką w tabakierkę, zapiszczał nakrywką, otworzył, poczęstował, i już zmienieni wszyscy kuglarską mocą; jest i dowcip, i rozum, i myśli głębokie, i hartowna dusza, i inne leki komunią zawsze używane w razie otumanienia. Nie dosyć na tem, wmięszął się do rozmowy jeden i drugi, z tych co to lubią prawić: o smalonych dubach, o poprawie towarzyskiej, o nadużyciach, które trzeba wykorzystać, o zadaniach wielkiej wagi, tyęczących się ogółu i życia społecznego. Mały mąż swojej żony słucha i słucha, a patrzy i patrzy, jak się to zwykle robi, gdy co gładko w głowę nie idzie: paf! paf! uderzył, zapiszczał, otworzył i zażył, tuman wyleciał jak z procy, i on zrozumiał, i drudzy, choć już zaczynali wątpić, uwierzyli. A jeżeli jest jakie pytanie krytyczne, które trzeba przeciąć nakształt węzła gordyjskiego; bez wahania się!.. wziął tabaki!.. Oho! krzyczą; patrzcie jaki gracz!.. A przyjdzie znowu wybierać między Scyllą i Cha-

rybdą, a tu nie można przelazic, bo to nie pięknie, i sukienkę można obłocic, ale trzeba męzkim a silnym krokiem przeskoczyć... i zażywszy tabaki czmychnął.. Gdzie?.. co?.. Ej to frant!.. krzyk w około. Nie długo się wprawdzie takim kuglarzom tabakierkowym udaje, bo czasem ni z tego, ni z owego przyjdzie chwila stanowcza, gdzie niema czasu sięgnąć po tabakierkę, gdzie powiedzą: — Tu trzeba raz stanowczo powiedziec, godność osobistą zachowac; pereat mundus, fiat justitia!.. precz z bawełnianą duszą, z której dobre koronki, antulażyki, i inne figielki; tu trzeba duszy ze stali; nie idzie tu o to, ażeby się klócić, bic, rozpoczynać awantury, krzyczeć „niepozwalam“ a uciec za bagaże, ale z powagą, choćby w milczeniu stać na miejscu, i zdanie swoje bez fanfaronady, bez tragicznej komiczności powiedziec jasno i wyraźnie, gdyby nawet to zdanie powiedziane rozrywało włos, trzymający oręż Damoklesa nad głową — wtenczas tabaka nie pomoże, anekdota nie zbawi, wąs nie otuli sromu, długa suknia nie okryje zajęczych uszów, albo, co broń boże, lisiego ogona!..

Owóz widziecie państwo, ile to tych tumanów, i gdzie się to oni nie kryją, by z nienacka wystrzelic, i odurzyć nieboraków, którzy na tych kuglarzach składają zwykle nadzieje swoje; a że wspomniałem o wąsach i sukniach, więc muszę dodać, że i temi tumanami nie jeden. Musi to być jeszcze zabytek Pinetego nauki, który raz przed jakiegoś tam króla powołany, a obrażony okazywanem mu niedowierzaniem, jak puścił tumana, tak i najjaśniejszy, i cały orszak otaczających go oświeconych i jaśnie wielmożnych postrzegł z zadziwieniem, że wszystkie ich mundury ponikły, a zamiast szlif i sznurów wisiały szynki, kiszki i kielbasy... I u nas bywają kuglarskie maskarady!.. Suknia nic nie stanowi zapewne, ale serce, które pod tą suknią bije; mniejsza o drewniany futerał, byle barometr dobrze pokazywał; a przecież byli tacy, którzy wąsami i kontuszem puszczali tumany głupiej szlachcie. Siła ciała może zaiste siedziec w długich włosach Samsona, ale kto ma siłę duszy, ten bezpiecznie może ogolic i wąsy i głowę nawet!.. Śmieszne to było zaprawdę, śmieszne, gdyby nie było smutne, jak się nagle wzięli do tych przebierań; niejedni wąsy swoje nosił w kieszeni i dobywał je lub chował stosownie do ludzi, z którymi rozmawiał; kontuszowy z rana, wieczorem poły frakowe rozrzucał przy niskich ukłonach: szlachta, po ulicy chodząca, dziwa widziała w tej kontuszowej encie, jak gdyby szerokie poły tego stroju nie kryły nieraz brudu, śmieci, wyżebranego lub wydartego złota, krwi i fałszu co niemiara... A jeżeli który z tych kuglarzy złapany był między dwa ognie, niż tyłem do braci szlachty, a przodem do jasności jakiej: biedny szlachciec za długą fałdzistą połą z tyłu, nie widział tych pokłonów, krzywień się podtych, spojrzeń poddańczych jakie przód odbywał; i odszedł zadowolniony z czerwonych butów, i z końca karabeli wystającej z tyłu swem jaszczurowem zakrzywieniem, choć z przodu wyglądała może referatem, lub przedstawieniem jakim pokornem...

Ale przestańmy już, zdaje mi się, że dosyć powiedziałem, aby dać do zrozumienia, że ja ludzi oszukujących nazywam kuglarzami,

a środki jakich używają puszczaniem tumanów. Jeżeli nie znudzitem dotąd, proszę z sobą do kancelarji kuglarskiej; tam poznamy nowe postacie, należące działaniami swemi, chęciami i całym usposobieniem tak do tej powieści, jak i do tej półrozprawki o kuglarstwach i kuglarzach.

OBRAZEK PIĄTY.

Kancelarja kuglarska.

W pokoju, który tak jest obszerny, przestronny i widny, że mu tylko brakuje posadzki woskowanej, muzyki i wesołych gości grona, aby się wydał salą balową, siedzi pięciu mężczyzn przy tyłuż stolikach zawalonych papierami w fascykuly powiazanemi, i innymi świeższymi starannie złożonemi w owe stopy wysokie, które okalają każdego z piszących jakby wieńcem godnym tych głów, z których syją się martwe słowa prawne, ożywione sztuczmem i nakręcanem dowolnie życiem formalności prawnych...

Prawdziwie, ilekroć wejdę do kancelarji wziętego w świecie adwokata, i spojrzę na te akta popiętrzone jedne nad drugimi, przychodzą mi na myśl stopy galwaniczne nieme i nieruchome na pozór; niechże tylko myśl prawnego wykretu wystrzeli z głowy prawnika, konduktorem pióra dotknie się papieru wiążącego się tyśiącznemi niewidomemi drutami prawniczych stosunków z owemi aktami; i wnet wyleci iskra, z fascykulu w fascykul przelatuje, rośnie, zwiększa się, aż gdzieś piorunem uderzy w czyjeś ciche, spokojne życie na ustroniu, i wali wszystko w koło niego, zabije szczęście i spokój domowy, pogruhocze wszystkie najmilsze otaczające go związki, ogłuszy, odurzy, obedrze i zabije pomału, powolną i męczącą śmiercią nędzy. Broń Boże, bym to twierdzić śmiał o każdej kancelarji prawniczej; są bowiem prawnicy, choć wyznać trzeba, że takich nie wielu mamy, którzy prócz głowy prawnej, mają co więcej i serce prawe, a jeżeli z ich pracowni wyleci kiedy piorun, ten pokierowany sumiennie i oględnością przezorną, pada tylko na winne głowy; a dla niewinnych mają oni w aktach swoich i róg obfitości, którym chętnie syją, nie zostawując sobie jak tamci same owoce, a klientom łupiny, ale dadzą im, co najpiękniejsze i najświeższe: i piorun nim wystrzeli, długo bronić będą konduktorami ugód dobrowolnych, pojednań, układów przyjacielskich, kończących się przy kieliszku z ręką przy sercu, a słowem szczerości w usciech. Czesć takim, to są prawdziwi lekarze ran towarzyskich; dotknięci leczącą ręką choć zabolą, ale się wnet zagoją przy pomocy umiejętnej sztuki; tamci przeciwnie są szarlatani, dla których każda ręka odcięta, noga odpiłowana, rana zgangrenowana, każdy trup na smętarz wyniesiony, o tyle tylko znaczą, o ile prędzej i więcej przyniosą grosza do kieszeni.

W owym tedy pokoju ściany były ustrojone w pulki, a na nich fascykul koło fascykulu; spoczywało ich bez liku, a każdy ubrany

w mundur z grubego bibułowego papieru, oznaczony numerem i nazwiskiem odrębnem. Są tam po większej części same dzieła umarłe lub uśpione letargiem chwilowym, póki nowa jaka potrzeba lub przypadek nie zajrzy do środka, w chaos nie rozrusza, i nowego z nich nie utworzy świata, pełnego różnych nieprzewidzianych zdarzeń. I spokojnie leżą te akta jedne obok drugich, choć za żywota ścierały się nieraz w najnamiętniejszych ruchach, jak pomniki nieprzyjaciół na wspólnym smętarzu. Nawojowawszy się położyły się, i jedna rodzina molów czy robaków toczy, te ich tyle burz dawniej rodzące wnętrzości. A gdyby je przeczytać, i razem te wszystkie prawne zdarzenia w całej prawdzie wyprowadzić na jaw, ileby to się wynieło powieści okropnych, z niewymyślonem zakończeniem, ale prawdą; ile nauk moralnych wypłynęłoby z niejednego fascykułu; ile zdań zmienionych o ludziach, których pomniki kłamią szumnym epitafeicznym stylem, a processowe akta z ubogim sąsiadem lub krewnym bez protekcji od czci i sławy odsadzają; ile kuglarstw majątkowych, za pomocą których potomkowie towarzyskich rozbójników wyszli na ludzi z herbem i znaczeniem; ile tam prawd żywych dawniej w fałszywe prawnicze osnutych, jak je teraz pajak swobodnie obwija w sieci swoje, aż mi na myśl przyszło, co jakiś nieboszczyk filozof powiedział: że prawa są jak pajęczyna — mała mucha złapie się, a wielka rozerwie i przeleci...

Z tego stanowiska biorąc rzeczy, pajęczyna może być godłem wszystkich prawniczych kruczków, w których dzisiejsi prawnicy tak się wydoskonalili, iż każdy z owych krętowiczów wydaje mi się w swojej kancelarji jakby pajak wielki, snujący sam z siebie płataninę niciową, łapiącą nieostrożnych. Smutny i brudny był widok tej sali, zaciemnionej wystającami zewsząd stosami papierów; a nie-mało do przykrego wrażenia przykładał się zapach właściwy wszystkim podobnym kancelarjom, zapach przykry ze zbutwiałych papierów pochodzący, który czy przez podobieństwo woni, czy podobieństwo myśli przypomina zapach starych grobów podkościelnych. Wszędzie widać w tej sali ślady zaniedbania i brudu, które, o ile mi się zdarzyło uważać, bywają najczęściej termometrem moralnego usposobienia panów prawników, jak gdyby brud serca i zaniedbanie wszelkich uczuć lepszych widomemi występowały znakami. Dawniej osobiwie należał nieledwie do konieczności adwokackich ten nieład; pajęczyna i proch po stolikach pokrajanych w zygzaki scyzorykami pisarzy, powalanych arabeskami piór probujących, i śmiecie z rozmaitych kątów miasta znoszone na podłogę. Dzisiejsi adwokaci wzięli się do porządniejszego przystrajania kancelarjów swoich, lecz krętowicze, prócz małych wyjątków, zostali przy dawnym nieporządku.

Z czterech pisarzy siedzących po bokach sali paliło trzech lulki, tanim i śmierdzącym tytuniem nieustannie napychanych i ciągle wyczyszczanych na podłogę; piąty na środku siedzący przy stole olbrzymim, drewnianą galeryjką otoczonym, palił cygaro, z którego sypiący się popiół padał na stół, na papiery i na podłogę. Dym wychodzący z tyłu ust i lulek wznosił się kłęбами po nad głowy piszących, co nie mało przykładało się do zaciemnienia i okoplenia

tej i tak nigdy niepobielanej sali. Wyrazy siedzących pisarzy mają wszystkie prawie jeden odcień odrębny obojętnej ciekawości, wyciągającej potrzebne wiadomości z owych aktów nieprzeliczonych. Od czasu do czasu ożywi je wyraz fałszywy... to nadzieja zysku bocznego... albo znowu z oczów wystrzeli wyraz zyzowaty... to są zazdrośne spojrzenia pracujących, z których jeden drugiemu zawadza czy większą zdolnością, czy większym faworem u pryncypała lub przynajmniej u starszego dependenta. Jest to ów suchy pracą pobladły młodzieniec, z czerwonymi jakby krwią zasłoni oczyma i ogromnymi faworytami rudawemi, któremi, jak czasem wpuści twarz w szeroko zawiązaną chustkę u szyi, tak się osłonić potrafi, iż żadnego z niej wyczytać nie można wyrazu. Ważniejszą znać pracą zajęty, albowiem sparłszy się na rękę zdaje się myśleć nad kilku rozłożonemi papierami, jeden z dependentów ustał w pisaniu, pod pozorem naprawiania pióra, i porwał za scyzoryk; to było hasłem dla drugich; wszystkie pióra się popsuły, i przez chwilę słychać tylko było głos strugających pióra; czasem tylko jeden lub drugi rzucił przelotne spojrzenie na ulicę, ożywioną przechodzącami i słońcem.

Obejrzał się starszy pisarz z ruchem niecierpliwości. — Panie Piaszczyński, robota, którą dałem dziś do skończenia, jest pilną; czas już zakończyć, a dziś termin na oralnych procesach.

— Zaraz, zaraz, panie Replicki, ale chciałem pierwej skończyć akcję dla pani Nędzarskiej.

— To głupstwo! to bzdurstwo!...

— Już siedem było delacji! — odezwał się trzeci.

— Panu Ignacemu coś pilno idzie o ten interes; czynić będzie to jak z Berkiem, który trzymał staw od pana Piernickiego... gdyby nie łaskawe względy pana łaskawego...

— Pan Antoni lepiejby milczał, a kończył już raz podanie do szparkassy dla pana Choińskiego, bo jużci ten nie darmo coś tam szportał przy stoliku, jakby tam co kładł...

— Ha! ha! ha! — rozśmiał się piąty.

— To godziwe, bo mu ten interes pryncypał sam odstąpił...

— Wszystko to dobrze, ale proszę bardzo, by pan Piaszczyński porzucił to blażeństwo Nędzarskiej; wezmę dzisiaj ósmą delację...

— Ale mnie się zdaje...

— Niech się panu nic nie zdaje, tylko to co ja... to jest w imieniu pryncypała powiem.

— Głupia baba! myśli, że nie mamy co lepszego robić, tylko windykować jakieś tam trzy tysiące kiepskich...

— To nawet wstyd, dla takiej kancelarji jak nasze...

— Gdzie najpierwsze robią się interesa.

— I proszę pana; rozbeczała się tu kiedyś przed naszym pryncypałem, że niema z czego żyć, ależ ją wyśmiał... Cha! cha! cha! aż się spłakała...

— Dalipan dziwni ludzie na tym świecie!...

— A Czapllickiego jak tam stoi interes; wszak to pan Piaszczyński miał sobie przydzielone... <http://rcin.org.pl>

— Ej to także nie pilne... jakiś chudeusz, piechotę chodzi, i diabła nisko się kłania...

— To dowód oczywisty, że ciężko goły...

— I nawet pryncypał cierpko mu odpowiadał, a więc myślałem...

— Niech pan nie myśli, tylko to robi, co mu się każe...

Czaplickiego interes trzeba zaraz skończyć...

A z okna do okna jeden drugiemu pokazał na migi, z kąd taka czułość dla tej sprawy; aż drudzy parsknęli ze śmiechu...

— Co ja mam robić z Letyckiego interesem? już prawie ukończony; możnaby dzisiaj...

— Nie trzeba, nie trzeba! pan Bazgralski, przyjaciel naszego pryncypała, a adwokat przeciwnej strony, prosił, żeby to tak jakos.. rozumiesz pan...

— Ale dokument jak byk.

— Dokument! dokument!...

— U nas złożył... jest w aktach!...

— Gdzież tam! mieszasz się nie do swojej rzeczy; niema go; gdzieś się zadział... przynieś pan ten plik i połóż na moim stoliku...

Wtem ozwał się dzwonek z głębi drugiego pokoju; pobiegł pan Replicki do pryncypała pobierawszy z różnych stolików przygotowane już papiery do podpisu. Wejdzmy za nim, i przypatrzmy się samemu panu Krętowiczowi, usadowionemu w wygodnem poręczowem krześle przed stolikiem, tak zawalonym papierami rozrzuconemi w około, nawet po ziemi, że ledwie z nich wystawała lysa głowa pana adwokata. Była to jedna z tych głów, które na pierwszy rzut oka wydają się mało znaczącemi, bo rysy są pospolite, uczucia zaś nijakie; bo namiętności, i wszystko co tam wre we środku, przytłumione zimnym rozsądkiem, nic się więc na wierzch wydostać nie może, prócz uśmiechu wiecznie jednego przy dobrym czy złym interesie. Czasem tylko, gdy się myśl rozrusza w głowie, i dla potrzeby zacznie śledzić za jakim nowym wykrętym, oczy jego małe, krzywo osadzone, barwy niepewnej, siwawej, zaiskrzą się tak przeraźliwie a razem tak przezornie, że nic nie odsłaniając świdrują się w środek rozpowiadającego sprawę. Widać ślady pracy na twarzy żółtej i nalanej; tu i owdzie czerwieniące się żyłki, zdają się dowodzić, że nie jest nieprzyjacielem dobrego jada, a osobliwie dobrych napojów. Lecz i w tem niema owych rozmaitych w trąd wpadających śladów, szczerzego zamilowania w pijaństwie, jeno ukradkowe płamki świadczą, że umysłowa praca przeważa chętkę do trunków.

— Nic nowego? — zapytał głosem tak jednotonnym, jakby się bał którekolwiek z mówionych słów odznaczyć silniejszym przy-ciskiem.

— Niema nic!... była Nędzarska.

Krętowicz skrzywił się.

— Letycki dowiadywał się...

— Był Abramko faktor.

— Co mówił?...

— Młody Dzielecki szuka pieniędzy.

— Na zastaw?...

— Nie!... na weksel!...

— A wiele?...

— Tysiąc dukatów!...

— Można znaleźć, ale nie można pod moim nazwiskiem dawać... bo to ten interes z ojcem jego... wiesz?...

— Co to skrypt?...

— Tak, co to skrypt nieboszczyka jego szwagra wynalazł się na pięć tysięcy dukatów.

— Ależ Lisiecki adwokat przeciwnej strony strasznie krzyczy, chce dowodzić...

— Furda panie! skrypt oryginalny z własnoręcznym podpisem na papierze stęplowym...

— To prawda! — odrzekł Replicki, i spuścił oczy tak skromnie jak dziewczynka niewinna.

— Więc uważasz, że nie mogę własnego używać nazwiska w sprawie z synem, dopóki nie odbierzemy na ten skrypt pieniądze na rzecz starego Dzieleckiego; pieniądze będą u mnie; i cóż sprawiedliwszego, że ojciec zapłaci za syna... a przy tem trudy, ekspensa prawne...

— Więc faktorowi mogę powiedzieć...

— Już to procent jak w tamtym wekslu... po sześć od sta...

— Rocznie?...

— Czy drogi pytasz, czy udajesz, mój Replicki...

I dowcipnym rozśmieli się śmiechem.

— Więc i inne dłużki Dzieleckiego możnaby wykupywać...

— Zapewne; dobre to pieniądze...

— Na wekslu może można dać jedno z nazwisk użytych w wekslach pana Aleksandra?...

— Pułkownikiewicza! cha! cha!...

— A jeżeliby jakim przypadkiem skrypt się nie utrzymał...

— Starego Dzieleckiego cały prawie majątek po żonie... dokumenta o tem są tu... tu... u mnie...

— I od pani hrabiny Felickiej przychodził kamardynier, i powiedział tylko — „dobrze“!...

— Dobrze! dobrze!... wiem, wiem... to idzie o podpis.

— Podpis? — ciekawie zapytał Replicki.

— A tak, podpis jednego dokumentu. Ale słyszę, że ktoś idzie... wracaj Replis do roboty; a jeżeliby nadszedł Lisiecki, bo ma tu być dzisiaj, dla widzenia skryptu owego, to go zagadaj przy drugim oknie, bo to ciekawa sztuczka, zaraz się sadowi koło drzwi z swoim wielkiem uchem.

Była to ranna godzina, a więc, jak mówi niemieckie przysłowie, niesie złoto w usciech. To przysłowie niezawodnie dla adwokatów wymyślone, bo ci, jak zaczęła wykręcać ustami, zawsze im coś złota kapnie. Jakoż wszedł pierwszy z kolei pan Mrugalski, jeden z najznakomitszych kuglarzy tegoczesnych, a przyjaciół od serca pana Krętowicza, bo to, jak powiadają, zawsze się zdybie... wielki człowiek z wielkim człowiekiem.

Był to kusy człeczek, którego twarz prócz nosa zadartego i ciągłego typania oczami, była równie pospolita jak twarz doktora obojga praw, co nawiasem powiedziawszy, znaczy: tak prawa prawnego, jak i prawa nieprawnego. Jedna tylko różnica między nimi, że o ile pan Krętowicz starał się zatrzymać w głębi wszelki wyraz, mogący się dobitniej odmalować na twarzy, o tyle pan Mrugalski starał się dodawać rysom swoim wyrazu dowcipnego i sprytnego: natwarzy prawnika była ciągła zagadka, na twarzy zaś Mrugalskiego ciągle odgadywanie. Z tego proszę sądzić, co to za nieodgadniona istota ten wszechstronny tuman; obaj są kuglarze, obaj tumania świat, a przecież u jednego tuman w milczeniu twarzy, drugiego zaś, przeciwnie, w ciągłej gadaninie twarzowej; a obydwaj dążą do celów podobnych: jednego głównym jest celem złoto, a drugiego sława; jeno że pierwszy dąży szczerze i wprost do złota, za które wie, że kupi wszystko, a drugi przez balon sławy i łódkę wziętość do złota także, a przynajmniej do oczyszczenia majątku dobrze zaszarganego. Przywitani się, ale nie poufale; poufałość bowiem zostawiają dla ludzi głupio cnotliwych, którzy mogą rozmawiać sercem na oścież otwartem; przywitani się, że się tak wyrażę, jak Farmazoni poznający się po pewnych znakach, bym nie powiedział jak złodzieje, po znajomem gwizdaniu; do poufałości trzeba mieć szacunek, którego obaj nie mają dla siebie.

— Cóż tam słyhać? — zapytał Krętowicz z twarzą zupełnej zagadki.

— Czy jedno na świecie! — odpowiedział Mrugalski z twarzą, która niby wszystko w świecie odgadła — wiadomości mnóstwo!..

— Ale czy dobre?..

— Jak dla kogo.

— Pan ze wszyskiego umiesz coś dobrego wyciągnąć.

— A pan na dobre nakręcić.

Któżby wąpił, że ci ludzie się znają tak dobrze, jak koniarze na jarmarku.

— Cienkie teraz czasy, polubowni sędziowie grabią nas; — rzekł z uśmiechem niby obojętnym, ale trafiającym w gwoźdź, bo pan Mrugalski był sławnym sędzią kompromisarским.

— Polubowne sądy, panie dobrodzieju, to są lekkie potyczki, gdzie więcej dymu i wrzawy niż trupów; procesa, panie to są stanowcze bitwy — i dodał w końcu wyraziste łypnienie, które nic nie mówi, ale tłumaczy wiele.

— Czy może jaki procesik przypędza pana do mnie?

— Gdzie tam! niemam czasu..

— A rozumiem! pan jesteś na czele składki!..

— Kłopotów huk, strata czasu, a tu człowiek ma swoje interesa zawikłane; lecz cóż robić, trzeba się poświęcać...

— Dla dobra ogólnego! to bardzo pięknie...

— Oba w swoim zawodzie pracujemy dla cudzego dobra... to mi właśnie przypomina, że nie powinienem nadużywać chwil drogich; w krótkości więc panu Dobrodziejowi powiem, chciałbym jakim spo-

sobem pozbyć się owych... pan wie ten dług... trzy tysiące dukatów, żeby mi nie wleźli do wioski.

— Zapewne, ale teraz trudno o pieniądze, i to jeszcze o taką ilość...

— Oj co trudno, to trudno; człowiek prawdziwie pracuje jak wół; nie doje, nie dospi; ujmuje sobie najpotrzebniejszych rzeczy...

— Trzy tysiące dukatów, to pieniądze — przerwał pan Krętowicz z wyrazem dobroduszości na twarzy.

— Ja to jakoś zebrałem, wpół darmo przedawszy wódkę, zboże, woliki i co Bóg dał.

— A to pan ma już gotowe pieniądze...

— Tak prawie jakbym je miał!...

— No! bardzo dobrze, ja panu nic odmówić nie mogę, i choć prawdziwie czasu nie mam, ale trzeba będzie ułożyć się jakoś z kredytorem; sprowadzę adwokata do siebie; pan jutro niech przyniesie pieniądze...

— Toby było najmniejsze, tylko że jabym chciał to...

— Może odłożyć jeszcze?...

— Nie, panie kochany, ale mi się zdaje, że najlepiej byłoby nabyć tę sumę od kredytora za pomocą cessji pod innym nazwiskiem.

— To zbyt cenne! lepiej może poprostu...

— Uważa pan, to zaraz narobi hałasu, że ja mam pieniądze, a ja tego nie chcę...

— Więc to pan tak chce zrobić, jak przed parą tygodniami z tamtymi dłużnikami... ażebym ja pobrał cessję na siebie... tylko że to mi nie na rękę.

— Oczywiście procencik jak zawsze tak i teraz, należy się panu słusznie...

— Ja panu nie odmówić nie mogę; ale wie pan, ja przecie prawnik, a jakim uczciwy człowiek, nie mogę pojąć przyczyny?...

— Zartujesz!... pan byś nie miał rozumieć... ot między nami powiedziawszy, ludzie są złośliwi, gotowi bo rozpowiadać Bóg wie co o źródłach, z kąd mam te pieniądze...

— Zaczynam rozumieć; pan masz składkę i to nie małą... a bez rachunku podobno... he he!...

— Pan wiesz, co to są złe języki?...

— Gotowiby powiedzieć, że pan Dobrodziej — przerwał i dokończył reszty mimiką palców...

— Nieuwierz pan, co to są za złośliwi ludzie; pamiętam jak jeździłem do Petersburga w tej sprawie hrabiego Diczewskiego, napletli, że ja przy tej sposobności grube pieniądze zarobiłem; a ja mogę na sumienie zaręczyć, że nie wróciły mi się nawet koszta podróży...

— Pamiętam; to wtenczas było, kiedy pan tysiąc dukatów swojego długu nabyłeś na cudze imię.

— Podobno, podobno!... więc jutro.

— Jutro o dziesiątej zrana.

— Prawdziwie nie umiem dosyć podziękować; niechże pan nagotuje wszystko, i cessję i retrocessję... o mnie ani wzmianki.

— Ani słóweczka... do widzenia się...

— Do widzenia się.

Wyszedł pan Mrugalski, i poleciał prosto do komitetu składkowego z pełną kieszenią listów i wiadomości rozmaitych, z których wyraźnie okazywało się, że potrzeba podwoić składki obywatelskie; a każdemu z zasiadających jak coś szepnął, jakoś tytnął, rozwiązały się sakiewki obywatelskie i syknęły się różne monety, które pan Mrugalski przyjmował z niesmakiem, bo to mu przykro, że bez rachunku, na który jakoś nigdy czasu nie było.

Wszedł tymczasem do zacnego Krętowicza drugi z kolei, szlachcic wysoki, dosyć pucułowaty z wiecznym rumieńcem na twarzy, a choć nie przesadziście otyły, przecież widać, że doskonale mamałygą wypasiony.

— A pana Dobrodzieja!...

— Witam; ja na krótką tylko chwilę przychodzę, bo wiem, że kochany komornik niema czasu.

— Dla pana Dzielickiego mam go zawsze dosyć.

— Jakże, panie komorniku, stoimy z nieboszczykiem szwagrem..

— Nieboszczyk spoczywa w grobie, a żonka zabrała cały majątek...

— To jednakże niegodziwe prawo jakieś; przecież ja po szwagrze powinienem wziąć majątek?

— Nic sprawiedliwszego.

— Więc możeby proces zrobić, panie komorniku?

— Dla mnie i owszem, to woda na mój młyn, ale ja pański przyjaciel nie radzę daremnych wydatków...

— Ależ przecie choć cokolwiek urwać.

— Żeby tylko można.

— Przecież pan komornik ma głowę.

— Już nie wiem, gdzie ona siedzi; wlałem w to głupie kupno, ztąd interesów mnóstwo mam.

— Gdzie tam głupie; miasteczko i siedem wsi, ja to znam dobrze, w doskonałej glebie, transport niedaleki i zawsze jest kupiec.

— Zadużyłem się po uszy; ot teraz potrzeba mi tysiąc dukatów koniecznie, a tu choć płacz!..

— Żeby się nam tylko ten skrypt udał, co to go pan komornik gdzieś tam wynalazł...

— Pan Dobrodziej właściwie wynalazł, bo mnie naprowadził na drogę...

— Jeżeli tedy da się od pani szwagrowej wyrwać pięć tysięcy dukatów, jak już mówiłem, tysiąc pięćset przy komorniku zostanie...

— Żeby to ja miał czas; a potem pan Dobrodziej zna się doskonale na tuczeniu wołów, jakoś słyszałem, że ostatnie stado było najlepszą na targu ołomunieckim... ale na podobnych sprawach nie a nic nie rozumiesz... i nie tak mi to idzie o ten zarobek, który jest w sperandzie; ale że potrzebuję dziś jeszcze tysiąc dukatów... chyba może pan Dobrodziej użyje sobie innego adwokata do tej sprawy?

— Ależ mój Dobrodzieju, ja w nikim niemam wiary tylko

w tobie, panie komorniku.. gdyby tak można zbyć dwiestu dukatami, to choćbym miał pożyczyć...

— Nadaremnie, mnie dziś tysiąc dukatów gwałtownie potrzeba.

— Może pięćset.

— Ale nie! nie!.. tysiąc, albo nic!..

— Ale jak się nie uda?

— A to pięknie! pan żartujesz ze mnie... mam tu skrypt... własną ręką nieboszczyka pisany i podpisany... a zresztą, jak mówiłem, inny może adwokat...

Wtem otworzyły się drzwi do połowy, i ukazała się przez nie głowa starozakonnego z dowcipną twarzą, wielkimi rozrzuconemi pejsami i bródką czarną, którą czas zaczynał przysypywać śniegiem.

— Jegomość daruje, że ja bez meldunku przychodzę, ale ważny interes.

— Pewnie o te nieszczęśliwe tysiąc dukatów... widzi pan Dobrodziej, to tak ciągle; spokoju nie mam do pracy.

— Tak! tak! Jegomość, o tysiąc dukatów — i zbliżając się dodał w ucho komornikowi: — już tam wszystko napisane, sześć procentu miesięcznie, i zapis na matczynym majątku.

— Dobrze już, dobrze! — krzyknął Krętowicz z udanym fuknieniem — ciągle mnie nudzisz.

— Cóż robić, mój Jegomość, bo to pieniądz uważa Jegomość, zawsze pieniądzem...

— Jabym zresztą — ciszej mówił Dzielicki — dał tysiąc dukatów naprzód, ale żeby tylko z tym skryptem...

— Jak się panu podoba myśleć i robić...

— Ja wierzę, wierzę; ty komorniku jesteś sama uczciwość... o tu jest weksel do Hausnera na tysiąc dukatów...

— Dziękuję panu Dobrodziejowi... na masz Abramku; a Replikki niech tam podpisze wszystko.

— Kiedyż zaczniesz działać z tym skryptem?

— Dziś jeszcze będzie tu u mnie Lisiecki, adwokat przeciwnej strony; pokażę mu skrypt, który jest sporządzony najformalniej, a pewien jestem, że go sam przyzna.

— A więc do widzenia się.

Już się zabierał do wychodu, gdy się znowu drzwi otworzyły i weszło nowych kilka osób, z pomiędzy których jeden osobliwie odznaczał się postawą i twarzą wyróżniającą się od drugich.

Był to człowiek w sile wieku jeszcze, wysoki, chudy ciałem, ale za to grube i sterczące wszędzie kości, samemi żyłami obciągnięte, wydawały siłę niepospolitą. Twarz miał brzydka w całym tego słowa znaczeniu, lecz było pełno na niej wyrazu jakiejś uporczywej, nieugiętej i nieubłaganej mocy duszy, która czy strzelała z ciemnych jak węgiel oczów, łyskających przenikliwością, czy spoglądała z nieruchomie pofalowanego czoła wysokiego, kwadratowego, zawieszzonego między lasem czarnych kędzierzawych włosów i krzaczystemi brwiami, czyli spoczywała na tym wielkim, prostym, a grubym nosie bez zwykłego zaokrąglenia kształtnego, czyli też wyzierała z tej śniadej bezbarwnej prawie skóry, na szerokich koscicach rozciągniętej, czy

z uśmiechu twarzy przenikliwego i szyderczego razem, który zdawał się być nieruchomie do twarzy przykuty, niewiedzieć; ale kto raz na tę twarz spojrział, musiał zrozumieć od razu, że ją ani litość, ani przyjaźń, ani miłość poruszyć nie potrafią, że o jej żelazną i zimną wolę wszystko rozbić się musi, jak miękka fala o gład twardej. Spojrzenie, jakim się zdybali nowo przybyły z Krętowiczem, było wzorowe, malujące dostatecznie obydwóch; Krętowicza spojrzenia ukradkowe, z przymrużonych oczów wylatujące, ślizgały się tylko po twarzy pana Lisieckiego; to był bowiem oczekiwany adwokat szwagrowej pana Dzielickiego, gdy przeciwnie spojrzenia tego zdawały się wnikać w twarz naszego komornika. I głos przybyłego odpowiadał całemu ułożeniu; głos był gruby, nieokrzesany ani uczuciem, ani względem na przyzwoitość.

— Przeszedłem tu z temi panami jako świadkami do wiadomego interesu; chcemy widzieć ów skrypt, o którym na oralnych procesach mówileś pan. — Co powiedziawszy, obejrzał się na pana Dzielickiego, który zmieszany, to blednął, to czerwieniał się pod przemocą spojrzeń dobitnych, do celu trafiających pana Lisieckiego.

— Witaj, witaj, kochany kolego! rad jestem, że choć tej sposobności winien jestem odwiedziwy pańskie.

— Nie mam czasu na próżne wizyty.

— Prosiemy o skrypt ś. p. męża mojej klientki.

— Trzeba wiedzieć — mówił Krętowicz w pół obrócony do świadków przyprowadzonych — że przytomny tu klient mój po śmierci szwagra swego, który mu zawsze obiecywał zostawić testamentem cały swój majątek...

— Ten był dawno zabezpieczony dla żony zapisem na przeżycie; idzie tu tylko o skrypt.

— Mój klient mając taką nadzieję, a nie wiedząc o zapisie wzmiankowanym, długi czas nie chciał występować ze skryptem, o którym myślał zresztą, że jest dobrze znajomy żonie ś. p. pana...

— Nie wiedziała o tem nigdy, i wiedzieć nie mogła, bo ten skrypt...

— Był się tymczasem zatrząsł — przerwał prędko pan Krętowicz — wszak tak, panie Dobrodzieju? — dodał zwrócony do klienta swego.

— A tak, pan komornik mi przypomniał...

— ze skryptem można urwać część majątku.

— Poszukawszy tedy w papierach swoich, znalazł nareszcie wspomniany skrypt na pięć tysięcy czerwonych złotych.

— Panowie wiedzą już o tem wszystkiem przezemnie; proszę o pokazanie skryptu.

— Ten skrypt znajduje się w rzeczy samej u mnie, powierzony mi przez szanownego klienta mego, i chociaż pokazanie onego nie znajduje koniecznem...

— Jak się podoba, więc pójdziemy.

— Jednakże nie chcąc odmówić przez grzeczność...

— Bez grzeczności; okazania dokumentu mogę żądać prawnie.

— Nie odbiegam od tego, i gotów jestem.

— Czekamy.

— Oto jest! — co rzekłszy dobył papier i złożył w ręce jednego ze świadków.

— Zbliżyli się wszyscy, i papier przechodził z rąk do rąk; wziął go nareszcie pan Lisiecki, i oglądał na wszystkie boki z zimną obojętnością.

— Podpis doskonale podpisany, niema co mówić; pieczęć herbowa, ani słowa — formalności zachowane; widać, że pisał człowiek prawny. Nie mam co powiedzieć, jest skrypt, i to nie na żarty na pięć tysięcy dukatów.

— Więc... i wyciągnął pan Krętowicz rękę po skrypt.

— Lisiecki przystąpił do okna, rozłożył papier, i zaczął mu się uważnie przypatrywać do światła... „Tak! tak! — mruknął a przystępując do Krętowicza, dodał w pół głośno — data skryptu jest z roku 1825, ale cóż to znaczy, panie kolego, że w papierze stoi rok fabryczny 1830?

— To znaczy — odrzekł komornik rzuciwszy przenikliwy wzrok na pokazaną datę; wyrwał szybko skrypt z rąk trzymającego, przedał go za sobą, i podarty podał stojącemu koło siebie zupełnie zgłupiałemu klientowi swemu — to znaczy, że taki dowód nie puszcza się z rąk, kiedy się go już trzyma: a więc panowie — dodał z obojętnością zwrócony do świadków, którzy opodal stojąc nic nie widzieli, i nie wszystko dosłyszeli — dogodziłem żądaniu...

— Na ten raz udało ci się — mówił dalej przytłumionym głosem przeciwnik pana Krętowicza — lecz pamiętaj, że cię odtąd będę miał na oku... a co się odwlekło, to nie uciekło jeszcze; przy twoim przedsiębiorczym umyśle, panie kolego... Więc nie mamy tu co robić więcej. Żegnamy — dodał jeszcze i wyszli.

— Cóż to?.. zapytał klient...

— Nie udało się sztuczka pańska — odpowiedział patron.

— Jakto moja?..

— Alboż to dla mnie był skrypt...

— Ale...

— Niema o czem mówić, nie uważałem tych przeklętych numerów na papierze; podrzyj pan, i zapal lulkę skryptem.

— A tyśiąc dukatów?

— Podziękuj mi pan, że moją przytomnością umysłu wyratowałem pana od biedy.

— Ja nic nie wiem, ja nic nie pisałem...

— Skrypt mnie był dany przez pana.

— Ale tyśiąc dukatów...

— Ale ja niema czasu; daruj mi pan Dobrodziej, że ja mu dłużej służyć nie mogę, a spuść się pan na mnie z całym tym interesem, by co gorszego nie wynikło; bo ten Lisiecki, to djabeł, nie człowiek... ktoś puka do drzwi... Bardzo żałuję; żegnam. — Odprowadził wahającego się klienta aż do drzwi i pożegnał grzecznym ukłonem; a z drugich drzwi weszła kobieta grubą zasłoną okryta. Ukłonił się Krętowicz z śmieszna grzecznością, i z pociesznem

uprzedzeniem podał krzesło; podobny był w tej chwili do niedźwiedzia udającego małpę...

— Nie mam czasu do stracenia, i tak boję się aby...

— Mąż się nie dowiedział; nie bój się pani hrabino; do mnie jak do konfesyonału wszystkim wolno: kamerdyner powiedział mi jedno tylko słowo, z którego miarkuję, że pani hrabina zdecydowała się zapłacić za pana Skrzieszkiego wszystkie jego długi.

— Żeby tylko zostało to ukryte... ja dla tego sama do pana na jego wezwanie przychodzę.

— Pomagać bliźniemu nie jest występkiem; i pewien jestem, że nawet mąż pani..

— Dostyc tego! — przerwała z wyrazem niecierpliwości i odrzuciła zasłonę, jakby chciała pokazać, że się nie boi niczego — przystąpmy do rzeczy.

Z szczególnym wyrazem bezwstydnego ciekawości, jeżeli nie brzydszego jakiegoś uczucia jeszcze, wpatrywał się nasz Krętowicz w twarz jasną, pogodną kobiety młodej jeszcze, na której pomieszanie chwilowe, wystąpiło rumieńcem kraszącym rysy świeże i piękne.

— Ja do pana przyszedłam w celu pomówienia o sprawie pieniężnej tylko; moje pobudki nie należą do niej. Pan masz wszystkie papiery w rękę.

— Tak jest, z nie małą ofiarą trudów i kosztów wykupiłem jego wszystkie weksle, na które już wyrobiona egzekucja co do osoby.. ojcu powiedzieć nie można, bo to mogłoby pociągnąć najokropniejsze skutki; ojciec bowiem sprzyjając więcej młodszemu bratu, mógłby go wydziedziczyć.

— Wiem o tem, ale zkądże przyszło panu na myśl pisać do mnie; czy on... Aleksander?..

— Do ostateczności przywiedziony, zaklął się, na wieczne, za-przysiągł milczenie, i powiedział, że ostatnia jego nadzieja w pani, która dając mu już tyle dowodów...

— Przyjaźni!

— Tak, przyjaźni, tak mi mówił..

— Jego matka była przyjaciółką od serca mojej matki.

— Tak mi mówił; napisałem tedy, i śmiałem prosić, byś raczyła sama przyjść, do odwrócenia wszelkich posądzeń: proszę bowiem wierzyć, że choć oddany suchemu zatrudnieniu, mam serce. — A wzrok, którym dokończył przemowę swoją, miał niby potwierdzić to potwierdzenie; ale był tylko śmieszny fałszem, śmieszny jakimś płomykiem rozdmuchanym z popiołu wieku przez piękne oczy, stojącej przed nim kobiety.

— Jakkolwiek było mi w tej chwili niepodobieństwem prawie zebrać tak wielką sumę, zrobiłam to — westchnęła, lica pobladły, a oko zalśniło jakby łzą żalu — I oto jest!..

Pan adwokat odebrał podany sobie pakiet, przerachował i oddając nagotowane już weksle, wyrzekł z wyrazem zupełnej obojętności; — Jest wszystko podług wyrachowania mego.

— Spodziewam się, że wraz z temi papierami, które biorę i listem pańskim, który mi oddaje, wszystko zapomniane na zawsze.

— Na zawsze! chyba, że pan Aleksander znowu zechce długi robić..

— O Boże!.. pan masz władzę nad nim.

— Cóż warta władza moja, jeżeli władzą tych pięknych oczów, władzą tej dobroci anielskiej..

Spuściła hrabina zasłonę na twarz, skłoniła się lekko, i powiedziała: — ufam pańskiemu słowu! — żywo odeszła.

A gdy odeszła, roześmiał się pan Krętowicz w pół głośno — Niech mnie djabli wezmą — mówił do siebie — nie brzydka kobieta; ten Aleksander ma szczęście; gdyby... ale na co mi to... szkoda pieniędzy... Szczęśliwy jakiś dzień dzisiejszy; procencik od Mrugałskiego, co to długi płaci pokryjomu kryjomymi pieniędzmi; lichewka od tego wartogłowa od tysiąca dukatów... ale na co to mu potrzeba było, wartoby się dowiedzieć; tysiąc dukatów... od tego głupca nad głupcy, a tu znowu tysiąc dukatów... Szczęśliwa rzecz jednakże, ta liczba jednakowa dzisiaj!... tysiąc daje ojciec, tysiąc bierze syn, tysiąc płaci cnotliwa hrabina za pana Aleksandra przez przywiązanie do matki... Z tych tedy podział na prędcę; trzysta sobie za koncept i napisanie tych wszystkich weksłów, a siedemset trzeba odesłać panu Aleksandrowi, który tam gdzieś czeka na nie goręcej niżeli na bilecik hrabiny, prawda, że znowu czeka na nie z upragnieniem panna Paulina śliczna nasza śpiewaczka. Cha! cha!.. muszę się śmiać z ludzi, osobliwie z tego Lisieckiego, który mnie tak głupio wypuścił..

Ledwie skończył monolog, aż się znowu drzwi otworzyły, i wszedł nasz dobry znajomy, pan pułkownik we własnej osobie. Szybkiem wbiegł krokiem; twarz jego okryta była potem i pomieszaniem. Nim przemówił, czy to w skutek zmęczenia, czy wewnętrzznego natężenia, usta jego drgały przez chwilę, jakby mówić nie mógł.

— Umarła! — wykrzyknął w końcu — umarła!..

— Kto taki?..

Szambelanowa.

— Bez testamentu?..

— Bez!... więc już po sukcesji.

— Słuchaj komorniku, co tu robić?

— Kiedy umarła?..

— Ot, Aleksander idzie; ten ci lepiej opowie, bo ja powiem prawdę, tak jestem pomieszany...

— Nagłą śmiercią bratowej?

— I to i owo!.. formalnie zgłupiałem, i nie umiem sobie dać rady; a tu ten Aleksander i ten Konstanty... bieda! bieda!.. otóż i Aleksander...

— Wbiegł Aleksander, a oczy jego sypały jadem najzjadliwszej trucizny w koło siebie; twarz jego miała wyraz zabójczy.

— Kiedy umarła?

— Pozawczoraj w nocy, na apopleksję... dał mi znać sztafetą furman jej... podług umowy...

— Któż był przy śmierci? cin.org.pl

— Nikt!.. w karczmie umarła.

— A tenże stary jej sługa, o którym wspominaliście.

— Franciszek nie był przy śmierci, bo w drodze jeszcze zachorował.

— Więc nikt nie był! — syczącym głosem przemówił komornik i zamyślił się.

— Co tu robić, panie komorniku? jabym już przystał, żeby się ten szalony Konstancy żenił z tą poleską gęsią, która cały majątek zabierze..

— Ab intestato!..

— Daj łacinie pokój, i radź!..

— Trzeba było wymódz na niej jakie pismo, jakeście tam byli.

— Zapewne! dobrze ci mówić; pilnowało tam starej baby, jak skarbu jakiego dwóch szatanów.. Jednego djabli wzięli, ale drugi za to.. ojciec tej kochanki brata mego.

— Więc, panie komorniku, niech się żeni Konstancy.. prawda?..

— Niech się żeni.

— Nie! nigdy na to nie pozwolę — i przyskoczył do ojca — jemu cały majątek, a mnie co? mnie starszemu bratu zadłużone dobra; bo darmo ojciec kryje przedemną stan swoich interesów.. są długi!..

— Sa! — westchnął pułkownik.

— Ale może pan Konstancy robi udział.

— To cielece serce i cieleca głowa!..

— Kocha się jak żak jaki, wszak chwalił się przedemną, że jej zostawił na każdy przypadek zapis całej tej spuścizny..

— Więc gdyby nawet szambelanowa panu pułkownikowi była zapisała..

— Toby mógł Konstanciego wydziedziczyć.

— Mojego syna?..

— Chcesz ojce, żebym sobie w łeb strzelił.. i ja mam długi..

— Cóż tu poradzić; może by porucznikówna..

— Wstydź się ojce, tworzyć takie sobie urojenia; ja ją znam, ona grosza nie odstąpi, ani wam, ani mnie, ani temu durniowi Konstancemu.

— Aleksandrze, opamiętaj się.. to twój brat!.. to mój syn!..

— Winszuję... winszuję... nie, to być nie może!..

— Poradź, panie Krętowicz!.. a dwa tysiące dukatów tobie!..

— Te dobra przynosiły za dawniejszych czasów, jak wiem z aktów działowych..

— Wiele?..

— Sześć tysięcy czerwonych złotych czystego dochodu..

— Więc masz jeden roczny dochód! tylko radź!..

— Gdybym mógł poradzić, warto by i dziesięć tysięcy.

— Dobrze!.. ale maszże radę?

— To się tylko tak mówi.

— Widzisz Aleksander, trzeba żeby się żenił Konstancy.

— Słuchaj ojce!.. znasz mnie, że co powiem, to zrobię; je-

zeli Konstanty pojedzie żenić się z tą gąską, nim więc na złość mnie panem zostanie.. to.. to.. jak psu strzelę w łeb!..

— Aleksandrze! Aleksandrze! — krzyknął pułkownik i wziął się za głowę.

— To są ostateczności... więc nikt nie był przy śmierci?..

— Nikt! nikt! już mówiłem.

— Gdyby tam kto był wówczas, to może byłaby zrobiła ustny testament „testamentum nuncupativum“, jak my to nazywamy w języku prawnym.

— Jesteś szatańsko nudny!.. ależ tam nikogo nie było, bo baba zrobiła wotum, ażeby sama jedna wędrowała gdzieś tam po świętych miejscach. Komorniku, ty masz głowę, a dziesięć tysięcy dukatów wykrzeszą przecie z niej iskrę.. wszak prawda ojczy, że damy mu 10000 dukatów?.. tylko nie gniewaj się ojczy na mnie, bo ja jestem w rozpacz, bo ten Konstanty mnie nie cierpi..

— On ciebie?..

— Psuje mi serce ojcowskie..

— On tobie?..

— Zgoła jemu nic nie potrzeba; on będzie miał dosyć.. ale my.. ale my.. Ty ojczy lubisz żyć, i ja lubię żyć!..

— Przepraszam panów Dobrodziejów; odłożmy sprawę do jutra..

— Jakto do jutra?.. to rzecz nagła!..

— Zapewne; periculum in mora!.. jutro z rana dam stanowczą odpowiedź.. dziesięć tysięcy dukatów..

— Tak, dziesięć tysięcy dukatów, panie komorniku..

A jak wyszli, powtórzył pan komornik w duszy — dziesięć tysięcy dukatów, dobraby to była rzecz, ale niepodobną być się zdaje.

— Powiedział, potarł czoło, pomyślał chwilę, w końcu zawołał Replickiego..

— Niema tam nikogo?

— Niema i niebyło..

— Słuchajno, panie Replicki, jak się to miał ten interes Syplickich, bo już nie pamiętam, a tu znajduję dokument jeden..

— Sypliccy przegrali, bo się znalazło dwóch świadków..

— Aha! przypominam sobie... dwóch świadków; jak się nazywali?..

— Sylecki jeden, a drugi Bilkowski..

— Już to o tem ich świadectwie mieliśmy dowody później jasne, i można było obydwóch wsadzić do kryminału..

— Ale, że przeciwnicy panów Syplickich zkaąd inąd mieli bardzo piękną sprawę, więc pan komornik puściłeś mimo, poruszony litością nad tym Bilkowskim osobliwie, który tu przychodził z żoną i lamentował.

— Ale dowody są u nas..

— Są, panie, pod S. G. No. 127..

— Wyszukasz panie Replicki cały ten fascykuł i przyniesiesz do mnie... ale oni może już pomarli..

— Gdzie tam, widuje ich często w mieście; zawsze prawie pijani..

— Zkądże pieniądze!..

— Jak się uda; uważa pan.. ta Bilkowska przystojna kobieta jeszcze, ma dobre znajomości.. rozumie pan?.. a Sylecki czepia się to tego, to owego; faktoruje... i tak jakoś żyją... Jeżeliby pan chciał ich koniecznie chwycić..

— O nie! ja tylko pro notitia chciałem wiedzieć.

— Czy to pilno?..

— Nie koniecznie; po obiedzie możesz przynieść.. a teraz bądź zdrów!.. ale, ale, zapomniałem oddać te pieniądze panu Aleksandrowi; odnieś mu je sam.. Co się tam należeć będzie za weksle, te co wczoraj pisałeś, za stemple i t. d. wyrachuj to, panie Replicki, i odbierz.. dla siebie..

Nisko się uklonił dependent pryncypałowi i odszedł..

OBRAZEK SZÓSTY.

Szynk pod Krogulcem.

Nie w bardzo powabne miejsce muszę was, czytelnicy moi, poprowadzić, za co najmocniej przepraszam, a osobiwie wszystkie ładne i salonowe czytelniczki moje, które pochlebiam sobie, nie odrzucają książki rozpowiadającej o kuglarstwie, sztuce wielce potrzebnej w pożyciu z tą płcią brzydką, którą tak trudno zawojować wstępnym bojem. Sama już natura przeznaczyła was na konieczne kuglarki, dając taką siłę prawdziwie czarodziejско-kuglarską w te dwie gałeczki oczami zwane, któremi robicie jakie chcecie przemiany i z siebie, i z drugich. Mógłbym tu w przelocie niejedną przytoczyć przykład, zaczawszy od Herkulesa, a skończywszy na każdym młodziku błagającym tej władzy starej, jak świat, a tak młodej, jak każde dzisiaj..

Owoż pisząc o kuglarzach, i z przedmiotu rozprawy, i z treści powieściowej, i z potrzeby zapelnienia jak najwięcej papieru, wypada mi dotknąć owych nieszczęśliwych kuglarzy, którzy puszczają tumana dla nabycia chleba powszedniego, w nocy przy kaganku szynku przedmiejskiego, przy natechnieniu dającym kieliszku wódki suszą biedne głowy swoje: jakiegoby to puścić nazajutrz tumana, aby zwalczyć tego wroga o nieprzeliczonych głowach, jakim dla nędzara jest każdy dzień jutrzejszy. Smutna to walka, w której ostatnia głowa spadająca z tułowu wroga jest razem ostatnią życia chwilą, a tem jest trudniejszą, im się więcej każdy strzeże od tumana puszczanego przez człowieka w podartym bucie i połatanym surducie; tem uciążliwszą dla tych głów smarzących się w nocy, im ich rola umysłowa odłogiem więcej leży, bez owych wszystkich kwiatów i krzewów, gnojem złota wyhodowanych. Jakoś tumany puszczone przez takich kuglarzy bywają prócz małych genialnych wyjątków, proste, oklepane i nie dają się zastosować do wyższych towarzystw, gdzie panują salonowi kuglarze, dla tego też często ich tumany przechodzą

w rzezimieszkostwo zwyczajne. Rzezimieszki są zatem na ostatnim szczeblu kuglarskiej drabiny, na której szczycie są dyplomaci...

Musiałem ustęp ten umieścić tutaj, aby się uniewinnić, że powiędę czytelników moich na dalekie stołeczne przedmieście, do szynku, przed którego drzwiami wisiał od niepamiętnych czasów, jako godło szynkowe, czarny jak szatan krogulec, z dukatowo żółtym dzióbem i szponami, a krwawo czerwonymi oczami, wymalowany na tle niebieskim, wyobrażającym niezmierny przestwór niebieski, po którym buja ten ptak drapieżny. Godło to zdaniem mojem dobre dla towarzystwa prostych kuglarzy, którzy się do tego szynku schodzą; bo drapieżność jest w wielkiem pokrewieństwie z kuglarstwem, a widome szpony ptaka świadczą, że kuglarze tego rodzaju mniej dbali o środki delikatniejsze, mają w potrzebie tegie pazury, staranniej tylko ukrywane w wyższych towarzystwach. Z tego wychodząc stanowiska, gdyby był jaki klub przeznaczony do zbierania się kuglarzy wyższych, powinienby obrać za godło laszające się kota.

Szynk, do którego wchodzimy przez ciemny i ciasny korytarz, składa się z jednej wielkiej izby, przepierzonej w mniejszej połowie, rodzajem drewnianego z desek zbitego parawanu z dwoma drzwiami. Mniejszą część izby stanowi pokój osobny, dzielący się znowu na dwie części, przedzielone zastaną podartą, brudną i zawałaną mnóstwem plam najrozmaitszych i najobrzydliwszych. W chwili, w której wchodzimy do szynku, oboje drzwi są otwarte na oścież. Zajrzawszy do środka, można dostrzedz w jednym oddziale tapczan mnogimi różnobarwnie łałanami poduszkami i piernatami zawałony, stoliczek kulawy z dwoma również chromem stołkami, ławkę w kącie, a nad nią wiszące na owiąkach suknie kobiece, świadczące, że jest to sypialnia samej gospodyni szynku, pani Wojciechowej. Drugi przedział jest widocznie przeznaczony do przyjmowania gości, oznaczających się godnością, lub potrzebujących swobodniejszego miejsca do poufnej pogadanki. Jest tam stół niegdyś zielony lakierowany, ale czego czas nie rozdrapał, to powalali chwilowi tego ustronia goście; ławka pod ścianą, równej starożytności i wartości; jest i krzesel trzy, obitych przed laty materją, której szmaty wiszące odkryły podszewkę z prostej werety nakrapianej sownie dobywającymi się kłakami i słomą; jest w kącie fajkarnia niegdyś, dziś służy za serwantkę, mieszczącą kilka szklanek popękanych i kilka filiżanek powyszczerbianych, z muszemi śladami zamiast dawnej pozłoty; jest nareście naprzeciw ławki rama zwierciadłana, w której szczęśliwym przypadkiem został się jeszcze ułamek zwierciadła, mogący dosyć wiernie odbić ćwierć twarzy człowieka.

W głównej izbie, okopconej naleźycie, są ławki proste w około, trzy spore przed niemi stoły, a w kącie szafa drewniana bez drzwi, z całym bogactwem szynkowego, szklanego, glinianego i blaszanego przyboru; tuż koło niej stoliczek z kilkoma drewnianymi lichtarzami, w których sterczą różnej wielkości niedogarki wczorajsze, i z kilką większemi szklankami piwnemi o drewnianych krążkach; a nad nim drewniany koł wbity w ścianę z dziurawą główką wygięta, jakby pysk podnoszącego się węża, rodzącego rolę kandelabra, świecącego

jedyną pryskającą szabasówką cały ten przybytek ciemny i posepny, z którego wybucha aż na korytarz wieczna woń wódki pomieszana z wonią bakunową. Chociaż rzecz dzieje się w jesieni wczesnej, ale zawsze dni są już krótkie; a więc ledwie siódma wybiła na zegarze miejskim, paliła się już zwykła łojówka, a o stoliczek oparta stała szynkarka w szatach równie wątpliwych jak jej twarz, bo jak nie poznać z tej ostatniej istotnego wieku, tak z tamtych trudno odgadnąć do jakiego stanu należy to ubranie. Na twarzy są ślady młodości, są nawet ślady urody, których resztki wyglądają z oczów niegdyś błękitnych i błyszczących, póki wiek przedwczesny nie zaciemnił ich barwy jasnej, i nie przyćmił blasku. Owal twarzy zepsuły zmarszczki jakby gwałtem wyryte, kłójące się z rysami twarzy, która nie miała czasu postarzeć; zapadłe policzki darmo krasną kunsztowny burakowy rumieniec, smutnie odbijający od szerokich sinych obwóddek pod oczami; i nos kształtnie z pod szerokiego czoła wyrastający, lekko zgarbiony, wdzięcznie zaokrąglony na końcu, musiał być piękny, póki dodawał pełnej twarzy wyrazistości, lecz odkąd pochudły policzki—nos się zwiększył niestosownie, kosztem reszty twarzy. To samo i o stroju powiedzieć można. Krój sukni, z materji bawełnianej szerokimi palmami barw niegdyś jaskrawych nakrapianej, z marszczonym stanikiem, i wiszącymi jeszcze tu i owdzie półfalbanami z pomiętych szlerek u spodu, zdają się być cechą ubioru miejskiego; gdy tymczasem fartuch płócienny i chusteczka na szyi kratkowana, niemal taka jakich używają do nosa miłośnicy tabaki, przedmiejskim pachną strojem. Stała zaś w zamyśleniu pół sennem, a pół smutnem, i od czasu do czasu spoglądała ku drzwiom z wyrazem oczekiwania. W całym wyrazie twarzy nie było ani jednego rysu, któryby uszlachetniał tę twarz skalaną, życiem krótkiem w lata, ale długiem w rozpustę i nędzę.

Naprzeciw szynkowego stolika siedziała na ławeczce pod piecem, który pół ściany zajmuje, a od drzwi wchodowych „grubą“ kuchenną się oddziela, kobieta stara wiekiem, widocznym na siwych rozczochranych, czerwoną brudną chusteczką związanym włosach; widocznym na twarzy pomarszczonej nieprzeliczonymi krzyżującymi się na wsze strony zmarszczkami, które koło ust zapadłych, białych sinością śmierci a rozciągniętych szeroko ku uszom, zbiegały się w tak dziwny labirynt, iż ten dawał całej twarzy wyraz wieczyście złośliwego uśmiechu; nie mało przykładały się do tego wyrazu spojrzenia oczów jasno siwych, ciekawych, nieustannie, rozgniewanych, a razem wszelkiego mięszkiego uczucia pozbawionych; dodawszy do tego nos wklęsły gilowaty na końcu, a tabaką rozepchany, brodę niksą w ilości opadłego przez wiek ciała, nakształt podbródków wiszącego — całość twarzy dawała mimowolnie wyobrażenie złości bezwzględnej, bezlitośnej, latami i usposobieniem serca na wieki w kawał lodu zmrożonego. Na spodnicy ciemnoperkalowej, z pod której wyglądały nogi patykowate, pływające w rozepchanych trzewikach, wisiały poły brudnego kaftana flanelowego, jakby na żarty różową wstążkową kokardą u szyi związanego; wisiał dalej na rzeziennym pasku pęk kluczy, z pomiędzy których sterczał największy

klucz zapewne od piwnicy, do której wchód widzimy między stołem szynkarki a ławką pod piecem; wisiała wreszcie i torba skórzana, obdarta i powalana, w której prócz wielu innych niewidomych przedmiotów spoczywała ciągle wydobywana tabakierka czarna papierowa z zatartym obrazkiem. Na kolanach leżały przed nią karty zbrukane tak doskonale, iż instynktem prawie trzeba było zgadywać ich różnicę, a któremi przerzucała bez myśli, przekładała i tasowała.

Dwie tylko osób widzimy dotąd goszczących w gospodzie pod krogulcem. Są to twarze zwyczajne z wyrazem głupoty rozjaśnionej chciwością, a zaciemnionej wiecznem półpiciem, które zdaje się być ich stanem zwyczajnym. Do jakiego stanu należą, nie odgadnąć ani z mowy, ani z sukni; to tylko można z pewnością powiedzieć, że musi być nie nader świetny. Siedzą nad dwomas poremi szklanicami piwa na pół wypitemi, i zamiast próżnych słów, mnóstwem dymu, wypuszczanego co chwila z krótkich fajek, rozmawiają między sobą...

— Cóż jak mruk siedzisz Brysiu! *) — zagadła stara, zwracając się do jednego z gości, którego istotnie twarz krótka, z wydaniami naprzód grubemi i obwisłemi ustami, miała nieco psiego podobieństwa.

— Dobrze tobie gębą machać, stara Wrono, kiedy masz pełno w brzuchu.

— A żebyś diabła zjadł!..

— Zjadłbym dwa nawet, i to na surowo, bom głodny jak pies, żeby nie Pilnik, który mnie zaprosił na piwo...

Zamiast odpowiedzi puścił zagadniony z rodzajem dumy spory kłęb dymu.

— Bo Pilnik ma rozum, a ty gorszy od baby.

— Pilnik był djakiem, to ma rozum, ha! i czytać umie podobno.

— Umiem, umiem, ile mi potrzeba — odpowiedział śpiewającym prawdziwie djakowskim głosem Pilnik.

Szynkarka, która już od chwili zdawała się szukać czegoś, przystąpiła w tej chwili i położyła przed Brysiem spory kawał chleba, i gomółkę z kminem.

— Patrz, Mazurka nie może zapomnieć dawnego chabala.

— Głupia sama chodzi jak łapserdak, a dla chabalów toby...

— Ja nie mam chabalów — zachrypniętym głosem odrzekła mazurka.

— Od czasu jak tego tytyłyte (gołego) twojego wzięli do kwaczu (aresztu).

— Franek lepszy był od was wszystkich.

— Żeby nie ten ser, tobym ci tak odpowiedział, ażbyś posiniała jak ten fartuch, co masz od tego łytkiewicza (golec).

— I ja nie noszę rąk, aby niemi tylko po kieszeniach cudzych gmerać.

*) Pozwoliłem sobie dla lepszego oddania tego obrazu użyć niektórych wyrażen, należących do języka łotrowskiego, jaki sobie wyrobili, i jakim zwykle rozmawiają między sobą.

— Mazurka chwyt! pamiętacie jak tu raz potraktowała tego pająka (policjant), co tu zaglądał i wachał czegoś; aż mu kiełbasa pod okiem wyrosła.

— Mazurka chwyt! — zagadł Pilnik — ale i o Franku nie dam złęgo słowa powiedzieć; póki on ze mną chodził i trąbił gębą, lepiej się mi wiodło; teraz muszę sam śpiewać po domach; a on bywało i oko miał lepsze, zawsze coś zajrzał, coś wyszpiegował, a jak zatrąbił to mu dziewczki z piąter rzucały niejednego snopka (dydek) a ja teraz ledwie kilka szwajcarów (grajcarów) na dzień zarobić mogę...

— A chustek wiele? — zapytała stara.

— Zapewne abys je odemnie tak kupiła, jak tę różową chustkę, z którą tak wam do twarzy, a którą udało mi się tak zgrabnie koło nowego teatru ściągnąć z tej jakiejś tam hrabiny, co to zawsze zatyłkiem wychodzi?..

— Cyt imość! ktoś idzie, ale nie z naszych.

Zamilkli wszyscy, otworzyły się drzwi, i ukazała się głowa ledwie dostrzeżona z ciemnego korytarza; wąsy tylko ogromne zaczętniały jakby w powietrzu zawieszzone.

— Prosimy bliżej, na dobry miodek.

— Nie było tu pana Syleckiego? — Nikt nie odpowiedział, tylko obejrzeni się po sobie.

— Albo pana Bilkowskiego, lub jego żony?..

— Nie znamy tych państwa.

— Może później nadejdą?..

— Jegomość się musiał pomylić.

— Nie pomyliłem się matko; ja tu później przyjdę.

I znikły wąsy, milczenie trwało jeszcze chwilę, tylko oczami rozmawiali przytomni między sobą. Mazurka pierwsza skoczyła do drzwi, wybiegła i po chwili wróciwszy rzekła:

— Poszedł i znikł gdzieś jak mara.

— To chatrak jakiś! (rewizor).

— A może nawet czarna chmura (komisarz policji).

— Ej źle!... będzie chatramka!... (rewizja).

— Tchórz jesteś, kumie Pilniku; ale zawsze dobrze z robiłaś Wrono, żeś się do nich nie przyznała.

— Co nam zresztą zrobią...

— Tylko w karty trudno będzie zagrać, a tu Lizus miał przyprowadzić frajerów (nierozumiejących gry).

— Ot lepiej powiedz nam Pilniku, co to za hrabina wychodzi zatyłkiem z teatru?

— Cóż tobie Mazurko do hrabiny?

— Ale bo przez jedną hrabinę mój Franek siedzi?

— Przez hrabinę?

— Opowiadaj!.. jak sobie podjem, lubię słuchać awantury; to jakby człowiek czytał książkę; zawsze się czegoś nauczyć można...

— Opowiadaj, ale daj pierwszej harasu (wódki).

— Harasu najwięcej! i gadaj! — i napili się obaj kumowie po sporym kielichu wódki.

— Trzeba wam wiedzieć, że Franek był pierwiej furmanem najmilszym u tego grubego Grzegorza i wioził raz bryczkę z rzeczami za jakimś panem, gdzieś tam aż za kordon do dalekiej ukrai-ny, gdzie same były lasy...

— Szkoda, że u nas niema lasów w mieście...

— Był tam jeden młody pan, który Franka polubił, i zawsze mu tam kazał podsłuchiwać w domu jakąś wielką kawczuczkę (pani); i tak się stało, że się dowiedział, gdzie ta pani jedzie, a młodemu panu szło o to koniecznie... Dosyć, że potem jeździli po kraju za tą panią, i coś się tam namawiali z jej frumanem.

— Może chcieli! — zaśmiał się Bryś, mignął okiem, i ręką pchnął jakby nożem.

— Tej pani, mówił Franek, nie wiele się należało; on nie mógł zmiarkować czego ten pan młody chciał: raz w jakiejs karczmie na noclegu, namówił Franka, żeby się przysiadł do starego tysego służącego tej pani, i przy kieliszku z nim pokłócił, a potem zbił go na jabłko; to też jak go walnął Franek raz i drugi, musiała pani sama dalej jechać, a tysego zostawili w karczmie...

— Zabitego?

— Gdzie tam! tylko obsmarowanego... Dosyć na tem, że jak wrócili do miasta, dał mu ten młody pan dobry trinkgeld.

— I Franek póty hulał, póki nie przehulał?

— Ale wszystko w waszym szynku przehulał.

— Zdybawszy go raz w mieście, kazał mu młody pan iść za sobą, i poprowadził do jakiegoś domu na szerokiej ulicy...

— Na szerokiej ulicy? — zagadł Pilnik?

— Albo co?

— Nie! nie! to tak sobie...

— Kazał mu pójść na górę i dowiedzieć się jakim sposobem, czy pan jest w domu, a jeżeli wyszedł, czy pani sama.

— Rozumiem, rozumiem.

— Franek nie w ciemiej bity, poszedł do kuchni, i spytał się niby o jakąś dziewczkę, i tym sposobem rozgadał się z kucharką.

— Wiem ja, wiem, kucharki bardzo lubiły Franka.

— Mój Franek zawsze był mi wierny...

— Akurat, tak jak ty jemu... a biegasz do starego krawca...

— To co innego... krawiec mi dobrze płaci, za to też Franek ma codziennie mięso w kwaczu.

— Głupia daj harasu, i mów dalej!

— I tak go już ten pan młody zawsze tam posyłał, i kazał mu stać na warcie na schodach, to na ulicy, to na ganku...

W tej chwili znowu się drzwi otworzyły, i czarne wasy zajrzały cicho i ostrożnie, ale czy głośne opowiadanie, czy haras był winien, dosyć, że nikt z przytomnych nie spostrzegł gościa cicho na miejscu stojącego i słuchającego.

— I póty tam chodził, póty szpiegował, póki go raz nie złapali na schodach, i zamknęli biedaka.

— Mazurka wam nie powiada, że znaleźli przy nim srebrny lichtarz, który od pięknej kucharki milczkiem wyniósł...

— Nie gadajcie takich rzeczy... imość nie może darować Frankowi, że się darmo do niego mizdrzyła... a nie każdy ma taki głos jak Pilnik...

— Poczekaj no ty mazurska bestjo! jak cię złapię...

— Dajcieńo pokój! baby... kończ Mazurko...

— Cóż mam dalej mówić... ta pani, co do niej chodził Franek, była jakaś hrabina.

— Młoda?

— Młoda i przystojna.

— I na szerokiej ulicy mieszka, to ta sama; zawsze zajeżdża powozem do teatru, a przed końcem wychodzi; jakiś młody pan czeka na nią, i idą sobie, a powóz nieraz czeka, czeka...

— Wielka sztuka, ma męża, a chabala jej się zachciało; to się u nich praktykuje jak i u nas, cała różnica, że tam mąż płaci jak krawiec Mazurce, a kochanek zabiera. U nich to wszystko wolno, bo mają złoto, a u nas to zaraz krzyczą „zgroza!“ U nich wszystko pachnie, bo mają za co kupować perfumy.

— Przestań narzekać Brysiu! i słuchajcie!..

— Jak ja to dostrzegłem, chodząc sobie wieczorami koło teatru, więc się pomalu dowiedziałem, gdzie chodzą, i kto oni są, bo to człowiek nie darmo był djakiem: zawsze coś dostałem od tego pana, bom już czekał przy drzwiach, i jak tylko wychodzili pokłoniłem się nisko, i głośno, ale tak głośno jakbym na roratach śpiewał, prosiłem tych państwa o wspomnienie i litość nad biednym. Państwo się zmiarkowali, i zawsze ten młody pan dał mi szymla (dwudziestówkę srebrną), to półszymla, i to prawie codzień... a przytem jakoś raz panicz zgubił chustkę jedwabną, a pani hrabina jak to był ten wielki wiatr w przeszłym miesiącu miała na sobie różową wstążkę, chciała twarz zakryć, bo ludzie nadchodzili, i wstążka upadła...

— Brawo, Pilniczku! to był dobry wiatr... Ej harasu więcej!..

— To nie dosyć, słuchajcie, co się wczoraj stało. Nie miałem co robić, więc poszedłem przed teatr wcześniej niż zawsze; ledwie zaczęli tam śpiewać jakiegoś djabła, aż tu szur, szur po korytarzu, smyk i moja pani wyszła; zyrk, zyrk w około, a ja do niej; „Sama pani, jeszcze wcześniej, pana niema, ja pójdę po niego.“ — Zmieszala się hrabina i stanęła czerwieńsza od chustki mazurczynej; a ja widząc, że nie odpowiada, wołam ciągle „ja biedny! ja bardzo biedny, nic nie jadłem... jeżeli pani każe, pójdę po niego,“ dodawałem ciszej. — Nie wiedziała co robić, a chciała widocznie pozbyć się mnie; była już na ulicy; nazad bała się wejść, bo we drzwiach stało jakichś dwóch młodzików z brodami jak żydzi, których pan Bóg przyniósł; stoją, słuchają i patrzą na hrabinę w pysznej mantyli aksamitnej; ona widzi, że źle: — i dobywa z kąsdić sakiewkę, zaczyna szukać, ja się oglądam, łap za sakiewkę i już byłem na drugim rogu, ale ciekawość mię zdjęła zobaczyć, co moja hrabina robi? Ona jak gdyby nic się nie stało, cichutko drała, drała aż na przeciw akademji; siadła do fiakra, i na „jezuicką ulicę“ zawołała; ja skik za fiakra, a myślę sobie, może z tego da się coś zrobić. Przyjechaliśmy aż pod ogród,

moja pani wylazła, i smyk do ogrodu; ja zdaleka za nią, a myślę sobie, dobrzeby to mieć tę mantylę dla mojej „pastuszki“...

— Albo na zastaw do bocia.

— Aż tu zaraz za bramą stał jakiś pan w białym paletocie, białą furazerkę miał na głowie, a chustkę trzymał przed nosem jakby mu krew szła. I cmok ją w rękę, a ona niby się wzbraniała.

— To ten sam co pierwej...

— Gdzie tam!... inny jakiś, tamten brunet, a ten blondyn...

— A co nie mówiłem, tak jak u nas; pamiętasz Mazurko jak nas zastał razem na wysokim zamku twój kapral?...

— Uciekałżeś Brysiu, aż lubo...

— Wolałem z daleka słuchać, jak cię obrabiał kapral laseczką...

No kończ Pilniku!

— Tęgi i silny był to pan, choć trochę otyły; bałem się zatem bardzo przystępować... Niewiele słyszałem, wiem tylko, że była mowa o pieniądzech; ona prosiła, a on przyrzekł... djabli ich zresztą wiedzą, co tam pletli. Ja poszedłem precz, alem sobie zanotował tego pana, i już wiem dzisiaj, gdzie mieszka...

— A toż na co?..

— Zobaczę jeszcze... z tą sakiewką, co lepiej zrobić... albo pani hrabina, albo tamten dawny... już ja muszę coś z tego zrobić...

— Zuch! żebyś się smoły napił, zuch!.. dajno tam harasu więcej!..

— Oj! żeby to można tę hrabinę nauczyć rozumu za mojego Franka...

— Czy niema tych panów jeszcze? ozwał się głos wąsacza.

— Niema! niema! odpowiedzieli przestraszeni goście pani Wojciechowej.

— To ja poczekam; proszę mi dać kwartę miodu.

Długo trwało, zanim wsadzono świeczkę w drewniany patyk, grający rolę latarni; weszła Mazurka do piwnicy, a nim wróciła z żądanym trunkiem, przytomni oglądali przybyłego, którego twarz cała była ledwie widzialną, tak ją z góry zasłaniała wielka czapka bobrowa, a z dołu ogromne jak dwie miotły rozrzucone wasy, które się klóciły z siwą barwą włosów, kosmykami dobywających się z pod żółtej czapki; oczy tylko lekko przymrożone rzucały spojrzenia miętne i ciekawe w koło siebie.

— My tu tych panów nieznamy zupełnie — odezwała się po chwili gospodyni — pan Dobrodziej myli się zapewne?

— Nie myślę się, ale może się tu oni inaczej nazywają.

— Inaczej?.. do mnie sami ludzie porządni przychodzą.

— Wiem ja, wiem!.. Co to? pani kabałę ciągnie — dodał patrząc na brudne karty.

— Czasami!.. a co? dobry mój miód? — rzekła gospodyni, i łypnęła okiem na Mazurkę, która jej podobnem odpowiedziała łypnięciem.

— Doskonały! będę go pił pomału — odpowiedział wąsacz, umoczywszy koniec wąsów w podaną sobie szklanke.

— I owszem, duszkiem lepiej, od razu więcej jest smaku! —

mówiła gospodyni z uśmiechem, który jeszcze okropniejszym wyrazem oświecił jej twarz. — Ale może pan do tamtego pójdzie pokoju, tam porządniej?

— Nie! nie! ja tu wolę w kompanii — i siadając do trzeciego stołu, spojrział z uwagą na siedzących przy wódecie.

Ci zaś szepotali między sobą; stara niby od niechcienia przysiadła się do nich.

— I były marchewki (dukaty) w sakiewce? — mówił jeden do drugiego.

— Może?..

— Głupstwo, marchewki! — przerwała stara. Kawczuk (pan) ma pewnie klawe heilig (wielkie pieniądze) i może pakę klawe motylów (wielkich banknotów)... czyby nie można zbuchać (ukraść).. Ja mu dałam miodu, co to rozmarza...

— Kiedy udaje tylko, że pije.

— Zobaczymy!.. on tu musiał przyjść po jaką binię (dziewkę).

— Możeby lepiej, zagrać z nim w karty? jużbym mu dał rady...

— Pani matko! — odezwał się gość wąsaty, który, choć nieco oddalony; oko i ucho z uwagą wysyłał ku zgromadzeniu przy drugim stole — ponieważ umiecie ciągnąć kabałę, chodźcież do mnie, i po ciągnijcie; ja wam nagrodzę.

Choć nie z wielką ochotą, ale powlokła się przecie stara do niego.

— Jakąż pan chce kabałę, wielką czy małą?...

— Jaką sami chcecie, choćby największą...

— Nie wiem, czy mi się dziś uda wielka, bo to czwartek; najlepsze dni do kabały są poniedziałek i piątek.

— Ciągnijcie tylko; ja z oczów widzę waszych, że wy przyszłość moją zgadniecie.

Spojrziała stara z podwójną uwagą na mówiącego, ażali nie dostrzeże czego więcej nad to, co słowa powiedziały...

— Możebym i zgadła! — odpowiedziała, i zaczęła tasować karty.

Wrona, zacna gospodyni z pod krogulca, o której zdolnościach już nieco dowiedzieliśmy się, była prócz tego kabaliściwą sławną w tej części miasta, osobliwie do odszukiwania skradzionych rzeczy, co mimowolnie naprowadza na tę myśl, że niedaleko potrzebowała szukać schowków złodziejskich, mając gospodę, w której niejednej ciekawej rzeczy mogłaby się policja dowiedzieć. Sprytem naturalnym i doświadczeniem długoletniem obdarzona, tak zgrabnie umiała przepowiednie swoje układać, iż przedmiejscy ludzie wierzyli święcie w jej umiejętność wyższą, i gdyby nie bojaźń, która po zmierzchu wstrzymywała wszystkich od niebezpiecznych odwiedzin, miewałaby częstszych gości, szukających przepowiedni. Słowem pani Wrona używała kabały jako sztuki pomocniczej, która nieraz posłużyła do otumanienia gości ciekawych i nieostrożnych; i nieraz ciekawy przyszledszy z sakiewką, wychodził z uiszczoną przepowiednią o blizkiej stracie, bez sakiewki i zegarka.

— Co za cudowny skład kart, O moj Jezu! pan nie jesteś tym,

którym się chcesz wydać; pan tu przychodzisz w ważnym interesie, z którego wielki będziesz miał zysk; patrz pan sam, dzwonki koło pana; tylko cóż ta dziewiątka czerwonna? to jakieś widzenie się z kobietą oznacza.

— Brawo, pani matko, zgadliście co do słowa; warto was nagrodzić — i z sakiewki pod stolikiem otwartej wyjął kilka dwudziestówek, i rzucił je na stół; aż się zaiskrzyły siwe oczy, aż się wyciągnęły i skurczyły jak haczyki długie i cienkie palce kabałisciny.

Z łoskotem i trzaskiem wpadła w tej chwili, kiedy stara zabierała się do nowej kabały, kobieta jakaś w stroju, który tak dziwnie wytwornością swoją wyszukaną odbijał od gospody, do której przyszła, jak z drugiej strony części tego stroju zawzięcie kłóciły się między sobą jaskrawymi barwami, narzuconymi świecidełkami, chusteczkami, wstążeczkami i szalikami. Jednej tylko rzeczy brakuje w tym całym stroju, któryby można rozdzielić wysmienicie na kilka osób, — oto świeżości, i tego przyzwoitego noszenia na sobie, które są istotną cechą kobiet lepszego wychowania. I twarz jej nie jest do tego wyrazu, który na niej panuje, bo twarz piękna, zaokrąglona konturem pełnym wdzięku; oczy pełne, o tyle tylko z pod zasłony długich rzęsów wystające, o ile potrzeba, by swym blaskiem do bliższego przypatrzenia się pokusić; usta małeńkie a pełne; nos, który my przez pamiętkę naszej ziomkini à la roxolane zowiemy — zgoła całości rysów nie koniecznie regularnych, ale takich jakie Francuzi pomni na szatańskie sztuki, które u nich wyprawiały kobiety piękne, sprawiedliwie nazwali pięknnością djabelską. Lecz szpecił ją zupełny brak wyrazu prawdziwie niewieściego, który skromnością hamuje, a urokiem przyciąga, i brak płci zdrowej, którą zastępowały jakby żyłki jaskrawe jakieś plamki, po całej twarzy rozsiane. Cała zaś ta piękność, ustrojona wykwintnie jakby na bal i podróż razem, tupała nogą olbrzymią, rozdeptaną po ulicach, w brudnych pończochach, i trzewikach skórzanych zabłoconych jak pantofel faktora miejskiego. Wpadła z fukiem i piskiem, a gniew prosty uliczny wyszczerzał oczy nad miarę, rozdzierał usta, za małe, by się przez nie mogły wydostać potoki słów dobitnych i niemniej nieskromnych.

— Nauczę ja was! — krzyczała — ulicznice przeklęte, zaczepiać na ulicy porządnie ubrane kobiety.

— Cóż ci jest? — spytała stara, z po za której wąsacz przypatrywał się nowoprzybyłej.

— Cóż się stało Kobylej Głowie? — zaśmiał się Pilnik w pół pijany.

Tu miejsce powiedzieć, że osoby podobnego rzędu, jacyemi są zwykle goście gospody pod krogulcem, mają w zwyczaju dawać sobie nawzajem przydomki, czerpane czy z jakiego podobieństwa twarzy lub postawy, czy też dla zachowania pamięci zdarzenia jakiego, w którym ta lub owa osoba główną odegrała rolę. I tak to jest między nimi przyjęte za dobre, że jakkolwiek nazwisko bywa nieraz ubliżającym czy powierżchownem, czy wewnątrz własnościom

osoby przezwanej, żadna z nich nie czuje się urażoną, i jedyna zemsta jakiej sobie pozwala jest odwet przydomkowy, w którym nieraz wiele bywa trafności, a przynajmniej wiele dowcipu, choć nieraz za grubego, ale zawsze doskonale malującego całe ich życie i wszystkie stosunki. Jakoż kobieta tą nazwą zaczepona, przyjęła je jakby nazwisko rodzinne, albo imię na chrzcie odebrane; a jest to istotnie chrzest drugi i okropny, bo chrzest, który na wieczne czasy każdą z tych istot odznacza moralnie, a tak silnie i dobitnie, jakby ułomność ciała zrobiła ją garbatą, ślepą, lub chromą. Imię pierwszego chrztu można przemienić dowolnie, i nowe we wszystkie stosunki życia tak wprowadzić, że z prostego imienia Grzegorz lub Katarzyna zostaną Alfredem lub Malwiną przed całym światem, śmiejącym się z niektórych imion niegłaźnych, a potakującym eleganckim zdroźnościom; ale bryś, ale kobyła głowa zostaną aż do grobowej deski, i dalej, bo w pamięci pośmiertnej towarzyszków i towarzyszek, jakby przykute do raz przezwanych; choćby nawet loterja, ożenienie bogate, lub inny szczęśliwy przypadek otoczył ich całym blaskiem bogactw i znaczenia. Nieraz dawny przydomek leżącej powozem lub cwałującemu na angliczowanym koniu dobiegnie z ulicy jakby głos sumienia, które przed sądem własnym każdego chrzci podług jego istotnej wartości.

— Niech się tylko poskarżę mojemu konsyliarzowi, dostaną zaraz te przekłete dziewczki, co się wałęsają po ulicy, daremne w kozie pomieszkanie.

— Djabli wiedzą, czego się tak sierdzisz bardzo?.. jedna binią do drugiej bini może przecie zagadać?

— Pilnuj swego nosa ślepa Mazurko!..

— Owa! mój nos mniej znany, jak końska mordą twoją!..

Skoczyła Kobyła Głowa ze wściekłością ku szynkarce, i nie wiedzieć coby się stało, gdyby nie Bryś, który przez wdzięczność za chleb i ser złapał w pół rozgniewaną i silnie posadziwszy na ławce krzyknął:

— Mazurce nie dam nic zrobić, bo Mazurka, choć sama niema wiele od tej starej czarownicy, a i z tego dała mi kawałek chleba; a ty masz nieraz garść motylów w łapie, i nie kupisz mi nawet kieliszka harasu, chociaż i ja taki był dobry dla ciebie jak konsyliarz, kiedym na jarmarku w Ułaszkwcach złapał na rzemyk paniczka.

— Oj! konsyliarz, to stary dziad, ledwie wleczę nogami; ja-bym się wstydziła takiego kochanka, który śmierdzi jak trup, albo pachnie jak apteka.

— Cicho! bo jak złapię, to ci zetrę te buraki z pyska.

— Dajcie sobie pokój!.. a ty siedź spokojnie, bo jak cię utnę, to ci kapowidła (oczy) na wierzch wyleżą..

— Ty mnie będziesz trzymać łytkiewiczą psi!.. raz tylko złapałeś swojemi kuglarstwami z rzemieniem i trzema kartami, i już myślisz, że coś znaczysz?.. To pieniądz znaczy, ale nie głupi szuler-ski rozum.

— A przestajesz ty, rzęć? — odezwał się Bryś tak groźnie, i ścisnął za ręce tak szczelnie, że aż posiniąła i ucichła Kobyła Głowa.

— Jak się pani ma? — zapytał wąsacz, który w tej chwili przystąpił do niej.

Spojrzała zagadniona, i uśmiech, ten uśmiech tani, tak łatwo nabyty jak szczery, wystąpił na twarz zbrzydłą od gniewu i oburzenia.

— Czy pan mnie zna?..

— A już ci zna, kiedy się pytał o ciebie i męża twego..

— Pan zna tego łotra, tego urwisza, którego ja muszę hodo-
wać moim gorzko zapracowanym chlebem.

— Nie tak gorzko! — mruknęła Mazurka, ale Kobyła Głowa czy nie usłyszała, czy rokując sobie lepsze naliczeje po porządniej-
szym ubraniu gościa, nie chciała uważać, dosyć że nie zważając na
przerwanie, wydarła się z rąk Brysia i zaczęła się wdzięczyć do
wąsacza, który bez dalszych przedmów, wzięwszy ją pod rękę, po-
ciągnął za sobą do drugiej izby, mówiąc:

— Znam, a osobiwie panią, z którą dawno chciałem się zdy-
bać... ale, może napijemy się wina, bo ten miód coś mi nie sma-
kuje, jakiś ma zapach szczególny..

— Może pan każe posłać po wino? — przerwała gospodini,
rzuciwszy ukośne spojrzenie na szynkarke i pijących wódkę..

— I owszem! oto są pieniądze. — Wszystkich oczy pobiegły
ku sakiewce, z kądem wąsacz brał pieniądze; radością zalsnity na widok
jej objętości.

— Antek! Antek! — krzyczała gospodini, i po dziesięcio-
krotnem wołaniu wysunął się z pomiędzy betów alkierza chłopiec
dwunastoletni, tak chudy i obdarty, że wydawał się być
duchem człowieczym w cienie sukien ubrany; najzabawniej wyglądał
stary mundur niebieskimi łatami naprawiany, który pływał na nim
jak łachman na kiju wystawiony do straszenia wróbli; do upiększe-
nia całości niemało przykładała się głowa ogromna, lasem rudych
rozczochranych włosów okryta. Ziewnął, wyciągnął się i stanął,
z twarzą głupią zaspaniem a sprytną zupełnem zepsuciem przez
ciotunię, która mu nic nie dawała prócz stancji, protekcji i plag
miasto jadła.

— Chodź tu, hultaju, darmo jedzie!... pójdziesz po wino do
Urbana.

— Do Urbana? — odrzekł chłopiec skrobiąc się w głowę z wy-
razem złośliwym — czy nie możnaby bliżej?

— Idź tylko, idź! — krzyknęła ciotunia, i silnem uderzeniem
w barki wypchnęła chłopca za drzwi.

— Ale może to daleko do tego Urbana? — zapytał wąsaty
jegomość, i wszedł z Kobylą Głową do gościnnego alkierza.

— Będiesz długo czekał — zaszeptali między sobą, śmiejąc
się i wykrzywiając ku drzwiom w pół zamkniętym. Jakoż w tej
chwili wszedł Antek ostrożnie i cicho do izby, a oddawszy dane na
wino pieniądze, nie bez długiego targu z ciotką o obwarzanek dany
mu nareszcie, wpakował się nazad pod miękkie bety. Aby zrozu-
mieć tę scenę, trzeba wiedzieć, że posyłanie do Urbana było je-
dnem z wyrażeń ich języka, które poseł doskonale już rozumiał, i
sprawiał się jak nasz Antek, Gość darmo oczekiwał, a w końcu

musiał się kontentować wymówką jakiegoś przypadku zdarzonego niewidzialnemu posłowi; taką manipulacją zbierała gospodyni pieniądze darmo, i przymuszała gości do picia piwa, wódki lub miodu.

— Teraz poradzmy się, co tu z nim zrobić?.. miodu ani pokosztował.

— Może lepiej byłoby posłać po wino na prawdę?..

— A przynajmniej za to urbańskie wino, należy się nam kolacja suta.

— Tylkobyście żarli; a tu djabeł nie spi, może to szpieg od chatranki (rewizji).

— Żeby tylko Kobyła Głowa miała rozum... to potem w nocy...

— Mnie się zdaje, że lepiej namówić do gry; jużbym ja w ferbla nauczył go rozumu, byle tylko nadszedł Laufer, on doskonale umie znaczyć karty pazurem, a jakie daje znaki palcem!.. Kiedy go zna, a przecie się pytał o niego, to siedzie do gry z nim, i...

— A mnie się zdaje, że najlepiej z nim do piwnicy...

— A potem.. potem...

— Potem jak wszystko zabierzemy, jakoś pomyślimy...

— Ja w moim domu na to nie pozwolę! — przerwała Wrona z komicznym wyrazem połykającej ślinkę uczciwości.

— Nie udawałabyś głupia Wrono; a ten kudłaj (żyd) z Sado-góry spi już od roku pod beczkami... pamiętasz Brysiu jak się popatrzył na nas, kiedyśmy jego własnym pasem przepasali szyję...

— Brr! Brr! — wstrząsł się Bryś — dajcie harasu!...

— A nasza Wrona jak zmywała całą noc ślady...

— Cyt! — i łypnęła gospodyni na Mazurkę, która zdawała się drzemać w swoim kącie.

— Ktoś bałuje (idzie)!.. To Laufer!..

— Dobry wieczór! jak się macie! — krzyknął wchodząc mężczyzna średniego wzrostu, ale tak wyschnięty i tak długimi nogami, i dłuższymi jeszcze wąsami obdarzony, jakby istotnie te nogi do biegania przeznaczone były, a wąsy zamiast skrzydeł dla większego pospiechu laufrowi. Miał zaś na sobie letni surducik niemniej zdalny do biegu lekkością swoją, chociaż zapięty aż pod szyję, przetartym halsztukiem niegdyś atlasowym obwiniętej, dla pokrycia zapewne reszty zaniedbanego stroju; głowę łysawą, ze spiczastym scyzorykowym nosem, a usta obszernymi jakby do chwytania powietrza w biegu, okrywał kapelusz biały, połamany na wszystkie strony, który przypominał zwykle pajaców stroje głowy.

— Gdzieżeś latał Laurze?..

— Za żoną, która mi z rana wymknęła z ostatnią poduszką do bicia (żyd na zastawy dający).

— Już tam podobno cała twoja pościel!..

— Łajdaczka niedała mi ani grosza, choć dopiero przed raniem przyszła do domu; gdybym był miał choć jednego szmyła, byłbym w kawiarni pod sroczką ogolił w preferansa tego studenta, co to wiesz Brysiu?..

— Aha! — odpowiedział Bryś obojętnie — to stare dzieje!.. a miałeś kogo do pomocy?..

— Był ten maleńki cukiernik... przyjdzie tu zaraz.

— Twoja żonka jest tu w alkierzu! — Zerwał się Laufer.

— Daj pokój! jest z kawczukiem..

— A bogaty?..

— Zdaje się.. coś mu to sterczy na piersiach jak pulares..

— A w sakiewce widziałem marchewki.

— I sikorkę (zegarek) ma ze złotym łańcuszkiem.

— My tu właśnie myślimy o nim. — I zaczęli szeptać między sobą; tymczasem nadeszło ze trzech podobnych braci zacnego towarzystwa krogulcowego. Zaczęli się więc namawiać między sobą, popijając to wódkę, to piwo, hojnie szafowane przez Pilnika, który oczywiście i jako fundator, i jako zwykły przewodnik do złego, rej między nimi wodził. A gdy się głowy coraz więcej rozpałały, dla odmiany zaczęli grać między sobą w stare i brudne karty; nie dla zysku, bo się wszyscy nadto dobrze znali, ale dla ćwiczenia pokazywali sobie nawzajem wszystkie sztuczki karciane, z czego wiele było uciechy, i nie mało nadziei na przyszłość: ta bowiem była ich jedynym bóstwem, w które wierzyli, i od którego oczekiwali nagrody za codzienne zabiegi.

Zagłádnijmy tymczasem do alkierza. Na ławce przed stolikiem w zbliżeniu znajomości choć nie dawnej ale poufałej siedzieli wążacz z Kobylą Głową.

— Dobrześ pan zrobił, żeś nie pił tego miodu, bobyś był zasnął jak zabity..

— Może na zawsze?

— Tak długo nie, ale do jutra rana pewnie... Cóż to pan ma za interes do męża mego?

— Złoty interes!... i byleś chciała mi pomódz, śliczna moja pani!..

— Złoty interes! i ja miałabym nie chcieć?..

— Bo ja wiem, że on to wszystko zrobi, co sama zechcesz..

— Musi słuchać, kiedy ja go utrzymuję, ale powiedzże mi pan, co to za interes..

— To potem... naprzód powiedz mi, czy możnaby przyjść do ciebie.

— Do mnie?... to trudno!... zkądże mnie pan zna, bo ja coś tak poznaję, coś mi się zdaje, że my się już widzieli.

— Może być! o znajomość łatwo; jutro może być porządne pomieszkanie i meble modne, i kilka sukienek nowych, i czepeczek podług ostatniego żurnalu.

Zaśmiały się oczy Kobylej Głowy, bo być utrzymywaną, choćby przez kilka dni błysnąć dawnym towarzyszkom całym szychowym zbytkiem kilkogodzinnym, to najwyższa rozkosz dla kobiet podobnego rzędu; jest to ich marzenie, ich dążność cała. Choćby jedna godzina użycia pełnego, roztrzępanego, małpującego życia bogaczy, to szczęście dla nich, które chętnie okupują całym następstwem nę-

dzy, kończącej się na żebraniu, albo szpitalu: wszystko roztrwonić dzisiaj, nic nie zostawić na jutro — oto ich prawidło.

— Wszystko będziesz miała, co zechcesz, bo ja mam pieniądze; a co więcej, jeżeli namówisz męża, to go wyratujesz od zguby..

— Od zguby?..

— Od hańby i... od kryminału!..

— Od kryminału? — krzyknęła Kobyła Głowa z wyrazem zdziwienia i przestachu, który przy znajomym nam zobopólnym ich stosunku zupełnie zadziwiać nie powinien, gdy się zastanowimy nad tem, że dla takiej właśnie kobiety jak Kobyła Głowa mąż bywa ciężarem najgwałtowniej potrzebnym; trzeba go zapewne odziać, nakarmić, czasem i pobić się z nim, gdy go chandra zazdrości napałdnie, ale jest on zawsze płaszczem zasłaniającym wszystko, parawanem arcy-pożytecznym, za który niebezpieczne oko policji nie zagląda.

— Cóż on takiego zrobił?..

— Czy jedno może?..

— On za głupi!..

— Do kryminału nie trzeba rozumu, tylko występku.

— Kto pan jesteś?..

— Twój przyjaciel, a jutro w nowem pomieszkaniu więcej jeszcze..

— Pewnie?..

— Chcesz, żebym przysiągł, ale nie tak jak mąż twój..

— Mąż mój! — krzyknęła i wpatrzyła zdziwione oczy..

— Pamiętasz w sprawie — i cicho doszeptał resztę na ucho

Kobyłej Głowy.

Głośny śmiech z izby gościnnej zagłuszył dalszą szeptaninę czulej pary. Śmiech ten wzbudził nowo przybyły, którego Lizusa nazwiskiem przywitano, a który całą swoją powierzchownością łziwnie odbijał od zgromadzenia krogulcowego. Wszyscy byli mniej więcej chudzi, wyschli, i mogliby doskonale dać wyobrażenie siedmiu lat głodnych w Egipcie obok Lizusa krępego, otyłego, łyszczącego na twarzy pełnej więcej żółtością obżarstwa, niżeli rumieńcem prawdziwego zdrowia. To też zapasienie zjadło z tej twarzy wszystkie inne wyrazy, które uciekły do małych piwnych ocz w postaci chytrłości i bezwstydney gotowości do poiknienia wszystkiego, co przed nie wpadnie, tak jak również usta szerokie zdawały się być gotowe do schwywania wszystkiego, co tylko w usta schwytanem być może. Śmiech zaś wzbudził powszechny strojem swoim, który był tak staranny, tak opięty, i przymuszenie wytworny, a przytem zebrany bez wyboru, jakby się w cudzej kradzionej garderobie ubrał na prędcę. Taka też była pierwsza myśl przytomnych, przyzwyczajonych do zwykłego zaniedbanego i ubogiego stroju, w jakim pojawiał się zawsze między towarzyszami swemi Lizus faktor. Faktorem bowiem był nowo przybyły na przekor tuszy, zapowiadającej spokojne domowe przyzwyczajenia; nie faktorem owym starozakonnym, którego zwykle znamy pod tem nazwiskiem, lecz był to faktor na obszerniejszy rozmiar. Napisać/podać w kłaciku, przeciw sprawie,

której służył wczoraj; jad obmowy dobrze zapłacony puszczać w obieg po ulicach, kawiarniach i garkuchniach; wkraść się do sądów z kubanem, choćby policzek za to otrzymać; służyć młodym w lichwiarskich pożyczkach, a starym w miłośnych wyprawach; znosić spis nowo przyjezdnych gości miejskich w ucho czyhających na świeży grosz syren stołecznych; być wujaszkiem, ojcem, bratem, kochankiem zazdrośnym, a nawet mężem rozgniewanym przy rozwijaniu się miłostek pokątnych; klaskać dzisiaj, syczeć jutro w teatrze; z loterjami urojonemi biegać od gospody do gospody; stawać na licytacjach z udanym zapałem a pieniędzmi trzymającego go za pole licytanta, chcącego się zachować w ukryciu; świadczyć, kłamać, przysięgać za każdym i przeciw każdemu, — oto były niektóre z rozlicznych zatrudnień tego faktora wszystkich namiętności, żądź i brudów towarzyskich. Ze strawnym grzbietem jak i żołądkiem, dał się wypchać, opluć, zelżyć i wybić, byle się najadł, napił i dostał grosza do kieszeni, który zaraz po szynkach, garkuchniach, kawiarniach i domach złej sławy trwonil z przyjaciółmi i przyjaciółkami, podobnemi do zacnego towarzystwa, do którego wszedł w tej chwili w nowym kapeluszu lyszczącym, na bakier włożonym, i z trzeiłą o pozłacanej gałce w rękę.

— Kogożeś okradł?..

— Kogo oszwabiłeś?..

— Albo wyprawileś na piaski? — takie były okrzyki w około.

— Daleko odemnie — zapiszczał cienkim głosem — wy ulicznicy lamparty, szulery, złodzieje, i jak się tam zowiecie, szanowni przyjaciele; ja jestem Dezydery Doliwa, pan, magnat z Litwy, rodzony wujaszek pana barona Skurnickiego.

— Cóż to? czyś się upił, czy oszalał do reszty?

— Słuchajcie! słuchajcie! znasz, Laufrze kochany, pocziwego barona, który ma więcej długów niż włosów na głowie i zmarszczek na twarzy, który ma dziesięć egzekucji do mobiljów, których niema, a pięć do osoby, która grosza nie warta, wraz z pierścieniem bronzowym i z szkiełkiem, co tak świeci jak brylant? Otóż ja jako wujaszek w sukniach, których ma jeszcze dosyć na strychu ukrytych przed dłużnikami, byłem z wizytą u pani jednej bogatej, co przyjechała tam gdzieś od Dniestru z nad rzeki, której nazwiska przez wzgląd na płeć piękną powiedzieć nie mogę, brzydkiej nie przymawiając jak nasza kochana Wrona, ale za to o dwa miesiące młodziej, która pochowawszy należycie dwóch mężów, życzy sobie poślknąć trzeciego, bo też wygląda jak ten wieloryb, co u jejmości wisi nad łóżkiem z pocziwym Jonaszem w brzuszku.

— A tamże po co?..

— Jak to poznać zaraz, że nie wchodzicie w wyższe towarzystwa! Oto mój pan baron życzy sobie być Jonaszem, a pani Buchalskiej trzeba było zamydlić oczy bogatym wujaszkiem z Litwy czy ze Żmudzi. To też przeciągałem słowa, przez nos mówiłem, a nawet parę słów Żmudzkich wtrąciłem, aż się mój wieloryb rozplywał z radości. Już to kucharza ma dobrego; krzywiłem się wprawdzie z obowiązku, bo nie było kołdunów, ale jadłem za czterech;

wino od pradziadka jeszcze piłem za sześciu, choć chwaliłem lipiec i miodek kowieński.

— I za to suknie twoje?..

— To się wie, i piątka do tego, którą przepijemy za zdrowie Jonasza połkniętego przez wieloryba. Ruszajże się Wrono!... zakasz się Mazurko! będziemy jeść i pić, pić i jeść, póki starczy tej głupiej mamony!

Śmiech i pijatyka zaczęła się na nowo, i coraz zwawiej postępuje.

— Słuchajno Lizusie? jest tu jakiś kawczuk, który pytał się o ciebie i o Laufra pod waszemi nazwiskami.

— Ej, to może jaki baron także!..

— Cyt! siedzi tam z Kobylą Głową.

— A ty tu, nieszczęśliwy mężu?.. weź kiełbasę zamiast sztyletu, albo jak Otello ścierkę zamiast chustki, i ruszaj dusić wiariolomną...

— Nie żartuj, on ma heilig!

— Heilig! w to mi graj.

— Jak tu zbuchać?..

— Kobyla Głowa, niech mu sięgnie grabkami w dolinę (sięgnie palcami do kieszeni).

— Trzeba się poradzić!..

— A więc napijmy się, i tego salcesona weźmy do rady, bo przekonałem się, że łągał mój belfer, co mi plótl zawsze zjadając mój podwieczerek „plenus venter non studet libentur.“

Skupiły się głowy, i zaczęła się narada coraz cichsza, im więcej brały górę myśli złowrogie dla wąsacza, które z roziskrzonych oczów całego towarzystwa strzelały. — Coby się nie stało, okradniem przybysza! — oto było postanowienie niezienne — ale jak? Choć trwały ciche namowy, pomysł Pilnika coraz więcej przeważał.

A w alkierzu rozmowa coraz poufalsza; poznali się już, i porozumieli doskonale; w braku urbańskiego wina Kobyla Głowa, przyjaciółka napitku, kazała przynieść miodu bez sennej przyprawy, i popijając tak się posilała słodyczą maderki i słów wąsacza, aż się w końcu rozczuliła do łez nad położeniem kochanego małżonka i swoim.

— Wszystko zrobię, mąż mój posłuchać musi, i ten drugi ga-duła, którego słyszę już głos dzwonkowy... dla ciebie mój kochany; żeby nie te wąsy obrzydliwe.. zkad ty przyszedł do takich wąsów..

I znowu szept, śmiechy i umizgi.

W głównej izbie cicho; oczy się iskrzą, drżą ręce trzymające szklanki i kieliszki. Wrona na palcach stanęła koło drzwi alkierza, aż dziurawe pięty pończoch wylazły z wielkich trzewików.

— Nasz już, nasz!.. pali się do niej, i miodek, choć nie za-prawny, zachołomszył mu głowę.

— Więc jak mówiłem.. ty za oczy, ty knebel w gębę.. my za ręce...

— Ja za sakiewkę...

— Ja za motyle i sikorkę.

— A potem, potem! — dodał Pilnik, i łypnął oczami, i wszyscy łypnęli za groźnie, aby była jaka nadzieja dla biednego rozkwilonego wąsacza.

— Jeszcze jedno — dodał Lizus — ja znam Kobylą Głową, gotowa się rozczulić nad nowym kochankiem, i bronić go.. więc baby weźcie się do niej..

Jak rzekli tak zrobili; raz jeszcze wypiwszy po kieliszku wódki ruszyli cicho i pomału ku drzwiom... Kilka głów zajrzało przezornie, i pierwszy Pilnik, ze ścierką na knebel przeznaczoną, wyciągnął się naprzód do skoku. Okropnie wyglądał w tej chwili najbrzydszy pomiędzy brzydkimi, Pilnik. Twarz jego nad miarę długa, chorowitą żółtością powleczone, ospą poorana, zaczerwieniała od trunku, i jakiegoś złośliwego zapachu, który strzelał z czarnych wielkich oczów tak straszliwie, jak gdyby każdy znak ospy kroplą krwi zaszedł; usta zawsze sine drgały, równie jak i broda przeciągnięta, dłuższa prawie od całej twarzy, dodawszy do tego nos przełamany na samym środku, i jakby zlepiony plastrem czarnym; nad tem wszystkiem czoło śpiczaste, pokryte wiecznymi wyrzutami obrzydliwymi, które stercząc raz koło razu, dały mu przez jakieś podobieństwo dosyć urojone nazwę Pilnika, i włosy krótkie, czarne jak szczecina sterczące, a tak rzadkie, że z pomiędzy nich wyglądała czerwona pryszczami okryta głowa. Można mieć wyobrażenie, jakie zrobił wrażenie na wąsachu, który nie spodziewając się niczego, i objawszy wpół jutrzejszą kochankę, przypadkiem w kawałku zwierciadła naprzeciw niego wiszącym, ujrzał, jakby widziadło niewyraźne i niedokończzone, tę potworną twarz.

Na ten widok, zerwał się ze swego miejsca, obrócił się ku wskazującemu z uśmiechem, zdjął przyprawione wąsy jedną ręką, a drugą podnosząc szklanicę miodu, zaczął pan Krętowicz — on to bowiem był w własnej osobie — śpiewać, głosem nie tyle dźwięcznym ile gardłowym i grubym, dziwną piosenkę:

Pnaje binia wedle kwaczu,
Dzień dobry ci mój buchaczu;
Dzień dobry ci mój kochany!...

Słyszac słowa znajomej a ulubionej krogulcowych towarzyszków piosenki, w pół skoku stanęli wszyscy zadziwieni, w postawach, których przejście z rozbójniczej do łagodniejszej myśli było nad wszelki wyraz komiczne.

A ze środka towarzystwa zacnego dośpiewał na tę samą nutę Lizus ostatni wiersz tej piosenki:

Klawe heilig pobuchany!..*)

— Pan Kręto.. — zawołał Laufer zadziwiony.

— Dajmy pokój nazwiskom.

*) Idzie dziewczka koło aresztu;
Dzień dobry ci mój złodzieju,
Dzień dobry ci mój kochany,
Wielki pieniąż skradziony!...

Jest to jedna zwrotka z długiej pieśni, śpiewanej z upodobaniem na no-
nych biesiadach towarzystw podobnych do krogulcowego, zupełnie prawdziwa.

— Co to jest? — zawołał Pilnik zupełnie stępiiony tem niespodziewanem zakończeniem wyprawy.

— Co to jest? — krzyczały basem i chrypką Wrona i Mazurka.

— Co to jest? wołał fistułą Antek wyściubiając rozczochną i czerwoną głowę z pod brudnej zasłony...

— To jest znajomy pan? cha! cha! — ledwie Kobyła Głowa odpowiedzieć mogła od śmiechu szalonego, który ją dławił, aż się kładła na drewnianą kanapkę.

— A na dowód znajomości, jeżeli wam wasza piosenka, której nauczyłem się dawniej za studenckich czasów, nie wystarcza, macie jeszcze i te ważniejsze dokumenty — co rzekłszy, rzucił im kilka piątek dobytých z pularesu.

— A wy tu zostańcie z nami! — dodał zwrócony do Laufra i do Lizusa... bo to nie przelewki!...

— Jakto?...

— Kryminał, albo grube pieniądze!...

Długo w noc szeptali w alkierzu; i pili, i hulali, i krzyczeli długo w noc w izbie gościnnej.

OBRAZEK SIÓDMY.

Pod godłem łąszącego się kota.

Ciekawą byłoby rzeczą widzieć razem postawione obok siebie dawną niewieścią alkową i buduar dzisiejszej wytwornickiej; różnica życia dawniejszych niewiast okazałaby się w całej nagiej prawdzie, i wtenczas pokazałoby się, że nie paszkwile piszą ci, którzy krzyczą na zepsucie obyczajów naszych.

Pokój kobiety więcej stanowi w życiu narodów, niżeli się zdaje na pozór; w pokoju kobiety jest kolebka przyszłych pokoleń; w nim się wyrabiają pierwsze wyobrażenia dzieci, które są podstawą późniejszych czynów mężkich i działań niewieścich: z pokoju kobiety wychodzi syn, kochanek, mąż w świat, z skłonnością tam nabraną pod pieszczącą dłoń kochanki, matki, żony. Umysł mężczyzny, miękki jak wosk w ciepłe domowego ogniska, tęższe i twardnieje za domowym zimnem ścięty jak lawa ostygnięta, w kształtach, w jakich je z siebie wyrzuciła matka góra. I dla tego nie mylnem mniemam zdanie moje, że przystrojenie pokojowe kobiet naszych wpływa nie mało na moralne kształty, wychodzących z tamtąd pokoleń; jakoż jasnym mi się zdaje, że dawni ludzie mężni, stali, z żelazną duszą i ciałem, musieli wychodzić takimi z komnat niewieścich, mniej błyszczących jak dzisiejsze, ale za to ubranych w nauki z przeszłości narodowej i religijnej; przeszłe czyny zachowane w pamięci malowanej, pisanej i mówionej były nasieniem i bodźcem przyszłych czynów. Więcej jest dziś blasku, więcej pozłoty w buduarze kobiecym, to też poloru i ogładzenia nie mało nam przybyło, bodaj tylko czy nie z ujmą wewnętrznej wartości. A nam to najwięcej baczyć na to należy, byśmy powierzchownością nie nasładowali owe narody, którym

wolno pohulać; nie nam to rozpasywać się na zbytki i owe powierzchowne fraszki, kiedy tak wiele wewnątrz nas samych brakuje.

Nie mówię przeto koniecznie, aby wracać do owych starożytnych przystrojeń, ale czyż dla tego trzeba ciemne przodków i świętych obrazy przemieniać na jaskrawe nagości malowideł dzisiejszych? czyliż warto książkę nabożną pargaminową wyrzucać za okno, by ją zastępywać aksamitną kompaturką i romansami francuzkimi roztkliwiającemi bez potrzeby, nadymającemi młodzież naszą jak próżne pęcherze wiatrem słów i zepsutym oddechem marzeń bez celu!

Alkowsy dawniejsze dla swojego tylko zapewne były dobre czasu... spokój im, spokój Chrzanowskiej, której nie zdybać żywej między paniami naszymi, nie zdybać nawet malowanej aby w jednym pokoju niewieścim; nie lepiej-że by obrazek takiej bohaterki uczył młode pokolenia nasze, aniżeli sztych jakiejś tam francuzkiej tanecznicy, albo śpiewaczki sławnej, jakby to nam dziś tańczyć lub śpiewać wypadało!... I czyliż z nowych potrzeb umysłowych, nowych wynalazków trzeba brać samą tylko pozłótkę i świecidełka, które żyją ledwie życiem motylem; zbytkowe drobnostki, których potrzeba wkrzesa od dzieciństwa prowadzi do trwonienia tej w postaci złota najkosztowniejszej człowieczej własności — niepodległości osobistej!... za którą potem w braku wyszarganego mienia kupujemy, to, bez czego możnaby się obejść, tak, iż nieraz śmiało powiedzieć można wszedłszy do kobiecego wonnego pokoju, że dobre imię poszło za wazon gliniany, cześć za nagą figurkę bronzową, cnota za papierki ubarwione i ozłoczone, a hańbą okupione zwierciadło odbija pokalane wdzięki! Bronzy, które czernieją, kwiaty, które zwiędną, papierki, któremi się szafuje na bilety, zaprosiny, wyznania: wczoraj piękne i świeże, dziś zamazane, jutro, zapomniane, pozajutro w kloakę rzucone, to są przystrojenia buduarowe; one są godłem życia kobiet dzisiejszych, roztrzepanego, pachnącego z wierzchu, zarażonego zepsuciem wewnętrznem; życia bez myśli kierującej, bez uczucia przewodniczącego. Muszę tu jednak dodać, że to co powiedziałem, da się tylko zastosować głównie do pań wielkoświatowych, które mniejby złych skutków wywierały, gdyby i małoświatowym niechciało się małpować to na wsi, co tam gdzieś zajrzały lub zasłyszały będąc w miasteczku.

W jednym z takich buduarów, zapełnionym drogiemi fraszkami, siedziała pani hrabina Felicka na sofie, która różne kształtem i nazwami przebywszy koleje, nazywa się teraz podobno kozetą, a choć obszerna dosyć, możnaby ją przecie nazwać półtoraroczną, mając wzgląd na szerokie ubranie pań dzisiejszych, którym tylko dodać gazu nieco, a balonem wyleciałyby w górę. Oczy niebieskie, jak zwykle u blondynek, skłonniejszych do swobodniejszych półuczuciów, wpatrzyła przed siebie z rodzajem głębokiego zamyślenia, które nawet jej twarz jasną i białą powlekła cieniem smutku: czasem tylko porwie się silniejszym ruchem z siedzenia swego, aż zaszleszczą krochmalne stroje. Stoi przed nią stolicek z całym zbytkiem papierów o malowanych dewizach, kałamarzyk i piaseczniczki w kształcie urn starożytnych w miniaturze, i piór tak świetnych jakby świeżo wyrwane były z wachlarza

sultańskiego. Kilka papierów na pół zapisanych, a przedartych leży koło niej; widać, że niegodne myśli nie chcą się gładko przelewać na papier; i nie łatwo to pisać dzisiaj listy, kiedy miasto ortografji i sensu trzeba słów szumnych, hucznych i dziwiących się z niespodziewanego zdybania.

Zamyślenie i zajęcie pani hrabinej przerwał wchodzący mąż z twarzą jak to zowią tuzinkową, która niczem w pamięci zostać nie może; to też, dla odróżnienia się od drugich, hrabia rozrzucił gęste jeszcze włosy olbrzymim na bok pochylonym tupetem, którego jakby część druga, dobywała się z pod ust szeroka broda rudawa. Między niemi wisi cała twarzączka bez wyrazu i bez kilku przednich zębów.

— Pani zatrudniona pisaniem jak uważam... czy można? — dodał zbliżając się do stolika, i wyciągając ręce ku niemu.

— Nie ciekawego, mój panie — i z ruchem przyspieszonym porwała za ćwiartki zaczęte.

— Gdybym był zazdrośny?...

— Cóż-byś pan zrobił?

— Zrobić?... zapewne nicbym nie zrobił.. „ce n'est pas mon fort!.., ale mógłbym sądzić..

— Cóżbyś pan sądził..

— Że pani piszesz do pana Aleksandra.

— O nie do niego! — z roztrzepaniem odpowiedziała, potem spokojniej dodała: — Skądże myśl?...

— Przyznajesz mi pani przecie myśl!.. bardzo wdzięczny jestem, bo dotąd nie robiłaś mnie tego zaszczytu.

— Pan jak uważam chcesz się kłócić, albo nudzić!..

— Bynajmniej nie w takim celu przyszedłem...

— Ale zawsze w celu.

— Naturellement; gdzie jest myśl, jest i cel.. vous comprenez Madame?

— Ja słucham.

— Czy pamięta pani łaskawie, co mówiliśmy a peu près w tym samym czasie przed dwoma laty?

— Niewiem; proszę mi przypomnieć.

— Piękny to był czas, kochaliśmy się wtenczas.

— Tak; — przeciągnęła hrabina.

— A tak!... ja byłem wdowcem, a pani panienką; ja miałem dwie wiosek, a pani tyleż prócz kapitału pod dożywociem zacnej ciotuni, która jest tak dobra, że już od dziesięciu lat wegetuje najzawzięciej w łóżku...

— Czy mamy się rachować?...

— Niezaszkodziłoby, gdybyśmy się porachowali, ale moment cierpliwości; je serai bientot au bout...

— De votre latin! — mruknęła hrabina, na co hrabia z wielką uśmiechnął się uprzejmością.

— Owoż w kilka dni po ślubie przestaliśmy się kochać.

— Zaczynam sobie przypominać.

— Od tej chwili.. <http://rcin.org.pl>

— Ponieważ ma to być kronika naszej przeszłości, racz pan nie przeskakiwać w opowiadaniu swoim, i wyluszczyć przyczyny.

— Ma foi, je n'en sais rien; byłem zawsze grzeczny; uprzejmy, usłużny; „je vous lisais, je chantais... zresztą, je faisais mon possible!... .

Hrabina westchnęła.

— Ale nie byłem surowy!... „vous me rendrez cette justice?

— To wielkie szczęście dla młodej niedoświadczonej dziewczyny.

— N'est-ce pas? za radą ciotuni idąc, oddzieliłaś pani swój majątek od mego.

— Gdybyśmy mieli dzieci, nie byłabym tego zrobiła.

— Dzieci! dzieci!.. i ja lubię dzieci.. coś łatwiejszego jak dzieci?...

Wzrokiem pełnym pogardy zmierzyła hrabina męża.

— Vous concevez, że ja miałem prawo, spodziewać się qu'entre époux wszystko wspólne być powinno.

— I dla czegoś się pan ożenił ze mną?..

— Intraty swoje odbierałaś pani zawsze, robiłaś z niemi, co sama chciałaś, a przecież ja dom utrzymywałem własnym kosztem, „et une maison bien montée.. Ja na to nic nie mówiłem, póki moje wioski były czyste, lecz niestety! — tu westchnienie i spojrzenie rzucił do góry — „tout passe, tout casse, i wioski się jakoś za-
dłużyły.

— „Finissez Monsieur!

— Już mi nie daleko do końca, osobiwie do końca mego kredytu, który agonizuje.

— A zatem?...

— „Je suis aux abois!...

— Mocno żałuje.

— Nie idzie tu o pomoc pieniężną, ale o pożyczanie kredytu do zasłonienia się... i „vous comprenez Madame“...

— Nie rozumiem dotąd, i nim pan dalej zacznie mówić, ja w krótkości powiem, że gdyśmy się po tym ślubie, do którego mnie ojciec namówił poznali bliżej, ułożyliśmy się raz na zawsze żyć do-
brze z sobą na pozór, ale nie mieć nic wspólnego...

— Zapewne pamiętam, i nawet powiedzieć muszę, że w tej chwili widząc cię tak piękną, tak młodą i tak niewinną, pełną życia, przeklinałem młodość moją, żałowałem ciebie, żeś padła ofiarą... Byłem wówczas szczery, kiedy cię przepraszałem, i w obec ciotki, która się w zaufanie twoje gwałtem wkradła, przysięgałem, że nic nie chcę twojego, prócz tego, abys nazwisko moje szanowała. „N'est-ce pas Madame?...

— Chciej pan skończyć tę scenę dziecinną.

— I pamiętam jakieś pani z płaczem dziecka przystała na to pozorne małżeństwo, którego ciotka żądała gwałtownie dla uniknie-
nia śmieszności i plotek.. i pani przysięgłaś...

— Przysięgłam! mój panie! i coś więcej?

— Ja pani oddaję przysięgę...

— Cóż to ma znaczyć?... pan chce rozwodu...

— Ten zdaje się jest niepodobny, osobliwie za życia ciotki...

— A więc?..

— Ja pani ową przysięgę odprzedać chcę.

— Co?... boję się zrozumieć...

— To bardzo naturalnie!... ja sprzedaję to, co właściwie już nie moje.

— Pan dziś zagadkami gada.

— Bynajmniej... i lepiej mnie pani zrozumiesz, gdy dodam do handlu list jeden, który znalazłem na łóżku panny Pauliny, nieoszacowanej śpiewaczki naszej.

— Paulina!... cóż pan tam robiłeś? jaki list?..

— Jak zwykle nic nie robiłem... poszedłem dla kontenansu.. „par réminiscence, par désœuvrement.. que sais-je!..

— Ale list? co za list?..

— List pisany ręką pani do pana Aleksandra.

— O mój Boże! — krzyknęła i zakryła ręką oczy. — Mój list u tej śpiewaczki?

— „Qui se laisse bien payer...

— Ha!.. więc dla tego... ja musiałam... Wy jesteście okrutni, bez litości... wy!..

— „Modérez vous Madame;“ to szczęście, że mnie ta „velléité de jeunesse napadła; list jest u mnie.

— Gdzie? gdzie? proszę mi oddać.

— Zaraz! zaraz!.. ale ja jestem w błocie po uszy... mój kredyt...

— Cóż pan chcesz?.., a ten list...

— Ja proszę panią hrabinę o zaręczenie na lichych dziesięć tysięcy reńskich...

— Zaręczenie moje, wątpię, by było dobre.

— Mniema pani, dla tego, że ma długi?

— Pan wie?...

— Oczywiście, myśmy się nieraz zdybywali podpisami naszymi u jednych lichwiarzy... „c'est dramatique!..“ a jak kto napisze, to powiedzą, że kłamie... Pani tylko raczy zaręczyć kapitałem mianym u ciotuni dobrodziejki.

— Dobrze! jeszcze jedna ofiara! proszę dawać list, zaręczenie zaraz podpiszę.

Podał hrabia papiery, a gdy hrabina podpisała, rzekł z najobojętniejszą uprzejmością: „Vous etesubien aimable Madame,“ muszę pani dodać, i to darmo, jedną przestrożę przyjacielską: Szukając adoratorów, wybieraj pani płacących, a nie płatnych.

— Podpisałam, kupiłam, więc żegnaj!

— Przez litość nad panią i przyjaźń prawdziwą to mówię, „car si cela dure, vous etes ruinée Madame, exploitez,“ póki czas cudowne wdzięki swoje... „Adieu, sans rancune!..

Po wyjściu hrabiego załamała ręce, i głośno krzyknęła:

— Kto z nich podlejszy?..

— Może ja to zapytanie zdołam rozwiązać! — zawołał wchodzący do pokoju pan Aleksander

— Pan! tak jest! chodź pan tu, i powiedz, czy jest podlejsza istota na tym świecie jak mężczyzna, który się wkradnie do serca kobiety pochlebstwami, udanym zapałem, ciągłymi zabiegami, do serca kobiety, która poświęcona przez rodziców, wierzących w szczęście złota, przykuta na wieki do trupa, okropnego trupa, bez duszy i bez ciała, bez serca i bez głowy, bez cnót i bez występków nawet; która walczyła wszystkimi siłami jakie w niej były, jakie tylko dożyć mogła ze swej przeszłości niewinnej, z pamiątek dziecinnych, z wiary, z cnoty. Bóg widzi, walczyła szczerze, walczyła długo... a mężczyzna przysięgał jej na słowo honoru, które dla mężczyzny powinno być święte, to słowo, za którego złamanie pluną w oczy, biją w policzki; zaklinał, płakał, łasił się jak kot zdradziecki, lizał jak pies... wieczną miłością przysięgał... i zwyciężył. Kobieta oddała mu się w zaufaniu, i z zapałem pierwszej miłości... bo on był pierwszą jej miłością... uwierzyła jego przysięgom wierności; i ten mężczyzna zdradził ją haniebnie, miłość jej świętą poświęcił aktorce, nędznej aktorce... mów pan, jakie mu nazwisko przysiało?.

— Pani jesteś dzisiaj w natchnieniu poetycznym; nie wiem czy potrafię się wynieść na równe stanowisko, poprobuję jednakże, i pytaniem odpowiem na pytanie, choć może krócej mówić będę. Na jakie nazwisko zasługuje kobieta, która męża zdradza dla kochanka, a tego kochanka którym się już nasyciła dla drugiego?

— Chciej pan się jaśniej tłumaczyć!.

— Niech pani zacznie!.

— Ten list znaleziony u aktorki na łóżku.

— Ta sakiewka wyrwana na ulicy w czasie nocnej przechadzki po ogrodzie z młodzieńcem w paletocie białym...

— A to okropnie, i on to śmie mnie wyrzucać!...

— Bynajmniej, ja tylko przyszedłem oddać sakiewkę, którą wykupiłem... i odchodzę na zawsze, ustępując miejsca szczęśliwшему od siebie... i bogatszemu.

— Pan jesteś podły! jednym słowem mogłabym zawstydzić... ale nie chcę... nie chcę znać pana...

— Dług mój wkrótce spodziewam się oddać pani...

— Pan mi nie jesteś winien... przeciwnie ja mu winna jestem doświadczenie... proszę się oddać!...

— Idę, chciałem jeszcze pani przypomnieć, żeś się raczyła przyrzec na wieczór dzisiejszy do ojca mego; niebytność twoja, pani, zasnućłaby nie jednego.. który się tam może będzie znajdować z nadzieją lubą...

— Będę, będę niezawodnie, — a gdy odszedł, dodała z suchemi oczyma; choćby serce pękało od żalu... i tak dalej iść będę drogą, na którą mnie pchnęli ojciec... mąż... kochanek!.. O wam tu na tym świecie nie serca potrzeba!..

Zabawa wieczorna, o której wspomniał pan Aleksander, była pyszna; wszystko co zbytek, gust i sztuka utworzyć mogły, wszystko zebrał w domu swoim pan pułkownik, który nie darmo żył tak długo na świecie wielkim; do niejednej przyczepiał się magnackiej klamki, za pomocą której z gruzów odczystych wyniósł majątek i ty-

tuł pułkownikowski. Urządzanie festynów; to był jego rozum cały, a pamięć jego wiernie chowała opisy wszystkich balów do jakich tylko należał jako pieczeniarz wielkich panów ówczesnych. Mniemam, że trudniej jest postarać się o chleb powszedni, niżeli o najhuczniejszą biesiadę za złoto, którem najłatwiej kupić, w braku własnego, cudzy gust dobry, choć o nim bogacze tego świata wiele rozprawiają, jakby o jakiej własności osobistej i rzadkiej, jakby o pomazaniu losu. Smak wytworny tych pomazańców jest jedną pozłótką więcej na drewnianym balwaniu; zdrap je, a zostanie spruchniałe drzewo, niezdatne nawet na prostą deskę. Znałem jednego z tych chwilowych ulubieńców losu: złote, piękne rzeźbą wyrabiane, robić kazał futeraliki na dukaty swoje; wszyscy zachwycali się nad wytwornym jego smakiem; tymczasem poszły dukaty, poszły za nimi dęte futerały; a w obdartym surducie, byłego wytwornisia, nikt się już nie chciał domacywać owego gustu przedniego.

Owoż pan pułkownik Skrzekski z łaski losu miał najpiękniejsze ekwipaże, konie pierwszej rasy, meble najwytworniejsze, nie więc dziwnego, że wyprawił bal, który wszystkich gości zachwycił. Przechadzał się dumny po salonach swoich, z wewnętrznym przekonaniem o wyższości swojej, słyszał tu i owdzie dolatujące go słowa pełne uwielbienia, zdziwienia i wykrzykniki, zwykłą monetę, którą płacą zaproszeni gospodarzowi. Towarzystwo było oczywiście dobrane jak sami osądzili goście, dobrane strojami i ułożeniem grzecznym, pełnem uśmiechów fałszywych, oświadczeń nieszczerých. Co tam pod frakami mężczyzn i szerokimi pań sukniami się działo, któżby chciał zbadywać, i niewarto prawdziwie!...

Jeszcze bal się nie był ożywił tańcem i napojami; w różne więc grona rozdzielone towarzystwo bawiło się rozmowami, których różnorodność trudno schwytać i ocenić, bo tak są zwykle płaskie jak to robaćstwo drobne czolgające się, których płaskość broni od zgniecenia.

Przebiegnijmy jednak niektóre grona.

Damy poważniejsze po kanapach i fotelach usadowione rozmawiają o teatrze, o plotkach, o strojach, krótko i przelotnie. Nic nie zgłębić, po wszystkich prześliznąć się, to ich prawidło! Dowcipniejsze dotykają nawet żądłem obmowy nieprzytomnych. Słów wiele, wiatr wachlarzowy, spojrzenia ukośne na stroje przyjaciółek i nie więcej!... A ile to tam tych przyjaźni zerwie dzisiaj fontaż szczęśliwie dobrany, barwa sukni dobrze do twarzy odpowiadająca.

Tam dalej dziewcząt grono młode i wiosenne; ale w salonach wyższych i wiosna i kwiat, który jest godłem, są fałszywe; to też proszę posłuchać, jak żadełkami te piękne, jak pszczoły przez pół sznurówką przecięte panienki znoszą do ogólnej rozmowy najzłocięszą zółć. I jakże ma być inaczej, kiedy się ciągle przysuwają do tego grona motyle o ciemnych skrzydełkach frakowych, a między nimi nie zawsze są najprzystojniejsi, ani najprzyjemniejsi, ale za to najmajątniejsi; tych zwrócić oczy na siebie, zbliżyć, zachwycić, rozkochać, jedynem jest panińskiego grona żądaniem. Jak każda z nich wystawia naprzód, co ma najpiękniejszego: ta nóżkę małą, tamta rączkę kształtną, jedna usta zmniejszonego uśmiechu, który u dru-

giej perłowe ząbki odsłania, inna oczy pełne gołębiej niewinności, a w braku innych zalet powierzchownych, może akcent francuzki przyciągnie, może modne wykrzywianie się przywabi, a nareszcie choć drogi kamień w czarnych włosach. Ani chcą w to wierzyć, że i obóz przeciwny wietrzy tam za posagami tylko, że paniceze owi słodcy, ugrzecznieni, ani myślą o wdziękach wystawionych na targ; oni jak wyżył szukający trufłów, wsadziliby najchętniej nosy swoje w najobrzydliwsze błoto, byle z niego wyciągnąć wonny pasagowy trufel, za który tak dobrze potem jadać pasztety, pić szampana i opłacać baletniczki i aktorki.

Z tej ogólnej jednostajności obrazu balowego, który jest jego światłem całem, wystają w rogu grona dziewcząt dwie głowy — mężczyzny i kobiety, które głębszym wyrazem twarzy swoich są niezawodnie cieniem tego obrazu, jakby cień zamyślenia rzucony przez malarza na twarz wesołą. Mężczyznę znamy; jest to Konstanty, na którego twarzy pięknej zawsze najwidoczniejszy ten cień; może to cień poleskich sosen, który się na wieki do niej przykuł... Przez grzeczność gospodarskiego syna zbliżył się do dziewcząt, i najlepiej wybrał, bo twarz dziewczyny, z którą rozmawia najgodniejsza zaiste, by odbić wyraz jego oczów natchnionych, śmieszny w tym salonie. Nikt z nią nie rozmawiał, bo to uboga krewna hrabiny Felickiej, choć najbogatsza ze wszystkich w zdrowe, szczere, wiejskie prawie wdzięki. Znają się już od kilku miesięcy! Konstanty najswobodniej z nią rozmawia, a ona radaby całe życie słyszeć tego, który jej nigdy próżnych nie prawi grzeczności; ale za to unosi jej duszę z sobą w kraje marzeń, tyle mających uroku dla duszy niezepsutej sztuką salonową; onaby rada więcej, niż się do tego przyznaje sama przed sobą, patrzeć ciągle w oczy jego, które tak wiernie wtórują słowom.

— I nigdyż nie przyjdzie dla pana chwila powrotu do tej wesołości, którą straciłeś?

— Może!...

— Może! tylko może!...

— Jest to okropna wątpliwość taka, nieprawdaż panno Ludwiko?

— Powiadają, że tylko starzy ludzie wątpią.

— Był czas, i niedawny nawet, w którym wierzyłem w przyszłość; zdawało mi się, że od mej woli zawisła.... dziś...

— Dziś jest inaczej?

— O jak zmieniłem się! ludzie, którzy mnie otaczają, urywają codzien kwiat po kwiecie, najpiękniejsze kwiaty, które z przeszłości chowałem na przyszłość.. Nauczyłem się tu bać, nieufać!...

— Czyliż wszyscy są źli?...

— O nie pani, do tego nie przyszło jeszcze zemną... ale samo powątpiewanie jest już okropnem.

Nastała pauza, którą Ludwik przerwał czerwieniąc się jak czereśnia.

— Nigdy jak dziś nie żałowałam, że nie jestem mężczyzną.

Zadziwionemi oczami spojrział Konstanty.

— Mężczyzną? — zapytał.

Ludwika nic nie odpowiedziało, tylko Iza zabłysła w jej oku;

ta Iza była pewnie na całym tym balu dyamentem najczystszej wody.

— Mężczyzną!... dla czegoż?

— Bo... bo kuzyna moja powiada zawsze, że nie może być przyjaźni między kobietą i mężczyzną.

Rozczulony chciał coś odpowiedzieć Konstanty, lecz grono mężczyzn zbliżyło się do nich i rozmowa stała się ogólną.

— O czemże mogłeś tak długo gadać z tą parafianką? — zapytał wytwornie ubrany chudy młodzieniec z długimi włosami, bródką ufryzowaną i złotem przetykaną kamizelką. — „Elle est si insipide.“

— Doskonała para, mój baronie! — szepnął na ucho drugi.

— A nawet lepiej się z nią bawilem, niż myślicie.

— Czy być może? — przerwał obciśnięty niemilosiernie dandys, dosyć przystojny blondyn, z pełnym nadziei brzuszkiem, na krótkich nóżkach — ja nie mogę rozumieć, jak się można bawić z temi pannami „de rien... en général“ ja lubię tylko mężatki jako zabawę „sans conséquences“, albo karty, „du moins on sait ce qu'on gagne et ce qu'on perd.“

— Patrzcie, jaki filozof z Artura...

— „Et il dit vrai!... patrzcie na tego Alfredzia; ledwie porzucił szkoły, zaczął bywać u rodziców panny Palmiry; złapali nieboraka i dziś płacze na ruinach Palmiry i majątku nadszastanego porządnie.“

— Ruiny Palmiry!... „c'est unique!...“

— Już to mnie się pewnie nie trafi...

— Ale słyszałem, baronie, że podobno ciebie jakaś syrena z Dniestru oczarowała.

— Doskonały dziś Artur!...

— Jużci trzeba zrobić koniec!

— Więc to prawda?...

— Bogata moi panowie; a na weselu przy cukrowej na srebrach kolacyi... „rira bien, qui rira le dernier“. Lecz otoż i ona, idę do obowiązku — rzekł i pogonił...

— Czas by to dla barona, wysechł jak mumia.

— Goły, aż trupem cuchnie.

— A rolę pana chce grać jeszcze.

— Weźmie ona go w ryzy.

— Powiadają, że ma wielkie wypasy wołowe nad Dniestrem.

— Pastoralnie się będzie bawił.

Baron tymczasem przysunął się do kozety, na której usiadła pani Buchalska oddychając ciężko po podróży przez schody, które ją jak twierdziła okropnie męczyły.

— Ja nie rozumiem tej passyi mieszkania na piętrze... czy w pańskich dobrach pałac na piętrze?

— Gdyby i na piętrze był, jabym go dawno kazał rozebrać, skoro usłyszałem, jakie jest pani dobrodziejki upodobanie.

— Ależ bo to głupstwo; albo te wysokie pojazdy, co to człowiek jak na drabinę lezie... czy pański powóz bardzo wysoki?...

— Jak najniższym będziemy jechali do ślubu.

— Fe! fe! niech mnie pan nie zawstydza; wie pan, że choć dwa razy tę historję odbywałam, jakoś mnie mrowie przechodzi...

— To dowód uczuć wygórowanych.

— O ja mam bardzo wiele uczucia... wie pan, że jestem ogromnie łaskotliwa...

— Czy wszędzie?...;

— Fe! fe! — i zakryła się wachlarzem, który zapewne namięślnie do swojego kalibru zrobić kazała...

— Ale, ale, czy będzie tu dzisiaj wujaszek pański?

— Bardzo wątpię, bo on tylko z przywiązania dla mnie, chcąc ustalić szczęście moje, zdecydował się przyjechać tu... on lubi samotność, a potem zdrowie jego.

— Ależ on taki tłusty..

— To nie zawsze dowód zdrowia.

— Oj prawda; wie pan, że jak mnie pan widzisz, ja ciągle cierpię.

— Mój Boże! jakaż to słabość pani dobrodziejki?

— Jakoś taki mam apetyt, że ledwie zjem, zaraz mi się znowu jeść chce.

— Ja będę ciągle myślał o nowych dla pani przysmaczkach, skoro będę miał szczęście ją posiadać...

— Fe! fe!... baronie! — i wachlarz wszedł znowu w ruch. — A to kto gada teraz z gospodarzem — rzekła z za wachlarza, którym ukrywała szeroką twarz swoją — ten niski z głową do góry?

— Jest to adwokat Krętowicz!..

— I adwokaty chodzą na bale; tegom się nie spodziewała... chodźmy trochę do drugich pokojów — i oparłszy się na ramieniu przyszłego męża, aż się ten ugiął pod brzemieniem szczęścia swego, wyszli do drugiego pokoju.

Na drugim końcu salonu przechadzała się znana nam już hrabina Felicka, tak świetna strojem, tak błyszcząca na twarzy i promienista w oczach, jakby ranne zdarzenie snem było tylko: i jakże szczerym zostać na wielkim świecie, kiedy pod karą największej śmieszności, wypędzenia nawet, trzeba chować najskrytsze serca uczucia pod maską wiecznego uśmiechu?... Głowa może boleć czasem, spazmy napadać nerwowe: wonia kwiatu, lub piskliwem drzewi skrzypieniem wzbudzone; to modnem jest!.. Ale serca boleć nie powinny, bo to śmieszne: świat ma dla osób takich współuczucie zimnych i szyderczych zapytań, któremi jak pijawkami wnet wykuruje nowicyuszów z tej serdecznej gorączki. Kochać się wolno, kochać się jest nawet modnie, tylko bez powierzchownych oznak bólu wewnętrznego, rozpaczy, bladeści nieprzyzwoitej w uróżowanym salonie, a jeżeli już jakie ukryć się żadnym sposobem nie dadzą, są lekarstwa po aptekach, są w końcu wody zagraniczne, gdzie się już niejedna romansowa dama doskonale wyleczyła jakby z wodnej puchliny, i to robi właśnie, że salony są tak przyjemne dla salonowców, którzy oglądzeni doskonale, żadną chropowatością nie ścierają się między sobą, a nudne dla przybyszów uczuciowych, których myśli i uczucia oślizgują się po tej/gładkiej/odpowataj powierzchni.

— Wszystkie damy nasze zazdroszczą pani tej piękności i świeżości zawsze niezmiennej — zaczął szydlerczo Aleksander — racz pani udzielić im tej nieoszacowanej tajemnicy.

— Bardzo prosta, mój panie; pogardzać uczuciami niegodnemi, zapominać o wiatrze słów ze lekkim do balonu nawet...

— „Une comparaison bien spirituelle“ — zagadł nadchodzący hrabia, z uśmiechem wewnętrznego zadowolenia.

Hrabina odwróciła się i szła dalej.

— Pani zdajesz się szukać czegoś?..

— Szukam zabawy!..

— I uciekasz pani przedemną...

— Mówiłam, że szukam zabawy.

— Przykro mi bardzo, że w naszym domu nie mogę sam przyłożyć się...

— I owszem pan mnie bawisz.

— Nadto mi pani pochlebiasz!

— Ja szczerze mówię.

— Po tak długiej znajomości jaką była nasza, nie zdołam już zabawić panią.

— Przeciwnie, tylko sposób zabawienia zmieniłeś pan, i lepiej panu z tym do twarzy... maska szpeci zawsze.

— Niestety!.. bez odpowiedzi, bez tłumaczenia się muszę ustępować, bo goni ku nam, o ile zdoła przy tuszy swojej i krótkich nóżkach dowcipny Artur, zawsze piękny, czy w czarnym fraku, czy, w białym paletocie, który lepiej odemnie potrafi zastosować zabawę do smaku pani... ja się oddalam...

— Cóż mnie pan więcej bawisz...

— Ustępuję wzgardzony, i idę pocieszać się listami pani.

— Listami memi?

— Naturalnie! bo widzi pani, ja myślę wyjść na powieściarza i te listy posłużą mi do ułożenia precudownej treści.

— Nie wątpię, że pan z talentem pisać będziesz; powieść będzie doskonałą, osobiwie jeżeli pan „comme conclusion“ wsadzisz bohaterą do więzienia za długi wekslowe.

— Pani!..

— Panie!..

— Pani oddasz mi weksle moje!..

— W zamian za listy.

— Racz mi pani wierzyć, że tego tylko chciałem.

— Chodź kochany Arturze, i rozwesel zasepione czoło najpiękniejszej pomiędzy najpiękniejszymi, bo ja... idę stoliki gier urządzać.

— Czy pani smutna?... ledwiebym sobie tego nie życzył, bo smutek szuka przyjaciela, by się zwierzyć... szuka współczucia!..

— To zależy od powodów smutku!..

— Od powodów?... miałżeby pan Aleksander Skrzieski ośmielić się do tego stopnia, by panią zasmucić!.. powiedz mi pani, a ja w tej chwili polecę do niego, i...

— Ależ my gramy komedje „Monsieur Artur“!..

— Niestety! i biada mnie, jeżeli dla pani jest komedją, to co tu we mnie tragedją.

— Tragedją?... „je ne comprends pas.“

— Mój list bez odpowiedzi.

— Bo wolałam osobiście podziękować panu za pożyczkę.

— Odemnie wdzięczność się należy, że raczyłeś pani udać się do mnie... i by ją wynurzyć, prosiłem o widzenie się.. bo niepodobna w liczmem towarzystwie wszystko to powiedzieć, co się czuje... te najdrobniejsze odcienie, które właśnie stanowią całą wartość uczucia, nikną w gwarze, pełzną w świetle salonowem... Poezja uczuć, jak i poezja pędzla najpiękniejsza „dans le clair-obscur...“

— Pani Gawędzka nadchodzi...“

— „Voyez Madame! c'est la prose d'une entrevue au salon.“

— „Je me sauve“... bo mnie zanudzi na śmierć...

— A ja tyle miałem jeszcze do powiedzenia.

— „Je vous attends demain chez moi.“

— „Avec la prose du salon“?...“

— „Allez“! — rzekła z uśmiechem słodkim, a już odchodząc dodała: — będę czekać o szóstej...“

— I pani będzie sama?...“

— Z panem będę. — I poszli w różne strony...“

— Zaręczam państwu — krzychał w kącie maleńki człeczek, w którym trudno nie poznać pana Mrugalskiego, choć się odświeżył jak mógł — że daremne będą usiłowania nieprzyjaciół... położenie strategiczne jest tego rodzaju, że wojsko nieprzyjacielskie oddzielone od prawego skrzydła swego wodza, musi zginąć.

— Co do nogi! — krzyknął maleńki blondynek z twarzą jak figa, który słuchał słów pana Mrugalskiego z uwielbieniem tak wielkim jak wielką była jego gęba rozwartą.

— W razie porażki, nie zabezpieczył sobie żadnej rejterady.

— To głupiec! — przerwał brunecik niewielki, który mając zadarty nos, podobny do nosa wielkiego Mrugalskiego, starał się zrobić to podobieństwo więcej jeszcze uderzającym ciąglem typaniem. — Czy to być może, wszak proszę stryjaska, rejterada jest największą taktyką?

— Podobny błąd popełnił, jak niegdyś Wellington pod Waterloo, którego wojsko byłoby musiało zginąć, gdyby nie Blüchera przyście, a spóźnienie się Gruszego.

— Słowo daję obywatelskie! on gada jak z książki...“

— Z drugiej strony — ciągnął Mrugalski dalej, machając rękoma, mrugając oczyma któremi oglądał się w koło jak szarlatan pokazujący sztuki wprawnym wzrokiem rachujący grono kontrybuentów swoich — dyplomacja nie zasypia gruszek w popiele..“

— Doskonały jest!... jakie porównanie!

— Anglia i Francja! — tu szepnął coś jednemu. — Francja i Anglia! — tu drugiemu szepnął...“

— A żeby go djabli wzięli!... wszystko wie.

— To szatan nie człowiek!

— Właśnie odebrałem w tej chwili korespondencje — i znowu

szeptce. — To niezawednie!... Rozumiesz!... Bieg rzeczy! — temi i temu podobnemi słowami głośniej wymawianemi przeplatał szeptaninę, a wszyscy słuchali uszami równie wielkimi jak gęby!...

— To mi człowiek! — westchnął jeden.

— Takich nam dajcie! — pisnął wtóry.

— Co za głębokość — ryknął trzeci.

— Jeniusz panie i basta! — zawtórował chór!...

— O wszystkim wie! jakby się w domu stało — dodał dziesiąty, który tylko pochwałę usłyszał, bo przed tem myślał o czem innym.

— Panie Dobrodzieju! — wtrącił nieśmiało staruszek, którego twarz niknęła między okularami i faworytami, ocieniającemi noskę przeciągły i obwisły: — jakie też będziemy mieli ceny tego roku?

— Widzi pan — uroczystym odpowiedział głosem — polityczne ewenementa nie mały wywrą wpływ.

— Jak trafił zaraz!

— A pan podobno nie należy jeszcze do tej składki, do której wpisali się najpierwsi i najgodniejsi obywatele naszej prowincji.

— To jest... nie wiem...

— Trzeba się śpieszyć mości Dobrodzieju! gdyż listę wysłę już wkrótce tam wyżej... zkąd miałem już wezwanie.

— Z największą ochotą — odrzekł szlachcic i dobył pulares ogromny, gdyby książkę do nabożeństwa.

— Co to za serce! — ozwało się w koło.

A pan Mrugalski łypnął oczyma, nowy grosz zagarnął, i zaczął prawić o nowym aparacie gorzelnianym.

— Uniwersalny człowiek!..

— Uniwersalny Figaro! — mruknął pan Krętowicz zbliżając się do grona; potem szeptnął słów kilka gospodarzowi, słuchającemu wraz z drugimi prelekcji matackiej Mrugalskiego. Pan pułkownik zdawał się nawet zachęcać drugich do słuchania tych pięknych rzeczy, skoro bowiem postrzegł kogo przechodzącego, wabił go mówiąc: — Chodźcie tu panowie słuchać, ten człowiek jest dziś w sztosie; wpadł w zapał, wymowa jego jest porywającą — i inne tym podobne wyrażenia zachęcające, które dziwnie przypominały kuglarzy i innych sztukmistrzów wędrujących, z których jeden gości zwabia, a drugi tumania.

Jakoż pomału prócz młodych tu i owdzie zahaczonych słodką rozmową z kuglarkami, lub wytumaniających posag wymową i westchnieniami, wszyscy prawie mężczyźni skupili się koło pana Mrugalskiego, nawet przyszykował kulawy pan Leander, który był już sobie zebrał spore kółko słuchaczy i tumaniał ich jak mógł uczonością swoją.

— Manuskrypt to rzadki, niewidziany! — krzyczał piskliwym głosem — jam go wydobył z kąta, jam oczyścił z pyłu i pajęczyny, jam go wywiódł na świat z ukrycia, gdzie go dotąd zostawiały niewiadomość, niedbalstwo i głupstwo drugich; jam mu należyte naznaczył miejsce, jam ustawił w półce, ja przejrzałem go od deski do deski.

— A czy przylepił pan numer i karteczkę z tytułem na grzbiecie? — zapytał równie maleńki człowieczek zaniedbanie ubrany, i z twarzą zaniedbaną od natury, cały pomięty i pogięty, podobnie-sieńki do starego bankocetla pobrudzonego i oskubanego, a niewiele wartego.

— Mniejsza o to! — ciągnął wyższym zapalem przejęty kulawy mędrzec — jam znalazł pierwszy ten sławny, ten doskonały, ten najciekawszy manuskrypt; jak odkrył pierwszy jego znakomitą wartość bibliograficzną, we względzie nauk, dziejów, starożytności; jam pierwszy pod grubą prochu zasłoną zwąchał ośłą skórę pergaminu.

— To na pergaminie? — odezwały się głosy zdziwione.

— Pracowity to człowiek, ten nasz Leander!...

— Skutki nieprzeliczone przyniesie dla nauk, dla wyjaśnienia dziejów, dla języka i chronologii to ważne odkryci; wkrótce spodziewam się dać panom dokładny opis tego manuskryptu ze wszystkimi wariantami, cytatami chronologicznymi, uwagami krytycznymi i ocenieniem ugruntowanym na powagach bibliograficznych.

— Dalibóg uczony!...

— Najuparciej trzymało się razem grono mężczyzn we drzwiach salonu, prowadzących do pokoju bocznego, w którym pozastawiane stoliki wabiły zieloną barwą sukna i nadziei; a talje kart, z wystającymi asami czerwieniami, nęciły oczy wszystkich gry zwolenników.

— Moje dzisiaj! — każdemu zadzwoniło dukatem w ucho, załaskotało banknotem w sercu.

W tem gronie było wiele łysin, peruk, wąsów i wstążeczek czerwonych u guzików, które przez wstyd zapewne chowały się jak mogły w dziurki frakowe. Ciekawe i badawcze wyleciały z tego grona spojrzenia po całej sali, prześliznęły się po każdym mężczyźnie, choćby najgłębiej utonął w żywym kłębie pań ustrojonych i woniących, i w ich oczach odbijał się o każdym nowopostrzeżonym sąd jego kieszeniowej wartości; bo dla graczyw drudzy są tylko cyframi, a każda z nich przedstawia pewną część rocznej intraty graczyw; stosownie zaś do wielkości spodziewanej części, odpowiednie są grzeczne graczyw słowa, uprzejme ściskania rąk, czułe łapanie pod ramię.

— Słuchajno szefie! coś się nie zabiera do niczego.

— Jakoś nie idzie, kapitanie!..

— Niema naszego grubasa.

— Ba! ba! to mi człowiek; grać będzie do śmierci, a płaci..

— Zaczny człowiek!..

— Moglibyśmy wziąć pułkownika?... dobra psu i mucha!..

— Tylko że lubi grać na kredkę i nie zawsze płaci.

— A potem pilnuje go Aleksander, który niby coś rozumie.

— To młodszy syn pułkownika nie gra?..

— Jak djabeł od wody święconej ucieka, tak on od djabła.

— Patrz Gnojewski gruby ciągnie.

— I tego możemy wziąć; przedał wczoraj 3000 garcy okowity.

— Ale hrabia ma pieniądze..

— Czy być może?

- Na zaręczenie żony wziął 8000 reńskich, dawszy skrypt na dziesięć tysięcy.
- Można by także i od Artura coś wziąć, ale niewiele.
- Kiedyż się do hrabiny przyczepił.
- Baronowi dać pieniądze, to mi gracz!..
- Kiedyż obrzydliwie goły! mnie winien 200 reńskich.
- Mnie sto!...
- A mnie pięćdziesiąt!...
- Niechno tylko zacznie się gra, pościągają się jakoś...
- Pamiętaj tylko majorze, że jeżeli będzie faraon, szef będzie bank dawał; on to rozumie najlepiej; jeżeli zaś djabeł, to ja sięś muszę przed tobą, bo mnie jakoś zgrabniej idzie podawanie kart.
- Żeby tylko pułkownik nie zaproponował kwindecza.
- Cha! cha! toby było najlepiej; major filuje do świecy aż miło patrzeć!...
- Coż znowu za szafarnię ciągnie za sobą nasz baron?
- Powiadają, że to jakaś bogata parafianka, kuzynka pułkownika.
- Może się z nią ożeni?
- Żeby to; szczęście mu Boże!...
- Czego mnie pan koniecznie do sali prowadzisz?..
- Boję się pani Dobrodziejko, by dłuższe bawienie nasze w odosobnionym pokoju nie spowodowało jakich uwag złośliwych..
- Fe! fe! ja miałam dwóch mężów, i nikt nie wątpił o cności mojej.. tu duszno!.. wracajmy!.. coś ciągle patrzy na nas ten maleńki, ten... adwokat!
- Adwokat?... wątpię; wszak on panią nie zna?
- Patrzajno majorze! czego się oni rozstąpili?...
- Musiał już Mrugalski wygadać swoje!..
- Nie! to co innego! chodźmy do nich nieznacznie; będziemy mogli przy tej sposobności wspomnieć co o partji.
- Ja mam gości, przyjaciół!..
- Ja to im mówiłem, że jasny pan bal wydaje..
- Niech jutro przyjdą.
- Powiadają, że oni tylko kilka słów mają powiedzieć, i że wiadomość z jaką przychodzą niezspsuje zabawy, przeciwnie, przyczyni się do rozweselenia balu.
- I ty ich nie znasz?...
- Nigdy nie widziałem.
- To dziwna rzecz! — powiedział pułkownik, szukając oczyma rady między przytomnymi.
- To dziwna rzecz! — odpowiedzieli. — Może jacy znajomi ze wsi?...
- Ale w czasie balu! to rzecz niesłychana.
- To rzecz niesłychana!
- Zapewne ze wsi! zagadł szef; warto ich poprosić, żeby przecie lepiej sądzili o grzeczności miejskiej.
- Może to są ludzie comme il faut!..

- Czy są przynajmniej dobrze ubrani ?
- We frakach jasny panie !
- Cóż robić ?...
- Zapewne, cóż robić ?
- Kaz prosić ich, pułkowniku !
- Może ja sam pójdę do nich.
- Lepiej tu prosić ! — zagadali drudzy.
- Więc prosz !...

Po chwili weszli dwaj ufrakowani goście; jeden chudy, drugi otyły, z twarzami, które już znamy z szynku pod krogulcem i które dziwnie odbijały powierzchownością swych ruchów i ułożeń od zgradowania balowego. Ileż tu jest pomiędzy tymi panami takich, którzyby się wstydzili wyglądać tak niezgrabnie jak oni, a przecież gdyby wewnętrzne tak jednych jak i drugich uczucia i myśli mogły widomie wyjść na jaw, różnica brudu duszy nie wielkaby się pokazała. Do jednego celu dążą zgrabniejsi salonowi, i mniej zgrabni garkuchniowi kuglarze, a tym celem, tam i tu własny interes, zysk !

— Czemu mam przypisać ? — zapytał pułkownik, a na twarzy jego wyszczerzało się zdziwienie najwidoczniejszymi i najwięcej w oczy bijącemi oznakami. . .

— Jestem Sylecki ! — zaczął grubszy, a to jest pan Bilkowski, przynosimy zaś panu pułkownikowi Dobrodziejowi wiadomość smutną i wesołą razem... Pani szambelonowa Skrzeska, bratowa pana Dobrodzieja umarła w Częstochowie.

— A ! a ! — rozszedł się okrzyk żałości na około.

— I przed śmiercią nam, który tam przypadkiem w przejeździe wstąpiliśmy, objawiła ostatnią wolę swoją. . .

— A ! a ! — rozszedł się okrzyk ciekawości i oczekiwania.

— Nie mając czasu do napisania testamentu, tknięta bowiem była apopleksją, i tylko na chwil kilka przyszła do przytomności, powołała nas, którzy z nią z rana jeszcze oglądaliśmy święte miejsce tyłu wspomnianemi i cudami sławne.

— A ! a ! — rozszedł się okrzyk pobożny.

— I słowny zrobiła testament, mocą którego mając wzgląd na to, że jej majątek po większej części składał się z spuścizny po ś. p. szambelanie Skrzeskim, bracie pana pułkownika Dobrodzieja, tegoż pułkownika Skrzeskiego ogólnym mianowała dziedzicem.

— A ! a ! — rozszedł się okrzyk zachwycenia, towarzyszony uśmiechem winszującym a spojrzzeniami zazdrośnemi.

— Prawdziwie ! — zagadł pułkownik, którego twarz przechodziła z zadziwienia do pomieszania ; — nie pojmuję, czy to we śnie, czy na jawie... takie nieszczęście !... takie szczęście... jestem odrzony !... więc to pewnie ?...

— Powoli ! powoli !... ja najlepiej zrozumiem... Więc szambelonowa panom powiedziała to w rozmowie ?...

— Nie mości Dobrodzieju ; czując się osłabioną, zaczęła od tych słów : „Nie mając już czasu do napisania testamentu, bo czuję, że się już ostatnia moja zbliża godzina. . .”

— Biedna szambelanowa! — zakrzyczeli w około...

— Proszę panów za świadków, jako robię testament ustny.

— Tak, tak — powtarzał Krętowicz kiwając głową.

— Zapisuje, rzekła dalej, jak już mówiłam, cały mój majątek ruchomy i nieruchomy panu pułkownikowi, i tam dalej.

— I cóż potem? — zapytał pan komornik.

— Myśmy się spytali jeden i drugi z osobna, czy taka istotnie jest jej wola ostatnia; ona odpowiedziała: „taka jest moja wola ostatnia.“ Skoro skołała pospieszylimy tu z uwiadomieniem, a jutro udamy się sami do sądu złożyć to świadectwo.

— I panowie gotowi przysiądz na to? — pytał dalej Krętowicz.

— Gotowi jesteśmy!... Tak jest, gotowi! — powtórzył drugi chudy świadek, który przez cały czas tego opowiadania, kłaniał się i potakiwał z wielkiem zadowoleniem przytomnych cieszących się z jego niezgrabnej postawy.

— Niema co powiedzieć; jest to tak zwane w naszym prawnym języku „testamentum nuncupativum“, najformalnie zrobione. Teraz mogę „tuta conscientia“ powinszować panu pułkownikowi tego majątku, który przynosi piętnaście tysięcy dukatów rocznego dochodu.

— Piętnaście tysięcy dukatów! — rozszedł się głos, echem roznoszony z kąta w kąt salonu, pokoi, pokoików, garderób, aż gdzieś w kuchni przepadł lub w piwnicy pułkownikowskiej, zkąd dla uczczenia tak ważnego zdarzenia wyniesiono kilkanaście butelek starego tokaja, który przez jakieś ciekawe losu zrządzenie pułkownik wczoraj właśnie kupił, jakby umyślnie na uczczenie takiej niepospolitej uroczystości.

— Panie Dobrodzieju! — ozwała się w gwarze ogólnym, wiewlorybia dama do sztokfiszowego kawalera — wszakże to pański wujaszek z Litwy czy ze Żmudzi... Co to jest mój panie?...

— Prawdziwie pani Dobrodziejko....

— Który tylko co przyjechał z Kowna koleją żelazną, aby mnie poznać? a to pięknie... mdłości mnie napadają...

— Ależ pani Dobrodziejko, miłość moja...

— Co tam miłość... ale ta cała historia o majątnościach: Kujdanach, Wałczycach, Żubertach i innych, których już nie pamiętam, bo ich było czterdzieści; to facecja... ach już mdleje... ginę, umieram...

— Słuchaj pani Dobrodziejko, zapał mój...

— Zapał! zapał! to golizna panie, jak uważam... pan goły i ten wujaszek, co się dziś inaczej nazywa, co to nie lubi towarzysztw, słaby w domu leży... Zdrada! zdrada!... oszukaństwo bezecne.. fe! fe! dwóch miałam mężów, ale żaden mnie tak nie oszukał..

— Pani Dobrodziejko, czyż nie wiesz, co to jest miłość?... dla której wszystkie środki są dobre, byle posiadać...

— Właśnie, że pan nic nie posiadasz, nic, nawet tego wujaszka, który tak smacznie zajadał i rozpowiadał o kołdunach.. O zdrajco! dusi mnie, dusi... już umrę... o ja nieszczęśliwa!

Tak się zaciekla oszukana w rachunkach pani, że ani postrzegła

jak się do niej zbliżył Krętowicz, który już od niejakiego czasu przypatrywał się jej uważnie.

— Jeżeli się nie mylę, mam przyjemność mówić z panią Buchalską...

— Jaktó? — zawołała i wzdrygnęła się.

— Cieszy mnie to mocno, że panią raz przecie zdybuję, bo na isty moje żadnej nie miałem odpowiedzi.

— Nie mam czasu! jestem okropnie zdradzona...

— Ja w krótkości powiem, że mam dług u pani już od lat trzech, w czasie licytacji dóbr pani nabyty..

— Boże! ja padam, i niktże mnie nie zatrzyma?

— Na ten dług mam weksel...

— Ależ ja zapłaćę, skoro z intrat moich..

— O intratach nic nie wiem, moja pani, wiem tylko, że ostatnia licha wioseczka nad Dniestrem zasekwestrowana, a długów in tabulowanych na niej połowa spadnie..

— Proszę mi dać pokój na balu... gdzie straciłam... nadzieję... wujaszka... Kujdany. Od siebie prawie odchodziła z rozpaczycy za świetnem pójściem za męża, o którym tak już słodko marzyła.

— Trać sobie pani rozum, to mi wszystko jedno, ale ja nie chcę tracić pieniędzy moich, i powtarzam, że mam weksel, a z weksłu łatwo zagrabić meble i inne..

— Ja nie mam...

— I osobę nawet!...

— Mdleję! krzyknęła i byłaby zemdląła niezawodnie, gdyby był to do trzymania... lecz obydwa świadkowie tej sceny odskożyli ze śmiechem.

— Więc to był wet za wet, moja pani z nad Dniestru... wielkie pani dobra, i mój wujaszek.. to przedziwnie! „adieu!“ radzę trzeciego męża szukać w innem mieście, bo tu trudno będzie przy za małym majątku, a za wielkiej otyłości twojej... Cha! cha! cha! — zaśmiał się baron i odszedł z adwokatem, który mu zaczął tłumaczyć szeroko o całym dziedzictwie spadłem na porucznika.

— Mdleję! — zawołała biedna parę razy, a gdy odeszli ze śmiechem jej kredytor i były kochanek, jak mogła najspieszniej pociągnęła ku drzwiom wchodowym i znikła.

— Nie żałujesz pani teraz? — zapytał hrabiny szepczącym głosem pan Aleksander — jestem ja bogatszym teraz od pana Artura...

Wzrok pogardy odpowiedział mu...

— I moje powinszowanie! -- zaśpiewało w ucho Konstantego przechodzącego koło panien, które wszystkie, to ku jednemu, to ku drugiemu półkownikiewiczom wypuszczały najostrzejsze spojrzeń grotty.

Obejrzał się Konstanty, i odpowiedział dziewczynie rumieniącej się z całą szczerością radości...

— To dziedzictwo powinnyby mnie cieszyć... a przecież jakies wewnętrzne powiada mi uczucie, że to śmierć moich nadziei... daruj pani.. ja szukam ojca... chciałbym — i odbiegł...

— On kocha już! — pomyślała Ludwika; ból uczuła w sercu, westchnęła i oczy w górę wzniosłszy szukała nieba, by się pomodlić i poskarżyć...

Wino wypito, próżnych słów nagadano więcej niż plewy; panowie świadkowie opojeni należycie odeszli; a bal przerwany wszedł nazad w zwykły tryb: tańców, gry, jadła, napoju i próżnych pogadanek...

OBRAZEK ÓSMY.

Znowu w futorku.

Po wyjeździe szambelanowej i jej gości z Żabiniec, a osobliwie po wyjeździe Konstantego, samotność zielonego futorku ścisnęła serce Rozalji jak nigdy. Dzień po dniu zabierał jedną po drugiej ze wzbudzonych nadziei nowych, jak echo słów tego, który je wzbudził, nikło powoli, coraz mniej wyraźne. Darmo mocnem postanowieniem wskrzeszała odwagę w sobie, odświeżała mocą wyobraźni płowiejące barwy uroczych obrazów przez Konstantego wzbudzonych; wewnętrzne przecucie mówiło jej głośniejszemu nad wszystko, że nie będzie z tej rojonej przyszłości; to przecucie było może niczem innym, jeno przeświadczeniem wewnętrznym, że nie była godną owej miłości młodej i żywej, do której podnieść się, nie czuła się już na siłach. Samo nawet natężenie chwilowe, którem, że się tak wyrażę, jakby sztucznie skrzydłami ulatywała chwilowo przy Konstantym w stracony już na zawsze raj uczuć wiośnianych, mściło się teraz na niej większem jeszcze omdleniem wszystkich sił, i dla tego właśnie po wyjeździe Konstantego w kilka tygodni nie mogła już powrócić do dawnego stanu obojętności, w jakiej przechodziły przedtem długie dni samotne. Z początku rachowała dni uchodzące resztką tego uczucia, wyczarowanego miłością Konstantego, i te chyżej przechodziły; lecz gdy później zaczęła je rachować zimnem rozumowaniem, widziała tyle niepodobieństw, tyle trudności wzrastających powoli jak czas, którego wpływu zgubnego na własnych doświadczyła uczuciach; tyle upatrywała przyczyn do zmiany Konstantego, że w końcu nastąpiły chwile, w których gniewała się na młodzieńca, za to, że ją wyrwał z tego stanu otrętwiałości uczuciowej.

Nie mały przykładały się do tego rozmowy z ojcem, który wiekiem i doświadczeniem smutnego życia ochłódł, nie wiele wierzył w młodzieńcze przyrzeczenia Konstantego, a pewnym był, że ojciec i brat, wszelkie łożyc będą usiłowania, by go oderwać od wieśniaczki, którą nigdy chętnie nie przyjmą do grona rodzinnego. Wiedział jak mało rachować można było na spadek po szambelanowej, o której mniemał, że choć tała miejsce swego pobytu, nie zdoła, a może i nie zechce tak dobrze ukryć, by pułkownik nie znalazł środków do odkrycia onego, i wszystkich nie użył sposobów dla zabezpieczenia sobie tak wielkiego majątku; a nawet myśl ta,

że ustąpienie pułkownika synowskiej miłości zależy tylko od tego dziedzictwa miała w sobie tyle przykrego dla starego wojaka z prostą myślą i prostym uczuciem, iż mimowolnie rozmawiając z córką przykładał się niemało do zniszczenia tych próżnych urojeń, jak nazywał ten cały kilkunastodniowy epizod.

Mijały dzień po dniu; szambelanowa nie wracała; nie było żadnej wieści od Konstantego, który wierny był przyrzeczeniu swemu, nie pisania przez sześć miesięcy. I na cóż miał pisać; on pewny był siebie. Gdyby Rozalja widziała wszystkie cierpienia biednego Konstantego, który walczył jak mógł przeciw powątpiewaniu, wzbudzanemu codzien przez słowa ojca i brata, przypominających mu ciągle ostatnie słowa starościanki; wówczas dopiero przekonałaby się o tem uczuciu silnem młodzieńca, które na zawsze wplątało się w jego życie całe. On wierzył jej, wierzył w jej miłość i przysięgi, a przecież oglądając się na okalający go świat, który samolubnem postępowaniem swoim zdawał się szydzić z jego przesadnych uczuć, miewał chwile okropne, w których opadały go siły.

Już i jesień nadeszła, bo czas niezważając na ludzkie uczucia, któreby go przedłużyć lub skrócić chciały, postępuje niezmiennie godzinami smutku czy wesela; pierwsze liście żółte przypomniły jej uczucia, jakich doznała owej pierwszej jesieni w zielonym futorku przepędzonej. Przypomnienie to było bolesne dla niej, bo jej przywiodło na myśl całe dziesięć lat, które ją tak zmieniły na duszy i na ciele. I jeszcze czekać, i jeszcze rachować, kiedy każda chwila co ubiega wraz z liściem przez wiatr oderwanym i niesionym na smutne łęgi poleskie, ku borowi dalekiemu, urywa wdzięk po wdzięku, dodaje zmarszczkę do zmarszczki. Ona tę jesień czuła w sobie i na sobie. Zahuczały wiatry jesienne jakby głosem wewnętrznej żałoby; w samotności tylko zrozumieć można, ile ten głuchy a razem uroczysty huk szumiącego wiatru ma w sobie ponurości; jak mimowolnie wszystkie nadzieje, takie piękne w pierwszej zieloności wiosennej, tak urocze kwiatami lata, stają się pomału podobne do drzew coraz więcej obnażonych, aż nareszcie nagimi konarami zapowiedzą zimę z tą szatą białą, która kryje umarłą naturę i umarłego człowieka.

Siadywała upoczywie mimo chłodu jesiennego, mimo zimnego wiatru, na owej ławeczce, świadku niedawno tak cudnego snu. O jak krótka wydaje się nam cała przeszłość.. z snu w sen przechodzi życie całe!.. Darmo ojciec troskliwy o zdrowie córki, a wierzący prócz tego w jej miłość gorącą do Konstantego, prosił i zaklinał, by szanowała zdrowie, nie narażała życia, które staremu tak było potrzebne; darmo słowami czułem miłość swoją ojcowską malował; ona większą część dnia przepędzała na ławeczce, bo tam chwilami przynajmniej czuła, że żyje, tam mogła jeszcze pamiętać i marzyć. Napróżno śledziła dawnych obłoczków za łęgiem, za gajem, za borem; chmury jesienne, bielejące już śniegiem spodziewanym, wisiały w około, jednostajne bez wszelkich kapryśnych zmian, na którychby kształty i barwy przypadkowe można było puszczać marnienia rozmaite.

Było to wieczorem; chmury wiatrem spędzone skupiały się coraz więcej; śnieżek lekki ulatywał w powietrzu. Rozalia siedziała dotąd na ulubionem miejscu, i z myśli w myśl wróciła do najświetniejszych podług jej wyobrażenia chwil, przepędzonych w pałacu krewnej swojej. To życie zbytku, życie roztrzepane zgubiło ją niezawodnie; bo darmo już szukać szczęścia w innych życia kolejach, kiedy tam było tak pięknie, jak piękniej nigdy być nie może. Raz jeszcze zamieszkać szerokie i wysokie pałacu pokoje, z okien oglądać póki oko zajrzy rozliczne włości, nad którymi pałac samowładnie panuje; obejrzeć się na te sprzęty, w których się tak wygodnie siedzi, tak słodko i miękko spi; oglądnać się na około otaczających postrojonych gości obojej płci; słyszeć ich grzeczności cukrowane, tak harmonijnie mrużące koło ucha; raz jeszcze żyć tem życiem pełnem... choćby i umrzeć potem, myślała dziewczyna. To był robak, który stoczył na popiół całą jej duszę. Po suchych liściach zaszleściwały kroki nadchodzącego porucznika, który z ponurem spojrzeniem zbliżał się do córki.

— Znowu w tem miejscu; śnieg pada, moje dziecię; zaziębić się możesz, stracisz zdrowie; cóż ja stary pocznę, który niemam nikogo prócz ciebie na świecie.

— Idę już, mój ojcze!..

— Powracam — mówił ojciec dalej po chwili milczenia — z Żabiniec, gdzie jeździłem, by dowiedzieć się czy niema co nowego.

— I cóż?..

— Moja siostra już nie żyje!..

— Nie żyje! — krzyknęła Rozalia głosem, w którym mieściły się wszystkie jej marzenia, nadzieje, rachunki i powątpiewania.

Stary zamilkł, bo miał jedno z tych dawnych serc naszych, które nieprzyjacielowi bezbronnemu, a wrogowi umarłemu z łzą szczerą w oku przebacząją wszystko najgorsze.

— Umarła! — zawołała raz jeszcze Rozalia; a w jej głosie drżała radość z przeczuwanej odmiany stanowczej.

— Siostra moja umarła! — powtórzył ojciec, jakby chciał nadać inny kierunek myślom córki — jakkolwiek mogła być niesprawiedliwą dla nas, była ona ostatnią krewną moją na tej ziemi... bo już wszyscy tam w górze czekają na mnie starego.

Stary się rozrzewnił; Rozalia usłyszała tylko to słowo „niesprawiedliwie“ i pytała nielitościwie:

— Bez testamentu?..

— Wolałbym dziecię moje, byś mi tego nie zrobiła pytania.. bo..

— Mów ojcze!..

— Zapisała wszystko pułkownikowi.

— Nam nic!... nic!... i ty ją ojcze żałujesz?.. ją, która była zawsze bez litości dla nas.

— Nie mów tego córko moja; nie robiła tyle dla nas, ile wymagały nasze żądze; Bóg wie czy sprawiedliwie, bo zkaźde jej obowiązki dla nas; a przecież mogłabyś sobie przypomnieć w tej chwili przynajmniej, że miałaś niejedną od niej sukienkę?.. Sprawiedliwości to twojej wielki Boże dopust, że właśnie w tej chwili kiedy po-

jechałem po przeznaczone mi przez nią drzewo na opał, siano i inne zboża, dawane mi rokrocznie z folwarku Żabinieckiego, w tej właśnie chwili, by mnie ukarać za niesprawiedliwość, z jaką nieraz się na nią skarżyłem, dowiedziałem się: że już nie żyje, i nowy pełnomocnik pułkownika szydlerczy mi odpowiedział: że odtąd zielony futorek może sam sobie wystarczać... O córko moja, złamane są siły moje; mnie starem już trudno pracować, a ty.. a ty!..

— Ja mój ojciec nie będę tobie ciężarem, wszak Konstany..

— Darmo rachujesz na niego.. on młody..

— Pułkownik sam przyrzekł..

— Bo się bał, by szambelanowa bez testamentu nie umarła, dziś już niema tej bojaźni... i ten nowy pełnomocnik powiedział mi z drwiącą miną, że mu panicz kazał powiedzieć, aby w zielonym futorku przestano szyć wyprawę.

— On tego nie powiedział..

— Zapewne; on nie jest tak zepsuty; lecz to powiedzenie ojca czy starszego brata powinno nas nauczyć czego mamy się po nich spodziewać..

— Niech zerwą, niech się odważą... dotąd byłam dość głupią i bałam się i wątpiałam; dziś nie wątpię już i niczego się nie bój mój ojciec.. nie mówiłam ci tego... ja mam zapis Konstantego..

— Zapis?..

— Którym odstępuję mi całego spadku swego po szambelanowej.

— I tyś ten zapis przyjęła?..

— On mnie prosił, zaklinał; musiałam wziąć — odpowiedziała spuszcżając oczy przed groźnem ojca spojżeniem.

— Nawiedza mnie Najwyższy! niech mu będzie chwała!.. Tegom się po córce mojej nie spodziewałem.. Zaraz tej chwili, oddaj mi ten zapis; jadę zaraz do miasta i odsyłam..

— Niesprawiedliwie się unosisz, mój ojciec kochany i łajesz córkę bez przyczyny; ja musiałam wziąć, bo on żądał tego koniecznie, jako dowodu mojej ku niemu przyjaźni; a oddać nie mogę, boby to mógł wziąć i wzięłby niezawodnie podług naszej umowy za dowód, że go już nie kocham.

Zamyślił się stary, a Rozalia z coraz większym mówiła zapałem.

— I czyliż mój ojciec, mamy cierpliwie znosić ich postępowanie z nami; czy ja ich szukałam, czy ja biegała za tym Konstanytem; oni przyrzekli, oni przysięgali.. jeżeli chcą się teraz cofać, to my mamy cierpliwie znosić ich niewiarę, mając w ręku czem się zemścić?.. Ja myślę, mój ojciec, ja kobieta słaba, że to nie byłoby wspaniałomyślnością, ale niedorzeczną słabością.. oni sami wysmieliby nas.

— Więc ty nie kochasz Konstantego?..

— Ja! ja!.. kocham, ależ czyż dla tego mam sobie dać wydrzeć majątek?.. wszak sam powiadasz ojciec, że nasze położenie jest okropne: jeżeli więc Konstany mnie kocha, sam będzie wdzięczny za to, że go przymusiła odebrać majątek wraz z ręką moją.

Stary milczał, patrzył tylko na córkę i lży mu się puściły z oczów; pierwszy to raz zajrzył on tak głęboko w serce córki. — Daremne twoje nadzieje; i lepiej może, że go nie kochasz, jak ja

głupi starzec nierozumiejący waszych uczuć dzisiejszych książkowych myślałem, bo nie będziesz cierpieć od tego rozłączenia koniecznego. Daremnie opierasz się na tym zapisie; teraz dopiero rozumiem, co mi ten pełnomocnik rozpowiadał, że pułkownik cały spadek po szambelanowej jakimś tam prawnym kontraktem Aleksandrowi odstąpił.

— A to okropnie! to oszukaństwo mój ojciec, to obrzydliwe oszukaństwo, nieprawdaż?... mój zapis dawniejszy, nie dajmy sobie wydrzeć, są przecie prawa na świecie.

— Więc procesem — odpowiedział stary z niewymowną goryczą — chcesz męża przystawić sobie do ołtarza.

— Ja go niechcę... ale...

— Jego majątku chcesz!.. Jeżeli dbasz o ojca proźby, napiszesz list do niego, uwalniający go od zapisu.. bo ja procesu robić nie będę póki żyję.. po śmierci mojej!... — Spojrzał stary w niebo, a choć się już zciemniało zmrokiem wieczornym, chmurami jesiennymi i tumanem śniegu, miał widzenie jasne i promienne; widział żonę i rodziców, wołających go do siebie z tej ziemi, na której już był niepotrzebny.

Napisanie listu odkładano od dnia do dnia, a tymczasem zaczęły się smutniejsze jeszcze niż pierwej dni dla mieszkańców zielonego futorku. Na pozór ojciec z córką żyli jak dawniej, ale ślepe ojca przywiązanie znikło na zawsze. Smutny i posępny chodził po niskich dworku swego izbach; tak chętnie chciałby umrzeć, gdyby nie wstrzymywał go obowiązek pracowania dla córki, którą widział niezdatną do zajęć pożytecznych; ten go przykuwał do codziennych zatrudnień, tem smutniejszych, że widział niepodobieństwo utrzymać domowe gospodarstwo dochodami za szczupłemi na wydatki od dawna przez córkę zaprowadzonymi. Ojciec przez słabość patrzył zawsze przez szpary na to, i by jedynacze dogodzić, chętnie poświęcał dumę swoją, i przymawiał się nieraz siostrze, która nagderawszy się do woli, świadczyła jednakże więcej, niżby tego spodziewać się można było po jej znanem skąpstwie. Teraz kiedy wszystkie boczne ustały dochody, kiedy codziennie powracał ten brak tysięcy drobnych na pozór przedmiotów, które pomału ziarno do ziarnka wyrastają w olbrzymi niedostatek, a który przetrwać potrzeba, by go zrozumieć, i pojąć okropność takiego życia między dzisiaj a jutrem, z nieodstępłą myślą o przyszłości niezapewnionej, coraz wątpliwszej, coraz posępniejszej i póki jeszcze ta przyszłość odległa jest o całe miesiące, tygodnie, można choć chwilowo zapomnieć, roztrześć się; ale kiedy na końcu przyszłość ta stanie się jutrem, od którego dzieli tylko kilka godzin nocy nieprzespanej, przemęczonej w marzeniu, i próżnem biciu się myśli o kamienną klatkę rzeczywistości, wtenczas jest to stan tak okropny, że w odmianę tyle się chce wierzyć jak w cud!.. W takim będąc położeniu, napominał stary słodkimi słowy córkę, by lepiej zaglądała w domowe gospodarstwo, by wstrzymywała wydatki mniej potrzebne, i ograniczała się na ścisłej konieczności; córka z przykrością codziennie wzrastającą, zaczęła wy-

mawiać ojcu... O Boże, kiedy raz już dziecko przejdzie granicę winnego rodzicom uszanowania, gdzież się zatrzymać może!..

To też były wymówki, że nie pozwala korzystać z zapisu, że nie umiał chodzić około szambelanowej i inne równie okropne, które starego zabijały pomalu tem niewidoczniej, bo milczał, codzień więcej przekonany, że słowa jego będą daremne tam, gdzie uczucia jego niepojęte. Rozalia codzień robiła się zgryźliwszą, codzień nieznośniejszą dla drugich i dla siebie. Konstantego dawno już kochać przestała, ale chciałaby dla tego najgłówniej pójść za niego, by się na nim mścić, za to wszystko co cierpi. Gniewała się na ojca, za to, że ją nudzi gospodarstwem... Jakto, ona, któraby zdołała robić honory pierwszego salonu stołecznego, rozmawiać z pierwszymi talentami i zdolnościami umysłowemi, stać na równi ze wszystkimi wyższościami towarzyskimi; ona, która zasmakowała w życiu salonowym, czuła zdolność swoją do niego, przeczuwała władzę, jakaby wywierać mogła w wyższych towarzystwach; ona, ma teraz zaglądać do garnków, mierzyć krupy, o kawałek słoniny drzeć się z dziewczką, na dojenie krów patrzeć, może nawet tą ręką białą, której tylko książka, fortepian i wonne rękawiczki przystają, bić masło?.. To okropnie! to niesprawiedliwość losu i ludzi!.. a więc trzeba przeklinać los, nienawidzić ludzi!..

Przyszła nareszcie zima z wieczorami bez końca, a dniami bez promieni słonecznych; śniegowe tumany wisiały w powietrzu, i czasem gdy wiatr rozpedził na chwilę tę ciągłą franke, tu i owdzie na białej przestrzeni zamarzniętych łęgów okazały się obnażone zupełnie drzewa, a z dala ledwie dostrzeżone bory sosnowe, ciemnieją się żalobnym pręgiem na białym tle śniegu i chmur śnieżnych. A wieczór długi zimowy! może być zapewne zabawny a nawet poetyczny, z tą cichością wiejskiej zagrody, trzeszczącym płomieniem na kominku, furczeniem kołowrotka, jeżeli się przypadkiem wśliznie w pasmo dni urozmaiconych towarzystwem lub czytaniem; ale by przebyć bez znużenia jeden po drugim wszystkie wieczory takie przez całą długą zimę, trzeba duszy bardzo hartownej, albo umysłu skołatanego ciosami bez liku. Jakoż porucznik dawał sobie radę; napolewawszy się przez dzień i nachodzący około mafego gospodarstwa, marzył wieczorem przy kominku o szczęśliwszych czasach, modlił się szczerze do przedwiecznego, w którego wierzył tą wiarą świętą przodków naszych. Rozalia zamknięta w sobie, milcząca, nudziła się niemilosiernie i męczyła wymyślaniem zdarzeń, które chwila tworzyła i chwila niszczyła. Wierzyła jeszcze czasem w przyjazd Konstantego, ale częściej jeszcze odsuwała tę pociechę z rozpaczliwą rozkoszą, że może zupełnie oddać się uczuciu nienawiści, które codzień więcej przeważało w jej usposobieniu.

Już był ojciec ukończył modlitwę wieczorną, którą zwykle chodząc po izbie w pół głośno zmawiał. Rozalia patrzyła w gasnące węgle na kominku; jeden z nich rozpekł się z trzaskiem, i iskrą sypnął na środek pokoju.

— Jeżeli wierzyć bajkom / zabobnych poleszuków — ozwała

się Rozalia, by przerwać całowieczorne milczenie — ta iskra zwiastuje nam gości...

— Gości do zielonego futorku! w taką zamieć? — odpowiedział obojętnie porucznik.

— Którego mamy dzisiaj? — zagadła po chwili...

— Szesnastego!..

— Szesnastego grudnia!.. sześć miesięcy już się więc skończyło.

— Czyż masz jeszcze nadzieję?.. pocóżby miał przyjechać?..

— Ja się niczego nie spodziewam już..

— I lepiej dla niego, jeżeli zapomni..

— Lepiej?..

— Jemu innej potrzeba żony!..

— Zapewne lunatyczki jakiej, marzycielki...

Spojrzał ojciec na córkę, zaśmiał się gorzko, chciał coś powiedzieć, lecz się nagle zwrócił i miał się już ku wychodowi, gdy w tej chwili ozwało się ujadanie psów na podwórzu. To szczekanie z początku ciche zwiększało się coraz więcej; widocznie jakieś zewnętrzne przyczyny musiały psy pobudzić. Stał ojciec, zerwała się córka i słuchali z uwagą: wiatr wył przeraźliwie towarzyszony ujadaniem psów coraz głośniejszem.

— Kogoś cudzego poczuły! — rzekł ojciec.

— Ktoś przyjechał! — dodała córka... To on może! — mruknęła sama do siebie.

Zapiszczały sanie tuż przed oknami. Rozalia usiadła drżąca od wewnętrznego wzruszenia; ojciec wyszedł na ganek. Była to chwila pełna niewymownych uczuć dla Rozalji.. Nadzieja, radość, bojaźń i smutek były w serce gwałtownie wzburzoną krwią..

Wszedł ojciec, a z nim mężczyzna otulony w futro i chustki, opruszony śniegiem. Zaczął pomału rozbierać się i otrząsać ze śniegu. — To nie on! — powiedziały jej oczy, wracające do dawnego stanu obojętności.

— Przepraszam pana, że tak późno napadam go.

— To szczęście, żeś pan nie zbłądził, i nie załamał gdzie na łęgach naszych.

— Miałem dobrego przewodnika z blizkiej wioski.

— Nie najlepiej prowadził pana jednakże, jeżeli zawiódł do futorka, który nie leży na żadnej drodze..

— I owszem zawiódł mnie doskonale; wszak pan jesteś pan porucznik Czajecki?

— Tak jest.. więc do mnie!..

— Do pana wprost jadę... jestem Lisiecki, adwokat ze Lwowa — i skłonił się ojcu i córce, rzuciwszy na tę ostatnią wzrok badawczy.

— Czem możemy służyć panu; musisz być pan głodny, zmęczony..

— Ani jedno, ani drugie!... czas mam bardzo krótki — odrzekł znajomy już nam antagonistą Kretowicza — do dnia jadę dalej, proszę zatem dla koni nośnych o obrok, a dla siebie o łaskawe ucho.

Wybiegł ojciec, a gość został z córką; przybliżył się do niej, stanął koło komina, i coraz uważniej wpatrywał się w twarz Rozalji.

— Pani musisz się tu nudzić okropnie?..

— Zapewne, samotność nie każdemu przyjemna.

— Osoba pani wieku i wdzięków do miasta należy, do świata. nie do wiejskiej słomianej strzechy. — I usiadłszy koło niej, dodał o ile mógł przyjemności głosowi swemu.

Rozalia uczuła odrazę do człowieka, który ciągle patrzył na nią wzrokiem tak przenikliwym i szyderycznym razem, jakby odgadawał najskrytsze jej myśli i sztydził z nich.

— I jeżeli się nie mylę, nie chętnie i mimowoli mieszkasz pani w tej puszczy.

— Prawdziwie niewiem zkąd to przypuszczenie?..

— Człowiek nie od dzisiaj żyje, zna się pani Dobrodziejko na ludziach..

— Pozory mogą mylić..

— Nie mnie!... ale zdaje mi się, że pani miała wkrótce porzucić to odludne pomieszkanie.

Spojrzała Rozalia z zadziwieniem na mówiącego.

— Pani się dziwisz! znam panią z opowiadania, i kto wie, czy nie lepiej jak pani siebie samą znasz.

— Prawdziwie nie pojmuję..

— I jeszcze więcej nie pojmiesz pani, gdy powiem, że moja bytność może ją wyprowadzić z tej chałupy do miasta, do stolicy zabaw...

— Urządziłem jak mogłem... a teraz przychodzę — rzekł porucznik wchodząc do izby.

— Ja krótko panu rzecz wyłożę.

— Może pan zemną samym..

— O nie! córka pańska jest nam tu koniecznie potrzebną.. Pani szambelanowa była siostrą cioteczną pana?..

— Tak jest!..

— I nie miała żadnych innych bliższych lub równie bliższych krewnych..

— Żadnych; moja matka była jej matki rodzoną i jedyną siostrą, a ja jej synem jedynym.

— A więc pan jesteś dziedzicem jedynym obszernych jej włości..

— Pan nie wie może, że zostawiła testament..

— Bajki!..

— Ależ pułkownik już objął..

— Odejmie! odejmie pożądlive swe palce od cudzego, od pańskiego majątku. Nie dziw się pan, nie patrz na mnie takim dziwnym okiem, piękna panno Rozalio!.. Testamentu nie napisała żadnego.

— Ale ustny?..

— To fałsz, panie!..

Coraz mniej odrażającym wydał się przybyły, słuchającej go z uwagą Rozalji.

— Świadkowie, którzy zaprzysięgli na testament ustny nie

byli nawet w Częstochowie, gdzie umarła siostra pańska; zapłaćeni przez pułkownika, i jego doradcę, który jeżeli pożyje to będzie wisieć na szubienicy, przysięgli...

— Więc cały majątek jest nasz?..

— A nie mówiłem, że się pani nudzisz w tym nędznym futorku?.. cały majątek jest w posiadaniu pułkownika..

— Ale jeżeli testament fałszywy?..

— Trzeba dowieść!.. co trudno!..

— Wszak pan mówił!..

— Może ja tylko żartuję, może probuję..

Z zadziwieniem patrzali ojciec i córka na te rysy grube, znaczące, które w tej chwili oświecał wyraz szyderstwa prawdziwie szatańskiego.

— To są domniemania moje!.. trzeba jechać do Częstochowy, trzeba dowieść dzień po dniu, gdzie była i z kim gadała nieboszczka; trzeba znaleźć prawne dowody, że świadkowie nie byli tego dnia i tej godziny w Częstochowie i gdzie się tegoż dnia znajdowali.

— To trudno!..

— Trudno bardzo, a co gorzej strasznie kosztuje; niewiem tedy, czy się pan podejmiesz takiego kosztu.

— Ja w mojem położeniu..

— Nie szczególne zaprawdę, już ja to uważam.. a tu wiesz pan, ja, co się znam na prawnictwie... miarkuję, że trzebaby ledwie nie połowę majątku ofiarować..

— Niestety, my nie mamy co ofiarować!... prócz sprawiedliwej sprawy naszej..

— O mój panie, widziałem ja ludzi z sprawiedliwszemi sprawami umierających pod płotem.. niech się pani nie wzdryga, pani nie pod płot przeznaczona.. Majątek tedy można odebrać, ale trzeba wielkich ofiar... ja jestem w stanie ponieść te koszta..

Rozalia spojrzała na niego z większą uwagą..

— Wdzięczność nasza!..

— Wdzięczność dobra także czasami, ale to pani miarkuje, są koszta...

— Te najchętniej zwrócimy.

— Ba!... ale uważa pan, te koszta mogą być większe lub mniejsze... tu się nie da wyrachować, więc lepiej zgodzić się ryczałem.

— Zaczynam rozumieć..

— Tak! — w pół szyderczo, zagadała Rozalia.

— Pani jeszcze nie całkiem rozumiesz; proszę wierzyć!.. Jednym słowem, ja dowiodę, jeżeli się z panem i panią zgodzę, że testament fałszywy, a za to..

— Co pan chcesz, co pan żądasz?.. my damy..

— Jabym mógł żądać wiele, za ekspensa prawne, podróże i inne wydatki: odstąpisz mi pan formalnem pismem trzecią część majątku.

— Nic nie odpowiedzeli..

— Drugi, proszę mnie wierzyć, połowaby się nie kontentował.. To na prawne i inne wydatki.. a jako wynagrodzenie..

— Zapewne reszta! — zawołała Rozalia, nie mogąc się dalej wstrzymać..

— Zgadłś pani najdoskonalej; za nagrodę żądam reszty z dodatkiem ręki pani.

— Bo bez niej..

— Trudno mieć resztę, chcesz pani powiedzieć; prawdziwie pani stworzona jesteś na żonę adwokata.. Ale za to bez mojej ręki trudno wyruszyć z zielonego futorku, który w zimie niewiele musi mieć powabu.

— Nie rozumiem, nie pojmuję? — zdziwiony i zmieszany odezwał się porucznik.

— Wierzę bardzo; pan do życia obozowego, a potem wiejskiego przyzwyczajony, niewiele się rozumiesz na dyplomacji prawniczej. Ja powiedziałem moje, i czekam odpowiedzi.

— Wyznam panu szczerze, że tak nagle uderzyła mnie wieść o sfalszowaniu testamentu, równie jak i łaskawa pana propozycja, że ledwie uszom moim wierzyć chcę, ledwie wiem co mam odpowiedzieć..

— Mamy czas do rozmyślania, ja bowiem dopiero do dnia odjaje.

Ciekawa walka odbywała się w duszy porucznikównej między odrazą, nienawiścią, jaką w coraz wyższym czuła stopniu do tego zimnego prawnika z bezwstydną obojętnością i tą pewnością z jaką występował, a przekonaniem, że to jest ostatni uśmiech losu, który chce w rzeczywistość wprowadzić jej marzenia o życiu stołecznem, zbytkownem; pamięć na miłość Konstantego ani na chwilę w głowie nie pozostała; ta już należy do przeszłości zużytej i niepotrzebnej jak stroik pomięty i podarty: czyż można o niej myśleć wtenczas, kiedy trzeba odpowiadać na pytanie o terażniejszości?..

— Ja dla siebie nic nie potrzebuję — ciągnął dalej stary wiarus — ja tu w zielonym futorku umrę da Bóg niedługo; nie dla mnie majątek, nie dla mnie dalekie nadzieje i plany obszerne; ale moja córka jeszcze młoda, chce żyć, dla niej więc majątek!... o jej-rękę pan prosisz w sposób, który zapewne musi należeć do dzisiajszych nie znanych mi obyczajów; niech więc sama odpowie.. Ma zastanowienie, rozsądek dzisiejszy, który lepszy jak powiadają od dawniejszego; niech więc sama o losie swoim radzi..

— Do pani więc jak do ostatniej instancji udaję się, a zdaje mi się, że sprawę moją przedstawił jak można najwyraźniej.

— I mnie się tak zdaje, mój panie.. nie chciałeś pan nawet zostawić wolnego wyboru..

— I owszem, wszakże pani znasz zielony futorek i Żabińce z przyległościami, prócz majątku na Ukrainie, którego inwentarz mam z sobą.

— Moja więc ręka ma być..

— Racz pani dać tylko, tę drogą rękę, a przekonasz się, że choć umiem korzystać z nadarżającej mi się sposobności, umiem

także pamiętać na zobowiązania moje, po mojemu zapewne jako prawnik, nie jako romansowy panicz. I jeżeli trzecia część wygranej przezemnie fortuny do mnie należeć będzie, trzy części będą zawsze niezaprzeczoną własnością pani, których ja jako mąż będę tylko najtroskliwszym opiekunem.

— A jeżeli rzecz cała okaże się niepodobną, mamże dzisiaj wymuszonym przez nagłące okoliczności przyrzeczeniem?..

— Sprawiedliwa uwaga; jakoż proszę wierzyć, że o tyle mam panią za obowiązana uszczęśliwić mnie ręką swoją, o ile majątek wygramy, inaczej zupełniebym się na męża nie narzucał: to tylko dodam, że nadto jestem starym prawnikiem, abym bez wielkiej pewności porzucał klientów moich i mnogie zatrudnienia, a sam na taki czas i taką drogę puszczał się jak rycerz błędny z prózną kieszenią i prózną głową.

— Prawdziwie, pan masz talent jasnego tłumaczenia rzeczy.

— Gdzie idzie o szczęście dwojga ludzi, mniemam, że nie można być dosyć jasnym.

Nowe szczekanie psów ozwało się na dziedzińcu, nowe skrzypienie sani po śniegu, i szybkim a gwałtownym ruchem popchnięte drzwi otwały się z łoskotem. Wbiegł przez nie, zrzucając z siebie zimowe okrycie Konstanty, przyskoczył do Rozalji, i z wyrazem miłości, z wyrazem rozkoszy i szczęścia, które rozplomieniało wyższem natchnieniem jego pobladłe lica, porwał za rękę i ucałował ją z zapalem.

— Dziś sześć miesięcy, i dziś jestem tu, najdroższa! — Stanał i obejrzał się młodzieniec zdziwiony i przestraszony wyrazami twarzy witających go: przestrachu na twarzy starca, obojętności na twarzy Rozalji, a szyderstwa na twarzy prawnika. Przypisał to przyjęcie zdziwieniu, Bóg wie czemu przypisał, bo tak namiętnie kochał, że niemógł, bał się nawet, wątpić o sercu kochanki, która mu tak święcie wiarę zaprzysięgła tam na zielonej ławeczce, wśród świadków: wiosny, kwiatów i księżycy.

— Mój ojciec wydziedziczył mnie... to była chwila ciężka, ale chwila tylko, bo szczęście, po które jechałem trwać będzie całe życie.

— Konstanty! drogi chłopcze! Bóg świadkiem, że ja o tobie nie wątpilem nigdy — zawołał starzec rozczulony aż do łez.

— Nie spodziewałam się; po zdarzeniach..

— Tyś się nie spodziewała?.. o mój Boże! czyż i ty o mnie wątpić mogłaś, jak wątpili ojciec i brat, którzy myśleli, że nim zajadę do miasta zapomnę o wszystkim?.. ale ja nie zapomniałem, cierpiałem niemało, bo mnie codziennie karmili najzjadliwszą trucizną powątpiewań, obmów... wszystko przetrwałem, bo wierzyłem w ciebie, jak w siebie.

— Prawdziwie, wierność nie tegowiekowa — odezwał się prawnik syczącym od szyderstwa głosem.

Nadto był Konstanty poruszony, aby go mogło uderzyć wmięszanie się prawnika, którego ledwie uważał. — Nadaremnie — mówił dalej — używał ojciec wszystkich środków, proźb i gniewu za-

brał mi majątek, zabrał serce ojcowskie, ale mi nie mógł odebrać mojego serca, i twego kochanko!.. wszak prawda?.. Mam nie wiele, ale majątek, jaki mi się należy po matce..

— Znam go panie Dobrodzieju, zadłużony, mocno zadłużony... i ojciec pański ma dożywocie.

— Gdyby i tak było, jak pan mówi, czekałbym lata, wieki; byle mieć nadzieję...

— Niewiem, czyby panna Rozalia tak długo czekać chciała — przerwał znowu prawnik.

— Lecz ojciec skruszony prozbami memi, przestraszony postanowieniem mojem... bo tak jest, nie taję tego przed tobą... ja umrę, umrę kochanko, jeżeli nie będziesz moją... ojciec przyrzekł mi oddać ten mająteczek matczynej.

— To ledwie kilka tysięcy dukatów wyniesie.

— A potem czyż ojciec będzie nieprześlągany? on wie, że ja tu pojechałem, on wie, że ja bez ciebie żyć nie mogę; gniewa się dziś poduszczany przez brata, który tylko pieniądze ceni w życiu: przekona się później... przebaczy nam i nie zapomni o drugim synie swoim, choć tamtemu oddał spadek po...

— Jeżeli mu nic więcej nie da, to go nie bardzo z bogaci; bo ten spadek należy się panu porucznikowi, i córce jego pannie Rozalji...

— Panna Rozalja wie najlepiej, jak ja życzyłem sobie, by ten cały majątek był jej własnością... ale testament...

— Testament fałszywy!.. świadkowie namówieni i przekupieni... to panie Dobrodzieju, kryminałem pachnie...

— Co? — krzyknął Konstany z iskrzącymi oczyma — co pan śmiesz mówić?..

— To mówię, czego dowieść potrafię...

— Kochany Konstany, okropnych rzeczy dowiedziałem się-

— To jest kłamstwo, niegodziwe kłamstwo!..

— Twój ojciec nie winien zapewne, ale ten jego przyjaciel czy adwokat...

— Na co porucznik tłumaczy się tak obszernie... pan Skrzeki sam wie najlepiej o wszystkim...

— Wytłumacz się pan jaśniej... Ja pana nie znam, szanuję dom porucznika, i dla tego dotąd milczałem na nieproszone pana wmięszanie się... ale...

— Ale... coż pan chcesz powiedzieć, ja jestem uczciwy człowiek i testamentów nie fałszuję...

— O Boże! co się dzieje ze mną — drżący od gniewu krzyknął młodzieniec i skoczył ku prawnikowi, który zaczynał blednąć...

— Racz się pan wstrzymać — przerwała nareszcie Rozalja, która przez ten cały czas rozmyślała nad położeniem swoim — ten pan jest moim narzeczonym...

Uderzył się Konstany w głowę. — Powtórz Rozalio... to musi być sen...

— Tak jest w rzeczy samej... dajmy pokój tym gniewom i zapałom zbytym!.. przykro mi, że muszę ponu to sama powie-

dzieć, ale okoliczności nasze zmieniły się; ojciec pana był zawsze przeciwny temu... teraz zaś, gdy podstępem chciał nas wyzuc z majątku, nie chciałbyś pan zapewne, ażebym należała do niego... Pan Lisiecki jest moim narzeczonym!..

— Narzeczonym twoim! — krzyknął tak przeraźliwie, jakby to miał być jego krzyk ostatni.

Nastala chwila milczenia, której nikt z przytomnych nie śmiał przerywać, tak okropny przeszedł wyraz po twarzy Konstantego, zmieniony do niepoznania. — Tak! tak! — mówił dalej: — o Boże, ty widzisz serce moje!.. bądźcie zdrowi!.. Rozaljo bodajbyś była szczęśliwą, i będziesz nią... bo tylko z takim sercem jak moje nie można być szczęśliwym na tej ziemi... .

Wybiegł z obłąkaną twarzą i mimo prośb porucznika, który wyszedł z nim, uciekał w noc ciemną i zamieć okropną: a w jego sercu była noc daleko ciemniejsza i zamieć burzliwsza...

— Dzięki ci pani za wybór tyle pochlebny dla mnie — zagadał prawnik po wyjściu Konstantego, i pocałował uroczyście zimną rękę Rozalji.

Zimna była cała; co postanowiła, co wyrozumowała i wyrachowała, to zrobi pewnie, ale co się w jej sercu działo w tej chwili, choć na twarzy nie widać wzruszenia żadnego, choć oczy suche, trudno odgadnąć. Spojrzała obojętnie na prawnika i zimno przemówiła:

— Pan nie wątpieś o wyborze moim, nie masz więc za co dziękować!

— Racz pani wierzyć, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Wierzę, lecz możemy przestać na tem, nasz związek obejdzie się bez słów czułych, bo nie jest związkiem serca, ale głowy.

— Wybrałaś więc córko! — rzekł ojciec wchodząc do pokoju; starzec był błydy, śmiertelnie błydy, a drżał na całym ciełe, od zimna zapewne. — Życzę ci byś była szczęśliwą.

— To będzie mojem staraniem największem, a na dowód, że moje słowa wszystkie nie są płonne, tu oto przed wyjazdem zostawiam przyszłej żonie mojej zamiast sentymentalnej obrączki, mającej niby wierności być godłem, tę pakę banknotów, które mogą się zdać tymczasem jako rękojmia, że słowo moje i przyrzeczenia są prawdziwe; natomiast raczycie mi państwo podpisać tych parę dokumentów, bez których nie mógłbym nic zrobić. Tu plenipotencya, tu zapis zobowiązujący... że w razie niedotrzymania mi przez pannę Rozolję słowa, trzy części majątku są moje... .

— I to jeszcze? — wykrzyknęła Rozalja.

— Przepraszam bardzo, ale ja jestem prawnikiem.

Smutnem okiem popatrzył ojciec na córkę.

— To twoja rzecz, rób jak chcesz...

— Ojciec pobłogosławił mnie! — zawołała; uczucia gwałtownie wstrzymywane zwyciężyły na chwile, kilka łez nawet zabłysło w jej oczach.

— Ty w nie wierzysz jeszcze?

— A panie Dobrodzieju, to się rozumie; zaręczyny kończą się zawsze uroczystem rodziców błogosławieństwem.

— Przemknęła chwila lekkiego rozrzewnienia; i długo jeszcze w noc gadali, pisali i podpisywali.

A Konstanty błędził całą noc, i kilka razy, kręcąc się po śniegiem zawianych łęgach, patrzył na światelko z okien zielonego futorku; nie nie mówił, jakby głos stracił, nie marzył nawet, jakby wszelkie czucie stracił: co się w nim działo, tego zimnemi słowy opisać niepodobna; gdy ludzie i konie marżyły, jego trawiła gorączka... Biedny młodzieniec z młodem sercem swoim!...

OBRAZEK DZIEWIĄTY.

Koniec procesu i powieści.

Zaczęła się wojna między dwoma prawnikami najzawziętsza; sypały się jak grad kul procesowe fascykuły różnej wielkości, atrament zamiast krwi lał się aż miło. Obaj przeciwnicy zasiedli w kancelariach swoich i ztamtąd dowodzili ciągłemi wyprawami piśmieniemi coraz zjadliwsi. Już niejedna przeszła potyczka na stolikach sędziów, i lada dzień spodziewana była walna bitwa, która miała stanowić więcej jak o życiu, bo o złoto dla jednego, a o wolność i cześć dla drugiego. W takiej walce upadły zawsze winieni; wiedzieli oba o tem dobrze; czy prawda, czy nieprawda zwycięży, zawsze będzie prawda przy zwycięzcy. Podobno i w bitwach, gdzie ludy stają naprzeciw ludom, zamiast martwych fascykułów dzieje się najczęściej to samo; trafia się jednakże czasem, że zdanie powszechne zrywa wawrzyn ze skroni zwycięzcy, i wieńczy nim grób zwyciężonego. Na polu prawniczem niema tego przypadku; zdanie powszechne ludzi obojętnych sądzi ze skutków, nie zważając na pobudki. Wiedział o tem Krętowicz, że póki zwyciężał, choćby wykrętami prawniczemi sto rozbił majątków, sto szczęść domowych zamordował, uchodził za doskonałego adwokata, za człowieka obrotnego, za chwata prawnego, a jego sprawki, szubienicy moralnej przynajmniej godne, za mistrzostwa prawnicze; a choćby jaki Brutus towarzyski wyrzekł w cnotliwym zapale: „to łotr zgrabny!“ dla ogółu więcej byłoby chwały w przymiotniku, niżeli hańby w rzeczowniku. Wiedział o tem dobrze, że choć wszyscy przekonani byli o widocznej terażniejszego procesu niegodziwości, o łotrrostwie moralnem człowieka, który takich śmiał używać środków, dla wydarcia majątku prawemu dziedzicowi, gdyby zwyciężył, znikłaby ohydność środków przed blaskiem zwycięztwa; lecz zwyciężony nie mógł się spodziewać politowania nawet, głosy powszechne obryzgały go hańbą, i każdy wystąpiłby z zdaniem swoim, jako dawniej już powziętem; każdy chwaliłby przenikliwość własną, którą przewidywał dobrze koniec sławnego prawnika w kryminale. Nie łudził się wcale Krętowicz w tej mierze, i nie wiele dbał o zdanie powszechne, a w kilku przedwstępnych potyczkach zrozumiał doskonale, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo; walczył

jednaże nieustraszony do ostatniej chwili z napięciem sił umysłowych godnem lepszej sprawy, lecz codziem koniec stawał się mniej wątpliwy. Świadkowie dawno byli wzięci pod ścisłą straż, a zeznania ich, świadectwa rozmaite, kosztem przeciwnika sprowadzone, oświecały coraz więcej całą okropność tej sprawy; wzwyczałony do takich walk Krętowicz, nie pokazywał na sobie wzruszeń wewnętrznych; wyglądał na pozór wesołym i spokojnym, choć w duszy przeczuwał nieochybnny upadek. Ale pułkownik postarzał się, posiwiiał do niepoznania prawie; walczył po swojemu wizytami, obiadami, wieczorami, na których występował z całym udaniem oburzeniem na niegodziwych, którzy go zgubić pragną. Przyjaciele i znajomi jedli, pili i bawili się u niego, życząc mu nawet w duszy wygranej, zapewnej przez wzgląd na majątek, którego umiał tak godnie używać; pragnęli wygranej jako członkowie wyższego towarzystwa, dla współczłonka, którego niepokalaność jest częścią nieomylności całego towarzystwa; lecz zawsze z drugiej strony jako ludzie świata mieli już gotowe postępowanie, słowa i całą mimikę w razie przegranej. Pułkownik niebezpieczeństwem zdowcipniały, zamykał się ciągle w prostej odpowiedzi na zapytania sądowe; że nic nie wie, że tych świadków nigdy pierwej nie widział, co zresztą było prawdą.

Dniem przed spodziewanym wyrokiem, którego odkładanie równie jak i bronienie się Krętowicza na wolnej stopie nie miało pułkownika kosztować, w pokoju osobnym pomieszkania pułkownika stali naprzeciw siebie adwokat i klient jego. Zrzuciwszy maskę towarzyską, stali w całej nagości przestrichu, przerażenia i rozpacz.

— Tyś temu panie Krętowicz winien — powtarzał pułkownik ciągle, — ja nie żądałem, nie chciałem...

— Pan chciałeś tylko dziedzictwa po szambelanowej?

— Ależ nie takimi środkami.

— Jakież inne były po śmierci szambelanowej.

— Alboż ja wiem, czy ja prawnik?... ja o niczem nie wiem... ale zkąd się ten przekłety Lisiecki dowiedział...

— Przez pana, który dla głupiej popularności spraszasz gości z całego świata... ten baron goły znał jednego ze świadków, którego nawet dniem wprzód używał także i rozpowiedział Lisieckiemu, którego jest klientem...

— Ja umyłam ręce od wszystkiego...

— Słuchajno pan, nie chcej mnie niecierpliwić, bo jak się rozniewam, przyznam się do wszystkiego, powiem jakie były nasze umowy... wszystko, choćby dla tego, żeby widzieć jak taki pan zacny, salonowy filar wyglądać będzie w sukmanie więźnia.

— Panie Krętowicz!..

— Ja mam być odpowiedzialny, dobrze, ale razem panie pułkowniku... w dobrem towarzystwie, to już milej i u karmelitów siedzieć...

— Panie Krętowicz cóż mam robić?... radź! zlituj się!..

— Niema rady!.. <http://rcin.org.pl>

— Żadnej?..

- Jeżeli ten przeklęty Lisiecki nie da się przekupić, żadnej!..
- I wieleż? z przestraczem przerwał pułkownik...
- Boisz się pan wydać pieniądze...
- Ależ wiesz, kochany panie Krętowicz, ile mnie już ta sprawa

kosztuje...

— Już to niemało się tam nałapało gotówki; stara miała grube pieniądze; i niemało mnie też trudu kosztowało, nim się pozbyliśmy tego furmana, by się nie mógł pojawić do świadectwa o owej szkatułce, co to godny syn pański zwąchał jeżdżąc za szambelanową... a kamerdyner jakoś niby na zawołanie umarł...

— Co to tam za gotówka?...

— A w Zabińcach, w piwnicy, niemało się znalazło?...

— Ot, bajki...

— A lasu ile się to sprzedało przez ten rok?

— Wieleż on chce?...

— To dopiero trzeba próbować; ja znam go od dawna, i wiem, że na nim gotówka nadzwyczajnie robi wrażenie... taka kupa złota razem, wysypana na stolik, może go poruszyć... a od niego dziś jeszcze zależy...

— Ale co zależy?..

— Czy pan to rozumiesz, choćbym panu tłumaczył; jednym słowem, idzie tu o moją skórę, ale więcej jeszcze o pana, bo to przecie okropna byłaby rzecz dla jasnie wielmożnego pułkownika być w taczkach...

— Wieleż, wiele trzeba?...

— By pana nie obdzierać... pięć tysięcy dukatów...

— O mój Boże, to chyba mi na żebry...

— Lepiej zebrać, jak siedzieć w kozie..

— Może choć cokolwiek...

— Ani grosza mniej...

— Ja nie mam nawet tyle gotówki..

— Z różnych śladów wiadomo mi, że w szkatułce pani szambelanowej było przeszło 800000 zł. pol. papierami bankowemi..

— Panie Krętowicz, ale czy pomoże?

— Daję moje słowo, że pomoże.. wahasz się pan, nie wierzysz słowu memu,.. jak się podoba... ja idę.

— Zaraz, zaraz — i po długiej wątpliwości boleśnie rozdzierającej serce pułkownika porwał pieniądze Krętowicz. A gdy wybiegł na ulicę, długo się jeszcze przechadzał, przyszedłszy zaś do domu usiadł spokojnie i zaczął pisać; do Lisieckiego zaś ani myślał się wybierać, bo już dawniej, kiedy był czas po temu, próbował go przekupować kilkakrotnie, ale nadaremnie.

Zaraz po wyjściu Krętowicza wbiegł Aleksander do ojca. Błady był okropnie; spojrzeli na siebie ojciec i syn z niewymownym wyrazem nienawiści. — Tak jest! nienawidzili się najsilniejszym uczuciem nienawiści, wylęgającej się zwykle ze spółnictwa zbrodni. Jeden na drugiego całą winę zwalić chciał, a skoro się zdybali, najzjadliwsze robili sobie wyrzuty, nie szczędząc wyrazów najohydniejszych.

— Był ten łotr, ten urwisz, dureń! — krzyknął syn.

— Jest nadzieja, że się wyratujemy ze skutków twojej namowy...

— Mojej namowy; raczejby wypadało powiedzieć własnego głupstwa... gdyby nie ta podróż do Żabiniec, szambelanowa nie byłaby się zraziła do nas, a co najwięcej ten głupi Konstanty nie byłby się rozkochał w tej poleskiej gadzinie i przyjechawszy tu, nie byłby o niej rozповідаł... Lisiecki byłby nawet nie wiedział o tem, że żyje tam ktoś, mający prawo do dziedzictwa, a choćby chciał być szkodzić, zapchalibyśmy mu gębę; i mniejby to nas kosztowało i mielibyśmy dobra...

— Teraz? krzyknął syn...

— Tylko co...

— Slicznie, wybornie; ten łotr jeszcze nas okrada w wigilię swojej i może naszej zguby... Jednakże w tym wieku można było mieć więcej rozumu.. przy siwych włosach taką popełnić niedorzeczność...

Te siwy włosy należą do twego ojca..

— Co tam ojciec!... my jesteśmy współnicy, wkrótce może towarzysze kajdan i więzienia... I ten człowiek uchodził w świecie za rozsądnego... pięć tysięcy dukatów dawać! wtedy kiedy już próbowano wszystkich środków przekupienia... chyba do czubków z taką głową!...

Spuścił ojciec oczy w dół i milczał.

Jeden jest sposób, choć i ten niepewny, ale może się udać..

Stary podniósł oczy.

— Konstanty może nas wyratować...

Konstanty! biedny Konstanty! — mruknął ojciec...

— Ten gagatek ulubiony..

— Nie mów o nim, myśmy jego zgubili... zgubili to serce anioła.

— Cha! cha! skrucha robi sentymentalnym.

Ojciec nie odpowiedział, lzy mu się tylko zakręciły.

— Jednym słowem, niech idzie do tej swojej dawnej kochanki do żony Lisieckiego; niech się upokorzy, niech tam wyżebrze, by nas nie wikłano przynajmniej... bo Krętowicz musi zginąć, sam diabeł mu nie pomoże. Lisiecki może nas wyprowadzić z tego błota, a co najwięcej, może nie pociągać do odpowiedzialności o gotówkę..

Jakto? czy myślisz? — i nadzieją ożywione oczy starca podniosły się na nowo — ale czy zechce Konstanty...

— On zechce, trzeba mu tylko umieć powiedzieć... kazałem mu tu przyjść w twojem imieniu.

Po chwili nadszedł Konstanty; nie był już podobny do owego młodzieńca z okiem iskrzącem od życia i zapału, zdawał się być obumarły i obojętny na wszystko; trup uczuciem, żywy z postacią zgiętą, zchudzoną, bladą i nieszczęśliwą. Co przecierpiał od czasu powrotu swego z zielonego futorku, niepodobna wyrazić; odbył gorączkę nerwową; długo był między życiem i śmiercią, a gdy cudem powrócił do zdrowia pozornego, gdy pamięcią wrócił do czasów mi-

nionych, nie skarżył się przed nikim, nie złorzeczył nikomu: zamknął się tylko w milczeniu grobowem. Serca obojętnych krajały się na widok tego cierpienia olbrzymiego, prócz jednego brata, który mu się ciągle urągał; lecz na szczęście rzadko się to trafiało, unikali go bowiem obydwu z ojcem.

Kiwnął Aleksander ręką na milczącego ojca, jakby go do mówienia napędzał.

— Konstanty, ja mam — rzekł pułkownik po długiem wahaniu się — prośbę do ciebie.

— Do mnie?.. rozkaż ojcze!..

— Wiem ja, że ci to przyjdzie może z trudnością, ale... byłeś zawsze dla mnie dobrym synem.

— Ja byłem synem dobrym — odpowiedział, ale tak bez wyrazu wszelkiego, iż trudno było zrozumieć, czy w tej odpowiedzi chciał zarzut jaki umieścić.

— Czas jest drogi, by go tracić na czułych pogadankach; trzeba żebyś poszedł do tej twojej nimfy leśnej, do żony adwokata Lisieckiego.

— Ja mam pójść do niej? — zawołał, a oczy zaiskrzyły się półzyciem.

— Żebyś mógł mój synu, bo uważasz, od nich zależy ten proces, który, bardzo źle idzie.

— Zle idzie?

— Zle, bardzo źle; majątek odbiorą..

— Więc ja mam u niej zebrać o majątek.

— A jakież to głupiec! nie nie rozumie.

— Proszę cię, nie unos się bracie — odrzekł Konstanty z zimną i smutną powagą — ja muszę wiedzieć, po co mam iść do tej, której już więcej widzieć nie chciałem.

— Głupstwo! przesada! romanse jeżeli ją kochasz, to najlepszą masz teraz porę; niema jak romanse z adwokatowemi, najczęściej same, a mąż w papierach po uszy..

— Ja jej nie kocham, bo nią pogardzam.

— Idzie o to, byś ją prosił, aby mąż jej nie chciał nas przesładować... że już mniejsza o majątek.

— Jeżeli nie dbasz o majątek, cóż cię więcej obchodzi; cudze akieś oszukaństwa nie do ciebie należą?

— Ale bo...

— Po co tu obwijać w bawełnę; tu o nas idzie, o ciebie, o mnie, o ojca, bo my wiedzieliśmy o tym testamencie..

— Ty kłamiesz! — krzyknął Konstanty, i po raz pierwszy od dawna głos jego przemówił pełnem życiem, oczy stały się wymowne wyrazem trwogi najokropniejszej. — Ojcze! on kłamie..

Milczenie mu odpowiedziało, bo głos Konstantego okropny prawdziwością swoją zmieszał nawet Aleksandra.

— Zlituj się ojcze! jedno słowo! on kłamie...

— Nie mój synu! szepnął prawie ojciec! wiedzieliśmy...

— O mój Boże! krzyknął młodzieniec, i uderzył się w czoło, za cóż tyle na mnie?... Sprawiedliwa kara schórzostwa mego, które

mi kazało dożyć tej wieści, że jestem... syn... nie, ja tego nie wymówię, boś ty jest moim ojcem, a ty... bratem moim !... Idę do niej jeszcze kilka kroków, cierpień parę więcej, czy to tak wiele?

Odwrócił się i wyszedł; ojciec płakał, a brat mruzczał: — sentymentalny głupiec!

W domu adwokata Lisieckiego wszystko świeżo i modnie; tak bowiem chciała pani domu, która nią została od dwóch miesięcy dopiero. Odmłodziła w otoczeniu młodych mebli i tych wszystkich zbytkownych fraszek, które w młodości swojej tak pokochała, że im wszystkie serca uczucia poświęciła; odmłodziła tem odmłodnieniem wieku średniego, który brak wdzięków i świeżości zastępuje pulchną, rumianą i zdrową tuszą, tym istnym dowodem życia bez trosk i bez uczuć. Siedziała odziana w żałobę, z której jeszcze lepiej wyglądała płeć jej biała i rysy twarzy zimne i nieme, marmurowe prawie, gdyby nie uśmiech, uśmiech nie nie znaczący, choć grzeczny, jeden z tych uśmiechów światowych zdolnych do chrzcin i pogrzebów, do ślubów i połogów, a który wybrała sobie jako najzgodniejszy z jej twarzą, i z nim pobratała się na zawsze. Stary porucznik już nie żył, z pierwszym skowronkiem umarł; pożegnanie jego z córką było krótkie, wiedział bowiem dobrze, że się ta wkrótce pocieszy ziszczaniem tego, co jej najwięcej do serca przypada. Łez parę uroniła, coś nawet nakształt żalu uczuła, ale po pogrzebie pożegnała mogiłę ojcowską i zielony futorek suchem okiem; najdłużej zatrzymała się przy ławeczce: wiele przypomniało się jej w tej chwili pożegnania z całej przeszłości niepowrotnej, zostającej za gajem, za borem; westchnęła nawet za uczuciami młodzieńczemi; przez chwilę obraz Konstantego stanął jej przed oczy, ale cały obraz uroczy wydał się jej mgłą jakąś zaćmioną; lecz wnet uśmiech pogardy, szydzący ze śmieszego rozczulenia, wystąpił na twarz i z oczami w przyszłość ły-skającemi rzuciła się do powozu. Przyjechawszy do miasta, porozumiała się wkrótce z panem Lisieckim; wzięli ślub, albowiem sprawa o majątek była już pewną; mogła się przeciągnąć, ale wygraną być musiała.

Siedziała tedy w salonie swoim, czytając ulubionego powieściarza trzydziestoletnich kobiet, którego żywe opisy jednakże nie więcej ją wzruszały, jak piękne wyroby z włóczki, jedwabiu, pędzla lub kamienia. Może w głębi myśli chciała korzystać z tych czarujących lat trzydziestu tak blizkich, ale właśnie dla zachowania władzy na tym świecie, w który weszła, dopiero zrozumiała, że trzeba być zimną jak gracz w szachy, ludzi mieć za figurki poruszane sprężynami, będącemi w mocy kobiety przystojnej, bogatej i chcącej panować. Nie zdziwiła się zupełnie, gdy jej oznajmiono pana Konstantego; ona się dziwiła, że te odwiedziny tak przyszły późno, bo się ich dawniej spodziewała, a nawet żądała może trochę. Pamiątka młodego chłopca z zapalem, oczyszczona z dodatków sentymentalnych mogła przecie zająć czasem panią światową, dla których kształtnych motyli skrzydełek wszystkie piękne kwiaty otwierają słodkie kielichy. Gdy go zobaczyła chudym, bladym i wynędzniałym, nie o przeszłości pomyślała, ale o przyszłości, i dla tego

uśmiech, który zaczynał przechodzić zwykle granice, powrócił nazad do stanu swego; dodała jeno do niego nieco soli szyderstwa i pieprzyku pogardy.

Spojrzał na nią Konstanty tak zimno i obojętnie, iż sam się jeszcze więcej przekonał, że nią pogardza, i że uczucie trawiące go, nie jest żalem za nią, ale żalem za młodością z całym rajem marzeń i nadziei straconych na zawsze.

— Nie spodziewałem się — zaczął Konstanty z wahaniem się, spowodowanem położeniem w jakim się znajdował naprzeciw tej, którą tak kochał dawniej.

— Przeciwnie ja się spodziewałam, że pan oceni położenie moje i przyjdzie jako dawny znajomy i przyjaciel — odpowiedziała Rozalia, umilając uśmiech, w którym zdało się Konstantemu dostrzedz odcień owych dawnych fałszywych uśmiechów.

To go tak mocno wzburzyło, że niepomy na poselstwo swoje, odrzekł z cierpkim wyrazem. — Ja mówiłem, że się nie spodziewałem widzieć panią, a co więcej, po pożegnaniu w zielonym futorku przyjąć... z prośbą...

— Z prośbą? — przerwała Rozalia; a jej głos przybrał ton obojętny i pogardliwy prawie.

— Z prośbą za ojcem moim; to niech będzie tłumaczeniem mojem..

— Tłumaczenia pan nie potrzebował... bo chętnie przystanę na każdą prośbę pana, skoro będzie w mocy mojej.

— Więc mogę mieć nadzieję...

— Niewiem, o co rzecz idzie?

— O ten proces nieszczęśliwy!... to mój ojciec! zlituj się pani, jeżeli jest w mocy twojej, a jest, bo mąż pani nie odmówi, gdy go poprosi, by odbierając, co mu słusznie prawo oddaje, oszczędził mego ojca... Ja go nie bronię, i to jest okropnie, że syn ojca bronić nie może, ale błagam o miłosierdzie nad jego siwemi włosami; kiedy traci majątek, niech przynajmniej nie spada hańba na niego, i... dla czegoż wzdrygam się nazwać po nazwisku własnem, kara za zbrodnię.. Będiesz może pani matką kiedy, a byłaś córką: zrozumiesz zatem, co to jest prośba syna za ojcem: to modlitwa!.. a z moich ust, modlitwa wielka i święta... bo ostatnia! — Oczy miał suche, gdy domawiał te słowa, ale wyraz jego twarzy był przerażający. Mimowoli spadły w dół oczy pani Lisieckiej, i straciły wyraz tryumfu, który zaczynał błyskać.

— To nie jest w mojej mocy, mąż mój wie tylko, jak stoi ten cały proces o sfalszowanie testamentu..

— Tak jest, o sfalszowanie testamentu! — powtórzył, a wzrok jego zniszczył całe szyderstwo słów pani adwokatowej.

— I wątpię, czy w jego mocy jest przemienić to, co sprawiedliwość sędziów wyrokować będzie musiała; przykro mi to, proszę wierzyć, równie jak i temu, że umiałam zawsze rozróżnić pana od rodziny jego... lecz oto i mąż mój!..

Pan Lisiecki wchodząc uśmiechnął się złośliwie.. Nie jestem sama! — wyrzekł — a pan Skrzeski tak zmieniony, iż prawdziwie nie poznałem od razu.

Ledwie na nogach trzymał się biedny młodzieniec przywalony wstydem, który był nad jego siły zwątlone cierpieniami.

— Pan Skrzieski przyszedł prosić o oszczędzanie ojca w sprawie kryminalnej...

— Tak jest, przyszedłem prosić o litość!

— Litość piękne słowo i piękna rzecz, mój panie, i gdyby nie ja, żona moja musiałaby także błagać o litość u ludzi, którzy jej majątek wydrzeć chcieli...

Konstanty nie miał nawet siły gniewać się...

— Więc pan przyszedłeś prosić o litość dawnej znajomej swojej. — Zatrzymał się i spojrzął z góry na upokorzonego młodzieńca. — Sąd mający rozstrzygać o zbrodni, nie wiem czyby mógł i powinien słuchać głosu litości, która rozciągać się winna tylko do nie-szczęść niezasłużonych...

— Więc niema nadziei? — wykrzyknął Konstanty — niepozostaje mi nic więcej jak pożegnać.

— Jeżeli możesz mężu!..

— Co będę mógł, zrobię mój panie, bo nie jestem bez litości, choć prawnik; i przez wzgląd na prośby syna postaram się, by całą winę zwalić na jego doradcę, tego niegodziwego Krętowicza, który musi zginać w kryminale... Proszę ojcu powiedzieć, że ja się nie mszczę, ale odebrać chcę co nam wydarte zostawało, nawet bliżej dochodzić nie chcę, gdzie się podziała znaczna bardzo gotówka po s. p. szambelanowej Skrzieskiej. — I raz jeszcze spojrzął z góry na biednego młodzieńca z udaną wspaniałomyślnością, któraby się jeszcze okropniej na podłej prawnika twarzy wydała Konstantemu, gdyby wiedział, że Lisiecki już uwiadomiony, o mającym jutro wypaść wyroku sądu karzącego, uwalniającym pułkownika dla braku dowodów winy domniemywanej, ale nie dowiedzionej.

Konstanty nie rozumiał tych rozróżnień prawnych; w jego oczach ojciec był winny, a on syn zbrodniarza; przystąpił bliżej i rzekł z wyrazem pełnym godności:

— Raczie przyjąć podziękowanie szczere syna... nie jestem w stanie mówić wiele, ale czuję wdzięczność głęboką... i wyznać muszę — dodał z rodzajem rozczerwienia — że mi wielką jest pociechą żegnać panią... z ostatniem uczuciem wdzięczności...

Nazajutrz z rana głucha wieść biegała po mieście, że dwóch winowajców ma być po przeczytaniu wyroku sądu karnego wystawionych pod pręgierz. Każda wieść o zdarzeniu jakieby ono nie było mile przyjmowana zawsze przez próżniaków, niemałe ich grona skupiała tu i owdzie, a wszędzie rozmawiano o spodziewanem widowisku.

— To ten szatan w bobrowej czapce i fałszywych wąsach naniósł mi tej biedy do domu — mówiła gruba jejmość do drugiej młodszej kobiety w obdartej sukni jedwabnej.

— Przez niego mój biedny mąż siedzi już blisko rok w kryminale, i kto wie, czy nie jemu czytać będą wyrok.

— Mniejsza o niego; jemu się to dawno należało, ale ja Bogu

duszę winna, niemał odbytu; wszyscy boją się chodzić do mnie, przez te ciągle rewizje.

— Jak się macie Wrono, i ty Kobyła Głowo ze smutną głową; to niezawodnie Laufra i Lizusa będą dziś wystawiać na pręgierzu.

— Zkąd wiecie Brysiu?..

— Zkąd wiem?... teraz człowiek wszystko może wiedzieć od tego Franka mazurczynego, co to siedział w kwaczu za lichtarz.

— A już go dawno nie widziałam..

— I wolicie go nie widzieć, bo on tak się umiał przylizać siedząc w kwaczu, że teraz sam naprowadza chatramki i pajaków, z którymi za pan brat...

— To od niego wiecie, ale czy pewnie?...

— Spytaj się Pilnika, który tu idzie..

— Et! to już nie nowina! — rzekł Pilnik — ale co gorzej, że się pokazała ta choroba, co to przed rokiem czy dwoma grasowała u nas.

— Jaka choroba?..

— Ależ ta, co to ludzie umierali, jak gdyby się objedli.. Cholera, jak ją nazywają.

— Cholera? to znowu ludzi będą wywozić!..

— Cholera! żeby ją djabli wzięli; już się na krakowskiej ulicy pokazała, zaraz podle tego twojego adwokata..

— Mojego?..

— A jużci tego, co to ciebie wziął niby na utrzymanie, a po trzech dniach porzucił.

— Żeby jego porwała naprzód.. przez niego to mój mąż..

— Dla niego lepiejby było, żeby umarł; bo mi mówili z pewnością, że go zamkną także, nawet...

Tu nowi znajomi nadeszli, i wszędzie rozeszła się wieść o cholercie; mieszkańcy miasta przypomnieli sobie okropne czasy, w których ta zaraza zabierała mnogie z pomiędzy nich ofiary, i trwogą gnani roznosili po całym mieście wieść o grożącym nieszczęściu. Nikt nie wiedział szczegółów, nikt nie wiedział źródła, zkąd ta wiadomość wyszła; ale w mieście dostatecznie, jeżeli jeden rozpowie, już się potem wiadomość sama rozbiega; to było tylko szczególne, że w każdym takim rozpowiadaniu umieszczono było nazwisko adwokata Krętowicza, jako najbliższego sąsiada tej zarazy. I tak biegnąc z ulicy w ulicę, wieść się coraz zwiększała, coraz więcej nabierała objętości i odcieni, jak lawina śnieżna, co grudką ze szczytu leci, a chmurą olbrzymią pada na dolinę. Już nawet twierdzili, że w samym domu adwokata umarła raptem kucharka przy ognisku, a jakiś z tamtej strony nadbiegający ulicznik zapewniał, że straż, która przyszła, by go pojmać, znalazła go niebezpiecznie chorego na tę zabójczą słabość. I wszystkie te tłumy gawiedzi miejskiej, opowiadające i słuchające, skupiały się pomału koło sądu karnego, gdzie miała mieć miejsce wystawa zbrodniarzy o godzinie dziesiątej.

Nim się zacznie to ciekawe widowisko, pobiegnijmy na chwilę

odwiedzić Krętowicza i pułkownika, których dzisiejszy wyrok najwięcej obchodzić powinien.

Krętowicz siedział w kancelarji swojej rozwalony na wielkiem krześle przed stolikiem, na którym leżało mnóstwo plik świeżo złożonych i parę papierów świeżo napisanych. Tak był blady, iż podobną do prawdy zdawała się wieść o jego słabości, co świadczył także strój jego zaniedbany ranny.

Był sam z myślami, które miarkując po oczach, latających w około z wyrazem obłąkanej niespokojności, nie musiały być wesołe.

Weszła kobieta z czerwonymi od płaczu oczami, a pobladła od cierpień twarzą. Była to żona Krętowicza, jedna z tych kobiet zwyczajnych, o których nic innego powiedzieć nie można jak tylko: że żyją na świecie, a przecież cisnące się razem zdarzenia okropne o tyle ją poruszyły bojaźnią o los męża i połączone z nim los własny i dzieci drobnych, że wyraz jej twarzy, zwykle nic nie mówiący, wzbudzał mimowolne współczucie. Zimno popatrzył na nią mąż..

— Tyś słaby, a tu powiadają..

— Mogłabyś nie powtarzać głupich powiedzeń..

— Cóż się ze mną stanie i dziećmi memi?

— Z dziećmi? — powtórzył adwokat, i w tej chwili strasznej dla niego po raz pierwszy przypomniał sobie, że jest ojcem. — Jeszcze nie wszystko stracone, czekam na Replickiego.

— A po doktora możeby posłać?..

— Doktor nie pomoże mi.

— O mój Boże! — lamentującym zapiszczała głosem — to ty bardzo słaby?..

— Nie wiem jeszcze.. słuchaj!.. ktoś chodzi podobno po kancelarji..

— Któżby tam chodził?.. dependenci pouciekali przed tą wiadomością o cholery, która się wszędzie rozeszła.

— Więc się rozeszła?..

— Po całym mieści.

— To przynajmniej dobrze... ciszej! zdaje mi się, że idzie..

— To Replicki idzie!..

— Idzie! — krzyknął adwokat, zerwał się z krzesła i spojrział na wchodzącego dependenta z niewymownym wyrazem trwogi, lecz spytać się nie śmiał.

— Już wyrok zapadł!.. świadków..

— Mniejsza o świadków..

— Pułkownik uwolniony..

— Dalej, dalej!..

— Pana kwalifikowali do indagacji.

— Na wolnej stopie?..

— W więzieniu! — odpowiedział Replicki tak zimno, jak gdyby opowiadał wiadomość brukową.

— Więc nie może być inaczej! — wykrzyknął ze ściśniętymi zębami od gniewu i wściekłości.

— O mój Boże! mój Boże! — piszczała żona.

— Cicho! cicho! nie krzycz!..

— Za minut kilka przyjdą po pana.

— A jaż nieszczęśliwa!..

— Ciszej! nie krzycz darmo nad głową, bo nic nie pomoże. —

Jeszcze raz porwał się z krzesła, przebiegł się po pokoju... — Zwyciężyłeś przekłety wrogu! ale nie zupełnie jeszcze.. wiem, o co ci najwięcej ilzie?.. to ci się nie uda.— Zgrzytnął zębami, chustkę rzucił z szwi; nareszcie po kilku szalonych po pokoju ruchach przyskoczył do zawodzącej w niebogłoty żony.

— Dosyć tych lamentów! ja jestem słaby.

— Ach ja nieszczęśliwa! biednaż moja dola!..

— Bardzo słaby! rozumiesz?.. rozumiesz Replicki?..

— Ja to już puściłem, ale poszła zapewne po lekarza.

— Dobrze!... to czasu zarobię... papiery w porządku; dokumenta moje w szkatułce w sypialnym pokoju.

— Ach mój Boże, czyż na długo ciebie zamkną?

— Przestań jęczeć.. Interesa cudze zapewne pan prowadzić będziesz.. pan będziesz moim następcą!..

— Praktyki wiele panu winien jestem.

— Wyjdź! popatrz czy nie idą już; a jak będą szli, dasz mi znać.

Gdy odszedł dependent, Krętowicz wysunął szufladę i wyciągnął spora paczkę.

— Tu jest pięć tysięcy dukatów, w papierach... to mój ostatni zarobek, dla ciebie, i... dla dzieci! — Aż się zatrzęsł, tak mimowolnie przemagało w nim uczucie..

— Cóż ja sierota pocznę?..

— Bierz pieniądze. nikomu nie mów i schowaj!... ty to potrafisz, bo ty skąpa!... Idź prędzej, już ja sobie tu pomogę..

— Ale!..

— Snuć się na mnie i idź!... A gdy już była we drzwiach dodał — Ucałuj tam dzieci.. ja.. niemam czasu!..

I znowu sam się został!.. Nie można jednakże powiedzieć, że zupełnie sam, bo pomału cała przeszłość wystąpiła widomemi obrazami. Straszna przeszłość! okropnie jakby widma spojierały na niego okalające go fascykuly prawne!.. Wszystkie sprawy w nich zawarte zagadaly do niego prawdą, nie prawem przekreconem; i zdało mu się widzieć: tu sieroty zrabowane, wdowy ogołocone, tam rachunki opieki wyszczerzały się ku niemu wszystkimi fałszywemi cyframi i każda straszmem okiem wyrzutu zdaje się mrugać na niego, szydzić i przeklinać! Rosną fascykuly prawdą wydęte w olbrzymy zbrodnicze; jak białe duchy patrzą na niego; słowa pisane, cyfry rozrzucone odstają od nich jak krople krwi, i padają, rosną, okrągłą się, toczą ku niemu raz czerwoną jak krew, to znowu mętłą jak łza, to żółtą jak złoto falą... Włosy mu wstają do góry, bo się już morze wzbiera, podnosi i porywa go z sobą wyżej, coraz wyżej... już w powietrzu!.. dusi go okropnie!.. Stolik jego z pulpitem wysokim i wyrabianym wydał mu się szubienicą.. Chciał krzyzczeć!.. głosu nie stało!.. chciał uciekać!..

— Już idą! — krzyknął Replicki otwierając drzwi.

W pomieszkaniu pułkownika siedzieli ojciec z starszym synem pogrążeni w milczeniu, i miotani niespokojnością; wiedzieli o tem, że o dziesiątej ma być przeczytany wyrok, i jakkolwiek wszelką mieli nadzieję, że zostaną uwolnieni od zarzutu współnictwa, przeświadczenie wewnętrzne straszło ich. Było to godzin parę okropnych.

— Już się dziesiąta zbliża! — przemówił wreszcie pułkownik; jużby nasz posłany mógł wrócić.

— Boisz się teraz — odpowiedział syn z wewnętrzną złością, którą rad wyrzucał z siebie szyderstwem. — Najlepiej twój Konstanty robi; uzbroił się w filozofię, i zamknął w swoim pokoju.

— Jego mi żal najwięcej... ta wiadomość o uczestnictwie naszym, którą kryłem przed nim póki mogłem, przeraziła go okropnie.

— Czuty synalek, nawet nie łaskaw tę chwilę oczekiwania przepędzić z nami.

— Ty go pojąć nie możesz.

— Bo nie latam z nim po głupich ideałach.

— Aleksandrze, w tej chwili inne słowa chciałbym słyszeć z ust twoich.

— Wiem ja, wiem, że to twój faworytek, dawny mamunin ulubieniec!..

— Przestań! nie wspominaj nazwiska matki!..

— Zkąd ta czułość pośmiertna?.. wołałaby jej była doznać za życia.

— Byłem niesprawiedliwy dla niej, byłem okrutny dla dziecka mego.. ależ czy twoja rzecz?..

Dziesiąta wybiła na zegarze miejskim... Zamilkli obadwaj i pobledli; stary spuścił oczy w dół, Aleksander zaś biegł coraz niespokojniej po pokoju. Wczorajsze słowa Konstantego biegają pułkownikowi po głowie.. żegnał, zaczynał mówić, był pomiészany — jutro o dziesiątej — zaczął i urwał!..

W tej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem, wszedł wysłany do sądu... W tej chwili wystrzał niedaleki rozległ się po szerokich pułkownika pokojach!..

— To Konstanty! — krzyknął ojciec przeraźliwie, zerwał się i upadł nazad bez władzy..

— Uwolnieni jesteśmy od wszelkiego zarzutu! — krzyknął Aleksander z wyrazem podłego tryumfu — a zatem gotowe pieniądze zostały przy nas. — Ledwie spojrzął na ojca bladego i nieruchomego jak trup, i wybiegł pełen radości. W domu pułkownika grobowe osiadło milczenie. Konstanty nie żył; niechciał przeżyć hańby rodzinnej i śmierci wszelkiej wiary w ludzi.

Na placu przed sądem kryminalnym stali na rusztowaniu znani nam Laufer i Lizus, z wypisanym występkiem i karą na drewnianej tablicy zawieszanej na piersiach. Mnogi lud ich okalał, ciekawymi spojrzeniami oglądając odmiany, jakie w nich wyrobiły długomiesięczne więzienie i przeczytanie niecofnionego wyroku. Nikt nie okazał współczucia; cudzy i nieznajomi przeklinali ich głośno; towa-

rzysze z pod krogulca śmieli się i szydzili z głupstwa jakie popełnili, sprzedając się za małą cenę.

— Gdyby przynajmniej większe wzięli pieniądze — powtarzał Brys — byliby mogli uciekać.

— Ależ nasz tłusty Lizus wychudł... jak suchar wygląda.

— Na którym kiedyś było masło..

— Cha! cha! a Laufer jak szczepa.

Czy widzieli znajomych, czy słyszeli ich głosy, trudno odgadnąć; patrzali tylko przed siebie bez wstydu, bez skruchy, z wściekłością a chęcią zemsty za niesprawiedliwość sądu.

Zrobił się szmer w pospólstwie; rozstąpiły się tłumy przed idącym urzędnikiem i strażą wojskową wracającymi ze strony miasta: rozeszła się wieść, że darmo chodzili po najgłówniejszego winowajcę.

— Zastali go już nieżywym.

— Na cholere umarł! — gadali między sobą.

— Czy tylko na cholere? — ktoś się odezwał z boku.

— Na cholere!.. ja sam słyshałem, jak rozpowiadał urzędnik, że wystąpiły plamy jakies na nim, i aż go rozsadziła ta cholera..

— To coś jak kwas pruski! — ozwał się aptekarczyk..

Wieczorem dnia tego było wielkie zgromadzenie u państwa Lisieckich. Był to pierwszy tego rodzaju wieczór, jakich więcej Rozalia dawać zamyslała, by wprowadzić w modę zebrania nie tańczące, salony uczone, rodzaj także kuglarstwa w świecie używanego, dla zrobienia sobie stanowiska pewnego. O tem kuglarstwie pisałbym, i niemało dałoby się napisać, lecz zostawiam to na inny czas. Honory domu robiła gospodyni z wielką uprzejmością, i takim taktem, że najdawniejsi bohaterowie salonowi oddawali jej zasłużoną sprawiedliwość. To też tego dnia per vota unanimitas dostała pani adwokatowa Lisiecka prawo obywatelstwa salonowego.

Pojawił się na tej zabawie pan Aleksander; jakkolwiek wieść o tragicznej śmierci Konstantego już była przedmiotem powszechnej pogadanki, przyszedł, choć miał twarz osłonioną przezroczywą zasłoną kłamanego żalu, lecz przyjść musiał, by cały świat przekonać o dobrych stosunkach pułkownikowskiej rodziny z panem adwokatem. Jakoż każdy mu w oczy powtarzał, że święcie wierzy w zupełną niewinność pułkownika, którego zmarły na cholere Kretowicz chciał zawikłać w brudną jakąś sprawę przez złość na ojca pani Lisieckiej, z którym się tam gdzieś zadarł..

Działo się to roku 183..., potakiwał łypiąc oczyma wielki Mrugalski. Wszyscy uwierzyli niby, każdy z żalem słucał, jak Konstanty wybierając się w podróz za granicę próbował pistolety, które miał za nienabite, i jeden wystrzelił przypadkiem.. Oczy i westchnienia wszystkich dokończyły reszty.

— Nieszczęśliwy był do podrózowania — dodała Rozalia — przeszłego roku omal nie zmarł na Polesiu..

— A to było w dobrach żony mojej, które odwiedzał z rozkazu pułkownika, tak okropnie oszukanego przez tego mistrza oszusta.

I wszyscy dodali coś swego, coś równie grzecznego, bo wszyscy znajomi nam z przeszłorocznego balu pułkownikowskiego zjechali się na dzisiejszą zabawę prócz Ludwiki.. Hrabina Felicka zastała ją w południe zemdlałą w swoim pokoju.. i odtąd leżała biedna dziewczyna nieprzytomna w najokropniejszej gorączce.

Na tem kończy się powiastka, czyli raczej część pierwsza kuglarzy, bo jak powiedziałem mam w myśli pisać dalej o kuglarzach, a obrałem sobie przedmiot tak bogaty, że mi prędzej zapewne zabraknie talentu, niżeli treści. Dla tego kuglarskiem zakończeniem kończąc kuglarzów, nic nie powiem o adwokatowej, nic o Aleksandrze, i innych, których zdybiemy może.. Kuglarze dobrzy zawsze mają sztuczkę w zapasie, którą łaskawym widzom przyrzekają na przyszłe przedstawienie. I ja tak robię, bo prędko myślę powiedzieć.. teraz nastąpi non plus ultra!.. —

SZPICRUT

H O N O R O W Y.

(Pierwsze wydanie 1848 r.)

rola m. 1945 - 1948 jako organizator
kultury i sportu

Wojciech - członek ludu - 143-45

oświadczenie, rozprawy o polityce - 145

Wojciech i Karmienie - literatura "o życiu i pracy" - 145
M. Nowi ~~Wojciech~~ i imię ludu - 145

Zupełnie nie tyfuje się - musi być pełna istota - 150

Żywa przystaje być żużla oświadczenia i blasku - 150

restytucja papieru - program solidaryzmu 150-151

rola Karmienia i Wojciecha - uczyć, pisać

i nie dale m. 1945

Wojciech - jego w. 1945 - 1948 - 152-3

oświadczenie - nowela - historia - 1945-1948

Wojciech - 1945-1948

Wojciech - 1948

Wojciech - 1948

Wojciech, pot. 1948

Wojciech, Karmienie - a literatura 1948

Wojciech - 1948

Wojciech - 1948

Wojciech - 1948

Wojciech - 1948

Wojciech - 1948

Wiosna zima pyncha głębia z... Alona i...
wiosny -
za ugodę demoralizacyjną i pełną robotniczą - 193
mijającego a tym samym lewym...
wsi, mierzpita
właś... gawka... przed... na...
niech...
Kamion...
CZEŚĆ PIERWSZA.

Krzywda.

Było to pod koniec wiosny, w maju, w tym najpiękniejszym miesiącu pączków i nadziei, gdy wszystko w przyrodzie budzi się do życia, a leśni śpiewacy szła ku niebiosom najczudniejsze i najdzwiczniejsze nuty; kwiaty najmilszą woń ronią; a ludzie, bujając marzeniami po błękitie stropu niebieskiego, wydobywają z mglistej przyszłości najbarwistsze swe marzenia. Wiosna słusznie jest poezja roku, a maj poezją wiosny.

Był śliczny poranek świeży i wonny, gdy na drodze wiodącej przez gaje i ostrowy, błyszczące jeszcze perlami rosy, spuszczał się konno z lekkiego pagórka na dolinę bohater obrazku, pan Kazimierz Bilczyński. Jechał na kucym koniku, w którym darmoby szukać jakiejś rasy, lecz za to był ogień i żwawa młodość. Szybkim pędem przeleciał pan Kazimierz dwie mil drogi, i zatrzymał się nieco, gdy stanął na wierzchołku pagórka, z kąd rozchodziły się dwie drogi mniejsze: jedna prowadziła prosto ku wsi, rozłożonej na dnie doliny a druga szła pomiędzy drobne krzaki, ku ulicy topolowej, która prowadziła do białego dworu, sterczącego na wyniosłości pośród drzew ogrodowych i spoglądającego ztamtąd dumnie na wieś i okolicę. Konik zdawał się pojmować tajne myśli swego pana, i już gotów był zawrócić ku wsi, gdy nagle wstrzymany przez niego, wyciągnął szyję ku dobrze znanej sobie osadzie i na wahanie się myśli jeźdźca, odpowiedział wesołem i przeciągłym rzeniem. Pan Kazimierz przytrzymał wiernego towarzysza częstych wycieczek jakie robił do Krzewiniec, i pogłaskawszy go po szyi, spojrział tylko zadumanym wzrokiem na dół ku wsi, w którym nieco smutku przebijało się. Ze środka bowiem skromnych i ubogich chatek wiejskich z pomiędzy lip odwiecznych, zabłysnął ku niemu słońcem ozłocony krzyż wiejskiej cerkiewki, podle którego piał się w górę dym, wychodzący z przytykającego do domu bożego dworka. Zajaśniał uśmiech na jasnej twarzy pana Kazimierza na ten widok i wzrok rozczulony pogonił przez czystą przestrzeń tam na dół, ku dobrze mu znanej zagrodzie; wślad za nim pomknęło i lekkie westchnienie młodzieńczej piersi, gdyż przypomniał sobie, że dzisiejsze jego odwiedziny do Krzewiniec były ostatnie, jechał on bowiem pożegnać tam i to na czas nieograniczony, pocziwych przyjaciół swoich i kogoś jeszcze droższego. I zadumał się młodzieniec, chociaż twarz jego młoda, czerstwa, nie poranała, zdaje się żadną głębszą myślą, więcej

do towarzyskiej rubasznej wesołości przyzwyczajona, trochę niezgrabnie odbijała od owego nieczęstego na niej gościa. Pan Kązimirz rzadko marzył kiedy; wychowany na wsi, w skromnym dworku szlacheckim, przez ojca i matkę, prostych i poczciwych dzierżawców małego przysiołka, zaledwie kilkanaście dymów liczącego, nie wiele miał czasu oddawać się myślom, tym wedle okoliczności szatanom lub anielom, dodanym na wieczne towarzystwo człowiekowi. Bo niech jeno myśl głębsza zagości w głowie, już jej się nie pozbędziesz, ani hulanką u sąsiada, ani polowaniem w kniei; ona ci oderwie życie od powszednich powabów, jakie znajdują się w pożyciu ludzi prostych, chociaż w zamian za to, wyczeruje cały świat nowy, uroczy, po którym można bujać bez końca, jak po owych dziewiczych stepach Ameryki. Bohater nasz był poczciwym i dobrym chłopcem, prócz swej Wólki, w której się urodził, i Krzewiniec mało co znał świata: w pierwszej czytać i pisać nauczył się, a w ostatnich czuć po ludzku. Komu znane nasze wiejskie wychowanie niezamożnego szlachcica, ten nie będzie potrzebował długich opisów i pozna odrazu całe jego usposobienie wewnętrzne. Wychowanie takie, zwykle przypadkowe, bez systemu, przeplatane zabawą na koniu, w sąsiedztwie, lub w kniei obok zajęć gospodarczych, w których syn ojca często wyręczać musi — niema żadnej w sobie stałej podstawy, a ztąd i celu pewnie określonego. Ztąd wynika zwykle, że co przypadek rozpoczął, to przypadek i kończy, a z młodzieńca, podobnie wychowanego, wychodzi gorszy albo lepszy człowiek. Pan Kazimierz przebył to całe przypadkowe wychowanie, lecz dzięki poczciwym naukom rodziców, wyszedł dobrym, otwartym i poczciwym chłopcem. Ponieważ jednak nie było pewnej zasady w jego wychowaniu, i w usposobieniu wewnętrznym odbijała się pewna chwiejność zasad. Jedynem jego zajęciem było gospodarstwo i to dawne, rutynowe, jedyną rozrywką polowanie, a jedyną namiętnością stał się dla niego koń.

Poczciwy ojciec pana Kazimierza póki żył, sam ciągle powtarzał, że dla nas przystoi jeno męskie wychowanie, hartujące ciało do wszelkich niewygód. Jest w tem wielka prawda; prawda rzeczy można historyczna, którą szlachta nasza po wsiach instynktem zdaje się, rozumie, ale niestety! nie przy tem nie rozumuje, a że mało i pobieżnie czyta, więc tej prostej a przecie u nas równie historycznej prawdy pojąć nie zdoła, że niemniej nam potrzebny i hart duszy.

Owóz gdy po śmierci ojca nasz Kazimirz sam został z matką i wyszedł na dzierżawcę Wulki, kupił sobie wierzchowego konia. Skromny to był, bo tani wierzchowiec, na którym nasz bohater uganiał po polach i górach, z chartem i bez charta, czy potrzeba czy nie potrzeba, w lato czy w zimę. A że pan Kazimierz był to ładny, silny i barczysty chłop, siedział tego na koniu, z wierzbowym precikiem w ręku, którym leniwego konika okładał bez litości, uganiał wichrem, przeskakiwał rowy i płoty — lubiono go, chwalono i psuto trochę w okolicy. Po małych jarmarczkuach w okolicy był on główną osobą; częstowany sownie, częstował nawzajem, co oczywiście, jak to bywa u nas, podobało mu się dosyć, obracało się w nawyczkę i przyzwyczajało do próżnowania i zbytowych pokus, tych grzechów

pierworodnych naszej bogatszej i uboższej szlachty. Przebiegnij mniejsze nasze miasteczka, a przestraszysz się, zobaczywszy, ile tam daremnego czasu natracą młodzi dzierżawcy, urzędnicy prywatni, ba! nawet i dziedzice mniejsi — przy kieliszku i fajeczce; a ile więcej natracą grosza, którego ubytek i rzadkość zwiększa jeszcze kredyt małomiasteczkowy, podwójną kredką zapisujący zdybania się sasiadów.

Wszystkie te wady były w panu Kuzimierzu lekko naszkicowane jeszcze, bo przeważała w nim dotąd poczciwość serca. Dobrac to zaiste zaleta i godzi się ją cenić i szacować, lecz krucha to podpora w tak częstych u nas burzach życia, w których tyle poprzepadało serc poczciwych bez wieści i pożytku, ba! nawet ze szkodą dla nich samych i dla ogółu. Darmo szukać tej winy w naszym charakterze narodowym, jak to z lubością i wymownie twierdzą ludzie o płytkich głowach, i złych dla nas chęciach, którzy tym zarzutem mniemają zrzucić wszelką odpowiedzialność za swe krzywe zdania i więcej jeszcze krzywe drogi. Nie tam szukać winy trzeba, ale w zupełnym zaniedbaniu wychowania, mianowicie domowego, po naszych dworach i dworkach szlacheckich, Trzeba raz wyrzec się szczerze wszelkich przesądów panujących po tych dworach, a mamy ich tam niemało, a między niemi najszkodliwszy: że trochę majątku, trochę francuzczyzny i trochę herbu szlacheckiego, rozpuszczone w salonowej ogładzie dla wyższych, a w rubasznej tęgości dla niższych, wystarczy jakoś w życiu. O! błąd to i wielki błąd, moi panowie... nie jest to recepta na człowieka, ale na istnego durnia! A jużci przyznacie panowie, że w naszych czasach, a mianowicie w naszych okolicznościach, hańba, a co gorzej występki jest wielki być durniem niepożytecznym.

Wracając od tego epizodycznego wybryku, za który wielce przepraszam czytelników moich, dodam jeszcze do obrazu naszego bohatera, że największem jego szczęściem była miłość dobrej i poczciwej dziewczyny z sąsiedztwa, do której przywiązawszy się serdecznie, zaczął mniej hulać, a więcej siedzieć u lubej, która przez przypadek także, bo dobre wychowanie jest u nas zwykle przypadkiem tylko, posiadała więcej wiadomości od niego; a namiętnie przywiązana do kraju i do literatury, kochając go szczerze i namiętnie, oddawała mu z całym poświęceniem, kobietom właściwem wszystko swoje — i serce i głowę. Lecz pan Kazimierz choć kochał szczerze, niemniej przeto musiał ulegać okolicznościom, silniejszym nieraz od naszych najsilniejszych zamiarów.

Miał on stryja, który był komornikiem w stolicy. Był to stary człowiek, o którego majątku i kapitałach bajeczne rozpowiadano rzeczy. Nagle czując się coraz starszym i słabszym, zapragnął rodzinnych uczuć i napisał do synowca, by przyjechał do niego na mieszkanie. Kazimierz mimo całej pokusy, jaką mu w ucho szeptał szatan zbytku, rozpowiadając o stryjowskich dukatach, byłby może nie porzucił ukochanej swej Marii, z którą po trzech latach najczulszej miłości wzajemnej w jesieni miał się zenić; ale matka dobra, ograniczona kobieta, wierząca ślepo w złoto, wymogła na nim, ażeby wyjechał do stryja, który zapewne nie będzie się sprzeciwiał zwią-

kowi synowca z ukochaną Marią; a zresztą choćby wypadło ślub odłożyć na czas nieograniczony, cóż to jest w porównaniu z spodziewaną po stryju spuścizną! Tak rozumowała matka Kazimierza, niby to kochając go serdecznie. Cóż dziwnego, wszak zwykle rozumiemy wszyscy i chwilę upragnionego szczęścia odkładamy niebaczni i lekomyślni, jakby szczęście w życiu było stałe i niezmienne. A tymczasem chwila przemknie i już nie wróci więcej i darmo zatęsknisz potem za nią. Dziś nie wróci, coś wczoraj odłożył.

I dziś właśnie miało nastąpić to smutne z kochanką pożegnanie. Lecz dla czegoż nagle napadła go wątpliwość na tej drodze rozstajnej. Bo niestety! pan Kazimierz chociaż bohater mojego obrazku, jak wszyscy inni bohaterowie większych, bo dziejowych powieści, nie był bez niektórych słabości. Był on potrosze próżny. I trudno przyszłoby wykazać, czy ta próżność była skutkiem owych pochwał, jakimi schlebiano jego pięknej twarzyczce; czy też ją odziedziczył jako grzech pierworodny stanu, do którego należał, do którego to smutnego grzechu przyłożyła się zapewne najwięcej przeciwna matka, która nigdy nie zapomniała, że rodowitym jej herbem była panna na niedźwiedziu. Dosyć, że gdy dojechał do rozstajnej drogi, wydało mu się koniecznością wstąpić do dworu, w którym mieszkała rodzina hrabiów Gniazdowskich; bo jużci wyjeżdżając z okolicy, w której ta rodzina jako najzamożniejsza i najdumniejsza, grała rolę najznakomitszą, godziło się ją pożegnać także, i podziękować za łaskawe względy, z jakimi ród Gniazdowskich przyjmował rzadkie ale pełne submisji odwiedziny pana Kazimierza Bilczyńskiego, trzymającego u nich w dzierzawie ów mały folwarczek, Wulkę, nienaknącą równie na mapie dóbr hrabiego Artura Gniazdowskiego, jak nasz bohater nikał zwykle w salonie pałacu w Krzewińcach. Bo pchać się do klamki pańskiej, jest to narów drobniejszej szlachty u nas, z którego nic ją dotąd całkiem wyleczyć nie zdołało, ani postęp oświaty, ani też ważniejsze nad wszystko doświadczenie.

Jakie zaś to były łaskawe względy, które pana Kazimierza spowodowały do tej wycieczki w bok ku ulicy topolowej, wnet się dowiemy; ruszajmy jeno za nim.

Nadaremnie koń praktyczniejszy od pana, ciągnął się w dół ku skromniejszemu dworkowi, wiedząc zapewne z doświadczenia, że w stajniach hrabiowskich prócz zaszczytu bycia przywiązany do murowanego słupa, rzetelniejsze przyjęcie owsem nie nastąpi. Pan Kazimierz uparty jak na potomka butnej szlachty przystało, dążył ku pałacowi i tem tylko w tej chwili dawał dowód oczywistej swej miłości do Marijki, że najprzód chciał odbyć niewielce miłe odwiedziny, by już potem resztę dnia przepędzić w lubem kochanki towarzystwie. I gdy już właśnie dojeżdżał do bramy pałacowej, z której szczytu dumnie spoglądała tarcza herbowna, w hrabiowskie perły ozdobiona, z przeciwnej strony dojeżdżał do niej inny jeździec na koniu wysokim, którego długie nogi, długa szyja i nieco wklęsłe boki świadczyły o tej rasie angielskiej, w której tak się pokochaliśmy od niedawna, że mając w domu rasę najdzielniejszych koni, której pozwalamy <http://poniewiekę> i przepadać, wysyłamy

natomiast za morze ciągle nasze pieniądze, goniąc: za angielskimi końmi, angielskimi trenerami, żokejami i angielskimi zwyczajami. Na tym wyniosłym koniu, przy którym wierzchowiec mały naszego bohatera wyglądał jak prawdziwy kucyk, siedział młody człowiek, błyszczący cały: bo błyszcząły na nim i złote okulary i brązowe guziki na rajtroku, i złoty łańcuszek od zegarka, a mianowicie w ręce z ozłoceniem i obrylantowaniem palcami błyszczał najbardziej szpicrut misternej roboty, cały w złotych rzeźbach, ze złotym konikiem na rękojeści.

W chwili, gdy obaj jeźdźcy dojeżdżali do bramy, na znak poufalego powitania, hrabia Alfred Gniazdowski, syn hrabiego Artura, uderzył naszego bohatera złocistym szpicrutem, niby z nienacka, ale tak silnie po grzbiecie, że aż ten rzucił się na koniu i obrócił gniewem rozpaloną twarz swoją ku błyszczącemu jeźdźcowi. Przez chwilę zawrzało na twarzy pana Kazimierza oburzenie tak silne, iż na widok jego, woskowa twarz pana hrabiego pobladła więcej jeszcze. I kto wie, coby się stało, gdyby nie to przyzwyczajenie do uległości panom, naszej szlachcie tak dalece właściwe, że byle z nimi zachować stosunki tak im przydatne jak umarłemu kadzidło, dadzą chętnie stroić z siebie najnieprzyzwoitsze żarty. A że żartem oczywistym było to szpicrutowe uderzenie, jakkolwiek go dobrze bolało, najlepiej dowodził uśmiech słodziutki na twarzy hrabiego Alfreda.

— „Ledwim cię dogonił!... jak się masz, mój ty błędny rycerzu, który tak zamarzyłeś głęboko, żeś nawet nie słyszał mojego wołania.“

— „Pan hrabia wołał mnie?“ odpowiedział nasz bohater udobruchany nieco tą pańską poufałością.

— „Wołałem, i jak wołałem,“ odrzekł młody hrabia z uśmiechem jeszcze słodszy i weselszy, bo to panów niepospolicie bawi, gdy takiego szlachetkę mogą na durnia wystrychnąć. „A widząc, że ty zakochany rycerzu straciłeś nietylko oczy, jak to bywa zwyczajnie, ale nawet i uszy, dotknąłem cię szpicrutem moim, by cię przecie obudzić... a jeżeli w pędzie konia dotknięcie moje było za mocne, przepraszam cię.“

Pan hrabia za... nadto łaskawy pomyślał, ale nie odpowiedział przecie nasz bohater, udobruchany zupełnie hrabiowskim przeproszeniem.

— „A do tego żebyś wiedział, że dotknięcie tego szpicruta, to jakby owo dotknięcie szablą przy pasowaniu na rycerza,“ mówił dalej Artur z kpiącą powagą, „jest to bowiem szpicrut honorowy.“

— „Szpicrut honorowy?“ zapytał Kazimierz głosem i całą zdziwioną twarzą; a mimowolnie rzuciwszy oczy na swój własny przecik, ułamany z wierzy przy wyjeździe z domu, zapłonął się i puścił na ziemię tego niegodnego szpicrutów błyszczących zastępcę.

— „To ty nie wiesz, co to szpicrut honorowy? o ty biedny wieśniaku!“

I śmiejąc się zeskoczył pan Artur z konia, bo już byli przed olbrzymim gankiem z monumentalnymi schodami, który to właśnie miał dworowi staremu i dostojnie niezgrabnemu nadawać postawę

pałacową. A trzeba wiedzieć, co zresztą hrabia Alfred wszystkim przy zdarzonej i bez zdarzonej sposobności rozpowiadał, że i ganek, i słupy gankowe, i owe schody olbrzymie, były ściśtem naśladowaniem facjaty pałacowej w Puławach.

— „Ale cóż dziwnego?“ mówił dalej kpiącym tonem młody panicz, „zakochani nic nie wiedzą zwykle, a cóż dopiero, jeżeli ich opętają takie oczy, jakie posiada córka naszego... dobrodzieja.... którego nie śmiem nazwać popem, by cię nie rozgniewać.“

— „Pan hrabia!... panie hrabio!“ mruzczał nasz bohater zmieszany do reszty, okładając go co chwila ukłonami i powtarzaniem tego tytułu, chociaż doń młody hrabia przemawiał ciągle poufałym ty.

— „Idź tymczasem do salonu, ja zaraz tam przyjdę skoro się trochę przebiorę, by się pozbyć tego końskiego zapachu, który atakuje nerwy mojej matki... i dobrzeby też było, żebyś i ty przywoził z sobą inny ubiór, bo fatalnie śmierdzisz koniem... ale cóż robić? z wami demokratami, trzeba być ostrożnym i pobłażliwym bardzo; bo wy nie pozwalacie nawet, byśmy mieli słabe nerwy... A jak przyjdę do salonu, to ci wytłumaczę, co to jest szpicrut honorowy.“

Nasz bohater postawszy chwilę w przedpokoju w stanie zagapienia, którego się wstydził, które przeklinał i na które się gniewał, ale znosił przecie i szukał go z własnej woli, byle tylko mógł powiedzieć na zjazdach okolicznej szlachty, że był tam kiedyś w Krzewińcach u hrabiego Gniazdowskiego — wszedł wreszcie do salonu.

W salonie odbywała się właśnie z całą pańską uroczystością i z angielskim komfortem, ranna herbata. Przy wielkim stoliku, w wielkich poręczowych krzesłach siedziało cztery osób tylko, ale za to kręciło się parę kamerdynerów i kilku lokai.

Twarze osób siedzących były mniej więcej niewiele znaczące, na jeden typ salonowej przyzwoitości wymuszone, rzecby można gwałtownie, przez przyzwyczajenie do pewnych stereotypowych wyrazów, gestów i uśmiechów. Najznacześniejsze postawy na tym wymanierowanym obrazie całym, mieli pan hrabia Artur Gniazdowski, z wielką szeroką twarzą, codzien wygoloną najstaranniej, z wielką peruką, którą na przekor nowym zwyczajom, pudrował po staremu, z największym brzuchem dodającym mu niemało powagi, więcej nawet, niżeli spadający nań z piersi mały jakiś krzyżyk orderowy, który nigdy nie odstępował ubioru pana hrabiego, równie jak i owe dwa metalowe guziki na boku od fraka przeczepione, świadczące wszem w obec i każdemu z osobna, że tam mieści się klucz szambelański. Zresztą z twarzy jego nic nie poznasz, bądź dla tego, że w rzeczy samej nic tam nie było, bądź też, że hrabia Artur, niegdyś kawaler jakiejś ambasady, zachował sobie jako jedyny zarobek wyniesiony z tego zawodu, pewien uśmiech dyplomatyczny, którym traktował wszystkich równie hojnie jak tabaką z złotej tabakierki. Jedynym rysem więcej wydatnym na tej twarzy, było wydecie warg, równie dyplomatyczne, bo dwuznaczne; mogło bowiem zarówno być oznaką dumy, jakoteż gastronomicznych nawyków, które szambelan wyniósł z dyplomatycznej kariery swojej.

Pani szambelanowa była za to niezmiernie chuda, koścista, zasuszona i żółta gdyby mumia; rysem zaś charakterystycznym jej twarzy była surowość nieprześlądana, w której łączyły się pobożność nadzwyczajna, dumna powaga pańska i wieczne znudzenie, niczem nierozweselone, niczem nieprzerwane, odstrasające równych i niższych, dla wyższych jeno mające czasem blady i chłodny uśmiech. Pani hrabina była z księżnej urodzona.

Na twarzy panny Elżbiety, dwudziestoletniej hrabianki Gniazdowskiej, łączyły się najciekawiej oba typy rodzicielskie: uśmiech ojca, szyderstwem ożywiony, i powaga matki, zaostzona wewnętrznym gniewem na wszystkich i wszystko, który jak ów sęp prometeuszowy szarpał jej wnętrze codziennie starym i codziennie nowym bolem. Tym sępem było zwierciadło, które jej codziennie rana, odbijając jej ciemną twarz ospą poranną, dodawało dostateczną na dzień cały ilość złości, by nią wszystkim dała się we znaki.

Znudzenie wszystkich tych trzech twarzy, spotęgowane aż do wyrazu nieszczęścia i bólesci nigdy nieskończonej, było widome na czwartej twarzy, panny Genowefy, panny trzydziestoletniej, jakiejś dolekiej krewnej samego szambelana, która była najsmutniejszą w tym domu ofiarą: dumy obojętnej hrabiego, surowości pobożnej i gderającej hrabiny i złośliwości szyderczej panny Elżbiety, a musiała to wszystko znosić, bo nie miała biedaczka żadnego przytułku na bożej ziemi. Po naszych domach pańskich zdybać można niemało takich ubogich kuzynek, rezydentek nieszczęśliwych, nazywanych pięknie po francuzku „demoiselles de compagnie, a traktowanych nie wiem po jakiemu, bo jużci nie po polsku, gdy nie gościnnie. To też tylko francuzki język ma na nie wyraz: „souffre-douleur,“ a francuzka muza uworzyła typ dramatyczny na takie biedne stworzenia, znane nam pod przepolszczonem nazwiskiem kopciuszka. Obmawiają powszechnie wszyscy te biedne stworzenia, mówiąc z góry, że są złe, gadatliwe, obmowne i Bóg wie co jeszcze. Bywa to tak zapewne, ale nikt się nie zastanowi nad tem, ile codziennych cierpień szpilkowych przebyć musi taka biedna rezydentka, przez miłosierdzie niby trzymana, aż nareszcie wszystko, co tylko żyło w jednej biednej piersi, musi bolem przeżarte, żółcią przejezione, wyschnąć do szczytu. O, bo to miłosierdzie, które jej skapo daje, a z lichwą wymawia, za cel wszystkich kaprysów i złych humorów wybiera, wszystkich, najlichszych i nieustannych żąda usług, a nigdy je nie ceni należycie, ale zrzędzi i narzeka bez końca; to miłosierdzie jest okropne, upadające człowieka, zniżające go do zwierzęcia, okalające jego wszystkie członki ciała, i uczucia duszy, i myśli głowy, wiecznym łańcuchem niewoli. I zaprawdę! do grzechów śmiertelnych należałoby porachować jeszcze takie miłosierdzie fałszywe.

By już od razu skończyć z galerją portretów rodziny Gniazdowskich, dodam jeszcze w końcu portret młodego hrabiego, najtrudniejszy do zrobienia ze wszystkich. Bo darmo szukać na tej twarzy jakiegobądź wyrazu: co nie zniszczyło pańskie pstrokate wychowanie, to wyżarła wczesna rozpusta, zostawiwszy za sobą martwe i nie mówiące łożysko wszystkich walców i białych, za kulisami, przy

zielonym stoliku i na kawalerskich biesiadach odbytych. A co jeszcze mogło na niej pozostać z dawnych śladów urody, bo pan Alfred był najprzystojniejszy z całej rodziny, i z dawnych śladów młodości, miał dopiero lat dwadzieścia cztery, by może zasłonić ślady rozpustnego życia, pokryły wąsy, broda i długie włosy. Po tem wszystkim, jak wąż po zgliszczach i pustkach, przelatywał czasem tylko wyraz szyderczy, podobny do wyrazu na twarzy siostry, ale zimniejszy, bo mu nie dodawały tego zapału, jaki wrzał w dosyć pięknych oczach panny Elżbiety, wygaście, okularami zasłonięny miał bowiem oczy pan Alfred.

Do zaokrąglenia całego obrazu rodziny hrabiów Gniazdowskich, dodać trzeba że od roku już mieszkali na wsi, z niematem zadziwieniem okolicznej szlachty, przyzwyczajonej do tego, że od niepa miętnych czasów nie mieszkali na wsi; i wszyscy łamali sobie głowy nad rozwiązaniem tej dla nich, Bóg wie dla czego, zajmującej zagadki. Zagadka zaś cała była bardzo prostą i zwyczajną; hrabia Gniazdowski idąc za narowem i zwyczajem pewnej części panów naszych, tracił na próżną w stolicy wystawę więcej niż miał, i narobił mnóstwo długów, które teraz myślał zastąpić życiem na wsi, na pozor wystawnem, a w gruncie brudnem i skąpem. To zamiłowanie w zbytkach i wystawie, to trwonienie nieustanne na wszystkie kapryśne zachcenia, jestto wada okropnie rozgałęziona między pewną częścią panów naszych — jest to więcej jak wada. Pieniądze zapewne szanować nad miarę nie godzi się, ale ten pieniądz jest przecie jedynem i najważniejszym warunkiem największego dobra, jakie człowiek posiadać może — najdroższej niepodległości osobistej. Długi hrabiego Artura wypędziły go na wieś i spowodowały ten długi ustęp, do którego muszę jeszcze dodać koniecznie uwagę nad dziwną niesłusznością zdań ludzkich w osądzeniu jednej i tej samej zdrożności. Niech kto robi długi na życie zbytckowne, na szulerkę, na konie lub kochanki, i umknie tymczasem za granicę; krewni pogodzą się z kredytorami obedną ich, i dłużnik oczyszczony z długów kosztem cudzym, wraca nazad do ojczyzny i nikt mu niema za złe haniebnego bankructwa, a do wszystkich salonów przyjmowany będzie równie dobrze jak pierwej. Niechże inny najuczciwszy człowiek narobi długów, które zrobić musiał koniecznie z powodu choroby albo innego nieszczęścia, lub by utrzymać żonę i dzieci, jaki nań krzyk powstanie: oszust! lotr! wrzasną na niego, a że nie ma za co umykać za granicę, więc musi zostać w domu i do ostatniego grosza musi więzieniem odpokutować za długi, które i tak nagryzły go już niepomahału. Lecz zostawmy na boku te wszystkie uwagi nastęrczające się pomimowoli, bobym nie skończył tak prędko zaczętego obrazka i wprowadźmy raz naszego bohatera do salonu.

Na ukłon jego niski i potulny, ledwie się odkloniono. Hrabia Artur obdarzył go uśmiechem jak zwykle zimnym. Hrabina ledwie spojrziała na niego, jakby na sługę, jakby na rzecz jaką nieżywą. Hrabianka rzuciła nań wzrokiem złośliwym; zdawała się radować, że nowa pojawiła się ofiara, na której może doświadczyć bezkarnie szy-

derczego dowcipu swego. Jedyny wzrok czulszy, litośny prawie, wystrzelił przez chwilę z oczu nieszczęśliwej kuzynki.

— „Jak się ma pan Bilczyński?“ zagadał półgębkiem hrabia Artur.

— „Pan Bilczyński rano wstaje“ rzekła hrabina, rzucając nań wzrok pogardliwy „i pewnie konno“ dodała po chwili kręcąc nosem... „Genowefo! kaź zakadzić!“

— „Cóż tam słyhać nowego, panie Bilczyński? wycedził znowu pan hrabia, dodając sobie spory kawał szynki.

— „I zapewne pan Bilczyński był już u swojej pięknej panny Łopuchowskiej“ zapiszczała hrabianka, przyciskając z drwinkami i miną złośliwą nazwisko, które według zdania całej rodziny było bardzo śmieszne.

Nasz bohater był przyzwyczajony do takiego przyjęcia, które zawsze było jednakie, i choć w duszy czuł całą niegrzeczność, przecie jeździł przez głupią próżność do krzewinieckiego dworu; tym razem jednakże czuł się więcej rozgniewanym i zmieszanym niż zawsze; milczał więc, niemogąc znaleźć słów stosownych, by na takie odpowiedzieć przyjęcie.

— „Pan Bilczyński nie raczy odpowiedzieć?“ zagadł znowu po chwili pan hrabia, mierząc młodzieńca oczami obojętnymi.

Nie mogę tu ominąć uwagi, jaka mi się nieraz nastęrczała i na które nigdy sobie odpowiedzieć nie mogłem: że panowie uprzywilejowani herbem i majątkiem, do niższych od siebie podług swego mniemania przemawiają albo przez ty, jak naprzykład przemawiał hrabia Alfred, albo przez trzecią osobę, jak mówił do niego hrabia Artur. Jest to z ich strony śmieszny sposób lekceważenia drugich i pokazania swej urojonej wyższości. Przyzwyczajeni tak przemawiać do swoich podwładnych, do ekonomów, leśniczych i t. d., używają tego sposobu mówienia i do tych, którym niby chcą pokazać jaka między nimi różnica. A pochodzi to nie z przypadku, ale umyślnie, bo z równymi sobie, to jest z tymi, których się im podoba uważać za równych, rozmawiają przez pan. Nie wartoby tracić ani jednego słowa w tym przedmiocie, mało wagi mającym dla człowieka myślącego, który zapewne sam dla siebie nie powinien dbać o ten lub ów sposób mówienia, ani też powinien pchać się do towarzystwa, któremu się podoba takimi sposobami śmiesznymi odgraniczać od niego, dla tego że go mniej jaśnie wielmożna matka urodziła, lub że mu ojciec mniej albo wcale żadnego nie zostawił chłopca w spuściznie — ależ przecie dla samej ciekawości radbym doświadczyć, coby ów hrabia Alfred odpowiedział naszemu bohaterowi, gdyby mu ty na ty dopowiedział, albo hrabiemu Arturowi na jego: „jak się ma pan Bilczyński“ odpowiedział zagadniony: „jak się ma pan Gniazdowski“ Wówczas by się pokazało, czy pan Gniazdowski i jemu podobni nie uważaliby podobnego powiedzenia za najokropniejszą niegrzeczność, za nieprzyzwoitość do nieba o pomstę wołającą; jednakże przyzwoitem to być mniemają, gdy mówią do człowieka, którego talent lub nauka mogą nawet wyżej od nich stawić, a stawiają niżej jeno przypadek urodzenia, lub większy jeszcze przypadek złota. A przecież

godziłoby się pomyśleć nad tą śmiesznością, dziś już nieużywaną na całym bożym świecie, choćby dla tego tylko, aby się nie wystawić na odpowiedź równą zagadnieniu. Bo jeśli nasz bohater jest dość głupi, że takie obejście się z sobą przyjmuje i upoważnia pehaniem się do salonu, gdzie mu słusznie niegrzecznością odplacają jego cięłatkowatą uległość — ale dajmy na to, bo już ciż dzieją się cudowne na tym świecie rzeczy, że też pomiędzy potulnemi stworzeniami urodził się jaki zawadyjaka z rogatą duszą, któryby zagadnięty w ten sposób, księciu pana albo jaśnie hrabiemu odpowiedział przet ty lub przez trzecią osobę? Ileby to było krzyku, ile utyskiwania na brusuwatość tych gburowatych i Bóg wie jeszcze jakich uliczników! A więc moja rada, porzucić ten do dzisiejszych już czasów niestosowny sposób wyrażania się, tak dalece już wyśmiany i wygizdany, że już nim tylko na teatralnych deskach przemawiają do udanych ekonomów.

— „Przyjechałem pożegnać się“ odpowiedział nareszcie nasz biedny bohater, któremu mimo całej wzwyczajonej uległości nie mogło wyjść z głowy owo uderzenie szpicrutowe.

— „Powinnaś się tego była domyślić po romantycznym rumieńcu, rozlanym na twarzy pana Bilczyńskiego“ zagadła żywo hrabianka, która zapewne nie myślała nigdy o nim, ale którą gniewało przecie w głębi duszy, że on się kocha w jakiejś tam popównie. Rada onaby była widzieć go w sobie zakochanego, choćby dla tego, ażeby go sownie wydrwić; a nareszcie i dla tego może, by też dożyć choć raz w życiu tej niedoświadczonej rzadkości i widzieć u stóp swoich zakochanego na prawdę.

— „A gdzież to jedzie pan Bilczyński?“

— „Na jakiś kiermasz zapewne.“

— „Mój stryj powołuje mnie do siebie.“

— „Książd kanonik!“ zagadał grzeczniej nieco pan hrabia, który tylko przez wzgląd na to pokrewieństwo cierpiał u siebie pana Kazimierza. Gdyby nie ten stryj kanonik, dawnoby już mu drzwi pokazano w dworze krzewinieckim. Prawda że był to kanonik ruski tylko, ale zawsze kanonik.

— „Cóż na to powie piękna panna Łopuchowska?“

Zarumienił się pan Kazimierz i śmieiej niż zwykle spojrzawszy w oczy hrabianki, odpowiedział nie bez dodatku złośliwości:

— „Chętnie poczeka zapewne na mój powrót, który niedługo nastąpi, bo w jesieni nasz ślub.“

— „A to pan Bilczyński na serio zamyśla się żenić z naszą popówną?“ zagadła poważnie hrabina i westchnęła pobożnie „wszak ona ruskiego wyznania — Ale prawda, i pan Bilczyński rusin podobno?“

— „Ale fe mamó! jakże można nazywać pannę Łopuchowską popówną... ona co tak jest ocytana, tak sentymentalna — a tak miłosierna i tak dobra, jakby anioł... nieprawdaż panie Bilczyński?“

— „Że dobra jest, cheiej wierzyć kuzynko!“ przemówiła nieśmiałym głosem panna Genowefa.

— „A wiem moja duszko, że razem z sobą wdychałyście nad

polskimi romansami, nad Rynaldinim i podobnemi utworami literatury polskiej. Ale ja nie ciebie pytałam; jabyś chciała wiedzieć zdanie pana Bilczyńskiego, który zapewne najlepiej musiał poznać bogdanę swoją. Wszak tak panowie teraz nazywacie kochanki wasze?”

Już tego było zanadto dla naszego bohatera i mimo wolej czy oślej wytrwałości, jaką wraz zdruzgimi swego stanu ludźmi posiadał w znoszeniu pańskich impozycji, zaczerwieniał od złości, zadrżał cały i zdało mu się nawet, że w tej chwili zabolało go znowu uderzenie szpicrutowe, i chciał już żywo odpowiedzieć, gdy się nagle drzwi otworzyły i ze śmiechem oraz łoskotem wbiegł hrabia Alfred przebrany w inny tużurek, a zawsze z owym szpicrutem świecącym. I wzniosłszy swój szpicrut do góry, jakby go chciał pokazać całemu towarzystwu, śmiał się zawzięcie niby, chociaż w uśmiechu jego było mniej wesołości szczerzej, ale za to tem więcej złośliwości.

— „Wyobraź sobie „ma chère“ przemówił nareszcie do siostry, do której najchętniej się udawał, gdy szło o jaką złośliwość „że ten poczciwy nasz sąsiad nie wie, co to jest szpicrut honorowy?”

— „Czy być może?” odpowiedziała panna Elżbieta i oczy jej zaiskrzyły się szydersko.

Brat i siostra zrozumieli się od razu.

— „I jakkolwiek jest najlepszy i najspokojniejszy człowiek. omal się nie rozgniewał, gdy go uderzył tym szpicrutem po plecach.“

— „Po plecach? zapytała niby panna Elżbieta, a wyraz jej twarzy w tej chwili mógłby malarzowi służyć za typ megery. „Wszak to wyraźne pasowanie na rycerza honorowego!“

— „Ja to przyjąłem jako przypadek!... i spodziewam się..“ wyjęknął nasz bohater.

— „Piękny przypadek!... ja cię naumyślnie uderzyłem jako przyjaciela, któremu nie chciałem odmówić udziału w zaszczyście, jaki mnie się dostał.“

— „Chętnie przyjmuję żarty, jednakże...“

— „Ale mój poczciwy Bilczyńsiu, jeżeli mnie nie wierzysz, spytaj mojej siostry, spytaj mego ojca, czy to nie jest szpicrut honorowy? Niech papa mu to wytłumaczy, powiedz Izabelko, bo idzie mi o to, by nasz sąsiad nie mniemał...“

— „To pan Bilczyński nie wie co to jest szpicrut honorowy?“ przemówił hrabia Artur, wchodząc także w myśl godnego syna.

— „Mój brat dostał go rzeczywiście przeszłego roku jako nagrodę.... zaręczam pana Bilczyńskiego.“

— „Jest to w samej rzeczy oznaka honorowa!“ mruknęła nawet sama hrabina, niewstydzając się należeć do tej niegodnej mistyfikacji.

Bo też tylko dowcipną mistyfikacją miała być cała ta scena, na którą wolę rzucić zasłonę. I jak zaczęli biednemu Kazimierzowi tłumaczyć i zaręczać, a wszystko to niby serio, niby po przyjacielsku, z owym przyciskiem szyderskim, który jest najdzielniejszą bronią złośliwego dowcipu, przekonali go prawie, że ten szpicrut zdobyty na wyścigach rącznością koni i zgrabnością żokeja, był oznaką

honorową, coś niby naksztalt orderu — a więc i uderzenie nim, rodzajem odznaczenia. Nasz bohater nie był zapewne tak głupi, by się nie domyślał w tych wszystkich grzecznych tłumaczeniach fałszu i szyderstwa; ale już jego położenie w salonie krzewinieckim było samo przez się tak fałszywe, iż ani umiał, ani śmiał znaleźć się tam inaczej, jak tylko przyjmując za dobre i za prawdę cały ten obrzydliwy żart jasnie wielmożnych z głupiego szlachetki. Była to konieczna wynikłość zdybująca tym lub innym sposobem wszystkich, którzy podobnie bohaterowi naszemu pchają się do towarzystwa nie swego, do towarzystwa, które przypuszczając takie figury (jak się o nich wyrażają) do swoich salonów, mści się na nich podobnemi niby mistyfikacjami.

Są to u nich dowody dowcipu, a które są tylko dowodem szczególnej złośliwości charakteru, tem haniebniejszej, że się im udaje najczęściej bezkarnie... Nie jest to przesadą, ale najrzeczywistszą prawdą, iż często w salonie pozwalają sobie stroić żarty i wydrwiwać rozmaitemi sposobami takich parweniuszów, jak się nazywają dla salonów, wszyscy do nich ściśle nienależący. Mianowicie na wsi, może dla tego, ażeby jednostajne nudy zaprzętnąć czem zabawnem, podobne drwiny zdarzają się najczęściej. W niejednym zgromadzeniu salonowem na wsi można zdybać takiego poczciwego biedaka, jakiegoś dzierżawcę, ubogiego szlachcica, którego jeśli nie zdybie uderzenie szpicrutowe, to go zdybują czulsze bo codzienne uderzenia salonowego dowcipu panów, radujących się najmocniej, gdy się im uda podobna mistyfikacja. Nie można się im dziwić, kiedy mimo nieraz widocznych żartów, mimo jasnych drwin, znajdują się ludzie dość słabego, dość nijakiego charakteru, że się pchają koniecznie do salonów, gdzie im samym nie miło, nie swojsko i gdzie wiecznym celem urągowiska są ich poruszenia mniej zgrabne, ruchy prostackie, wyrażenia gburowate, przycisk mowy nie salonowy i całe ułożenie parafiańskie. A wszystko to dla tego, by można przed sąsiadem lub sąsiadką powiedzieć, że się było na wieczorze, na herbacie lub na obiedzie w takim salonie pańskim.

I nasz pan Kazimierz odurzony zupełnie, bo nie szczędzono mu grzeczności fałszywych, pożegnawszy najczulej towarzystwo krzewinieckie, wyszedł. A gdy wyszedł, powtał śmiech w salonie.

— „C'est unique!... La grosse lutte!... C'est excellent!“ zawołano.

— „Ale popówna mu to wytłumaczy“ ozwała się hrabina, która jedna z całego towarzystwa najmniej należała do całej mistyfikacji i zanadto pogardzała takie wszystkie szlachetki, by nawet chciała drwić z nich.

— „Eh bien! c'òz z tego?“

— „Un homme de rien!...“

— „Un pauvre hère!“ zakrzyczano ją, a najmocniej śmiała się panna Elżbieta, która doskonale zrozumiała powody tego uderzenia szpicrutowego. Ona wiedziała najlepiej, że to nie był przypadek.

Chata księdza ruskiego, do której teraz przeniesiemy czytelników naszych, była jak za zwyczaj prawdziwą chatą, różniącą się

z powierzchowności od drugich chat wiejskich murowanym kominem, i porządniejszem nieco ogrodzeniem, przez które prowadziła na dziedziniec brama z daszkiem słomianym tak wielka, żeby zdaje się przez nią umknąć mogła i chata i mały sadek za nią, i owa walcząca się w rogu stajenka, i ten w drugim rogu o płot oparty karmnik, wiecznem mruzeniem karmionego w nim wieprzaka głośny, a nawet i tych parę nieolbrzymich stogów zboża, sąsiadujących z przyczepioną i przylepioną do stajenki oborą, z kąd znowu rozchodził się częsty ryk dwóch skromnych krówek, tęsknem i pożądlivem spoglądających okiem ku nielitościwie odgrodzonym, a srodze kuszącym stożkom siana i zboża. Wszedłszy zaś przez bramę, nigdy niezawartą zupełnie, bo w niej, pokąd pamięć ludzka zasięga, brakowało zawsze kilku desek, dwa główne przedmioty uderzały oczy na nierównym, ale za to w równej połowie gnojem i murawą pokrytym dziedzińcu. Była to najprzód niedaleko furtki do sadu prowadzącej odwieczna kałuża, równie dawna jak cała zagroda, po której głośno i wesoło trzepotały się i poily wszystkie pokolenia księżych kaczek i gęsi, a czasem w skwar słoneczny filozoficznie chłodziło się parę gnuśnych prosiaków. Do obrazu tej części zagrody dodać potrzeba, że po za kałużą sterczały odbijające się w jej brudnem zwierciadle dwie stare grusze, stojące na granicy i straży księżego sadu, i wystająca z po za nich pokaleczona przez czas, dranicą pokryta dzwonnica, której częste a jęklive głosy rozchodziły się po całej wsi zwykłą wieścią smutku, wesela i nabożeństwa. Drugim przedmiotem zawsze zdybywanym na tym księżym dziedzińcu było kilka kłód sękowatych drzewa, niedaleko karmnika złożonych, które daremnie porąbać się kuszono, i które już tak od mnogich lat pomnażającemi się co roku trzaskami otoczone pozostały nieruchome, ku wielkiej pociesze gadatliwych kurek i najgadatliwszego między nimi koguta z wielkim czubem, zasiadających tamże na dzienny odpoczynek i na nocne leże. Chata księża o czterech izbach skromnych, dla większej różnicy od swych sąsiadek, pokryta była słomą wprawdzie, ale w glinie maczanej, co dachowi nadawało porządniejszą powierzchowność, i miała przylepiony u wchodu ganeczek dranicą pobity, w którym w dzień czy w nocy spoczywał kundel pstrokaty, częstem szczekaniem i częstszem jeszcze wyciem dowodzący swej niepospolitej czujności. Zresztą by dłuższym nie nudzić opisem, dodam jeno do obrazu tego chaty-dworka, że przypominał zupełnie owe stare dworki szlacheckie, biedniejsze nieco. Też same ściany lepione, i tenże sam piec polewany, jak w owym obrazku powracającego do rodzinnej chaty naszego poety Karpińskiego. I nigdzie może jak w chacie starego księdza ruskiego, nie zdybiesz tak wyraźnie odbitego typu swojskiego, typu prawdziwie rodzinnego, typu polskiego. Polskie obyczaje, owe obyczaje dawne, obyczaje skromne, przeszłości naszej, znajdziemy żywcem w dworku księdza ruskiego. W jego dworku znajdziesz staroświecką gościnność, która cię znajomego przyjmie uczciwie i uraczy czem Bóg dał, a niezajomego zaprosi szczerze, i podejmie gościnnie jakby brata, i postawi przed jednym i drugim wszystkie nasze stare potrawy, zaczawszy od pocziwego

bigosu a skończywszy na smacznym schabie ze śliwkami; i poda nasze rodzinne trunki, bo i wódeczkę anyżkiem woniejącą, i miodek pieprzny, i piwo grzane. Ksiądz ruski inaczej nie zagada prócz mszy jeno po polsku; i czy do towarzysza księdza, czy do żony, córki, syna przemawia, nie użyje nigdy języka ruskiego. Ba nawet, co mi każdy przyzna, widziałem nieraz, jak poczciwy wieśniak przyszedłszy do swego księdza na poradę, skargę, lub w innej potrzebie, łamał swoją ruszczyznę na polską mowę, by był księdzu zrozumialszym. I więcej powiem, a także z doświadczenia, wszak ów księdzu każdemu nieodstępny towarzysz, posługacz kościelny, ów diak, który przeciw wychodzi zwykle z prostego chłopca, wyuczy się pomalą przy księdzu języka polskiego tak doskonale, że omal całkiem swojego rodzinnego narzecza zapomina. I nie dosyć, że ksiądz ruski mówi zawsze po polsku jeno i obyczaje uczciwe nasze zachowuje święcie, ale pożyj tylko z nim dłużej a przekonasz się, że wszystkie jego wyobrażenia najwewnętrzniejsze, najprawdziwsze, te co w nieruchome już kształty odwieczne wylane są w duszy człowieka, nie te zaś, co wiatrem Bóg wie zkad w jednej chwili napędzone, druga odwieje chwila; wszystkie te wyobrażenia muszą być zaiste nasze własne, kiedy je sto razy na godzinę usłyszysz oddane naszymi przysłowiami wszystkimi, których zbiór najkompletniejszy usłyszysz z ust księdza ruskiego. Literaturę polską chętnie poznaje, a jeżeli mu się jaka książka dostanie w ręce, i czytałby jeszcze chętniej, gdyby mu starczyło z jego nader szczupłych dochodów na kupienie książki, lub gdyby ci, co te książki mają po zamożniejszych dworach, zachodzili częściej z mową, z myślą, z książką i zażyłością pod skromną strzechę poczciwego i uboższego księdza. Niechby jeno taki dwór właśnie dla tego, że ma się za coś wyższego, zrobił kilka kroków naprzód ze swej wysokości urojonej ku skromnemu dworkowi księżemu, a kroków szczerych, otwartych, przez się samego zrobionych, któreby nie zfałszowała podła zgraja zauszników pańskich, a wybiegłoby z onego dworku skromnego, takie poczciwe i serdeczne zaufanie, któreby się pałacowi sownie odwdzięczyć mogło. Ale trudno żądać, by to zaufanie przyszło samopas, bo człowiek, choćby najlepszy, ma wady człowiecze, a człowiek biedny, kłopotami i nieraz nędzą codzienną znękanym, jeżeli mu jeszcze duma możniejszego dopiecie, czyliż łatwo zaprze się natury ludzkiej? Ale głupoty właściwością, jest ślepotą wieczną!... nie ślepotą oczów, co nie widzą, ale ślepotą oczów, które by nie widziały odwracają się pogardliwie!... Jest to pycha! owa pycha szatanów, którym gdy błyskawice nie wyjaśnić nie zdołały przyszedł grom i w proch rozsypał!... Owoż w dworku księdza ruskiego w Krzewińcach, do którego teraz dążymy, odbywała się w tej chwili scena mająca wielką styczność z tem, co dopiero powiedzieliśmy; scena traiczna na prawdę, a komiczna na pozór.

Na środku izby głównej, wielkiej, o poprzecznych belkach na powale, izby tak skromnie przystrojonej, że największą jej ozdobą był zakopcony stary jakiś obraz święty w kącie, a przed nim stół dębowy, przetartym kilimkiem pokryty, dla tego zdaje się, by był

godny dźwigać pobrudzoną książkę do nabożeństwa i niegdyś w szczęśliwszych czasach posrebrzany krucyfiks tombakowy; na środku więc tej izby stał sam ksiądz. Był to wysoki, chudy, kościsty mężczyzna, silnej jeszcze i wiekiem niepochylonej budowy ciała, a czerstwej twarzy i dobitnych przez ciąg życia i cierpienie zaostrzonych rysów, które dobroć serca słodziła czasem uśmiechem koło ust, skurezonych czy przez długie bolu doświadczenie, czy przez napływ chwilowej cierpkości. A przecie starym być musi, miarkując po jego siwych włosach, niedbale wiszących w koło głowy, na której dawna tonzura w szerokiej znikła łysinie. Cały ten typ twarzy był piękny, szlachetny, a nawet patriarchalny; lecz nie wyrazem dawnej patriarchalnej swobody, ale raczej odbiciem wszystkich tych całożyciowych cierpien dzisiejszego ojca rodziny.

We drzwiach drugiej izby, z której wychodziła woń kwiatów i wyglądały barwy onych rozmaite, stała w postawie na poły ciekawej, na poły zastraszonej, młoda dziewczyna z twarzą tak piękną i dorodną, że jej rysy regularne, w owal zaokrąglone, linie greckie nieco przypominające, a ożywione okiem pełnym, ciemnym ale jasno łyskającym, zdałyby się na jaki antyk prawdziwie grecki. Mianowicie teraz, gdy wracając z ogródka, głowę strojną w włosy ciemne, mające wraz z oczami połysk jakiś jasnawy, osłoniła białą chustką, pofałdowaną mimowolnie z tym wdziękiem, jaki młoda i ładna dziewczyna nadaje wszystkiemu, co ją otacza lub ją dotyka. To była Marijka, wnuczka po córce starego księdza z Krzewiniec, a córka po księdzu także ruskim, który już nie żył. Sierotą była po ojcu i matce; a to sieroctwo było na jej twarzy wypisane, tym rysem cierpienia wewnętrznego, który uszlachetnia twarz, bo ze szlachetnego uczucia pochodzi. To też Marijka, choć ubrana w kilkunastograjcarowy perkalik, u wędrującego Węgra kupiony, może nie dygnęłaby w salonie tak po mistrzowsku, jak to umiała panna hrabianka Elżbieta w salonie krzewinieckim, nie gwarzyłaby po francusku, ani też waliła po mejerowsku w klawisze fortepianowe; gdyby atoli stała tylko z tym urokiem świeżości i piękności na twarzy, a tym większym jeszcze wdziękiem, co się wyższym czucia i myśli promieniem przedzierał z duszy i oczów do twarzy, z tym rumieńcem prawdziwej, nieskażonej, dziewiczej wstydlivosti, którą darmo w niektórych salonach małpują rużem i sztucznem naśladowaniem natury, przez nawyknięciem nabytem; gdyby tak stała w jakimkolwiek salonie ludzi, co nie mają przesądów miasto głów, a dumi miasto serca — wydałaby się prawdziwą królową, bo miłości, poświęceń i uwielbienia godną. Bo jeżeli piękną była twarz, piękniejsze było jej serce poczciwe, otwarte na wszystkie uczucia uszlachetniające. A w tej pięknej główce roily się także, nie chorowite, spazmatyczne myśli marzycielek, do teatralnych dekoracji podobne, myśli jakieś nieswojskie, bo po większej części z romansów cudzych czerpane, ale myśli zdrowe, czerstwe, jak nasze powietrze wiejskie; myśli pożyteczne, bo nie z góry z mgły czerpane, ale z ziemi, z ziemi naszej, ze środka tej roli, na której się urodziła, i tych ludzi przy tej roli pracujących, między którymi wzrosła. Była ona dziewczyną z ludu,

ze wszystkimi cnotami jakie ten lud ma rzeczywiście i jakie mieć może przy lepszym wychowaniu. Jej wychowanie było doskonałe, bo się niem od dzieciństwa zajmował ojciec. Ojciec zaś był człowiekiem, rzecby można, wyjątkowym; był to poeta duszą, uczony głową, w nieznośną prozę głupiego życia przez los wepchnięty. Co czuł lepszego, co myślał wyższego, to tylko w duszę córki rzucał spiesznie, bo czuł, że niedługa jego pielgrzymka po tej ziemi. Śmierć zony ubóstwianej przez niego, i połączone z nią odkrycie okropnej i smutnej niewiary, zniszczyły do reszty jego siły, znękanę już i tak walką z potrzebami życia i z tą złośliwą pogardą, która go codziennie szpilkowemi kłuła cierpieniami. Umarł niepoznany przez nikogo, nie żalowany przez nikogo, prócz przez chłopków, dla których miał ewangeliczną litość i ewangeliczne postępowanie. Był on księdzem w drugiej wiosce hrabiego Gniazdowskiego, który drwił z roztrzepanego i uczonego popa, chociaż romansiku się nie wstydził ze śliczną jego żoną. Lecz gdy go romansik znudził, a wyrzuty dawnej kochanki obrażały, napisał do niej na cieniutkim i wniejącem papierze list, z taką bezwstydną napisany, żeby się go powstydzili najburowatszy ulicznik. A że miał kilka butelek szampana w głowie, i kilku przyjaciół bezgłowych wkoło siebie, więc oddał ten list poufnemu służącemu z tym dodatkiem, może nawet nieprzypadkowym, „by go oddał samej popadi lub popowi.“ Służalec podobny panu, oddał ten list z szatańskim uśmiechem księdzu. I zabił jedno i drugie zacny hrabia, a Marijkę osierocił. Biedna sierota miała już wówczas lat trzynaście i dobrze rozpoczęte przez ojca wychowanie dokończyły książki, których zbiór niewielki ale dobrze dobrany odziedziczyła po ojcu. Pamięć ojca i jego nauk pozostała dla niej świętością, którą jeszcze w jej wyobrażeniu otaczała jakaś tajemnicza zasłona tej dla niej niezupełnie zrozumianej katastrofy ostatecznej, w skutek której oboje rodzice w jednym roku pomarli. Tyle tylko o tem wiedziała, że hrabia Gniazdowski należał do tej całej smutnej tajemnicy. Mimowolnie więc w środku jej innych uczuć słodkich ukrywało się uczucie gorzkie żalu, instynktowego raczej niżeli wyrozumowanego, do hrabiego Gniazdowskiego, a przez niego i do całej tej rodziny dumnej i nieprzystępnej. W koło tego uczucia gorzkiego zgromadzały się pomimowoli wszystkie, jakie tylko kiedykolwiek słyszała czy od matki, czy od krewnych i odwiedzających dziadka księży okolicznych zarzuty panom czynione. I pomału wyrabiało się w głębi jej duszy uczucie cierpkie, rozszerzające się od hrabiego Gniazdowskiego na wszystkich innych członków tego stanu, od których i sama już nieraz w potocznych życia sprawach doznała niemało pogardy i lekceważenia. Wszakże nawet w kościele, w tym domu Boga, przed którym wszystkie stany jak i wszyscy ludzie równemi być powinny, nieraz dosłyszała, jak w hrabiowskiej ławce nibyto cicho ale głośno dosyć szeptano sobie różne drwiny z popa i popówny, z jej zamiłowania znanego w literaturze, z jej ubioru, chodu, giestów, a nawet z jej pobożności, której sędzią jeno Bogu być wolno, i z jej nazwiska wymawianego z półgłośno szyderczym przyciskiem. A prócz tego jakimż to godbarzono ją ukłonami, jakie

rzucano spojrzania złośliwe i pogardliwe?.. I Bóg wie dla czego. Bo jużci rozumiała to biedaczka dobrze, że niczem zasłużyć nie mogła na taki sposób obchodzenia się; a miała tyle rozsądku i uczucia, by ocenić należycie swoje postępowanie nienaganne, i czyste swe chęci, i porównać one z całym postępowaniem rodziny Gniazdowskich względem wszystkich podwładnych, których krzywdzono bezkarnie i wysmiewano niby dowcipnie, mianowicie zaś względem wieśniaków, których po dawnemu obdzierano, bito i obciążano zbytnią robotą gwoili wszelkim widzimisiom. Marijka kochała lud, była dlań siostrą i czuła wraz z nim wszystkie jego krzywdy. I jako dziewczyna ludu miała i jego usposobienie niektóre, konieczne, nieodłączne od tego stanowiska pokrzywdzonego. Tem usposobieniem była pochopność do nienawidzenia wyższych, do oddawania im pogardy za pogardę. Wprawdzie dla umysłu tak wzniosłego, jak był umysł Marijki, myśl zemsty nie była łatwą, ale zato gdyby za danym popędem raz się w niej rozbudziła, mogłaby ją zupełnie owładnąć.

Czytając, a rozumując nad czytanem, coraz więcej zbierało się w jej duszy tej goryczy. Bo ją wszędzie oburzała ta szczególna niesłuszność, obejmująca ten stan, z którego wyszła. A jako niewiasta, mimo całego wykształcenia, więcej uczuła jak rozumować zdolna, nie zawsze umiała odróżnić szczegółowe zło od zasad ogólnych. Nieraz więc za zło pojedyncze potępiała w myśli zasady ogólne, i tym sposobem coraz więcej naginała się do tej przesądnej nienawiści. Miłość jej szczerą do naszego bohatera zmiękczyła nieco jej za ostro już odcieniowane zdania; bo kochając szczerze pana Kazimierza, szlachcica przecie z rodu, musiała mimowolnie pobłażać nieco całej szlachcie. Miłość jej dla Kazimierza była szczególną w swoim rodzaju; ona go kochała z zapalem prawdziwej kochanki, ale razem i z pewną powagą, jak gdyby matka syna. Bo mimowolnie czuła swoją nad nim wyższość umysłową i chciałaby onej użyć, by go preobrazić, przekształcić. Onaby go w swoich marzeniach rada oczyścić z brudu wiekowym pyłem zapruszonych przesądów.

Znając jej usposobienie, łatwo pojąć, jakim okiem widziała Marijka te choć nieczęste, ale wedle niej niegodne kochanka nadskakiwanie rodzinie Gniazdowskich, i gdyby nie mimowolna, niewieście właściwa bojaźń stracenia kochanka, którego więcej kochała, niż sama się przyznać chciała, byłaby dawno już mu podała za konieczny warunek dostania jej ręki, wyrzeczenie się wszelkich stosunków z dumnym i nienawistnym rodem Gniazdowskich. Warunek ten był w jej duszy niecofniomy, ale wahała się przez słabość niewiasty i kochanki, wyrazić go raz stanowczo.

W tej chwili weszła właśnie Marijka z sadu do swojego pokoju, i słysząc żywą rozmowę w izbie pierwszej, chciała wejść do niej; lecz przy pierwszych zaraz słowach stanęła jak wryta i niewidziana od dziadka i tego, z którym stary ksiądz rozmawiał, słuchała z uwagą i nateżeniem. Przy wejściu już do pokoju dziwny wyraz jakiś odbijał się na jej pięknej twarzy. Był to wyraz oburzenia, gniewu i dumy wyższej, szlachetniejszej, który strzelając z oczów

błyskających, rozpromieniał jej twarz i postawę całą jakąś wyższością i powagą, godną, żebym się tak wyraził, obszerniejszej sceny i większej widowni.

W czasie rozmowy wyraz ten wzrastał się, odcieniowywał się coraz wyraźniej, olbrzymiał i rósł w jakieś wielkie niezłomne postanowienie.

Naprzeciw księdza stała postać, juźci ludzka, ale nadzwyczaj dziwna. Stanowiła ona część komiczną tej sceny i tego obrazu. Chude to było, nędzne, blade, kośćmi wychudzonemi sterczące stworzenie, z twarzą, na której były zmarszczki wieku, a była i gładkość bez włosa, jakby u dzieciucha. Głowa była już łysawa i siwawa, a w oczach za to wyraz szczególnego dzieciństwa umysłowego, któremu wtórował głos cieniutki, śpiewający, nieco nosowy a nieco piśkliwy, wychodzący z chudych i wklęsniętych piersi. Całą tę postać anormalną, chorowitą i niewykończoną, zdaje się przez przyrodę rozpoczętą, a zostawioną nagle w chaotycznym stanie jakiegoś węzowego wykrzywienia. Obie nogi były dwakroć do siebie i od siebie zgięte. Całą tę postać oblekła suknia niby z chłopska, niby z szlachecka, nito surdut, nito kapota, ale za to długa po podłogę prawie spadająca, a tak szeroka, jakby ją biedny niedorostek pożyczyl od jakiego bajecznego olbrzyma. I snąć się kochał w takich niestosownościach, trzymał bowiem w ręce żylastej, długiej, spory kawał nie kija, ale całe drewno prawie. Do całości obrazu dodać trzeba jeszcze nadzwyczajną ruchliwość tej postaci, dziwnie niestosowną do jego schorowanej i nędznej osoby. Był to diak, Jurko i jako durny znany w okolicy, wyśmiewany nieraz, ale lubiony powszechnie za swoją usłużność szczególną, co jednakże nie wykluczało zupełnie pewnego rodzaju bojaźliwego szacunku, jaki miano dla niego z powodu zawziętego charakteru Jurko bowiem był przyjacielem lub nieprzyjacielem aż do grobowej deski.

— „Aj dobrodzieju! dobrodzieju!“ zapiszczał diak Jurko, „szkoda wielka, szkoda!“

— „Cóż takiego?“ zapytał ksiądz nie bez uśmiechu jednakże, znał bowiem przesadne usposobienie Jurka...

— „Dobrodziej się śmieje ze mnie?... zapewne, ze starego się wszyscy śmieją.“

— „Nie, mój pocziwy Jurku!“ odrzekł z przyjaznym uśmiechem ksiądz, który mimowolnie lubił Jurka i miał słabość do niego.

I cóż dziwnego; wszak żyli z sobą przez lat dwadzieścia i znali się, o znali się doskonale! Diak w domu księdza ruskiego, jest częścią konieczną tego domu, niejako członkiem rodziny; jest on jego duchem usłużnym w cerkwi i domu, przy ołtarzu i przy roli, przy nabożeństwie i w gospodarstwie.

— „Powiedzże raz co takiego?..“

— „Aj dobrodzieju! szkoda jej; taka krasneńka, taka biłeńka!“

— „Kto taki?“ zapytał żywo ksiądz nieco przestraszony.

— „A jaka potulna, jaka dobra...“

— „Kto?... cóż się stało?..“

— „Nie żyje już!..!“<http://rcin.org.pl>

— „Na rany Boga! dokończ!” krzyknął ksiądz nie żartem przełknięty.

— „Nie strachajcie się dobrodzieju!...“ przemówił diak z pocieszną powagą. „Pan Bih dał: pan Bih wziął.“

— „Jurku zlituj się! dokończ!...“

— „Owieczka... ta owieczka dobrodzieju, ot ta owieczka najpiękniejsza, co nasza pannuncia sama karmiła...“

— „Cóż się jej stało?“

— „Charty pańskie rozdarły...“

— „To już pewnie ją pasiecznik wypuścił z pasieki, a mówiłem mu, by trzymał ją w zagrodzie, bo te charty dziedzica...“

— „To czorty nie charty?...“

— „No cóż robić, hrabia przecie zapłaci szkodę.“

— „Tak jak zapłacił owe dwa barany.“

— „Bo nie mogliśmy się dowiedzieć, kto szkodę zrobił?“

— „Te same charty co dzisiaj... ja sam widziałem.“

— „Jeżeli widziałeś Jurku, to się pójdziesz upominać, skłonisz się pięknie odemnie i poprosisz...“

— „Jurko nie głupi, Jurko ma rozum: Jurko się zaraz upominał i dostał po grzbiecie paliczką.“

— „Możesz się nieprzezwoicie upominać, jużci tego pan hrabia czy tam panicz nie zrobił umyślnie?“

— „Otoż właśnie dobrodzieju! że umyślnie, z szelmowskiej pustoty...“

— „Z pustoty?...“

— „Ale to nie z tej pustoty, co to na żarty, ale z tej pustoty, ażeby człowiekowi krzywdę zrobić na nocie i na honorze.“

— „Bóg wie, co pleciesz Jurku!“

— „Jurko nie plecie., Jurko wie co mówi... Jurko umyślnie zasiadał od kilku dni w pasiece, bo zrozumiał paniczowskie praktyki.“

Ksiądz wpatrzył zadziwione oczy w Jurka; Maryjka słuchając pobladła; a Jurko tymczasem kręcąc się to na jednej to na drugiej nodze, rozповідаł dalej. I rozpowiedział swoim zwyczajem, długo i rozwlekle: jako uważał, że młody hrabia ze starą babą pasiecznika, z Dmytrychą, jakieś miał zmowy i konszachty. A że Jurko nie cierpiał i nienawidził młodego Alfreda i całą jego rodzinę, więc ciągle szpiegował i podsłuchiwał, póki aż nie wywiedział się wszystkiego.

— „Owoż dobrodzieju, toż młody graf do naszej panienki zechodził, i nuż Dmytrychę namawiać; a że to baba, co już dawno Jurko mówił, że jeździ w nocy na łopacie, wzięła rubla i dziś do dnia rozchorowała się w chacie, starego do panienki wysłała, wiedząc, że panienka zaraz pobiegnie do niej z radą, z lekarstwem. Otoż być dobrym dla czarownicy... a nasza panienka dobra jak anioł, na to nie zważa... a staremu baba jeszcze powiedziała, by wstąpił do kumy Orpyny, czarownicy także, bo wiedziała, że stary tam zasiędzie przy gawędzie i gorzałce... a sama czekała... Ale Jurko nie głupi; już siedział na drzewie. Panienka jak przyszła, baba w płacz

niby bardzo rozboleła na kolki; a jak tylko panienka weszła do chaty, szmyrk młody graf z pasieki do chaty, a stara niby tak wyszła tylko i wybiegła... chatę zaparła, a sama zyrk, zyrk na około... Ale choć czarownica potrójna, Jurka niezobaczyła. Aż tu tymczasem stary Dmytro, jakoś czy kumy czy wódki nie zastał, pokazał się na pagórku, tam od mogiły sąsiedzkiej, i miedzą zbliżył się do pasieki. Baba jak go ujrzała, do głowy po czartowski rozum, i prędko sama wypuściła owieczkę, a charty panicza, co leżały spokojnie, poszczuła hejże! hejże!.... A żeby też babę po śmierci tak diabli szczuli hejże! hejże... I stanęła baba, i wzięła się pod boki, i śmiała się do rozpuku...“

— „Na miłość Boga, dokończ Jurko!“ przerwał biedny staruszek zastraszony. „Po cóż zostałeś na drzewie?“

— „No dobrodzieju, ja siedziałem na jabłoni i sam nie wiedziałem, co tu robić, czy owieczki ratować, czy wejść do chaty. Ale czarownica dobrze wiedziała, co robi; bo Dmytro jak zobaczył charty i owieczkę, zaczął biegać i krzyczeć... On sobie, baba sobie w krzyk. Ale przecie ocknąłem się i zeskoczyłem...“

W tej chwili zbliżyła się do dziadka blada jakby posąg marmurowy Marijka, i porwała go za rękę i ucałowała ją serdecznie, a łez parę stoczyło się z jej oczów, i łez parę zajaśniało w oczach drżącego od przerażenia staruszka.

— „Przestań Jurku! ja resztę sama dopowiem dziadkowi.“

— „To pannuńcia nas słuchała; powiedzże dalej pannuńciu.“

Biedna Marijka, blada przed chwilą jak marmur, spłoneła nie wstydem, ale gniewem. A stary ksiądz przystąpił do diaka i głosem rozczulonym przemówił do niego:

— „Zostaw nas, pocziwy, kochany Jurku!... Oby ci Bóg najwyższy nagroził.“ I ucałował stary ksiądz pocziwego diaka w twarz i czoło, aż się diak rozplakał jak dziecko. Bo ci ludzie, choć to pop i diak, mieli serca, dobre i pocziwe serca. A gdy odszedł, cichym i drżącym głosem przemówił staruszek do wnuczki:

— „Opowiadaj teraz wnuczko droga!“

— „Czy warto opowiadać, mój dziadku drogi!... i czy jest co nowego w tem, że taki panicz dumny i zarozumiały, który nas ma za nic, który nami pogardza, jakby istotami niższego rzędu; u którego pop i popadia i popówna są niby drwinkowe przewzania, że taki zepsuty człowiek rzucił okiem na mnie, i mniemał, że dosyć będzie zdradą zwabić mnie do odludnej chaty i wyznać mi słodkiemi słowy, w których mimowolnie odzywało się sztyrzenie całego ich życia właściwe — wyznać mi miłość, bym uwierzyła.“

— „I śmiał ci ją wyznać?..“

— „Wyznał mi ją, i drwi z mojej odpowiedzi, i wysmiał tę moją, jak ją nazwał, wieśniaczą prostotę.“

— „To szkaradnie!“ krzyknął stary, na którego policzek wystąpił chorowity rumieniec wewnętrzznego oburzenia.

— „I gdym mu mówiła, że kocham Kazimierza, zaśmiał się jeszcze mocniej... tego durnego szlachetkę, tego golca... który się tam pcha do naszego salonu; co ci z niego przyjdzie, będziesz całe życie,

biedę z nim klepać... a zemną mogłabyś być szczęśliwą, używać wielkich rokoszy, mieszkać w mieście, nie w tej śmierdzącej wiosce i opływać we wszystkie dostatki, jakie pieniądz tylko dać jest w stanie.“

— „I tyś mu nic na to?...“

— „O ja mu powiedziałam słowa, jakie się już dawno w mem sercu zbierały, jak gdybym przemawiała w imieniu tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy cierpią, lecz nic powiedzieć nie śmia; i wyrzuciłam z łona mego całą pogardę, jaką mam dla tej rodziny zepsutej, zgangrenowanej rozpustą... i powiedziałam mu wszystko... ja mówiłam do niego słowy nie kobiety, ale mężczyzny... On śmiał się, szydził, przedrwiwał!... Mniejsza o to!... Aż gdy mu powiedziałam, że kocham tylko Kazimierza... że tylko jego żoną będę...“

— „Jużci nie moja będziesz zapewne“ zawołał na to z większem jeszcze szyderstwem... „Możesz być przez to żoną jego, a moja kochanka...“

— „Drżyj“ mówiłam do niego „bym nie powiedziała tego Kazimierzowi, któryby się srodze zemścił za mnie.“ „Te słowa zmieniły jego szyderstwo w gniew; i śmiejąc się niby jeszcze, ale z oczami łyskającemi złością, odrzekł mi:

— „A więc, by cię przekonać, jak dbam o tego twego pose-sora, godnego takiej gąski głupiej jaką jesteś, daję ci słowo, że przy pierwszym zdybaniu tym oto szpicrutem potraktuję grzbiet jego.“

— „I dotrzymał słowa!“ zawołał Kazimierz, który tą samą drogą wszedł niepostrzeżony przez pokój Marijki i od chwili już był świadkiem tej sceny.

— „Dotrzymał!“ zawołałi razem starzec i dziewczyna.

— „Dotrzymał i uderzył mnie szpicrutem, i mnie głupcowi wytłumaczył i przekonał prawie, że to uderzenie szpicrutem honorowym było zaszczytne. Ale teraz na mnie kolej, mój ty młody hrabio!..“

— „Uderzył cię mój Kazimierzu!... moja to wina... nie po-winnam była unosić się gniewem... szyderstwo po-winnam była szyderstwem odplącić...“

— „Moja to wina, kochana Marijko!... i wina to nas wszystkich, którzy dajemy się ułudzać szychem. Otoczmy ich zasłużoną pogardą... lekceważenie oddajmy im za lekceważenie, a... lecz do-kończ Marijko!..“

— „Otoż wtedy właśnie nadbiegł poczciwy Jurko, a on zmieszany, rozgniewany wybiegł z chaty.“

Starzec stał od chwili jakby nieprzytomny; i nagle uderzył się w czoło, i nieświadom może słów własnych, zawołał:

— „To okropnie!... godny to syn swego ojca, który mi syna i córkę zabił.

— „Zabił!“ jakby echo powtórzyli Marijka i Kazimierz.

— „Ojciec tego Alfreda uwiódł twoją biedną matkę, moją córkę jedyną... i wydrwił ją listem, który umyślnie ojcu twemu przysłał... Biedna Jagusia nie przeżyła tego, a twój ojciec poszedł za nią do grobu.“

I była chwila okropnego milczenia. Pierwsza ocknęła się Marijka, i podniosła ręce do góry, jakby brała niebo na świadka słów swoich, zawołała głosem zupełnie zmienionym :

— „A więc zemsta! zemsta nieubлагana!... Precz odemnie resztki słabości kobiecej, słabości niegodnej mnie, precz!... Zemstę poprzysięgam!..“

— „Zemsta!“ powtórzył Kazimierz, porwany zapalem kochanki, w tej chwili silnie działającej na umysł jego.

— „I przysięgam sobie i tobie mój luby, że nie będę póty żoną twoją, póty nie wejdę w dom twój, póty się tego najwyższego dla siebie wyrzeknę szczęścia — póki się nie zemszczę... a zemsta nam łatwa, tak bliska... miałabym się wyrzekać tego słodkiego uczucia? Nie! nie! nigdy!...“

— „I ja ci moja Marijko przysięgam zemstę, za ciebie i za siebie...“

— „Nietylko za nas mój drogi!.. Ma być zemsta, niechże będzie pełna i słuszna.“

— „Dzieci moje drogie! zastanówcie się i wstrzymajcie... Córko moja, tyś kobietą! nie tobie przystoją środki gwałtowne!.. mój Kazimierzu! tyś mężczyzną zapewne, wiem ja wasze środki mszczenia się! oburzające Boga i ludzkość.“

— „Mój ojczu!“ zawołała znowu Marijka „ty się boisz pojedynku... daremna obawa; czyliż nawet gdyby Kuzimierz wyzwał, czyliżby hrabia Alfred chciał mu stanąć... jesszczeby go drugi raz szpicrutem odpędził i psami może wyszczuł.. O nie mój ojczu! pojedynek to zemsta osobista, to zemsta, jak dobrze mówisz, Boga i ludzkość oburzająca. Ale jest zemsta Bogu i ludziom miła; zemsta, która przestaje być zemstą osobistą, błahą. Takiej zemsty pojawienie chcę wywołać, a tej zemsty tłumaczem chcę, by był mój kochanek, oblubieniec pogardzonej popówny, deptanej córki ludu.“

— „A więc zemsta im wszystkim!“

— „Nie, moje dzieci! jam winien, że wasz zapal rozbudził przypomnieniem czynu, który ja już dosyć opłakałem, byście chcieli jesszcze do nowych mnie łez pobudzać, rozbudzeniem żalu, który ja za temi biednymi zmarłemi do ich grobu rzuciłem, modlitwą moją Bogu powierzyłem. Zemsta nie do nas należy, i jakkolwiek ją zechcecie ubrać, zemsta jest zawsze występkiem. A cóż dopiero zemsta w tem znaczeniu, w jakim wy ją rozumieć chcecie!... Kto wam dał prawo obwoływać się mścicielami drugich, kiedy tam na wysokości jest Bóg nasz, co nas widzi i nas sądzi. Odrzućcie, moje dzieci, tę myśl precz od siebie, jako szatana i nie rozruszajcie myśli, która, wierząc memu doświadczeniu, obosiecznym karze orężem i mścicieli i ofiary. I na kimżeto chcecie się mścić za krzywdę waszą, za przewinienia choćby najokropniejsze pojedynczych osób? chcecie mścić się na wszystkich? Toż to przecie bracia nasi... jeżeli pobłądzili, Bóg z niemi, Bóg na nich. Nie rozbudzajcie, niebaczni, tej okropnej nienawiści, która i tak szerzy się milczkiem i zdradliwie w koło nas. Dosyć się już przez życie moje nasłuchiwałem od młodszych kolegów, o tej nienawistnej różnicy. Bóg widzi, że szczerze

badał i dzieje nasze i serce moje, i ani w dziejach, ani w sercu mojem nie znalazłem powodów do tej nienawiści. Skarżycie się, że żartują sobie panowie po salach z popów; niech sobie żartują; źle oni robią zapewne; bo złość ludzka nigdy nie śpi i dmucha na każde zarzewie złego. Ja przez to mogę pogardzać i pogardzam z duszy takimi, jacy są Gniazdowski, lub drudzy podobni im; ale nie chcę zapomnieć przeto, że wszyscy do jednej należemy rodziny, i czy pop, czy hrabia, czy chłop prosty, jak tylko się na tej urodził ziemi, jest tej ziemi obywatelem. Oby tylko nad nią czuwała orędowni cza ręka przedwiecznego, do którego czy po rusku czy po polsku, wznosimy jeno modły o dobro tej ziemi rodzicielki. Nie zapominajcie o tem, moje dzieci drogie, i wiercie słowom starego księdza, który wierzy w to, że są wielkie tam w górze wady i występki, przeciw którym trzeba zapewne pismem i słowem walczyć bez przerwy, ale i między nami w dole są wady i przesady, które także w harmonji, wiele zawadzają. A chcecie zemsty! Kazimierzu! tyś młody, masz zdrowe siły ciała i umysłu, pracuj nad sobą i nad drugimi, kształć siebie i drugich, mów i pisz prawdę, nie obwijaj nic w bawełnę wstydem i hańbą pokryj co wstydu i hańby warte. Ty zaś moja Maryjko, ucz jakieś dotąd uczyła poczciwe nasze dziatki wiejskie, dawaj im zdrowe wyobrażenia, poprawiaj ich obyczaje, a zemstę, która aby jak najpóźniej z dopustu przyszła Bożego, zostawcie tej wszechwiedzącej opatrności.

Młodzi ludzie zamilkli, a wkrótce się też pożegnali ze łzami w oczach, czułością i westchnieniem na ustach. Czyli słowa poczciwego księdza ruskiego zrobiły na nich wrażenie, przyszłość okaże.

CZEŚĆ DRUGA.

Odcwet.

I.

Stryj Kazimierza Bilczyńskiego, był to człowiek nie tyle stary, ile schorowany, znudzony i tak szczególnie osłabiony na nerwach, iż go każde uderzenie silniejsze przestraszało, każde nagłe otworzenie drzwi przerażało, a każde głośniejsze ozwanie się wzbudzało w twarzy i w oku mianowicie, jakieś drganie mimowolne. Zdawało się prawdziwie, że co chwila się czegoś obawia i lęka, jakby drugi Damokles, onego nad głową na włosku zawieszono go oręza. Ta drażliwa bojaźliwość, dobrze uosobiona w postaci ostrego miecza wiecznie schylonemu czołu grożącego, jest tem okropniejszą słabością, że najczęściej bywa skutkiem ona słabości moralnej? W niej zwykle mieści się cała życia tajemnica, dramatyczny ów węzeł ze wszystkich zdarzeń życia spleątany, zagadkowy dla wszystkich, a tem straszniejszy dla cierpiącego, że go sam dotknąć się boi, i żadnej przyjacielskiej ręce rozwiązanie onego powierzyć nie śmie. W samotni dnia, bo taki człowiek zwykle ucieka przed ludźmi,

i w ciszy nocnej, bo taki człowiek rzadko sypia, nie przestaje mu łyszczyć straszny oręż; a po jego polerowanej powierzchni, jakby w zaczarowanym zwierciadle, przemykają makbetowemu oku widziane Bonquo'we duchy przeszłości. Scena po scenie, blado nieruchomie, ale żywo i prawdziwie przesuwają mu się wszystkie przeszłe wydarzenia, na których widok drży, trętwieje, ale głosu wydać nie śmie, by nim poruszony włos tajemnicy i tak ciągle próbowany ciekawością ludzką, nie urwał się, a oręż nie spadł mu na głowę, odkryciem tego, co go szarpie tajemnie, a zabiłoby może odkryte. Za młodu przy większych duszy i ciała siłach, łatwiej jest znieść takie cierpienia tajone i łatwiej je utaić; bo silne jeszcze nerwy nie znają drgającej gry przestachu, a czoło dumnie wzniesione drwić się zdaje ze wszystkich wiszących nad niem niebezpieczeństw; ale na starość staje się ta choroba nieuleczoną i głowa coraz niżej się siania, jak owe głowy żołnierzy przed strzałami nieprzyjaciela, do mimowolnego chyłace się ukłonu.

Rozpisałem się szerzej nad stanem moralnym stryja, już dla tego, że to przecie stryjaszek naszego bohatera, a najwięcej dla tego, że te jego cierpienia jakkolwiek tajone, jakkolwiek zasłaniane przed ludźmi samotnością, do której coraz więcej uciekał, wzbudzały jedno współczucie, jakiego w cierpieniu każdym pewni być możemy, współczucie próżnej i obojętnej ciekawości. Jakoż powszechnie łamano sobie głowy nad zagadką stanu cierpiącego. Bo nie stary jeszcze, i odkąd ludzie pamiętają, nie chorował nigdy, a zbudowany silnie i kościsto, a więc zdrów być powinien. A że wiadano doskonale że ma grube pieniądze, piękną posadę, znaczenie i u swoich i jak szeptano, w górze nawet, więc powinien być szczęśliwy! A przecież mimo tych warunków zdrowia i szczęścia tak jasnych dla ogółu jak słońce, przyznawano powszechnie, że nie jest zdrów i nie jest szczęśliwy. Dla ciekawości ludzkiej, tej nigdy niesytej pijawki lubiącej nad wszystko ssać swój pyszczyk zaczepiać o części najwięcej cierpiące, najwięcej bolące, była to zagadka nad zagadki!... A więc próbowano wszystkich środków w takim razie używanych, by się czegoś dowiedzieć. Z tych środków najdzielniejszym bywa domniemanie, które choć nie odkryje, ale domyślając się rzeczy niestworzonych, ten ma prym przed innymi środkami, że może sobie z domysłów tyłu wybrać, nie najpodobniejszy do prawdy, bo o to rzecz wcale nie idzie, ale najlepiej dogadzający ciekawości, rozmiłowanej zwykle w samych potwornościach. Tu zrobię uwagę, która niekoniecznie do rzeczy należy; ale którą za skarby świata nie odrzuci powieściarz rad epizodowi zwiększającemu książkę, i rad uwadze, którą ma oczywiście za nową, bo jest jego uwagą — że najgłupszy człowiek, byle tylko ciekawości ostrogą był pobudzony, jest zdolny utworzyć takie domysły szczególnie dramatyczne, iżby te, gdyby jeno powstać mogły w głowie powieściarza, dałyby mu treść do niejednej diable fantastycznej powieści. Kto wie, czy to nie ta najolbrzymsza ciekawość, olbrzymiej stolicy Francuzów, połączona z gadatliwością Francuzom także właściwą, roznoszącą po ulicach i kawiarniach swe bezgraniczne domysły, nie jest właściwym twórcą tego bogactwa fantazji,

rozlanego po powieściach francuskich, fantazji, na którą zaprawdę nasze powieści kuleją niepomalu.

Owóż ciekawość śledząca tajemnice stryjaszka, zaglądała i w przeszłość jego, ale i z tej wycieczki nic pewnego wyprowadzić nie mogła. Przypominano sobie bowiem, że dawniej, gdy był młodszym jeszcze, stryjaszek żył w większym i szerszym kółku, w którym rad był przewodził; jakoż w rzeczy samej przewodził potrochę rozległością swych wiadomości — był on bowiem uczony, w najuroczyjszym tego słowa znaczeniu. Miał wielki księgozbiór, liczący po większej części same olbrzymie foliały, które oczywiście mieszczą najwięcej uczoneści; i wszystkim było wiadomo, jak rad brodził po tym smętarni dawnych rozumów, wielkich, nieśmiertelnych, ale martwych. Ażali z tych wszystkich ksiąg wyprowadził idee jakie zdrowe i prawdziwe, tego ogół ciekawy nie wiedział; to tylko przypominał sobie, że mąż ten głęboko uczony wywierał wielki wpływ zdania swemi na otaczających go a licznych gościach domowych i czcicielach. Co on powiedział, było święte, i tem nieomylniejsze, że słowa własnych zdań popierał uczonemi cytatami. Główną częścią jego nauki były dzieje. Czy zaś zdania społeczne, jakie sobie wyrobił na podstawie swych studjów historycznych, były proste czy krzywe, o tem nie uniał sobie zdać sprawy ogół, rozumiejący to tylko swym prostym rozumem, że kto ma uczoneść, ma i rozum zdrowy i rozsądek nie krzywy; a czy może mieć przytem dobrą lub złą wiarę, o tem ledwie setny ma jakie pojęcie.

Tu byłoby zapewne najprzystojniej, by powieściarz, który wie wszystko i zagląda we wszystkie najtajemniejsze myśli i chęci ludzkich zakątki, wytłumaczywszy się jasno i wyraźnie, wyświecił tę zagadkę i odkrył czy ze starych pergaminów i ksiąg stryjaszek naszego bohatera, wyciągnął zdrowe ziarno pożytku, czyli zjadliwego grzyba, łatwo wyrastającego na zbutwiałych zabytkach przeszłości. Ale powieściarz tym razem słowa swoje w mistyczną przybierając szatę, tyle tylko powiedzieć może, ile zresztą sama ciekawość ogółu z przeszłości jego wyprowadzić zdołała: że zdania historyczne, które popierał, miały wielki rozgłos i wielkie stronnictwo, którego on był wyrocznią i duszą prawdziwą. Lecz nagle się zmienił, nie w zdaniach swoich, bo te jeszcze tem uporeczywiej i z rozpaczliwszą wytrwałością głosił, ile razy mu się to trafiło, ale w trybie życia. Jak mówiliśmy ztetryczał, posmutniał i coraz więcej usuwał się od towarzystwa dawnych swoich przyjaciół i stosunków.

Nie więc ciekawi z przeszłości jego dobyć nie potrafili — co mogło, by im odkryć powody takiej przemiany, a co gorzej, nic podobno nigdy nie odkrywają; bo do szczególności jego chorowitego i nerwowego usposobienia należało, że jak mówić tak też i pisać nie lubił. Jakby się bał, by jakikolwiek ślad pisany jego myśli tajemnych nie pozostał; rzadko kiedy sam co pisał i to chyba w sprawach koniecznych, potocznych; a codzień prawie, czyli raczej w nocy, bo mu w nocy było jakoś najswobodniej, przebiegał niespokojny wszystkie swego pomieszkania schowki, i co tylko gdzie zdybał pisane, palił bez litości. Nieraz gdy przechodzący, widząc w oknach jego gorejące światło,

mniemali, że pracuje nad uczonem dziełem jakim — on, przeciwnie, niszczył wszystkie dawnych prac swych zabytki. Blady, poźółkły od cierpień co go trawiły, przeglądał okiem niespokojnem dawne ulubione swe dzieła uczone. Z głośnym szelestem latały karta po karcie tych starych foliałów, lecz on ich nie czytał; szukał jeno owych wszystkich notatek ręką własną pisanych, które tu i owdzie w tych starych księgach pozostawił, celem złożenia onych kiedyś przy swobodniejszej chwili w całości swoich badań historycznych. I gdy natrafił na taką notatkę, drobnem pismem napisaną, która go może nieraz, nie jeden tydzień pracy i ślęczenia kosztowała, drgający nerwowy uśmiech przeleciał przez twarz jego. Była w nim i radość i żal razem. I porwał ją w drżące ręce, ani spojrzął nań nawet, jakby się bał, by litość nad własną pracą nie zmieniła srogiego wyroku, jaki wydał na nią — i szybkim ruchem rzucił ją za drugimi w płonący kominek. A potem z dziwnym, niezrozumianym wyrazem jakiegoś bólu wewnętrznego przez długie chwile patrzył, jak je płomień ogarnął i gasł powoli aż do ostatniej tlejącej gwiazdki na zpopielonym papierze, której zniknięciu towarzyszyły zawsze ciężkie niemej piersi westchnienia.

Lecz domyślna ciekawość ludzka, nierozbrojona jego życiem samotnem, spokojnem, nikomu w drogę niewchodzącym, nie mogła przestać na niczem. Musiała gwałtem jeżeli nie domyślać się, to przynajmniej wymyślać. I wymyśliła, i rada złośliwemu odgadnieniu, za pewnik przyjęła, że cały ten stan jego chorowity jest niczem innem, jeno zgryzotą sumienia. Jest to dla złośliwej ciekawości ludzkiej domysł najłatwiejszy i najmilszy, bo zawiera w sobie cały skarbiec najdziwaczniejszych domniemywań.

I chociaż właśnie, jakoby na zbiecie zarzutu skąpstwa, jakie mu zawsze czyniono, od chwili swojego od ludzi odosobnienia, zaczął hojną dłońią sypać jałmużny pomiędzy ubogich, którzy w pewne dni tłumnie zbiegali się do drzwi jego pomieszkania, i znaczniejsze nawet rozdawał dary, od czasu do czasu z licznymi pochwałami głoszone po pismach publicznych — nie rozbroiło to przecież złośliwych domysłów, i owszem, ciekawi ludzkie, co to wszystko wiedzą, kładli tę przemianę jego usposobienia i całą dobroczynność jego na karb sumienia obudzonego.

W onej to także chwili zwiększających się jego cierpień nerwowych, powołał do siebie synowca, oznajmując mu pismem swoim, że chcąc mu całe swoje przekazać mienie, radby go mieć przy sobie, przez tych kilka chwil, które mu wzmagająca słabość żyć jeszcze dozwoli.

Dobrze już pod noc przyjechał nasz bohater do stolicy i wszedł do pomieszkania stryjowskiego. Smutne jakieś uczucie ścisnęło mu serce; większą onego połowę stanowiło zapewne wspomnienie smutnych chwil rozstania się z miejscem rodzinnem, z matką, a mianowicie z kochanką, która siadającemu na koń szepnęła z cicha: „Zemsta, zemsta tylko mój Kazimierzu połączyć nas może!”

Ale prócz tego samo pomieszkание stryjaszka musiało smutne zrobić wrażenie na młodzieńcu, przyzwyczajonym do ojczystych roz-

ległych łańców. Pomieszkanie to było sklepienie i ciemne; duszne w niem było powietrze, przypominające nieco sklepienia grobowe, tym wyziewem stęchłym nagromadzonych w miejscu wilgotnem starych ksiąg, które od dawnych lat żaden przewiew świeżego powietrza przez wiecznie zamknięte okna nie dosięgał.

Znalazł się nasz bohater w wielkim obszernym pokoju, z którego wszystkich kątów wyszczerzały się ciemne wielkie szafy książkami napelnione, po których nierówne i fantastyczne cienie rzucało skąpe światło od godziny nieobjaśnionej świecy i tlejące iskry gasnącego komina. Obejrzał się w około pan Kazimierz; nie było nikogo w wielkim pokoju, a przecież powiedziano mu, że tam jest sryj jego. Wyteżył oczy — ciemno i pusto. Zaszeleściło papierem, głuchem echem rozbiegło się po pokoju, a od jednej ze ścian, z cienia jednej szafy oderwał się nowy, jakby cień jaki, i cichym pomknął ku niemu krokiem. Ledwie nie krzyknął nasz bohater z przestachu: stryj jego stał przed nim. Grobowa bladeść była na twarzy jego, okropnie jeszcze odbijająca od czarnej szaty, oblekającej jego potężną niegdyś, dziś schyloną postać. Z początku nic nie dostrzegł pan Kazimierz, prócz tej bladeści na czarnem tle w kształt głowy zarysowanej. Bo stryj miał łysą głowę w dół spuszczoną. I podniósł ją przez chwilę do góry; rysy twarzy były wielkie, mocno odznaczone, piękne zapewne przed laty wyrazem dobitnym siły i potęgi, która martwa już dzisiaj, jakby trup olbrzyma wyszczerzała się dotąd z wyniosłego, żyłami sterczącego czoła, z ogromnych zmarszczek od oczów ku ustom pociągniętych, i z tych wielkich sterczących kości na twarzy, które ledwie już pokrywała skóra pargaminowej żółtości. Dla patrzącego z boku ciekawym widokiem byłoby jednakże szczególne podobieństwo rysów stryja i synowca, starca i młodzieńca, których twarze rozróżniał jeno wyraz życia i martwoty.

Przez chwilę tylko spojrział stryj na synowca okiem martwym, którego wzrok badawczy prawdziwym ciężarem martwoty spadł na naszego bohatera; to też pan Kazimierz mimowolnie w tej chwili westchnął i przypomniał sobie nie matkę, nie kochankę, ale prawdziwy roztrzepaniec młody, wspomniawszy sobie w tej chwili, jakby to było miło i swobodnie bujać teraz na kucyku po stepie podolskim, pod gwiazdami wyiskrzzonego nieba. I długą chwilę trwało, zanim przyszedł o tyle do siebie, by zrozumieć całe położenie swoje, a przez cały ten czas, ołowiany wzrok stryjowski ciężył na nim, a nawet szerokie usta starca jeszcze się szerzej rozciągnęły, jakby do uśmiechu szyderczego. Starzec drwił z pomieszania młodzieńca i rad był z niego, wszak to szyderstwo odplącało mu przkre uczucie na widok młodości, nadziei, które już przeszły bez wieści dla niego, na widok dziedzica, który mu w tej chwili nie pakrewieństwo bliskie, ale śmierć bliską przypominał.

Ocknął się pan Kazimierz, który zaprawdę do nerwowych marzycieli nie należał, wstrząsł się tylko, jakby po chwilowym dreszczu, którego pojawienie przesąd wiejski nazywa zajrzeniem śmierci w oczy, i przystąpił do stryja z tą rubaszną niewymuszoną, właściwą naszej wiejskiej szlachcie, która rzadko straci minę tej tęgości,

którą niepomału się szczyścić lubi. I ledwie nie splunął w sufit pan Kazimierz, jak mu się to nieraz zdarzało uczynić w nadmiarze młodzieńczej siły i tęgości szlacheckiej butny, tylekroć doświadczonej w owych wiejskich zdybaniach, u tak zwanej drobnej szlachty. Lecz się przecie opamiętał i schylił czoło na przywitanie i usta przycisnął z uszanowaniem do ręki stryjowskiej.

Stryj wszystkie te ruchy młodzieńca śledził z uwagą, jakby z nich chciał odgadnąć całe jego usposobienie, i usta jego przeciągnęły się więcej jeszcze do uśmiechu szyderczego.

— „Jak się aspan masz?“ przemówił nareszcie do niego głosem równie bez dźwięku, jak twarz była bez wyrazu, a oczy bez blasku.

To aspan obraziło zaprawdę naszego bohatera, w którym zadrgały na tę nazwę pogardliwą wszystkie żyłki szlacheckie; ale cóż było robić! Od bogatego stryja trzeba było przyjąć wszystko; odpowiedział więc z rezonem i odkrząknieniem tak silnem, aż cała twarz stryjowska zadrgała konwulsyjnie.

— „Zdrów na usługi stryja dobrodzieja!“

— „Widać, widać po mowie aspana tak głośniejącej, jakbyś był na prażniku.“

— „Moja matka przesyła stryjowi dobrodziejowi uszanowanie swoje“ przemówił nasz bohater, przymuszając nie bez trudności szerokie pierśi swoje do cichszego głosu.

— „Zdrowa także! o wiem... wiem; wy tam wszyscy na wsi wiecznie zdrowi, o niezem nie myślicie, niezem się nie gryziecie...“

— „I owszem moja matka była bardzo zgryziona dowiedziawszy się, że zdrowie nie służy stryjaskowi.“

— „To też pocieszyła się jak najprędzej, i co żywo wysłała synka, by mi oczy zamknął.“

Skonfundowany nasz Kazimierz zamilkł zupełnie, bo mu usta zamykała zarówno duma szlachecka jak i dobre serce bohaterowi naszemu właściwe.

— „Coż nieprawda?... he?...“

Po niemałej chwili zdobył się nareszcie pan Kazimierz na odpowiedź, którą mu podszeptala duma szlachecka.

— „Niech stryj dobrodziej wierzy, żeśmy o tem nie myśleli.“

— „Nie myśleliście o stryju?“ zaszydził starzec.

— „Nie... przeciwnie... ale...“

— „Ale myśleliście o bogatym dziedzictwie?“

Tu już krew szlachecka pana Kazimierza aż mu zapiekła w uszy, pocerwinione od gniewu.

— „Chciej stryj wierzyć, że takich brudnych myśli ani matka moja, ani ja nie mieliśmy... chwala Bogu mamy mająteczek obywatelski...“

— „Licha dzierzawa, lichego przysiołka... to nazywasz majątkiem obywatelskim... mój ty dumny paniczku; jak widzę, masz się za prawdziwego szlachcica polskiego.“

— „A jużci!“ odpowiedział nasz bohater raczej naiwnie niżeli dumnie.

Rozśmiał się starzec suchym kaszlem raczej aniżeli śmiechem

wesołym. I nastąpiła chwila milczenia, którą by przerwać, nie mało namysłu i myśli mózgowej użył biedny Kazimierz.

— „Chwała Bogu, stryż dobrodziej nie jest tak bardzo chory; i owszem jak uważam wygląda... dobrze... czerstwo... zdrowo...”

— „Tak!” głośniejsz niż zwykle zawołał starzec „za zdrowo może! zdrowiej może niż niemalście tam z matką twoją... Aspan jak uważam udał się zupełnie w matkę, która nigdy zapomnieć nie może, że ma tam jakiś rodowity herb w spuściznie po gołych i dumnych rodzicach. Aspan masz wszystkie wady dumnego, gołego i fałszywego szlachcica polskiego... widzisz mnie schorowanego i umierającego, i chcesz mi fałszywie pochlebić dobrem wyglądem, jak gdybym ja nie wiedział, że jestem stary, zgrzybiały, umierający i żeś aspan tylko po moje dziedzictwo przybył... Duma, ambicja, próżność, chciwość a zdrada i fałsz w gładkiej mowie, to wasz grzech pierworodny, mój ty szlachcicu, który chcesz drwić ze mnie, pogardzać mną, i przyjechałeś po moje złoto, które cenisz jedynie...”

Nasz bohater zgłupiał na te słowa tak dalece, że słowa nie umiał wyrzec, usta tylko otworzył — do westchnienia podobno za swoją wioską i życiem wiejskiem swobodnem.

— „Aspan już nie pamiętasz, żeś synem twego ojca!” mówił dalej starzec z zapalem niezwykłym sobie.

— „Nie stryju! pamięć ojca jest mi drogą!...”

— „Kłamiesz jak prawdziwy szlachcic! twój ojciec nie był szlachcicem polskim.”

— „Jako!” zawołał donośnie pan Kazimierz, nie zważając na drgania nerwowe w twarzy stryja.

— „Twój ojciec był rusinem, tak jak ja... rozumiesz aspan?”

Pan Kazimierz głupiał coraz więcej, nie rozumiejąc ani zapalu stryjowskiego, ani tej całej rozmowy heraldycznej, która go nieprzygotowanego zdybała na samym wstępie. Mimo to burzyła się coraz więcej młoda krew naszego bohatera, który jak zwykle szlachta na wsi, bardzo wiele przykładal wagi do swojego herbu szlacheckiego. Odrzekł więc z pewną dumną powagą, która trącała o śmieszność:

— „Cóż z tego? ale był przecież szlachcicem polskim, mam na to dowody.”

— „I uparty widzę aspan jesteś... Twój ojciec był rusinem... czy rozumiesz?... i nic więcej... Patrzaj, widzisz tu te wszystkie książki, które przez całe życie gromadziłem z największą troskliwością, z nich badałem całą przeszłość dziejową... gdybym był nie poniszczył wszystkich notat moich, jakie przez trzydzieści lat zbierałem, byłbym cię zaraz przekonał. Ale czytaj sam, wszak nie na to przyjechałeś do mnie, byś próżnował. Czytaj i ucz się tam, a przekonasz się, że świętą prawdę mówię... Tak... tak!... mój dumny paniczku... twój ojciec był rusinem... rozumiesz!... i ty jesteś rusinem nie polskim szlachcicem.”

I porwał synowca zdumionego za rękę i poprowadził go szybkim krokiem po pod ścianą swojego pokoju, i pokazywał mu szafę po szafę, a w nich palcem wskazywał książki bez liku.

— „Tu się wszystkiego nauczysz i tu się przekonasz.”

— Nagle przy ostatniej szafie zatrzymał się i pokazał drzwi.

— „Te drzwi prowadzą do pokoju dla ciebie przeznaczonemu; w nim będziesz mieszkać i pracować... a później...”

I wyciągnął znowu rękę i wskazał na drugą stronę drzwi, koło których stał wielki kufer żelazny o łożko oparty.

— „Jak umrę, co niedługo nastąpi, ten kufer będzie twój i twoje będzie użycie... rozumiesz młokosie... użycie pełne... Ale ucz się pierwej... gdybym nie był pomiszczył prac moich, łatwiejby ci to przyszło, ale z czasem, dobrze, bardzo dobrze zrobiłem... na co miałeś przystępować uprzedzony do nauki, która sama ci odkryje, że moje zdania są prawdziwe. I owszem szczęśliwy, spokojny, zdrow będę, gdy zdrowym, młodym, niepokalanym umyłem to zbadasz i to odkryjesz, co ja zbadalem gwałtem... przymusem... bo...”

I osłabił biedny starzec i powalił się prawie zemdłały na żelazną skrzynię; lecz ledwie się jej dotknął, zerwał się z siłą młodzieńczą prawie, i wypychając synowca za drzwi, drżącym, konwulsyjnym krzyknął za nim głosem:

— „Tak ty mnie sam po latach nauki powiesz, że moje zdania nie były fałszywe, urojone, wznowione, ale prawdziwe... Idź! idź mój synowcze... i pamiętaj, żeś ty rusinem nie szlachcicem polskim.”

Biedny Kazimierz zmęczony drogą, zmęczony słowy stryjowskiemi, nic po prawdzie z nich nie zrozumiawszy, zasnął szczęśliwie, a szczęśliwiej jeszcze się obudził, bo z postanowieniem żywym uczenia się, poruszonem może po raz pierwszy przez upor, szepczący mu w ucho, że wypada mu przekonać zawziętego stryja o prawach jego do szlachectwa.

Była to zapewna lekka pobudka i sama nie wystarczałyby, gdyby się nie zebrały pomalą inne powody. Szczęściem pierwsze znajomości w stolicy zrobione były dobre; poznał się bowiem z kilku młodymi ludźmi, którzy się nauce i literaturze poświęcali. Byłby on może nie trafił na nich, gdyby lepsze okoliczności finansowe pozwoliły mu być przyłączyć się do herbowych wiercipiętów, których było pełno w stolicy. Ale stryjaszek otworzył mu wszystkie zamki szaf, prócz zamku do żelaznej skrzyni. Nie małą także pobudką do nauki stały mu się nudy w domu stryjowskim, urozmaicone rzadko rozmową ze stryjem, który prócz tej nieszczęśliwej słabości nerwowej, gdy wpadł w zapał, przyjemnie bardzo opowiadał dzieje przeszłości, coraz obszerniej i czarowniej roztwierające się przed okiem naszego młodzieńca.

I wziął się niezartem do nauki Kazimierz, czytał z początku leniwie, urywkowo, czytał coraz więcej; wzmagał się w nim zapał i zbudziły się siły umysłowe, które były w nim, jak są u wielu naszych szlacheckich próżniaków, uspione, nieużyte.

Po kilku już miesiącach pan Kazimierz zamknięty w pokoju swoim, pobladał mocno, ale twarz jego zawsze piękna, dziwnie wyszlachetniała. Zmniejszyła się hyra włosów na głowie, ale za to myśl osiadła na szerokiem czole.

Tak minęło dwa lata; ani wiedział pan Kazimierz jak mu prędko przebiegły te dwa lata bez konia, charta, bez jarmarku.

Wiele się nauczył przez te dwa lata, wiele przeczytał a jeszcze więcej może przemyślał, przedumał i przemarzył. Marijka pisywała do niego rzadko, ale pisywała listy pełne czułości; wszak te listy były jedyną biednej Marijki pociechą. Ledwie bowiem poznał ją pan Kazimierz, który dwa razy przez te dwa lata w rodzinne odjeżdżał strony, gdy ją po raz pierwszy ujrzał w znajomej wiosce, w znajomej ulicy porzeczkowej, przy znajomej starej gruszy, w znajomym ogródku księdza krzewinieckiego. Marijka była zawsze piękną, bo piękności jej rysów regularnych wiek jeszcze skrzywić nie mógł, a myśl wewnętrzna dotknąć nie śmiała. Ale świeżość młodzieńcza, świeżość aksamitna kwiatu, co z pączka wyrasta, znikła już na zawsze. Już twarz wyszlachetniała uczuciem wyższem, które osiadało na czole i spoglądało z niego poważnie, uroczyście, ale zimno i złowrogo. Na jego czole jaśniało pojednanie, na jej czole łyskała zemsta.

A gdy się żegnali kochankowie, ona mu rzekła głosem, w którym odzywała się echem śpiewu dawna miękkość i pieszczotliwość:

— „Kocham, kocham ciebie jednego i nigdy kochać nie przestanę, ale nienawidzę, nienawidzę wielu i nienawidzić nie przestanę, póki się nie zemszczę.“

A gdy te słowa wyrzekła, tzy się zakreśliły w oku Kazimierza na widok spojrzonia Marijki, które nie w niebo wzniesione, nie w ziemię spuszczone, ale przed siebie daleko wyteżone miało w sobie połyski jakby obłąkania.

Stary stryj naszego bohatera stabnął codzien, głowa coraz niżej spadała mu na piersi. Jak cień, jak duch, przemykał się pomiędzy szafy, z których mnóstwo książek przeniosło się do pokoju Kazimierza. Czasem tylko westchnienie jękliwe, śmiech przeciągnięty, kurczowy dowodziły, że to nie cień, nie duch, ale człowiek szybkim krokiem zbliżający się do grobu.

I był znowu wieczór, wiatr jesienny tłukł o szyby pokoju, w którym siedział Kazimierz nad sporą księgą. I wiatr zawył przerażliwiej jakby złowrogim głosem północy, tej godziny duchów, która właśnie z ratuszowego zegara swych dwanaście wydzwoniła uderzeń i jakby duch stanął starzec błądy, z siną drzącą wargą i okiem w pół już stężalem, martwym, przed stolikiem synowca. I wyrzekł z ciężkością głosem przerywanym:

— „Dwa lata minęło... czytałeś, pracowałeś, uczyłeś się wiele, i cóż mój synowcze prawdę mówiłem?..“

— „Tak jest stryju!“

— „A więc jesteś rusinem?“

— „Jestem rusinam, lecz zarazem i obywatelem tej ziemi...“

— „Nie! nie!“ wyjęknał starzec z natężeniem; twarz, oczy, usta i wszystkie stare zmarszczki zadrgały okropnie. I zamilkł, bo mu zarazem i słów, i myśli, i tchu, i życia brakło.

Upadł starzec nerwowym paraliżem tknięty,

— Wielka bardzo wielka była spuścizna, jaką dostał nasz bohater po stryju. Prócz bowiem znacznych kapitałów, gdy otwarto żelazną skrzynię, znalezione ją pełną orębrubli i półimperjałów.

II.

Bohater nasz zostawszy odrazu bogaczem, w pierwszej chwili swobodnej zaczął ściśle rozmyślać nad przyszłością swoją. Przed dwoma laty byłby zapewne i chwili nie stracił na takie próżne myśli. Byłby używał w rozumieniu tego słowa używać, które znaczy hulać, trwonić, rozrzuczać na wszystkie zachcenia najkapryśniejsze i najniepotrzebniejsze. Lecz po dwóch latach pracy i nauki, inne rozbudzały się już w głowie jego myśli, inne w duszy jego chęci. Przez te dwa lata nauczył się już postanawiać sam nad sobą i zrozumiał po części przynajmniej jakie są obowiązki dla społeczeństwa całego w ogóle i dla ludzi w szczególności. Widząc się od razu tak bogatym, rozmyślał w jaki sposób mógłby się stać pożytecznym. Doświadczenia jednakże w tym względzie nie mając żadnego, postanowił rzucić się w prąd życia, aby praktycznym życiem doświadczeniem ukończyć niejako zaczęte dopiero wychowanie swoje i po tej drodze przyjść do zrozumienia prawdziwego, godziwego sposobu użycia majątku, który aż do tego czasu rad był zachować jako rodzaj powierzonego mu przez los depozytu.

Takie były mniej więcej myśli naszego bohatera w kilka dni po stryjskim pogrzebie.

Srodkiem tych pięknych i czystych myśli naszego bohatera przesuwiała się jednakże myśl ciemniejsza, myśl samolubniejsza. Była to myśl o zaprzysiężonej zemście. Jużci pan Kazimierz nie był o tyle panem nad sobą, aby mógł zapomnieć o słusznym odwecie za uczynioną sobie przed laty krzywdę. Zemścić się na Gniazdowskich, oczywiście wypada. Zemścić się jak najprędzej, to obowiązek sobie samemu winny, a potem już żyć dla pożytku drugich. A nareszcie wszakże przyrzekł zemstę Marii, którą kochał zawsze szczerze, którą radby także uszczęśliwić, a która mu tę zemstę za jedyny warunek ich połączenia postawiła. Lecz jak zemścić się, w tem sęk cały!

Tą myślą przejęty wybiegł szybko na ulicę, bo w tej chwili przypominał sobie, że od śmierci stryja nie odwiedził jeszcze swoich miejskich przyjaciół. Była to niepospolita wycieczka i męcząca do skonała, bo znajomi i przyjaciele pana Kazimierza, nie po głównych mieszkali ulicach i nie na pierwszych piątrach. Była to wycieczka po wszystkich najciaśniejszych miasta zaułkach, po samych poddaszach i trzecich piątrach. I jakby przez umyślną fatalność nikogo zastać nie mógł.

Idąc z ulicy na ulicę, nie zważał zupełnie, że obojętnych znajomości, których się ma zwykle pełno w mieście, ukłony były tym razem daleko niższe i grzeczniejsze. Ani też dostrzegł, że tu i owdzie zdybywały go spojrzenia z oczów męskich, nacechowane na poły ciekawością, na poły rodzajem szczególnego uszanowania; spojrzenia z oczów niewieścich czulsze i zalotniejsze.

Cóż dziwnego?... wszak to nowy dziedzic idzie ulicą! Bajecznie po mieście rozmnożona ilość tego dziedzictwa, którego przedstawicielem jest pan Kazimierz, robi widok jego nadzwyczaj ciekawym

i niepospolicie zajmującym. Niejeden i niejedna połykali ślinkę, jakby się im pojawiły żywcem na ulicy te tysiące złota i srebra. Smutna to uwaga, ale prawdziwa! Nigdy jenjusz najpotężniejszy nie zrobi swoją gdyby najznakomitszą powierchownością takiego wrażenia silnego jak worki złota, choćby je przedstawiał człowiek z najpospolitszą twarzą. I to wrażenie znajdziesz nietylko na ulicy, czyli raczej daleko mniej na ulicy niż w salonie.

Najlepszym tego dowodem było nowe zdybanie się bohatera naszego z całą kalwakatą pędzącą konno. A musiał to być dowód mocno w oczy bijący, kiedy mimo zamyslenia dostrzegł go pan Kazimierz i cały zdumiał.

Jechało konno dwie pań młodych i ładnych na pozór. Śliczne przynajmniej i świeże były na nich amazonki, śliczne i świeże kapełusiki męzkie na cudnie splecionych puklach zawieszzone; śliczniejsze i świeższe jeszcze były barwy na twarzach jakby z lilij i róż przeniesione. W koło zaś kwiat młodzieży karakolował na koniach doskonale angliczowanych i arabizowanych; nie był to właściwie kwiat bardzo świeży, ale za to kapitalnie zasuszony. Cała sztuka krawiecka z ich strojów, cała sztuka fryzjerska na ich głowach, barwno i pstro wszędzie od stóp do głów. Była to pani Antonina i pani Eulalia, znane doskonale w mieście z nieśmiertelnych swych wdzięków. Wiecznie młode, wiecznie ładne, niezwalczone chociaż walk chciwe i do wynajdywania walk wielce szczęśliwe. Przyjaciółki od serca, jedna z nosem pociągłym, druga z zadartym, po bratersku dzieliły się wielbicielami. Pan Kazimierz znał je z widzenia i nigdy dotąd nie był tyle szczęśliwy, by zasłużył na dłuższe ich spojrzenia. Tym razem obu pięknych pań spojrzenia spoczęły na nim długo, przeciągle, z wielką uprzejmością; nie było w tem spojrzeniu dawnej znajomości, ale było jakby przecucie bliskiego poznania się i mimowolne uznanie szczęśliwej wartości pana Kazimierza.

Wartość pana Kazimierza wieść oszacowała na milion reńskich!

I wszyscy jezdźcy z okularami i bez okularów, z lornetkami i bez lornetek, spojrzeli na pana Kazimierza i nie zważając nawet na jego strój dosyć niesalonowy, spojrzeniem tem pełnem uprzejmego wyrazu oddali cześć i ukłon. Jeden tylko z pomiędzy nich najdumniej spojrział na naszego bohatera. Był to przystojny dosyć młodzieniec, z którym najczulej i najpoufalej rozmawiająca pani Antonina, z gracją i uśmiechem nawet położyła w zapale rozmowy rączkę swoją na jego rękę. Przypadkiem znał go nasz bohater lepiej od drugich otczających go i zdziwił się niepomalu, widząc taką poufałość. Wiedział bowiem dobrze, że pan Alfons był nowym dorobkiewiczem. A przecież bratał się z hrabiowskimi koronami, bo odziedziczył grubą, różnym sposobem nagromadzony majątek.

I już pomknęła dalej cała kalwakata, a nasz bohater stał zadumany.

— „A więc to pieniądze robią wszystko!“ mruknął sam do siebie.

I myśl zemsty zaczęła mu się wyrabiać w głowie coraz jaśniej i wyraźniej. Powoli poszedł znowu na inną boczną ulicę, na której

aż na czwartem piątrze mieszkał jeden z jego przyjaciół. Jakoż tym razem szczęśliwiej udało się panu Kazimierzowi, bo uprzedziwszy go trochę gdy zaglądnęliśmy do ciasnej i ubogiej izdebki czwartopiętrowej, zdybiemy tam całe towarzystwo znajomych i jego przyjaciół. Gospodarzem tego pomieszkania, którego okienka małe panowały nad wszystkimi dachami miasta i jedyny miał widok na dłuższe i krótsze kominy okoliczne, był oczywiście ubogi student. Nazwijmy go Stanisławem Barskim. Był to typ pracowitego i ubożego studenta, jakich mamy tylu, którzy po ciasnych poddaszach, w śmierdzących dziedzińcach żyją, męszą się po całych dniach nad lekcjami skąpo płaconemi, po całych nocach prawie przy skąpem oświetleniu krajcarowych łójówek nad nauką szkolnych przedmiotów pracują; którzy znają wszelkiego rodzaju niedostatek i nędzę, którzy stanowią ważną, bardzo ważną część naszego społeczeństwa i o których dbaćby należało.

Siedziało ich sześciu razem u Stanisława. Byli to wszyscy znajomi i przyjaciele naszego bohatera, należeli wszyscy do biednych i ubogich studentów. Byli to synowie po większej części księży ruskich, urzędników prywatnych lub też zubożałej szlachty wiejskiej. Nie będę się wdawać w szczegółowy opis wszystkich twarzy, bo mniejsza o różnicę rysów; typem powszechnym tych wszystkich twarzy jest wiecznie równa wesołość, niczem niezachwiana. Jest to konieczna wynikłość prawdziwej siły wewnętrznej i prawdziwej wiary w siebie samego. Najwybitniejszy typ tej żywej serdecznej wesołości widzimy na twarzy Stanisława. Niewielkiego wzrostu, krępo zbudowany, o długich czarnych włosach, z smagławem licem i żywym okiem miał na swej silnemi rysami odznaczonej twarzy wyraz uprzejmy, wszystko przełamać gotowej stałości. Był on studentem z potrzeby i położenia, ale z duszy i chęci był malarzem, jak to świadczył strój jego na pół fantastyczny i porozrzucane i porostawiane w lichej izdebce rozmaite rysowane i malowane próby.

Jakim sposobem został malarzem, należało także do tych nieodgadnionych tajemnic życia studenckiego, pełnego żelaznej wytrwałości. Miał pociąg do malarstwa, a więc został malarzem, nie ucząc się malarskiej sztuki od żadnego malarza. Bo też żaden byłby go darmo nie uczył, a płacić nie miał czem syn jakiegoś ekonoma, którego całym bogactwem było ośmioro dzieci. Wzory urojone nosił w sobie, a wzory żywe schwytywał jak mógł, to z ulicy przypadkiem, to umyślnie ze znajomych.

Że to było pod wieczór, po skończonych więc lekcjach, zbiegli się koledzy do Stasia, którego serdecznie kochali, bo Stas miał złote serce. I zasiedli wszyscy jak się zasiąść udało, bo w kwaterze Stasia było tylko jedno krzesło a i to zawalone farbami i pędzlami. A więc siedzieli gdzie kto mógł. Najweselszy blondynek z długim włosom siedział na stole i oczywiście muzyk w nadziei, bębnił nogami w takt marsza o chwiejące się nogi stolika. Inny znowu więcej zamysłony, na którego twarzy drżał płomień silnego ognia wewnętrznego, dumiał na kufelku miniaturowym, który przecie był za

wielki jeszcze na schowanie wszystkich ruchomości biednego Stasia. Trzech mieściło się na łóżku gospodarza, a czwarty po za nimi leżał jak długi i odpoczywał biedak; miał bowiem dwie lekcje w dwóch najodleglejszych przedmieściach, jedną u kominarza pod jedną rogatką, drugą u rzeźnika pod drugą rogatką. Gospodarz zaś grzeczny oczywiście nie siedział, chodził jeno po izdebce, rozmawiając z gośćmi.

Rozmowa szła żywo; rozmawiali bowiem właśnie o naszym bohaterze, którego wszyscy serdecznie kochali.

— „Przyjdzie Kazimierz!“

— „Nie przyjdzie Kazimierz!“

Na tem rozbijała się głośna rozmowa o naszym bohaterze.

— „Ruble stryjowskie zawróciły mu głowę“ mówił przyszły muzyk.

— „Przypomniał sobie już życie pańskie“ dodał leżący na łóżku.

— „Na panicza wyjdzie i kwita!“ mruczał zadumany na kufku.

— „Ja wam mówię, że przyjdzie Kazimierz niezmieniony, taki sam jak był dawniej, bo my znamy najlepiej jego prawe serce“ ozwali się razem prawie siedzący na łóżku.

Byli to trzej rodzeni bracia, pełni talentów, gruntownych chęci i gruntownej już nauki, z której nie mało ochoty i wytrwałości dodawali naszemu bohaterowi. Byli to poczciwi chłopcy, ubodzy okropnie i sieroty na tym świecie, bo już im ojciec i matka pomarli. Jeden dzień złowrogi osierocił ich.

— „My go znamy“ powtarzali bracia „on jest nasz, on jest nasz brat prawdziwy.“

— „Tak jest przyjdzie niezawodnie“ dodał gospodarz „i ja go znam i wiem, że go stryjowska spuścizna nie zmieniła. Jeżeli nie przyszedł dotąd, muszą być inne przyczyny, nie zmiana. Nasz Kazimierz nie może się zmienić. A przecie „dodał po chwili namysłu“ zmiana musi nastąpić koniecznie. Majątek, który mu dostał się w ręce, wkłada na niego inne obowiązki i inne, szersze od naszego otwiera mu pole. Niech w nie wstąpi jak najprędzej, choźbyśmy się mieli na długo i na zawsze wyrzec jego towarzystwa i pożytek powszechny przedewszystkiem każdy niech ma na względzie, on w swoim a my na naszym stanowisku!“

— „Tośmy przynajmniej wszyscy sobie przyrzekli“ ozwał się jeden z braci.

— „Przyszedł! przyszedł!“ zawołali wszyscy zrywając się z miejsc swoich i pobiegli naprzeciw wchodzącego w tej chwili pana Kazimierza. I wszyscy jeden po drugim uściśnęli go serdecznie.

— „Alboście wątpili e mnie?“ odrzekł im Kazimierz na pół z uśmiechem na pół z wyrzutem.

— „Nikt nie wątpił o tobie!“ zagadł szybko gospodarz, przerywając drugim, którzy sami się obwiniać chcieli.

— „Pospieszylem do was jak predko mogłem. Byłem już

u wszystkich i rad jestem, że was tu wszystkich razem zastaje... bo przyszedłem was pożegnać....“

— „Pożegnać!“ zawołali wszyscy.

— „Nie na długo i nie na zawsze“ odpowiedział Kazimierz z pół-śmiechem. Na czas jeno niedługi muszę się oddalić od waszego towarzystwa i żyć za pan brat z tymi, których tyle pogardzam, że chętniebym się wyrzekł zemsty, którą jak wiecie przysiągłem sobie i mojej Marijce. Oni nie warci zemsty.“

— „Warci! mścij się!“ krzyknęli wszyscy.

— „Niewarci!“ mruknął cichszym i niepewnym głosem zadumany Staś.

— „Więc aby się zemścić na Alfredzie, będziesz żył z jego towarzystwem.?“

— „I wiesz już sposób jakim się zemścić możesz?“

— „Wiem już.... od chwili dopiero wiem.... szedłem właśnie do was, by się poradzić, gdy na drodze, tam na ulicy znalazłem ten sposób.“

— „A ten sposób?....“

— „Są niestety po prostu pieniądze, które mnie wprowadzą w ich towarzystwo. Tak jest, zbratam się z nimi, będę żył ich życiem, będę głupi i próżny; póki dogodnej nie schwytam okoliczności by się zemścić, zemstą ich godną, zemstą głupią zapewne, ale czyż inną zrozumięją?...“

— „Żadnej niewarci! mój drogi!“ ozwał się głośniejszym głosem gospodarz. „Pogardy jeno i nic więcej prócz pogardy! Ale jeżeli chcesz stracić czas na osobistą zemstę, ja cię wstrzymywać nie będę. Najlepiej bowiem, byś cełe życie własnem poznał doświadczeniem. Spodziewam się, mój kochany, że jak czas krótki pożyjesz ich życiem, lepiej jeszcze pogardzisz tem życiem i wrócisz do nas. Dla ciebie, spodziewam się, to życie nie stanie się niebezpiecznem, przeciwnie, sprawi ci odrazę i wzmocni twoje postanowienie. Idź więc!“

— „Ja przez to będę do was przybiegał, by między wami odechnąć i nabrać nowej siły i odwagi.... i po prostu, by znowu nie zgłupieć między nimi... ale muszę na czas krótki powierzchownie wyrzec się waszego towarzystwa, bo chcę, aby mnie zupełnie zaufali i uznali za swego. Chcę, by mnie za równego sobie mieli. Przygotujcież się więc na to, że gdy was zdybię na ulicy, nie poznam oczywiście, bo przecież jako wasz przyjaciel i znajomy niegodny byłbym ich towarzystwa....“

— „Brawo! brawo!“ zawołali studenci wesoło.

— „Ależ przynajmniej pozwolisz, że ci w takim razie potężną figurę na ulicy pokażemy.“

— „Dobrze! moi drodzy! wierzcie tylko, że się nigdy nie zmienię. Kiedym przed dwoma laty przejechał do stolicy, byłem jeszcze głupi zupełnie, i to szczęście, że wtemczas nie dostał w ręce tego co dzisiaj majątku. Byłbym go nadużył, tak, jak go nadużywa na naszą hańbę to nasze świecące pruchno. Ale dzięki dwuletniej pracy nauce sumiennej, a najwięcej dzięki waszemu towarzystwu, zmieniłem się o tyle, iż już więcej ani wam, ani sobie wstydu nie zrobię... na-

śladowaniem przywar tak częstych u nas i trzymaniem się przesądów, które nas hamują na drodze prawdziwego postępu.“

— „A jużto prawda! jak przyjechałaś, chorowałaś jeszcze na obywatela.“

— „Byłeś całą gębą szlachcicem polskim.“

„Oj byłem nim!“ odpowiedział Kazimierz z westchnieniem.

I uścisnęli się młodzi ludzie po bratersku.

— „Lecz nie koniec na tem!“ przerwał znowu pan Kazimierz chwilowe milczenie. Jeszcze mam do was inną sprawę. Dziedzictwo po moim stryju jest ogromne... wszak wicie... zebrał... bajeczne sumy...“

Wszyscy spuścili oczy w dół.

— „Mniejsza o to, jakim sposobem przyszedł do takiego majątku, skoro postanowieniem jest mojem obrócić go na użytek ogółu... Jak go mam obrócić, dziś nie wiem jeszcze i kiedyś się was także radzić będę w tym względzie.“

— „Samo doświadczenie życia poda ci najlepsze sposoby“ przerwał mu gospodarz.

— „Takie i moje zdanie... a tymczasem cały ten majątek uważam jako depozyt, który mi los oddał w ręce dla dobra moich ziomeków...“

I młodzi studenci podnieśli z dumą głowy.

— „Będę go chował święcie aż do czasu, w którym będę mógł sumiennie sam sobie i przed drugimi poświadczyć, iż sposób w jaki go użyję, jest prawdziwie prawy, szlachetny i najwięcej pożyteczny.. Na moją zemstę osobistą wezmę tyle tylko, ile ściśle będzie potrzeba do jej skutecznienia... Lecz tymczasem przyniosłem tu... „i rzucił na stół pulares sporo napchany „To dla was!“

— „Dla nas?“ zawołali wszyscy.

— „Na jakiego mi djabła się przyda; ja mam tyle ile mi na farby wystarczy?“

— „Ja mam moje lekcje.“

— „Kominiarz daje mi obiad, a rzeźnik daje mi stancję.“

— „Na co nam pieniądze; my już nie mamy rodziców, którymbyśmy mogli pomódz w ich starości...“

I lży mieli w oczach biadni bracia osieroceni.

— „Moi poczciwi bracia!“ zawołał Kazimierz rozrzewniony wiedziałem, że nie przyjmiecie... to też nie śmiem wam tych pieniędzy ofiarować... chociaż spodziewam się, że w razie potrzeby przyjmiecie od brata waszego... Ale przyniosłem je do waszego rozporządzenia... bo jużci są między nami bardzo potrzebni koledzy.“

— „Oh, są!“ odpowiedzieli.

— „A więc to dla nich!“

— „Dzięki ci za nich bracie!“

— „Stasiu! ty między nami najszlachetniejszy i najrozsądniejszy, ty będziesz szafarzem tych pieniędzy.“

— „Przyjmuję to zlecenie!“

I jeszcze się uścisnęli wszyscy i wkrótce po szczerej i czulej pogadance, pożegnali naszego bohatera.

III.

I dotrzymał słowa nasz bohater. Ledwie kilka tygodni minęło, pan Kazimierz był ultra fashionable, a nawet był w modzie. Bo miliony są zawsze w modzie. Bywał u pani Antoniny i u pani Eulalii, która wszystkie wdzięki swego zadartego noska wyciągała ku niemu.

I żył na przyjaznej stopie ze wszystkimi lwami bez grzyw i z grzywami. I zaproszony uczęszczał na wszystkie baliki i reuniony, i harбаты z tańcami i bez tańców. I zasiadał do zielonych stolików ze wszystkimi ilustracjami towarzystwa — bo miał pieniądze.

I był celem uprzedzeń męzkich i czułych spojrzeń niewieścich; a nawet przedniejsze lwy, nazywając go przyjacielem serdecznym, pożyczali od niego pieniądze, a mniejsze herytjerki spoglądały figlarnie i zalotnie na niego, bo miał pieniądze.

Słowem nasz bohater opływał w pochlebstwach jak pączek w maśle.

A więc miał powóz i konie, i stroje modne, i kamerdynerów, i układ salonowy pański — wszystko miał, bo były pieniądze, a z niemi i wziętość i zaszczyty.

Zgoła pan Kazimierz żył w towarzystwie wyższem, jakby w swoim, jakby się w niem urodził i wypiastował. Wszyscy go wielbili i kochali, a cenili mocno, bo podług milionowej jego wartości. Już go hrabia Artur i hrabina żona jego nie nazywali panem Bilczyńskim ale panem po prostu, acanem dobrodziejem, lub prostem a tak przecie znaczącem francuzkiem Vous i Monsieur. Hrabia Alfred nazywał go przyjacielem i przybrał go za towarzysza swoich wycieczek romantycznych.

Hrabianka Izabella przestała żartować z niego i przeciwnie zaczęła z nim żartować z drugich, co było znakiem wielkiej łaski z jej strony. Prawda, że nasz bohater rzucał kongrewskie na nią spojrzenia, a wzdychał jakby miech nieprzymierzając. A że hrabia Artur coraz więcej miał długów, a panna Izabella coraz więcej latek — więc też mu w odwet odstrzeliwała spojrzeniami i odpłacała się westchnieniami. Czuły między nimi stosunek szedł galopem. Jak wiadomo, posiadacze milionów jeżdżą zawsze galopem.

I tak się umiał jakoś nasz bohater przypodobać, tak wszystkim przypadł do gustu, że całemu towarzystwu wydał się jakby był jego odwiecznym członkiem. Miliony przeważyły dorobkiewiczstwo. Ten zupełny indygenat nie obszedł się jednakże z początku bez pewnych trudności. Trudności te nie robili mu wszyscy członkowie towarzystwa, bo są między nimi ludzie wyżsi nad wszelkie przesady, którzy boleją szczerze nad tem zaślepieniem, i nieraz sami niezastępowanie pokutować, muszą za te ułomności należących do ich towarzystwa purystów, ludzi zawsze wątpiących, zawsze niepewnych, ludzi dawnych tradycij.

Owoż, ponieważ jak wiadomo, powieściarze mają przywilej odgadnięcia i podsłuchania najskrytszych tajemnic i wciskania się do najskrytszych gabinetów, opowiem państwu rozmowę nader ważną, jaka miała miejsce między obiadem a zielonym stolikiem, przy lu-

lecze i piórku do zębów. Siedziało razem trzech mężczyzn. Oczywiście wszyscy trzej starzy doskonale, a więc tem samem rozumni i nader znakomici ludzie. Wielcy to kapłani przyzwoitości.

Jeden z nich był to pan Dezydery Sroczyński, pan na różnych włościach, przydomkach herbowych, i który miał wszystko, by być hrabią, bo i ton po temu, i chęci gorące, i nawet korony połowę na karcie, wszystko prócz dyplomu.

Był to najznakomitszy z zasiadających.

Dwaj drudzy asesorowie tego komitetu zaimprovizowanego, były to także dwie stare facjaty, jedna łysa i siwa, druga siwa i łysa; jedna z brzuchem, druga bez brzucha; jedna wyższa, druga niższa. Ale obaj ubrani z całą wytwornością dawnej młodości. Byli to pan Dyzma Lejkowski i pan Edgar Leopoliński. I zasiadłszy poważnie, przez długi czas milczeli, puszczając uroczyście przeciągłe dymy z długich cybuchów. Wreszcie krzaknęli wszyscy, najgłośniej i najuroczyściej krzaknął pan Dezydery. To też poprawiwszy halstuczka, pierwszy przemówił:

— „Cóż myślicie o tej nowej figurze?“

— „Aha!“

— „Tak“ odpowiedzieli krótko, ale ze znaczeniem.

— „Niewiedzieć kto go rodzi!“ dodał pan Dyzma.

— „Ale gruby odziedziczył majątek po stryju!“ zauważał bardzo sprytnie pan Leopoliński.

— „A stryj był kanonikiem!“ dodał znowu pan Dyzma.

— „Jednakże wypadałoby się zastanowić wprzód, bo to w teźniejszych czasach trzeba być ostrożnym z przyjmowaniem takich nowych figur do naszych salonów.“

— „Nareszcie kanonik był ruski!“

— „Rozsądna bardzo uwaga!“ przerwał nagle pan Dezydery, „więc ten pan Bilczyński jest greckiego obrządku?“

— „Popowicz“ powtórzyli drudzy z rodzajem szczególnie pogardliwego przycisku.

— „Nie! nie! nie wypada go przyjmować.“

— „Zapewne! ale zawsze przecie ma milion majątku!“

— „Milion!“

— „Milion!“ i zadumali się głęboko nad tym sękiem.

— „Nareszcie“ mówił dalej pan Edgar „zrobię wam uwagę, żeśmy przecie przyjęli do naszego towarzystwa pana Alfonsa, chociaż...“

Resztę dokończył dymem.

Pan Dezydery krzaknął niespokojnie.

Pan Dyzma świsnął z przyciskiem.

— „A nie ma nawet miliona!“

— „To ważny argument za Bilczyńskim.“

— „Nie wiem jak też stoi z jego francuzczyzną.“

— „Trochę po kołomyjsku... ale zawsze milion!“

— „Kłania się nieźle...“

— „Ubiera się z gustem.“

— „Dobrze już, dobrze moi panowie! ale jeszcze jedna ważna kwestja?“ i zatrzymał się pan Dezydery, krzaknął uroczyście, po-

prawił halsztuka z powagą, i tak rzecz swoją ciągnął dalej: „Jakie też są jego zdania, opinie? he?”

— „Tak! tak! opinie?” dodał pan Dyzma, rzuciwszy wzrok pełen szacunku na pana Dezyderego.

— „Opinie jego są nasze, o ile zrozumieć mogłem“ odpowiedział pan Edgar, który widocznie naszego bohatera brał w obronę.

— „Jakto?”

— „Nasze?” zapytali obydwaj z niepospolitem zdziwieniem.

— „To jest właściwie.... on nie ma żadnych opinii...”

— „Rozumiemy!...”

— „A więc! niechże do nas należy.... wszak prawda? wypada go przyjąć...”

— „Wypada! wypada!” odpowiedzieli i odetchnęli wszyscy po tej walnej naradzie.

Szło potem naszemu bohaterowi jak po maśle; a gdy jeszcze złowił go w djabełku pan Dezydery na paręset reńskich, pan Kazimierz Bilczyński stał się człowiekiem *comme il faut*.

A stawszy się doskonałym gentelmanem, został wkrótce stewardem. I słusznie, ponieważ miał konie najlepsze, bieguny wyścigowe od stu djabłów i trenera z Anglii, a żokieja z samego Londynu, w barwy rodowe rodziny Bilczyńskich przybranych. Bo rozumie się, że nasz bohater Prusa ojcowskiego i matczyną pannę na niedźwiedziu, z hełmami i pawimi piórami wpakował na powozy swoje i guziki lokajskie. Zrobiło to olbrzymie wrażenie!

Brakło tylko, by zwyciężył na wyścigach, które właśnie zbliżały się. Jakoż los pociągnął za dobrymi końmi i żokiejem angielskim. I nasz bohater istotnie zwyciężył dwa razy o pół głowy, raz o ćwierć głowy, i zdobył rozmaite nagrody, a między innymi śliczny szpicrut honorowy, podobniuteńki do tego, który miał pan Alfred, z konikiem i pozłocistemi świecidełkami. W nim zawierał się cel upragniony jego dążeń. W skutek czego zaprosił całe towarzystwo na wielki festyn i odstąpił w tym razie od tradycyji wyścigowych. Nie był to bowiem obiad wyłącznie męzki, z muzyką i szampanem, jaki to zwyczaj zaprowadzili jego poprzednicy; ale pan Kazimierz, dla odmiany postanowił wyprawić podwieczorek suty i wspaniały, na który zaprosił i pleć piękną. Zaproszone zostały wszystkie panie z towarzystwa, które chętnie przystały na zrobioną propozycję, dowiedziawszy się ku nie małej uciechu, że na zielonej murawie miała być zaimprovizowana sala balowa. Była więc nadzieja i potańcowania. Do tego wszystkiego powiadano sobie na ucho, że podczas tej uczty miały się odbyć zaręczyny pana Bilczyńskiego z hrabianką Izabellą. Prawdę mówiąc, nikt z mężczyzn nie zazdrościł tego szczęścia naszemu bohaterowi, lecz pleć piękna wcale odmienne żywiła uczucia dla panny hrabianki.

Podwieczorek w samej rzeczy odbył się i był prawdziwie suty; a na szerokim bloniu, wśród pagórków i gajów, pokryto zieloną murawę zaimprovizowaną posadzką. Muzyki rznęły od ucha; roznoszono cukry i lody pomiędzy rozgrzane tancerki, chłodzące się po gajku zielonym, a szampanem raczonó należycie mężczyzn. To

też całe towarzystwo dałoby się zabić za naszego Bilczyńskiego, którego obsypywano wszystkimi przymiotnikami francuzkami, jakie tylko przypomnieć sobie mogli.

Nie będziemy wdawać się w szczegóły tego podwieczorku, który był podobniuteńki do wszystkich tego rodzaju zabaw; opowiemy tylko uroczystą scenę zapowiedzianych zaręczyn. Już to na chwilę wprzód stary hrabia Gniazdowski, stanąwszy uroczysto przy hrabinie Gniazdowskiej, powołał do siebie kilku luminarów obojej płci i pana Bilczyńskiego.

— „Owoż“ zaczął hrabia zażywszy tabaki i uderzywszy się poważnie po brzuchu „przystaję na te dzisiaj zaręczyny głośne pana Bilczyńskiego z córką moją, jak sam sobie tego życzyłeś...“

— „Ale...“ zagadła matka panny hrabianki.

— „Ale...“ powtórzyli przytomni i wpatrzyli się uroczysto w hrabiego Gniazdowskiego.

— „Ale“ ciągnął dalej hrabia Artur „pan Bilczyński przyrzekł mi uroczysto i stwierdził słowem honoru, że...“

Tu wszyscy wyciągnęli uszy ciekawie.

— „Że postara się pierwej o tytuł przyzwoity.“

Nasz bohater ukłonił się na znak podziękowania. A ponieważ był przestanek tańców właśnie, posunął się pan hrabia z niepospolitą powagą nóg i twarzy, i ujawszy naszego bohatera za prawicę, wszedł na środek parkietu balowego. Muzyki ucichły; zdała tylko, gdzieś w gaju odzywały się jakby dęte instrumenta, przegrywając pojedyncze akordy pełne tonów czułych i tkliwych.

Już więc odchrząknął stary hrabia do uroczystej przemowy. Już hrabianka przybrawszy skromną postawę, złośliwe oczy w dół spuściła. Już hrabina podnosiła batystową chustkę do ocz. Już całe towarzystwo męskie i żeńskie skupiło się w koło. Gdy nagle wystąpił pan Kazimierz z uśmiechem słodkim i rozczulonym na ustach, a trzymając hrabiego Artura, przyszłego szwagra swego, poufale za rękę, przemówił z rodzajem w towarzystwie bardzo popłatnej niebdałości.

— „Proszę o chwilę cierpliwości!“

Ciekawość skupiła coraz ciasniej gości podwieczorkowych.

— „To pewnie będzie jakaś siurpryza!“ szeptali do siebie.

— „Zanim przystąpimy do tego aktu uroczystego“ mówił dalej pan Kazimierz z przyciskiem coraz więcej sztyderskim „wypada mi podziękować wam, moi panowie i moje panie, żeście mnie raczyli przyjąć do waszego grona, chociaż właściwie nie jestem wam równy rodem i po części dzięki memu wyznaniu uważany jestem za powicza.“

— „C'est mauvais genre“ zaczęto mruzczyć z cicha.

— „I czemże mogłem zasłużyć na tyle zaszczytu i łaski? Tobie chyba mam za to podziękować, hrabio Alfredzie!“ I silniej ujął za rękę młodego Gniazdowskiego. „Tyś bowiem przed dwoma laty raczył mnie pasować na rycerza honorowego.“

Twarze wszystkie zaczęły się fatalnie przeciągać! Hrabia Al-

fred nieprzyjemnem wzruszony przecuciem, chciał mu wyrwać rękę, ale nasz bohater za silnie ją trzymał.

— „Co to?”

— „Pasował?”

— „Na rycerza?....“ ozwały się w koło głosy zdziwione i poturbowane.

— „Tak jest! hrabia Alfred przeczuwając zapewne, że mnie kiedyś zechce obdarzyć rączką swojej siostry, raczył mnie uderzyć szpicrutem honorowym, uzyskanym na wyścigach konnych, i nazwał to łaskawie pasowaniem na rycerza honorowego.“

Tu powszechne przerażenie do wysokiego dochodziło stopnia.

— „A więc pozwól, mój miły hrabio!”

I szybko odwrócił się do stojącego za nim kamerdynera z wielką tacą, napełnioną butelkami i kielichami. Na widok tego ruchu zaczął Alfred z całą siłą wyrwać rękę swoją, lecz mu się to nie udało znowu.

— „Bym ci oddał pasowanie za pasowanie!”

I porwał w rękę podany sobie przez kamerdynera szpicrut honorowy i podniósł go do góry. Hrabia Alfred ostatnie zebrawszy siły, podał się w tył, by się wyrwać koniecznie, lecz to mu na to tylko posłużyło, że zamiast co miał dostać pasowanie po grzbiecie, jak było w chęci naszego bohatera, dostał najfatalniej całym szpicrutem po twarzy, aż z brzękiem złote okulary padły na parkiet balowy.

— „Teraz kwita z tobą, panie rycerzu szpicrutowy!”

I puścił hrabiego Alfreda, który w skutek gwałtownego ruchu potoczył się w tył, aż go znajomi na ręce schwytać musieli. Pan Kazimierz zaś założywszy ręce na piersi, dodał głosem zupełnie zmienionym:

— „Zaszczyt zaś rączki panny hrabianki Izabeli odrzucam zupełnie, niech sobie innego szuka męża.“

Wszyscy stali przerażeni i osłupiali, i nikt słowa wyrzec nie śmiał, tak ich ta scena nieprzewidziana zdybała niespodzianie. Groźne spojrzenia padły na naszego bohatera, który ciągle stał spokojnie, a w koło niego skupili się jego przyjaciele, którzy bez wiedzy jego przyszli patrzeć na to widowisko. W środku tych obu gron panna hrabianka spróbowała zemdleć i jakoś udało się jej to wszystko jak najlepiej; tylko zblednąć nie potrafiła, z powodu grubej warstwy rużu na twarzy.

— „To krwi żąda!....“

— „Spodziewam się, że to tak się nie skończy...“

— „Honorowej satysfakcji wymagać trzeba“ zaczęli pomrukiwać głośnie.

Uśmiech szydery i pogardliwy jeszcze widomiej wystąpił na twarzy pana Kazimierza. I poszeptawszy kilka słów do Alfreda, przystąpili poważnie i surowo do naszego bohatera panowie Dezydery i Edgar, jako ludzie najlepiej znający się na sprawach honorowych.

— „Spodziewam się,“ przemówił pan Dezydery „że po takim postępku, któremu trudno dać nazwę przyzwoitą....“

— „Zrozumiesz pan,“ dodał pan Edgar „że pistolety tylko roztrzygnąć mogą.“

— „Więc panowie pojedynku żądacie odemnie?...“

— „Rzecz naturalna!“

— „Odmawiam! bo ja popowicz i dorobkiewicz, nie czuję się być godnym pojedynku z panem hrabią Alfredem.“

— „To nie czas na żarty.“

— „Ja też nie żartuję zupełnie.“

— „Pan przecie jesteś szlachcicem, a więc jako szlachcic, rozumieć powinieneś, co są wymagania honorowe, co jest odwaga nareszcie!“

— „Moi panowie, ja tej odwagi waszej, odwagi jak ją nazywacie szlachcica, mogę nie mieć; nie dbam o tak lichą odwagę. Mam to przekonanie, że pojedynek jest rzeczą nierozumną.... Ja się do takiej odwagi dla nierozumnej rzeczy nie przyznaję; bo mam lepszą jedynie godziwą odwagę prawego człowieka, którą dowiodę w życiu poświęconem dobru moich ziomków.“

— „Slicznie pan to powiedziałeś i może bardzo czule i rozumnie; zostań pan z takimi sentymentami i postępowaniem, ale muszę panu tę zrobić uwagę, że na ludzi odmawiających pojedynku, są sposoby przymuszające!“

— „Czy pewnie?“ zapytał szydlerczo pan Kazimierz.

— „Spodziewam się, że pan nie zechcesz czekać na pobudzenie odwagi pańskiej.... kijem!....“

— „Dosyć tego, moi panowie.... przestańcie straszyć próżnemi pogroźkami. To nie jest sprawa wasza, ja do was nic nie mam, moi panowie; to jest moja prywatna sprawa z panem Alfredem Gniazdowskim. To jest“ dodał z powagą zastępującą miejsce szydlerstwa „rodzaj długu, który mu oddałem, jakoż powtarzam panu Alfredowi, że mu innej nie dam satysfakcji nad tę, którą mu już dałem. Co się tyczy środków przymuszających muszę panu Gniazdowskiemu przypomnieć, co on zapewne łatwo pojmie, że ja mam.... silniejsze od niego pięści. Żegnam panów!....“

Jakoż towarzystwo całe zaczęło się oddalać, dzieląc po części to przekonanie, że osobista zemsta pana Kazimierza, jakkolwiek nieprzyzwoita, była poniekąd słuszną.

Ostatni odchodzili Gniazdowscy, podtrzymując ciągle omdlałą hrabiankę.

Śmiech pana Kazimierza towarzyszył im do powozu.

IV.

Przeskoczmy teraz rok cały od ostatnich zdarzeń, przez któryto czas nasz bohater, dogodziwszy osobistej zemście, wyjechał ze stolicy, szczęśliwym, by zwiedzić wszystkie części swojej ojczyzny i poznać wszystkie porozrzucane w nich odłamki naszego społeczeństwa;

częścią zaś miał chęć odbycia podróży po zagranicy, nie w celu dogodzenia próżnej ciekawości, ale w celu daleko ważniejszym, nauczenia się. Rozumiał on to dobrze, że do wychowania u nas, gdyby najlepszego, ale zawsze teoretycznego, brakuje zaaplikowania praktycznego, o które najtrudniej w naszym życiu ograniczonym i rozgraniczonym na drobne bardzo kółka społeczne. Krótko żyjąc na szerszej nieco widowni towarzystwa, w którym go widzieliśmy, poznał przecie co jemu, co nam w ogóle brakuje. Oto tego rozumu praktycznego, ugruntowanego na dobrze zrozumianych pojęciach społecznych, który oczywiście tam się najlepiej i najszerzej rozwija, gdzie najszersze jest życie społeczne. Nowy Jazon szukający runa złotego wyjechał za większą u nas rzadkością, za tym rozumem praktycznym, na którego brak tak dawno i tak mocno chorujemy.

Tymczasem przeniesiemy się do Krzewiniec, a tam wejdziemy do znanego już nam skromnego dworku księdza ruskiego. W powierzchowności dworku i dziedzińca nic się nie zmieniło od czasu jak go odwiedzaliśmy, bo wszystko koło człowieka zachowuje pozór niezmienności, zdający się urągać z ciągłej jego niestałości. Jediną odmianę w całym dworku księżego otoczenia stanowiła zmiana pory roku. Zamiast zielonością umajonych drzew sterczały w koło nagie konary, żałośnie skrzypiące czasem za podmuchem przykrego i świszczącego wiatru, który jest owym zimnym i smutek rodzącym głosem jesieni. Był to bowiem wieczór jesienny, ciemny i głuchy, w którym żałoba dzienna zwiększa się nocną żałobą, a żałoba ziemi rozciągając się zdaje aż do nieba. Ciemnosinawe chmury żeglowały po zasepionem niebie, i od czasu do czasu, gdy silniejszy wiatr rozdarł białawe, śniegiem zdaje się grożące obłoki, jaśniejsza przejrzała szyba niebieska i samotna na niej zabłysła gwiazda. Taż sama żałoba jesienna zdawała się panować wewnątrz pomieszkania księżego. W znajomej nam izbie przybyło wielkie krzesło poręczowe; stare oczywiście i wypłowiałe, które rozmaite przebyło koleje, świetniejsze zapewne, zanim zgrzybiałe i zużyte przyszło do ubogiej chaty w pomoc zgrzybiałemu księdzu, który pochylony podwójnym ciężarem wieku i zgrzytot, siedział na niem naprzeciw komina leniwie płonącego skąpą zbieraniną surowych i zmoczonych drzazg i gałęzi ogrodowych. Ten skąpy płomień kominkowy był konieczną potrzebą wilgotnej pory roku i wilgotnej chaty; i był on jedyną pociechą starca, dla którego lodem wieku i dreszczem osłabienia zziębniętych członków ciepła gwałtem było potrzeba. Lecz dni, tygodnie i lata mijały, a jasny, płomienisty, wesoło płonący ogień kominkowy dla braku suchego i dostatecznego paliwa był ciągle żądzą jeno, marzeniem jeno starego księdza. Czoło więcej jeszcze wyłysiałe spuścił na ciężko oddychające piersi: i zdawał się marzyć — smutno marzyć zapewne, miarkując po ściśniętych zmarszczkach czoła i po boleśnie skurczonych ustach; na całej twarzy przeciągniętej okropnie, rozlewał się wyraz osłabienia, które było skutkiem wieku, i zmęczenia spowodowanngo ciężkimi życia doświadczeniami; wyraz ten, jak zwykle u starców, miał pozór nieczułej obojętności. Ale za to reszta uczucia i reszta życia uciekła do wielkich jego oczu, pogodnych zaw-

sze mimo tylu lat i cierpień, bo pogodnych czystem sumieniem. Tym razem iskrzyły się silniejszym jeszcze płomieniem, bo spoglądał niemi z wyrazem czułości i niepokoju na wnuczkę. Marijka stała oparta o okno, przez które oczami wyteżonemi, ciemno łyszczącemi z głębi obwódek, w które się zapadały pomału, zdawała się błądzić po dalekiej przestrzeni, niepewnie, bez celu; czy po ziemi za liśćmi, które z szelestem wiatr jesienny unosił, czy po niebie za ową szybą niebieską, za gwiazdką na niej. Przykry był jej wzrok ognisty a suchy, bo nie zwilżony żadną łzą, któraby ochłodziła piekący ogień, buchający z łona do oczu. Rysy jej twarzy nie zmieniły się prawie; zawsze pełne uroczego wdzięku, nabrały jeno surowej nieruchomości posągu, do którego nawet podobną ją robiła ta blada, żadną barwą nieożywiona białość jej liców. Ten obrazek domowy w skąpem oświetleniu tlejącego kominka i długo nieobjaśnionej świecy, która z drugiej izby niejasnawe smugi światła rzucała po ścianach, miał w sobie szczególny powab jakiegoś nieustannego w marzeniach rozplywającego się smutku. Cały wyraz odrębny tego obrazka odbijał się najżywiej i najwyraźniej na twarzy jeszcze jednej, należącej do tego obrazka, a która występuje niewyraźnie z cienia. W kącie między drzwiami i kominkiem stał oparty biedny Jurko i wzrokiem prostego ale głębokiego współczucia śledził zasmucone spojrzenia starca i dziewczicy. A mimo wyrazu niepojętnej i głupowatej nawet prostoty, widocznej na jego twarzy, łyszczął w jego oczach cały dowcip pocziwego, pojętniejszego nad tępą głowę serca.

Milczenie jakie panuje w izbie księżej, jest chwilowe tylko, jest to jeden z przestanków zamyślenia, przerywających długą i męczącą rozmowę między dziadkiem i córką. Jest to tylko chwilowe wytchnienie w czasie rozmowy męczącej zaprawdę; bo ta rozmowa między nimi, rozmowa jednościągła i ważna, nie dziś zaczęta i nie jutro skończy się zapewne.

— „Córko moja! Marijko! ty mnie nie słuchasz! ty nie odpowiadasz ojcu!...“

— „Ojczy! daruj, ale ja radabym już leżeć w spokojnym grobie i radabym lata mi przeznaczone dołączyć do twoich lat, mój ojczy! Ty byłbyś pożyteczniejszym odemnie, bo głowa twoja, mój ojczy, i serce twoje młodsze daleko od mojej głowy i serca; ty, drogi ojczy, zdolny jesteś żywszych jeszcze i myśli i uczuć, dla ciebie świat i ludzie mają jeszcze barwy weselsze. Coż ja winna, mój drogi, mój biedny ojczy, że wszystko w czarnej jeno widzę barwie!“

— „Ej pannunciu! nie taki czarny czort jak go malują!“ ozwał się dobroduszny Jurko.

— „Dobrze mówisz, pocziwy Jurko!... nie tak czarny jest szatan jak czarni są ludzie.“

— „Marijko! biedny ja sluga boży, który własnego dziecka nie mogę przekonać ani słowem bożem, ani słowem człowieczem.“

— „O, ja grzeszna! grzeszna! mój ojczy! grzeszniejsza niż mniemasz; bo okropne, straszne myśli, jakie się biedzą w głowie mojej od czasu owej burzy, która mi wyrwała wszystko co było

w łonie żywego i ludzkiego; i jak na stepie, który wichur obnażył ze wszystkiego, co żyło na nim i piękne i barwne, i wypalił aż do korzenia wszystko, co bujało i rośło kwiatem i zielonością, nic nie zostało jeno popiół, i nic nie rośnie jeno zjadliwe rośliny, i nic na nim nie żyje jeno gady. Mój ojczu! chęć zemsty olbrzymieje we mnie z niepoohamowaną żądzą, a ta zemsta, im się więcej w nią wpatruję, im się więcej z nią oswajam i ku niej tęsknię i usycham, ta zemsta jakby chmura złowroga coraz szerzej i dalej się rozsuwa, i wszystko, wszystko w koło mnie zdaje się obejmować.“

— „To ci moja córko dzwoni na gwałt potrzebą odrodzenia. Tak jest, odrodzenie jest zaiste potrzebne bardzo i postępuje pomalą, leniwie, ale postępuje przecie. Ty tylko ślepotą nienawiści dotknięta tłumaczysz odrodzenie zemstą. Wierz mi Marijko, zemstą możesz zniszczyć, zabić, ale nic nie odżywisz, nic nie odrodzisz.“

— „Czy pamiętasz ojczu, co nam mówił czystym, niezaputym jeszcze zapałem młodzieńca przyjęty ksiądz Anastazy, gdy nas odwiedzał odjeżdżając do swojej parafji?“

— „Ksiądz Anastazy może mieć zapał młodzieńczy, ale żadnego nie ma doświadczenia; nieszczęśliwe dziecko naszego wieku przesilenia, powtarza najgłośniejsze wrzaski tego wieku bez najmniejszego przekonania własnego, którego nabrać nie miał czasu.“

— „A żeby dobrodziej wiedział, jak się w cerkwi kłaniał nisko grafowi, a osobliwie grafini, która na niego ciągle patrzyła przez te szklane oczy, które ciągle w rękę trzyma.“

— „Czyliż bez przekonania były owe słowa“ mówiła dalej Marijka, nie zważając na uwagę pocziwego Jurka „gdy nam mówił jakby słowami proroczymi, że tylko burza oczyścić może powietrze, a burza ślepo niszczy i burzy. I czyliż to samo nie powtarzają temi lub innemi słowy wszyscy prawie z okolicy twojej, mój ojczu, towarzysze w służbie bożej, wszyscy prawi nasi współwyznawcy?“

— „Moi towarzysze okoliczni młodszy daleko odemnie, porodzili się już w złych i smutnych czasach. Nie widzieli oni tych, które ja jeszcze zapamiętam, lepszych czasów; idą za napływem namiętności osobistych, a nie chcą sumienną pracą zbadać przeszłości, by z niej zrozumieć, jakie wszystkich powinny łączyć obowiązki.“

— „Mój dobry ojczu! u ciebie wszystkie myśli i przekonania, i wszystkie życia rzeczywistego pową, idą pod ostateczny sąd twego serca, które ma nie człowieka, nie ziemskie, ale aniołów miłosierdzia.“

— „Świętą prawdę pannuncia powiedziała“ zawołał mimowolnie półgłosem pocziwy diak, a tak ją snać żywo uczuł, że aż mu się ły zakręciły w oczach i nawet milczkiem przeżegnał się, jakby przy słowach świętej ewanielji.

— „I kiedy już koniecznie do stwierdzenia własnych zdań potrzebujesz obcej pową, ważniejszej dla cię nad ojcowską, dla czegoż moja Marijko biedna, nie usłuchasz i nie uwierzysz słowom twojego narzeczonego?“

— „Ja nikomu narzeczoną nie jestem!“ mruknęła cicho Marijka, połykając mimowolne westchnienie.

— „Oj dobry to i poczciwy pan!“ mruknął także Jurko po cichu.

— „Czemu nie pamiętasz“ mówił dalej starzec, nie zważając na przerywających, których może i nie słyszał „na słowa Kazimierza, które tu mówił, gdy się z nami żegnał.. Czemu nie uważasz na całe jego postępowanie? Wszakże i on był równie tobie zapalony zemstą, którą sobie tak jak i ty tłumaczył w jak najobszerniejszym rozumieniu.“

— „Kazimierz jest dobrym człowiekiem, ale był zawsze słaby... a teraz zbudził się w nim szatan szlacheckiej dumy i próżności.“

— „Czynisz mu niesłusznosc moja Marijko; w nim się zbudził nie szatan szlachectwa, ale szlachetne chęci i dążności. A winien je zastanowieniu się nad całym położeniem naszym społecznym i sumiennej nauce, która padłszy na jego czysty umysł, objawiła mu jasno i wyraźnie swoje prawdy, niepodobne oczywiście do próżnych przesądów. On jest szlachcicem, jest nim zapewne; wszakże i ja i wielu z naszych jesteśmy także szlachtą.“

— „Ale my jesteśmy rusini!“

— „Toż samo i on — i coż z tego? To jest tylko różnica ob- rzęduki i nic więcej; chwalimy przeto jednego Boga, czy po rusku czy po łacinie, i modlimy się też, przynajmniej modlić się powin- niśmy do tego jedyne go Boga naszego i ojców naszych.“

Diak wyszczerzał oczy i nateżał głowę jak mógł, by zrozu- mieć swego dobrodzieja; ale snąć mu to nie szło łatwo, bo mimo całego przeświadczenia swego o wyższości umysłowej księdza, na te ostatnie słowa zaczął nieznacznie kiwać głową.

— „I Kazimierz to rozumiał, moje dziecię, i nie zważając na Gniazdowskich i jemu podobnych, sam chce siebie wykształcić, na wyższe podnieść stanowisko; chce tem samem dać przykład większości jeszcze jędrnej, jeszcze żywej, która potrzebuje wielu przykładów, wiele poprawy, ale jest jeszcze zdolną poprawy i warto pomyśleć o jej poprawie. Kazimierz to rozumiał, pojął, żeby się stać silniejszym i godniejszym naszego przeznaczenia, trzeba się zrzec dzielących przesądów, trzeba zgody i jedności, do której i on i my córko wszyscy przystąpić wszystkimi siłami powinniśmy, po- mnąc, żeśmy wszyscy na jednej zrodzeni ziemi. Poprawmy się, a nie mścimy się inaczej jeno obojętnością. To ja nazywam moja córko, pojąc godne naszego wieku przesilenia, to ja nazywam odro- dzeniem, ale nie ową burzę, o której, jeżeli ksiądz Anastazy na prawdę marzy, nie jest prawdziwym tłumaczem słowa bożego i wy- rzeka się najświętszego nczucia braterskiej zgody.“

Z mimowolnem wzruszeniem słuchała córka ojca, a diak pocz- ciwy choć niewiele rozumiał, słuchał dobrodzieja z tem nateżeniem, z jakim się mu w cerkwi przysłuchiwał. Smiesznie poważny był wyraz twarzy jego i wszystkie ruchy jego rąk, które to załamywał, to wznosił do góry.

— „Ten to szatan niezgody!“ mówił dalej stary książę ruski, a twarz jego łyaskała dziwnie pięknem natchnieniem, jakby Bóg wi- domie wstąpił w niego. „Ten to szatan niezgody jest naszym wro-

giem największym: nie wzywajmy go, ale raczej aniołów zgody zaproszmy modłami naszymi z góry. Tego szatana jeno rozumem zakląć można, rozumem, którego by nabyć i wynaleść sposoby odgonienia go od nas, uczył się i pracował nasz Kazimierz, a teraz wyjechał, by poznać i własne i cudze społeczeństwa, wady jednych i zalety drugich. I zapewne wyjechawszy z chęcią wyszukania pożytku, pożytek przywiezie! Módlmy się z pokorą moje dziecię, o powrót szczęśliwy, i pomagajmy mu w jego przysłem posłannictwie pożytku i zgody, które sam wziął na siebie; nie przeszkadzajmy mu przynajmniej; nie przymnażajmy mu jeszcze trudności. A jak wróci, co niedługo nastąpi, bo on ciebie szczerze kocha, chociaż niby szlachcic, a ty popówna tylko, czyliż nie nęci ciebie nadzieja dzielenia jego prawych i szlachetnych dążeń. Bo jak to przepowiedziałem, on wróci z tem koniecznym przekonaniem: że każdemu, a mianowicie majątniejszemu obywatelowi tej naszej chlebobajnej ziemi i tego naszego narodu rolniczego, najgodziwiej przystoi obracać swoje dostatki i swoje siły umysłowe na uprawę roli i uprawę tych biednych wieśniaków, co na tej roli mieszkają. Nie dla nas życie zbyt-kowne miejskie, dobre dla narodów fabrycznych; dla nas mieszkanie na wsi, mieszkanie z dobrą myślą w głowie, a z dobrą chęcią w sercu. Na tej tylko podstawie podobne jest odrodzenie, czyli poprawa; na tej tylko podstawie nastąpić może zbliżenie się. A my księża w naszym położeniu, mamy najświętsze posłannictwo, najświętszy obowiązek — być pośrednikami!“

— „Nie, mój ojcze! to są utopiczne marzenia! naszym posłannictwem na tej ziemi jest rachować cierpliwie aż do czasu wszystkie krzywdy, upokorzenia, wszystkie cierpienia nasze.“

— „Czyliż nie możesz zapomnieć o tych niegodziwych Gniazdowskich?“

— „Alboż tylko oni jedni są tacy?“

— „Wierz mi córko, już ich nie wielu! Pogardź Gniazdowskimi wraz z Kazimierzem, a rzuć oczy niżej nieco na większość towarzyszy Kazimierza, którzy się przecie z długiego snu lenistwa opamiętują i biorą się do sumiennej pracy, wyrzekłszy się spruchniałych przesądów mniejszości.“

— „I cierpieć tymczasem, i ciągle cierpieć, i wszędzie patrzeć na cierpiących. Popatrz ojcze na tę chatę... Ojcze! ojcze! ty nawet nie masz kilku polanek suchych do kominka... To krzesło nieszczęśliwe, twemu sędziwemu wiekowi potrzebne, z jakimiż to ofiarami nabyliśmy, aż na tandecie, gdzie je już zbytek wyrzucił, jako sprzęt niepotrzebny.“

— „Prawda moja Marijko! Ja jestem biedny i wielu jest jeszcze biedniejszych odemnie kolegów moich; ale znając biedę, łatwiej nam przemawiać do biednego ludu, łatwiej nam apostołować zgodę!“

— „Nie! Nie! Nigdy!“ zawołała Marijka z dzikim zapałem.

— „Twoja żądza zemsty wykopuje grób mój!“

— „Ojcze! Ojcze! Daruj mi!“ krzyknęła wyciągnawszy ręce ku starcowi.

— „I czyliż nareszcie nie zemścił się już Kazimierz na Alfreddie Gniazdowskim?“

— „Nasze drogi Kazimierza i moja, rozeszły się już, by się podobno nigdy nie spotkać — on się zemścił po swojemu: wolno mu było! — ja inaczej zemstę rozumiem... moja zemsta!...“ Raptem urwała; palce i oczy wyteżyła z dziwnym wyrazem ku oknu, jakby tam coś okropnego ujrzała. — „Co to!“ krzyknęła głosem przestraszonym „tam... widomie stoi potwór zemsty mojej... dodała jękając się i bezmyślnie prawie.

Jurko skoro zobaczył przestrach na twarzy Marijki wyskoczył z kąta swego i wyciągnął szyję ku oknu, by zobaczyć powód tego przestachu.

W tej chwili stary pies duży, na dziedzińcu leżący, zaczął żałośnie ujadać; i Jurko śnać coś zobaczył, bo jak mógł najprędzej wysztychulał za drzwi, zawołaawszy ku zostającym w izbie:

— „To dziad być musi!“

Jakoż po chwili wszedł Jurko nazad prowadząc za sobą jakiegoś człowieka dziwacznie przystrojonego; te różnorodne i podarte łachmany na nim zdawały się popierać zdanie doświadczonego Jurka. Kij wielki w rękę i torba wreciana zawieszona przez plecy, robiły go w rzeczy samej podobnym do dziada; twarz zaś jego opalona okropnie, barwę cygańską prawie mająca, pokryta cała pryszczami, której brakowało pół nosa przyplaszczonego okropnie, była w rzeczy samej tak potworną, że mogła niezawodnie, pojawiona nagle przez okno, wzbudzić niemało przestachu. Najokropniejsze było na tej twarzy spojrzenie krzywe, niepewne i błędzące nieustannie po wszystkich przedmiotach; spojrzenie to oczów zywotnych miało pozór szczególnego fałszu. Zdawało się, że niemi ciągle szpieguje, jakąś zdradliwą poruszony myślą. Najdziwaczniejszą w jego powierzchowności była część ubrania, mianowicie kamizelka i chustka, porządnie koło szyji związana, będące w dziwnym przeciwieństwie z obdartą płótnianką, na której wisiały łachmany jakiejś starej siermięgi, i wreciana torba. Na zdziwione spojrzenia wszystkich, zwrócone na niego, odpowiedział nowo przybyły wzrokiem zuchwałym, którym się przez chwilę wpatrywał w starca i w jego wnuczkę; a nawet uśmiech szydereo³ złośliwy wystąpił w około jego grubych i wywróconych ust, który jeszcze brzydszą wydał twarz jego.

— „No mówcież człowieku czego chcecie?“ przemówił Jurko przypatrujący mu się z nieufnością widoczną, dzieloną przez wielkiego kundysa, który wkradłszy się za wchodzącymi do izby, obwąchiwał przybylsza z widoczną niechęcią.

— „Zkąd jesteś przyjacielu? dodał stary ksiądz.

— „Z daleka, z bardzo daleka mój jegomość!“

— „Cóż was tu sprowadza do nas?“ zapytała Marijka wpatrującą się z rodzajem przerażenia.

— „A zna panna księdza Anastazego?“

— „Księdza Anastazego?“ zawołała zdziwiona dziewczyna.

— „Aha!... Aha!...“ odpowiedział przybyły z głośniejszym szyderskim śmiechem.

— „No mówcie, mówcie! Kto wy jesteście?“ dodał zniecierpliwiony Jurko i mimowolnie plunął w dłonie, jakby się do bójki zabierał, czemu znowu stary pies głośniejszem warczeniem zawtórował.

— „Ja się nazywam Maćko Ryzun! I cóż wam z tego, że znacie moje nazwisko?“

— „Czy macie może list od księdza Anastazego do nas?“ zapytała znowu Marijka.

— Listu nie mam moja panienko, ale kazał mi nasz ksiądz Anastazy pozdrowić waszego dziadka, a pannie pięknie się pokłonić. Więc ja przyszedłem, by wypełnić to zlecenie.“

— „Cóż was w nasze strony przyprowadziło?“ zagadł starzec.

— „Albożto człowiek dla tego że nie jedzie wozem, ale chodzi pieszo, nie może mieć swoich interesów?“ odpowiedział zagadniony głosem zuchwałym; lecz nagle zmienił głos swój i z piskliwym przyciskiem, żebrackiej prawie pokory, zaczął mówić dalej: „Ot zwyczajnie biedny człeczysko przyszedłem do waszego chlebnego kraju; może się tu wyżywię, może zarobię, może co zarobię przecie... taj ezłowiek zobaczyć chciał trochę świata,.. ot bieda, moja panienko, gorzej psa uważają... Czy i u was tak moja śliczna panienko? Ksiądz Anastazy mówił mi, że wy tu jedyni w całej okolicy macie dobre serce.... to też sami nic nie macie, a drudzy w złocie i srebrze się kąpią.“

— „Umiecie zapewne jakie rzemiosło?“ przerwał stary ksiądz.

— „Oj czy jedno mój jegomość; trochę ja rymarz, trochę ja umiem flikować stare graty; ale co to pomoże, taki biedak nigdzie nie znajdzie.“

— „Dla czego? kto chce, to zawsze znajdzie robotę“ przemówił znowu nasz djak nieudobruchany dotąd.

— „Może u waszych grafowstwa?“ zapytał Maciek z rodzajem szyderczej złośliwości. „Przechodziłem teraz koło ich pałacu; taki tam wrzask i pisk, jakby kogo zarzynali, a przytem aż grało, jakby jaka muzyka balowa...“

Gorzki uśmiech wystąpił na twarz Marijki. Diak zaś poskrobawszy się w głowę nie bez złośliwego uśmiechu odpowiedział:

— „A! to już się dzień zaczął u nich!“

— „Już późno moja Marijko!“ ozwał się starzec podnosząc się pomału z krzesła swego, może w chęci przerwania tej rozmowy, „A wy poczciwy człeczko, może przenocujecie w piekarni.“

— „Albo chodźcie do mojej chaty!“ dodał poczciwy Jurko.

— „Dziękuję jegomości — to już pójdę chyba z waszym diakiem. No chodźmy już — a powiedźcie mi“ dodał zwrócony do diaka „co to znaczy, że się u nich teraz dzień zaczął?“

— „Wy bardzo ciekawi jak uważam!“ odpowiedział diak już za drzwiami.

I wkrótce cichość panowała w dworku księdza ruskiego.

V.

Aby zrozumieć powiedzenie diaka, które taką ciekawość wzbudziło w Maćku Ryzunie, wypada nam przenieść się do pałacu

w Krzewińcach, który po dwuletnim opuszczeniu od niedawna znowu zamieszkały, wzbudzał w rzeczy samej niemało ciekawości w okolicy. Kto bowiem tylko w dzień przejeżdżał przez Krzewińce, niemało głowy nakiwał i nałamał sobie, widząc szczególną cichość i osamotnienie pałacu. Jak gdyby wszystko w pałacu umarło, taka panowała cisza głucha; wszystkie drzwi i okna szczelnie pozamykane zdawały się świadczyć o zupełnem niezamieszkanu. Dwie tylko galonowe widety stały nieruchomie przy dwóch bramach zajezdnych pałacu; zdawały się pilnować tego jakby czasem jakiego w milczenie zakłętego gmachu. Była to przezorność bardzo potrzebna. Trafiło się bowiem kilka razy, że dobrze znajomi rodziny Gniazdowskich wieścią o tej dziennej nieruchomości pałacu poruszeni, zapędzili się ku bramom pałacowym; lecz widety galonowe zaskoczyły im drogę i zwracały nazad krótkimi słowy: „Państwo spią!“ Za to ktokolwiek w nocnej dobie przejeżdżał przez Krzewińce, uderzał go widok pałacu oświetconego rześcicie jakby na bal, lub raczej na pogrzebową wystawę, bo ta sama prawie w śrdku panowała w nocy jak i w dzień cisza, rzadko przerywana głosem muzyki jakiejś, grającej zdaje się po pustym gmachu. I przez całą choćby najdłuższą noc; pałac błyszczał jasno gorejącem światłem, co mu wpośród ciemności i ciszy nocnej nadawało jakiś szczególny pozór fantastyczności. Byli ciekawi sąsiedzi, którzy niezważając na ciemną noc, przez dziury i bajury pędzili do zaczarowanego pałacu krzewinieckiego. Ale nieruchome widety galonowe stały u bram obydwóch, i nisko kłaniając się przejeżdżającemu, odprowadzały ich krótkimi słowy: „Niema państwa w domu.“ Rozmaite krażyły po okolicy domysły o pałacu i o jego mieszkańcach; oczywiście najdziwaczniejsze i najsprzeczniesze, ale mimo piekającej wszystkich ciekawości, nikt nie mógł znaleźć prawdziwego słowa zagadki.

— „To modna żaloba!“ powiedział któryś z parafianów okolicznych i trafił choć nie do prawdy może, ale przynajmniej do przekonania większości.

Trzeba bowiem wiedzieć dla zrozumienia tego konceptu, że w pałacu krzewinieckim mieszkali prawie od roku sami tylko młodzi Gniazdowcy, to jest pan Alfred i panna Izabella. Starzy Gniazdowcy pomarli wkrótce po owych smutno zakończonych zaręczynach, niekoniecznie jednakże w skutek wynikłej ztąd gryzoty. Po śmierci rodziców niedługo już mieszkali Alfred i Izabella w stolicy, która im obmierzała w skutek awantury szpicrutowej i nieudałych zaręczyn. Jakoż gdy i ten i owa coś napomknęli o tych dwóch nieszczęsnych wydarzeniach, wprawdzie po przyjacielsku ale zawsze z przyciskiem; a mianowicie po śmierci starych Gniazdowskich, gdy pokazało się, że stan majątkowy był bardzo smutny, bo były wprawdzie dobra znaczne, ale też i długi były ogromne, nie wypadało i nie miło było zostać dłużej w stolicy. Zdecydowali się zatem wyruszyć do Krzewińec, myśląc, że zdołają skapem życiem na wsi poprawić zmagmatowania majątkowe. Oczywiście bowiem ani chcieli temu wierzyć, że cały ich byt pozorny spoczywał w spryacie adwokatów. Oni myśleli, że to tylko przechodząca kryzys, z której w końcu pan zawsze

panem wyjdzie na wierzch, a wierzycciele jeżeli w dół spadną, to mniejsza o chudeuszów głupich. Do przyczyn wyjazdu pana Alfreda i panny Izabelli do Krzewiniec, gdzie postanowili razem mieszkać, dodać należy jeszcze tę najważniejszą, że się niecierpieli oboje nad wszelki wyraz. Hrabianka nie mogła darować bratu tej podwójnej krzywdy, że nie poszła za mąż i że tylko co nie poszła za takiego niegodziwca, jakim był oczywiście w jej oczach nasz bohater. Hrabia nie mógł darować siostrze, że jej złośliwie głównie podszeptom przypisać należało pierwszą Kazimierzowi wyrządzoną krzywdę. Nienawidzili się nareszcie dla tego właśnie, że oboje obdarzeni złośliwością niemającą się gdzie rozejść na rozmaite przedmioty, radzi byli i doskonale umieli złośliwości tej próbować na sobie, jako na najbliższych i najczęściej ścierających się między sobą osobach. I czyliż można lepiej wyrzucić nienawiść swoją, jak we wspólnem pomieszkaniu na wsi, w samotności, gdzie zdybując się codzien, co chwilę, można się codzien i co chwilę dręczyć temi wszystkimi domowemi ugryzkami zgrabnie osłoniętymi, temi kluciami szpilkowemi z uśmiechem na ustach i grzecznością w mowie. Jak postanowili tak zrobili, i rozpoczęli od roku to ciekawe i samotne życie w Krzewinicach, którego nocne pojawy wzbudziły ciekawość wędrującego Maćka, a które by poznać bliżej, udajmy się teraz do pałacu krzewinieckiego, gdy wszyscy już na wsi usypiają.

Ruch wzmagał się w pałacu krzewinieckim, ruch to był codziennego życia hrabiego i hrabianki, które codzien było jedne i niezmienne. Jakoż aby je zrozumieć, udajmy się najprzód do skrzydła zamieszkałego przez hrabiego Alfreda.

W dosyć wielkim saloniku na samym środku stało wielkie krzesło poręczowe, a na nim hrabia Alfred w tyftykowym szlafroku, w mycce pasowej nakszałt fezu tureckiego i pantoflach bogato haftowanych, z długim cybuchem w ustach. Hrabia Alfred był nadzwyczajnie zmieniony. Z schudego i kościstego młodzieńca zrobił się tłusty i podsadkowaty jegomość; lecz ta otyłość nie była dowodem zdrowia, przeciwnie, żółta i nalana cera twarzy przy zapadłych i zagasłych oczach, przy wiszących policzkach i wywróconych wargach świadczyły, że to była otyłość chorobliwa i napuchła. W jednej ręce trzymał hrabia zwit papierów, którym to machał po powietrzu, to w takt uderzał o stojący przed nim pulpit z nutami. Naprzeciw niego po pod ścianę w rząd ustawionych stało piętnastu ludzi z rozmaitemi instrumentami muzycznymi, tworzącemi razem kapelę dworską. Patrząc na te twarze wszystkie i na ubiory dosyć skąpe a nawet mocno zaniedbane, składające się po połowie z płóciennych szarawarów i ruskich butów chłopskich, a po połowie z kurtek niby kozackich, poznać było można od razu, że się ta kapela cała składała z wieśniaków krzewinieckich, których hrabia Alfred wielki miłośnik muzyki, sam kształcił na muzykantów. Podobało się panu hrabiemu mieć nadworną kapelę, więc zwoławszy gromadę, wybrał sobie podług swego widzimisię najpokorniejszych, i rozdawszy między nich flotrowersy, trąby, pikoliny, skrzypce, żele i bębny, naznaczył każdemu instrument, na którym musiał się kształcić i musiał się

nauczyć. Kapelmistrzem do tej zaimprovizowanej kapeli wybrał jakiegoś wędrującego muzyka, mającego trochę talentu i mającego prócz tego na znak swojej nad kapelą władzę wielką i zawieszistą nahajkę, którą wedle patrzeby i rozkazów codzień ćwiczeniu muzycznemu obecnego pana, wlewał w muzykantów talenta, ochęć i postępy muzyczne. Owóż takie ćwiczenia odbywały się codzień trzy razy; przed śniadaniem, po obiedzie i przed spaniem, to jest wedle podziału czasu w Krzewińcach: wieczór, po północy i nadedniem.

Prócz zamiłowania muzycznego, które pan Alfred objawiał rozmaitemi ruchami rąk i nóg, niecierpliwościami się krzykami i telegraficznymi znakami, które dalej pan kapelmistrz telegrafował nahajką, — do głównych przyczyn tej przez rok już prawie cały ciągnącej się zabawki muzycznej, należała jeszcze odraza do wszelkiej muzyki panny Izabelli, która twierdziła, że jej nerwy spazmatycznym napadom podległe, nie mogą znieść tego całego hałasu, powtarzającego się przez całą noc prawie. To też huabia Alfred rad z tej dowcipnej złośliwości swego wymysłu, wybierał zwykle najgłośniejsze i najwzraskliwsze utwory muzyczne, których huk przeraźliwy był prawdziwą męczarnią uszów. A nawet często po obiedzie próby odbywał hrabia Alfred w głównym salonie i najgrzeczniejszymi słowami kazał siostrze podziwiać postępy tych, jak się wyrażał mudiów.

Dzisiaj wypadł pan Alfred z pokoju sypialnego w gorszym niż kiedykolwiek humorze, i śnać naumyślnie kazał odegrywać przed sobą najgłośniejszy i najtrudniejszy razem utwór jakiś nowszy, który oczywiście szedł szkaradnie, bo biedni muzykanci nie umieli sobie dać rady z nagromadzonemi trudnościami. To też jenerałbas kapelmistrza w ogromnym był ruchu.

Na skrzydle szeregu grających stał porządniej nieco ubrany z kozacka, tęgiej budwy, młody człowiek. Rysy twarzy jego były regularne, a co więcej miały w sobie wyraz jakiegoś smutku, nadającego całej twarzy coś szlachetniejszego nad zwykły wyraz naszych biednych wieśniaków. W tym smutku zdawała się przebijać myśl jakaś zamknięta w głębi piersi, zaciśnięta konwulsyjnie zwartemi wargami, które czasem tylko zadragały i wówczas myśl ta wybiegała iskrami oburzenia do wielkich i pełnych oczów niebieskiej barwy: wówczas spojrzenia jego rzucane na hrabiego Alfreda były okropne, złowrogie. Grał on na skrzypcach, i jakkolwiek nie po mistrzowsku, przyznać trzeba było, że grał najlepiej z pomiędzy kolegów swoich; to też mimowolnem kiwaniem głowy uradowany oddawał mu tę sprawiedliwość pan kapelmistrz. Nie tak jednakże sądził sam jasny pan, ciągle bowiem krzywił się i krzyczał na niego.

— „Teodor gra fałszywie!“ krzyknął po raz dziesiąty.

— „Panie Smyczku! uważaj na Teodora!“ zawołał jeszcze niecierpliwiej i ręką skinął znak telegraficzny, nahajkę przekazany oczywiście.

Pan Smyczek mimo całej usłużności swojej udał tym razem, że nie dosłyszał słów, czy telegrafu nie zrozumiał i zamiast skrzypców, dostała trąba po plecach.

— „Teodor! głowa do góry!“ wrzasnął znowu pan hrabia.

— „Panie Smyczku, uważaj przecie aspan! bardzo proszę, i nowy jeszcze jaśniejszy skinął mu telegraf.

Pan Smyczek wypełnił tym razem jedną tylko połowę zlecenia i powtórzył groźnie:

— „Teodor! głowa do góry!“

Teodor nie podnosił głowy; może i naumyślnie; po prawdzie nie mógł jej bardzo podnosić, grając na skrzypcach.

— „Uparty lotrze!“ wrzasnął przeraźliwie pan Alfred i skończywszy z krzesła, wyciągnął cybuch jakby dzidę i pomknął z nią wprost ku skrzypkowi. Gdyby był się z twarzą nie umknął, byłby oko postradał, tak doskonale dzida cybuchowa była wycelowaną. I tak mocny był impet pana hrabiego, że nie mogąc razu wymierzonego wstrzymać, uciał cybuchem tak silnie o ścianę, że się aż bursztyn w tysiące rozleciał kawałków. Mimowolny uśmiech szyderczy wystąpił na wszystkich twarzach, nawet pan Smyczek musiał sobie przez dyplomatyczną przeczność zakryć usta nahajką.

— „Łotry!“ pisał hrabia w najwyższej wściekłości. „Przez trzy dni oochlebie i o wodzi... a Teodor w dyby! Panie Smyczek dziękuję aspanu za piękny porządek; odwdziczę się aspanu przy porachunku.“ I wybiegł hrabia Alfred ogromnie zapyrzony.

W drugiej oficynie panowała także burza. Hrabianka Izabella w wielkim czepcu nocnym i w pudermantlu dosyć brudnym, co doprowadziło oczywistą już jej rezygnacją, biegła pomiędzy kilkanaście krosien rozstawionych we dwa rzędy, wzdłuż podłużnego saloniku. Przy krośnach tych siedziały dziewczęta widocznie ze wsi wzięte i podobnie muzykantom hrabiego Alfreda poprzebierane skapo, brudnie i obdarto, z chłopska po dworsku. Biedne dziewczęta wyglądały wszystkie smutne, blade i wychudzone okropnie; ciągłe siedzenie w powietrzu zamkniętem odebrało im wszelką barwę zdrowia; tęsknota za domem, praca nieustanna pokryła ich twarze żółtą i chorobitą bladością; a oczy zaczerwienione świadczyły, że niewesołe było ich życie. Panna hrabianka rozmiłowała się nagle w haftach, których nieskończone już składy miała wyrabiane we łzach i westchnieniach przez te wiejskie dziewczęta. I codzień zerwawszy się z łóżka, wybiegła hrabianka i robiła przegląd, czy wszystkie wydane wczoraj roboty są już ukończone, a że zwykle nie mogły być jeszcze ukończone, musiały biedaczki kończyć przy grajcarowych ciemno świecących łożówkach, tak że zwykle ledwie po parę godzin przespać się mogły. Ten przegląd codzienny był męczarnią okropną dla robotnic, bo hrabianka nigdy całkiem zadowolona nie była, więc następowały codziennie parogodzinne terkotania i łajania bez końca i gęste szturkania z całą szczerością rozdawane. I aby się choć cokolwiek wywdzięczyć za muzykę braterską, po obiedzie zwykle przynosiła hrabianka do salonu mnóstwo takich haftów, które jeden po drugim nudnie i rozwlekle pokazywała panu Alfredowi, i oczywiście bawiła go przytem mnogimi dysertacyami o wzorkach rozmaitych i talentach swoich haftarek. Pan Alfred wściekał się wewnątrz, ale słuchał jednakże z całą przyzwyczajoną i powagą najlepiej zachowaną. Zabawne ztąd nieraz bywały sceny. Na rozkaz hrabiego ka-

pela grała zagłuszające dysonanse, a przez ten czas hrabianka otaczała hrabiego Alfreda wieńcem haftów i obsypywało go stu wzorkami rysunkowemi i haftowemi. Były to przyjacielskie zabawki kochającego się rodzeństwa.

Hrabianka była tym razem w fatalnym humorze. Terkotanie było podwójne, łajania szły jak z płotka a szturkańce i kuksy sypały się gradem na biedne dziewczęta, Największą część krzyków i bicia dostawała dziewczyna siedząca na roga, najprzystojniejsza ze wszystkich i zdrowszej od wszystkich wyglądająca — była to w rzeczy samej najlepsza z haftarek panny hrabianki; ale tym razem inaczej się wydawało jasnej pani.

— „Ten kwiat jest krzywy, ta gałązka większa! krzyczała hrabianka.

Dziewczynka nic nie odpowiadała.

— „Cóż to za ściegi? czy widzisz, grube okropnie!“

Dziewczyna milczała i robiła dalej.

— „Czemu milczysz mały, kiedy gadam do ciebie!?“

— „Cóż pani każe?“

— „Pani! Czy nie wiesz mały żem hrabina!“

— „Co pani hrabina każe?“

— „Czemu nie odpowiadasz, czemu ócz nie podniesiesz?“

I silny szturkaniec w brodę dany podniósł zgrabnie twarz dziewczyny.

— „Cóż pani hrabina każe odpowiedzieć?“

— „Czy to dzierganiem u ciebie mały?“

— „A dzierganie...“

— „Jeszcze odpowiadasz“ pisnęła hrabianka pełna złości „A wy mały czemu rozdziawiacie gęby, poczekajcie dzisiaj pościć będziecie, a Helena przez trzy dni siedzieć będzie o głodzie.“ I wyleciała w szalonym gniewie aż furknął pudermantel.

Do zaokrąglenia i lepszego zrozumienia tej sceny, musimy jeszcze przenieść się do jednego ze środkowych salonów, w którym przebrawszy się nieco pan hrabia Alfred i hrabianka Izabella, zasiędlili codziennym zwyczajem do śniadania. Do dwóch filiżanek herbaty cieniutkiej, kilka kawałków bułki skapo masłem posmarowanej i talerzyka pokrytego przezroczytymi okrawkami szynki, stańło za stolikami państwa czterech lokaj ugalonowanych, którzy oczywiście nie mają co tam robić, stoją jeno dla pańskiej prozopopei i patrzą pożądliwemi oczami na to śniadanie, które jakkolwiek skape, wzbudza w nich głód zawzięty, nigdy należycie niezaspokojony. W pałacu albowiem krzewinieckim oszczędności systemat doprowadzony był do najwyższego stopnia. Oboje rodzeństwo kłóćące się we wszystkim, zgadzali się na punkcie ekonomii politycznej, którą tłumaczyli sobie najbrudniejszym sknerstwem. Lokaje nieszczęśliwi dostawali stancyę, protekcyę i galonów trochę, codziem chowanych do kufr; wikt zaś był na opatrności boskiej; bo i główna onego podstawa, to jest wylizywanie półmisków nadzwyczaj skapych, nie mogła całej zgrai lokajów dawać dostatecznego pożywienia.

W czasie śniadania państwo było zupełnie prawie milczenie, bo

oczywiście rodzeństwo nie rozmawiało przy służbie. Przy wejściu tylko przywitali się nadzwyczaj grzecznym ukłonem, i powiedziawszy sobie parę uprzejmych wyrazów przywitania, usiedli na zwykłe miejsca swoje. Nastąpiły potem codzienne pytania, mechanicznie powiedziane, o przebytym śnie, o pogodzie, przeplatane nieustannem łajaniem i terkotaniem biednych galonowców. Dopiero gdy po śniadaniu podano im letnią wodę do przepłukania zębów, zwyczajem nawiasem powiedziawszy może modny, wszędzie używany, ale obrzydliwy niepospolicie: gdy poprawiwszy lampę na stole, wyszli lokaje, rozpoczęła się zwyczajna codzienna rozmowa przycinkowa, ale zawsze zachowująca się w granicach przyzwoitości. Początek codziennej rozmowy były oczywiście nowości stołeczne, o których wiedzieli zawsze przez listy codzien odbierane i czytane zwykle w łóżku.

— „Księżniczki Kamilli ślub odbył się bardzo hucznie“ odezwała się pierwsza panna hrabianka. Pan Ernest jest zakochany w żonie: „C'est une tres jolie personne et bien riche.“

Była to pigułka dla braciszka bardzo gorzka, bo pan Alfred mimo hrabiowskiej korony dostał od księżniczki Kamilli olbrzymiego kosza.

— „Pan Ernest jest bardzo przystojny i bogaty, „c'est le privilege d' une personne jeune et jolie,“ jak księżniczka, że nie zostają staremi pannami i idą dobrze za mąż.“

Pan Alfred rad z odwetu, aż krzyknął; hrabianka skrzywiła się jak po lekarstwie, ale nie tracąc zupełnie fantazyi, dała szcztka okruszynie leżącej na stoliku i mówiła dalej:

— „Vous avez grandement raison“ Pan Ernest jest to człowiek skończony, pełen szlachetności, „plein d'honneur, na którym ani cienia plamy niema. Przypominasz sobie zapewne „mon cher“ ten jego pojedynek z panem Alfonsem, który mimo rodowitego tchórzostwa swojego musiał się z nim bić, bo pan Ernest nie dałby sobie odmówić.“ Aż się poprawiła hrabianka na krześle, taką uczuła radość, widząc przymuszony i wykrzywiony uśmiech na twarzy brata.

— „Moje wiadomości nie takie wesołe“ wyrzekł po chwili pan Alfred, przybierając twarz do poważnego wyrazu; wierzyciele, nasi biedzą się i ten głupi Mojakowski, chociaż z nas wyrósł, nam winien dziękować fortune, którą zgromadził adwokackim sprytem, pisze do mnie, że nie widzi środków ratowania nas.“

— „Nas ratować!... Taki lejbusiewicz!“

— „Tak się wyraża, bo jakiś tam drugi adwokat nabywa gotówką wszystkie nasze weksle, skrypta dawne i nowsze, i nie tai nawet, że to robi w cudzem imieniu i chęci zlicytowania naszych wiosek na rzecz tego jakiegos anonima.“

— „I cóż to za anonim?“

— „Może jaki z pani adoratorów, chcący w jej ręce oddać całą fortunę „pour faire une surprise.“

— „To może raczej który z pana towarzyszy końskich, jaki kolega szpicrutowy.“

— „Vous etes tres spirituelle ma soeur! jednym słowem, to ja-

kiś człowiek, któremu się podobały Krzewińce z przyległościami, który nas z nich chce „tout bonnement“ wypędzić.“

— „Cóż hrabia Alfred robi?...“

— „Je suivrai votre exemple comtesse Isabelle?“

— „Bogata herytiera a...“

— „Bogaty raczej kawaler. „tout jeune et fort et beau.“

— „Gdyby nie kosz księżniczki Kamilli i wszystkie inne kosze, których rachunek straciłam.“

— „Une occasion perdue ne se retrouve jamais“ trzeba było się trzymać „ma chère amie“ tego poczeiwego rusina, tego czy ekonomczuka czy popowicza... jakże to on się nazywał?...“

— „Vous avez oublié son nom...“ a przecież pan Bileczyński napisał ci „mon cher“ ostatnim razem bardzo wyraźny i dobitny swój adres.“

— „Byłabyś „chère comtesse“ bardzo z nim szczęśliwa... była-bys teraz w Paryżu, gdzie jak mi piszą bawi teraz ten pan. Bileczyński i sankiulotuje po ulicach. Mais vous ne l'avez pas voulu charmante ami!“ Wszak prawda?“

— „J'ai pu bien perdre mon bonheur, si vous mon cher frère, vous avez voulu perdre votre honneur.“

Aż zamilkli oboje, tak się zasapali na tej drodze przycinkowej; ale zmierzyli się spojrzzeniami, w których był cały jad zebrany w tych dwóch sercach obumarłych na wszelkie uczucia słodsze.

— „Ale koniec końców... cóż zrobisz „ma chère“ jak przyjdzie wyruszyć z Krzewiniec.“

— „Vous ne serez pas embarrassé mon cher..“ wyćwiczyłeś się doskonale w muzyce...“

— „Muzyka to niewielka rzecz, ale hafty!“...

— „Ja podobno mam mój posag zaintabulowany przed dłużnikami.“

— „Ma chère amie“ mylisz się podobno..., bo twój posag zaintabulowany był dopiero po śmierci twojego ojca... a wtenczas już dosyć nalazło dłużników do tabuli..“

— „Srebra wszystkie są moje..“

— „To jest te, które ja zechcę ustąpić..“

— „Mnie nawet nudzą Krzewińce... ja pojedę do mojej ciotki do Rosyi... „mais vous mon pauvre frère!“

— „Ja będę wojażował...“

— „Nie zapomnij „mon cher“ pozdrowić pana Bileczyńskiego w Paryżu..“

— „Kto wie, co się stanie jak wróci z Paryża... „vaincu par vos charmes...“

Hrabianka wydeła tylko usta i nic nie odpowiedziała; a rodzajem tylko niecierpliwości spojrzała na zegarek. I rzecz dziwna, tąż samą niecierpliwością wiedziony pan Alfred, spojrział także na godzinę. Nastąpiła zwykła pauza milczenia, w czasie której pan Alfred, wziął do ręki jakiś francuzki żurnal, który codzień przeglądał w tym czasie.

Panna hrabianka zaś wzięła się także do swojej zwyczajnej

a wielce ulubionej lektury; to jest do kalendarzyka gotajskiego, który umiała prawie na pamięć, ale zawsze z równą przeglądała ciekawością.

Ledwie pierwszy brzask dzienny zawitał, hrabia i hrabianka poszli do łóżek najspokojniej na pozór, ale wewnątrz trucizną przelewała im się żółć zjadliwa.

W dworku księdza już się wszyscy pobudzili. Przed księdzem i jego wnuczką stoi dwóch wieśniaków i napełniają izbę księżą płaczem i narzekaniem. To młynarz i wójt krzewiniecki zawodzą okropnie i przyszli z skargą a płaczem do swego dobrodzieja. Młynarzowi dano syna Fedka w dyby, a wójtowi córkę Olenkę do aresztu o głodzie. Przez drzwi w półotwarte zaglądał do izby wędrowny rymarz z uśmiechem złośliwym, wyszczerzając zyzowate oczy to na młynarza to na wójta, mówił to do jednego to do drugiego:

— „Ot cicho siedzicie, nie wyjcie tak, co to pomoże, jeszcze dostaniecie batogi...“

Stary ksiądz pocieszał i tłumaczył biednym wieśniakom jak mógł najlepiej; nawet Jurko, choć mu w duszy złość kipiała, wtórował przez uszanowanie dla starego księdza.

Marijka milczała; uśmiech tylko tryumfalny zabłysł przez chwilę na jej bladej twarzy i zgasł znowu, a nawet ciemny i zło-wroggi smutek wrócił nazad.

VI.

Znowu kilka miesięcy minęło od ostatnich zdarzeń w Krzewińcach; w miejscu smutnej i ponurej jesieni, kwitła i woniała wiosna znowu jak wówczas, gdy po raz pierwszy zjeżdżaliśmy z panem Kazimierzem z owego pagórka, w którego połowie rozchodziły się dwie drogi, jedna do pałacu, druga do księżej chaty.

I znowu musimy się zatrzymać na tej samej drodze, w tem samym prawie miejscu, w którym niegdyś pan Kazimierz póty dumiał nad rozstajną drogą, póki nie wydumał dla się owego szpicrutowego pasowania. Na pozór niema nikogo na tej drodze; pusto gdzie okiem zajrzeć, ptaki jeno coraz niżej latają po nad zielonem zbożem, jakby przewidywały burzę. Jakoż w rzeczy samej tam od strony zachodniej po nad słońcem, które coraz większe, coraz czerwieńsze, coraz chłodniejsze zsuwa się powoli ku zachodowi, pokazują się chmurki niewielkie jeszcze co do swej objętości, ale tem groźniejsze swą mieszaną, mieniającą się i coraz ciemniejszą barwy. Pomału silniejszy coraz ciągną wietrzyk, w którego nierównem, konwulsyjnem prawie technieniu, czuć już można tę mokrą woń deszczu, przerywaną gorąciami czasem wyziewami, zwiastunami blizkiej burzy. Czasem z daleka ozwało się przeciągłe ryknienie rozsyanego po polu bydła, które śnać instynktem poruszone, tęskny ku oborze wydawało ryk, to też pomału podnosili się z rowów naddrożnych, z bujnej trawy na łąkach, z oczeretów na niskich pastwiskach pastuszki i pasterki, i potrzaskując biczykami, biegnąc za rozsyanem bydlęciem ściągali je pomału

za pomocą wiernych kundysów, i uprzedzając burzę, pomału ku wsi zaganiali.

Tak wyglądał krajobraz w chwili, kiedy potrzebą naszego obrazku sprowadzeni stanęliśmy na onej drodze rozstajnej. Tuż przy drodze był szeroki okop, a za nim papuzią zieleńiły się barwą w kłos już wystrzelające żyto. I jak mówiłem, zdawałoby się, że nikogo niema w tem miejscu, gdyby nie wiatr, który kołysząc to słabiej to mocniej zielonem zbożem, nie odkrywał ciągle ciemniejszego jakiegoś przedmiotu, który nieruchomie sterczał pomiędzy zbożem. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że to strach na wróble w zbożu postawiony, gdyby nie właśnie ta szczególna i ciągła nieruchomość. Silniejszy podmuch wiatru odkrył całą tajemnicę — wiatrem bowiem porwana wleciała do góry ciemna czapka, a z pod niej rozwiane rozruszały się włosy. — Był to człowiek leżący, który podniósł się za czapką i złapawszy ją w lot przycupnął znowu nieruchomy, i znowu nieruchomy wyciągał jeno oczy ku wsi, a nos ku zbliżającej się burzy.

Tym człowiekiem był ów żebrak przybyły w jesieni do Krzewiniec, którego przez chwilę widzieliśmy w dworku księżym. Snać oczekuje tu kogoś niecierpliwie, bo oczy jego coraz więcej wyteżały się naprzód, ku drodze wiodącej do wsi — ale żadnym ruchem gwałtowniejszym nie zdradzał siebie.

Maciek przyzwyczajony widać do tej zaczajonej wytrwałości, która wiele przecierpieć, wiele przeczekać i wiele doczekać się jest w stanie. Jedyny znak czucia, jaki dostrzedz można, zdaje się dawać ruch wyciągniętego nosa, którym z szczególną rozkoszą wietrzy zbliżającą się burzę. Burza ta zanim zawyje nad ziemią, zdawała się całą mieścić w jego spojrzeniu zyzookim, biegającym, rozpalonem, złowrogiem.

Nagle na drodze wiodącej od wsi pokazał się zdala jakby cień jaki, który z początku mały, coraz się zwiększał i zbliżał. Choć trudno było poznać z tak daleka, Maciek musiał poznać idącego, bo uśmiech szkaradny, dziki, rozciągnął jeszcze więcej jego szerokie usta. Już się chciał podnieść nieco, gdy uwagę jego nowy zajął przedmiot; z przeciwnej bowiem strony, drogą, którą niegdyś nadjeżdżał nasz bohater, większy jakiś cień posuwał się naprzód, a szybszym daleko krokiem. Przez cbwilę wpatrzywszy się poznał Maciek, że to jakiś na koniu człowiek kłusikiem się zbliża. Jakoż w rzeczy samej był to półwieśniak, półszlachcic, w siwej kapocie i wielkim słomianym kapeluszu na głowie, który pręcikiem poganiał niskiego konika, silnego wiejskiego bronowłokę i nudy podróży przerywał sobie wesołym śpiewem.

Maciek rzucił znowu okiem ku wsi, i dostrzegł już wyraźnie ztamtąd idącą Marijkę. Tak jest, w rzeczy samej była to Marijka, która znowu ujrawszy jadącego na koniu, szukała miejsca gdzieby się schować mogła; nie chcą zapewne by ją kto widział. Droga w tem miejscu stanowiła lekki wawóz, na którego wierzchu rosły gęste krzaki dzikiej róży. Jednym skokiem schowała się Marijka po za krzaki i tam oczekiwała, aż jadący spuści się w dół ku wsi, lub zawróci ku dworowi. Jakoż niedługo usłyszała tentent konia; jeźdźca

zaś, który znikł w wąwozie, widzieć nie mogła. Dopiero gdy się z miejsca swego podniosła i rzuciła okiem za jeźdźcem, zaczęła się w niego wpatrywać z ciekawością. Bo przez chwilę zdało się jej, że cała postawa jadącego jest jej znajomą. Jakieś szczególne przecucie, wrażenie przebiegło jej serce przez jedną krótką chwilę; ledwie wrócić nie chciała, by się przekonać; zdawało się jej, że ją coś gwałtem ciągnie ku wsi. Była to jedna z tych chwil w życiu stanowczych bardzo, w których silniejsze tylko jakieś ale niezrozumiane poruszenie wewnętrzne, objawiać się zdaje ważność onych. W takich nieraz chwilach rozstrzyga się najważniejsze życia zadanie, bez pewnego o tem przeświadczenia. I wówczas jakby jaka władza tajemnicza, którą chętnie nazywamy przeznaczeniem i na którą jeszcze chętniej zrzucamy winę własnego upodobania, zdaje się nas popychać naprzód, na przekór przecuciu. Taka to była chwila dla Marijki. Gdyby wróciła do wsi za tym pociągiem wewnętrznym, możeby oszczędziła sobie niejedną łzę późniejszą, której nic już cofnąć nie zdoła. Marijka westchnęła tylko i poszła naprzód, chociaż nie bez wewnętrznego żalu, który jej się wydawał wyrzutem sumienia.

Lecz cóż jest tak ważnego w tem jej postanowieniu? Wszak ona dziś jak zwyczajnie wyszła na przedwieczorną przechadzkę swoją. A celem tej przechadzki pozornie jest ta figura z ukrzyżowanym zbawicielem, która tuż zaraz za miedzą żytem zieleniejącą stoi przy drodze na małej mogile zapadłej. Była to jakaś dawna pamiątka tej wiejskiej osady, rozmaicie tłumaczona przez wieśniaków niepamiętających czasu, w którym stała. A dla Marijki była to także bliższa i serdeczniejsza pamiątka z czasu, który tak niedawno przeminął, a od którego ona już jest tak daleką, tyłą myślami innemi oddzieloną, że ledwie pamięta, ile razy wychodziła do tego krzyża naprzeciw Kazimierza, lub też odprowadzała go wracającego wieczorem do domu po całym dniu przepędzonym w dworku księżym na czulej pogadance. W tej chwili żywiej niż kiedy stały jej na myśli owe godziny wszystkie i dni całe, które jej tak lubo i swobodnie przeszły w kochanka towarzystwie. Serce jej ścisnęło się niewymownym żalem i tęsknotą za tą przyszłością, aż łzy zwilżyły jej od tak dawna gorączką wypalone oczy. I dlaczegożby ta przeszłość miała być niepowrotną? Kazimierz ją kocha, i te westchnienia, które jej piersi wzdymają boleśnie, jakby jej tchu brakowało, czyliż jej samej wyraźnie nie dowodzą, że ona go kocha jeszcze, kocha mocniej niżeli się do tego sama przyznać chce. Czyliż nie w jej mocy jest odrzucić te mary okropne, które sama codzien wywołuje i codzien i co nocy ulega tym prawdziwie piekielnym marom. Czyliż nie może wrócić jeszcze w sam czas z tej drogi, na którą się sama gwałtem popchnęła, goniąc za temi marami własnej namiętności.

I pobiegła Marijka ku krzyżowi, który z daleka zdawał się wyciągać ramiona ku niej; chciała ukłęknać i zapłakać jak dawniej owemi łzami, które jej tak lekko płynęły dawniej, a z którymi tak lekko spadał wszelki ciężar z piersi; chciała w gorącej modlitwie do tego Boga, którego jej codzien tak żywo stary dziadek jej słowem

i życiem całym przedstawia, szukać odrodzenia i wyrzec się czarnych myśli, które upiorem wysysają z niej wszelką siłę żywotną — wyrzec się zemsty!...

Lecz nim doszła do krzyża, szmer jakiś ozwał się tuż przed nią, ona mimowolnie rzuciła wzrok w dół i postrzegła czychające na nią oczy bure Maćka z wyrazem mieszczącym w sobie wszystkie te okropne mary, dreczące biedną Marijkę. Zaślepiąca tym wyrokiem stanęła, i jakby sobie odwagi dodać chciała do dalszej drogi, rzuciła wzrok ku ulicy topolowej, z po nad której czerwieniał się dach pałacu.

Maciek chciał powstać, lecz Marijka czy w rzeczy samej bała się, by ją z nim widziano, czy może był to skutek myśli, które miała w tej chwili, myśli tak różnych od złowrogiej twarzy żebraka, dosyć, że znakiem ręki wstrzymało go...

— „Nie wstawaj!“ rzekła głosem urywanym.

— „Alboż znowu kogo diabli niosą?“

— „Nie... ale ja się boję...“

— „Panienska się boi?... wa!... czegoż tu się bać?... Czy ja to już takich dożył rzeczy w życiu mojem. Ja panienki nie rozumiem, inaczej mi to rozpowiadał ksiądz Anastazy, który poznawszy mnie, sam mi mówił, że panience trzeba być człowieka, któryby jej posłużył do dopięcia zemsty... na tych tam... Mnie w to graj... i panienska mi to samo powtórzyła. Ja robię co mogę; aż tu nagle przed kilką tygodniami każe mi się panienska chować, i tylko tak niby przypadkiem możemy się widzieć na drodze. Jak gdybym ja był jaki złodziej, jaki łotr!... a ja zwyczajnie nieszczęśliwy, wędrowny rzemieślnik!“

— „Darujcie mi poczciwy człowiecze! ale mój ojciec zaczął robić uwagi nad waszym pobytym długim w naszej stronie... i bał się, by jeszcze więcej wasza... zawziętość, nie zwiększyła mojej...“

— „Zawziętość! zawziętość!“ i roześmiał się głośno a szydersko, aż zadrżała biedna Marijka. „Ja muszę być zawzięty, bo oni są szczęśliwi a ja nieszczęśliwy... bo...“ Lecz nagle wstrzymał się dostrzegłszy w oczach Marijki wyrazu zdziwienia i odrazy.

— „Bo“ ciągnął dalej „jakże nie mam być zawzięty na tych, którzy kochanej panience taką krzywdę uczynić chcieli i których mi ksiądz Anastazy, w którego ja wierzę jak w Boga, przedstawił jako ludzi złych i karygodnych.“

— „Częścią więc dla was samych, częścią dla dopięcia tego... co zamierzyłeś...“

— „Cośmy z panienką oboje zamierzili!“ przerwał żebrak uśmiechając się słodziutko.

— „Musiałam was prosić...“

— „To już dobrze moja panienko... ale dla czegoż ja mam się znowu chować jak zwierzę w zbożu, i nie mogę otwarcie pomówić z panienką na publicznej drodze?“

— „Na cóż mają nas widzieć?...“

— „Kiedy ja się nie boję, mniejsza o to!“ wyrzekł zuchwałym głosem i podniósł się z miejsca swego.

— „A potem już teraz wszystko jedno“ dodał i obejrzał się

z uwagą w około siebie, i znać był zadawolony z tego, co ujrzał lub czego nie dostrzegł, bo się uśmiechnął pokryjomo.

I Marijka oglądnęła się w około siebie, by się przekonać czy nikt ją nie widzi w tej rozmowie z człowiekiem, do którego coraz więcej czuje odrazy. I nie dostrzegła nikogo; bo jej nie przyszło w tej chwili na myśl, że są oczy nigdy nieosłonione, które wszędzie i zawsze patrzą, i wszystko widzą, i wszystko wiedzą, i wszystko ocenić umieją. Ona zapomniała w tej chwili o tych oczach opatrności, w które przecie od dziecka tak święcie wierzyła. Nic nie dostrzegła, nawet tych czterech ócz, które nagle zaiskrzyły się w głębi zboża zielonego i patrzyły z uwagą na mówiących, których słyszeć nie mogli. Marijka pewną była, że nikogo niema.

— „Jam tu przez kilka dni przychodziła, ałem was nie widziała” — przerwała Marijka chwilowe milczenie, nie chcąc wprost go wypytywać.

— „Alboż to panienka myśli, że tak łatwo z tymi chłopami ruskimi?” — odpowiedział szeptając prawie Maciek. „Pełno między nimi jakichś głupich przesądów, jakiegoś tchórzostwa czy głupiej poczciwości.”

— „Więc nie chcieli?...”

— „Ta! jakem zaczął im tłumaczyć... jakoś udało mi się baby najwięcej rozkosić, taj się popłakały jedna nad synem, druga nad córką, i...”

— „Przystali?...”

— „Trzeba było niemało wódki, to też na samą waszę kartofłówkę wydałem wszystkie pieniądze, co mi panienka dała...”

— „I jakże?...”

— „O tak!” — Tu Maciek uśmiechnąwszy się figlarnie dmuchnął ustami i ręce w górę podniósł.

— „Kiedy!”

— „Przededniem!...”

— „Dziś jeszcze?” — zapytała znowu Marijka z rodzajem niekłamnego przestachu.

— „Po północy najciemniej...”

— „Możeby jeszcze...”

— „Odłożyć?... ha! ha! ha!... już za późno moja panienko...”

— „Burza się zbliża...”

— „Tęm ciemniejsza będzie noc...”

— „Ja muszę uciekać do domu przed burzą; ale pierwej będziemy się widzieć jeszcze.”

— „Jutro może moja panienko!... co się stało już się odstać nie może.”

Pierwszy ozwał się w tej chwili grzmot i ostatni padł promień zachodzącego słońca. Marijka przerażona nie tyle burzą żywiołów, ile burzą wrzącą w jej łonie, odwróciła się nagle i ledwie wiedząc co czyni, kilka kroków zrobiła ku wsi.

— „Czekajno panienko jeszcze!” — zawołał za nią i stało tuż koło niej — „ale mnie trzeba pieniędzy...”

— „Pieniądzy? wszak ja tyle już dałam...”

— *Ba!... ale dziś trzeba mi koniecznie... bo to z tymi tchórzami trzeba niemało będzie nagwarzyć się i nałykać, aby w ostatniej chwili nie skrewili...*

— *Słuchajcie no! możeby lepiej było...*

— *A potem ja potrzebuję sam pieniędzy dla siebie; ja już dziewiąty miesiąc siedzę tu dla panienki... ja sam jestem biedak, i poświęcam się dla cudzej sprawy...*

— *Macie tu... co mam przy sobie* — odpowiedziała Marijka szybko, by się go raz pozbyć, i wsunęła mu w rękę mały woreczek z drobnymi pieniędzmi. Biedaczka nie miała więcej ani przy sobie, ani w domu, bo co tylko skąd zebrać mogła, wszystko pomału wytumaniał od niej Maciek.

— *No! no! to tymczasem będzie... choć diable mało!* — mrucał Maciek, rachując i przerachowując pieniądze na dłoni.

— *Ale jutro, jak się wszystko skończy... jutro...* — dodał z przy-ciskiem groźnym, lecz nagle urwał i mruknął sam do siebie: *Jutro inaczej ja cię oskubię, moja ty cnotliwa panienko!...*

Marijka już tego dosłyszeć nie mogła, bo szybkim zaczęła uciekać krokiem przed burzą, której wycie i połyski coraz były bliższe.

— *Dobrze! dobrze panienko! stanie się pewnie jak panienka kazałaś,* — zawołał Maciek za nią jakby naumyślnie na całe gardło.

Ledwie znikła Marijka, cztery oczy patrzące dotąd za nią, podniosły się z zielonego zboża i przeskakując przez bruzdy, stanęły wnet koło Maćka: wójt i młynarz krzywieniecy, których przez chwilę zajrzeliśmy w dworku księdza.

— *Słyszeliście?* — przemówił do nich Maciek.

— *Prawda skazawszy* — mruknął jedn.

— *Czuł ty szczo lwane?* — mruknął drugi.

— *Aleście przynajmniej widzieli, że sama córka czy wnuka waszego dobrodzieja była tu, sama was bardzo chwaliła i żalowała, i ot dała tu na parę kwart śmierzduchy, żebyśmy się napili. Chodźmy więc do karczmy, już zaczyna kapać jak grochem.*

— *Chodźcie kumie!* — rzekli do siebie chłopci i poszli za Maćkiem, który jakby się w Krzewińcach urodził, zaułkami i rozmaitemi ścieżkami szedł przed nimi.

Marijka tymczasem pędziła ku domowi; wszystko w niej wrzało, tak dalece, że w tej chwili nie mogła sobie zdać sprawy ni z uczuc ni z chęci swoich; czy zemsta, czy litość, żal czy wstyd przeważał w niej, sama nie wiedziała, czuła tylko, że dotychczasowe urojenia nikną z przed oczów i zaćmiona prawda ukazuje się w świetle okropnem. Ostatnie pogroźenie niedokończone Maćka brzmi jej ciągle w uszach. Wszystkie więc jej chęci szlachetne z początku, całe jej współuczucie dla cierpiących, nienawiść dla uciskających, póki ukrywały się przed jej myślą w jakichś barwnych obłonach wyobraźni, póki ta zemsta przez nią kunsztownie wypielegnowana, wyrabiała się sama na polu marzeń i złudzeń wyobraźni — ile gdy już namacalnie prawie stanęła przed celem tej zemsty, zadrżała; co w niej było szlachetnego zbudziło się gwałtownie na widok odrażającego

człowieka, który miał być sprężyną tej zemsty. Jego słowa złowrogie, jego postawa zuchwała, groźny wyraz twarzy i przycisk słów sprawiały jej odrazę i przestraszały. To obrzydliwe współnictwo oburzało ją. Taką to zwykle bywa droga namiętności ludzkich, które dopóty zaślepiają, dopokąd się nagle nie staną nad przepaścią, od której się już cofnąć niepodobna!

Stanąwszy u celu prawie, widziała Marijka całą brzydotę swego zamysłu, kończącego się na tak pospolitym i haniebnym czynie. Były to dla jej umysłu szlachetnego okropne męczarnie. Niezbywcę się przestraszyła, gdyby mogła tego współnika swego przejrzeć aż do głębi, gdyby mogła zbadać jego najtajemniejsze myśli.

Burza wznosiła się tymczasem coraz więcej; ostatki światła dziennego pochłonęły chmury czarne jak noc; wiatr groźnie szumiał po drzewach sadów wiejskich, porywając z sobą pył kilkodniową posuchą nagromadzony; wszystko co żyło uciekało do chat i nor swoich, i nie ozwał się też żaden głos ni człowieka, ni zwierzęcia; tylko grzmoty coraz głośniejsze słychać było; a czasem piorun węzłem błyskawicy poprzedzony upadał z hukiem, który zdawał się całą ziemię wyrwać z swych posad. I jeszcze parno było, bo rzadkie jeno ale grube za to krople deszczu, padające ciężko z góry, nie mogły odświeżyć spiekotą dzienną rozgrzanego powietrza. Lecz Marijka nie widziała, nie słyszała, biegła jeno własnymi myślami gnana ku dworkowi dziadka. Ledwie usłyszała tentent konia tuż koło siebie, a gdy roztargnione rzuciła przed się spojrzenie, ten sam jeździec pierwaj zdybany przemknął szybko koło niej. I znowu ścisnęło się jej serce, jakby coś znajomego, coś miłego przesunęło koło niej i znikło. Nowy trzask gromu przedarł się przez ściśnięte powietrze, i przy świetle błyskawicy Marijka poznała jeźdźca... krzyknęła, lecz jej głos słaby cóż podziałał naprzeciw głosowi rozgniewanych żywiołów. Jeździec popędził co koń mógł wyskoczyć. Był to stary sługa matki Kazimierza, który panicza na własnych rękach wypiaśtowanego, kochał jak własne dziecko. Przyjazd jego do Krzewiniec nie był bez znaczenia. I znowu wszystkie chwile minione, chwile spokoju, chwile miłości, chwile zaczarowane przeszłości, przebiegły kolejno przed jej wzrokiem i wszystkie zdawały się jej urągać i jej wymawiać...

Lecz zostawmy na chwilę Maryjkę i wstąpmy tymczasem do karczmy, gdzie przy odgłosie gromów i świetle błyskawic inna ważna odbywa się narada. Na drugiej stronie karczmy była komora w której mieszkała cała rodzina żydowska z wszystkimi swojemi brudnemi bachorami, brudniejszymi zwyczajami i najbrudniejszymi namiętnościami, ta konieczność nieszczęśliwa naszych wszystkich wiosek. I mimo tylu doświadczeń smutnych, których widownią jest każda niemal wieś polska, a na której ofiarami są dziedzic i chłop, nie możemy się pozbyć tego prawdziwego trądu biblijnego. Ledwie gdzie kilka chałup stanie koło siebie, aliści zaraz zapobiegliwy dziedzic stawia obszerniejszą chatę na szynk, i zaraz do niej sprowadza tę spirytusową truciznę i dodaje szafarza do tej trucizny, który prócz tego rozszerza jeszcze inne trucizny moralne, lichwy i próz-

niactwa, niemi pobudza wszystkie najbrudniejsze namiętności i zaszczenia tę systematycznie przez żyda utrzymywaną nędzę wieśniaka, którego cały dobytek i całe żniwo wpada w tę otwartą a podwójną przepaść pijaństwa i żydowskiego szachrajstwa; a za nędzą krok w krok idzie demoralizacja i zupełne rozbestwienie.

W tej komorze, do której oczywiście żyd nie puszczał jeno uprzywilejowanych, to jest potrzebnych sobie gości, siedzieli przy jednej szabasówce palącej się smutno i ciemno, najprzód sam Froim, gospodarz karczmy, żydek niewielkiego wzrostu, ale krępy, żywy, mający na swej twarzy, zarzuconej kędzierzawemi pejsami i brodą rudawą, zwykły wyraz bezczelności i chytrości razem, zlewających się razem w rodzaj kociej czułości, zawsze do fałszu i szelmstwa gotowej. Siedzieli potem przy drugim stole po jednej stronie Maciek, wójt i młynarz, a po drugiej stronie dwie kobiety, żony wójta i młynarza, i jedenastoletni wyrostek, brat młodszy znanego nam już Fedka czyli Teodora.

Rozmowa odbywała się półgłębko, przy sporej flasce wódki, którą tym razem przeciw zwyczajowi swemu Froim Chajes z osobnej, wodą niezbełtanej dał baryłki. I sam usiadł na wysokiem, pod uchami wypchanem łóżku, z którego wyniosłości spoglądał uważnie na chłopów pijących. Podparłszy głowę na rękę, której łokieć spoczywał na kolanie, zdawał się okiem przebiegłym wybadywać twarze pijących; czasem tylko zaigrał mu nad brodą rozczochną uśmiech złośliwy i drwiący. On ich dobrze rozumiał, drwił z tej próżnej pogadanki i wiedział, że koniec końców, co bądź wypadnie, on tylko jeden prawdziwie skorzystać potrafi.

Rozmowy tej przerywanej częstem zaglądaniem do kieliszka, szczegółowo opisywać nie będziemy, wszak już każdy się domyślił, o co tu głównie idzie. Zemsta przez biedną Marijkę podszeptana niewyraźnie i zagadkowo prawie, znalazła tu swoje tłumaczenie ostateczne, słowo rozwiązujące zagadkę.

To prawdziwie powiedziawszy niezupełnie łatwo, jak to sam przyznał, przyszło Maćkowi namówić wójta i młynarza, którzy byli majątniejsi we wsi, a tem samam lepsi. Dodać do tego potrzeba, że w ogóle wszyscy wieśniacy krzewienieccy mniej może byli zepsuci od innych wieśniaków okolicznych, chociaż byli więcej daleko uciśniani przez Gniazdowskich, którzy rządzili przez podwładnych, drących chłopca ze skóry podwójnie. To mniejsze zepsucie i mniejszą dążność ku nienawiści do dworu w Krzewińcach trzeba było przypisać głównie tyloletniemu pobytowi tamże, naszego znanego już nam z powieści dziadka Marijki. Był to kapłan w całym tego słowa znaczeniu, rozumiejący swoje posłannictwo u tego biednego ludu, mogącego tak łatwo przez swoje niewykształcenie służyć za narzędzie ślepe wszelkich podmuchów fałszywych. Wieśniacy krzewinieccy kochali swego księdza jak ojca. To też jak widzieliśmy, Maciek potrzebował umyślnie sprowadzić i ukryć w zbożu wójta i młynarza na to, aby ich przekonać, że ksiądz nie musi temu być przeciwny, kiedy własna i ukochana jego wnuczka sama, namawia i daje nawet pieniądze. To więcej ich przekonało niż krzywdy doznane.

Resztę wahania się odbierała im doskonała i mocna wódka zacnego Froima. Smakowali ją doskonale: mężczyźni pili pełnemi haustami, a kobiety zawodząc na wyścigi to nad synem to nad córką, kosztowały pomалу z kieliszka, ale przecie wychylały aż do dna. Nawet mały Wojtek brat Fedka, pociągając już za mężczyznami, wypił parę sporych kieliszków i ledwie nie był najzawziętszy z całego towarzystwa.

— „A cóż mojego wódki!“ zawołał Froim, uważając, że już głowy pijących doskonale zapalają się.

— „Duże dobra panie arendarzu!“ odpowiedział młynarz.

Kobiety nic nie odpowiedziały, zawodziły tylko coraz głośniej, płacząc za dziećmi. Wojtek podskakiwał i ciągle dopytywał czy już nie czas.

— „Nu a wy panie Macieju, co mówicie jemu na mego jan-curew?“

— „Wyborna, doskonała panie Froim!“ odpowiedział Maciej, a postrzegłszy jakieś wyraziste łypnienie ócz żyda, poszedł ku niemu.

Snać się dobrze już poznali Froim z Maćkiem, bo stanęli pofale przy oknie, oddalonym nieco od pijących, i tam zaczęli żywo rozmawiać między sobą. Rozmowa toczyła się widocznie o tym samym przedmiocie, o którym rozmawiali wieśniacy przy stole, by żyd kilka razy wskazywał ich palcem i szeptał wpółgłosem:

— „Jak woni się popijają, to będzie czas!“

— „Ależ podobno oni we dworze spią w dzień, a w nocy siedzą.“

— „To tylko w zimie; w lecie woni idą spać po północy.“

— „A jakżeż będzie?“

— „Woni do gumna...“ i resztę mu pokazał, porywając za krzesiwo i hubkę, leżące na oknie „a my huż do...“ i dokończył mi-giem ręki, jakby w nią co chwycił.

W tej chwili piorun gdzieś niedaleko uderzył i łysnęło tak jasno razem, że przez okno, o które stali oparci mówiąc, można było jak w dzień zobaczyć cały plac przed karczmą. I w tej chwili mi-gnęła się przed oknem jakaś postać, jak gdyby kto tylko co od okna odskoczył.

— „Ktoś nas podsłuchuje!“ krzyknął Maciek przerażony.

— „Nu! my pocichemu gadali!“ odpowiedział żyd obojętnie.

— „Muszę jednakże zobaczyć!“ i wybiegł Maciek przed karczmę.

Nikogo tam nie zobaczył, nasz znajomy tylko diak wchodził w tej chwili na drugą stronę karczmy do szynku.

— „A to pan Maciej, który myślałem, że już daleko.“

— „Ot jakoś mi nie wypadało ztąd jeszcze odchodzić... ale co wy tu robicje Jurku, w taką burzę?“

— „Więcej huku niż deszczu... ja przyszedłem kupić sobie na noc gorzałki, bo tam u nas bieda.“

To mówiąc zaglądał Jurko do żydowskiej komory, której drzwi

były w pół zamknięte tylko; dostrzegłszy siedzących tam, chciał wejść do środka.

— „Cóżto za bieda ?“ przemówił Maciek zagadując Jurka i zastępując drzwi do komory.

— „Nasz ksiądz kona... podobno tej nocy nie przeżyje!“ odpowiedział diak, podnosząc głos swój, o ile mógł jak najwyżej.

— „Nasz dobrodziej kona !“ ozwały się głosy męzkie z komory.

— „Biedaź nasza, bieda !“ zawołały kobiety.

I na pocieszenie wzięli się znowu do kieliszka. Jakóż w tej chwili zupełnego już prawie upicia, tyle tylko okazali współczucia dla biednego dobrodzieja swego.

— „To tam widzę nasz wójt i pan młynarz, i obie młodyce!“ mruknął diak i wszedł po wódkę na drugą stronę, zkąd po chwili wybiegł nazad do dworku.

Wróćmy teraz do Marijki. Przybiegła ona do domu w stanie szczególnego rozstrojenia; tajemnica cała ciążyła jej tak mocno, że postanowiła wszystko wyznać dziadkowi i u niego szukać rady i ratunku. Wszedłszy dopiero zrozumiała, że to całe jej postanowienie było płonne, i że nie tak łatwo cofnąć się z krzywej drogi, gdy się już raz na nią wejdzie. Wszedłszy dopiero przypomniała sobie, że biedny dziadek od trzech miesięcy tak jest chory i osłabiony, że lada silniejsze wrażenie mogłoby zdmuchać tę ledwie tlejącą w nim iskierkę życia. Starzec biedny już dogorywał prawie; nie była to choroba wyraźna, na którąby pomogło jakie lekarstwo ludzkie, ale było niknięcie powolne sił wiekiem spowodowane. To co głównie go niszczyło, było zarazem tem, co go jeszcze przy życiu utrzymywało, była to troska o los tej jedynej ukochanej wnuczki. Starzec widział jej cierpienia i widział, że nie może im zaradzić; było to dla niego cierpienie nieznesne, okropne.

— „Ojcie mój !“ zawołała Marijka wpadłszy do izby, i przytuliła się do kolan starca, który wółubranym siedział na owem starym poręczowem krześle.

Jeszcze chudszy, jeszcze bledszy, jeszcze był piękniejszy; nędzna jego cielesna powłoka nikła pod promieniem wyższej myśli i wyższej cnoty, który lyskał jeszcze z ócz, wieńcem zdaje się niebiańskim otaczał tę łysą głowę, o kilku jeno włosach siwych jak śnieg najczystszy.

— „Co tobie jest, córko moja?“ zawołał starzec przerażony i z oczu jego z matczyną prawie czułością popatrzył na nią.

— „Nic... nic mój ojcie!“ odpowiedziała opamiętując się „ta burza mnie przeraża.“

— „Dziecię moje, ty się boisz burzy? nie jest to najstraszniejsza burza, moja biedna Marijko!“

I popatrzył na nią uważniej. Dziewczyzna drżała okropnie, starcowi lzy się cisnęły do ócz.

— „Uspokój się dziecię moje, i o lepszej pomyśl przyszłości. Gdyś ty drżała przed burzą, jam tu odebrał pociechę dla ciebie.“

— „Pociechę dla mnie?“

— „Kazimierz już wraca do nas, na mój list ostatni, w któ-

rym mu biedna Marijko, opisałem twoje cierpienia moralne, opisuje mi krótko, mówiąc, że najlepszą będzie odpowiedzią najrychlejszy powrót do kraju i do ciebie, za którymi mu tęskno i bez których ani żyć, ani być szczęśliwym nie może.“

— „Kazimierz! mój kochany Kazimierz!...“ zawołała dziewczyna łkając. I chciała się biedna wyplakać i nie mogła; kilka łez gorących upadło na jej lica, ale nie zdołały wyczerpać wielkiej boleści gryzącej jej łono.

— „Ty kochasz Kazimierza!... Marijko! ty możesz być jeszcze szczęśliwa!...“

— „Nigdy! nigdy!“

— „Do ciebie pisze te słowa“ wyrzekł znowu starzec i przeczytał jej przypisek Kazimierza powolnie, jakby chciał jej każde słowo do myśli i do serca przelać.

„Najdroższa Marijko! Może razem z listem przyjadę do ciebie. która jesteś jedyną myślą moją. Wracam do kraju na skrzydłach niewymownej tęsknoty. Ciebie zaś zaklinam na miłość moją do ciebie, na wszystkie najdroższe nam pamiątki, na szczęście naszego dziadka i na nasze własne, abyś była cierpliwą do mego przyjazdu. Nie myśl o niczem, tylko o tem, że ja co godzinę, co chwilę zbliżam się do ciebie i przynoszę lekarstwo najlepsze na twoje rany, bo ci przynoszę moją miłość szczerą i nauki mego doświadczenia, które mnie przekonało, że na cię i na mnie czeka jeszcze cel piękniejszy, nie tylko własnego szczęścia, ale i szczęścia drugich. Czy słyszysz Marijko! Ty zrozumiesz to najlepiej twojem dobrem sercem, że zemsta na drugich, gdyby najłatwiejsza i najsprawiedliwsza, ustąpić powinna przed możliwością uszczęśliwienia bliźnich. Ja ci Marijko, narzeczono droga, ofiaruję zamiast zemsty na kilku osobach, szczęście tych wszystkich prawie, za których się mścić chciałem. Marijko! błagam cię o kilka chwil cierpliwości; ja ci je nagrodzę całym życiem mojem!“

— „Ten list przywiózł mi w twojej nieobecności stary Jędrzej pani Bilczyńskiej, i pospieszył nazad, bo się spodziewał zastać już panieca swego w domu.“

Marijkę dławiała rozpacz; ona długo słowa wyrzec nie mogła, nareszcie ostatnie prawie robiąc natężenie, krzyknęła zmienionym głosem:

— „Za późno!... za późno!“

— „Za późno?“ krzyknął starzec przeraźliwie i chciał się zerwać z krzesła swego.

— „Nic to, nic mój ojcie drogi!“ odpowiedziała Marijka przestraszona na widok trupiej bledości na twarzy starca, i klęknęła przed nim, i ucałowała go w kolana i w nogi.

— „Daruj mi ojcie! jam dziś pomieszana... radość... smutek...“ i dalej całowała starca, bo jej to łatwiej przychodziło jak mówić... bo chciała choć na chwil kilka wycałować spokój na twarz dziadka.

„Na chwil kilka!...“ tak jej mrucało sumienie. Biedna Marijka! ona przebyła teraz męczarnie karzące ją sprawiedliwie ale okropnie.

— „I będziesz cierpliwa!“ mówił starzec, głaszcząc ją po twarzy, głosem tak słodkim, tak czułym, jakby dziecka pochlebiającego.

— „Będę! będę!...“ odpowiedziała dusząc konwulsyjnie krzyki w sobie. Bo jej przyszło na myśl, że każda chwila co uchodzi, zbliża ją do tej strasznej katastrofy, którąby chciała nie dożyć, a którąby chętnie przeżyła, choćby w najokropniejszych męczarniach, byle stary i poczciwy dziad nie dowiedział się, że jego wnuczka jest podpalaczką.

— „Za późno!“ szumiało jej w głowie. „Podpalaczka!“ szczydziło jej w uszach.

A starzec oczy spuścił ku niej i pieścił ją dłonią, spojrzeniem; on ją pieścił sercem całym. I poruszył powoli ustami; on się modlił za nią, ją błogosławił... I pomału zmęczone starca zwały się powieki.

Okropna myśl przeleciała błyskawicą przez serce Marijki. Gdyby biedny starzec w tej chwili skonał, nie doczekałby straszego jutro obudzenia; skonałby przynajmniej i nie przekłaby jej... Aż zdrżała na tę myśl. Więc do tego z nią przyszło, że życzyła prawie śmierci temu, który ją nad własne życie i szczęście kochał, któremu ona ukróciła życie... I przestraszyła się. Może tę jej myśl grzeszną wysłuchało niebo, może dziadek już nie żyje. I patrzyła na niego z uwagą, słuchała z natężeniem. Stary ksiądz miał oczy zamknięte, ani śladu życia na jego twarzy; najmniejszego nie słychać było oddechu. W tem usta otworzył i bladą twarz rozjaśnił uśmiech łagodny. Staruszek drzemał i marzył zapewne o swojej Marijce, niewinnej i szczęśliwej. Uspokojona chwilowo Marijka długo jeszcze klęczała u nóg dziadka; chciała się modlić, nie mogła. A przez drzwi otwarte patrzył na obojga, kulawy i brzydki Jurko; i lży ciurkiem łąły mu się po licach na widok tej sceny, którą pocziwem sercem swem czuł, choć słabym rozumem nie rozumiał.

— „Może jeszcze czas!“ mimowolnie mruknęła jej w uszy nadzieja i chęć życia. „Kiedyś miała odwagę rozpocząć, miejże odwagę wstrzymać“ mrucało jej sumienie. „Ale jak?“ szczydził z niej własny rozum.

I po długich godzinach widząc, że starzec zasnął spokojnie, podniosła się Marijka i na palcach odeszła, a postrzegłszy Jurka wyszła do sieni i przerywanym głosem szeptała do niego.

— „Jurku! zlituj się!... jest tu znowu Maciek...“

— „Wiem ja... już go widziałem kilka razy jak się skradał nocami do chaty mielnika.“

— „Jurku! on coś złego chce zrobić...“

— „A mnie czort do tego; ja wiem, że Maciek to szubiennik, ale niech się go tam na górze strzegą...“

— „Zlituj się; dziadunio skona jak się dowie...“

— „Dobrodziej!“ zawołał przerażony Jurko, którego Marijka dotknęła w najślabszą stronę.

— „A coż to dobrodziejowi szkodzi?“

— „Umrze powiadam ci jak się dowie, że to ja...“

— „Co?...“

— „Podpalaczka!...“

— „Pannuncia?!...“ I mimo całej głupoty zrozumiał wszystko.

— „Gdzież jest Maciek?”

— „Nie wiem.... ja z nim mówiłam przed burzą na górze przy figurze....“

— „On musi być w karczmie!“ zawołał i pobiegł, o ile mógł tylko biegnąć biedny kulawy Jurko.

A czas tymczasem uchodził; światła w pałacu gasły powoli. Z tego to powodu Jurko biegał do karczmy i myślał, że potrafi odwrócić uwagę mielnika i wójta wiadomością o konaniu dobrodzieja, ale widząc, że już wszyscy popici, wrócił do Marijki, nie wiedząc co dalej począć.

— „I Froim należy do tego“ szepnął jej do ucha.

— „Boże! Boże! co tu począć?“ zawołała załamując ręce.

I wyszła na podwórze; ostatnie światło w pałacu krzewiniackim zgasło w tej chwili. Nie mogła dłużej wytrzymać na miejscu; pobięła ku bramie.

— „Pannunciu!“ zawołał biedny Jurko zakłopotany.

— „Pilnuj dziadunia!“ zawołała Marijka i znikła.

A burza wrzała wściekła, burza sucha, okropna jak w sercu Marijki; rzadkie jeno padały krople ciężkie, ołowiane; ale za to piorun padał po piorunie; błyskawice zdawały się niebo rozdzierać aż do głębi; wiatr huczał przeraźliwie, łamiąc konary, sypiąc pyłem i strzechami wiejskimi przed siebie. Straszna była noc! o ileż straszniejszą musiała się wydać biednej Marijce?..

Starzec drzemał spokojnie; u nóg jego leżał Jurko zapłakany i przestraszony. Milczenie było zupełne w izbie. Nowy wiatr pociągnął wirem na dziedzińcu księżym i takiego wysadził w powietrze młyńca, aż w górę wzniesione trzaski zadzwoniły w okna księżego dworku. I w tej chwili pies w sieniach obudzony łomotem na dworze, zawył przeraźliwie.

Stary zbudził się nagle.

— „Marijko!“ zawołał, spuścił dłonie, by pogłaskać kochaną wnuczkę, i dotknął się głowy Jurka, podnoszącego się ku niemu.

— „To ja dobrodzieju!“ wyrzekł zmieszany diak.

— „A Marijka gdzie?....“

— „Nie wiem.... bihme nie wiem!“ odpowiedział drżącym głosem.

— „Gdzie jest?“ krzyknął donośniej starzec, przestraszony wyrazem głosu Jurkowego.

— „Mów! Gdzie jest?“ powtórzył.

— „Poszła.... za wrota....“

— „W taką burzę.... Jurku! mów co to jest?....“

— „Aj dobrodzieju!.... złe! złe!....“

— „Mów prędzej....“

— „Maciek znowu przyszedł do wsi.... i....“

— „I coż?....“

— „I jak to on jest wielki drab.... pannuńcia.... namówiła.... to jest on namówił....“

— „Do czego?....“ <http://rcin.org.pl>

— „Nie strachajcie się tak dobrodzieju, nie rzucajcie się, bo wam będzie szkodzić.“

— „Do czego?... powiedz zaraz.“

— „Aby.... podpalić.... dwór krzewiniecki...“

— „Ha! dla tego było już za późno!...“

I zerwał się starzec z siedzenia swego; rumieniec nienaturalny wystąpił mu na twarz; siła nienaturalna wstąpiła w niego.... i poszedł chwiejącym się, ale szybkim dosyć krokiem ku drzwiom.

— „Ojczy! dobrodzieju!“ błagał Jurko, któremu pusta jego głowa nie poddawała żadnej myśli.

Stary nic nie odpowiedział, ale drżącą ręką podniósł kłamkę, i po trzech miesiącach zupełnej niemocy, szedł na podwórze. Szedł, choćby to miały być ostatnie jego kroki; już mu tu nie o wnuczkę szło, ale o dopełnienie obowiązku swego, obowiązku kapłana zgody i miłosierdzia.

Ledwie tyle się Jurko opamiętał, że zarzucił płaszcz na barki księdza, czapkę mu podał na głowę, a kij dawno w kącie spoczywający, w ręce. I szedł kulejąc za starym księdzem, który coraz pewniejszym szedł krokiem mimo okropnej burzy, która gromem, błyskawicą i wichrem srożyła się coraz gorzej, i siwe włosy słabego starca targała niemiłosiernie. A coraz gęstsze krople padały ciężko na czoło starca, lecz on szedł dalej niewstrzymany. Czemże była burza naprzeciw uczuć, które były w łonie biednego starca? Jurko szedł za nim kulejąc, i to się żegnał, to modlił, to znowu łamał sobie głowę, coby tu wymyślić.

W tem ozwał się w czasie krótkiego burzy przestanku jakiś głuchy z dala odgłos, jakby tętent konia. Starzec może nie słyszał, ale Jurko postyszał dobrze, i pomyślał, żeby też to jacy ludzie im w pomoc przyszli?... A z tą myślą zaświtała druga w jego głowie, i nie nie powiedziawszy, najręczniejszym pędem, na jaki się w życiu tylko zdobył, pogonił diak nazad ku zagrodzie księżej. I tego starzec nie zauważał zapewne, bo szedł dalej nie obzierając się za siebie.

I znowu w czasie krótkiego burzy przestanku ozwał się już bliżej jakiś głuchy odgłos, jakby tętent konia. Lecz nowa wściekłość burzy zawrzała w powietrzu; płaszcz stariego księdza wichrem porwany, zleciał mu z barków, a za nim i czapka spadła z głowy. Stary ksiądz niewstrzymany szedł dalej i dalej, a siwe włosy latały mu w koło głowy, jakby płyty śnieżne. A tętent konia już wyraźniejszy i coraz bliższy. Jeździec na koniu spienionym goni i goni; ledwie starca nie przejechał, aż się koń złęczony cofnął i osadził na zadnich nogach.

A burza wyje coraz wścieklej, grom po gromie pada, błyskawice ziemi zdaje się dotykają i deszcz coraz rześsisty padać zaczyna.

W pół góry wiodącej ze wsi do pałacu, między drogą i polem w górze, a wsią w dole, rozrzucony bez ładu leżał skromny smętarz wiejski. Krzyż koło krzyża, a wszystkie wyciesane po prostu, zwyczajnie jak na wsi, to były jedyne tego smętarza pomniki. Tu i

ówdzie nędzne drzewko, mały krzaczek, dowodziły czulszą jaką pamięć męża, syna, matki, żony. Lecz chłopiec biedny nie ma czasu, by go tracić na sadzenie pamiątkowych kwiatów i krzewów, to też smętarz wiejski nie wygląda tak świątecznie i tak pięknie jak smętarze miejskie.

Po pod ten smętarz szła ścieżka wiejska. Tą ścieżką szli znajomi nam chłopci z żonami, z chłopcem, z Maćkiem i Froimem. Młynarz i wójt z babami dobrze podpici szli nie bardzo prosto i nie bardzo ochoczo, ale za to najwesalej i najzwawiej leciał przed nimi chłopiec, wywijając wiechciem słomy, z którego dym wychodził. Biedny chłopiec, nie rozumiał swego postępowania; biedne dziecko zepsute, bez wykształcenia. Czyż ono temu winne?...“

— „Iwane!“ zawołał nagle jeden i wskazał palcem na smętarz.

Drugi spojrzął za nim i zaczął się żegnać. A oba drżeli ze strachu i palcem wskazywali idącym za nimi Maćkowi i Froimowi.

— „Nu głupie goje!“ mruzczał żyd.

— „To jakaś płachta przy figurze hajno!“ szepnął Maciek „Chodźta!“

— „Oj złe! oj złe!“ mruzczeni pijani chłopci, baby, i pełni strachu stali na miejscu i żegnali się.

Ledwie z wielką biedą popchnęli ich naprzód odważniejsi od nich Froim i Maciek. Powodem ich przestרחu, który zatrzymał ich przez chwil kilka, był jakiś przedmiot, który zdawał się kołysać w środku smętarza.

To była biedna Marijka, która wyszedłszy z dworku bez myśli i bez celu zaszła na smętarz i ukłękła przy porządniejszym nieco krzyżu, pod którym spoczywała jej matka. Ona nie wiedziała jak tam przyszła, lecz grób matki poznała od razu i po raz pierwszy dziś przyszła jej do ust szczerza modlitwa.

— „Matko! matko! ratuj!“ błagała w półgłosem.

Córcie zdawało się, że choćby ją cały świat potępił, matka ją wysłucha i przebaczy. I nie słyszała nawet, modlitwą zajęta, szmeru i szeptań przechodzących. Aż gdy nagle błysnął piorun, zdało się jej, że widzi tuż przed smętarzem dwóch ludzi prowadzących konie, i zdało się jej, że ich poznała. Chciała zawołać, lecz słów zebrać nie mogła; wydała jeno krzyk przeraźliwy.

Idący usłyszeli ją.

W koło pałacu tymczasem cicho i ciemno. Idące grono podpalaczy już znikło zupełnie; tam tylko koło gumna coś czasem zamajaczeje i zaświeciło coś. Z początku gdyby iskra latająca, drobniutka, ledwie widzialna, coraz większa i większa, i w płomyk już wyrosła; a płomyk to się wysłizgnie, to się schowa znowu, ale za każdym razem coraz grubszy, coraz pełniejszy jak świeca, jak pochodnia, jak pożar wreszcie. Z wielką biedą jedna zajęła się sterta, a takich stert było kilkanaście, a koło nich budynki gospodarskie, a dalej pałac. Podpalacze rozbiegli się na różne strony, by od razu wszędzie podłożyć ogień.

Burza jak gdyby czekała rozhukania tego nowego na ziemi żywiołu zniszczenia, wolnie zaczęła, ale za to deszcz zaczął padać

nawalny i gasił źle jeszcze rozżarzony pożar. Młynarz z wójtem i chłopem korowodzili się koło gumna, biegając tam i nazad z wiechciami palącymi się i gaszącymi ciągle od deszczu; chłopiec krzeszał najcierpliwiej i najzawzięciej. Całej zaś scenie przyświecała jedna tylko postać sterty dobrze już gorejącej.

W tem z daleka ozwał się głos dzwonu, z początku cichy, potem coraz głośniejszy, głos przeraźliwy, na gwałt bijący.

I za jednym dzwonem ozwały się drugie dzwony cerkiewne, i wszystkie dzwonią bez ustanku, niezmordowanie, coraz głośniej i gwałtowniej. To diak dzielny na gwałt bije we wszystkie dzwony. Była to jego myśl pierwsza i ostatnia w życiu, którą gnany porzucił idącego księdza.

— „A to co Iwane?” ozwali się przestraszeni podpalacze.

— „To od gromów!” tłumaczył jeden.

— „Aj nie! to na gwałt! to toj Jurko dzendzeleni!” powiedział drugi.

To nowe zdarzenie połączone z gaszącym deszczem coraz więcej odbiera im odwagę; jeden tylko chłopiec najczynniejszy skacze tam i nazad, i coraz nowe wpycha w słomę zarzewie.

Dzwony tymczasem wałą bez ustanku; jakóż tu i ówdzie słychać już gwar mówiących we wsi; ludzie pobudzeni śchodzą się, wypytują i biegną szukać tego ognia.

— „Stójcie!” zawołał nagle głos wszystkim dobrze znany, tuż koło gumna.

Przestraszeni podpalacze obejrzeni się i poznali sędziwego księdza bez płaszcza, bez czapki, z rozwianym siwym włosom, bladego okropnie.

— „Stójcie!” zawołał drugi głos mężki dobitny.

Przestraszeni podpalacze obejrzeni się; a koło księdza stał mężczyzna wysoki i dorodny, tulący koło siebie w półomdłałą Marijkę. Choć go wszyscy znali, nikt nie poznał w nim naszego bohatera, który przecuciem gnany ledwie przyjechał do Wulki, pogonił do Krzewiniec i w sam czas zdybał starca biegnącego do pałacu.

Gwar tymczasem zwiększał się w dole, słychać było już wyraźne głosy wieśniaków idących na górę, by ratować gumno, z którego błyskało ledwie już kilka iskierek pożaru deszczem ugazzonego.

A na wschodzie zaczerwieniało się, krótka noc czerwcowa już się kończyła.

— „Dzieci moje!” zawołał ksiądz do podpalaczy, którzy pokornie z gołemi głowami stali koło niego i patrzali w jego twarz bladą, dziwnym jakimś wyrazem rozpromienioną.

— „Gäste przedzej! to cudza własność!... a cudza własność nikogo nie syci!”

— „To pańska własność!” ozwał się zuchwały młody chłopiec.

— „Przed Bogiem to na jedno wychodzi, bo przed Bogiem równy jest pan jak i chudy pacholek.”

I sami podpalacze zaczęli gasić coperdzej.

— „Niewielkaby była to szkoda!” ozwał się jakiś chłop z po-

między nowoprzybyłych, którzy coraz tłumniej gromadzili się koło gumna.

— „Dosyć on nas nazdzierał!...”

— „Ale już więcej zdzierać nie będzie!” ozwał się nasz Kazimierz i przystąpił bliżej do grona wieśniaków.

Wszyscy prawie go poznali.

— „To panicz z Wólki!” mruzcili do siebie.

— „A teraz wasz dziedzic! Tak jest,” mówił dalej zwrócony do Marijki, która jeszcze przyjść do siebie nie mogła, „za pieniądze odziedziczone po stryju nabyłem długi na Krzewińcach, i dziś Krzewińce są już moje. Przekonałem się bowiem, najeździwszy się i nasłuchawszy się nie mało, że najpierwszym obowiązkiem każdego z nas obywatela tej ziemi, aby przede wszystkim mieszkał w kraju i pilnował tej ziemi, na której się urodził, i która go żywi. Niech żyje każdy z nas na wsi, aby był bliżej ludu, którego niech naucza, niech mu pomaga, niech go podnosi do siebie. Ja też majątku mego, który święcie zachowałem, użyję tylko na poprawę tej części ziemi, a mianowicie tej części ludzi, których mi opatrzność dała w opiekę. A ci...” mówił ciszej do Marijki, wskazując na pałac — „zemsty niegodni, ani nam zemsta przystoi, bo to są zawsze nasi bracia. Ja nimi tylko pogardzam głęboko i mniemam, że się bez nich obejść można. Jeżeli z nich, który zechce się poprawić, tem lepiej dla niego; nasze ramiona zawsze otwarte, jeżeli nie, mniejsza o niego; świat i my pójdziemy dalej bez nich.”

Wieśniacy coraz tłumniej zbierali się w koło nowego dziedzica.

— „Tak jest, moje dzieci! to co wam powiedziałem, to wam święcie dotrzymam, bo w tem nasze wspólne dobro, bo to jest nasz obowiązek.”

— „Tak jest zgoda! zgoda!” przerwał stary ksiądz „a pośrednikiem onej my śludzy jedynego Boga być powinni. Bo Bóg jeden nad nami, czy doń modlimy się po rusku, czy po łacinie, i jedna ta nasza ziemia, na której się porodziliśmy, na której w zgodzie leżą kości naszych dziadów. Zgoda! bo obrządek nie stanowi różnicy żadnej między dziećmi jednej wspólnej ziemi.”

I coraz słabł stary ksiądz, ale jeszcze się trzymał na nogach oparty na kij, głowa jego cała pałała wyższem natchnieniem, które mu dodawało siły chwilowej przynajmniej. Rzeczywistej siły już nie było w nim; nocna wycieczka w burzy do reszty zniszczyła biednego starca.

— „Kochajcie i szanujcie waszego nowego pana jak ojca, jak brata starszego, jak opiekuna; a ty Kazimierzu kochaj i pielegnuj ich jak ojciec, jak brat, jak opiekun. Marijko! ty chodź z przykładem, z nauką, radą a pomocą pomiędzy te biedne ich chaty!”

Nagle nowy ozwał się rozruch od strony pałacu. Najprzód przyleciały zastraszona obie kobiety, za niemi przez pola pogonił Froim z rozczochranymi pejsami, lecz go wnet sami chłopci dogнали. Jednego tylko jeszcze nie było Maćka; on dostał się do głębi pałacu, celem zapewne korzystania z rozruchu nocnego.

I ozwał się strzał wewnątrz pałacu, a po chwili zasłaniając ręką buchającą z piersi krew, nadbiegł Maciek.

Hrabia Alfred zbudzony nagle, gdy spostrzegł skradającą się do okna postać jakąś, strzelił i trafił go w same piersi. Upadł Maciek o kilka kroków od głównego grona stojących. Porwał się za piersi, chciał jeszcze przemówić, palcem wskazał na Marijkę, odwracającą się od niego z odrazą największą, i upadł nareszcie. Gdy się zbliżyli do niego, już nie żył.

— „Ojcie mój! ojcie!” zawołała Marijka przyskakując do starca, który coraz słabszy na jej oparł się dłońmi. I pomału, ostrożnie położyli starca na murawie. A czerwoność na wschodzie zwiększała się i coraz jaśniejszych, coraz piękniejszych przybiera barw. Nowy pogodny dzień zaświtał.

— „Ojcie mój! to ja ciebie zabiłam!”

— „Nie dziecię moje!... jam już czuł dawno ostatnią godzinę, czekałem tylko na przybycie Kazimierza.”

— „Ja to... jam winna! jam występna!...”

— „Zbłądziłaś, ale masz całe życie przed sobą; bądź tylko szczęśliwa i zrób szczęśliwym Kazimierza i tych biednych wieśniaków, a umrę szczęśliwy.”

— „Przyrzekam ci mój drogi ojcie!”

— „Przyrzekam!” powtórzył Kazimierz i oboje klękli przed starcem.

— „Oby to drudzy słyszeli i za twoim poszli przykładem— mówił staruszek coraz powolniej, bo mu już tchu brakowało.— „Oby zgoda!... bądźcie zdrowie dzieci moje!... i wy także...”

I wyciągnął obie dłonie ostatniem nateżeniem i błogosławił niemi i dzieci swoje, i wszystkich wieśniaków, którzy pobożnie uklękli w koło niego. Już mówić nie mógł, ale jeszcze szeptał modlitwę. Wschodzące słońce oświecało tę poważną scenę. Wszyscy klęczeli w koło starego księdza ruskiego, który ich ostatniem spojrzeniem błogosławił. I ręce mu opadły, i czysta dusza kapłana prawdziwego uleciała w niebo. Wszyscy płakali w koło i wszyscy modlili się.

— „Twoja na zawsze!” szepnęła po chwili Marijka— „i wasza” — dodała zwrócona do wieśniaków. „Chwilową żądzę zemsty płacę miłością tobie i wam.”

Kazimierz i Marijka dotrzymali słowa. Jakoż warto, by bracia szlachta i obywatele zjechali kiedy do Krzewiniec, a uwierzyliby może biednemu powieściarzowi, że on pisze gorzką czasem, ale prawdę.

Hrabiemu Alfredowi Kazimierz sam pomógł do ratowania ostatnich majątku. Jednakowo nie zdołał już w umysł jego wlać tych szlachetnych myśli, tej miłości dla ziomków, którą sam był przejęty. Z nienawiścią w sercu do kraju rodzinnego i do mieszkających w nim ludzi, wyjechał hrabia Alfred zagranicę, z postanowieniem niewracania już nigdy. Hrabianka Izabella udała się do Warszawy, i oczywiście została kanoniczka.

SALON I ULICA.

(Pierwsze wydanie 1847 r.)

WYDZIAŁ FIZYKI

PRZEDMOWA.

Czytając drugi rok w dzienniku mój, w każdym niemal numerze, napis nad powieścią, który do nieskończoności powtarza: „Ona była niewinna,“ przez ciągly tajemny jakiś wpływ tych samych słów, tak długo bijących w moję mózgową tkanę, przyszedłem do tej myśli i sumiennego zapytania: Ależ ja czy jestem winny, czy niewinny względem dziennika mój, dla którego tak dawno pióra nieumoczyłem? I zaczęła się wściekła kłótnia wewnątrz mnie, rozumowania pro i contra cisnęły się do głowy. Bo jużci niegodzi się, byś ty miejscowy powieściarzu (tu przemilczam szumne pochwały, jakie mi zaśpiewały w duchu) niewsparł twojem z przeproszeniem twej skromności znakomitem piórem, jedyne prawie pisma belletrystycznego, jakie wychodzi w kraju, mówiło nieugięte sumienie... Zapewne! odrzekło lenistwo, byłbyś wlaźł do dziennika jednocześnie z powieścią: „Ona była niewinna,“ i przerwał ją, albo przeszkodził powolnemu jej rozwijaniu się, nieprzymierzając przez numerów kilkanaście i wszedł w szranki niepewne z taką powieścią!! z dwoma wykrzyknieniami zawołała skromność. Tu miłość własna gwiznęła przeraźliwie, a zmysł estetyczny zaczął syczeć tak zawzięcie, że już dalszej sprzeczki moich rozumowań nie mógł dosłyszeć, gdy nagle padły moje oczy na kolumny dziennika mój, i wyczytały wyraźnie w artykule pani P., tak grzecznie i pięknie a prawdziwie napisanym: „Panie J. D., jesteś winny, że tak długo milczysz.“ Wpływ kobiety na nas samowładnych panów całego przyrodzenia jest tak silny, że jej ręka czy nas miękką dłonią pieści, różowemi palcami ciśnie, lub piórem nawet porusza, magnetycznie działa na najupartszą wolę naszą. Jestem winny! krzyknąłem sam do siebie; a wy głosy rozmaite przestańcie wrzeszczeć, piszczeć i syczeć! I tak ona była niewinna już przestanie wkrótce bawić czytelników dziennika, z niemającym zapewne ich żalem; czas na ciebie stary powieściarzu, musisz coś napisać do dziennika mój! Ale co? w tem sęk! Szukam i szukam po wszystkich zakątkach mej pamięci, za jednym, chociażby najmniejszym wspomnieniem romantycznym... nadaremnie! A wyobraźnia od czego panie powieściarzu!... Wyobraźnia! o mój Boże! dawno już zaprzedałem ją w ciężką służbę dla chleba powszedniego. Przeminięły czasy, kiedym wolny i swobodny wypuszczał lotną wyobraźnię, by niczem niezwiązana, i z miasta i z pola, z ulicznych pogadank i z cichych szmerów wiejskich, z kamiennych domów i zielonych łąk, z twarzy rozpromienionej miejskim rużem i twarzy rumianej

wonnem wsi powietrzem, z ust zalotnicy i liców niewinnej dziewicy, z uśmiechu, który zdradza, i łzy, która lituje się i pociesza, z oświetlonej sali teatralnej i jaśniejszej nad to świątyni przyrody, i zewsząd przynosiła i treść i barwy do mych obrazków. Dziś do jednego przykuta stolika, do marswego zajęcia, gdyby żywy do trupa...

— „Patrz pan jaka to śmieszna kobieta!“ zawołał głos dźwięczny kobiecy. Trzeba bowiem wiedzieć, że siedziałem zamysłony w salonie pierwszopiętrowym, przy oknie, czekając na jego właścicielkę, która mnie powoławszy przez dwie już godzin kończyła toaletę swoją. Spojrzałem na mówiącą: była śliczna a ustrojona tak świeżo i wytwornie, jakby tylko co wycięta z żurnalowej ryciny. Spojrzałem w dół po za tę śmieszna kobietą: była tam uboga w ła-
chmanach okropnych, których strzępki wlekły się za nią po błocie ulicznym, miała z sobą troje dzieci, jedno wisiało z tyłu, drugie z przodu brudną płachtą podziurawioną obwinięte a trzecie w pół nagie prowadziła za rękę, i trzęsącym się głosem, aż zęby dzwoniły, wzywała litości. Spojrzałem znowu na panią salonową: zbrzydła okropnie, rumieniec ruzem nałożony zdawał się odstawać od twarzy, a jej bladeści wydała mi się jak wapienne obielenie kamienia: wewnątrz kamień, z wierzchu szych i fałsz!...

— „Śmieszne babsko uliczne!“ powtórzyła piękna pani; „ale mniejsza oto, ja prosiłam pana jako znakomitego pisarza naszej stolicy, byś przyszedł; życzę sobie bowiem elegii pięknej nad śmiercią mojej nieodżałowanej suczki, tak pięknej, tak czystej i pewnie rozumniejszej od tych półzwierząt, które ta baba dźwiga na sobie.“

— „Ja nie piszę wierszy!“ odrzekłem pomieszany.

— „To może być powieść? ona była tak czuła i skołała rodząc.“

— „Przepraszam!“ odpowiedziałem z wrastającym pomieszaniem, i porwałem za kapelusz.

— „Ja dobrze zapłacę, panie powieściarzu,“ rzekła piękna dama rzucając ukośne spojrzenie na mój surdut dwuletni.

Lecz byłem już u drzwi.

— „Pan zyskasz sobie sławę i wziętość salonową.“

Byłem już za drzwiami,

— „Głupi golec!“ mruknęła pani salonowa.

Nie oglądając się biegłem po schodach; ledwie dostrzegł, jak mnie potracił jakiś młodziutki chłopiec bez wąsa jeszcze, a z cyga-rem w ustach; i krzyknął za mną cieniutkim głosem: „Sacré nom!“

Na dole stała kobieta w ła-
chmanach z trojgiem dzieci, i błagające oczy darmo wznosiła ku oknom pierwszopiętrowym. O kilka kroków od okna pięknie ustrojona pani ścisnęła bezwąsego młodzika, z wyrazem rozpusty w roziskrzonych oczach.

— „Rozpustni! i bezlitośni! ozwał się chrapliwy głos żebraczki; „to obrzydliwa!“

Uderzyły mnie te słowa; salonowi nędza publiczna wydała się śmieszna, a ulicy zbytek wyuzdany wydał się obrzydliwym. Poszedłem dalej z tą myślą, i w około niej kupiły się rozmaite przypomnienia, w pół zatarte rysy dawno przeżytych zdarzeń a myśli coraz inne rosły, przybierały barwę, kształty... i urósł obraz powieściowy,

który tu czytać będziecie czytelnicy i czytelniczki moje. Dodam jeszcze do tej przedmowy, dla tych co to chcą wiedzieć z matematyczną pewnością, czy zdarzenie jest prawdziwe, gdzie się stało i w jakim czasie, że w obrazku moim jakkolwiek zebranych mozaikową robotą i z myśli i z wydarzeń rozmaitych jest prawdą, bo jest szczerą sumiennego powieściarza. O miejsce, gdzie się odbywa mniejsza, a o czas także obojętne... to pewna, że się te wypadki wydarzyły wtenczas, gdy różnica salonu i ulicy stawała się coraz ważniejszą w życiu naszym.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Na górze i na dole.

Wieczorny zmrok zapadał w stolicy, której ulice coraz ciemniejsze napełnione były ruchem zdaje się większym niżeli przez dzień cały. Jest to ruch zwyczajny o tej porze dnia, przechodniej między całodzienną bieganiną a wieczornym i nocnym odpoczynkiem. O tej porze wszyscy gonią po mieście, jedni by wrócić do domów swoich, drudzy by ostatnie pokonać zatrudnienia, inni znowu by mogli niepoznani o szarej godzinie oddawać się rozmaitej rozpuście. Zmrok wieczorny jest to przejście z życia dziennego do życia wieczornego, które w mieście różnią się najzupełniej. Cnotliwy cały dzień małżonek i ojciec puszcza wieczorem cugle swej rozpuście; całodzienny oszust, posługacz cudzych lub własnych zdróżności, fałszem pióra lub słowa naszermierzywszy dzień cały, wraca o zmroku w domowe progi, by w czystych uczuciach rodzinnych wykąpać się z brudu całodziennych zajęć, a z żoną i dziećmi pogwarzyć w serdecznej szczerości. Zmrok wieczorny jest to, dla bogaczy przejście z całodziennego próżnowania, do wieczornych zabaw; dla ubogich zaś, jest to przejście z całodziennego pracy do odpoczynku krótkiego, często walką z głodem przerywanego. Ale świat bogaty wśród swych ciągłych rozrywek nie ma czasu nawet pomyśleć, że tuż o jego ściany graniczny liczniejszy daleko świat ubogi; świat zaś ubogi, któremu wieczory i noce tak długo i leniwie przechodzą, ma dosyć czasu, by się naprzeklinać światu bogatemu; a masa przekleństw, jak te mgły z nizin i bagnisk wznosi się powoli a ciągle, i skupia w chmury coraz ciemniejszy... chmury to łez ludzkich burzą grożących, ku którym wiecznie bankietujący z bezmyślną i szyderczą wesołością puszczają kłęby dymów cygarowych. Owóż o tej zmroku godzinie wejdziemy na jedną z główniejszych ulic miasta i zbliżymy się do najznacniejszej z pomiędzy drugich kamienic. Podobna do nich swem różowem ubieleniem, darmo ciekawemi rzeźbami sterczącemi z pod okien, u drzwi wchodowych, i z gzemsowych ostrokatnych przystrojeń przypomina czasy dawniejsze, czasy ciekawsze; nikt w nie nie wierzy patrząc na wesoły pokost, którym czas dzisiejszy pomazał ciemne płyty ciosowe, tak jak nikt nie wierzy w te wapnem pobryzgane, lampami okopcone malowidła pomiędzy rzeźby wciśnięte, z którego wyziera łagodna twarz matki zbawiciela, której zapewne przed wiekami pobożny domu tego budownik poświęcił kamienne dzieło swoje.

W równą poniewierkę poszła i tarcza herbowna nad bramą wykuta w kamieniu: wpółpęknięta, tyle razy nakładana wapnem, sterczy już tylko morda jakiegoś byka, którą sprytny domu właściciel kazał pozłocić, jakby mimowolnie przyznawał się do tego, że dawne krwią i rdzą wieków zamazane tarcze herbowne, potrzebują by coś znaczyły tego dziś koniecznego blasku złota. Mimo zwiększającego się zmroku, ani dom, ani ulica nie są jeszcze oświetlone. Dla domu nie wybiła godzina życia wieczornego, a dla ulicy spóźniono się tym razem z wieży ze znakiem do zapalania lamp, bo chociaż zachmurzone niebo żadnego nie daje światła, kalendarz zwiastuje jeszcze pełnię.

Owóz na pierwszym piętrze tego domu, minawszy pokoje frontowe, których wytworne przystrojenie nosi na sobie piętno salonowej godności, a posadzka świeżo wywoskowana i świecami napełnione kandelabry, zdają się czekać na przybycie wielkoświatowych gości, jest w kącie narożnym gabinecik niewielki, do którego wszedłszy, każdyby przysiągł, że się znajduje w najtajemniejszym budoarze kobiecym; tyle tam było rozmaitych fraszek i cacek, których tylko kształty powierzchowne wielkiej są wartości, bo jak zwykle w rzeczach mody treść wewnętrzną nie wiele warta. Gotowalnia w kącie stojąca z mnóstwem pachnidła, kryształowych flaszeczek, wyrzynanych i wyciskanych pudełeczek, między którymi i ruż i bielidło wyglądały z pół otwartej szufladki, zdawały się potwierdzać to mniemanie, któremu jednakże zaprzeczały zawieszzone na dwóch słupkach srebrnych gotowalniowego lustra, szlafmyca i peruka męzka, a w pół ubrany już mężczyzna, przechadzający się po tym pokoju, dowodził nareszcie, że jest to budoar męzki, należący do pana tych salonów i tego domu, Karlińskiego, którego przedstawiam w tej chwili czytelnikom. Nie bez powodu zatrzymałem się tak długo na ulicy i przed domem, bo gdybyśmy byli przed chwilą weszli, byłibyśmy musieli przypatrywać się nie bardzo wesołemu prozaicznemu widokowi, strojącego się pana. Był to przed chwilą starzec łysy i siwy, we dwoje zgięty, z pomarszczoną twarzą, oczami zgasłymi i obwisłymi ustami, zdradzającymi rozpustne chęci, a siły przed czasem poterane życiem rozwiązałem. Lecz sztuka kamerdynera przemieniła go do niepoznania; siwiznę namalował kruczą barwą, zmarszczki zamazał bielidłem a ciasnym ściągnął halsztukiem, oczy ożywił okularami i skuloną postać wyprostował sztywną sznurówką i opasającymi szalami mnogimi, łysinę pokrył sam w tej chwili zdjętą z słupka peruką z tupetem na bok fryzowanym, a obwisłe usta wydał dumą. Z szczególnem uczuciem zadowolenia przypatrywał się sobie, oszukując sam siebie, niepomny na okropny obraz zgrzybiałości, jaki przed chwilą wyszczerzał mu się ze zwierciadła. Wziął z gotowalni złotą tabakierkę, wsunął do kamizelki, oblał się pachnidłami, a jakieś wonne pastylki żuł nieustannie w zębach, by zabić woń trupią, którą oddychał. Wdziął nareszcie fraczek modnie wykrojony a sztucznie wraz z innymi sukniemi nawatowany, i był już gotowy do życia wieczornego, w którym jedynie zwykł występować, mając się za wcale przystojnego przy świecach. A w rzeczy samej, pan Karliński, był to fałsz chodzący, fałsz ciałem, które napychał watą, fałsz ubiorem

niestosownym jego wiekowi, fałsz duszą zepsutą i zgangrenowaną przez to życie fałszu, udawania, nieszczerości, samolubstwa, jakie pędził wraz z równymi sobie, na tych prawdziwie teatralnych deskach, jakimi są woskowe parkiety wielkoświatowych salonów. A chodził po swym pokoju tak spokojnie, z taką pewnością i tak wesołym zadowoleniem na twarzy, jakby nic nie miał na sumieniu, żadnej cięższej myśli, ani też silniejszego uczucia na sercu.

Wyjął złoty cylindrowy zegarek, który złotym łańcuszka wężykiem świecił się na czarnej kamizelce, i poważny przybrawszy wyraz zadzwonił. Wszedł niski pucufowaty czarno ubrany kamerdyner, pełen zdrowia i dobrego bytu na twarzy, a szyderstwa i przewrotności w małych, tłustemi policzkami ściśniętych oczkach.

— „Czas może zapalać już świece w salonie?“

— „Już zapalają jaśnie panie.“

— „Nie trzeba było jednakże się spieszyć... bo to potem trzeba nowe wkładać świece.“

— „Pani kazała już przed kwandransem oświecać.“

— „Aha!“ mruknął pan, krząknął, zażył tabaki.

— „Pan adwokat Mojakowski już przybył.“

— „Jak?.. co?..“

— „Przybył już na wieczór.“

— „Któż go prosił... na wieczór?“

— „Pani posyłała.“

— „Aha!“ mruknął, krząknął i zażył tabaki.

— „I chce się widzieć z jaśnie panem.“

— „Ze mną?.. powiedz, że się ubieram... że...“

— „Pani kazała prosić jaśnie pana, żeby się widział z panem Mojakowskim.“

— „Aha!“ mruknął, krząknął i zażył tabaki. „Prosić! prosić!“

Kamerdyner uśmiechnął się złośliwie i wyszedł; a po chwili wszedł pan adwokat Mojakowski w czarnem oczywiście odzieniu, które jednakże urozmaicił białą kamizelką, mającą może niewinną barwą swoją zasłaniać czarne i pełne wykrętów serce pana adwokata. Byłto człowiek średniego wzrostu, mocno zbudowany, na szerokich i płaskich nogach, które pan adwokat wydreptał zapewne biegając na wsze strony za złotkiem, którego był mocnym lubownikiem, i za zarobkiem, który wielkim swym nosem umiał zawsze wywąchać. Twarz miał szeroką i pełną, a tak zawsze czysto wygoloną, jak kieszenie jego klientów, a na niej i na ustach wieczny uśmiech, którym tumaniał doskonale; włosy zaś mimowolnie kręcące się, zdradzały spryt i krętarstwo, a razem potwierdzały ogólne zdanie, że pan Mojakowski należał do najdawniejszego z rodów, bo do rodu Abrahama, Izaaka i innych przodków Izraela. Najlepsi bowiem jego przyjaciele, twierdzili o nim, że był neofita.

— „Witam kochanego pana.“

— „Jakże ślicznie zrobiłeś panie Pietrze, żeś wcześniej przyszedł!“

— „Przyznam się panu memu, że możebym nawet nie przyszedł, bo ja nie lubię wszystkich balów i zabaw muzycznych.“ Kłamał

poczeiwy prawnik, który dałby dwa palce od nogi a jeden od ręki, gdyby go tylko wszyscy baroni, hrabiowie i księżęta zapraszali na swe wieczorynki.

— „To mi bal mój dobrodziej!.. ot zwyczajnie wieczorek mężki, jakich dwa dają zwykle co tygodnia.“

— „Na których ogromnie grają, które ogromnie kosztują,“ przerwał adwokat z słodziutkim uśmiechem.

— „Ba!... to mój zwyczaj!“ odrzekł z wyrazem dumy.

— „Ale... i właśnie dla tego pospieszyłem z mojem przybyciem... chciałbym z łaskawym panem pomówić... o niektórych ważnych...“

— „Czy nie możnaby to odłożyć... bo przyznam ci się panie Pietrze, że mnie nudzą wszystkie sprawy ważne.“

— „Ależ kochany panie... trzebaby raz ukończyć... z temi długami.“

— „Z długami?“ zapytał naiwnie Karliński i podał otwartą tabakierkę patronowi semu.

— „Trudno dłużej odkładać... długi...“

— „A wiem... wiem... alboż to można być bez długów, mój dobrodziej!.. to już taki zwyczaj u nas wielkich panów.“

— „Lecz dłużnicy lada dzień wpakują się do tabuli.“

— „A to głupcy!“

— „I tak zamażą tabulę... że gdy się postrzegą o liczbie swej przewyższającej wartość...“

— „Cóż mnie tam do tego... nich sobie robią, co chcą. Zażyj tabaki panie Pietrze, i przyjm odemnie tę uwagę praktyczną, na doświadczeniu ugruntowaną... że pan z panów, taki jak ja, zawsze panem zostanie. Tych wszystkich charłaków z ich kapitalikami diabli weźmą, a ja zawsze panem będę... dajmy więc pokój tej rozmowie.“

— „Zapewne, zapewne... ale wlaższy raz do tabuli, mogą wystawić na licytację...“

— „To niech tam przedadzą jaki z folwarków moich; ja przecie mam trzy miasteczek i trzydzieści folwarków. He! dziwisz się, że ja tak znam doskonale stan fortuny mojej.“

— „Która warta jest pięćkroć siedmdziesiąt cztery tysiące a długi wynoszą sześćkroć i dwadzieścia siedm tysięcy, więc jeżeli wleżą do tabuli...“

— „Ależ oni nie wiedzą dotąd!..“ przerwał żywszym głosem Karliński i zatrzymał się z szczyptą tabaki w palcach... „to są zwyczajnie poczeiwe jakieś szlachetki, co mi tam powierzyli swoje kapitaliki.“

— „A tak, jest tam ze dwadzieścia rodzin, które oddały kochanemu panu całe swoje fortuny.“

— „A widzisz panie Pietrze, jak oni mnie ufają!“

— „Od niejakiego jednakże czasu zaczynają się niepokoić... biegają do mnie, pytają... a najwięcej przestraszyli ich ci lichwiarze, którzy się zaintabulowali.“

— „He! he!“ rozśmiał się Karliński, że ci lichwiarze zawsze

pierwsi być umieją... Więc twoja rzecz, kochany mój patronie, aby ich nie wpuścić do tabuli.“

— „To jest właśnie myśl moja; ale na to trzeba majątek cały jak najprędzej przerobić na inne nazwisko.“

— „Co ty pleciesz... mój majątek na inne nazwisko? na honor nie rozumiem!“

— „Trzeba przez jakąś udaną sprzedaż lub donacją przenieść na pozór majątek na kogo innego, a tym sposobem dłużnicy spadną.“

— „Brawo! i pójdą z kwitkiem.. to będzie zabawne.“

— „Prawdziwie zabawne.. myślałbym zatem.“

— „To najłatwiej... zrób tam jaki dokument na syna mego naprzykład...“

— „Toby mogło zwrócić uwagę; mnieby się zdawało, że lepiej zrobić kontrakt sprzedaży.“

— „Facecje! któż to uwierzy, że mój syn mógł kupić u mnie?“

— „To też ja nie o panu Alfredzie myślę... ale kto inny mógłby niby nabyć.“

— „He? co? jak?.. kto inny?“

— „Naprzykład pułkownikowa!“

— „Co!“ krzyknął głośniej Karliński i tupnął nogą tak silnie, że aż jęknął dzięki podagrze, która mu się mocnym bolem przypomniała.

— „Jabym zrobił kontrakt, mocą którego pani pułkownikowa nabywa majątek.“

— „Ależ ona nie ma tyle pieniędzy.“

— „Niepotrzebuje na to ani grosza... i z takim kontraktem jak się zaintabuluje... dłużnicy dostaną szcztuka.“

— „Ja nie chcę... nie chcę...“

— „Ależ panie, majątek rozerwą dłużnicy...“

— „To ich sobie obcinaj, odurzaj jak chcesz, mniejsza o nich... ale ja nie chcę, aby pułkownikowa posiadała majątek.“

— „To tylko na pozór. Dochody czyste pan będziesz posiadał, a pani pułkownikowej od pożyczenia nazwiska...“

— „Nic! nic z tego! wszak pułkownikowa. i tak... nie mało mnie kosztuje“ dodał ciszej.

Adwokat uśmiechnął się z lękka, obejrzawszy się na około; — „Wiem... wiem... ale ona sama kazała mi to zaproponować panu... jako jedyny środek ratunku“ dodał daleko głośniej.“

— „Nie! nic z tego nie będzie; i dłużnikom grosza nie dam... bierz ich diabli... i majątku na pułkownikową nie przerobię.“

— „Ależ panie!“

— „Idź do diabła panie Pietrze z takim projektem.“

— „Za pozwoleniem!“ ozwał się głos chrapliwy, i przez otwierające się drzwi weszła kobieta wzrostu mniej jak miernego, a tak systematycznie utuczona, że podobniejszą była do kuli na dwóch nogach ustawionej, niżeli do postaci człowieka. Dwie najdobitniejsze na tej postaci rzeczy były: piersi olbrzymie, dla których żaden mistrz krawiecki nie wynalazł dotąd dostatecznej sznurówki, i które też buraczkową barwą nakrapiane, wydęte naprzód ściskającym je gorsetem,

wystawały w większej połowie z jasno pąsowej aksamitnej sukni, której wcięcie złotym sznurem oznaczone nikło zupełnie między gorsem i tłustemi biodrami; drugą zaś równie wydatną częścią tej czworobocznej postaci była twarz, w której szerokich, lśniących, w karmazynową barwę wpadających policzkach nikły zupełnie oczy, do dwóch szpilek podobne i nos, którego kształtu dawniejszego trudnoby było odgadnąć. Szal pomarańczowy o różnobarwnych frędzlach obwijał od szyi aż do stóp tę wykarmioną figurę, a na rzadkich bardzo jasnych włosach, przez które przebiegała pekeflejszowa barwa ciała, wznosił się czepiec olbrzymiej objętości, dziwaczного kształtu, spiętrzony do niezwyklej wysokości kokardami wstążek piwoniovych, i bukietem tulipanów wielkości sporego snopa. Dodać jeszcze potrzeba, że na twarzy i nosie rozrzucone bały ciemniejsze od karmazynu plamy ciemnofioletowe, zdradzające niepospolite zamięłowanie tej pani w gorących trunkach, których woń otaczała ją jakby atmosfera wielkiej kufy.

— „Za pozwoleniem!“ powtórzyła głosem chrapliwym, który cokolwiek chrapanie mopsa przypominał; „jeżeli kto do diabła pójdzie, to chyba ty mój panie z twemi długami, fałszywemi zębami i przyprawianemi łytkami.“

Dla tłustej pani brak łytek był poczwarnym, oburzającym ją niedostatkiem.

— „Pani pułkownikowa dobrodzika!“ zawołał adwokat z uśmiechem grzecznym ku niej zwróconym, a szyderczem spojrzaniem rzuconem na Karlińskiego.

— „Pani pułkownikowa!“ zawołał nieśmiałym głosem Karliński, który zbladł mimo rużu na twarzy, i przyskoczył do niej z uśmiechem podobnym jak dwie krople wody do skrzywienia, jakie przed chwilą wzbudziła na jego twarzy boleśna podagra. „Madame!“ dodał cieniutkim śpiewnym głosem, i pocałował w tłustą rękę, która nie znalazłszy zapewne dość wielkiej rękawiczki, jaśniała równie jak twarz tłustym i pąsowym blaskiem i prócz tego mnóstwem pierścieni świecących drogiemi kamieniami.

— „Daj mi pokój z twoją francuzką gadaniną; ja ci powiadam po polsku, że musisz zrobić kontrakt taki, jak ci radzi pan Mojakowski.“

— „Ależ pani pułkownikowo!..“

— „Bez ale, mój kochany? Potrzeba ci pieniędzy, których nie masz, i których, że niedostaniesz spytaj adwokata swego.“

Pan, Mojakowski zapytany spojrzaniem Karlińskiego wzruszył ramionami.

— „A ja dam te pieniądze..“

Uśmiechnął się Karliński powtórnie.

— „A więc ten kontrakt“ powiedział „ma być tylko pozorny, aby dłużników w pole wywieść..“

— „Strasznie głupi jesteś mój kochany!“ zapiszczała pułkownikowa ruszając rękami, i tak blisko przytoczyła się do Karlińskiego, a pięściami ściśnionemi migiała mu przed oczy, że się chudy Karliński jak najspieszniej w tył cofnął. „Ten kontrakt będzie

prawdziwy, ja zostanę panią twego majątku, rozumiesz! Dam ci pieniędzy; póki żyjesz, z intrat które i tak musisz dzielić ze mną; będziesz miał tyle, ile ci potrzeba na te twoje pańskie życie, a jak umrzesz...“

Zbladł jeszcze mocniej, bo się śmierci fatalnie obawiał i mruknął: „Ja zupełnie zdrow jestem...“

— „A jużci umrzeć musisz raz... i jużci ja ciebie pochowam“ dodała pułkownikowa tłusta, mierząc dziwnie pogardliwym wzrokiem chudego Karlińskiego.

— „A więc jak umrzesz, majątek będzie mój.“

— „Ależ madame!“

— „Przeستاńże! i nie trać darmo czasu, który mi niepotrzebnie zabierasz; mam tam na górze doskonale towarzystwo i ponczyk wyśmienity, który sama przyrządziłam... a ty mi tu bajesz. Jutro z rana pan Mojakowski przyniesie kontrakt gotowy.“

— „Ależ mój syn jest dziedzicem moim!“

— „Głupis strasznie, mój kochany... twój syn ma majątek matki swojej... i zresztą jak się ożeni z panną Kamillą...“

— „To jeszcze nie pewne!...“

— „Musi być pewne!... w tem moja rzecz!“

— „Czyliż przecie mogę go wydziedziczyć.“

— „Słuchajno... nie udawaj cnotliwego; wydziedziczyć to nie wielka rzecz, osobliwie jeśli całym dziedzictwem są długi; ale są inne postępowania występne: naprzykład jeżeli żonę...“

— „Madame! pani!“ zawołał Karliński i przyskoczywszy do niej, porwał ją za rękę.

— „Jeżeli więc nie chcesz, bym o twojej przeszłości gadała, to nie nudź mnie dłużej... ponczyk mi ostygnie, i mógłbyś drogo mi zapłacić za każdą jego kroplę.“

— „Wszak tu mi idzie tylko o syna... i co świat powie?“

— „Dosyć tego! ja tak chcę mój kochany! czy rozumiesz, ja tak chcę!“

Karliński spuścił oczy i milczał, tylko zęby fałszywe dzwoniły ze złości czy z wzruszenia.

— „A wiesz przecie, że co ja chcę, to ty zrobić musisz... Wszakże gdybym była chciała, byłbyś dziś mężem moim.“

— „I kto wie“ odezwał się adwokat, „może w ten sposób dałyby się teraz jeszcze usunąć wszelkie trudności.“

— „Bardzo proszę swego nosa pilnować“ odpowiedziała cierpko pułkownikowa „a nacożby mi się zdał taki suchy i wychudły mąż.“

Zamilkli obaj mężczyźni przed panią pułkownikową, której wpływ na Karlińskiego był oczywiście przemożny.

Kto była pułkownikowa i z kąd ten jej wpływ na Karlińskiego, który w obec niej tracił całą dumę swoją i drżał jak student przed profesorem, były to tajemnice, o których nieraz rozmaicie po salonach stołecznych gwarzono. O jej prawach do tytułu pułkownikowej wiedziano tyle, że ją tak Karliński nazywał, i że jak jakiś dowcipnis salonowy zrobił uwagę, miała ona słabość do wojskowych, których tyle służyło w jej korpusie, że przynajmniej jej się należała

ranga pułkownikowej. Wiedziano zresztą o niej, że kiedyś przed laty była w domu Karlińskiego jako służąca jego żony; później zaś po długiem zniknięciu z widowni życia stołecznego, pojawiła się pani pułkownikowa, silnemi i zawiesztemi obdarzona wdziękami, i zamieszkawszy drugie piętro w domu owdowiałego Karlińskiego, rządziła wszystkiem, jadła, piła i hulała po całych dniach i nocach, dobrawszy sobie stosowne towarzystwo, a trwonila bezprzykładnym sposobem pieniądze Karlińskiego, który nigdy nie śmiał jej nic odmówić. Dziwili się temu niepospolicie przyjaciele Karlińskiego, którzy znali jego samolubstwo, i jego dla wszystkich brudną nieużytość, i nałamawszy sobie głowę nad tym związkiem przeżytego i przesyconego starca z tłustą pułkownikową, której wdzięki, jeżeli kiedy były jakie, nikły codziem pod wpływem kuchni i piwnicy, przestali wreszcie myśleć o tem, rachując ten cały stosunek do liczby tych wszystkich kapryśnych i niezrozumiałych pojavów, dziwacznych słabości, jakie nas codziem uderzają u salonowców, oddanych rozpuście i próżniactwu, rodzącemu codziem tysiące głupst. Żyjący w zażyłości z Karlińskim, mówili o nim: poczciwy człowiek, mimo najgrubszego grzechu jaki człowiek mieć może.

W rzeczy samej pułkownikowa była zapewne i grzechem i karą razem naszego bohatera. Wpływ jej na niego czyli pochodził z przypomnienia dawniejszych stosunków miłosnych, czyli z wpływu, jakie silniejsze usposobienie na słabsze wywiera, czyli z powodu jakiej przeszłości występnej, która przykuwała go do woli pułkownikowej, czyli nareszcie z tej bezprzykładnej słabości, która tak często pojawia się u starców życiem rozpustnem zniszczonych, dosyć że był to wpływ prawdziwie tyrański, jak tego mały przykład tylko co widzieliśmy. Jakoż króciej niż nasze opowiadanie trwała ta smutna walka. Karliński poświęcił syna i dłużników, którzy mu w dobrej wierze swoje ciężko zarobione powierzyli mająteczki, a uspokojony myślą, że się syn bogato ożeni, i że przecie tytuł będzie mu dostateczną i niemłą po ojcu spuścizną, przystał na podpisanie kontraktu, który pan adwokat Mojakowski miał mu przynieść nazajutrz. Pan adwokat zaś podlegał także wpływowi pani pułkownikowej, która umiała być bardzo wspaniałą cudzemi pieniędzmi. I rozeszli się: pułkownikowa poszła kończyć pończuk doskonały, Karliński zaś, wzięwszy adwokata pod ramię, wszedł do salonów swoich, by tam oczekiwać gości. Jakoż przez ten czas rozświeciły się wytwornie poumierane salony.

I na ulicy zaczęto zapalać lampy, które coraz potrzebniejszemi robiła wzmagająca się ciemność wieczorna.

Szedł dosyć pustą ulicą mężczyzna wysokiego wzrostu, którego twarz wychudła, napuchnięta od bezsennych nocy i często używanej ku orzeźwieniu wódeczki, oraz strój stary połatany i zaniedbany, zdradzały nędzę i ubóstwo. A przecież na tej twarzy naznaczonej tyłą latami wieku, latami nędzy i używania tej biednych ludzi jedynej pocieszycielki spirytusowej, były rysy zdradzające silne zdrowie i wesole usposobienie. Pod brudnym wąsem i tydzień niegoloną brodą, pod rozczochranemi włosami, które przedwie siwieć poczynały,

a które stara wytarta i bezkształtna czapka pokrywała, było coś w ustach i na czole, co zdradzało dobre serce i rodzaj szlachetności niestartej jak u Karlińskiego pełnem użyciem życia. Piętno boskiego pochodzenia duszy człowieczej wybitniej wyzierało z twarzy szewca Karosza, niżeli z całej w zwierzęcą apatię przechodzącej postawy pana Karlińskiego. Bo w walce z nędzą nigdy tyle człowiek spodlić się nie jest w stanie, ile w walce z dobrym bytem; bo rysy boleści i cierpien szlachetniejszymi oznaczają się zmarszczkami, niżeli rysy tak często widziane na twarzach salonowych, zniewieściałości i próżniactwa. Nie bierzcie tego państwo za powieściarską przesadę; bo niełatwo o twarz nie powiem piękniejszą, w zwyczajnem znaczeniu, ale więcej odznaczoną między bogaczami, należącymi do najpierwszych świata towarzystw, mianowicie, między starcami, na których czole mniej już znaczne jest piętno siły umysłowej, która jedna niby rozpromienia powabniejszym blaskiem ludzi lepiej wychowanych. To też stu starców pięknych znajdziesz w ludzie za jednego w salonie; jeno się tylko im chciejcie przypatrzeć!... A o to podobno najtrudniej, bo lada twarz salonowa nazwiskiem odznaczona, więcej wzbudzi w nas ciekawości, niżeli sto twarzy z ludu, na których przecie wypisane są najwymowniej wszystkie okropne walki ludzkości, burzące tym ludem biernym, pracującym gorzko.

Szewe Karosz, którego wprowadzam teraz na scenę, szedł jak mówiliśmy ulicą, wiodącą przed dom pana Karlińskiego; a szedł z początku spiesznie, lecz coraz więcej zwałniał kroku, im się więcej zbliżał do poprzecznej uliczki, przecinającej główną ulicę. I zaczął machać rękami, i mruzczyć coś do siebie; widocznie był w walce sam z sobą i mruczenie jego coraz wyraźniejszymi odzywało się słowa, bo szewe Karosz miał często zwyczaj mówić do siebie. Jest to zwyczaj wspólny wielu ludziom biednym z ludu, których położenie opuszczone i rozpaczliwe, nie stawiają ich często w towarzystwie przyjaźnem i współczującym, przymusza ich niejako do tej poufnej pogadanki z samym sobą, w której się albo modlą głośno do Boga, albo głośniej jeszcze rzucają przekleństwa i obelgi na kamienne okoliczności i kamiennych ludzi.

— „Pracuj że tu cały tydzień... ciesz się w sobotę... ażeby was diabli wzięli... buty chcą mieć i dobre i prędko, a jak człowiek przyjdzie po zapłatę, to zawsze jakiś diabeł wskoczy w środek. Panie majster, proszę na pierwszego; panie majster, na przyszły tydzień przysłał mi z domu pieniądze. No jeszcze ci biedni studenci i urzędnicy wypłacają się jakoś, chociaż cyrkają pomału... ale proszę ja kogo, ktoby się spodziewał, że takie pany, co to na pierwszych piętrach mieszkają a kamerdurniów i darmoziadów trzymają, więksi jeszcze kręciarze i szachraje. Przynajmniej z studentem, z urzędnikiem, jak chybi terminu, to się człowiek wyklóci i wygada i jakies poczciwe słowo usłyszysz: kochany panie Karosz!... poczciwy majstruniu... Ale te! te pijawki nasze, to nawet człowieka nie uważają za człowieka... ale za psa. Zastawiają się drabami w przedpokoju... i wytrącać ka?ą za drzwi, i ofukną i poszturkają... i czekają cierpliwie, nim się któremu podobna przypomnieć sobie, że takiemu

charłakowi jak ja winien jest pieniądze.. Ot dziś byłem u tego pana, co to mi go zarekomendował mój Kopytko... mam już trzy pary butów i cztery podszycia u niego.. złajali mnie w przedpokoju i powiedzieli, że pan słaby... prawda że słaby... słyszałem jak dzwonił szklankami u niego.. Przyjdzie lato... to znowu pojedzie gdzieś do wód... a ty biedny Karoszu czekaj!... A niechże się zgra, albo obtraci zupełnie... to sobie w łeb strzeli... albo pojedzie do Rosji, by się ożenić tam gdzieś na Ukrainie... a kredytorowie niech zdychają z głodu... a biedny rzemieślnik musi pracować i męczyć się. Oj wy! wy panowie pierwszopiętrowi, żeby nie wasze zbytki, wasze rozpusty, wasza lekkomyślność i wasz egoizm bez serca i bez duszy, nie byłoby tak źle nam biednym rzemieślnikom. A czyż nigdy lepiej nie będzie?

I pełen zapału wznosił ściśnięte pięści i oczy roziskrzzone ku oświetlonym oknom domu, pod którym się w tej chwili znajdował. Lecz w tem postrzegł zamazany obraz matki boskiej, i zdjął pobożnie czapkę, aż wiatr rozwiął mu szpakowate włosy, a ręką przezegnął się.

— „Ależ djabie zimno!“ mruknął znowu i zatrząsł się“ „przekłete marcowe chwile... dobrzebyto było pójść do pani Wojciechowej kумы mojej na kieliszek kminkówki.“

Zaśmiały się biednemu Karoszewi siwe oczy i coraz wolniej zbliżał się do poprzecznej uliczki, bo na tym właśnie rogu rozstajna była dla niego droga, na prawo do domu, na lewo do pani Wojciechowej szynku. I mimowolnym ruchem wsadził rękę do kieszeni kamizelki.

— „Mam dwa grajcarey srebrne... byłyby za nie spory kieliszek kminkówki... a Wojciechowa dodałaby mi darmo pieprzu trochę... bo mnie w żołądku jakiś robak gryzie. Oj! nie robak to, mój ty stary Tomaszu, ale głód!... głód!.., A ta biedna Bogunia czeka na mnie i także głód cierpi... moja dobra i piękna Bogunia... a ten przekłety pan nie zapłacił za buty... gdyby tak za aksamitny kapeluszek dla aktorki... toby znalazł pieniądze... ale za buty... o żeby cię djabli... Biedna Bogunia, choć chleba kupię za te dwa grajcarey. Ale zimno! przekłecie zimno!... Wojciechowa nie da kredytu... i przysięgałem, że na kredyt pić nie będę, od czasu kiedym się tak okropnie upił na kredyt, a przyszedłszy do domu... U! u!.. „krzyknął i zatrząsł się jeszcze mocniej: „trzeba chleba kupić dla Boguni.“

I raz jeszcze stanął na rozstajnej drodze, a czule i smutne spojrzenie rzucił na lewo ku wiatrem kołysanej wieszce, która z głębi ulicy, zdawała się kiwać na niego, i zielonym swym liściem zapraszać.

W tej chwili ozwał się z pod narożnej kamienicy jęk chrapliwy. Karosz zadrżał, bo jakkolwiek odważny i śmiały w zdybaniach szynkowych i ulicznych, w samotności nocy oddawał się przesądnej bojaźni. Zbliżył się jednak i ujrzał na kamiennej ławce przed kamienicą, tuż naprzeciw oświetlonym oknom pana Karlińskiego i pani pułkownikowej, z których wychodziły aż na ulicę wesołe wrzaski gości, ujrzał widok okropny. Była to matka z trojgiem dzieci. łach-

manami okryte ciała drżały od zimna, twarze matki i dzieci! były sine, napuchnięte, a tak chude, że się aż serce ścisnęło naszemu Karoszewi, który rozumiał głód i nędzę. Najmniejsze dziecko wisiało u próżnej i zmarszczonej piersi matczynej, i słabym jęczało głosem za pokarmem, którego źródło wyschło zupełnie; biedna matka tuląc do siebie drugie dziecię w pół drzemiące, a w pół gorączką głodu trawione, oczy miała wlepione w dom oświetlony a usta jej ruszały się jakby do mowy, choć głosu słyhać nie było. Ona modli się może do obrazka Bogarodzicy!... o nie!... ona już dawno wymodliła wszystkie pacierze swoje i całą wiarę swoją; ona przeklinała okropnymi myślami, którym słów brakuje, te oświecone okna domu, z którego ją tylko co wygnano. Bo czyliż bawiący się mają czas pomyśleć o nędzy wymagającej pomocy? Najlitotściwszy, gdy siedzi przy biesiadzie lub stoliku zielonym, powie w takim razie: jutro niech przyjdzie, i niech zastanowi się nad tem, że jutro nędzy jest głód, a jutro głodu jest śmierć!... Okropne były przekleństwa jakie milczkiem zdradziecko wymykały się bez głosu z ruszających się ust biednej matki; gdyby stanęły widomie przed oczami wesółych gości, zdrzeliiby...

Serce poczciwego szewca ścisnęło się w piersi na ten widok okropny; zapomniał o wódeczce, zapomniał o głodnej Boguni swojej i sięgnął do kieszeni swojej. Dobył oba grajarcy, lecz po chwili namysłu jeden wpuścił nazad do kieszonki, a drugi oddał biednej żebraczce, która tylko spojrzeniem mu podziękowała. Bo ona zrozumiała jednym rzutem oka, że biedny Karosze głosnych podziękowań nie potrzebuje, jak niepotrzebował głosnej proźby żebraczek.

— „Troje dzieci!“ mrucał Karosze oddalając się pomału „cóż oni będą mieli za ten grajcar?... a my przecie w domu znajdziemy co zastawić jeszcze... trudno! trudno! ale troje dzieci!...“

I szybkim pędem zawrócił nazad, i drugi grajcar wsunął do zimnej ręki biednej żebraczki.

Ani się oglądął poczciwy szewc, biegł tylko prosto drogą ku domowi, gdy na samym skrawku ulicy uderzył tak mocno o idącego, porządnie ubranego mężczyznę, aż mu się płaszcz, w którym był obwinięty zsunął, i przez chwilę odsoniła się Karoszewi twarz przystojna i młoda.

Karosze zdjął czapkę i pokornie przeprosił rozgniewanego młodzieńca, który czempredziej osłaniając białą i gładką twarz przed osmalającym wiatrem marcowym, francuzkie jakieś przekleństwo zamruknął i pogonił ku oświetlonemu domowi. A Karosze zdziwionym wyrazem spojrzął za nim.

— „Te przeklęte lampy tak ciemno świecą“ mruknął do siebie; „a przecie ledwobym nie przysiągł, że to twarz znajoma... a to być nie może.“

I patrzył ciągle za nim z wyrazem zdziwienia i przestachu prawie. Młodzieniec tymczasem zbliżał się do domu oświetlonego. Usłyszał także jęk niemowlęcy głodnego dziecka, usłyszał głosne wezwanie matki żebrzącej, która wiedziała dobrze, że takich paniczków bogatych trzeba głośno błagać, bo dla nich niema mowa nędzy,

tak znacząca i wymowna dla biednego szewca, nie wystarcza.

— „Że też to policja tego żebrzącego łajdactwa nie zabiera z ulic“ fuknął młodzieniec, i znikł w sieni oświetlonego domu.

— „Tfu!“ splunął Karosz; „dalipan i głos wydaje mi się znajomy?... Ej to być nie może... to mi się tylko zdawało“ mruknął do siebie i pobiegł do domu, do Boguni czekającej niecierpliwie na powrót majstra, roznoszącego w sobotę buty, nad którymi cały tydzień pracował.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Zbytek i nędza.

Młody człowiek płaszczem owinięty, wszedł tymczasem do pomieszkania Karlińskiego, i zastał już salony wypełnione. Towarzystwo zebrane u Karlińskiego składało się z samych mężczyzn, bo jako wdowiec nie spraszał kobiet do siebie. Czasem tylko w zapusty wyprawiał sute bale, na które panie salonowe przyprawdzały i własne i córek swych wdzięki, nie zważając wcale na brak gospodyni. Bo w paniach salonowych przemoga wszystko żądza bawienia się; niema dość ważnego zdarzenia, dość wielkiej żałoby, któraby je wstrzymała od balu; byle tylko poskakać, stroje swe i wdzięki pokazać, pójdą wszędzie i zawsze. Lecz razu jednego pułkownikowa mimo całej pilnującej ją ostrożności Karlińskiego, tak sobie dogodziła truneczkiem, a zrzuciwszy czepiec i zakasawszy aksamitną suknię takie dokazywała sceny, że Karliński zaniechać musiał balów na czas jakiś, a jeżeli nawet występował z niemi czasem, jego pani nie gospodarowała, z czego wielce była ucieszona, bo nad wszelkie bale przenosiła swoje przyjacielskie wieczorki, w których kilką mundurami otoczona, dzielnie wysuszała pełne szklance, a chrapliwym swym głosem koszarowe śpiewała piosnki.

Nie będziemy szczegółowo opisywać wieczornej zabawy i gości pana Karlińskiego; wszakże śmietanka wyższego towarzystwa znajdowała się na niej, a wieczór odbywał się, jak się zwykle odbywają wszystkie wieczory mekie. Młody człowiek, który takie w Karoszu wzbudził zadziwienie, zastał wszystkich przy herbacie, tej konieczności wieczorków miejskich. Na okrągłych stołach pozastawiano mnóstwo naczyń srebrnych, niekoniecznie do herbaty potrzebnych, ale mających dowodzić zamożność pańską; a na wszystkich były herby, cyfry i korony. A że u nas koniecznie małpować potrzeba, nie mogąc małpować rozumu i dobrych własności Francuzów i Anglików, małpujemy Francuzów język, a Anglików zwyczaj, choćby najmniej dla nas stosowne. Do herbaty więc prócz mnóstwa ciast rozmaitych pozastawiano szynki, ozory, jaja i sery, i konfitury, i owoce, i Bóg wie co jeszcze. A rozmowa, jak zwyczajnie rozmowa salonowa, jużto w francuzkim po większej części języku wiedziona, i z francuzkim akcentem, którym się zwykle więcej szczycimy, niżeli gruntowną znajomością języka; rozmowa była głośna i prózna,

gdyby olbrzymi wiatrem nadęty pęcherz, wiatrem hałasujący. Było w niej trochę o teatrze, nie tyle ze stanowiska estetycznego ile ze stanowiska zakulisowego.

Pan Leon Badyłski stary młodzieniec na prawdę, a młody starzec na pozór, szeroko opowiadał patrząc zyzem na słuchających o wdziękach nowej aktorki.

— „I odmówiłeś ją ty tyranie aktorek“ ozwał się pan Ludwik, młodziutki dowcipniś salonowy bez dowcipu.

— „Publiczność powinna cię ukamienować“ dodał młody Kazimierz, wyglądający jakby rycina żurnalowa.

Nie mało też w rozmowie rzeczzonej było o koniach; wszakże na tem zebraniu było parę Stewardów, kilku Rider gentelmenów; a znających się na koniach, lubowników końskiej Balasa literatury, co niemiara. To też techniczne słowa angielskie padały jak grad; a potop kłamstw koniarskich sięgał zgromadzonym po uszy. Między przystojnym i wysmukłym Aleksandrem a brzydkim podsadkowatym panem Antonim przyszło nawet do mocnej sprzeczki o pierwszeństwo Faworyty i Jargala.

Pogodził ich maciupki pan Leander, dowodząc, że ani Faworyta ani Jargal nie warci jednej nogi jego Amadysa, na którym on, gdy jeszcze gonił za bogatym posagiem żony, dwadzieścia mil uciał jednym pędem za godzin dziesięć. Wszyscy uwierzyli, bo mieli na ustach przygotowane już inne również prawdopodobne prawdy.

Z koni przejście naturalne było do polowań, lecz nie myślcie państwo, że mówiono o tych naszych polowaniach kniejowych, z rogiem w ustach, szeroką siecią w koło kniei i kilka tęgiemi sforami psów gończych. A pfe! któżby takie stare i wygwizdane już przypominał rzeczy. Stéeples-chasse panie! par force, wściekłe skoki i hece po debrach i skałach za lisem, padały im tak lekko z ust, że aż miło. Z dawnych polowań nie już nie zostało, prócz dawnego kłamania myśliwskiego.

Wielki i barczysty pan Kalasanty uciał im historją, aż strach o polewaniu w górach, na którym trzy konie rozpękło się pod nim w skoku, czterech ludzi wpadło w przepaść, a coby jeszcze mniejsza było, bo: „cóż to dla mnie trzy konie, mówił pan Kalasanty głosem tak donośnym, a z ruchami szerokiej pięści tak energicznymi, że wszyscy z samej bojaźni uwierzyli; a ludzie ci, to byli jakies tam chłopcy, których każą wypędzać na polowanie; ale jeden z moich angielskich dogów, sławny Billow, w skoku przez ogromną przepaść piętnasto-stopową, że nadto silny wziął popęd, zamiast stanąć na drugim brzegu przepaści, dosięgnął kilka stóp dalej stojącej smereki, i zawisł na niej. Nim za nim przeskoczyłem przepaść na Diarmidzie, mój tęgi Billow wyzionął ducha. Szkoda go!“

— „Szkoda!“, powtórzyli wszyscy chórem, i zajedli szynką tę gorącą sprawę.

Z polowania cóż było łatwiejszego jak przejść do kobiet; wszak i to także rodzaj polowania. A co z nich każdy upolował cudzych żon, wdów i panien, na wołowejby skórze nie spisał! O kobiecych cnotach zamilczano jak o polowaniach dawnych; ale za to o

własnej tęgości, o zalotności kobiet nagwarzono mnóstwo słów niedowcipnych, gdyby sieczki. Młodzi i starzy szli w tej rozmowie na wyszyci, a nawet tacy, którzy już za dni kilka mieli zaślubić młode jakieś i niewinne dziewczęta, gadali o cnocie kobiecej jak o mitologicznej bajce, jak o romansowym wymyśle. I nikt z nich nie pamiętał, że do kobiet tak lekko przez nich obmawianych, należały przecie ich matki rodzone. Skandaliczne powiastki występowały po sobie bez żadnej przerwy. A ta część rozmowy przeciągała się tak długo, że się już Karliński, któremu zupełnie nie na rękę była taka bezpożyteczna pogadanka, zaczął kręcić na stoliku, gdy ją nagle przerwał milczący dotąd młodzieniec, z szlachetną twarzą i smutnym wyrazem w niebieskich oczach.

— „Trzeba mieć wiele zbywających pieniędzy,“ mówił on głosem dźwięcznym i śmiałym, „by je wyrzucać na takie smutne zwycięstwa, o jakich panowie rozmawiacie.

Pogłupieli wszyscy, i otwarte gęby z wyrazem niepojętego zdziwienia zwrócili na mówiącego.

— „A juźci,“ odezwał się półgłosem ten drugi młodzieniec, którego widzieliśmy na ulicy, „na to mamy pieniądze, by nimi dogadzać sobie.

— „Słusznie,“ odrzekł młodzieniec z błękitnem okiem, „lecz kto ma tyle, by dogadzać wszelkim zachceniom swoim, czyliż nigdy nie uczuje potrzeby zachceń szlachetniejszych, wydatków pożyteczniejszych?

— „Zapewne! zapewne!“ mruknął jeden i drugi półgębkiem.... „lecz nie rozumiemy, o czym pan mówi?...

— „Przyszło więc mi na myśl;“ ciągnął błękitno-oki młodzieniec nie bez lekkiego szyderstwa na ustach, „że trwoniąc tyle złota na te wszystkie wasze wyprawy romantyczne, podziękujcie mi panowie, gdy im zaproponuję nowy, chociaż mniej znaczny wydatek.

Wszyscy pospuszczali, jak to powiadają nosy na kwintę, i zaczęli dopijać resztki herbaty i dojadać resztki angielskiego podwieczorku.

— „Pan Karliński zna najlepiej pana Erazma, starca sześćdziesiątletniego, który wraz z trzema synami jutro już musi opuścić miasto nasze, i puszczać się w świat bez najmniejszego zasobu pieniężnego. Pan Karliński przyrzekł nawet, jeżeli się nie mylę i to kilkakroć już panu Erazmowi, że się uda do swoich przyjaciół....

— „Ja.... to jest.... wprawdzie.... ale....,“ i zajęknął się Karliński, a do tabakierki złotej zajrzał najspieszniej.

— „Owoż“; mówił dalej przystojny młodzieniec, „tę to sposobność wyrzucenia pieniędzy podają teraz panom.... zrobicie szlachetny uczynek, a raczej spełnicie obowiązek moi panowie.

— „Ciężkie czasy!“ mruknął jeden.

— „Trudno każdemu dawać....“ szeptał drugi.

— „Czy to się człowiek nie nadawał już dosyć w życiu,“ przebaknął trzeci.

— „Nawet nie mam podobno pieniędzy przy sobie,“ wymówił

czwarty, uderzając się w piersi uzbrojone pod koszulą w skórzaną torbę z banknotami.

— „Nie tu miejsce!“ dodał piąty.

— „Że też nie można się zabawić spokojnie,“ rzekł szósty.

— „Szczególnie jest to darcie oczów,“ zagadał siódmy.

I tak, i owak mówili, a wszyscy pomału powstawali od herbaty, i milczkiem i chyłkiem wynosili się do drugiego salonu, w którym porozstawiane zielone stoliki uśmiechały się do nich, najmiłszem zajęciem, najśłodszą nadzieją. A młodzieniec z błękitnem okiem patrzył za nimi z bolesnem sztyderstwem na uśmiech, a smutnem zadziwieniem w oczach.

Milczenie trwało ciągle, a ta scena stawała się coraz nieprzyjemniejszą, gdy nagle otworzyły się drzwi, a przez nie z wielkiem zadziwieniem przytomnych, weszły dwie panie, krokiem poważnym i śmiałym. Ich stroje czarne, zawieszane u rąk koszyki i torbeczki, a nareszcie przypomnienie na wielki tydzień, który się miał jutro zacząć, otworzyły wszystkich oczy. Były to kwestarki wielkanocne.

Nie będziemy opisywać te panie, z którymi się zapewne później zdybiemy; tyle tylko tu o nich wspomniemy, że jedna była już dobrze stara, chociaż starannie odmłodzona, druga zaś była i młoda i piękna; obydwóch zaś oczy zalotnie latały w około, i z wyzywającą śmiałością patrzyły na zgromadzonych mężczyzn. Młodsza poskoczyła naprzód, i słodkie oczy błagalnie w koło rzucając i uśmiechem miłym nęcąc, zaczęła potrząsać torbeczką swoją. Wszyscy się do niej zbliżyli, i zabrzęczało złoto wrzucane do torbeczki, zaszeleściły papiery bankowe wsuwane do koszyka.

I zarumieniała się mocniej trochę, gdy się zbliżył młodzieniec z ulicy, a rzucając do torbeczki swoją daninę, szepnął jej z cicha:

— „Jakże mi przykro, że nie mogę pani służyć dzisiaj w tych nudnych wędrówkach kwestowych.

— „Ale jutro?....

— „Jutro jestem wolny... jeżeli mogę nazwać się wolnym na przeciw pani.

Gdy wyszły kwestarki, jeszcze pogardliwiej spojrzął młodzieniec błękitnooki na towarzystwo całe, i już nie chciał więcej przemawiać do nich za starcem biednym z trzema synami.

Porwał młodzieniec za kapelusz, lecz chwilę się zatrzymał jeszcze, by spojrzeć na towarzystwo, które jak najspieszniej po wyjściu kwestarek obsiadło stoliki zielone. Mało było stolików wiskowych, bo gry jak je nazywają komercyjne, są za poważne, za nadto zimne, i chociaż wiskowi teraźniejszowiekowi namiętność gier hazardowych dodała i szturm i kajenę, które go w większej połowie hazardowym zrobiły, zawsze przeciw wisk jest wiskiem. A niema jak djabełek!... to jest gra nad gry wszystkie; bo to w niej można prędko i zgrać się i przyjaciela ograć, a co najwięcej, w djabełku popłaca zgrabność, która stała się dzisiaj sztuką wyzwoloną. Są też dziś ludzie, których całym dochodem jest djabełek, żyją przecie, i dobrze żyją, i lepiej żyją od tych wszystkich, którzy nudnie i zmu-

sowano ośm talij kart, rozciągniętych przez środek stołu czarodziej-
skim wężem; misę postawiono, w którą sypnęły się złote monety i
papierki bankowe, i z uroczystością godną ważniejszej sprawy, za-
siadło osób kilkanaście do tej walki, która dzisiaj zastępuje dawne
turnieje. Wszak przy djabelku idzie także o życie, i więcej jak o
życie, bo o pieniądze, które życiu dzisiejszemu nadają wartość,
treść i znaczenie. Twarze graczy są na pozór obojętne, bo od
tego jest dobre wychowanie, by się na twarz nie dostał żaden wy-
raz chciwości trawiącej ich duszy. Gdyby broń Boże na jaw twarzy
i wyrazu wyszły uczucia wewnętrzne, patrzący nie poznałby salonu
wytwornego, wielkoświatowego, ale mniemałby, że jest w towarzystwie
więźniów galerowych. Bo tam jeden drugiemu, choćby go przed
chwilą przyjacielskim witał uśmiechem, żąda wydrzeć wszystko, a
im więcej wygrał, tem namiętniej i pożądliej patrzy i mierzy
resztkę gotówki. A jak mu wszystko wydrze, czemu dla niego
zgrany i goły przyjaciel wczorajszy? Skórka cytryny wyciśniętej —
nie ma soku, nie ma wartości.

Naokoło stolików siedzi najwięcej młodzików, między którymi
rej wodzi pan Karliński, który twierdzi, że najlepsza sprawa z mło-
dymi. Gospodarz domu w tym względzie jest człowiekiem doświad-
czenia, i przekonał się już nieraz, że poważne peruki, szanowne ły-
siny, i owe honorowe wstążeczki paśowe, które zawsze zdybać mo-
żna przy zielonych stolikach, najfatalniej go ogrywały. To też za-
to przez słuszny odwet nagromadza u siebie bezwąsych przedsta-
wicieli młodszego pokolenia i obcina ich niemilosiernie; on ich kształci
w tej potrzebnej nauce salonowej, i doświadczeniem im oddaje, co
nabrał z doświadczenia.

Karliński odmłodził między młodymi, chociaż siedzi nieru-
chomy, poważny i uroczysty; ale oczy jego gdyby błyskawice, gdyby
jaskółki w burzy, latają za każdym dukatem, za każdym bankno-
tem, promieniem wesela witają nowego przybysza, piorunem gniewu
ścigają zmiennika uciekającego w inne ręce. A jak tasuje karty po
mistrzowsku! Palce ruchem gadziny zwijają się koło kart, i w obu
rękach rozciągają się posłuszne karty, gdyby dwa wachlarze obrzy-
mie, i ledwie małym dotknie się palcem, z trzaskiem i świstem za-
padają jedna za drugą; młodzieź nie może się dosyć nadziwić tej
zgrabnej szybkości. Najzawziętym po nim graczem jest znany już
nam młodzieniec z ulicy: to też z starym Karlińskim najsmielej
idzie w zapasy; co chwila paki banknotów przerzucają się między
nimi, od jednego do drugiego, garście dukatów z wściekłością
prawdziwą rzucają sobie nawzajem. A tak zawzięte są obydwóch
spojrzenia, że zdaje się, iskry sypją ich wzroki, gdy się zdybią nad
złotem.

I któżby temu uwierzył, że ten młody człowiek jest synem jedy-
nakiem pana Karlińskiego? Tak jest w rzeczy samej, jest to pan
Alfred Karliński... syn to gra z ojcem tak zawzięcie.

Błękitnooki młodzieniec patrzy z odrazą niewymowną na tę
scenę obrzydliwą, i byłby już dawno odszedł, lecz zatrzymał go je-
den rys nowy tej gry. Z każdej cokolwiek większej puli djabelkowej

stary Karliński bierze to dukata, to piątkę, dzieli te pieniądze na dwoje i składa na boku. Przyszedł mu na myśl starzec z trzema synami; może to dla niego robi składkę tym sposobem. Zatrzymał się więc jeszcze i czeka końca tej podwójnej składki, która pulą po puli coraz więcej się zwiększa.

Karliński jest widocznie w swoim żywiole, to też aż miło patrzeć na rozjaśnione jego lica. Z uczuciem niewymownego zadowolenia przewiduje on całą noc, tak lubo i spokojnie bez, przerwy przedpędzoną przy zielonym stoliku.

Lecz przeznaczenie chowało dla niego jedną przerwę niemiłą, jeden nieproszony epizod tego swobodnego zajęcia. Po chwili bowiem ozwał się głos jakiś niecierpliwy w przedpokoju przytykającym do salonu. Głośną dosyć sprzeczkę długo nie słyszeli nawet gracze, których uszy przy grze mają tylko słuch dla brzęczącej lub szeleszczącej monety, i dla rzadkich zwyczajem uświęconych słów djabełkowej mowy. Lecz nareszcie ocknął się stary Karliński, i niespokojny wzrok swój podzielił między pulę, którą ze zwyczaju starego pilnował zawsze troskliwie, i drzwi, z po za których wzmagający się dochodził hałas.

Otworzyły się drzwi, a przez nie silnym ruchem ręki odpychając wstrzymujących go galonowych lokai, wszedł starzec z piękną twarzą, zmarszczkami i jakimś cięciem głębokiem naznaczoną, z siwymi włosami i wielkimi wąsami podobnejże barwy, spadającemi na poblądłe od cierpienia policzki.

— „To musi być pomyłka!“ wyrzekł głosem silnym jeszcze, na pół do przedpokoju, a na pół do salonu zwróconym; „Karliński zamówił mnie na dzisiaj.... trzeci raz już przychodzę.... a te draby chcą mnie zatrzymać.... przepraszam, dodał postrzegłszy towarzystwo tak liczne; lecz mnie czas nagli.... jutro muszę odjechać.“ I westchnął biedny staruszek. Błękitnooki młodzieniec poznał starca i poskoczył ku niemu.

— „Panie Erazmie!“ przemówił do niego z uczuciem.

— „Jak się masz pocziwcze? Witajże kuzynku!“ dodał zwrócony do Karlińskiego, który niespokojnie wiercił się na krześle, i nie miał jak się zdaje ochoty przyznać się do kuzynostwa z biednym starcem.

— „Acan Dobrodziej!“ przemówił nareszcie Karliński niespuszczając oka jednego z pełnej puli. „Widzisz, że mam gości.“

— „Więc możemy wyjść do drugiego pokoju.... wszak mi sam przyjść kazałeś?“

— „A tak.... w samej rzeczy.... mam zaszczyt prezentować panom pana Erazma Prawdzickiego....“

— „Aha! mruknęli gracze i pospuszczali oczy.

— „Panom wiadome jest smutne położenie tego pana....“

— „Aha!“ powtórzyli gracze: i spojrzeli po sobie i na Karlińskiego i na pulę i zrozumieli się wszyscy od razu.

A Karliński nieco spokojniejszy zaczął szukać po puli; przewracał dukat po dukacie, jakby je chciał lekkim palcem ruchem przeważyc; aż nareszcie po chwili wydobyl z głębi oberzniętego i

dziurką, naznaczonego kulfona, który już dawno zwrócił uwagę Karlińskiego swoją mierną powierzchownością, a westchnawszy poniewoli, wyciągnął go i podał stojącemu przed nimi starcowi.

— „Co możemy, to dajemy... „wykrztusił Karliński. „Racz Acan Dobrodziej przyjąć wraz z życzeniem szczęśliwej podróży.“

Zamilkł starzec przez chwilę, ciemny pons pokrył bladą twarz, usta zadrgały konwulsyjnie; widocznie wstrzymywał burzę wewnętrzną, która wrzała w nim okropnie. Porwał za kulfona, i ściskając zęby wyrzekł nareszcie:

— „Nie było mi wstydem żądać pomocy od ciotecznego brata mojego, pana Karlińskiego... ale jałmużny nie prosiłem... tego kulfona, jeżeli go jaka zechce przyjąć, dajcie której z waszych przedajnych kochanek... Żegnaj panów!“ i rzuciwszy biednego dukata, który nawet nie zadzwonił, na stół, odwrócił się ku drzwiom.

— „Idę z tobą ozwał się błękitnooki młodzieniec; z cichszym głosem dodał zwrócony do Karlińskiego, wskazując jedną z kupek pieniężnych, które jak mówiliśmy składał gospodarz: „ja myślałem, że to składka?...“

— „A tak panie dobrodziej... i my umiemy cenić zasługi, i my umiemy nieżałować pieniędzy; to składka dla Szefa Szypulskiego...“

Zadrżał młodzieniec; oko jego błysło gniewem i pogardą.

— „Ładna składka! wymówił donośnie, i tych co dają, i tego komu dają, i tego funduszu szulerskiego.“ Odwrócił się dumnie i wyszedł z siwym starcem.

Wszyscy milczeli, jakby im słowa pomarły w uściech.

Szef Szypulski, byłto stary i znany szuler, któremu sprawiedliwy ale leniwy paraliż odjął prawą rękę.

— „Któż jest ten młody impertynent?“ zapytał wreszcie jeden z grających.

— „A to jest pan Władysław“ odpowiedział Karliński, trzymając rzuconego kulfona z zakłopotaną miną.

— „Ten niby poeta?“ rzekł drugi.

— „Goły literat!“ zaśmiał się trzeci.

— „Ja się tylko dziwię...“ dodał inny.

— „Acan dobrodziej się dziwisz,“ przerwał stary Karliński, „że ja go przyjmuję do siebie, a nawet zapraszam czasem. Coż robić! to jest nieszczęście naszego wieku i naszych zwyczajów, że koniecznie do przystrojenia salonu potrzebni są literaci. Nikt z nas nie wierzy w nich, ale wypada jakoś mecenasować literaturze, protegować tych pismaków, których próżnuteńkiej głowy najlepszy jest dowód, że do nas przychodzą, jakby nie mogli tego pojąć, że w naszych salonach nie są czem innym, jak tylko dodatkiem do przystrojeń salonowych, rodzajem obicia, które się skromnie ściany trzymać powinno. Ja wybrałem sobie tego Władysława; jest to sobie powieściarz podobno, bo mi się wydał najpotulniejszy... ale kiedy i on od ściany chce już wskoczyć na środek salonu, i z swojemi widzimisiami hardo występować... precz z paniczem! szcutka w nos i za drzwi.... on ne se gêne pas avec ces gens de rien!

— „Brawo!“ ozwało się kilka głosów.

— „Ależ ten pan Władysław, jest podobno rywalem twoim Alfredzie?“ zagadał któryś z grających.

— „Moim rywalem!“ odpowiedział Alfred pogardliwie... „un gueux, comme ça.“

— „Słyszałem przynajmniej, że to jakiś ogromny, a odwieczny jego romans z panną Kamillą.“

— „Vous battez la campagne, mój drogi!... to tam na wsi, jak mieszkała Kamilla.... zwyczajnie poufałość sąsiedzka, stosunki dziecinne!“

— „A tak! tak!“ dodał głosem niby poważnym, niby szyderyczym Aleksander, „to były stosunki dziecinne.“

— „Panowie, do rzeczy!“ przerwał uroczysty głos starego Karlińskiego, który ciągle kulfona pogardzonego przewracał w palcach.... „no a tego dukata.... ponieważ już i tak wyjęty z puli, położę chyba na bok do tych pieniędzy na karty dla moich ludzi?“

— „A zapewne!“ odrzekło kilka głosów.

— Ale pozwolicie, że go zamienię, bo to straszny jak uważam kulfon.... i wybrawszy sobie ważnego dukata z miski, położył go do tej kupki drugiej, o której mówiliśmy.

Były to pieniądze składane za karty dla służących niby, którzy ich jednakże nigdy nie widzieli; bo stary Karliński, korzystając z przyjętego zwyczaju, karty sam kupował, a pieniądze za nie w czasie gry składane, brał do kieszeni jako dochód własny. A byłto dochód nie mały, miarkując po sporej kupce pieniędzy, którą już w samym początku gry nagromadził. I zacne towarzystwo grało dalej, a najzawzięciej walczył ojciec z synem.

Lecz zostawmy na chwilę salon i zjeżdźmy na ulicę, a przeszedszy wszystkie znaczniejsze i porządniejsze, zajdźmy na przedmieścia, na których w nierównym porządku cisną się nędzne domostwa jedno na drugie. Niskie i lepione ich ściany, pokaleczone drzwi, okna pozalepiane papierem, podziurawione dachy, powyłamywane parkany i ciasne dziedzińce śmieciem napełnione, z rozwieszoną tu i ówdzie bielizną w łachmany roztrzępioną: wszystko to świadczy, że to inny niż w mieście świat, że tu mieszka nędza. Jeżeli zobaczysz skąpe światelko: to rzemieślnik długo w noc pracuje; aby w końcu dzienną i nocną pracą zarobić ledwie na skąpy chleba kawałek. Jeżeli gdzie wrzawę usłyszysz, to może dziecko woła o chleb i ciepło, lub nędzą rozkwazzone małżeństwo swarzy się z sobą; a nawet wesołe wrzaski, to są krzyki pijane, którymi niejeden zagłusza nędzę własną i rodziny swojej. A jeżeli gdzie ciemno i cicho, to nie mniemaj koniecznie, że to sen i spokój, ale milczenie rozpaczliwe, dumanie samotne nad jutrem, dla którego ani dzisiaj, ani wczoraj nic nie przysposobiło; tam może kona nie jedno życie bez pomocy lekarza, który na gołe przedmieścia nie zachodzi bez apteki, która prosię jeno uważać na dalekiem nigdy się nie sadowi przedmieściu, a za to domy miejskie bogaczy otacza w koło jakby siecią; to też chorey z przedmieścia, choćby złapał równie gołego lekarza początkującego, i wyblagał lub go statkiem swym zapłacił re-

ceptę, kogoż wyszle do apteki w dalekie miasto, a poczciwy sąsiad lub sąsiadka, gdyby nawet pomódz szczerze chcieli, jakże mają w zimną noc pójść tak daleko, bez ciepłej odzieży i bez butów. Jest to jeden a drobny rys tej stulicowej nędzy przedmieść naszego wieku, a każde lico nosi inne jej piętno.

Wiatr wiosenny przebiegał ciemne i brudne ulice przedmiejskie, a samowładnie przez wszystkie dziury i szpary wbiegał do izb ubogich; odpędzany od bogatych i dobrze zaopatrzonych domów samego miasta, zanosił do chat przedmiejskich w gościnę zimno, o którym się ani marzyło mieszkańcom miasta. I wieleż to razy mieszczaninowi o licu rumianem, przedmieszczanin siny od zimna, gdy rozpowie o zimnie i wietrze nocnym, wyda mu się śmiesznym i głupim. Za porządniejszym nieco parkanem, z furtką wiecznie skrzypiącą, której znowu towarzyszyło nieustanne jęczenie zawieszanej na godło tablicy z butem i nazwiskiem naszego Karosza, na czystym dosyć dziedzińcu, wznosił się mały ale schludny i czysto pobielony domek. Było to całe mienie, i duma naszego Karosza, który nabywszy tę chatę, przeniósł się do niej z miasta, a chociaż przez to wiele z swoich dawnych potracił dochodów, radował się biedak tą swoją lichą własnością niepospolicie. Nie płacił już wprawdzie drogiego czynszu za pomieszkanie, ale niemniej przeto dokuczało mu ubóstwo. Darmo pracował biedny Karosz, bieda mieszkała ciągle w domu. Czyliż na to wiele potrzeba dla rzemieślnika? jedna zima dłuższa a zimniejsza, drożyzna kilkumiesięczna, słabość jedna, i już zgubiony; zalażł w długi po uszy, a z nich już nic go nie wyratuje, bo dług dla biednego jest to potwór o niezliczonych głowach, a każda z nich się zowie lichwą. Za jedną zatkaną paszczę sto innych wyrasta.

Aniołem opiekuńczym szewca Karosza była Bogumiła, córka jego, która sama jedna z licznej jego rodziny w domu pozostała. Pięciu miał synów poczciwy Karosz, i wszyscy rozsypali się po świecie. Karosz kochał swoich synów, i nieraz po swojemu szczerze rozwodził nad nimi żale, ale darmo, bo przyjemności rodzinne, domowe są tylko dla szczęśliwych bogaczy.

Zajrzyjmy do domku. Po jednej stronie był warsztat szewski, którego opis nadto by może pokrzywił piękne twarze naszych czytelników, a przecie, na tych niskich brudnych stołkach drewnianych, na tych szklanych kulach, o które się skąpe światło łójówki odbija, w tych porozrzucanych w kącie kawałkach starej i nowej skóry, na tym bohomazie, który wisi w końcu z wyobrażeniem matki boskiej, tyle przyszło łez dawnych, tyle zastygło westchnień, tyle żywych a prawdziwych przyczepiło się cierpień ludzkich, ile wam piękne czytelniczki żadna, chociażby francuzka nienagromadziła powieść. Koło warsztatu był alkierz, a w nim sypialnia naszego Karosza. Po drugiej stronie domu było pomieszkanie Boguni, także z dwóch pokoi składające się. I w nich były ślady ubóstwa, ale zakrywała je ile mogła czystość, która była dziełem młodej córki Karosza. Te dwa pokoiki to było państwo biednej dziewczyny, w którym władała samowładnie, czyściła i obcierała wszystko w zieloność wazonków

kwiatami stroiła jak mogła, a pomatu i z trudnością zbierała to sprzęty porządniejsze, to jakieś ładniejsze przedmioty, nabywane własnej ręki pracą; Bogunia bowiem była znakomitą haftarką. Dla salonowca przesyconego i zepsutego pomieszkanie to całe wydałoby się obrzydliwe i śmieszne, nędzne a mianowicie bez gustu; lecz ktoby tam zajrzał okiem bezstronnem, a wszedł z umysłem i sercem wyższych mąk i uczuć zdolnym, zdumiałby się ile w tym porządku, w tej czystości, w tej niejednostajnej zbieraniu skromnych pokoju przystrojeń, jest szczerego wdzięku, prawdziwej poezji, która zdawała się z powabnej postaci Boguni przelewać się na wszystko, co ją otaczało. Ktoby ją widział w tej chwili, gdy siedząc na drewnianym ciemno lakirowanym stołku, zajęta jakimś haftem oczekiwała na ojca, zadziwiłby się jeszcze więcej. Bo prócz powabów młodości prócz świeżych wdzięków białego lica, rumianych ust, regularnych rysów, czarnych i lśniących się włosów i ciemnych oczów ognistych na jasnym i wyniosłym czole była myśl głębsza, w oczach, które niedarmo zwierciadłem duszy nazywają, odbijała się szczerą prostotą i czystość duszy, której nędza i okoliczności życia pokalać nie potrafiły. Koło ust tylko, obok uśmiechu dobroć serca zwiastującego przeciągał się ledwie widziany rys cierpienie zwiastujący, jakby częste tych ust wzdychania ślad ten przechodu swego wycisnęły; na twarzy tylko bladeść liców zdawała się dowodzić, że troski rozmaite zmyły już z nich ten rumieniec wesela, który na młodych zakwitła twarzach. Nieraz westchnienie poruszyło jej pełną i dziewiczo utoczoną pierś, z oczów zabłysło spojrzenie tak niespokojne, tak trwożne, jakby się już te oczy nauczyły wpatrywać w wielu bolesnych scen życia. W tych oczach lzy już nieraz gościły. Nie można powiedzieć, by w całym wyrazie twarzy, i całej postawie było coś wyższego nad jej stan, i wszystko to ubogie otoczenie. Ona była na równi z swoim biednym położeniem. Zakres jej myśli i uczuć nie wybiegał za granice, jakie biednej dziewczynie los przeznaczył; ona nie posiadała tych wszystkich wybujałych wyobrażeń i zachceń, jakie tak często powieść przypisuje bohaterkom swoim. Ona była dziewczyną ludu, nie taką, jak ją karykaturują salonowi powieściarze, ale taką, jaką być powinna, jaką być może, i jaką znaleźć można często, zajrawszy nie powierzchownie, ale sercem do niskich strzech przedmiejskich. Ona miała wszystkie właściwości i cnoty proste, spokojne i pracowite ludu. Była to prawdziwa dziewczyna ludu, bez jego głównych przywar; skromna, bojaźliwa i spokojna, miała cnoty ludu w swej pierwotnej postaci nieskażone, a jeżeli się jej serce litowało nad nędzą bliźniego, była to litość bezwzględna, pobłażająca przyczynom, a bieżąca w pomoc potrzebnie, nie osobie. Bo biedny tylko umie rozumieć biedę bliźniego, i nie pyta wcale czy ta z własnej, czy z cudzej pochodzi winy: jeżeli czyni przysługę, to bez względu na bliższe lub dalsze stosunki potrzebnego. Potrzebny jest mu bratem bliższym od najbliższego krewnego; i jałmużna taka nie jest jałmużną tylko, ale darem serca. Bogunia była skromną bez przesady, bo inną być nie mogła. Mogła upaść, bo serce jej było czułe, ufne, pragnące miłości, ale jej upadek nie byłby sztu-

ecznie przygotowany, wyrachowany na przyszłość, jak to się to zdarza najczęściej w życiu. Jej upadek byłby nieszczęściem, któregooby może nie przeżyła, ale nie występkiem. Boguni wiara religijna była wiarą dziecinną; wierzyła w tego wielkiego Boga, karzącego i nagradzającego w życiu drugim, bo taka wiara jest jedyną pocieszycielką biednego; jej modlitwy były dla niej tylko, nie dla patrzącego na nią świata. Jej uczucia wszystkie nie przechodziły granic cichego domku rodzinnego, jej żądze nie sięgały za niebieskimi mgdłami marzycielek romantycznych, jakie tworzy próżniactwo. W tych gonitwach po próżniach eterycznych wielu panien, niema po większej części żadnej prawdy; jest tylko trochę nałapanych romansowych ubrdań, a więcej może przeladowania żołądkowego tem smaczem, soczystem i ciąglem jadłem, które stanowi u pań połowę życia, a którego biedna Bogunia często na suchym chlebie ograniczona ani znała.

Jedyną może różnicą Boguni od innych córek ludu, stanowiło wychowanie nieco staranniejsze, jakie się jej dostało w udziale. Brak tego wychowania u córek ludu, czyliż jest ich winą? Czyliż krzycząc na pospólstwo, drwiąc z jego głupoty i niewiedomości, między smaczem obiadem i wesołym balem wieczornym, między przechadzką a wizytą, między rannem uzbrojeniem się w strój a wieczorną walką zalotów, mają szczęśliwi czas pomyśleć o przyczynach tej głupoty, i czyliż mają chęć zaradzenia onej szczerze, nie powierzchownemi instytucjami, które mi się wydają jak angielskie plastrzyki przykładane do ran gangrenujących się; ale gruntownie, wszedłszy w potrzeby i wymagania tego pospólstwa, do czego trzeba częściej porzucać wonne salony, i zachodzić w plugawe pomieszkania ludu, wcielić się w ich życie, by je zrozumieć. Trzeba się zbliżyć do ludu nie jak do cudzych, do obojętnych, ale jak się zbliża do brata, któremu los odmówił zasobów fizycznych i moralnych. Albo wierzyć w to trzeba, że się z ludem po bratersku obchodzić trzeba nie jałmużną chwilową, ale starannością całego życia. Nie powinno to być wpływem zachcenia chwilowego, romantyczną wycieczką, ale postanowieniem silnem, niezmiennem, żadną trudnością nie zatrwożonem; otwarciem na oścież wszystkich dzielących drzwi i zapor, zniszczeniem moralnem wszystkich słupów granicznych. Nie trzeba ani się zrażać pierwszym przyjęciem jakiego doznać można w chacie ulicznika.

Rozgadawszy się może za wiele, wracam do Boguni, o której mówiłem, że lepsze od innych nieco miała wychowanie, które z prawdziwego przypadku odebrała. Gdy bowiem szewc Karosz przed laty szesnastą po raz pierwszy pojawił się w stolicy z żoną, pięciu chłopcami i najmłodszą bo dwuletnią Bogunią, bawiła przy nich młoda jeszcze, ale cierpieniami duszy i ciała do grobu chyląca się kobieta. Kto była i z kąd przyszła? tego nikt prócz Karosza nie wiedział, sąsiedzi tylko uważali, że Karosz, który był dosyć z natury gwałtowny, a często oddawał się trunkom, miał niepospolite uszanowanie dla Tekli, i nikomu, nawet żonie własnej, która przecie lubiła rej w domu wodzić, nie pozwolił uchybiać tej bladej kobiecie, która żyła na łasce zamożnego szewca. Tekla przywiązała się do

Boguni najwięcej, i przez dziewięć lat była dla niej prawdziwą matką. Od niej to nauczyła się Bogunia czytać i pisać, i od niej nabrała tego słodkiego i cierpliwego usposobienia, i tej pracowitości, które ją prawdziwym aniołem opiekuńczym Karosza robiły. Bo gdy najprzód żona Karosza, a później biedna Tekla przeniosły się na smentarz, Bogunia prowadziła gospodarstwo w domu ojcowskim, a do budżetu domowego najwięcej przykładała się pracą rąk swoich, które przez dziwny kaprys czy omyłkę przyroda dała jej tak małe, białe i piękne, jak gdyby je chciała do próżnowania stworzyć. Bogunia miała jak mówiliśmy wyobrazenie ciche, raczej do poważnego rozmyślenia niżeli do swawolnej wesołości skłonne; rzadko z domu, chyba do kościoła, wychodziła, a z rówienniczkami przedmiejskimi jak najrzadziej przystawała. Mimo to od niejakiego czasu stała się jeszcze cichszą; piosnki nawet ulubione, które czasem o zmroku swym czystym i pięknym głosem nuciła, cichły pomału; a na jej twarzy powabnej osiadała codzien poważniejsza, jakby myśl jaka głębsza, wyciskająca pomału na czole i koło ust owe rysy głębsze, które są jakby śladami, któreśdoświadczenie życia przeszło. Można była miłość? Bo nie śmiecie się piękne czytelniczki, które mniemacie, że monopol miłosnych uczuć do was wyłącznie należy, i córki ludu umieją także kochać, a biedna Bogunia miała sercezdolne miłości silnej, poświęceń bez miary i wiary bezgranicznej. Pierwsze wrażenie miłosne mogło stać się stanowczem w jej życiu całem.

Siedziała więc jak mówiliśmy Bogunia z haftem w rękę, a oczy jej biegały ku drzwiom niespokojnie — śnać ojca oczekuje; a przecież czasem wyleci westchnienie tak ciężkie, oczy łysną tak namiętnie, iż możnaby wnioskować o ważniejszym nad oczekiwanie ojca umysłowem zajęciu.

Wszedł nareszcie poczciwy Karosz zziębnięty i głodny. Bogunia zerwała się z miejsca swego i pobiegła ku ojcu. Chód jej był mniej powabny, niżeli cała jej powierzchowność, bo biedna dziewczyna była kulawą.

Karosz, który mimo dobrego uczynku swego, nie mógł zapomnieć owej wiechy pani Wojciechowej, tak czarownie go nęcącej, w fatalnym był humorze.

— „Czy nie masz co jeść?“ zapytał kwaśny nie nie pocałowawszy nawet córki wedle zwyczaju.

Biednej Boguni łzy zakręciły się w oczach: ona także była głodna, i rachowała nie mało na przyjście Karosza.

— „Ja myślałam, że tato co przyniesie;“ rzekła nieśmiało,

— „No wielka rzecz! nie przyniosłem nic, ale przez to jeść muszę.... te draby mi nie zapłacili.... ależ ty musiałaś przecie za te twoje głupie hafty odebrać pieniądze.

Karosz gniewem i głodem odurzony, zapomniał w tej chwili, że ona oddała mu z rana całotygodniowy swój zarobek na zapłacenie nabranej na kredyt skóry.

— „Zaraz, zaraz przyniosę“ odpowiedziała pokornie Bogunia, i zaczęła krzątać się kulejąc po drugiej izdebce.

— „Tylko prędzej do diabła!... bo mój żołądek wyposzczony nie ma czasu czekać.

Bogunia nic nie odpowiedziała, ale już po chwilę zarzuciwszy chusteczkę na głowę, szła ku drzwiom cisnąc pod chustką jakiś przedmiot, który widocznie chciała schować przed wzrokiem ojca.

— „Gdzie idziesz?“ krzyknął ojciec niecierpliwie.

— „Do Franciszkowej!“ odrzekła Bogunia, i przyspieszyła kroku, o ile na to pozwalał jej chód kulawy.

— „Do kroćsettysięcy!“ zaczął Karosz, ale nagle zamilkł patrząc, jak na progu biedna Bogunia potknęła się krótszą nogą tak mocno, iż ledwie nie upadła, i twarz jego pokryła się wyrazem szczególnego rozczulenia; a Bogunia tymczasem już była za domem, już biegła biedaczka pustą i ciemną ulicą.

A Karosz milczał i oczy spuścił w dół z rodzajem pomieszania, a nawet westchnął głęboko. On w tej chwili pamięcią się cofnął o lat kilka w tył. Bogunia miała wtenczas lat trzynaście. Było to w parę lat po śmierci pani Tekli; dziewczynka była wówczas prosta jak świeca, a mimo nędzy śpiewała jak ptaszek pomiędzy ubogimi ścianami domku ojcowskiego, a skakała w około jak wiewiórka młoda. Karoszewi wiodło się wówczas bardzo źle, bo wyniosłszy się za miasto, mało miał roboty, więc też częściej zazierał do pani Wojciechowej, u której jako u kумы swojej miał kredyt niepospolity. Bo biedny rzemieślnik, któremu nie dają żadnego wychowania moralnego, któreby utrzymywało równowagę z smutnymi zdarzeniami jego ciężkiego losu, gdy mu się raz noga powinie, szuka pociechy w zabójczym trunku, który jeden daje mu chwilowe zapomnienie biedy. Owóż w złowrogiej chwili jednej, Karosz znękany długami i całotygodniowym przymuszonem próżnowaniem, po całodziennej pijatyce u pani Wojciechowej, powrócił w nocy do domu, przeklinając w duchu całe przeznaczenie swoje i wszystkich ludzi. Wszedłszy do izby, zastał Bogunię tańczącą po niej. Ten widok wprowadził go we wściekłość.

— „Ty sobie tańczysz warjatko!“ krzyknął.

Bogunia zaśmiała się najniewinniej.

— „I śmiejesz się jeszcze, ty próżniaku do niczego; poczekaj! ja cię oduczę tych skoków.

Bogunia tańczyła dalej, i jakże nie miała tańczyć, kiedy przy mrozie kilkunastu-stopniowym drugi dzień już nie miała czem zapalić w biednej chacie. Wódka zaś tak Karosza rozmarzyła, że gniew doprowadził go do wściekłości zapamiętałej. Jak na nieszczęście Karosz wracając do domu, znalazł na drodze spore polano drzewa, które jakaś przejeżdżająca fura zgubiła zapewne. W chwili szału gniewu i pijaństwa, uderzył Bogunię polanem w nogę tak mocno, że biedaczka padła i zemdląła. Przestraszył się wpółwytrzeźwiony szewc, i rzucił się do niej; oblał wodą; Bogunia zbudziła się. I w tej chwili, Bogunia, niepomna na ból okropny, objęła szyję ojca rączkami swemi, i całowała go i pieściła, a rzekła do niego słodkim głosem:

— „Przepraszam cię tatku, żem nie odpowiedziała, ja tań-

cowalam, bo mi nogi skostniały od zimna... ale jeżeli mnie kochasz, jeżeli kochasz synów swoich, i mamę i naszą Teklę... Nie mów nic o tem nikomu.... ja powiem, że spadła ze strychu.

I zemdląca biedaczka drugi raz; próżne były łzy i narzekania Karosza; noga była złamana, a Bogunia źle leczona, została kulawą na całe życie. Przypadek ten miał wpływ przemożny na jej całe usposobienie; dziewczyna kulawa samotniejsze jeszcze wlokła życie; pożegnać się musiała na zawsze z wesołemi tańcami, a Bogunia lubiła tańczyć. Karosz zarzekł się pijaństwa; nie mogąc wprawdzie zapewnić i zaręczyć, że odtąd nigdy nie zajrzał do szynkowni pani Wojciechowej, ale to przynajmniej dotrzymał, że już nigdy na kredyt nie pijał. Wszakże i to niemałą było rzeczą, bo biedny szewc przedmiejski nie miewał tyle naraz gotówki, by się mógł mocno upić.

Dla Boguni był odtąd lepszym ojcem niż kiedykolwiek, a widok kulejącej, córki był mu wiecznym wyrzutem sumienia. I dla tego w tej chwili wewnętrznego oburzenia owe odświeżyły sceny.

— „Do Franciszkiwej!“ mruknął po chwili.. „znowu coś zastawi.. byle nie co mojego!“ dodała brudna miłość własna, której się najlepszy człowiek i w najlepszej chwili zaprzeczyć nie może.

Lecz daremna była bojaźń miłości własnej, bo w tej właśnie chwili dochodziła Bogunia do brudnej i ciemnej chatki Franciszkowej, a pukając jedną ręką, drugą dobyła z pod chustki jedyną swą świąteczną sukienką z zielonego perkaliku, która jej tak była do twarzy.

Nie mogę przenieść na siebie, bym choć kilką rysami nie odcieniował tej sceny tak często przychodzącej w życiu biednego, gdy nasza Bogunia z swą zieloną sukienką stanęła przed Franciszkową, która miała głośny sklepik z powrozami, zapalkami i wiązanekami drzewa, a potajemny prowadziła handelek lichewką, przyjmowaniem zastaw i czemś gorszem jeszcze, jak to na ucho rozpowiadały sobie gadatliwe sąsiadki.

Była to stara już kobieta, tak doskonale sucha, chuda i przeźroczysta, że gdyby nie wielkie siwe a latające w około oczy, podobniejsza byłaby do zeschniętego słupa, niżeli do ludzkiego stworzenia.

Bogunia ledwo się dopukała, bo sklepik był już zamknięty, a pani Franciszkowa siedziała w tylnej części domu, gdzie się zwykle odbywały inne części jej handlu. Usłyszała nareszcie kroki idących, i przy świetle kaganka, trzymanego przez samą Franciszkową, ujrzała mężczyznę zawiniętego w szeroki płasz, który się z domku wymknął na ulicę, rzuciwszy z pod kapelusza kilka razy wzrok swój błyszczący na piękną dziewczyny twarzyczkę.

— „A to ty serdeńko!“ przemówiła Franciszkowa, prowadząc Bogunię do swoich pokoików.

A widok tych dwóch małych pokoików był nader ciekawy; wszystkie bowiem sprzęty konieczne, jako to: łóżko, jakaś sofka, komoda i krzesła nikły prawie pod zasłoną wiszącej z powały jakby girlandy olbrzymiej, której różnobarwność kwiatową stanowiły same

suknie męskie. Wisiały razem w bezładzie smutnym, prochem osypane i tylko odznaczone białymi kartkami przyczepionemi do nich, że wszystkie nie wykwentne stroje, ale ubiory koniecznej potrzeby, które konieczniejsza jeszcze głodu potrzeba zaniósła do pani Franciszkowej. Niektóre warstwy tego smutnego zbioru pajęczyna osnuła siećmi swemi; są to zapewne przepadłe już fanty, których właściciele dawnych albo śmierć, albo niczem już niewyleczona nędza na zawsze w swe nieprzebyte złapały sieci. Tu i owdzie wygląda sukienka jaskrawej barwy, zgrabniejszego kroju, z wytworniejszej materii; te smutniejsze jeszcze robią wrażenie, gdy przyjdzie na myśl, z jakim ściśnieniem serca młode ich właścicielki, którym w nich może tak było do twarzy, przynosiły je do tego składu, do tej przepaści, który rosnącą codzien lichwa coraz głębiej wykopuje. I piękna sukienka butwieje, a prędzaj może spelzły zdrowe barwy i wdzięki jej właścicielki; bo nędza niech tylko raz zacznie od sukni, wnet weźmie się do ciała i do duszy nawet.

— „Cóż cię tu do mnie sprowadza, mój ty kulawy aniołku?“ zagadała znowu Franciszkowa. „Jak się tam macie w domu? co porabia majster?“

— „Ja tu przyszedłam matko z prośbą..“

— „O wiem! wiem! zawsze u was cnotliwie i goło.. przysłaś znowu z zieloną sukienką swoją..“

— „Jakże wiecie?“ zapytała naiwnie dziewczyna, która wchodząc była suknie schowała pod chustką. „Ja ją ledwie kilka razy miałam na sobie.“

— „Ale za to tem częściej była u mnie... no! no! dawaj; ja ją tu powieszę między znajomemi w tym kącie.“

Był to kącik przez porządną panią Franciszkową przeznaczony na te wszystkie zastawy, które jak wiedziała z doświadczenia, ciągle przemieniają miejsce; zastawy wędrujące jak je nazywała, które kilkanaście razy do roku odbywają tę smutną wędrówkę tam i nazad. Nastąpił targ, bo za każdym razem inne podawała ceny zacna Franciszkowa.

— „Ależ matko!“ przeszłym razem dałyście mi sześć reńskich?“

— „A pozaprzeszłym razem dałam siedm; teraz nie dam tylko pięć.“

— „Ja od tego czasu nie miałam jej na sobie..“

— „Ale zawsze, psuje się i pełźnie suknia przez sam czas; a mój ty kulasiku, ta sukienka letnia, a my teraz jeszcze prawie w zimie jesteśmy, terazby płaszczyk jaki taki, albo chustka popłacały więcej daleko; taki letni łachman może leżeć Bóg wie jak długo..“

A zresztą jak chcesz, bierz, nie bierz..“

— „Dajcie już! dajcie! bo mi spieszno.“

— „Zaraz! zaraz!“ odpowiedziała Franciszkowa, i dobywszy z kieszeni skórzanej, którą wrzaz z pękiem kluczków wisiała u pasa, zaczęła z mnóstwa drobniejszej i większej monety dobywać same najgorsze, najwięcej obcięte i podziurawione dwuzłotówki.

— „Ot powiem ci moja lubko... że głupia jesteś... zastawiać z siebie suknie dla tego, <http://rcin.org.pl>“

— „Dla ojca mego!...“ przerwała szybko Bogunia.

— „Oj gdyby ty chciała mieć rozum... miałabyś i sukienki piękne, i chusteczki jedwabne, i kapelusik aksamitny... i pieniędzy dosyć...“

— „Dawajcie matko prędzej, bo ojciec jeszcze dziś nie jadł.

— „Niewiele i ty jadła... durne z ciebie stworzenie!... tfu!... czekaj! czekaj! raz... dwa... trzy... a znałaś ty Karolcię?

— „Córkę Kazimierzowej mączarki?

— „Aha! Ani byś ją nie poznała teraz... jeździ fiakrem... chodzi w samych jedwabiach... bywa w teatrze... a pieniądze przechodzą jej jak lód przez ręce.

— „Czy poszła za męża?

— „Otbyś durną nie udawała!.. wiem ja dobrze, że do ciebie biega tam jakiś blondyn.

Dziewczyna zarumieniła się po uszy.

— „To znajomy mego ojca... malarz!..“

— „Nie do majstra on chodzi, ale do majstrównej.

— „On się ze mną chce żenić...“

— „Bodaj ja tak z nosem była... a potem cóż to szkodzi; jeżeli on na męża chodzi do ciebie, to lepiej, a przez to mogłabyś mieć takie kulczyki brylantowe, złote pierścienie... jak Karolcia, której żółta sukienka tu przed rokiem za trzy reńskie wisiała...“

— „Dajcie matko pieniądze... ja już iść muszę.

— „Zaraz! zaraz! niech porachuję... cztery... to trzy i dwadzieścia... Słuchajno Bogumiłko... ty choć kulawa, mogłabyś być i ludziom miła... żebyś tylko miała rozum, a mnie posłuchała... Malarza swego jeżeli to malarz, bo on mi coś bardzo po paniczowsku wygląda... nie stracisz przez to... pysio masz ładne... szkoda ciebie... trzy i dwadzieścia a dwadzieścia, to trzy i czterdzieści, a pięćdziesiąt... Czy uważałaś tego panicza, co to wyszedł teraz odemnie... śliczne panisko... a bogaty!

— „Dajcie mi pokój matko! skończcie ten rachunek... co mi tam do panów... Oni mają swoje hrabiny i hrabianki... ja szewcówna nie dla nich...“

— „No! no!... pysiuniu! tylko się nie gniewaj!“ i suchą swą brudną a pomarszczoną ręką pogłaskała zapłonione lica biednej Boguni, która stała jak na szpilkach. Cztery i trzydzieści, a trzydzieści... pomyślnie jaka tam u was nędza... głód, zimno... niema co jeść, w co się odziać, czem w piecu zapalić... a posłuchaj mię tylko... będziesz opływać w dostatkach...“

— Słuchajcieno Franciszkowo! nie pierwszy to raz ja słyszę od was takie słowa... nie chcę ja wierzyć co sąsiadki o was gadają...“

— „Co!“ wrzasła zapyrzona Franciszkowa; „co te głupie babska śmieją o mnie gadać...“ ja jestem uczciwa kobieta.. płacę mój podatek... nikomu grosza nie jestem winna... głupie baby!... a same toby się za kwartę piwa sprzedały... Boguniu! ja ci powiadam miej rozum!..“

— „Przestańcie Franciszkowo! ja jestem biedna dziewczyna,

ale Bóg widzi i wy wiecie najlepiej, że mi uczciwość droższa nad życie.

— „Ou! wa! głupiaś z cnotą twoją... zobaczemy! zobaczemy! jak to daleko zajdzie z twoim malarzem bladym. On cię porzuci! przyjdiesz ty jeszcze głupie cielątko do mnie... ale to już będzie za późno.

— „Nigdy! nigdy!... Jeżeli się wasze przepowiednie ziszczą, to wolę się utopić.

Porwała biedna dziewczyna za pieniądze i wybiegła... Na ulicę wyszedłszy zdało się jej, że ten sam mężczyzna owinięty w płaszcz stał na rogu jeszcze; tem więc prędzej jeszcze, choć kulawą nogą pobiegła do sklepiku z bułkami i chlebem, i nakupiwszy czego potrzebowała, wpadła do ojca zadyszana.

Franciszkowa tymczasem kiwała głową i mruczała za nią przekleństwa, gdy się znowu drzwi odchyliły, i mężczyzna płaszczem owinięty wszedł nazad do niej.

— „Jasny hrabia!“ wrzała Franciszkowa, puszczając na ziemię zieloną sukienkę Boguni.

— „Cicho! cicho!... to śliczna dziewczyna!

— „Jak pomarańcza“ odpowiedziała Franciszkowa i złośliwym uśmiechem wyszczerzyła czarne zęby swoje.

— „Słuchajno moja ty czarownico przedmiejska...“ mówił dalej pan i zaczął ciszej do niej przemawiać.

Rzućmy zasłonę na tę brudną rozmowę; wszak już dosyć dowiedzieliśmy się, by zrozumieć, że zacna Franciszkowa należała do rzędu tych pikietów forpocztowych, które zepsucie miasta wysyła na przedmieścia, by werbowały nowe ofiary, dla nigdy nienasyconej rozpusty miejskiej.

A ten pan nie pierwszy i nie ostatni, mimo ciemnej nocy i mroźnego wiatru wybiegał na dalekie przedmieście, by dogodzić brudnym żądom swoim. Nie takby łatwo przyszło wyprowadzić takiego panicza z ciepłego i wygodnego salonu na toż same przedmieście, gdyby szło o zanieśenie pomocy, zamiast zbrodni i zepsucia, pod strzechy ubogie biednego gminu. A niechże nędza zmęczy taką biedną dziewczynę, namowa ją ułudzi, a później w rozpacz nad skutkami płochego kroku, niech się dopuści zbrodni na sobie, lub na niemowlęciu, którego nie ma czem karmić: jaki krzyk powstanie na zepsucie obyczajów w pospólstwie!...

W chacie szewca Karosza tymczasem odbywał się festyn niepospolity. Był bowiem chleb, masło, kawał spory kiełbasy, a nawet flaszeczka wódki, której córka pamiętna na nawyczki ojca nie zapomniła! To też majster używał niepospolicie darów bożych, a wpadł w różowy humor.

— „Pocziwa Bogunia!“ powtarzał co chwila między jednym a drugim kawałkiem.

Bogunia zaś ledwie się dotknęła sutego jądła, i siedziała zamysłona, a nawet jakiś cień smutku osiadł na jej twarzy.

— „Ale! ale!“ ozwał się nagle Karosz; „czy wiesz jakie miałem zabawne zdybanie?... <http://rcin.org.pl>

Zadrżała dziewczyna.

— „Zdybanie?“ zapytała z mimowolnym strachem.

— „Szedłem szeroką ulicą, gdy nagle na rogu skarambolowałem z jakimś paniczem w płaszczyku hiszpańskim, z kapeluszem błyszczącym na głowie; zgoła wyglądał po wierzchu na takiego półgłówka, jakich tu niemało biega po bruku miejskim... a byłem w fatalnym humorze... bo tak jakoś zawsze, kiedy przechodzę koło tego starego domu z matką boską, ścisła mi się serce... zapaćkali te śliczne ciosowe kamienie, zamazali twarz boskiej rodzicielki... i to się u nich nazywa odnowić dom... głupcy!

— „I cóż!“ zapytała niecierpliwa dziewczyna.

— „Po prawdzie, nic! zupełnie nic!.. o tak mi coś do głowy przyleciało... panicz mruknął coś po francuzku, zwyczajnie jak panicz wielkiego świata, który wstydzi się naszego języka... ja chciałem już odpowiedzieć po polsku, prosto z mosta, gdy... ale to głupstwo!.. głupstwo!.. ot. ja w tej chwili myślałem podobno o Wojciechowej, i trzęsło mnie jakby febra.

— „Ale dokończcie ojcze!

— „Powiadam ci Boguniu, że głupstwo...“ i pan majster łyknął wódeczki patrząc z tęsknotą na niknący już w flaszeczce zapas tego lubego truneczku... Odstąpił się paniczowi płaszczy... a ja zamilkłem, bo zdło mi się, że poznałem... ha! ha! ha!..

— „Kogo?

— „Konstantego!

— „Kogo?“ powtórzyła dziewczyna z wyrazem przestachu.

— „Malarza naszego?

— „To on był?“ zawołała Bogunia i skoczyła z miejsca.

— „Ale gdzie tam! to mi się tak tylko musiało zdawać... bo mi się przecie nie ukłonił nawet... zawinął nazad w płaszczy i pobiegł dalej.“

— „Nie ukłonił się?...“

— „A pod płaszczyem miał fraczek elegancki...“

— „Fraczek!“ powtórzyła dziewczyna, i w coraz głębsze wpa-
dała zamyślenie.

— „I wszedł... do tego domu starego... do tego samego domu...“ mówił dalej Karosz cichszym głosem, jakby do samego siebie!.. „żkąd tyle miłych i tyle okropnych wyszczerza się do mnie pamiątek.

I oboje milczeli.

— „A może to i on...“ przemówił po chwili Karosz cichszym zawsze głosem... „dla tych paniczów miejskich szczęście i cnota dziewczyny z ludu mniej znaczy od psa ulicznego, którego się nogą odtrąca!“

— „To nie on był!“ zawołała dziewczyna nagle... „on mnie tak kocha; on jest szczerzy dla mnie...“

— „Miałyżby nowe nieszczęście spaść na mnie... i ten dom błogosławiony, ten dom przeklęty... należeć do tego znowu..!“

— „Prawda ojcze, że to nie on?...“

— „Trzeba jednakże raz już skończyć... wszak on tobie przyrzekł, że się ożeni...“

— „I wiele razy!.. on czeka tylko na zezwolenie rodziców, którzy mieszkają w Rosji.“

— „Daj Boże, byś już jak najprędzej poszła za niego... Bóg widzi, jakbym rad temu... choć mi będzie samotnie w moim domku biednym bez poczciwej Boguni... ale byleś tylko poszła za męż... i to nie za rzemieślnika, któryby się kiedyś upił i... znowu..“

Bogunia nie dała dokończyć ojcu; czułym pocałunkiem zamknęła mu usta.

— „Ty nie jesteś stworzona, byś była żoną rzemieślnika... ten Konstanty choć ubogi malarz teraz... z czasem przyjdzie do znaczenia i pieniędzy... a moja Bogunia będzie panią i szczęśliwą!“

— „Szczęśliwą!“ zawołała dziewczyna i oczy jej się zaiskrzyły; ja go tak kocham.. tak namiętnie kocham... Ach ojcze! to nie on był... gdyby mnie zdradził... jabym ojcze umarła..“

— „No! no! zobaczymy jutro; odpowiedział Karosz, i dokończywszy wódeczkę poszedł do swago alkierza.

A Bogunia długo w noc siedziała i dumiała rozmaicie... Ona myślą przebiegła wszystkie koleje swojej miłości do malarza Konstantego... i dzień po dniu, chwila po chwili rozwinęły się te dla młodej dziewczyny najczarowniejsze obrazy pierwszej miłości.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Miłość i miłość.

Muszę tu nieco przerwać ciąg mej powieści, aby cofnąć się w tył, i opowiedzieć państwu kilka scen dawniejszych potrzebnych do zrozumienia całości.

Panna Kamilla, którą widzieliśmy jako kwestarkę w salonach Karlińskiego, przed laty sześciu miała lat szesnaście, i mieszkała na wsi, w której się od dziecka hodowała. Ona była sierotą, straciła bowiem najprzód matkę a potem ojca w wieku tak dziecinnym jeszcze, że ledwie później jak przez sen przypominała sobie twarze rodziców, którzy przecie serdecznie kochali to jedyne dziecię swoje, a umierali błogosławiąc je i oddając opiece tego, który jeden jest opatrnością sierot. Bo i któż na ziemi może sierocie zastąpić serce matki, opiekuńcze ojca oko. Kto jest w stanie biedne dziecko tak popieścić jak matka; kto tak dopilnować jak ojciec? Sieroctwo jest to nieszczęście, które ten tylko zrozumieć zdoła, kto zaznał cudzych opieki chłodnej. Rodzice Kamilli zostawili wielki majątek, rozliczne włości, bogate sprzęty i srebra, lecz serc swoich zostawić nie mogli. Matczyna siostra rodzona, pani Raińska, wraz z mężem, sparaliżowanym na duszy i na ciela, wnieśli się do domu sieroty, i umieli tak rzeczy pokierować, że z dodatkiem współopiekuna tytularnego, który był jak w bajka żab królem drewnianyw, opieka osoby i majątku panny Kamilli została im oddaną. Wszystkie na świecie rzędy najrozsądniejsze szczył się doskonałością urzędzeń sądów opiekuńczych, a niema kraju, niema roku prawie, aby nowa w tym wzglę-

dzie niesprawiedliwość popełniona nie była; o sierocińskie majątki zawsze się dobijają tłumy opiekunów, a raz się do nich dostawszys, tłuką się po nich jak szare gęsi.

Pani Klementyna Raińska, bo sam pan Bonawentura Raiński był zerem tylko w domu własnym, była praktyczną mistrzynią w życiu, w którym z trzecim już mężem u boku, przez rozmaite przechodząc koleje, umiała zawsze cudzym żyć kosztem. Do tego miała talent niepospolity; i nieraz z żalem wyrzucała nieprzyjaźnemu sobie losowi, że ją nie wywiódł na szerszą widownię stołeczną, gdzieby mogła zdolności swoje w większym rozwinąć zakresie. Śmierć państwa Wilewskich otworzyła jej widnokrąg przyszłych nadziei; wprowadzie pan Wilewski ostatnią wolą swoją przeznaczył Żylińce, pyszną wieś, na pomieszkanie córki aż do lat siedemnastu, ale za to potem przewidywała pani Klementyna szereg lat w stolicy przepędzonych, i układała sobie plany najrozmaitsze, w których oczywiście pan Raiński, jak mówiliśmy ogólnym paraliżem tknięty, tyle tylko zajmował miejsca, ile zabrać może pomnik grobowy, pod który spodziewała się pani Raińska wnet umieścić szanownego małżonka trzeciego.

Tymczasem zabrała się do wychowania pięcioletniej Kamilki, ślicznej jak anioł, i niezłej, choć trochę pieszczonej dziewczyny; a zabrała się do tego z całą sumiennością umysłu, umiającego daskonalnie wyrachowywać fizyczne liczby i moralne prawdopodobieństwa.

Wychowanie było świetne, ze wszechmiar dla dziedziczki tyłu włości, która z czasem miała być jedną z pierwszych partij w kraju. Sprowadziła więc guwernantkę francuzką, prosto z Paryża.

Panna Fanny L'oison była w swej ojczyźnie, najprzód gryzетка, potem zbankrutowaną modniarką, co wszystko juźci wystarczało, aby zostać guwernantką dziewczyny polskiej.

A więc wyuczyła Kamilkę mówić po francuzku, a chcieć po paryzku; to jest stroić się od rana do wieczora, zalotne rzucać spojżenia, i gwarzyć bez końca o wszystkim i o niczem. Nauczała ją kłaniać się przyzwoicie, wchodzić i wychodzić z salonu, z godnością, robić honory i avec aisance, rumienić się wedle potrzeby, i sztukować rozmowę wszystkimi francuzkami hélas! które mają być dowodem sentymentalności dziewczęcej. Sentymentalności zaś i praktycznego życia uczyła guwernantka wychowanicę swoją z romansów francuzkich, które pomału zapełniły wszystkie półki biblioteki Żylenickiej, wypędziwszy z nich na strych wszystkie książki polskie, które ś. p. Wilewski po ojcu i dziadzie odziedziczywszy, własnymi powiększył dokupnami. W czytaniu romansów zachowała panna L'oison dziwnie logiczne następstwo, zaczęła bowiem od pani Genlis, pani Cottin i pani Montelieu, a skończyło się na Kocku pocziwym, do którego sama miała słabość niezwykłą.

Wiadomości pożytecznych guwernantka nie uczyła, bo sama nic nie umiała. To też w szesnastym roku Kamilla była najprzód śliczną dziewczyną o ciemnych włosach, szafirowych oczach i białości lic sentymentalnej.

Gwarzyła po francuzku wiele, płynnie i z dobrym akcentem;

polski język był jej na twarzy, nieokrzesany, a nawet nieprzezoity, używała go tylko ze sługami i z wujaszkiem, który przy nękających siłach reszty skąpych słów dopłytywał zparaliżowanym językiem.

Tańcowała cudownie, eterycznie i sylficznie, do czego miała metra z Wiednia sprowadzonego.

Grała na fortepianie „en perfection,” same wielkie i trudne utwory Thalberga, Liszta, Majera i t. d. Dumki a melodie polskie jako utwory karczemne i gminne były jej nieznanne. Do muzyki miała nauczyciela Berlińczyka z spiczastą bródką i w złotych okularach.

Co do dziejów świata, umiała na pamięć wiele anegdot historycznych francuzkich, mianowicie z czasów Napoleona i jego „jeune garde impériale,” której przez jakieś czułe przypomnienie panna Fanny była wielką zwolenniczką. O dziejach swej ojczyzny i o rzeczach polskich nic nie wiedziała, bo panna L'oison twierdziła bardzo ligicznie, że historia krajów i narodów politycznie nie istniejących na nic się nie zda.

Salonowość rozumiała z gruntu; to też prezentowała się „en reine” ubierała się podług ostatnich żurnalów paryzkich, a kłaniała się i ruszała „comme une petite fée,”

Pani Raińska idąc za radą panny L'oison. i za natchnieniem własnych pojęć, by teorię wesprzeć praktyką, otworzyła pyszne salony w Żylińcach, na które nietylko sąsiedztwo, ale nawet i miejskie zjeżdżały się sąsiedztwa. „La saison des bals” w zimie odbywała się hucznie w Żylińcach; tańczowano zawzięcie, i bawiono się doskonale w pałacu, gdy tymczasem pan Raiński w oficynach, między piekarnią i kuchnią, jęczał w niebogłosy. Nawet rozpowiadano sobie w okolicy na ucho, że gdy biedny paralytyk umarł, ukrywano śmierć jego aż do srody popielcowej, by wieść onej nie zepsuła hucznych ostatków. Wpółzgniętego pochowano w poście z wielką prozopopeją, nadętymi mowami pogrzebowemi, mnóstwem świateł jarzących i nie-małym wydatkiem łez żałobnych.

Serce miała Kamilla miękkie, prawdziwie korónekowe. Tkliwość przytem niepospolitą, westchnienia i lzy miała na podorędziu, przy każdym opowiadaniu smutnego zdarzenia jakiego. Do różnych właściwości tegowiekowych należy jeszcze temperament, o który się dzisiaj wszyscy pytają. Owóz temperamentu miała Kamilla bardzo wiele; spojrzenia jej były zabójcze, sataniczne.

Taką była Kamilla w szesnastym roku. Takie cudo zrobiła francuzka guwernantka z polskiej dziewczyny. Już tylko rok jeden dzielił ją od gorąco przez matkę pożądaną epoki, w której miały się przenieść do stolicy, gdy jednego poranku letniego wpadła Kamilla do ciotki blada, z rozpuszczonemi włosami, oczami iskrzącemi się od łez natchnienia i temperamentu, ale zawsze w ślicznym batystowym negliżyku, z cudownym gwoździkiem pasowym w ciemnych lokach, wijących się po alabastrowem zole i marmurowych licach, i głosem przerywanym częstemi westchnieniami, które wyrwały się ciężko z pełnych a wpółodsłoniętych piersi, wyrzekła do niej swoją mowa pstrokata, na poły francuzką, na poły polską, które przez wzgląd na

większość czytelników miłujących zapewne ojczyzną mowę, tłómaczą na jednostajną mowę polską.

— „Ciociu! ciociu droga! ja kocham! kocham! kocham szalenie!... i padła na miękki fotel w pół zemdląca.

— „Kochasz?...“

— „Kocham miłością niepojętą, niepohamowaną i niesłuchaną.“

— „Ależ kogo moja Kamilciu?...“

— „Kocham Władysława...“

— „Jakiego Władysława?...“

— „Władysława Żyleckiego...“

Roześmiała się ciotka homerycznie.

— „Smiejesz się nieludzka ciotko?... ale ja go kocham... i ...“

— „Zastanów się Kamilciu, że to szlachcic czynszowy.“

— „Cóż mi tam do tego... czyliż podobne miłości nie istnieją w Balzaku, w Eugeniuszu Sue, w Dumasiu... a Kock, jakże cudownie opisuje rokosz wzajemnej miłości...“

— „To wszystko bardzo pięknie w romansach się wydaje, ale czyż pomyślałaś o tem, coby to był za wstyd, być żoną szlachcica czynszowego, mającego półtrzecia chłopu i trzydzieści morgów pola.“

— „Ja nie mówię o małżeństwie, ale o miłości... wszakże bohaterki najslawniejszych powieści kochały się nieraz... choć nie zostały żonami swoich czarujących, zaślepiających urokiem nieznanym kochanków...“

Zadumała się na chwilę pani Raińska, i doświadczonej starej wszędobylskiej pani okiem spozrzała na rozpłomienione lica romantycznej dziewczyny.

— „Chciałażbyś całować rączki pana porucznika i pani porucznikowej Żyleckiej, godnych rodziców twojego kochanka?..“

— „A pfe! oni tabakę zażywają; ale Władysław jaki piękny! jak ognisty! a jak maluje miłość... ja nigdy nie myślałam, że można tak mówić językiem polskim... a jakie mi czyta poezie... i to polskie ciociu! prawdziwie piękniejsze od listków jesiennych Wiktora Hugo i od medytacji Lamartina...“

— „Uspokój się Kamillo!... to przejdzie... przestań widywać tego pana Władysława, bo nieuchodzi... nie wypada... ja ci to wytłómaczę...“

— „Ach te wasze skrupuły! i on ma skrupuły, o których nigdy nie czytałam w romansach, bo miłość przecie jest wszechwładną, bezwzględną i wyłączną... Patrz ciociu! jak ja okropnie wyglądam... z miłości. I pobięła Kamilla do zwierciadła, by poprawić nieporządek włosów i stroju.

— „Napij się oranżady moja Kimilciu! pomówimy o tem później... wszystko na świecie da się ułożyć, trzeba tylko postępować z przyzwoitością i rozumem...“

I pocałowała ciocia w pałające czoło rozognionej dziewczyny. Nastąpiły mnogie rozmowy i narady pani Raińskiej z panną L'oison, a w skutek nich uwagi logiczne i perswazie pełne rozsądku, któremi okładano jakby zimnemi kompresami rozbudzony temperament dziedzicki kilkumilionowej!

Aby zrozumieć tę scenę, muszę opowiedzieć państwu, że na drugim końcu Żylińiec, wioski ciągnącej się po obu stronach Prutu, za Prutem pod górą, pod gajem świerkowym, w załomie zielonością umajonym, niedaleko strugi, która mrużąc jak piękna kapryśnica płynęła po łące zielonej, po czystych kamykach aż w szumiący złapana łotok, poruszywszy kołami małego młynka wiejskiego, wpadała wreszcie do poważnych wód Prutu; wśród czarownego ostrowu panującego nad całą okolicą leżał prawdziwie polski dworek szlachecki o słomianej strzesze, z drewnianym ganeczkiem i przyspą lepioną. Na dziedzińcu był gołębnik, po jednej stronie z trzaskami okrytą drewnutnią, po drugiej zaś stronie stajenka i obora w bratniej zgodzie z skromnem gumnem, ku któremu rogate i nierogate bydło tęskne zwracało oczy; swobodnie po niem wrzaskliwe rozwodziły kłótnie zazdrośne kury czubate, butne koguty, gadatliwe gęsi i pyszne indyki; w koło był częstokół z drewnianych w górze splecionych palów tak wysokich, że niktby przez nie przesadzić nie potrafił, ale za to tak rzadko i nierównie powsadzanych, że mnogie w nim różnej wielkości szpary zdawały się dowodzić przysłowia, które nigdzie tak prawdziwem się nie wydaje, jak przy wiejskich ogrodzeniach naszych, że kiedy nie można przeskokczyć, trzeba przeleźć. W środku ogrodu były wielkie wrota drewniane na oścież otwarte zawsze, a dwie stare grusze po obu stronach były wiecznem zbiegowiskiem świegotliwych wróbli, i głośno sejmujących wron okolicznych. Na słomianej strzesze domu, głęboko zadumany bocian, na jednej nodze oparty, spoglądał z góry na ten sielski obraz, którego był wedle prostych wyobrażeń wiejskim stróżem opiekuńczym. Za domkiem był sadek rozległy z bokami agrestowemi i środkową uliczką porzeczkową, a za sadykiem skromna pasieka, przytykająca jedną stroną o lasek, a drugą o grządkę spuszczone się w dół parowu jakby schody, zasadzone skarbami warzywami.

Był to dworek należący do rodziny Żyleckich, która z dziada i pradziada była w posiadaniu tego futorku, mającego w rzeczy samej gruntów i poddanych daleko więcej, niżeli wyliczała pani Rańska w swej szyderskiej przesadzie. Pan Ignacy Żylecki był niegdyś porucznikiem, a nawojowawszy się, powrócił do ojców zagrody, ożenił się z poczciwą a ubogą szlachcianeczką, którą gdzieś na Mazurach poznał i pokochał, i miał syna jedynaka, znanego już nam Władysława.

Dwór państwa Żyleckich był wyraźnem przeciwieństwem pałacu na Wielkich Żylińcach, bo posiadłość porucznika nazywała się małemi Żylińcami. O ile tam szło wszystko szumne, dumne, o tyle tu było cicho i skromnie; tam się wszystko działo po francuzku i z pańska, a tu po polsku i z szlachecka: tam zmieniano co chwilę mody i zwyczaje, tu panował odwieczny a uczciwy obyczaj; tam była dumna pańskość w przyjmowaniu gości, tu zaś panowała serdeczna gościnność staropolska. Zgoła, a długoby o tem mówić potrzeba, była między dworami obydwojma różnica, jakąś szanowny czytelniku, jeżeli przebiegłeś kiedy obszerne nasze ojczyzny dziedziny, znalazłeś tylekroć, i zapewne nieraz westchnąłeś widząc tak wiele

pałaców i półpałacyków cudzoziemskich przy tej małej liczbie polskich dworów. Małpowanie cudzego, to niestety! nasz grzech pierworodny, za który gorzko a krwawo pokutujemy od lat tylu.

Nie będę się wdawał w szczegółowe opisanie porucznika i porucznikowej, chociaż mi jakoś lubo a swojsko patrzeć, jak w wieczornej dobie zasiądą poczciwi staruszkowie przy płonącym kominie i albo gwarząc sobie to o gospodarstwie to o jedynaku, to o czasach minionych, które stary rad zewszę opowiadać, a stara słuchać rada; albo stara zawarkocze na prostym kołowrotku, a stary rozmarzony staremi dziejami jakby starem winem, przebiega znajome kartki kroniki jakiej. Mnie potrzeba powieści goni dalej; powiem jeszcze tylko słów kilka o panu Władysławie, którego już widzieliśmy raz u Karlińskiego.

Co do powierzchowności, był to piękny mężczyzna, z twarzą prawdziwie polską, oddychającą szczerotą, która przemawiała z wyniosłego czoła otwartego; z ocz błękitnych jak niebo, i czystych jak niebo w czasie pogody; z ust pełnych i rumianych, których uśmiech był pełen wdzięku; i nad tą piękną głową złociły się długie jasne włosy, których połysk zdawał się czasem otaczać głowę młodzieńca wieńcem natchnienia. I natchnienie widomie strzelało z oczów jego, gdy się zamyslił, lub gdy rozmową szczerą przemawiał słowami duszy. Bo Władysław był poetą myślami swemi i sercem, którego uczucia na wyścigi z myślą latały wysoko — ku niebu; i daleko — ku światu, ku ludziom, których chciałby kochać i uszczęśliwić. I nie był on poetą słów gładkich i pięknie brzmiących, jakich mamy tylu, ale poetą szczerych uczuć, które jeżeli wymownie płynęły mu z ust, to dla tego, że miało niewyczerpane w jego duszy źródło. On był poetą słowem i czynem, pismem i życiem. A poezja jego była czysta i prawdziwa, bo swoja własna, natchniona pierwszemi życia wrażeniami swobodnemi, na łonie uroczej przyrody ojczystej, wśród gór, lasów, niw i rzek rodzinnych, z pomiędzy tych uczuć świętych domowych, i tych cnót patryarchalnych, które znamionują życie wiejskie prawdziwego szlachcica polskiego.

Taki był stan Władysława, gdy się zdybał z Kamillą. Znał ją dzieckiem jeszcze i pamiętał dobrze małą a ładną jak aniołek dziewczynką, z którą chłopakiem bawił się nieraz. Bo póki rodzice Kamilli żyli jeszcze, pałac pański i dworek szlachecki w poczciwej z sobą żyli zgodzie. Jak to w naszych trafia się rodzinach, łączyło nawet jakieś dalekie, ale zawsze szanowane pokrewieństwo oba domy, a pani Zylecka była matką chrzestną panny Kamilli. Starszym będąc już chłopcem widywał Władysław rzadziej piękną krewniaczkę swoją, ale zawsze z uczuciem radości, podziwu, a nawet czułości, patrzył na te białe i śliczne, wesoło uśmiechające się lica, które miały dla niego powab silny, chociaż niezrozumiały. Gdy pierwszy raz ujrzał Kamilkę, która przez przyzwoitość i dla zabicia nudnego czasu odwiedziła czasami starych Zyleckich, zmieształ się dziecinny poeta na widok tylu wdzięków, tej niewymuszoności, którą zgrabna zalotność umie udać doskonale, z jaką przybiegła do niego, porwała za rękę, uściskała ją, i rumieniąc się przywitała go słowami, które jej

tak łatwo i pięknie płynęły z ust, bo nabrała ich niemało w pamięci z własnych salonów, z rozmów z ciotką i guwernantką, a mianowicie z romansów, a tak dźwięcznie brzmiały tym przyciskiem, który salon i nauczyciel śpiewu zdają się pożyczają od uczucia prawdziwego.

Cóż dziwnego, że biedny Władysław rozkochał się szalenie, i nic naturalniejszego, że Kamilla sprzyjała tej miłości, a nawet sama pokochała pięknego Władysława.

On ją kochał miłością prawdziwą, miłością poety, który wszystko w około siebie odziewa w uroczę szaty swych wyobrażeń.

Ona go kochała miłością z romansów czerpaną, której z początku przez samą ciekawość chciała spróbować w życiu istotnem, a jak się to najczęściej kończy w przemianie zwykłej uczuć u takich salonowych zapalczywych czytelniczek romansów, zbudziła się w niej krew młoda, burzona obrazami czytaniem niezahamowana żadnem wędzidłem skromnego wychowania, a poruszona ciągłym wpływem tego magnetyzmu niezaprzeczonego, jaki wywiera słowo miłosne, wzrok iskrzący, elektryczne dotknięcie ręki, i pokochała go na prawdę, miłością do jakiej była zdolną.

On ją kochał duszą, ona go kochała temperamentem swoim. A chodzili z sobą często, błakali się gdzie się im tylko podobało, bo Kamilla wiedziała, że jest panią w Zylińcach, a woli jej musiały ulegać i ciotka i guwernantka, obie mając własny interes utrzymania się w łaskach bogatej dziedziczki. Guwernantka nie chciała miejsca intratnego stracić, myśląc je zamieniać na miejsce poufnicy tajemnej, ciotka bała się rachunków przeszłości, a na przyszłość przewidywała korzyści.

Widział więc ją Władysław po wszystkich najpiękniejszych ustronaiach, po których tyle razy marzył samotny, i ożywił na nowo te wszystkie poetyczne marzenia, słowy, w której jakby w kształty mistrzowskiego tworu wlewał zapał własnej duszy, a czułością serca nastrajał mowę do dziwnie ponętne dźwięku.

Ona odpowiedziała mu najbogatszym dykcjonarzem romansowym, o tych lekkich odcieniach bez liku, które dzisiejsi powieściarze potworzyli do oddania uczuć rozmaitych. I wystarczyło to młodemu niedoświadczonemu poecie, który w jej oczach zalotnych widział miłość bez granic, dźwięczne i gładkie choć groźne słowa romantycznej dziewczyny tłumaczył najnaiwniej na język własnej szczeroty. Bo poeta kochający jest naiwniejszy od małego dziecka, jest to święta naiwność wiary w drugich, ugruntowanej na własnej szczerości.

I coraz namiętniejsze stać się musiały ich rozmowy, któreby można śmiało nazwać rozmowami duszy i ciała. Władysław przedstawiał w nich duszę miłości, a Kamilla jej ciało. Rzecz dziwna! stosunek obojga miłości był zupełnie przewrotny. Władysława miłość miała skromną dziewiczość naprzeciw co dzień ognistszej namiętności Kamilli, Władysław był dziewicą swoją nieśmiałością; Kamilla zaś mężkim i śmiałym krokiem postępowała za popędem rozognionej wyobraźni.

Władysław ciągle nieśmiały, ledwie się odważył klęknąć przed nią, i ucałować rąbek mglistego szalika, który odsłaniając śnieżną pierś dziewicy spływał aż do jej nóżki drobnej. Kamilla patrząc w dorodne lice młodzieńca, w iskrzące natchnieniem oczy jego, w te usta pełne, które dla niej łały nieprzebrany skarb jego myśli i uczuć.... powolnie prawie przypomniła sobie wszystko, co się naczytała w romansach o czarodziejskiej sile i wdzięku pierwszego pocałunku.

I pierwszy pocałunek lekki, powietrzny prawie spoczął na czole klęczącego młodzieńca. Dwa rumieńce wystąpiły na obie twarze młodych ludzi, rumieniec uczucia na twarzy Władysława: rumieniec krwi na licach Kamilli...

Nie będę długimi słowy powtarzał wszystkich proteuszowych przemian tej walki szczególnej. Bo między nimi, w każdym ich wizerunku, w każdej rozmowie była ciągła nieustanna walka, walka duszy i ciała, dla której zrozumienia dosyć zdaje się powiedziałem.

Pierwsze zwycięstwo uzyskała Kamilla; bo pierwszy pocałunek Kamilli nie został pierwszym i ostatnim, ani też przemógł na sobie Władysław, by tych pięknych i rumianych ust nie ucałować nawzajem.

I trwała jeszcze ta walka szczególna, gdyśmy wprowadzili Kamillę wyznającą miłość swoją przed ciotką. Narady ciotki z guwernantką, a w skutek tychże obydwóch rozmowy z Kamillą zwiększyły tylko trudność walki, ale nie pomogły. Obie doświadczone panie zostawiły wolne pole rozognionej wyobraźni Kamilli, zachowując sobie zapewne zaradcze środki na ważniejsze pojawy tej namiętności, którą powstrzymywać nie chcieli nawet. Wszak jakim bądź kosztem stać się potrzebnymi bogatej dziedziczce obydwóch było interesem. To tylko jej wytłumaczyły jak najrozsądniej, że milionowa panna nie może zostać żoną gołego szlachcica na kilku chłopach, bo byłoby śmiesznością, a świat piękny, świat wielki wszystko przebaczyć gotów, prócz śmieszności. Wszakże, mówiły jej po polsku i po francuzku, a zdanie swoje twierdziły przykładami, słyszanemi w salonowych pogadankach i czytaniem w stu romansach najślawniejszych; wszakże poszedłszy za bogatego i znakomitego męża, będziesz miała i własny salon, i własny buduar i własną wolę czyliż nie możesz mieć i przyjaciela, „qui te desennuyera“ w smutnych chwilach?

To rozdwojenie idei męża i kochanka strasznie trafiło do przekonania Kamilli, która po długim namyśle rzekła nareszcie do nich:

— „Zapewne!... żoną jego być nie mogę... ale go kocham...”

— „Tylko droga Kamilciu, nie łaż tak bardzo z nim, „par monts et eaux;“ bo pominąwszy, że to psuje pleć... ale... „petite“, tacy ludzie jak on prosi, są śmiali i nie rozumieją się na delikatnych romantycznych uczuciach... Jest to moim obowiązkiem, „dodała z wzrokiem zwróconym ku niebu, jakby je wzywała na świadectwo swojej niesłychanej pieczołowitości nad siostrzenicą, — przestrzedz cię Kamileczko moja.“

— „Oui c'est notre devoir!“ dodała Francuzka z westchnieniem, jakiego tylko bigotka jest zdolną.

— „Nie znacie go! on śmiały! ha! ha! ha!“ rozśmiała się Kamilla i wybiegła z pokoju.“

— „Il est trop bête, pour être dangereux!“ rzekła po chwili guwernantka z przyciskiem dogmatycznym.

— „Et puis!“ dodała ciotka, wznosząc wyraziście ramiona do góry. „Il faut bien que jeunesse passe!...“

Westchnęły obie panie, zapewne za wspomnieniami tej przebrzmiałej dla nich młodości.

— „Nous aviserons plus tard!“... mruknęła guwernantka...

— „Elle trouvera toujours un mari!“ dodała z uśmiechem ciotunia; „nous ne pouvons pas cependant lui contredire!“

— „Je crois bien!“ potwierdziła guwernantka.

— „Laissons faire la providence!“ zakończyła ciotunia; guwernantka zrobiła krzyż, cichy amen doszeptała, i westchnąwszy raz jeszcze z całą pobożnością, poszły zacne damy ubierać się po raz trzeci tego dnia.

A Kamilla tymczasem już siedziała z Władysławem na lekkim baciku, i rozkołysani falą, rozkołysani powietrzem, które ich otaczało wonnem i wiosennem, rozmarzeni tą miłością im wspólną chociaż rozmaicie tą miłością im wspólną zrozumianą, płynęli po czystej Prutu wodzie na drugi brzeg ulubiony, gdzie większa swoboda, czyste powietrze i tajniejsze nęcą ich przechadzki.

— „Kamillo!“ rzekł po chwili Władysław, opierając silnie wiosło o koniec batu; jeden ruch mocniejszy i moglibyśmy razem zginać w głębiach tego wiru.

— „Umieram już! zkądże ci taka myśl szalona, mój Władysławie?“ odpowiedziała Kamilla nie bez drzenia.

— „Nie byłoby to szczęściem umrzeć razem?..“

— „Ale żyć razem...“ rzekła pomału i ślicznie oczy swoje rzuciła zalotnie na kochanka.

— „Czyliż wiemy, co nam jutro chowa, co przyniesie godzina przyszła?... dziś jesteśmy szczęśliwi, dziś nam umrzeć razem...“

— „Szczęśliwi?“ w półpytającym głosem przerwało Kamilla, a pod jej wzrokiem zadrżał i zbladł Władysław.“

— „Płynmy dalej,“ szeptała ciszej Kamilla, i łódka strzałą pomknęła ku krzemiennym brzegom.

I znowu poszli błąkać się po gaju, po borze, po ostrowach zielonych, aż siedli wreszcie na ulubionym miejscu za pasieką, gdzie Władysław dla niej i dla siebie ułożył z darni siedzenie pod starą lipą rozłożystą.

Znowu mówili do siebie... Co mówili! czyliż mam pisać to nigdy zupełnie i w całości między kochankami i niewyczerpane słowo kocham.

— „Kocham!“ mówił Władysław i rozumiał niebo pod niem.

— „Kocham!“ odpowiedziała Kamilla i rozumiała ziemię pod niem.

I słyhać było szmer tylko cichych słów i szmer pocałunków rozchodził się pomiędzy liście starej lipy.

Władysław patrzył w niebo czyste nad nimi, i na niem śledził marzeń własnych roje, które od czasu do czasu słowami kochania tłumaczył. A ona szczebiotała tak słodko i mile, że mimowolnie spojrzęć na nią musiał, a gdy go za rękę porwała i przycisnęła do serca, wzrok jego spadł z nieba swoich marzeń szczytnych, by utonąć w płonącym burzą namiętą niebie ciemnych oczów kochanki.

Kto kochał i jakkolwiek kochał, zrozumie takie chwile i oceni je, czyli się postawi w położenie Władysława, czy Kamilli; kto nie kochał, temu martwy pozostanie każdy taki opis, bo nie zrozumie tej sceny cichej, w wiosnie życia, w wiosnie roku, wpośród woni i harmonii całej przyrody, pod zielonem sklepieniem rozłożystych drzew konarów; wyżej czyste sklepienie nieba, po którym czasem przemknie obłoczek biały o stu kształtach kapryśnych, niżej lyszczące się wody rzeki, a nad nią sioła i sady rozrzucone w uroczym bezładzie.

Przejdziemy więc milczeniem tę i wiele innych scen podobnych, które kochankom szybko przebiegły w Zylińcach, i przeskoczywszy wiosnę i lato opowiem jeszcze jeden wieczór pogodny.

Było to już na początku jesieni; słońce utonęło ogniście w nurtach Prutu, cichość w okole obsiadła; czasem tylko wiatr jesienny rozruszany w borach zapruckich zasumiał z lekka, suchem liściem po wszystkich sadach zaszeleścił, na wirze rzeczynym zaplaskał. Ciemno było w pałacu Zylenieckim; jedno tylko okno w górnem piątrze błyszczało światłem lampy, które po nad drzewa ogrodu, po nad topole okalające pałac, po nad ulicę wierzbową przypierającą do rzeki, świeciła zdala płynącemu łódką Władysławowi jakby ogień strażnicy kierujący jego wiosłem. Lecz Władysław długo nie zdawał się nań uważać, i leniwym tylko ruchem poruszał wiosło. Twarz jego była zmieniona; wyraz niepewnej tęsknoty wrył się w czoło i koło ust głębszym pewniejszym rysem cierpienia wewnętrznego. Z oczów jego nie strzela już ten płomień żywy, jasny, który zdawał się bić prosto z duszy, jako znamię tej niepokalanej szczerości. W oczach spuszczonej, w niespokojnem ich wejrzeniu osiadł wewnętrzny niepokój. I spojrzął przed siebie, ujrzał światło od okna pałacowego bijące i zarumienił się i zadrzał; była chwila niepewności, w której chciał wstecz uderzyć wiosłem o ciche wody, lecz wnet gwałtownym ruchem pchnął łódkę naprzód i stanął u brzegu. Pobieglł znajomą ścieżką po pod wierzby ku furcie ogrodowej; furka stała otworem. Wiedział o tem, bo nie pierwszy raz wchodził o takiej porze do ogrodu kochanki, a przecież oglądał się nieśmiało, ostrożnie postępował po ulicach ogrodowych, i drżał za każdym zaszeleszczeniem liści suchych, które zdybywała noga jego.

Uspokojony milczeniem, szedł dalej spokojniejszy. Jakżeby się zadziwił i przestraszył, gdyby był dostrzegł, że z akaciowego klombu, w którym było znane mu siedzenie kamienne, lysznęły za nim cztery oczów ciekawych.

A dwa głosy z cicha zaszeptały.

— „C'est encore lui!“

— „Że się też Kamilce nie znudzi ten romans, tak długo się już ciągnący.“

— „Croyez a mon experience; ça finira bientôt.“

— „Mais si...“

— „Eh bien!... elle est assez riche et grande dame pour avoir ses fantaisies...“ I zachichotały z cicha ciotunia i guwernatka. A ciotka po chwili ciągnęła dalej jakby do siebie mówiła:

— „I zawsze przez okno... chociaż wszystkie drzwi od ogrodu zawsze pootwierane.“

Władysław stanął pod domem; klasnął w dłonie; otwarło się okno pierwszopiętrowe, i z cichym szelestem spadły do stóp jego szczeble drabinki z sznurów robionej. Bo Kamilli byłby się wydał romans niezupełny, gdyby kochanek wchodził drzwiami, nie oknem. Wszak ona była godna roli Julietty; a nawet nieraz w romantycznych marzeniach miała swemu Romeowi za złe, że nie chce być zrazem Leandrem przebywającym rzekę wpływ.

Wskoczył Władysław przez okno, a Kamilla przyjęła go serdecznym uściskiem.

— „Czegoż jesteś tak smutny?...“ zapytała go po chwili milczenia; „nic nie mówisz do mnie?..“

Władysław milczał, a oczy jego patrzyły na piękną dziewczynę w czarująco niedbałym stroju, z wyrazem miłości i żalu razem.

— „Pójdź tu ze mną, do naszej ulubionej sofki.“ I poufale ciągnęła go z sobą.

— „Kamillo, posłuchaj mię?...“

— „Czyliż cię zawsze nie słucham, mój luby Romeo.“

— „Nie tu koło ciebie siedzieć powinienem, ale u stóp twoich pozwól niech błagam przebaczenia....“

— „Przebaczenia?... ja jestem przecie szczęśliwa mój Romeo... coż ci mam przebaczyć?“

— „Tyś anioł Kamillo!... tyś niewinne dziecię! i dla tego szczęście nasze wydaje ci się bez cienia... ale ja jestem występny;“ i złożył rozplamioną twarz swoją klęczący młodzieniec na białych rękach kochanki.

Kamilla go ucałowała w czoło, i rękami starała się go podnieść i przyciągnąć do siebie.

— „Kamillo droga, czas marzeń i pieśzcot już nadto się długo przeciągnął... nadszedł czas czynu.“

Skrzywiła się piękna dziedziczka milionów, bo i w miłości nie chciała być nudzona, chociażby przez najpiękniejsze słowa kochanka.

— „Dziwak jesteś Władziu!...“ rzekła z rodzajem niecierpliwości. „Czegoż chcesz kapryśny? czyliż nie jesteśmy szczęśliwi?“

— „Nadto szczęśliwi kochanko! i dla tego zapominamy o wszystkim; lecz mnie mężczyźnie nie godzi się zapomnieć o tem, czego biedna dziewczyno w swej niewinności nie pamiętasz...“

Usta Kamilli otworzyły się z lekka, ale podobno nie do mowy, nie do westchnienia, ale do ziewnięcia.

— „Rodzice moi wiedzą o wszystkim...”

— „Ktoż im powiedział?” krzyknęła Kamilla, i skoczyła z miejsca tak gwałtownie, że Władysław ledwie się utrzymał na nogach...

— „Ja sam!”

— „Ty?” krzyknęła głośniejsze, i zbrzydła wyrazem gniewu, który strzelił z jej oczu.

— „Ty!” powtórzyła... „ty śmiałeś to im powiedzieć!... ha! to jest niegodziwie.” I biegnąc po pokoju, zapomniała roli swojej romantycznej; gniewała się jak prosta śmiertelniczka.

— „Posłuchaj mnie chwilę;” ozwał się Władysław zmieszany tą zmianą tonu, który go zabolął w sercu.

— „Chciałeś się pochwalić!... to jest szkaradnie... oddal się... ja powiem twoim rodzicom i wszystkim, żeś skłamał niegodnie... i ktoż będzie śmiał posądzić mnie... mnie!” powtórzyła i wzniosła głowę z dumą i pogardą. W tej chwili Kamilla była okropnie brzydka.

— „Rodzice moi domyślali się;” mówił Władysław z słodyczą pełną czułości, chociaż widok zmienionej kochanki ścisnął mu serce przecuciem złowrogiem.

— „Domyślali się... zapewne; domyślali się tego, czego by z duszy pragnęli.” I uśmiech szydarchy do reszty zeszcpił jej twarz, gniew, dumę i pogardę wyrażającą.

— „Kochanko moja! ty jesteś niesprawiedliwa... moi rodzice pragną tylko mojego szczęścia, i inaczej o niem sądzili w swoim doświadczeniu, niżeli ja w mojej nierozważnej lekkomyślności... Oni chcieli i zakleli mnie na to przywiązanie ich rodzicielskie, bym jutro wyjechał, i nie wracał aż za rok.”

— „I ty odjeżdżasz niewierny!” zawołała Kamilla wpadając nagle w ton romantyczny bohaterki, w którym przebiegała się jednakże czulsza nieco niespokojność kochającej dziewczyny.

— „Ja ciebie porzucić nie mogłem; i dla tego musiałem rodzicom biednym odkryć, jakie mnie trzymają tu obowiązki...”

— „Obowiązki?” zawołała znowu tragicznie Kamilla.

— „Mówmy tylko o obowiązkach... bo my... nie my... ale ja... nadto długo o nich zapomniałem wśród szczęścia uroczego, którem urzekłaś mnie śliczna czarodziejko.”

Kamilla udobruchana, porwała go za szyję i uściśnęła serdecznie.

— „Mów! mów! mój Romeo!”

— „Wszystko już przygotowane moja Kamillo do ucieczki.”

— „Porwanie!” krzyknęła Kamilla z iskrzącymi oczami; a w duszy jej drżało to słowo enlèvement, którego nieśmiała wymówić przy Władysławie, karzącym ją nieraz za mieszanie mowy polskiej z francuzką, bo w tej chwili ten w romansach używany i zużyty środek wydał się jej bardzo piękny.

— „Ty wiesz, że inny nam nie pozostaje środek, ciotka nigdy...”

— „Nie! nie! ona tego nigdy wiedzieć nie powinna....”

— „Urządziłem wszystko do naszego wyjazdu.... dziś wyjeździemy razem w daleką podróż....”

— „Podróż! razem!“ Coraz więcej romantycznej dziewczynie podobał się plan Władysława.

— „Na Wołoszczyźnie mam przyjaciela.... do niego pojedziemy....“ a tam Kamillo droga zostanie w obliczu Boga i prawa mężem twoim.

— „Mężem!...“ zawołała przeciągniętym głosem bohaterka romansowa, i dziwny wyraz wystąpił na jej twarzy... „Więc to jest plan ułożony przez ciebie i rodziców twoich.“

— „Czyliż może być inaczej? zapewne byłabyś szczęśliwsza, zapewne, gdybyś mnie była nie poznała i nie pokochała... ale teraz... moim jest obowiązkiem uprawnić nasz związek.“

— „Plan niezły!...“ mówiła dalej Kamilla głosem niepewnym.

— „Czyliż ty mię nie kochasz już?“ zapytał Władysław, który nie mógł pojąć dziwnego usposobienia swojej kochanki....

— „Ja cię kocham Władziu! kocham szczerze... i dałam ci tego dowody...“

— „Kamillo! nie wzmagaj wyrzutów sumienia, które mię dręczą.“

— „Darmo się dręczysz, mój Władziu! dajmy pokój tym planom wszystkim, które, chcę wierzyć, że nie wyszły od ciebie...“

— „Nie odemnie? ja ciebie nie rozumiem.“

— „Na co nam związki... czyliż nie jesteśmy dosyć szczęśliwi?...“

Władysław nic już nie odpowiadał; zdumienie nieme i okropnie bolące w sercu przemawiało tylko z twarzy.

— „Ty Władziu nie możesz być mężem moim... wszak rozumiesz... nasze stosunki majątkowe i towarzyskie dzielą nas... bo i cożby świat o tobie powiedział... nie zarzuciłżeby tobie... że ciebie mój znaczny majątek zniżył?“

— „Kamillo, niekończ! nie zabijaj do reszty złudzeń moich!...“

— „Władziu kochany! tyś dziwak! ty jesteś tylko poetą... ja ciebie pewnie szczerze kocham, i najlepszy tego daję dowód, że mimo to wszystko, co mi przepowiedziały ciotka i panna L'oison, że ty pragniesz tylko mojej ręki i mojego majątku... wierzę święcie w to, że ty mię kochasz dla mnie samej... zostawmy więc plany wszystkie... i używajmy swobodnie chwil szczęśliwych jakie nam użycza przeznaczenie...“

Kamilla mówiła z wymową zapalczywą, jej się zdało, że dopiero w tej chwili stanęła na wysokości prawdziwej bohaterki romantycznej. Władysław zaś milczał ciągle; twarz tylko jego zdradzała uczucia wewnętrzne; żal pomалу zdawał się przybierać coraz więcej wyrazu cierpkości, graniczącej z pogardą, jakiej jeszcze w życiu nie doznał dla nikogo.

— „I czyli myślisz Władziu, że byłbyś szczęśliwy ze mną?... nie jest dla ciebie, mój śliczny i kochany poeto, żona.... światowa.... bogata, której przeznaczeniem zostać na stanowisku salonowym, jakie jej dało przeznaczenie. Za kilka miesięcy skończę siedmnaście lat i pojedę do stolicy... znajdę wkrótce męża.... którego nazwisko i towarzyskie położenie będzie odpowiadało wszelkim przyzwoitościom... a ty mój Władziu, przyjedziesz także do sto-

licy.... i zostaniesz.... ja ci miejsce wyrobię w salonie moim, który spodziewam się zostanie wnet pierwszym salonem.... będę żoną drugiego.... ale ty mój Władziu będziesz zawsze.... moim Władziem.... moim kochankiem!.... Czyliż ci to nie wystarczy, mój kapryśny Romeo?... pocałuj luby swoją Juliette.... Coż ty myślisz?... dla czegoż tak na mnie patrzysz dziwnie!....“

— „Ja ciebie żałuję Kamillo! boś w jednej chwili zdołała zabić najczystsze uczucie, jakie zdybałaś w życiu swoim. Wymówek robić ci nie będę... Bądź zdrowa!..“

Długo jeszcze trwała rozmowa; lecz w końcu odszedł Władysław ze zboleiałem sercem, ale pogarda dla Kamilli przemogła, i dlatego w salonie pana Karlińskiego rzucił na nią wzrokiem tak pogardliwym. A Kamilla wnet się pocieszyła.

Takie było zakończenie romansu panny salonowej; rzućmy teraz okiem na pierwszą miłość dziewczyny z gminu.

Zrozumieliśmy już z rozmów poprzednich, że biedna Bogunia miała serdeczną skłonność do młodego malarza jakiegoś. Poznanie ich było proste i zwyczajne. Bogunia chodziła przez czas niejaki do miasta na robotę do pani Stroik, modniarki drugiego rzędu, i tam u niej w sklepie pracowała po kilka godzin dziennie, aby się nauczyć haftów, i innych robót kobiecych, które czy w mieście czy na przedmieściu popłacają zawsze. Owoż każdy z nas wie z doświadczenia, że szklanne drzwi sklepu modniarki mają zawsze pociąg niepospolity dla młodych próżniaków miejskich, którzy biegając tam i sam po ulicach miejskich zaglądną przez nie i śledzą ładne twarzyczki, które czasem nie wiedząc o tem, za pomocą tych biegających po mieście gazet dwunożnych, stają się sławne, jako piękności sklepowe. Studenci mianowicie są w tym względzie najślawniejsi szperacze i rozmówiwszy się jeno z nimi, można wnet mieć statystykę wszystkich dziewcząt sklepowych; nie można zapewne powiedzieć, że studenci mają do tego najwięcej czasu, ale jestto niezawodną rzeczą, że mają do tego najwięcej ochoty i talentu. Jest między nimi przyjętem i należy do ich własności, że najlepsi, najpilniejsi nawet mieliby sobie za wstyd, gdyby choć jedną datę nową nie przynieśli do tej statystyki, która przez powagę czasu i zwyczaj, stała się namiętnością należącą do obrębu ich działalności. Nie będę się wdawał w ocenienie tej polskiego nazwiska niemającej fensterparady; wszak lepsza część młodzieży uczącej się, chociaż nieraz przyswaja sobie ten narów niepożyteczny zupełnie, a nawet śmieszny i poniżający młodzieńca kształcącego się, pojmuje jego nieprzyzwoitość, rozumie jaka to jest niemąla złych skutków przynosząca strata czasu. Bo nie kończy się to na kilkakrotnem zaglądaniu; nieraz spojrzeniu ciekawemu z ulicy odpowie spojrzenie z początku obojętne ze sklepu, i zaczyna się często telegraficzna rozmowa oczów, w której pomału próżność i zalotność odgrywają niemąla rolę, i prowadzą później do stosunków zarówno szkodliwych obydwoim stronom.

Bogunia nie należała, zapewne do rzędu dziewcząt lubiących podnosić oczy od roboty; pracowita i eicha nie miała tych roztar-

gnień, spowodowanych przez patrzące z ulicy spojrzenia mniej lub więcej czułe. Ale Bogunia miała sąsiadki, które ją nieraz to półsłowem, to nawet dotknięciem ręki lub kolanem robiły uważną na nie jedno spojrzenie widocznie na nią zwrócone. Nie robiło to długi czas żadnego na niej wrażenia, ale przecież gdy razu jednego poczciwa, dobroduszna, ale roztrzepana jej sąsiadka powiedziała jej z cicha:

— „To już dziesiąty raz przechodzi dzisiaj; i tak ciągle od dwóch tygodni.“

Mimowolnie rumieniec wystąpił na twarz Boguni. A gdy jej sąsiadka dodała:

— „I tylko na ciebie patrzy...“

Rumieniec nabrał barw coraz ciemniejszych.

— „Jaki błądy biedak!“ dodała sąsiadka „przykro mu, że darmo wypatruje na ciebie oczy swoje... a dalibóg piękne oczy!“

Taka chęćka niewstrzymana porwała biedną Bogunię, że nie mogła przenieść na sobie, by choć pół spojrzenia nie rzucić ku oknu.

Patrzący młodzieniec był w rzeczy samej przystojny, a oko miał wyraziste, i z całym uczuciem podziękował dziewczynie radosnym wzrokiem za to jej spojrzenie.

Bogunia spuściła nazad oczy na robotę; zapłonila się mocniej jeszcze, a robota tego dnia nie najlepiej poszła.

Nazajutrz uparty młodzieniec zaglądał znowu, a sąsiadka tak chwaliła jego postawę, ułożenie i ubior, że Bogunię porwała ochota przekonać się, czy to prawda wszystko.

I tak z dnia na dzień spojrzenia Boguni coraz dłużej spoczywały na ciemnych oczach młodzieńca, który niemi umiał przemawiać tak czule i wymownie, że biednej dziewczynie serce tłukło nieraz tak zawzięcie w piersi, aż jej tchu brakowało.

Nie będę szeroko opisywał jak ta znajomość dzień po dniu postępowała; wszak znajome to są rzeczy.

Do sklepu zaszedł młodzieniec, i kupował wstążki ciemnej barwy; oczywiście dla jakiejś starej matki czy krewnej. Nieraz wracając szybkim pędem do domu, słyszała Bogunia kroki za sobą, i ze strachu uciekała coraz prędzej, a kroki za nią tętniły coraz prędzej po bruku. Nie śmiała obejrzeć się, aż razu jednego, było to już późno w wieczór, taki ją przejął strach, bo myślała, że to może złodziej jaki, pokuszony widokiem zawiniątka z robotą, które niosła z sobą... że już dla samego przekonania musiała się obejrzeć. To nie był złodziej zawiniątka, ale niebezpieczniejszy nadto złodziej serca, które jej w łonie skakało co raz mocniej i żywiej. Musiała więc odetchnąć, zwolnić kroku, a śmiały młodzieniec był koło niej i szepnął z cicha.

— „Kocham cię Boguniu nad życie!..“ —

Rzekł i znikł niegodziwy złodziej z serduszkciem niewinnej dziewczyny. Jakżeż tu nie kochać, kiedy z drugiej strony tak widocznie jest miłość i tak stała. Nazajutrz szła już powolniej; wszak bezpieczna już była o zawiniątko swoje.

— „Dla czegoż tak uciekasz śliczna, kochana Boguniu?“

Kusa była rada dla dziewczyny; wypadało coś odpowiedzieć, a słów ani daj Boże dobyć.

— „Czy się mnie boisz?...“ pytał dalej młodzieniec, tak słodko i czule, że się jej zdało słyszeć najpiękniejszą pozytywę, jaka kiedykolwiek zabrzmiała pod jej okna.

— „Nie!“ szepnęła biedaczka.

— „Dla czegoż nie spojrzysz na mnie?“

Dziewczyna spojrzała na niego; piękniejszych oczów nawet w śnie nie widziała.

— „Ja cię Kocham!... nad życie!“

Głos ten wydał się jej dźwięczniejszym od śpiewu, któremu ona dotąd przysłuchiwała się jakby chórom anielskim.

— „Pozwól, niech ci podam rękę... ty kulejesz biedna Boguniu...“

Lzy się zakręciły w oczach Boguni, bo nikt dotąd nie żałował tego smutnego kalectwa, które przeciwnie było powodem do rozmaitych żartów przedmiejskich dowcipnisiów. Podał rękę, i ścisnął za dłoń drżąca.

— „Oprzyj się lepiej! ja cię poprowadzę; o jak chętnie prowadziłbym cię całe życie... zawsze z tobą, zawsze przy tobie...“

Lzy potoczyły się po bladych licach biednej dziewczyny. Ona tak sama na tym świecie potrzebowała by podpory; w tej chwili przyszły jej na myśl i matka i czulsza od matki Tekla; jak ją kochały, jak ją pieściły... a teraz w grobie leżą obie. I niema nikogo na świecie, ktoby ją kochał i wspierał... bo ojciec dobry, ale prosty człowiek, mało czuły, oddany pracy... a często smutnemu nałogowi. Całe jej smutne życie stanęło widomie przed nią. Dla biednej dziewczyny z gminu, dla biednej sieroty jedno słowo czułe, to pełna niezrozumiana dla was panien salonowych, pieszczonych od swoich i cudzych, pochlebianych od kolebki zacząwszy, którym los przyjaźny daje świat cały za piastunkę, nieustannie kołyszącą w sen rozkosznej rzeczywistości. Bogunia już kochała serdecznie czułego młodzieńca, a przecież po chwili odsunęła rękę, i rzekła naiwnie:

— „Ja pana nie znam.“

Były to słowa szczerze, bez udanej zalotności: bo w tej chwili przyszły jej na myśl nauki poczciwej Tekli. Bogunia niewiedząc o tem, miała najczystsza skromność prawdziwej niewinności. Salonowa panna może by to samo powiedziała, ale przez wyrachowanie, przez rozumowanie, którego ją nauczyły zimne guwernantki. Bogunia była dzieckiem gminu, a uczucia jej były tak czyste, jak są owe w gminie, póki ich nie skazi zepsucie.

Młodzieniec powiedział jej, że jest ubogim jak ona, że kształcił się na malarza, i nazywa Ignacy Karzecki.

Dziewczyna słuchała z uwagą i zajęciem jak jej doborowemi słowy opowiadał, że jest sam na świecie; bo matka stara, która mu się została, mieszka gdzieś daleko w małym miasteczku.

— „Ja nie mam matki!“ rzekła biedaczka z łzami w oczach; a w duszy pomyślała, jakby serdecznie mogła pokochać matkę Ignacego. W tej chwili rozczulenia ani jej przyszło na myśl rozwa-

żyć czy ubiór młodzieńca i jego słowa doborowe zgadzają się z stanem ubogim, który jej Ignacy opisywał w tej chwili tak wymownie. Litowała się tylko nad nim, bo ubogi tylko umie dobrze zrozumieć ubogiego, i podziwiała młodzieńca, który tak umie pracować, by matkę starą utrzymać i wznieść się talentem. Jakże dumną się uczuła w swej myśli, że jest w stanie pojąć go i ocenić; jakże wdzięczną poczciwej Tekli, że dała jej wychowanie stawiające ją na równi z wzniosłym stanowiskiem młodego malarza.

— „Ja cię śliczna Boguniu nigdy kochać nie przestanę, bo ty dobra, poczciwa, jak anioł... A tyż mnie czy lubisz choć trochę...“ powtarzał młody malarz. Bogunia nic nie odpowiadała, ale rumieniła się ciągle, a czuła wewnętrzną rokosz, jakiej jeszcze w życiu nie doznała.

— „Ja mam ojca!“ rzekła po chwili milczenia „który mnie kocha...“

— „I pozwolisz przyjść Boguniu śliczna?“ zapytał ją pochlebnie.

— „Dla czegoż nie!“ odpowiedziała naiwnie, a oczy zadziwione wpatrzyła na młodzieńca, nie mogąc pojąć takiego zapytania nie mającego w gminie żadnego znaczenia. Ubogiego bowiem chata stoi otworem dla każdego, a ceremonjały są dla nich niezrozumiane.

I przyszedł nazajutrz młody malarz do domku Karosza w skromniejszym stroju, a od razu ujął serce szewca, gdy go prosił o zrobienie pary butów. Przychodził potem codzien; ani mu też miał za złe szewc Karosz, który rad był tej miłości, i cieszył się w duszy, że Bogunia ma kawalera nie szewca, nie cieślę, ale malarza. Poczciwy bowiem Karosz, chociaż sam nie wiele posiadał wiadomości, prócz chyba zgrabności do dratwy, wielce szacował ludzi wykształconych, i zawsze wdychał do tego, by Bogunia poszła zamaż za człowieka wyższego stanu nad stan rzemieślniczy. Że zaś malarz chce się żenić z Bogunią, o tem nie wątpił jej ojciec, bo chociaż dotąd mu nie powiedział ani słowa, widoczne były jego konkury, a nie ufać im ani przyszło na myśl naszemu Karoszewi. Myśl o fałszu i zdradzie była tak daleko od serca poczciwego szewca jak sam fałsz i zdrada. I jakże nareszcie miał mu nie wierzyć, kiedy za prawdziwość jego zaręczeń gotowa była zawsze zaręczyć i przysiąc nawet Bogunia, którą szewc przyzwyczaił się uważać za daleko rozsądniejszą od siebie, a nawet w ważnych życia chwilach zwykł się być jej radzić.

Bogunia wierzyła młodemu malarzowi, jak się wierzy za młodu, jak się wierzy, gdy się kocha szczerze. Po Bogu, do którego się modliła tak gorąco codzien, po matce i Tekli, za które codzien zmaśniała pokorne modlitwy, a wspominała nieustannie, najdroższym i najmilszym był jej Ignacy, którego, jak się zdawało, w dziecinnej wierze przesądnej, te obydwie opiekujące się nią w niebie istoty natchnęły tą miłością dla niej. Mimo wielu trudów życia, wielu codziennych przykrości, jakżeż była szczęśliwą, gdy Ignacy przyszedł do ubogiego domku, i sam na sam wyznawał jej bez końca miłość swoją. Cierpliwie znosiła, jeżeli czasem całe dnie mijały w samotno-

ści, bo Ignacy nie zawsze miał czas przyjść, a nawet nieraz błagała go najszczerzej, by dla niej się nie odrywał od zatrudnień swoich.

— „Ty nie masz czasu do stracenia mój drogi!“ mówiła do niego z prostotą „tobie jeszcze trzeba pracować, wszak twoja przyszłość to moja przyszłość.... nieprawdaż Ignacy?....“

To ją tylko czasem bolało, że mimo prośb najusilniejszych, nigdy jej Ignacy nie chciał nic pokazać z robot pędzla swego. Onaby tak dusznie chciała podziwiać talent swego kochanka; ale Ignacy jej mówił, że wtenczas dopiero pokaże, kiedy roboty jego będą warte widzenia.

Bogunia chociaż nie zupełnie przekonana, milczała, bo dla niej słowa i chęci kochanka były święte. Ona w swem uczuciu nie miała żadnej miłości własnej, a miłość jej dla Ignacego była równie czysta jak silna. Wszelki czas i przestrzeń nikły przed siłą tego uczucia. Gdy Ignacy, który w samotnych rozmowach z kochanką, nieraz utyskiwał, że czas jego szczęścia tak jest daleki, i gwałtowną namiętnością miotany przyciskał ją do łona, a usta jej całunkami płomiennymi okrywał, ona go odcalaowała z równie mocnym, ale czystym zapałem, i mówiła mu:

— „Ja będę czekać, gdyby lata najdłuższe. I żadnej nie mam w tem zasługi, bo ja jestem już teraz szczęśliwa.“

— „Szczęśliwa!“ krzyczał namiętnie Ignacy, a oczy jego iskrzyły się ogniem pożerczym.

Bogunia nie rozumiała zapалу tego słowa i wzroku, bo jak mówiłem, jej miłość jako dar niebieskich opiekunek, miała i czystość uczuć niebieskich.

I nie myślcie państwo, by ta wielka różnica uczuć Kamilli i Boguni była przezemnie umyślnie stworzona, o nie! ta różnica jest prawdziwą, bo opartą na koniecznych skutkach wrażeń, wpływających na obydwie. Dziewczyna z gminu jeżeli jest niewinna prawdziwie, a jest takich mnóstwo, póki ku nim wyższe stany towarzyskie nie wyszlą swoich Lowelasów; dziewczyna z gminu, jeżeli jest niewinna, ma czystość anielską, i dziecinną niewiadomość w swych myślach i uczuciach, bo ją ani wychowanie ku zalotności skierowane, ani książki wyobraźnię budzące nie zepsuły. Dziewczyna z gminu nie ma temperamentu, który jest wynikłością bytu dobrego, tego nieustannego sycenia się fizycznie i moralnie najszczytszemi potrawami, i najdrażliwszemi wyobrażeniami. Dziewczyna z salonu marzy o obrazach, nęcących tajemnicą i urokiem wtenczas, kiedy te obrazy obsłania jeszcze przed ich wół dziecinnym wzrokiem tajemnicza gaza. Dziewczyna z gminu nie myśli i nie marzy o nich wtenczas nawet, kiedy je już odsłonił przed ich wzrokiem przypadek lub naiwna szczerota źle wychowanych ludzi.

Boguni myśli były czyste, i dotąd niepokalane żadnem marzeniem dziennem, żadnym snem nocnym. Kochać, kochać i kochać ciągle lubego Ignacego!.... nic nadto więcej nie rozumiała. I czyliżto nie mogło starczyć dla niego?.... O nie! bo miłość mężczyzny jest pełna egoizmu, wymagać, kapryśnych uprzedzeń, i choć najwy-

żej się wzniesie, dąży ku ziemi przecie, z której pochodzi. Miłość dziewczyny niewinnej dąży zawsze ku niebu, zawsze ku tej ojczyźnie swojej, i dla tego tak rzadko zdybywana bywa na ziemi.

Jaki był charakter i usposobienie Ignacego, przyszłość okaże; kochał Bogunię, kochał ją mocno, ale kochał po swojemu, po ziemsku.

I pierchły wnet chwile swobodnych pogadań; namiętność malarza nabierała coraz ciemniejszych odcieni, jakby chmury coraz czarniej gromadzące się. Zaczęły się wymówki, te burze, chwilowe zapewne, po których znowu pogoda, znowu czyste niebo; ale burze te były częste.

— „Ty szczęśliwa! powiadasz!...“ mówił malarz młody, a oczy iskrzyły mu się codziennie namiętniej; „ty obojętna!...“

Wymówki kochanka były pierwszym obudzeniem się myśli ziemskiej w czystym, nieba godnym uczuciu Boguni. I pytała się sama siebie, za co na nie zasłużyła; czyliż może nie dosyć go kocha, nie dosyć pieści?...

— „Twoje pocałunki Boguniu!“ mówił do niej, „są zimne jak lód... a moje płomienne jak żar.“

Więc go dziewczyna całowała, a pieściła z całej siły, i zapewne z zadziwieniem postrzegła, że jej serce żywiej zadrgało. A przecież wymówki Ignacego były codziennie mocniejsze i codziennie wracały; aż nieraz biedna Bogunia w nocej samotności łzami oblała skromną poduszkę swoją, i błagała swoich opiekunek drogich, by ją nauczyły tak kochać Ignacego, jak on chce być kochanym.

Tak trwało dwa lata: całe dwa lata... Widzę jak na te słowa uśmiechnął się niejeden salonowiec z wargami satyra, a poskrobawszy się w przedwczesną perukę, pomyślał w duszy, że to powieściarska przesada, czego przecie dowodem oczywistym są wypałe jego włosy i popruchniałe zęby. Nie odpowiem ci nic innego, zacny lionie, na twe szyderstwa, tylko jak szatana skrępowanego daremnie mocowaniem się z własną bezsilnością, skropię wodą święconą tych słów: dwa lata tak trwało!...

I wionęło swobodne szczęście pierwszych chwil dla Boguni. Częściej niż dawniej zostawała sama, bo Ignacy nieraz całe tygodnie nie przychodził; ale gdy przyszedł i lada jaką powiedział wymówkę, a zakończył słowem: Kocham, to słowo czarodziejskie, ten talizman kochanków od wszelkiego smutku i udręczeń, nową pogodą oblekało niebo domowe Boguni; balsamem pociechy padało na zblałe jej serce; dawne jej wracało szczęście.

Czekała, i wierzyła, i kochała, bo miała w całym tego słowa znaczeniu wiarę, miłość i nadzieję, tę prawdziwie boską trójcę w ludzkim uczuciu.

A choć nieraz wyleciał Ignacy z burzą na czole, chmurą w oku, piorunem gorzkich wymówek w ustach; ona ze łzami patrzyła za nim i mówiła do siebie złożywszy ręce i wzniosłszy oczy jakby do modlitwy:

— „On mnie kocha przecie... burza przemienie i nastanie pogoda... a jaka pogoda jakie szczęście! gdy już zawsze będę

z nim.... będę żoną jego. Lecz kiedy? nowa myśl zagadła, a uczucie westchnieniem odpowiedziało.

Że Ignacy niecierpliwy, by już została raz żoną jego, to pojmowała Bogunia, a więc w najlepszej chęci mówiła mu nieraz:

— „Dla czegoż nie mamy się pobrać mój drogi.... jesteśmy ubodzy, i podobno zawsze niemi będziemy, bo szczęście majątkowe możliwym tylko pan Bóg daje; nam dał pracę i cierpliwość.... pobierzmy się więc.... i będziemy dalej pracować.... ja tobie zawadzać nie będę, ja cię nic kosztować nie będę; a może będziesz szczęśliwszy i spokojniejszy.“

— „Zapewne moja śliczna ty Boguniu z lodu; ale to są niestety marzenia tylko.... dziś jeszcze nie można.... ale czyliż ty mnie tak mało kochasz, tak mało ufasz, byś nie mogła być żoną moją, żoną prawdziwą, bez księżej stuły, bez błogosławieństwa kościelnego.“

— „Ignacy, ty żartujesz sobie z biednej dziewczyny.... Weź sobie życie moje, weź to serce, co tylko dla ciebie bije, ale mi nie odbieraj tych dwóch opiekunek w niebie, które na łóżku śmiertelnym błogosławiły mnie temi ostatnimi słowami: Boguniu bądź dobra, bądź cnotliwa, nic nie rób przeciw boskim przykazaniom, a Bóg i my czuwać nad tobą będziemy.“

Ktoby był widział wówczas jak wybiegł młody malarz na przedmiejską ulicę i gonił ku miastu, byłby się przestraszył i zdrzął przed wyrazem złowrogim walki wewnętrznej, jaka wrzała na twarzy jego. Oko jego groziło, usta przeklinały; a na czole była burza błyskająca; biada ci biedna Boguniu, jeśli raz ta myśl burzliwa wyleci z głowy piorunem czynu na ciebie. Zdruzgocze cię i zniszczy biedna dziewczyno!

I była noc cudowna, wonna, noc zaczarowana tchnieniem wiosny, pianiem słowika, światłem księżycy, noc budząca tysiące marzeń, jakby bajka o rajy widomie dla ludzi zstąpiła na ziemię.

Ignacy i Bogunia siedzieli na dalekim smętarzu miejskim. Dwie mogiły, a na nich dwa krzyże, skromne, drewniane, stały po obu stronach kochanków; tam spoczywają matka i przyjaciółka Boguni, do których częste wędrówki odbywała biedna sierota. Tym razem zaszli tam oboje, i późny wieczór ich zaskoczył na tej dziedzinie śmierci. Słowa miłośne, pełne zapału nikły pomiędzy groby; wiatr je wiosenny roznosił pomiędzy liście drzew i kamienne pomniki.

I długa była ta ich rozmowa. W oczach Boguni świeciły łzy, a na twarzy była bladeść, która w świetle księżycy nadawała jej twarzy piękność i barwę posagową. W oczach Ignacego iskrzył się zapał, a na czole pomarszczonem unosił się dumny, nieprześlągany, postanowieniem niezmiennem wkopany w nie upor; twarz jego płomieniała się barwami życia. Taki był koniec ich rozmowy długiej.

— „Dobrze więc mój Ignacy, ty wiesz, że cię kocham, kocham nad życie, nad wszystko, nad ojca nawet, co Bóg widzi, tak srodze nieraz sobie wyrzucam. Zrobie, co chcesz, bo wiem, że to dobre, co ty chcesz; bo wiem, że ty swojej biednej Boguni nie

złego nie poradzisz, że ty nie zdradzisz kochanki ufającej tobie jak Bogu.“

— „Wierz mi Boguniu!“ odpowiedział malarz, a słowa jego wylatywały z piersi niecierpliwie i namiętnie „inaczej być nie może; matka moja na wszystko zezwoli, ale stryj jest uparty.... a stryj ma wielki majątek.... czyliż nie powinienem dbać o łaskę tego stryja; wszak jeżeli pragnę majątku, to głównie dla ciebie, którą chciałbym otoczyć całem szczęściem ziemi.“

— „Dzięki ci Ignacy!.... mnie tylko miłości twojej potrzeba; na nędzę mam odwagę i pracę, ale na brak twojej miłości, na jej przestanie.... tylko chyba tu trzecie miejsce między temi dwoma grobami. Mój luby! przysięgnij mi tu raz jeszcze, że nigdy, nigdy nie przestaniesz mnie kochać.“

— „Czyliż ci to sto razy nie przysięgałem.... dla czegoż spokój grobowy przerywać naszymi przysięgami miłośnemi?“

— „Ja mój drogi nie widzę nic w tem złego.... jabym ci wszędzie przysiadz gotowa przed ludźmi i przed Bogiem. Daruj mojej dziecinności, ale zdawać mi się będzie, że tu bliżej stoją koło mnie matka i Tekla kochana, i że one będą świadkami twojej przysięgi; i czyliż mniej się godzi przysięgać na smętarni, niż w kościele.... Bóg jest wszędzie, a prawą przysięgę przyjmie wszędzie od człowieka.“

Cudownie piękną była Bogunia w tej chwili; natchnienie bowiem wznosiło ją wyżej niżeli jest w stanie wznieść najwykwintniejsze wychowanie. Ona w swej cnotliwej prostocie stała aniołem przed kochankiem. Ignacy spuścił oczy ku ziemi, i nieśmiało ich podnieść; dumny jeno upor na czole a słowa z ust płynące robiły go podobnym do szatana kusiciela.

— „Przysięgnij Ignacy! ja cię o to proszę!“ rzekła Bogunia; a w tej chwili w sercu biednej szewcównej z przedmieścia drżały uczucia czystego blasku. Światełności tych uczuć równały się tylko te w jej oczach łzy, brylanty najczystszej wody.

— „Kiedy tak chcesz Boguniu, to jak i wszędzie przysięgam ci, że cię kocham,“ rzekł jakby od niechcenia młody malarz.

— „I nigdy nie opuścisz twojej Boguni?“

— „Nigdy moja luba....“

— „Przysięgasz mi na to...“

— „Przysięgam.“

— „Słuchajcie go moje dwa anioły!....“ rzekła uroczyście „dzięki ci mój luby, mój drogi!“

I w tej chwili gdzieś z dalekiego przedmieścia ozwał się głos wyjących psów. I trzykroć rozległ się głos złowrogi po smętarniowej cichości.

Zadrzał mimowolnie młody malarz; i podniósł strwożone oczy ku twarzy kochanki.

— „Przypadek!“ mruknął półgębkiem.

— „Nie tłumacz mi tego mój luby.... ja nie mam przesądów, bo mam wiarę nieograniczoną w tobie.... i nie mogę jej nie mieć, bo życie moje i szczęście od niej zależy.“

— „A ty Boguniu“ przerwał Ignacy „natomiast przysięgnij mi, że to co ułożyliśmy zostanie tajemnicą przed wszystkimi!“

— „Tak chciałeś... przyrzekłam ci... i raz jeszcze przysięgam!“

— „I nikomu nie powiesz; nawet ojcu...“

— „Nikomu... nawet ojcu...!“

A z wieży ratuszowej dźwięk po dźwięku zadzwoniła północ.

— „Już czas Boguniu... śpieszmy się.“

— „A więc w imię Boga... idę za tobą... opiekunki moje, po-
błogosławcie mnie !..“

I znowu trzykroć żałośnie ozwało się wycie... lecz już je nie-
słyszała Bogunia, bo patrzyła w oczy kochanka pałające ogniem, bo
jej usta drżały pod namiętym kochanka pocałunkiem.

Od tej chwili minęło już pół roku, i nic się nie zmieniło
w chatce szewca Karasza. Bogunia tylko zbladła nieco, od pracy za-
pewne, bo pracuje teraz więcej jeszcze, a może i od łez częstych,
bo Ignacy od trzech miesięcy coraz rzadzi przychodzi, a jak przyjdzie,
to jakby po wiatr, i zawsze chmurno na jego czole, a coraz niemiej
na ustach.

Bogunię zaboli serce czasem, ale pocziwe dziewczę tłómaczy
kochanka. On ma tyle do czynienia, biedny młody malarz; kształci
się i pracuje dla niej. Bo Bogunia kocha swojego Ignacego dziś jak
przed dwoma laty, dziś jak przed sześciami miesiącami.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dzień w mieście i dzień na przedmieściu.

Ponieważ z treści naszego opowiadania wypada mi w jeden i
ten sam dzień zajrzeć do miasta i do przedmieścia, nie mogę nie
zrobić uważnymi czytelników moich na tę olbrzymią różnicę między
dniem miasta i przedmieścia, w tem znaczeniu, w jakim tu biorę
miasto i przedmieście, to jest innemi słowy: zbiór salonów i zbiór
warsztatów, wyższe towarzystwo i lud. Różnica ta najlepiej się
okazuje w ciągu dnia jednego, którego godziny inny mają bieg dla
bogatego i ubogiego; lotne, w motyle skrzydła strojne przemykają
dla salonów; leniwe, w ciężką żółwia skorupę odziane wleką się dla
gminu. A każda godzina rozmaicie przystrojona z bachantki, sylfidy
gracją, z brzękiem i wdziękiem w radości dzwoniąc przeskakuje po
przed oczy bogacza, rzucając mu przed stopy najrozmaitsze równianki
użycia i rozkoszy. A każda godzina jak straszdyło, jak widziadło
najrozmaitszą twarz wyszczerzając, głodu, choroby, druga, z jękiem
i szczękiem kuleje po przed oczy nędzarza, rzucając mu przed stopy
wszystkie najsmutniejsze dary ubóstwa i ciągłej pracy. I dzień sa-
lonowcowi tak szybko przemija, że mu zawsze godzin brakuje do
użycia wszystkich zabaw, a cóż dopiero do wypełnienia jakich obo-
wiązków. A dla syna ludu godziny zdaje się rosnąć w nieskończoność
i skończyć się nie chcą. <http://rcin.org.pl>

Mniejszą zapewne znajdziecie różnicę, czytelnicy moi, w dniu, który mi opisać teraz wypadło z ciągu powieści mojej, bo jeżeli sobie łaskawie przypominać, powieść moja zaczęła się w sobotę; a więc z kolei opisywać mi przychodzi zdarzenia niedzieli, która i na przedmieściach odbywa się z rodzajem wesołości pozornej, przez kilka chwil rozpromieniającej blade i znędniałe lica pracowitego ludu. Może umyślnie wybrałem weselszą nieco część życia ludu, by was, zacni czytelnicy nie zrazić do obrazów, które dotąd uważane były jako niegodne powieści, mającej się dostać na welinowym papierze w białe i pulchne ręce salonowe, a które z przeproszeniem waszem zamyślam częściej wam przed oczy wprowadzać, byście je przynajmniej czytali, kiedy wam obrzydliwie patrzeć na nie. Powieść, moi państwo, powinna być obrazem życia, a życie ludu stanowi połowę większą życia całego narodu.

Minęły zresztą już te czasy, kiedy do przybytku literatury trzeba było przychodzić w rękawiczkach z biletami wizytowemi; przeszły te czasy, kiedy, pożał się Boże, jeden z literatów naszych przez lat kilka smarzył sobie głowę, jakby to przyzwocie powiedzieć w poemacie jakimś ziemiańskim, że świnia przełazi przez dziurawe płoty; owe czasy, kiedy wypudrowane i wyfrakowane towarzystwo przyjaciół nauk, ta ołowiana, nieruchoma arka przymierza nasza z gustem francuzkim, układała dla literatów dykjonarz wyrażień przyzwoitych i manualik przyzwoitych przedmiotów; kiedy wiersz gładki więcej znaczył jak wiersz dobry, a wiersz grzeczny więcej jak gładki, a panegiryk zgrabnie pochlebiający herbowi, znaczeniu lub władzy, był szczytem poezii; kiedy ogląda salonowa stanowiła większą część wartości literata; minęły te czasy!... Amen im!

Dla literata jest dziś prawda tylko! nią panie jak siekierką niech wali we wszystkie, choćby najstarożytniejsze bożyszcza głupoty i przesądów. A choć za nim ten i ów głos piśnie grzecznem, bo francuzkiem przekleństwem, niech nie zważa na to, robi swoje, a dobrą sprawę swoją odda sprawiedliwej przyszłości. Ta rozsądzi. A jeżeli znajdzie literat koło godnych siebie słuchaczy, i zdoła jak iskry ożywcze rzucić w nich prawe myśli swoje — toć z takiego koła ludzi stanie się salon prawdziwy, salon jakich potrzeba.

Ale uważam, żem się rozgadał niepospolicie, a to wszystko, aby jakoś wytlómaczyć i dowieść, że do powieści naszych należy już raz wpuścić nietylko salony i szlacheckie dwory, które już znamy na wskroś, ale i ulicę i przedmieścia i chaty wieśniacze. Niech wystąpią w powieści prócz fraków, wszystkie kapoty i sukmany, niech zagwarzą swoją mową i mieszczanie i wieśniacy, ludzie rzemiosła i pluga, i opowiedzą wszystkie swoje stosunki wzajemne i własne położenie, a pokażą wam wszystkie swoje zadawniałe rany towarzyskie, które co dzień więcej się jątrzą. Może też zdybując te dotąd niezwyčajne figury w powieści przyzwyczajmy się do widzenia ich, i nie będziemy już nosów kręcić na widok takich ostatnich stworzeń, od Chama nie od Jafeta pochodzenie swoje wiodących.

Taka jest myśl moja! czy ją wykonać zdołam? inne to pytanie, któremu talent mój i ludzie, nawet zaprzeczająca mogą dać odpo-

wiedź! Ale gdy przyjdzie — a dla czegoż przyjsć nie ma? — Człowiek z wyższem od mego talentem, i nim ożywi wszystkie dotąd dla nas nieme i martwe sceny warsztatów rzemieślniczych, dworów przedmiejskich, małomieszczzańskich i księzych, chat wieśniaczych, i wprowadzi na scenę działań cały lud z jego mową, myślami, chęciami i potrzebami; wówczas dopiero powstanie prawdziwa powieść narodowa, o jakiej marzą i gwarzą dzisiaj, a osiągnąć jej nie zdołają temi wszystkimi szlacheckimi powiastkami, jakimi nas tylko obdarzają dotychczasowi powieściarze nasi.

A teraz przeprosiwszy łaskawych czytelników moich za epizod, który mimowolnie z pod pióra mego wypłynął, wracam do dalszego ciągu powieści.

Nazajutrz po wieczorku pana Karlińskiego, a wieczorek przeciągnął się aż do drugiej w nocy, o dziesiątej jeszcze z rana pozasuwane firanki świadczyły o głębokim śnie, w jakim panowie i słudzy spoczywali po ważnej a ciężkiej pracy nocnej.

Pułkownikowa chrapiąc po wojskowemu, marzyła o trzydziestej szklance ponczu, która ją ledwie z nóg zwalić zdołała.

Karliński ciągnął przez sen dukaty przed siebie, a wszystkie na wielki kamień, nieobrzezane.

Pan Alfred najniespokojniejsze miał sny; rzucał się po łóżku, krzyczał, wołał pomocy. Dusiły go myśli dzienne, przeistoczone w nocne mary. O! gdyby potworne myśli, żądze i chęci, które przez dzień po nie jednej ufryzowanej młodej głowie biegają tak tajemnie, że się nawet na twarz żadnem skrzywieniem nie pojawią; gdyby wszystkie żywymi w nocy stały się potworami, i urzeczywistnionem swej wartości brzemieniem układały się na spiącego, niejeden wczoraj tak słodko uśmiechający się salonowiec, padłby ofiarą własnych namiętności zjadliwych, które tak łatwo rodzi próżniactwo, niczem nie nasycone przesylenie i gorsza nadewszystko lekkomyślność głowy i serca.

O obudzeniu się pułkownikowej i starego Karlińskiego nie będziemy się rozpisywać. Pułkownikowa obudzi się, by się znowu upić; stary Karliński, by się fryzować, pletek kamerdynera słuchać, dobre dukaty przemieniać na kulfony, które, odbywszy kilka wizyt, puści znowu wieczorem między ludzi, zarabiając tym sposobem co dzień niezłą sumkę, i ciesząc się niepospolicie dowcipnym tym pomysłem. Alfred najróżd się obudził, a gdy mu repetier wydzwonił dziesiątą godzinę, zawołał służącego, zerwał się, zaczął strasznie mrużyć na ten czas, którego mu zawsze brakuje do ważnych zajęć dziennych. Rzecz to jesi ciekawa i warta zastanowienia, jak ci salonowi próżniacy zawsze mało czasu mają. Cały dzień nic nie robią, niczem się nie zajmują, żadną potrzebą życia się nie troszczą, nic nie czytają, bo pan Bóg nie na to ich stworzył; a przecież czas im nie wystarcza, i każdy niemal z nich wieczorem utyskuje.

— „Nie byłem dziś u księżnej, chociaż to był jej dzień... ale czasu... czasu nie miałem. Znowu dzisiaj trzy wizyt zapomniałem... i to szczególna rzecz, już od tygodnia ani chwili czasu nie mam. W teatrze ledwie pół godziny zabawić mogłem, bo czasu nie miałem.

Imaginuj sobie mój przyjacielu, na koniu dziś nie jeździłem, ot tak jakoś czas przeszedł, że czasu nie było. Co to za nudny ten stryjaszek ze wsi; dwa tygodnie już w mieście, i co dzień mnie wzywa do siebie; a tu choć płacz, czasu nie wystarczy... gdybyż jeszcze był bogaty, i nie miał takiego mnóstwa dzieci...“

A proszę uważać jaką minę zajęta ma po obudzeniu pan Alfred; jak się niby spieszy i niecierpliwi, jakby losy Europy spoczywały na pustej jego głowie.

Ba! to nie żarty! on myśli!

A jużci myśli, jak się tu ubrać, a do tego trzeba ułożyć plan całego dnia, by wiedzieć, czy pierwszej pójdą wizyty, i jakie; czy może na koniu pierwszej się pojedzie, a może w powozie; a tu znowu wypadaloby wpaść piechotą na pewną boczną ulicę. Jakże to wszystko pogodzić jednym ubiorem, lub na jakie godziny rozłożyć przebranie się.

I!... to nie żarty!... zadumał się i marzy.

A jużci дума i marzy nad barwą kamizelki i chustki, bo to barwa wiele znaczy, i nie codziennie się jednakowo wygląda; a więc trzeba pomówić z zwierniadłem, czy dzisiaj ciemna czy jasna barwa ma przeważać w stroju.

Aha!... to coś ważnego!... zmarszczył czoło niepospolicie.

A jakże nie marszczyć czoła, kiedy ten przeklęty krawiec zostawił jakiś fałd zbytuczny na spodniach, który tak problematycznie obsłania łytki.

I!... to sęk!... surowa powaga osiadła na twarzy.

Alboż to nie sęk, jak zawiązać dzisiaj chustkę... żeby to jakoś niby od niechcenia, a zgrabnie i przecież oryginalnie... ten koniec za długi, niszczy efekt wyłożenia kamizelkowego; koniec za krótki nadto odsłania batystową koszulę: „c'est mauvais genre!“ Równie końce! a pfe!...

Ot i dwunusta dochodzi!... a to niedziela; trzeba by zajrzeć do kościoła, by kogoś zobaczyć i komuś się pokazać...

— „Sacré nom!“ wrzasnął do siebie.. „u Kamilli być muszę... Walenty fraka! fraka! Fraka!“ sam sobie odpowiedział, „fraka przed obiadem?“ i ogładnął się w pół zarumieniony, czy go kto nie dośłyszał, i uśmiechnął się.. i mruknął sobie pod nosem: „nie głupszego, jak kiedy człowiek zakochany.“

I już przecie na ulicy pan Alfred; rad z siebie dumny powierzchownością swoją i strojem, idzie z nosem zadartym.. idzie piechotą, bo i na cóż zawsze jeździć?

Przemknęła ładna twarzyczka pod skromnym kapelusikiem, a w rękę trzymała książkę do nabożeństwa. Zajrzał jej młody panicz pod kapelusz z tak bezwstydną śmiałością, że biedna przestraszona dziewczyna stanęła paśowa jak poziomka, i pomieszana nie wiedziała, co z sobą robić. Rzucił jej pocałunek powietrzny, porwał w pół jak starą znajomą, chociaż widział ją po raz pierwszy; poświstując aryjkę z opery jakiejś, poszedł z tą pewnością nieporuszoną na twarzy, która odznacza tych panów, przekonanych o wyższości swojej nad resztą śmiertelników. A biedna dziewczyna drżąca i zawstydzona

nie śmiała oczu podnieść na przechodzących, by nie zdybać szyderczego uśmiechu, jeszcze może na twarzy jakiej znajomej. I pytała sama siebie, za co ją od nieznanego taka zdybała hańba.

Pan Alfred tymczasem już zapomniał o tym wysoku swego paniczowskiego sprytu, i w katedrze wystawiał na widok publiczny wdzięki swojej twarzy i ubioru swego i całą wykwintność swoich przesadzonych manierów, z jaką przechadzał się z miejsca na miejsce, poszturkując klęczących, zawadzając patrzącym na ołtarz, przeszkadzając modlącym się nieustannymi ruchami swemi, i z jaką mianowicie, wsadziwszy jedno na czarnym sznurku wiszące szkiełko, w prawie aż do karykatury skrzywione oko, poglądał po wszystkich twarzach kobiecych.

Na wychodnem z kościoła wpadł w środek znajomego sobie a głośnego grona mężczyzn, stojących u drzwi kościelnych, i robiących dziwnie dowcipne uwagi nad wychodzącymi i siadającymi do powozów paniami. Był to rodzaj dysertacji anatomicznej nad pięknoscią nóg i łytek, które się ich oczom mimowolnie pokazywały, bądź przy wsiadaniu do powozów, bądź też u idących piechotą po ogromnym tego dnia błocie.

W tej chwili przypomnieli sobie zgromadzeni, że dzień był nader ważny, o którym niemal nie zapomnieli. Był to bowiem dzień pojedynku pana Kalasantego Dabowskiego i pana Leona Badylskiego. Klótnia między nimi bardzo ważna. Ludwik Bażewski, który był dowcipniem salonowym, rozpowiadał przed panem Kalasantym Dabowskim, który dostawszy niedawno bogate po jakiejś ciotce dziedzictwo, tracił jeszcze parafianstwem, że pana Badylskiego śliczna fryzura na głowie była sztuczna. Dobroduszny Dabowski zaprzeczał, i przysięgał po myśliwsku, to jest na krocie diabłów, że to być nie może, bo byłby przecie dostrzegł tego okiem swoim. A że pan Dabowski, świeżo przesadzony na pole stołeczne, na którym jak na dobrze zagnojonych inspektach, wszystkie dowcipy szybko dojrzewają, zrozumiał, że angielszczyzna niemało w salonach popłaca, więc bez wahania się ofiarował zakład.

— „Dwa pasztety strasburskie i trzydzieści butelek szampana!“ krzyknął.

Propozycja tak szlachetna została przyjęta przez aklamację przytomnych. Lecz jak się przekonać?... w tem sęk.. Dabowski, któremu zostały jeszcze niejaki przypomnienia dawnej śmiałości myśliwskiej, wziął to na siebie. Jakoż przy pierwszym zdybaniu nie długo myśląc, pana Badylskiego tak serdecznie i czule witał, cisnąc do piersi swoich, że gdy przywitanie się skończyło, pan Badylski wyszedł z uścisku przyjacielskiego z głową łysą jak kolano, a fryzura piękna, arcydzieło medialańskie została na guziku rajtrokowym za-gnego Dabowskiego.

Badylski, któremu o honor młodego wieku szło więcej, niż o honor ucziwego życia, a ubytek peruki uważał sa większe uchybienie, niżeli naprzykład policzek, wyzwał Dabowskiego na pojedynek.

Owóż koniec tego pojedynku miał się dziś odbywać w sklepie

korzennym. Zapomniałem bowiem powiedzieć od razu dla zaspokojenia czytelników moich, mających może wstręt do rozlewu krwi, że po długich debatach, do których należały wszystkie wyższości salonowe, zsumowawszy całą ilość odwagi salonowej, zdecydowano się ostatecznie do rozlewu wina, na którym to najczęściej kończą się takie pojedynki salonowych bobaterów.

Zaprawdę niewiele to kosztowało pracy przyprowadzić przeciwników do czulej i braterskiej zgody. Badyłski wyrozumował bardzo logicznie, że lepiej wziąć w policzek jak postradać perukę w obec ludzi, to znowu peruka nie warta życia; wprowadzie dla drugich niepożytecznego zupełnie, ale za to bardzo miłego dla siebie, z powodu kapitalnych pięciu wiosek z czarną ziemią, jakby egipska, z lasami, jakby na Litwie, z stawem, jakby jeziorem, z kamieniem i wapnem, jakby pod górami a z pałacem, któremu równego w dziwnym guście nie zdybać na całej kuli ziemskiej. Pan Dabowski był dawniej wielkim szermierzem; golizna jego i odwaga stały się przysłowiem i postrachem jego okolicy. Lecz odkąd cioteczne dziedzictwo spadło na niego, powiedział sobie—nie głupim!... i odtąd pistolety i pałasz dostały emeryturę, a z dawnej odwagi zostawił tylko sobie wielkie wąsy, gruby głos i głośne pokrząkiwanie, idące w parze z marszem potężnym na czole. I jakoś mu to wystarczało, a tym razem pomogło do łatwiejszego i prędszego ukończenia sprawy honorowej. Owóż tego właśnie dnia przez dziwnie sprytną kombinację, a robiącą zaszczyt salonowemu pojęciu o honorze i przyzwoitości, miały się w sklepie korzennym połączyć i pojedynek, w jednym uroczystem śniadaniu, za które kupiec, któremu ta gratyska miała się dostać, dziękując opatrności, błogosławił angielskim obyczajom i cywilnej odwadze tej części młodzieży swojego miasta. A co nawet uważał za terno loteryjne, śniadanie miało być gotówką zapłacone, bo obaj amfitriony i Badyłski i Dabowski należeli do płacących w ścisłym i najściślej-szym dla kupca znaczeniu. Ludwik Bażewski, który tym salonowym pasztetem tyle strazburskich pasztetów na jaw wy dobył, nie omieszkał sobie przy tej sposobności wyrobić u kupca jeszcze półroczny kredyt do trzech letniego, który na czarnej tabliczce białą kredą wymalowany wisiał jak memento mori nad biorem kupca.

Nie będziemy się wdawali w szczegółowy opis śniadaniowego bankietu, ani też opisywać wszystkich conceptów i powodzeń, które równie naturalnie strzelały z głów przytomnych, jak szampan fabrykowany w Brodach z butelek prawdziwie szampańskich. Za dalekoby to mnie zaprowadziło. Gdyby bowiem idąc krok w krok za tą częścią młodzieży naszej, chciał opisywać wszystkie ichienne czyny i słowa, urosłaby kronika niedorzeczności większa daleko, aniżeli wszystkie kroniki nasze dawne razem, opowiadające rozumną przeszłość.

Nie mogę jednakże nie wspomnieć jeszcze jednego gościa na tym bankiecie, który się jeszcze pojawi później w ciągu powiastki mojej. Niemała była to figura w mieście.

Niejednemu z czytelników moich trafiło się zapewne, że gdy właśnie zamknął się u siebie, by coś przeczytać, oddać się myślom lub domowym uczuciom, wszedł do niego nagle człowiek nieproszony,

którego znasz wprawdzie, aleś go się zupełnie nie spodziewał. Zdzwoniony patrzysz na niego, czekasz zapewne, by ci odkrył powód swego przyścia. Nadaremnie czekasz; gość twój nie ma żadnego do cię interesu; on tylko nudzi cię dzień cały, i od domu do domu, od sklepu do sklepu, od salonu do salonu, przenosi siedlisko nudów, które w nim się gnieźdzą i z niego się wylewają na około zaraźliwym ziewaniem, rozmową mdłą, urywanemi monosylabami prowadzoną i długochwilowem milczeniem, które nie jest skutkiem namysłu jakiego, ale czezości, wszystkich w rozpacz wprowadzającej.

Każde miasto ma takiego nudziarza uprzywilejowanego. Będzie to najczęściej niezły człowiek, który nudzi wszystkich, bo sam biedak wiecznie się nudzi. Zalezie wszędzie, goniąc za zabawą, i wszędzie się nudzi i drugich wynudzi. Zawsze mu pilno, i zawsze nie ma czasu, a wszędzie go pełno, i wszędzie siedzi nieznośnie długo. By się go pozbyć, tworzysz sobie pilny interes, który cię powołuje do znajomego na drugim końcu miasta. On ci niezawodnie towarzyszy, bo sobie także przypominał, że ma do niego interes widzenia go, po dwunastogodzinnem niewidzeniu. Więc by zniszczył nudy, jakie wywiera jego towarzystwo, układasz wiska. Nudziarz nudzi się fatalnie i w wisku, bo go wisk jak wszystko w świecie nudzi okropnie; rozdaje karty pomału, zbiera karty po jednej, a miesza bez końca; przy zadaniu myśli tak zawzięcie, jakby szło o losy jeżeli nie świata całego, to przynajmniej o los własny; myśli nad królem karowym, chociaż w kartach ma tylko jedną dwójkę karową. A gdy nareszcie zajęła cię już gra, i zapomniawszy na inne myśli, oddałeś się zmianom wiskowym, które umysł poruszają rozmaitością swoją, przy drugim robrze przypomina sobie znudzony nudziarz, że może gdzie indziej zdola się lepiej zabawić, i przeprasza, i przerywa wiska, i idzie o dwa domy nudzić siebie i drugich.

Taki nudziarz wkręci się wszędzie, w najtajemniejsze wnudzi się stosunki, jak mucha uporczywa, którą z zadziwieniem znajdujesz w dobrze zamkniętej cukiernicy. Biegając za wrażeniami nowemi, które oczywiście wymykają się przed nim, jak owe w bajce zaczarowane potrawy, wpada w środek najwięcej ukrytych wydarzeń domowych, i wciska się bez ciekawości, samym ciężarem biernym swej przytomności w najgłębsze tajemnice; a stawszy się uczestnikiem myśli tajemnej, wśrubuje się niezawodnie w wykonanie tej myśli, do którego gwałtem chce należeć, by się zabawić, by czas, tego wroga przykutego doń od kolebki, zabić. Tym więc sposobem wie wszystko, co się stało, co się stać miało, i co się nie stało jeszcze w obrębie towarzystwa, w którym żyje. I to szczęście, że z takimi wiadomościami nie jest wcale niebezpiecznym dla tych, którym pomagał do najtajemniejszych przedsięwzięć, bo leniwy język jego nie pozwalał mu wygadać tego co wiedział, a pamięci nie miał zupełnie. Wrażenia wszystkie żadnego śladu nie zostawiają na mózgu takiego nudziarza a przynajmniej bardzo lekkie.

Podobnym nudziarzem w towarzystwie, które tu wprowadziłem był pan Franciszek Piliński. Był to oczywiście kawaler, z twarzą gładką, przystojną, ale nie tnie znacząca, na której żadnego nie można

dostrzedz wrażenia, tak też i wieku trudno poznać. Pan Piliński był majątny, ale majątek służył mu na to, by się więcej nudził; bo napotrzebowawszy i naużywawszy wszystkiego, co pieniądze dać mogą, przesycał się wszystkim i przekonał się wreszcie, że żadnej rozrywki dla znudzonego umysłu nie może kupić. Zanadto był panem, nadto przyzwyczajonym był do tradycyjnych obyczajów salonu, by szukać ulgi na swoją chorobę po za obrębami tego towarzystwa, które w rzeczy samej jest mdłe, jednostajne, a więc prędko znudzić musi. Czytał więc tylko po salonowemu, a więc mało bardzo, rozmawiał z salonowcami, a więc nie wiele i nie zajmująco. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że gdy nadużywanie majątku nie wyleczyło go od prześladowających go nudów, trzebaby spróbować jeszcze dobrego używania bogactwa. Toby było przeciw wszelkiemu obyczajowi salonów, przeciw podaniom rodu znakomitego, przeciw przyzwoitości nawet pańskiej, każącej zbytkować i trwonić. Czyliż taki pan mógłby się zniżyć aż do klas niższych; taki bogacz pokalać się zbliżeniem się do nędzarzy?... I warto było posłuchać, jak w tym względzie odpowiedział Władysławowi Żyleckiemu, który złudzony tą właśnie jego obojętnością na wszystkie salonów wymysły, pochodzącą z przesycaenia, mniemał, że go można uczuciem i słowy swemi zelektryzować do innego życia.

— „Jesteś straszliwy zapaleniec, mój panie Władysławie;“ rzekł mu z gładkim uśmiechem, „i widzisz wszystko w niewłaściwym świetle; bo zapał, mój panie, to powiększające szkło, a na życie trzeba patrzeć własnymi oczyma. My nie zmienim tego porządku, jaki jest na świecie, na którym będą zawsze bogaci i ubodzy, panowie i chłopci. Niech każdy pilnuje swego zakresu, i dźwiga swoje przeznaczenie. A co do mnie, środek twój jest za heroiczny; mnieby zalały i znudziły na śmierć te tłumy ubogich, żebraków, wdów nieszczęśliwych, sierot opuszczonych, które jakimś tajemnym związkiem są tak z sobą połączone, że ledwie jednego wpuściłeś do siebie i poratowałeś go, już zginąłeś, bo ci się bez końca pchać będą z proźbą i błaganiem; a jeżeli masz tyle cierpliwości, że dasz się nudzić, i dajesz ciągle, bez końca, to jeżeli sam nie zubożesz, to przynajmniej zginiesz pod ciężarem najnudniejszych pochwał, mówiących o wdzięczności, która cię już nie popuści. A te składki nieustanne, loteryje nieskończone, najrozmaitsze koncepta, nad którymi rozmyślają ciągle flantropi i golce, te dwa najnieznośniejsze rodzaje próżniaków. O pieniądzu nie dbam, bo mam ich dosyć, i najlepszy dowód, że się dają okradać przez moich officialistów, chociaż wiem o tem dobrze; ale wiem i o tem, że bogatszego ubożsi widocznie okpiwają i obdzierają.. niech więc kradną... mamże jeszcze roznosić pieniądze pomiędzy nich?... Reputacja mojej nieuczynności broni mnie od tych nudnych napadów starych bab, i wiecznie wódką śmierdzących żebraków. A nawet powiem ci, nie dla tego by chwalić się, bo to nawet panu śmieszem i dziwnem się wyda zapewne, że chętnie daję.

— „Dajesz pan pokryjomu... by nikt nie widział?..“ zawołał Władysław z zapałem.

— „Ja nieraz gubię naumyślnie pieniądze po ulicach... i nawet

znaczne... a snąć sami potrzebni je znajdują, bo dotąd nie czytałem żadnego obwieszczenia o znalezionych pieniądzach.“

Władysław skoczył z miejsca i zagryzł wargi.

— „Ziewasz mój panie!... ot widzisz, że nawet mowa o tem jest nudna, a cóżby dopiero było, gdybym jeszcze chciał w rzeczywistość wprowadzić takie marzenia.“

Takim był pan Piliński siedzący pomiędzy biesiadującymi z postawą zimną, a twarzą, na której obojętność walczyła ze znużeniem.

Nie jest to, moi panowie, obrazek urojony, przesadnie wymyślony; jest to na nieszczęście typ częsty w salonowych towarzystwach, przesyconiem zgangrenowany za życia, jakby ten pijak, któremu zbyt często używana wódka popali wnętrzości. Jest to typ egoizmu, lekceważenia wszystkich uczuć, typ antypostępowy, typ nijakości umysłowej i moralnej, dowodzący zgnilizny tego towarzystwa — trupa. Takiego nie zmienia rady, uwagi, rozumowania, ani też przykłady; chyba burza gwałtowna, któraby go wygnała z miękkiego haremu, między tłumy gminu, gdzie doznawszy wszystkich dolegliwości, jakim podlegają miliony ludzi, możeby się obudził człowiekiem, coby zapewne było korzystnym dla ogółu, lub zginął jak wymęczona mucha, na świeżem powietrzu, czego by była nie wielka szkoda.

Siedział więc Piliński nasz znudzony jak zawsze, i nie mógł się żadnego dosmakować smaku, ani w pasztetach strasburskich, ani w szampanie, chociaż drudzy biesiadnicy chwalili i jedno i drugie, trzeba zaś wiedzieć, że te pochwały nie tyle gruntowały się na prawdzie; smak bowiem tych panów był nadto już zużyty, by go pasztet lub szampan mogły jeszcze podrażnić — ale na próżności właściwej wszystkim salonowcom, próżności tak wielkiej i tak śmiesznej, że jej pochlebia używanie tego wszystkiego, co drogo kosztuje, a czego klasy niższe używać nie mogą. Franciszek w tym względzie był szerszy tylko. Owóz byli już przy końcu trzeciego czy czwartego pasztetu, a przy początku trzeciej dziesiątki szampana, gdy jak to zwykle bywa pomiędzy takimi biesiadnikami, rozmowa przebiegłszy plotki salonowe teatralne, i zdarzenia stajenne, wpadła na kobiety i rozmaite tych panów miłostki, z których oczywiście mogłaby urosnąć kronika skandaliczna najobszerniejsza i najbajeczniejsza: bo w tym względzie kłamstwo należy do tonu i konieczności zawodu salonowca.

Z większą uwagą zaczął się znudzony Franciszek przysłuchiwać tej rozmowie. Bo on jakkolwiek wszystkim przesycony, w miłostkach szukał jeszcze rozrywki, a nawet płacąc hołd konieczny próżności, lubił uchodzić za wielkiego uwodziciela płci niewinnej. Jego uwodzicielstwo ograniczało się oczywiście na niemałym wydatku pieniędzy, któremi kupował krótkotrwałe miłostki. A i to go zaprawdę tak nudziły mocno, że często bardzo wolał drogo zapłacić, by próżności swej dogodzić, niżeli użyć, by dogodzić przesyconym zmysłom swoim.

Kłamali więc wszyscy tak zawzięcie, iżby, jak to mówią, wółowej nie starczyło skóry, a najpotężniej kłamał Aleksander Teżycki, który miał reputację Napoleona w sztuce uwodzicielskiej. A prze-

biegłszy salony i kulisy, raczyli się zniżyć do świata garderób i przedmieść.

— „Słuchajcie panowie!“ wołał głośno Teżycki, „ja wczoraj wieczorem zrobiłem odkrycie... ale powiem wam odkrycie czegoś ślicznego, nowego...“

— „Mówże, mów Kolumbie!“ przerwał dowcipny Rażewski.

— „Piękność powiadam wam niepospolita, godna pierwszego salonu; a przytem skromność, jakiej już dawno szukam.“

— „I nie znalazłeś jej tam oczywiście biedny Diogenesie.“

— „Ale gdzież to cudo znalazłeś?“ zapytało kilka głosów.

— „Na przedmieściu, i to na najdalszem...“

— „Cóż u diabła tam robiłeś?“ zapytał jeden.

— „Na którym przedmieściu?“ zapytał młody Karliński, z wyrazem niezwyklej ciekawości.

— „W pół drogi do wieczności, moi panowie... niedaleko cmentarza.“

— „Koło cmentarza!“ zawołał pan Alfred i zerwał się z krzesła.

— „Cóż ty znowu wędrowki odbywasz po cmentarzach, mój Olesiu?“ krzyknął Kazimierz poprawiając fryzowane włosy swoje.

— „Wybiegłem wczoraj od ojca twego Alfredzie, i poszedłem do jednej poczciwej starej niewiasty, mieszkającej na przedmieściu, z którą miewam czasem rozmaite stosunki, i tam zdybałem tę piękność przedmiejską.“

— „I cóż? zapytali.“

— „I nic!“ odpowiedział.

— „A to pocieszne!“ wrzeszczeli popijając szampanem.

— „Nasz Napoleon wrócił bez zwycięstwa.“

— „Zwycięstwo odłożyłem tylko.“

— „Wątpię by ci się udało!“ zawołał młody Karliński, który od niejakiego czasu przysłuchiwał się z uwagą i niemałemi oznakami jakiegoś szczególnego wzruszenia.

— „Zkądże ten zapał, mój Alfredzie?...“ zawołał Aleksander, ciekawe wypatrując na niego oczy.

— „Czy znasz ją?...“ zapytało kilku razem.

— „Nie! nie!.. ja tylko myślę, że nie wszystkie kobiety zwyciężyć tak łatwo, jak się zdaje naszemu Napoleonowi.“

— „Ha! jeżeli ją nie znasz, więc cóż cię to obchodzić może?“

— „On ją zna!“ zagadał Franciszek, którego twarz obojętna zarumieniła się z lekka.

— „Nie wiem o czym mówicie!“ odpowiedział Alfred, i mimowolnie zmieszanie swoje starał się zalać gestami kielichami.

— „To ta mała być musi! przypominam sobie Alfredzie, ową scenę, w której i ja odgrywałem rolę“ powiedział znowu pan Aleksander.

— „Ha! ha! ha!“ roześmieli się wszyscy. „Alfredzie, cóż ty na to?... opowiedz nam Olesiu te scenę, w której grałeś rolę zapewne znudzonego człowieka.“

— „I bardzo znudzonego...“

— „Niema co opowiadać!“ zagadał znowu Alfred pijany.

— „Przynajmniej mnie powiedzcie,“ przerwał Aleksander; „abym wiedział jak sobie postąpić; chyba że chcesz bronić praw swojej własności.

— „Niczego bronić nie myślę... pijmy i kończmy, bo przecież mamy wszyscy podobno być dzisiaj wieczorem u pani Raińskiej.“

— „Więc odstępujesz!...“ zapytał znowu Aleksander.

— „Odstępuję, odstępuję, kiedy chcecie, chociaż niech mię diabli porwą, jeżeli wiem, o co wam idzie“ mówił Alfred głosem niby wesołym.

— „Jeżeli odstępujesz!...“ ozwał się Franciszek „to mnie należy się pierwszeństwo.

— „Tobie?..“

— „Taki przynajmniej był układ między nami.“

— „Panowie to nie żarty!“ zawołał głosem grubym jak trąba pan Kalasanty Dabowski — „kiedy się nią zajął nasz Franciszek.“

— „Ależ widzicie, że on żartuje... pijcie... szkoda czasu.“

— „Ja serjo powiadam... wszak przecie przypominasz sobie...“

— „Dobrze! dobrze!“ zaszeptał do niego Alfred; „ale ciszej, bo już ci nie chcę, by słyszeli te półgłówki.

— „Więc już cię znudziła?“

— „Ale najmocniej, i chętniebym ci ją odstąpił...“

— „Nic nad to łatwiejszego!“ odpowiedział Franciszek, który zwykle, uporeczywie gonił za każdą nadzieją chwilowej, nowej rozrywki jakiej.

I odszedłszy na bok, poszeptali między sobą.

— „Patrz biedny Olesiu, robią układy między sobą; zniszczone piękne projekta twoje.“

— „Więc zgoda!“ szeptał Franciszek.

— „Zgoda!“ odpowiedział Alfred...

— „Dziś wieczorem?“

— „Niezawodnie.“

I jeszcze pili, gwarzyli i śmieli się, a wreszcie rozeszli się w różne strony.

Nie będą krok w krok za nimi chodził, i spisywał dzieje ich całodzienne, w których się mieszczą wszystkie sposoby używane przez próżniaków miejskich, aby czas zabić. Chodzenie bez celu po ulicach, zaglądnienie do sklepów bez chęci kupowania, ale zawsze z fantazją; wizyty, na których i sami siebie i drugich nudzą; kawalerskie pogadanki z cygarem lub cybuchem w ustach; wisk narzeczcie, którego potrafili przerobić na szaloną grę hazardową, i inne tym podobne rozrywki, pominawszy trudnienie się pocztą plotkarską... i czyliżto warto wszystko opisywać?..

Zostawiwszy ich na chwilę aż do zdybania się z nimi na wieczorku u pani Raińskiej, zobaczmy, co też piękna Kamilla w czasie swych śniadań robiła. Ranek bogatej piękności jest wyłącznie poświęcony modom i nabożeństwu, które w najlepszej zgodzie następują po sobie i nie znając się nawet z sobą; później następuje wędrowka po sklepach, która często ukrywa inne tajemnicze wycieczki, o których ani zamarzy żadna twarda głowa mężka.

I tak wszyscy widzieli, jak pięknym powozem o jaskrawie pomalowanych herbach, wyjechała panna Kamilla z dodatkiem panny L'oison, która, jak to sobie sama powiedziała, z guwernantki stała się poufnicą i totumfactą dawnej wychowanki swojej. Powóz był i tu i tam, przed kościołem i różnemi domami, aż nareszcie zajechał przed katedrę. Furman drzemał spokojnie na koźle i ani się domyślał, że w katedrze ani słychu o jego pani. Ona wymknęła się tymczasem innemi drzwiami, i zarzuciwszy zasłonę na twarz, przebiegła o kilka kroków dalej do pani Rowoskiej, niemłodej już pani, ale wielce miłośniej dla młodych, którym czy przez pamięć na młodość własną, czy przez czyste amatorskie zamiłowanie, pomagała do intryg rozmaitych.

Tym razem z wielką biedą i niemałym wydatkiem dowcipu, udało się pani Rowoskiej sprowadzić pana Władysława Zyleckiego, który do pani Raińskiej choć wezwany przez Kamillę, przyjść nie chciał żadnym sposobem.

Owóż gdy panna L'oison w kąciaku kościoła modlącą się miała postawę, a pani Rowoska z córką nie zbyt piękną, ale za to zbyt starą panną Marianną rozmawiała najmoralniej o zepsutych obyczajach wieku, w którym tak jest trudno złapać jakiego choćby wiejskiego głupca na zięcia; pan Władysław tymczasem przechadzał się po salonie, oczekując na gospodynię, która, jak mu lokaj oświadczył, zaraz nadejść miała.

Jakoż otworzyły się drzwi, i weszła piękna Kamilla, śliczniejsza niż kiedy w czarnym stroju, który przez wzgląd na wielki tydzień wdziała na siebie. I zbliżywszy się bez żadnego pomieszania do dawnego kochanka swego, który zadziwione wypatrzył oczy, zagadała do niego:

— „A więc zdybujemy się przecie sam na sam...”

— „Aby się pożegnać,” odrzekł Władysław rumieniąc się z lekka, i porwawszy za kapelusze zwrócił się ku drzwiom.

— „Władysławie! ani chwili nie masz dla tej, której tyle razy wieczną miłość przysięgałeś?”

— „Przysięgałem... lecz istocie moich głupich marzeń... nie tobie pani.”

— „Dziecko jesteś panie Władysławie... i nie rozumiesz świata i jego wymagań... ja mogłam być kochanką twoją... ale żoną być nie mogłam. Gniewaj się więc na świat, ale nie na mnie, która szczerze cię kochałam... i jednego tylko słowa czekam twego... jednego czulszego słowa Władysławie... by... kochać cię jeszcze.”

— „Tego słowa nie powinna żądać przecie odemnie przyszła małżonka Karlińskiego.”

— „Byłam przecie pierwiej twoją, mój Władysławie!”

— „Czy nic więcej nie masz mi pani do powiedzenia!..“

— „Więc sam tego chcesz panie Władysławie, byśmy się w taki sposób rozeszli... dobrze więc... Ja inaczej myślałam, i zdało mi się, że po takiej przeszłości było powinno coś więcej zostać...”

— „Nic prócz pogardy.”

— „Pogardy! pogardy! i zawsze pogardy!” zawołała głośno

Kamilla, a oczy jej zaiskrzyły się złowrogo: „mnie mój panie twoja pogarda trudniej dosięgnie, niżeli ciebie moja nienawiść, jeżeli mię przymusisz, bym została wrogiem twoim...”

— „Mów pani dalej... ten ton jest ci naturalniejszy, niżeli ten, którym zaczęłaś rozmowę.”

— „Kończmy więc... ja proszę o listy moje wszystkie.”

— „Tych już odmówiłem... i odmawiam raz jeszcze.”

— „Czyż pan chcesz użyć ich jako poeta do wierszów lub powieści?”

— „Ja jestem poetą prawdy, ale nie fałszu.”

— „Tem mniej są panu potrzebne listy moje.”

— „Ja je zachowam jako rękojmię... abyś pani lepszą żoną była niżeli kochanką.”

— „To jest szyderstwo...”

— „Nie Kamillo!... ja będę czuwał nad tobą, byś się nie stała żoną występna... i dowiem się... a w takim razie biada tobie... listy staną się publiczne... rozgłoszę je przed światem.”

— „Zkądże taka opieka nademną?...”

— „To nie opieka, ale zemsta moja cała... zemsta śmieszna, nieprawdaż?... zwyczajnie zemsta poety!”

— „Spodziewam się, że to są żarty...”

— „Mylisz się pani! jest to moje niezmiennie postanowienie. Ty choć jedna z salonowych zalotnic rozwiązłych zostaniesz skrepowana łańcuchem powinności, ukutym z własnego grzechu twego. Będzie ci to srogą karą!... bo wam lepiej podobno nie żyć, niżeli nie grzeszyć... i pamiętaj, że mnie nie zwiedzisz, ja cię krok w krok śledzić będę... i nie ukryjesz się przedemną; wasze salony nadto przezroczyście, a wasi kochankowie nadto gadatliwi i chępliwi... jeden krok fałszywy.. a listy... te listy, które znasz dobrze, pójdą w świat.”

— „Nie wiem prawdziwie, czy mam to brać za śmieszność czy za szalenstwo?”

— „Bierz za co chcesz, ale niemniej przeto niecofnione słowo moje... Więc mniemałaś, że bezkarnie wolno ci będzie igrać z szczęściem mojem, że za bezgraniczną miłość moją, w którą wlałem wszystkie myśli, żądze i uczucia moje, dasz mi kilka chwil fałszywej rozkoszy... i porzuciwszy mnie... rozwiązała i bezwzydna kobieto, będziesz z rozpusty przelatać do rozpusty. Nie, moja panno, ty musisz być ucziwą żoną... chociaż ten Karliński godny byłby ciebie... takiej, jak widzę w oczach twoich, żebyś być chciała... Za moje marzenia wszystkie, zbrukane, poniszczone przez ciebie, ja się mszczę godnie, ja się mszczę przymuszając cię do życia cnotliwego, które bodajby przez zwyczaj przeszło w prawdę. Bądź pani zdrowa!...”

— „Jeszcze jedno słowo, panie Władysławie... wiadomość, którą ci napisałam z zagranicy, była fałszywą...”

— „Co mówisz?”

— „Dziecko nie umarło!”

— „Żyje!... więc jedno kłamstwo więcej dodałaś do tylu katuszy moich?...”

— „A więc chcesz go sprzedać za listy... matko!... która się boisz, bym ci nie pozwolił zostać fałszywą żoną?...“

— „Za listy!“ przytłumionym głosem rzekła Kamilla spuszcza-
jąc oczy w dół.

— „Idź więc w zepsucie i nierząd, kobieto bez uczucia... teraz prócz pogardy zyskałaś obojętność moją... to zemsta, to kara dla ciebie, to był ostatni głos serca mego, który ciebie tłómaczył... wychowaniem złem... przykładami... Głupie serce... głupia miłość!... precz!..“

— „Mniejsza o to... ale listy, mój panie!..“

Zarzućmy zasłonę na resztę tej sceny, w której oczywiście na końcu matka sprzedała dziecko swoje za prawo zostania zepsutą i rozpustną.

Pospieszajmy z końcem tego dnia, byśmy jeszcze na jakie nowe, równie piękne rysy życia nie natrafili, które, aż smutno powiedzieć, w tym lub owym kształcie często się zdarzają i niepostrzeżone przemykają obłonione blaskiem zewnętrznego poloru, który jest tą jasną przezroczystą zwierciadlaną powierzchnią, kryjącą niezgruntowane przepaści. Któżby domyślał się z gładkiej uśmiechającej twarzyczki Kamilli, wychodzącej z kościoła, że między pobytem pozor-
nym w bożej świątyni, a wizytami, na które pogoniła, odbyła taką scenę moralnie okropną? W temto właśnie sztuka oglądy, tak doskonałe gładzącej wszystkie twarze swoich mieszkańców, że z ich swobodnej powierzchowności, nie odgadniesz tego całego dramatu cieniującego się od wad i głupstw aż do zbrodni, jakie się odbywają po za widownią świata.

A więc dalej jak mówiliśmy były jeszcze tego dnia wizyty pań postrojonych; poufne ich pogadanki między sobą, słusznie odbywane przy dobrze zamkniętych drzwiach; a śniadaniowi panowie między drzemką i przebraniem się gotowali się na wieczorek pani Raińskiej.

Spisywać wszystkich rozmów nie myślę, chociażbym tym sposobem mógł do roku więcej natworzyć powieści, niżeli Aleksander Dumas, który przecie dwadzieścia tomów na rok wysypuje z swej czarodziejskiej pracowni. A to dla tego, że nie chciałbym drwić sobie z czytającej publiczności, którą wstydzilibym się obdarzać prózną plewą lekkich i nietreściwych a nudnych rozmów tego towarzystwa.

Może to tam w takim samym świecie Balzaka, Dumasa i innych powieściarzy paryzkich inaczej idzie, ale u nas, jeżeli kto z czytelników miał kiedy sposobność przysłuchać się rozmowie większej części tego towarzystwa, przyzna za mną, że ów dowcip, ta lekka i przyjemna rozmowność, o której tyle bredni napłotą zawsze sprzyjające temu towarzystwu pióra, mają najniesłuszniej przywłaszczoną reputację, ledwie niesłuszniej jeszcze jak kiełbasy zbarazkie i wielki w małym ciecie Filidor Mrugałski. Rozmowa ta przynajmniej, o której ja tu mówię, składa się po większej części z ogólników i wykrzykników, które dają się wszędzie jednakowo zastosować, czy do przedmiotu wzniosłego czy do niskiego, które oczywiście nikogo nie kompromitują i nie dowodzą, a któremi mówiący oblatują tylko przedmioty wszystkie jakby muchy naprzykład, i jakby muchy popstrzą ją tylko,

A że te ogólniki, przetłumaczone znowu na francuzki język, brzmią oczywiście inaczej, ztąd powstaje niejaka rozmaitość, której całem bogactwem i całym dowcipem jest gonitwa za dwuznacznością: a jeniałością jest cieniowanie tonu i gestów w rozmowie, których sprytne zastosowanie do przedmiotu, zastępuje doskonale i dla mówiących i dla słuchających, zupełny brak prawdziwego dowcipu.

Obdarzeni jednakże laską czarodziejską, która czyni niewidomy, a najcichsze szepty wiernie uchu oddaje, przejdźmy się trochę i posłuchajmy.

Oto siedzi grono pań dosyć skupione w okolicy kanapy głównej, na której spoczywa główny korpus obserwacyjny, złożony z najdoświadczeńszych, rzucających uważnie oczy na wsze strony. Po obu skrzydłach głównego korpusu rozstawiły się lepsze zastępy niewieściego wojska, które naprzód krytycznemi spojrzeniami na stroje własne i sąsiedzkie rzucanemi, chce powziąć przekonanie zdrowe o własnych siłach... Wnet zaczyna się forpocztowa wojna spojrzeń wyzywających, uśmiechów zalotnych, rozmów haczących. Frakowe wojsko zbliżyło się, wzmaga się utarczka; szeregi się rozdzielają, łamią i mieniają; szczególne walczących pary odskakują w zapale, szermierząc z całą zawziętością, aż póki w drugim kącie pokoju, a czasem w którym z przyległych pokoiów nie zakończy się walka zwycięstwem, lub rozejmem.

Taki był mniej więcej ogólny widok towarzystwa pani Raińskiej. Teraz zbliżmy się do pana Alfreda, który pobladły i zmęczony, zapewne od śniadania jeszcze, przyszedł późno i oparty o framugę okna patrzył obojętnie jak strojna Kamilla wyglądała jakby kwiat różnobarwny, wystający z czarnego wazonu otaczających ją czarnofrakowych motyli.

— „Marzysz Fredziu!“ zagadł pan Leander Prubka, który przy głównej kanapie zrzuciwszy ciężar żony wprowadzonej przez niego, bujał swobodnie po pokoju, i z głową zadartą do góry a tupetem włosów w wieżę ufryzowanych, sztukował jak mógł swoją małą figurkę.

— „Nie marzę ale odpoczywam.“

— „Na mirtach!“

— „Jeszcze nie.“

— „Ale jak słyszymy, ma to wkrótce nastąpić?“

— „Dzisiaj podobno ma ta nie nowa dla nas nowina wylecieć od pani Raińskiej.“

— „Więc tedy wchodzisz biedny Fredziu pod nasze sztandary?....“

— „Zdajesz się mnie żałować?...“

— „To nie!..... ale ostrożności mój Fredziu!..... przebiegłości..... bo....“

— „Bo?... nie rozumiem ciebie... czyżbyś co wiedział?“

— „Nie wiele.. i nie powinienbym ci to może mówić... ale wolę byś się dowiedział od przyjaciela... nieprawdaż Fredziu?“ dodał pan Leander, patrząc złośliwie na wyraz twarzy przyjaciela.

— „Mów jeżeli chcesz!...“ odpowiedział Fredzio z półziewnieniem.

— „Czy znasz Władysława Zyleckiego?“

— „Gołego poetę!... bywa u nas.“

— „To był najbliższy sąsiad panny Kamilli na wsi.“

— „Był!... wiem o tem.“

— „I zasłyszałeś coś o romantycznych przypadkach i przechadzkach po łądzie i po wodzie?“

— „Cóż mi do tego! co mi do przeszłości... dla mnie przyszłość!“

— „Zapewne! ale i z przeszłości zostają czasem ślady...“

— „Dla ludzi głupich, mój Leandrze.“

— „Jesteś jak uważam filozof!...“

— „Powiedz mi szczerze, gdyby ci w przeddzień ślubu, twój serdeczny przyjaciel rozpowiedział, że twoją narzeczoną, która tam teraz w drugim pokoju znika po za herkulesowym Dabowskim... że na przykład, przed twoją znajomością jeszcze, miała romans z Dabowskim, czybyś był nie wziął z nią ślubu?“

— „Moja żona ma piętnaście tysięcy dochodu rocznego.“

— „A moja narzeczoną ma dochodu dwadzieścia i pięć tysięcy.“

— „A zapewne!“ cienie nieco pisał pan Leander Prubka, i przekonany zupełnie, poszedł do drugiego pokoju szukać żony, schowanej za parawanem sążnistego Dabowskiego.

W drugim kącie z słodkim uśmiechem na ustach a wielkim bukiem pod nosem, stała szeroko uwatowana i grubo narużowana pani Raińska rozmawiała z starym panem Karlińskim, stojącym naprzeciw niej z równie grzecznym uśmiechem, uprzejmem spojrzeniem, spuszczonej skromnie i figlarnie na złoty łańcuszek od zegarka, który lekko przewracał w palcach.

— „Pan się omyliłeś!“ mówiła pani Raińska, wyszczerzając z wesołością czarne zęby.

— „C'est votre memoire madame, qui est en default,“ odpowiedział żartobliwie pan Karliński, „quand on a encore la memoire de coeur, il est bien permis d'oublier tous ces interets d'argent.“

— „Vous etes fastieux mon vieux ami...“ ale ja pamiętam doskonale...“

— „Je peux être votre vieux ami: ale z sercem zawsze młodem.“

— „Przestań! przestań żartować,“ odpowiedziała gospodyni, uderzając go wachlarzem po rękach... „ja wiem z pewnością, żeśmy się umówili o dwadzieścia tysięcy, zapłaconych z góry... przed ślubem.“

— „Tak jest... i ja na to przystałem... a zapewnienie tej sumy jest tu w ręku mojem... przyjm go pani łaskawie... „et cessons d'en parler,“ bo patrzą na nas.“

— „To nie nie szkodzi... nous sommes hors de regle...“ będą myśleć, że mówimy o naszych „tempi passati...“ a prócz tego re-

czyłeś mi, panie Karliński dobrodzieju, „une rente viagère“ dwóch tysięcy.“

— „Wierz mi pani...“

— „I wymazanie długu, jaki nieboszczyk mąż mój był winien ojcu Kamilki.“

— „Ależ dług ten wynosi, jeżeli się nie mylę...“

— „Dziesięć tysięcy pięćset.“

— „Chciej kochana pani uważać...“

— „To moje ultimatum, „mon cher ami.“

— „Mais ma bonne amie...“

— „Inaczej małżeństwo będzie zerwane.“

— „Panna Kamilla kocha mego syna.“

— „Teraz widzę, że pan jeszcze młody, kiedy wierzysz w miłość.“

— „Madame, quand je vous regarde.“

— „Pan Kalasanty Dabowski, którego fortuna jest czysta, bardzo czysta..., oświadczył mi się o rękę Kamilki...“

— „Ależ panna Kamilla nie chciałaby tego grubego kloca?“

— „Pardonnez moi;“ Kamilka ma rozum, „elle est pour le solide... c'est un bel homme.. et fort comme un hercule.“ Ha! ha! ha! Jedno słowo moje... a Dabowski będzie mężem Kamilki.“

— „Vous plaisantez chère amie.“

— „C'est selon... moje ultimatum zatem.“

— „Przyjęte, przyjęte droga pani moja.... „vous êtes irresistible!“

A w kilka minut potem, gdy pan Alfred zdybał się z Kamillą, zaczęła się między nimi najczulsza rozmowa.

Kamilla spuściła oczy w dół i zarumieniła się. Naiwna i niewinna dziewczyna zmieszała się, gdy jej Alfred powtórzył swoje miłośne wyznania, a jej wdzięki chwalił słowy francuzkiemi.

Alfred aż się rozrzewnił szczerością własnych wyznań i siłą zapału jaki strzelał z oczów a buchał z ust.

— „Jaka to śliczna będzie para!“ ozwała się pani Raińska, która się po rozmowie z panem Karlińskim wcisnęła w okolice kanapy.

— „Para?“... pytającym niby głosem zapytały się panie z korpusu obserwacyjnego.

— „W maju będzie wesele!...“

Śmier powinszowań ozwał się w około. Stary tylko Karliński poskrobał się nieco w głowę.

Lecz porzućmy salonowe towarzystwo i powróćmy do naszych przedmiejskich przyjaciół.

Dzień się dla nich zaczął daleko wcześniej, bo chociaż niedziela, gmin pracowity nie zwykł gnuśnieć w łóżku; to też o szarej brzaśku godzinie zaczyna się już ruch na przedmieściu; tu i owdzie zabłyśzcą kagankowe światelka, bo i w niedzielę niejedną trzeba dokończyć robotę, która często aż do południa się przeciąga, bo od jej to skończenia zależy czy reszta niedzieli przejdzie wesoło. I dobrze jeszcze spi miasto w miękich puchach, kiedy się już otwierają drzwi przedmiejskich dworców; gospodynie wybiegają do sąsiadek

po ogień, przyczem się cokolwiek pogwarzy o domowych sprawach, i o sąsiednich nieco. Młodsze zaś pokolenie przedmiejskie obojętści w zaniebanych strojach, nie dbając o zimno i słotę, wychodzi z dzbankami i konewkami do niedalekiej studni. Przy nich schodzi się towarzystwo liczniejsze, a pogadanka większego nabiera rozmiaru, w dni powszednie krócej się odbywa zapewne, bo każdy i każda spieszą do swoich zatrudnień, nie bez tego jednakże, by sobie nawzajem coś nie powiedzieli nowego, i uwag swych nie udzielili; ale w dni świąteczne zejście się przy studni, prawdziwym salonie pogadank gminu, ożywia się jaskrawszymi barwami i weselszą przybiera postać. Tu bowiem tajemniejsze zdarzenia całej ulicy wyjeżdżają na plac rozmaicie, a sądowe uwagi, które nie są bez trafności i dowcipu; tu się wiążą i rozwiązują przyjaźne i miłosne stosunki: tu serce bolem jakim przepełnione znajduje ulgę w głośnym wyrzuceniu swoich dolegliwości, budzących najczęściej szczerze współczucie; tu się układają głośne plany do zabaw i zajęć całodziennych i tajemniejsze schadzki; tu nareszcie rozwiązują się pojedynki języczne płci żeńskiej a pięściowe płci męskiej, kończąc się nieraz wylewem chłodzącej zapał wody, z towarzyszeniem głośnego śmiechu, a najczęściej pogodzeniem. To też mimo chłodu, mimo błota, lekką stopą biegną wszyscy do studni i raz i drugi, a mianowicie w te trzy główne dnia epoki: z rana, w południe i wieczór.

Karosz obudził się zwyczajem swoim do dnia, i zmówiwszy pacierz głośno, dobitnie i prędko, pomrukiwał niechętnie. Ależ bo dwie ważne zeszły się okoliczności, budzące niechęć szewca; najprzód darmo próbował wycisnąć kilka kropel rannego trunku z wczorajszej flaszeczki; a powtóre z niemałym oburzeniem postrzegł, że para butów nowiuteńkich stoi w kącie niewyszwarzowana i niewyglansowana.

— „Poczekaj ty niecnoto!“ mruczał szukając szwarcu i szczotki.

Przemowa ta obrócona była do jedynego chłopca stałego, jakiego Karosz posiadał, a który nie tylko że tej nie ukończył roboty, ale na kilkakrotne głośne zawołanie majstra nie pojawił swej zawsze okopconej głowy z kuchenki, na której ciepłym popiele odbywał nocegi swoje.

— „Sprawię ja ci łaźnię!“ ciągnął dalej, plując w ręce szczotką uzbrojone, by mu raźniej szła robota. „Jurku! Jurku! łotrze! darmoziadzie!“ wołał od czasu do czasu.“ Hultaj! pewnie już z lampartami tego mularza gra w piłkę; mruczał znowu chuchając w coraz więcej połysku nabierające buty.“

— „Nie gniewaj się, ojczy kochany!“ ozwał się głos za nim słodki.

— „Tfu! a ty już wstała, czego się tak zrywać, ta to przecie święta niedziela?”

— „Wyspałam się dosyć. —“

Kłamała biedaczka, bo jak świadczyły jej oczy czerwone i napuchnięte, nie spała noc całą.

— „Ja Jurka posłałam do miasta.“

— „A to po co... ha?“

— „Wkrótce przyjdzie zapewne... ja tylko...“ i blade Bogunia lica okrył rumieniem, a oczy zwilżyły się łzą mimowolną.

— „Ależ wy ojczy, czemu nie zważacie na niedzielę?“ przemówiła Bogunia, by odwrócić uwagę ojcowską.

— „Chciałem te buty odnieść koniecznie do tego poczciwego paniska, który mojego Jasia tak kocha... jak to on się nazywa... ta ty go znasz?“

— „Ja go nigdy nie widziałam... tylko nasłuchiwałam się od naszego Jasia o panu Władysławie Zyleckim.“

— „Jaś pod nim służył... wtenczas... kiedyto... pozał się Boże“ mówić o tych czasach, dodał z szczerem westchnieniem.

— „Jaś był podoficerem, a pan Władysław oficerem podobno.“

— „I mój Jaś byłby zginął marnie, i nie byłby wyszedł cało, gdyby nie to poczciwe panisko... który rannego pielęgnował jak brata.. daj mu Boże zdrowia!“ A gdy to odmawiał, miał łzy w oczach Karosz. Ale, ale, przysięgłbym... mówił po chwili, zmieniając ton mowy i wyraz twarzy z tą szybkością zwykłą u gminu, którego wrażenia są silne, ale przelotne“ że się jakaś nowina zdarzy się nam?“

Bogunia westchnęła i pomyślała sobie, czy też Jurko nie przyniesie jej wiadomości od malarza, którego już tak dawno nie widziała.

— „Bo...“ ciągnął dalej Karosz; „śniło mi się, żeś temu drabowi mularzowi, który sobie żartuje zawsze z szewskiego cechu, twarz zamalował pięścią.“

— „Może przyjdzie jaka wiadomość od Jasia, który już dawno nie pisał do nas.“

— „Ale czekajno!“ zawołał nagle Karosz i rzucił but i szczotkę o ziemię; „teraz jak sobie przypominam sen mój cały, można z niego ułożyć całe terno. Bójka, majster mularski, a z boku stał panicz porządnie ubrany, podobno twój malarz, i śmiał się... Podajno mi Boguniu sennik.“

I nim jeszcze Bogunia zdołała się ruszyć, Karosz zaczął biegać i szukać po izbie; wysuwał szuflady ze stolika napelnione dratwą, przewracał poskładane na oknach kopyta; aż nareszcie na przypiecku zajrzał stłuczony garnek z smołą, przykryty jakimś brudnym, zamazanym i zatłuszczonym papierem.

Sennik, to nadzieje i marzenia rodząca książka, źródło tysiąca złudzeń i poezji, którą w najbiedniejszej chacie przedmiejskiej znajdziesz niezawodnie. Porwał Karosz książeczkę w rękę, i mrużąc złowrogie przekleństwa na Jurka, który zapewne tę ważną książkę na tak niegodne użył przeznaczenie, zaczął szukać numerów, jakim odpowiadać miała treść snu jego.

— „Ciągnięcie loterii wczoraj się odbyło;“ zagadła Bogunia, która podlegając także tej przedmiejskiej słabości, próbowała nieraz loteryjnego szczęścia; nie dla siebie, bo biedna dziewczyna daleko była od wszelkiej chciwości, ale dla ukochanego malarza, dla którego jak jej wewnętrzne mówiło przecucie, pieniądze wielkie miały znaczenie.

— „Wczoraj!“ krzyknął Karosz, i uderzył się namiętnie w czoło; „prawda! prawda!... jakie to moje szczęście; takie terno doskonałe... ręczę, że wyszło...“

I zapomniawszy czapki nawet, wybiegł na ulicę z sennikiem w rękę. I niedaleką miał odbyć drogę, by stanąć przed loteryjną kolekturą. Chociażto tak ranna była jeszcze godzina, a ciągnięcie jeszcze wczoraj się odbyło, liczne dosyć zebranie mieszkańców przedmiejskich obojey płci stało przed tablicą, z której czarno malowane numera niememi swemi znakami wyszczerzały się do patrzących. Ale dla nich znaki te były pełne szczególnej wymowności. To też żywa toczyła się rozmowa między przytomnymi; prym w rozmowie trzymała znajoma nam Franciszkowa, zapamiętała miłośniczka loterii, w której przepaść rzucała swoje jak wiemy „per fas et nefas“ zarobione pieniądze.

— „Głupie numera!“ powtarzała po raz dziesiąty.

I większa część przytomnych powtarzała za nią:

— „Trudne numera!“

— „Same wielkie numera!“ mówił maleńki garbaty szynkarz z pod trzech zajęczków.

Trzeba wiedzieć, że dla biednego gminu, dla którego loteria staje się najsilniejszą namiętnością, jedyną prawie nadzieją poprawienia smutnego losu, wszystkie numera, a podług śmiesznego wszystkim tym biedakom właściwego wyobrażenia, numera wielkie są trudniejsze od małych.

Z boku stała biedna trzęsąca się od starości i zimna staruszka, sprzedająca owoce i pierniki pod posągami przenaświętszej panny, i okropnie smutnie wypatrzyły oczy na tablicę loteryjną. Biedaczka marzyła o tylu latach przepędzonych na daremnej gonitwie za szczęściem loteryjnym, o zimnie i nędzy w ubogiej chacie, o tylu daremnych modlitwach błagających o jedno terno, o tym ostatnim groszu, który wczoraj zaniesła z taką nadzieją do przepaści loteryjnej. I wszystko darmo,

— „Jeden numer trafiłam!“ mówiła cichym głosem, w którym było drżenie głodu, rozpacz i ostatniej nędzy.

— „Za czternście dni może będę szczęśliwsza!“ mruknęła znowu, i zaczęła myśleć, zkądby tu wy dostać pieniędzy na nową stawkę.

Pod samą tablicą dwa trzynastoletnie chłopcy odbarte i blade, po raz dziesiąty przeglądali kartki swoje, a w oczach i w twarzy, którym jeszcze doświadczenie życia nie miało czasu nadać wyraźnego piętna, walczyła chciwość z żalem serdecznym.

— „Znowu nie!“ pisnęli głośno, i z szyderstwem złośliwym wystawili języki kusemu i rudemu kolektantowi loteryjnemu, który przez szklaną szybę drzwi swoich, kpiącymi oczyma przeciągał po zgromadzeniu całym.

— „Łatwe!... bardzo łatwe numera!...“ zakrzaknęła przez nos mówiąca bezzęba żebraczka na kiju oparta. „Dwie trzydziestówki i trzy pięćdziesiątówki.

— „Czemuż nie stawiała?“ krzyknął basowym głosem męż-

czynna wysoki w ceglastym surducie, na którym tu i owdzie pojawiały się źle wytarte białe plamy, zdradzające w nim mularza.

— „Już jabym miała dziesięć razy tyle kamenic, ileście wy postawili, panie Grzegorzu, gdybym stawiała te wszystkie numera, co mi się wysnęły...”

— „Czemuż nie powiesz ich komu...” ozwał się Karosz, który z rodzajem radości przekonał się, że jego terno sennikowe nie wyszło.

— „Nikt nie chce biednej żebraczkę wierzyć.”

— „I nie każdy ma czem stawiać,” ozwał się bas mularza, mrugającego dowcipnie na szewca Karosza.

— „Nie każdemu chce się łązić po ścianach i dachach i tynkować stare i walące się graty.”

— „Lepsze moje tynkowanie, niż wasze łatanie starych butów.”

— „Więcej podobno nowych ja zrobił butów, niż ktoś tam nowych wymurował kamienic.”

I kto wie, jak dalekoby zaszła kłótnia między dwoma sąsiadami, kłótnia jak zwykle po przedmieściach z błahego pochodząca powodu, gdyby nie garbaty szynkarz z pod trzech zajazdków, który znał doskonale obydwóch, i wiedział, że te wszystkie ich zatargi, pochodzące z jakiegoś nieporozumienia o płot graniczny między dwoma chatami, a trwające zwykle przez tydzień, kończą się co niedziela w jego własnym szynku.

— „Dajcie no pokój, czarny i biały!” zagadał do nich garbaty szynkarz, sławny na całe przedmieście z dobrze przyrządzanych kiełbas i dowcipu, który niemało przykładał się do wabienia gości. Czarnym zaś i białym zwykł był nazywać szewca Karosza i mularza Grzegorza, stosując tę nazwę do czerności smoły i białości wapna, z którymi mieli obaj do czynienia.

— „A po służbie bożej przyjdźcie do mnie na służbę,” ciągnął dalej kiwając garbem i mrugając małemi oczkami, „będzie dziś u mnie muzyka i pogrzeb...”

— „Pogrzeb ?...” zawołali przytomni.

— „Ale pogrzeb !... pogrzeb, z przeproszeniem uszów... świni! którą zamordowałem wczoraj.”

Głośny śmiech rozległ się w około ; a chłopcy polykali ślinkę poklaskując językami.

— „Nie wiem panie Szymonie, czy będę mógł przyjść,” ozwał się Grzegorz ; gdy tymczasem pocziwy Karosz rachował w myśli całą gotówkę swoją i wszelką możliwą dostania onej.

— „A to dla czego sąsiedzie ?...”

— „Bo ja podobno inny pogrzeb mieć będę w domu.”

— „Jaki ?” ozwało się kilka głosów, i przytomni zbliżali się do Grzegorza z rodzajem politowania, które najszczerzej dzielił Karosz mimo sąsiedzkiej nienawiści.

— „Synowa mi bardzo słaba !”

— „Pocziwa Karolowa !” odezwał się Karosz, i już w tej chwili zapomniał o dawnych zatargach a nawet o ponętnych zaprosinach garbusa.

Bo u ludu serca są bardzo dobre i dotkliwe na wszelkie nie-szczęścia sąsiadów. I ścisnął Karosz sąsiada Grzegorza za rękę, a Grzegorz mówił dalej:

— „I mój Bartek chodzi jak nie swój.“

Karosz spuścił oczy w dół...

— „Zakochał się biedaczysko po uszy w waszej dziewce, ale wy patrzycie wyżej.“

— „Sąsiedzie!“ rzekł Karosz głosem szczerym i podnosząc czoło „Bóg świadkiem moim i przenaświętsza patronka moja, że to nie jest w mojej mocy... a kiedyś zrozumiecie sami to, co wam się teraz dziwnem wydaje.“

— „Niech się dzieje wola boża!“ odpowiedział Grzegorz, „bo dajecie tylko panie majster nie żalowali, żeści wpuścili do was tego jakiegoś gładkiego panicza z miasta... ztamtąd nic do nas dobrego nie przychodzi.“

— „Nie dobrego!“ chórem powtórzyli przytomni, a Karosz z dziwnym wyrazem, wyższym nad stan i pozorne wychowanie, groźnie rzucił oczy ku miastu, i ściśnięte pięści w pół podniósł ku niemu.

— „Przyjdzie kryska na matyska!“ ozwał się garbaty Szymon; „czekam was sąsiedzi! a teraz spieszę, bo moja Margosia gorąco kapana.“

I zaczęli się rozchodzić; kobiety tylko otoczyły żebraczkę, której przez czas rozmowy i ten i ów wsunął kilka miedziaków do ręki.

— „To Wojciechowa!“ mruzczały kobiety między sobą; „ona doskonale sny tłumaczy i z nich numeru układa.“

Zaczęła się długa jeszcze, a wielce zajmująca pogadanka, która Bóg wie jakby długo trwała, gdyby nie był się ozwał głos dzwonka z bliskiego kościołka. Za pierwszym jego zabrzmieniem rozpierchły się kobiety.

— „Już na mszę dzwonią!“ rozszedł się głos między nimi. „Już na mszę dzwonią!“ powtórzyło się po dworkach i chatkach.

Wnet nikogo nie było już na ulicy; nikogo po dworkach i chatkach prócz starców, chorych i dzieci; wszyscy poszli do kościołka, z tą prawdziwą wiarą ludu, której zupełnie wykorzenie nie potrafiły chociaż niepomalu nadwerężyły przykłady zupełnej obojętności religijnej.

Po mszy Karosz wracając do domu zdybał Bogunię, która musiała w domu zostać dla gospodarstwa, którem sama kierowała, biegnącą naprzeciw niemu z listem w rękę.

— „Zgadłeś tatku! przyśniło się... przyśniło...“ wołała z wyrazem radości na twarzy, którą biedaczka kłamała raczej dla ojca, niżeli czuła w sobie.

— „List od Jasia!“ krzyknął Karosz porywając za list. „Czy z poczty przynieśli?... dodał marszcząc czoło na samo przypomnienie, że trzeba zapłacić.“

— „To ja przyniosłem!“ ozwał się głos, wychodzącego z furtki parkanowej Władysława Żyleckiego.

— „I pan tak długo czekał na tatka.“

— „Zagadałem się chwilkę z sąsiadami... a potem człowiek modlił się.“

— „Nic to nie szkodzi! ja na tem zarobiłem, bo poznałem siostrę poczciwego Jana... który... zapomniałem dodać... przysłał także do was...“ I zarumieniwszy się z lekka, włożył szewcowi do ręki jeden najskromniejszy papier bankowy.

— „A to poczciwy chłopiec!“ zakrzyczał Karosz, któremu w tej chwili mimowolnie przyszły na myśl smaczne garbusa kiełbasy i doskonałe jego piwko, które znał z doświadczenia.

Bogunia postrzegła rumieniec na twarzy Władysława, i od razu zrozumiała instynktem szlachetne serca oszukaństwo.

— „Roztrzepaniec! nic nie pisze do mnie, że przysyła pieniądze.“

— „Do mnie tylko pisał o tem!“ odpowiedział Władysław, i zdybał w tej chwili wymowne uczuciem dziękczynnem spojrzenie Boguni.

— „Czytaj Boguniu!... większa połowa listu o tobie... bo to powiada Jegomość, ten Jaś ze wszystkich moich synów najwięcej przywiązany do Boguni... tać to on ją prawie wypielegnował, wypieścił, wychuchał.. bo to było dziewczę chorowite!... a teraz patrz jegomość, jaka hoża i zdrowa...“

Władysław w tej chwili spojrzał na Bogunię, która kulejąc szła z listem do swojego alkierza, i wystąpił na twarzy jego wyraz zadziwienia i politowania. Karosz to postrzegł, zmienił się, łzy mu się zakręciły w oczach, ale porwany mimowolnie siłą wyrzutu sumienia, zakrzyknął głośno :

— „Kulawa biedaczka! to ja jej, przeklęty stary pijak złamałem nogę.“

— „Co też tatko mówi!“ zawołała Bogunia, biegnąc do niego i całując czule w brudną rękę:“ to był przypadek...

— „Nie Boguniu! mnie lżej jak się przyznam do grzechu, który mnie kamieniem ciężyć będzie na piersi aż do deski grobowej.“

Z szczególnem zajęciem człowieka, z duszą i poezią spojrzał Władysław na te dwie twarze szewca i jego córki, dziwnie uszlachetnione w tej chwili uczuciem wyższem, które odznaczało je piętnem prawdziwego szlachectwa moralnego.

— „Ale tatku kochany!“ przerwała prędko Bogunia, „pan łaskawy przyszedł tak daleko piechotą; możeby chciał co przekąsić?“

— „Aj prawda! ja stary głupiec o niczem nie pamiętam; a i buty jegomościne nie wyglansowane jeszcze. Zaraz... zaraz... ja to wszystko przyrządę.“

Darmo się wypraszał Władysław, nic nie pomogło, musiał się zostać. I w krótkiej chwili stanęła przed nim przeniesiona przez Karosza potężna kielbasa sąsiada garbatego, chleb i masło, a oczywiście w dodatku i flaszczyka z doskonałym rozolisem, fabrykowanym na przedmieściu. <http://rcin.org.pl>

— „A teraz chwilę tylko cierpliwości, mój złoty jegomości! buty będą zaraz gotowe; może ten Jurek przeklęty nadejdzie tymczasem, a jeżeli nie, to ja sam zaniosę je za panem.“ dodał nie bez westchnienia, wyciśniętego myślą o wesołem zgromadzeniu u garbatego Szymona.

— „A ty Boguniu! prosz jegomości do śniadania, i rozpowiedz mu o naszym Jasiu, jak on ciebie serdecznie kocha, i jaki on dobry, to jegomości będzie miło słuchać...“

I wyszedł Karosz, a silne jego szczotką machanie odzywało się przez sieni.

— „Mój pocziwy kolega Jan niemało mi nagadał w czasie naszej wojaczki o rodzinie swojej, a najwięcej o swojej siostrzyczce Boguni;“ odezwał się Władysław po chwili, zajęty na pozór śniadaniem, które mu Bogunia podsuwała z szczerą gościnnością.

— „Był on więcej jak bratem zawsze dla mnie: złote to serce naszego Jasia; po śmierci matki i naszej przyjaciółki Tekli, on mi zastępował swoim uczuciem i matkę, i przyjaciółkę i ojca, który nadto był zawsze zajęty niewdzięcznym rzemiosłem swoim. On się starał, żebym nie zapomniała co mnie Tekla nauczyła i gorzko zapłacony swój zarobek cały poświęcał na moje wychowanie. Co jestem i jeżeli co więcej umiem, i co więcej czuję i rozumiem od moich sąsiadek, tom winna Jasiowi dobremu. Bóg widzi, ile się napłakałam i namodliłam, gdy pośpieszył w szeregi...“

— „I dobrym był żołnierzem! a jakim towarzyszem, ja najlepiej powiedzieć mogę, który mu nieraz winien byłem życie.“

— „To też mu pan wynagrodziłeś łaską swoją.“

— „Łaską! fe Boguniu!... dla czego nie powiesz przyjaźnią.“

— „Bo to panie łaskawy tak rzadką jest rzeczą, przyjaźń pana z rzemieślnikiem biednym.“

— „Nie dla wszystkich!“

— „Daj Boże!“ odpowiedziała Bogunia i westchnęła pomimo woli rzuciwszy ukośne spojrzenie ku drzewom, a zamarzyła w tej chwili o tym ukochanym swym malarzu, którego tak dawno nie widziała, a tak serdecznie widzieć pragnęła.

Władysław chociaż nie dzielił przesądów towarzystwa, do którego urodzeniem i wychowaniem należał, patrzył przecie z niemałym zadziwieniem na tę dziewczynę ludu, której głos, wysłowienie się, ruchy wszystkie i uczucia, które jej mowa zdradzała, nośiły na sobie piętno wyższego stanowiska moralnego, nad to, które ogół ludzi, gminowi przypisuje; a prócz tego był w całej postawie tej córki ludu wdzięk szczeroty i skromności, który tem więcej miał dla Władysława uroku, im go mniej zdybywał po salonach stołecznych, które odwiedzał.

Po rozmowie z Kamillą, która jeszcze całą swą okropnością brzmiała w myśli, widok Boguni stawał mu się miłym odtechnieniem a jej rozmowa prosta sprawiła mu wrażenie pocieszające go prawie po smutnem rozczarowaniu, jakiego doznał od niewiernej i niegodnej kochanki. Z rozczeniem człowieka czuć umiającego, i z zapałem poety porównywał te dwie kobiety odległe od siebie o różnicę fał-

szu i prawdy; i w tej chwili porównał wartość salonu, który się już przeżył, trup zgniły pokostem tylko sztucznym błyszczący, bez przyszłości wszelkiej, i wartość ulicy, w której najciemniejszych zakątkach między tłumami ludu zaniedbanego i pogardzonego chowa się jeszcze przyszłość żywa i zdrowa. A przypomniawszy sobie żywo rozmowę z Kamillą, przyszło mu na myśl, że nie bez celu przyszedł do domu szewca.

— „Spodziewam się,“ mówił po chwili milczenia, „że wkrótce nasz Jan pocziwy przyjedzie.“

— „Przejedzie!“ zawołała Bogunia z radością.

— „Będę przynajmniej pisał do niego prosząc... by odbył podróż ważną dla mnie... a jak wróci, drugą jeszcze mieć będę prośbę i do jego siostry.“

— „Do mnie?“

— „Tak jest... Jan przywiezie dziecko... które chciałbym, by czas jakiś zostało pod opieką twoją i ojca twego.“

— „Z największą chęcią...“ zaczęła Bogunia, i raptem urwała, a rumieniec pokrył jej lica, czy w skutek jakieś myśli tajemnej, pobudzonej przez słowa Władysława, czy może, co podobniej, w skutek kroków usłyszanych w tej chwili na dziedzińcu.

Jakoż otworzyły się drzwi wchodowe, a przez nie ukazała się ruda, czerwona, a brudna sówicie głowa, z wyrazem szczerzej głupoty na twarzy, a potem na czole, nad którym wznosiła się czapka która przez czas i używanie straciła wszelki kształt i pół daszka.

— „Pst! pst!“ wołał na Bogunię zdyszany Jurek postrzegłszy nieznanego gościa, a okiem mrugał i kiwał palcem z wyrazem uroczystym, mającym dowodzić ważność doniesienia jakie przyniósł.

Bogunia zarumieniona cała i drżąca od zmieszania pobiegła ku drzwiom, nie zważając na gościa, którego nie uszło jej pomieszenie

— „Ledwie go odszukał,“ mówił Jurko głosem szeptałym, ale tak donośnym, że nie tylko Władysław słyszał każde słowo, ale i na ulicy ledwieby je dosłyszeć nie można było.

— „Gdzie?... i oddałeś list mój?“

— „Zdybałem przypadkiem, bo tam w tej kamienicy, co mi panienska mówiła, nikt taki nie mieszka... już wracałem, aż idąc ulicą szeroką, zobaczyłem jak wchodził do tej kamienicy, co to czasem jegomość o niej mówi, co to przenajświętsza tam panna przybita na murze.“

— „Do tej?...“ mruknęła Bogunia, a złowrogie przeczucie ścisnęło serce biednej dzi ewczyny.

— „Ledwie mnie poznał... wziął list... kazał czekać na odpowiedź... ale widać jakoś odradził sobie.

— „I nic nie odpisał?“

— „A nie!... jużci nie!... bo... sam oto już idzie; ledwie pospieszył tyle, by panience donieść.

Bogunia zapomniała w tej chwili na przytomność Władysława i tylko oczy zwróciła na drzwi, a rumieniec na twarzy nowych nabrał barw, radości bez miary.

W tej chwili Jurko odskoczył od drzwi, a przez nie wszedł upragniony kochanek Boguni. I stanął jak wryty przy drzwiach na widok Władysława, na którego twarzy wystąpiło mocne zadziwienie.

Bogunia niepowna na wszystko wyciągnęła ręce, by czułym uściskiem przywitać lubego, gdy nagle postrzegłszy zmieszany wzrok jego, a za nim wyraz twarzy Władysława, opuściła ręce i mimowolnie strwożona pobladła okropnie.

— „Nie spodziewałem się zastać pana...“ mruknął przecie kochanek Boguni, postępując parę kroków dalej.

— „Tem mniej spodziewałem się tu zdybać z panem...“

Szybkim jak myśl ruchem przyskoczył malarz do Władysława i szepnął mu.

— „Zlituj się pan nie nazywaj mnie; jutro opowiem panu wszystko.“

Władysław nie odpowiedział, rzucił tylko spojrzenie na młodego malarza, zaczęte pogardą, które skończył politowaniem, gdy wzrok jego padł na Bogunię, która tej sceny nie rozumiała wprawdzie, ale tysiącem bólów niepewności i bojaźni, gorszych od najokropniejszej pewności uczuła ją w głębi serca swego.

— „Zegnam pannę Bogunię!“ wyrzekł głosem słodszy prawie niż wprzód...“ Rozmówię się obszerniej z panem Karoszem... a pisząc do twego brata pani, do mego kochanego towarzysza broni, załączę twoje ukłony.“

— „Niech mnie biedną kocha zawsze!“ wyjękła Bogunia głosem, w którym przebijały się łzy i łkania.

I wyszedł Władysław lekko skłoniwszy się młodemu malarzowi. A w sieni już go zdybał Karosz, niosący z tryumfującą postawą parę butów świeżących jak zwierciadło.

— „To mi buty! krzyczał dumnie, ja je sam zrobiłem dla jegomości.“

— „Dziękuję ci panie Karosz!“ odpowiedział Władysław i sięgnął do kieszeni.

— „O nie! nie! ja nie dla tego chwaliłem.. ja jegomości więcej, i daleko więcej winien... niech mi jegomość nie płaci, już ja sam przyjdę temi dniami porachować się. Jurku! Jurku!“ wołał dalej na znanego nam chłopca, który z napełnioną doskonale gębą, pojawił się wreszcie.

— „Weź te buty... i zanieś za jegomością... a powalaj mi je, albo opuść w błoto... to zobaczysz!“

— „Do widzenia się, panie Karosz!“

— „Ja jegomości odprowadzę do ulicy, bo i ja wychodzę, by się trochę rozerwać.“ I uśmiechnął się biedny Karosz, przypominawszy sobie gody, jakie go czekają pod trzema zajawkami.

— „Masz podobno gościa u siebie!“ ozwał się Władysław nie bez ciekawości.

— „Widziałem... widziałem!“ odpowiedział Karosz, „to ten malarz; biedna Bogunia musi się cieszyć.“

— „Malarz?“

— „Aha!... przyszły zięć mój.“

— „On się żeni z Bogunią?...“

— „Jegomość się dziwi!“

— „Nie! ale...“

— „Cóż robić... i jabym może wolał, żeby poszła za syna Grzegorzowego, chociaż my to niby ze starym się kłócimy... ale nie! nie! dodał ciszej nieco i jakby do siebie. Bogunia nie może być żoną prostego mularza. Bodaj tylko z tym była szczęśliwą... bo mi coś trochę na panicza zakrawa... ale przysiągł jej... a biedna dziewczyna kocha go... więcej podobno niż życie. O gdyby on ją nie zrobił szczęśliwą, albo śmiał, broń Boże, porzucić... poznałby, że z Karoszem, choć Karosz prosty szewc, nie można żartować... a mój Jaś zabiłby go... bo biedny Jaś, to dla Boguni skoczyłby w piekło... ot gdyby!... ale co się stało, to się już odstać nie może... Całuję nóżki jegomości!“ dodał zafrasowany nieco Karosz i pogonił do szynkowni pod trzema zajęczkami, z kąd na całą ulicę rozchodziły się śmiechy gości, piskliwy głos garbatego gospodarza, tony muzyczne i woń skwarków zazdroszczona niepospolicie przez kilku obdartych chłopców, którzy z pustej ulicy wyciągali uszy i nosy swoje ku gospodzie trzechzajęczkowej.

Władysława twarz pokrył wyraz dziwnie smutny. Chciał już się oddalić, zrobił nawet kilka kroków ku miastu, ale jakby siłą jaką niewidzialną wstrzymany wrócił назад, i wyprawivszy Jurka z butami pod pozorem jakiegoś w tej stronie miasta interesu, do czego dodał mu kilka grajcarów, został sam na ulicy. A obejrzwawszy się, czy go kto nie widzi, wsunął się za parkan podziurawiony, przytykający do zagrody szewca, opasujący starą i walącą się pustkę.

Po wyjściu Władysława, młody malarz zamiast czułego przywitania, które sobie Bogunia przez tyle dni tak uroczo wyobrażała, przyskoczył do niej z wyrazem niesmaku, i zapytał:

— „Co on tu robił?... czy często przychodzi?“

— „Ja go po raz pierwszy w życiu widziałam,“ odpowiedziała Bogunia, tłómacząc sobie to pytanie kochanka na karb chwilowej jego zazdrości. „To przyjaciel i towarzysz mego brata, jak ci sam mówił.

— „Tego szewca czyli krawca samborskiego?“

— „Ty znasz pana Władysława?“ przerwała Bogunia te przykre słowa kochanka, którego z przykrością słyszała już nieraz mówiącego z taką pogardą o bracie.

— „A znam!... hołysz!...“

— „Wszak i my oboje nie mamy!“

— „Tak! tak!... poszli przecie!... ja nie mam czasu.“

— „Więc po dwóch tygodniach nie masz ani chwili czasu dla twojej biednej Boguni,“ rzekła biedna dziewczyna z smutkiem i słodyczą.

— „Dziecko jesteś moja Boguniu!“ odpowiedział malarz obojętnie... „Ja nie mam czasu chodzić tak daleko...“

— „A dawniej?...“ <http://rcin.org.pl>

— „Znowu wymówki!...“

— „Nie mój luby! ja cię nadto Kocham i nadto ufam tobie, bym ci robiła wymówki.“

— „Słuchaj mnie Bogunia! musisz koniecznie przyjść do mnie dzisiaj... idzie bowiem o rzecz ważną dla ciebie i dla mnie.“

— „Ważną!“ zawołała dziewczyna wpatrując się w twarz zimną kochanka.

— „I bardzo ważną!...“

— „Mój drogi!“ przerwała mu Bogunia, która jego słów nie dosłyszała nawet, bo ją w tej chwili inna myśl zajmowała; „powiedz mi, co robiłeś w tym domu z kamienną Bogarodzą na ulicy szerokiej?“

— „Zkąd to pytanie?... czyliż jako malarz, nie mogę bywać w domach majątnych?“

— „Kochanku! ty nie jesteś szczery ze mną!... ja się tego domu boję...“

— „Boisz? a to jest pocieszne... czyż znasz ten dom i jego mieszkańców?...“

— „Nie znam... ale mój ojciec mówił mi nieraz, a wzrok jego i cały wyraz twarzy więcej jeszcze mówił... że to dom przeklęty... z tego domu wyszło nieszczęście całego życia jego...“

— „Jakie nieszczęście?“ zapytał malarz z rodzajem ciekawości.

— „Nie wiem mój luby? ale mimowolny strach mnie przejął, gdy się dowiedziała, że ty chodzisz do tego domu... z niego boję się, by i dla mnie nie wyszło nieszczęście całego życia mego... Mój luby! ja ciebie tak Kocham... ja nie mam nic na świecie prócz twojej miłości, na której po Bogu opieram się zupełnie. Czy Kochasz mnie mój drogi?“

— „Kocham! Kocham! ty małe dziecko, któremu stary twój ojciec rozpowiadał jakieś romantyczne bajki o złowrogiej kamienicy.. pozwól niech cię myślę... gdyby to kto zasłyszał, gotówby napisać fantastyczną powieść o złowrogim domu... Kocham cię dziecko.. i dziś jeszcze więcej przekonam cię o tem... i dla tego musisz duszko, musisz przyjść koniecznie... a teraz spieszyć muszę...“

— „Czekaj luby... ja cię odprowadzę.“

— „Ale tylko do fórtki! by nas nie widzieli ludzie.“

— „Ja dziewczyna nie wstydę się, bo cóż jest wstyd naprzeciw tego uczucia, jakie ja mam dla ciebie. Jeżeli każesz przyjdę, ale powiedz mi przecie, dla czego tak dziś koniecznie... dla czego tak naglisz?“

— „Więc kiedy chcesz wiedzieć koniecznie;“ odpowiedział malarz, oglądając się na wszystkie strony, przyspieszonym głosem, jakby chciał jak najprędzej pozbyć się tej rozmowy: „mój stryj przejechał, i chce ciebie widzieć...“

— „Twój stryj!“ zawołała dziewczyna głosem, w którym radość i przestrasz odbijały się kolejno. „Twój stryj przejechał, i chce mnie widzieć!...“

— „Tak! tak!“ odpowiedział malarz przyspieszając kroku.

— „Czy też ja mu się podobam?“ zapytała dziewczyna naiwnie z pół uśmiechem. „O mój Boże ty widzisz!“ mówiła dalej, a rozczu-

lenie drżało w jej mowie; że nie idzie mi o ten majątek twego stryja... mnie o ciebie tylko idzie, i czy będę ja umiała powiedzieć mu to wszystko co czuję, aby pojął moją miłość bez granic.... kochanku! czy on bardzo rozgniewany? czy surowy? czy on bardzo straszny?....“

— „Ciszej! ciszej!... zdało mi się, że się ktoś ruszył za parkanem,“ przerwał cierpko malarz, i oglądał się z wielką przezornością na wszystkie strony.

W tej chwili stanęli u fôrtki ogrodowej, a tuż koło niej przez cienką ścianę dziurawego parkana stał Władysław.

— „Do widzenia się więc Boguniu!“ wyrzekł pospiesznie młodzieniec i pospieszniej jeszcze lekkie rzucił pocałowanie na jej słiczne usta, lecz ona porwała go za rękę i wstrzymawszy go, oddała pocałunek, pod którego ognistym dotknięciem mimowolnie zadrdzał zakłopotany i niespokojny malarz. Biednej Boguni serce przebiegło jakieś złowrogie przeczucie, szeptające jej, że to ostatni może już pocałunek.

— „Nie odchodź jeszcze mój drogi!“ mówiła do niego, a w myśli szukała słów, któreby zatrzymać go zdołały. „A!.... widzisz jak dobrze się stało, żem cię zatrzymała trochę.... wszak nie mówiłeś mi, gdzie mieszkasz teraz; a Jurko powiadał, że w dawniejszem pomieszkaniu nie wiedzą nic o tobie....“

— „A tak!.... wyniosłem się i zapomniałem powiedzieć; ja mieszkam teraz“ i schyliwszy się ku parkanowi, o który oparta stała Bogunia, cichszym głosem szepnęła jej nazwisko ulicy i numer domu. „Po prawej stronie od schodów na pierwszym piętrze.“

Deską oddzielony tylko Władysław, usłyszał wyszeptane słowa, i ledwie wstrzymał okrzyk zadziwienia. Jeszcze jeden pocałunek chłodny, i pocałunek gorący, i pognał młody malarz ku miastu. Bogunia stała jeszcze chwilę i patrzała za nim, póki nie znikł na zakręcie ulicy; biedaczce ciemno się w oczach zrobiło, jakby życie uleciało wraz z kochankiem: bo jej serce i to szczęście chwilowe, jakiego doznała patrząc na lubą twarz, pobiegły za nim.

A gdy wróciła do domu, Władysław wyszedł z ukrycia; milcząc postępował powoli i rozmaite myśli krzyżowały mu się po głowie.

— „Dziwny przypadek!“ mówił do siebie; „dom nazwany po cichu przez niego, to dom, w którym i ja mieszkam... mamże to uważać jako palec opatrności!... I jestże warta dziewczyna, która go tak zapalczywie całowała, bym ją przestrzegł i ratował?... zepsuta już może, i rozpustna!... na coż mam mieszać się w miłostki, podobne może do tylu innych miłostek zmysłowych, których pełno w mieście, choć mi ich przypadek nie odkrył... Ale to siostra poczciwego Jana, któremu winien jestem życie, którego umysł prosty lepszym wychowaniem nie wykształcony nabierał wzniosłości, poetycznego poylotu, gdy mówił o tej siostrze swojej i o swoim do niej przywiązaniu bezgranicznem.“

Wątpliwym myślom, sprzecznym chęciom oddany wrócił Władysław do siebie.

A w szynkowni pod trzema zajęczkami wesołe odzywały się głosy muzyki, śpiewu, hulanki, i rozchodziła się woń smarzeniny tak ponętnej dla przedmieszczan, którzy przez tych kilka chwil niedzielnych krótkiego odpoczynku po tygodniowej pracy, hucznej oddawali się zabawie, zapominając, że za godzin kilka nowej a ciężkiej oddać się potrzeba pracy, że parę godzin użycia, chociaż tak taniego, okupić trzeba niedostatkiem co dzień wracającym, i co jutra spodziewanym. Prawda, że bez zastanowienia się trwonią ciężko zapracowany zarobek, któryby może choć na parę dni lepszego jak zawsze bytu wystarczył; ale któż się odważy pierwszy rzucić kamień potępienia na tych biednych wyrobników?... czy ci, którzy na kartę, na każde zachcenie, na wszystkie zbytkowych sklepów lady, na bankiety rozpustne, na wszelkie zmiennych kaprysów zachcenia, rzucają utrzymanie całej rodziny, powierzony grosz cudzy, własne sumienie i uczciwość?... Czy ci może, którzy przy ciepłym piecu, ciepłej a smacznej strawie, w wygodne utuleni stroje wrzeszczą a przeklinają zepsucie obyczajów ludu, ale prócz słów próżnych, tej na wiatr wyrzuconej plewy ani kroku, ani pół kroku nie zrobili, by czynem poprawić te obyczaje. Jakby głupi i nieumiejętny lekarz krzyknął na widok czarnej zaniedbanej rany: Pfe! gangrena! ale ratunku nie dawał. Przykładem własnym nie poprawiają; radą, chęcią, nauką, czynem tem mniej!

A przecież mimo tego okrzykanego zepsucia, na które piszcza z za wachlarzów: „Fi donc!...“ radziłbym zejść czasem choćby do szynkowni pod trzema zajęczkami; a możnaby z zadziwieniem zdybać więcej szczeroty, otwartości, zgody i dobrych serc niosących pomoc, ulgę i pociechę potrzebnym i smutnym, niżeli na salonowych targowicach, na które znoszą ze wszech stron dusze i ciała na sprzedaż.

Chciałbym pokazać nie tym czytelnikom, którzy mnie dotąd czytają, bo ci sami lepiej to odemnie wiedzą, ale tym czytelnikom, którzy po kilku pierwszych kartkach książkę moją odrzucili i palce swe okadzają jak po dżumie, kąpią w woniach jak po śmierdzącym lekarstwie; tym powiadam, chciałbym pokazać, jak przy bocznym stoliku szynkowni garbatego Szymona zasiedli w zgodzie szewce z mularzem, a mularz ścisnął go za rękę i rzekł do niego:

— „Dziękuję ci bracie! Bóg ci to nagrodzi!“

I za coż dziękował mularz szewcowi tak szczerze?... Oto szewce usłyszawszy o słabości synowej mularza, którego wszystkie zasoby pieniężne i lepsze sprzęty wywędrowały już, poczem ani apteka na słowo lekarstwa dać nie chciała, ani lekarz na słowo przyjść nie chciał, nie dosyć, że litował się słowy, które tak łatwo wypuścić z ust; ale dobył papierek dany mu przez Władysława, i oddał go mularzowi.

— „Weźcie to bracie!“ rzekł do niego, „jak będziecie mieli, to mi oddacie!“

— „Wielka rzecz!“ słyszę głos odzywający się z boku.

A wiecie państwo, kto się odezwał? Oto zacny bardzo człowiek, sławny filantrop o miodowych słowach, o spojrzeniu słodkiem

jak cukier, który, nibyto przyjacielowi, nibyto dobrze znajomemu, ba nawet bratu szlachcicowi po Niesieckim i Okólskim, odmówił błaganej pożyczki niewielkiej; chociaż wiedział, że nieszczęśliwemu dziecko leży na śmiertelnej pościeli, i chociaż okrągłą sumkę miał przy sobie. Prawda, że szanowny filantrop przeznaczył te pieniądze już, aby kupić po raz dwudziesty przedającą się aktorkę.

Lecz dalszych scen szynkowni pod trzema zajęczkami, choć mnie bierze pokusa, opisywać nie będę, by od razu nie zrazić łaskawych czytelników zbyt pospolitemi obrazami, i już bez dalszej przerwy bez epizodycznych uwag własnych dążyć będę do końca powieści.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Dług honorowy.

O godzinie dziesiątej wieczorem w pięknym saloniku, którego przystrojenie wykwintne i zbyt kowe, ale meźkie raczej niżeli niewieście zdradzało gospodarza kawalera, z cygarami w ustach, siedzieli na miękiej elastycznej sofie, pan Alfred Karliński, jako gość i znany nam Franciszek Piliński jako gospodarz. Siedzieli na poły milcząc, na poły gwarząc, jak się to siedzi we dwójkę, kiedy Bóg widzi, nie ma się w sobie wiele treści do rozmowy.

Pan hrabia Franciszek nudził się jak zwykle; a pan Alfred miał na twarzy wyraz niecierpliwości, i jakiegoś niepokoju. Obydwa zaś zalewali zdudzenie i niepokój ponczykiem na winie szampańskim, którego choć się nie dawno zeszli, trzecia już szklenica była na schyłku. Wonny obłok z cygarów prawdziwie hawańskich, bo pan hrabia innych znosić nie mógł, otaczał głowy obydwóch panów, których twarze zaczęły się rumienić. Srebrny świecznik o trzech świecach oczywiście woskowych, rozlewał jasne światło na ten obrazek, na pozór zupełnie swobodny, domowy; oświetlał cały salonik przepełniony drogiemi sprzętami, między którymi wszystko przemawiało do zmysłów, a nic do umysłu, prócz chyba ogromnej gazety, rzuconej niedbale na stolik mahoniowy, wytwornie rzezany, z której kolumny wyszczerzały się nie każdemu czytelne słowa angielskich doniesień dla sportsmanów, o rozmaitych wścigach końskich; rzucał nareszcie jasność swoją aż do otwartej sypialni, w której lampa obłokiem szklanej arabeskowanej powłoki okryta, bladawe rozświetlała światło na pańskie łoża drogiemi makatami i kobiercami błyszczące.

— „Przyznaj jednakże panie Alfredzie,“ przerwał hrabia długie dosyć milczenie i połknął mimowolnie ziewnienie, „że doskonały zrobiłeś targ.“

— „To zależy od wartości, jaką przykładasz hrabio do kupionego przedmiotu... a mam powody myślenia, że większą ma w twoim przekonaniu cenę, niżeli ten dług, który zawsze byłbym ci oddał.“

— „Temu wierzę, bo to przecie dług honorowy, dług święty, dług karciany... ale zawsze tysiąc reńskich w monecie!”

— „Czy może żałujesz już hrabio zrobionego handlu?” przerwał Alfred z przymuszonym półuśmiechem.

— „Nie żałuję zapewne, bo myślę, że mnie to może choć na chwilę zabawi... a wyznać ci muszę, że zaczynam się coraz więcej nudzić; osobliwie te nasze salonowe panie, z którymi romans od początku do końca tak jednostajny, tak bez żadnej odmiany, że od razu możesz wszystko naprzód godzina po godzinie odgadnąć.”

— „Więc ci się zachciało romansu przedmiejskiego?”

— „Nie mylisz się, i mylisz się razem!... Sam romans przez się nie wielce mnie kusi, ani nawet piękna twarz dziewczyny, która mi się wprawdzie podobała; ale między owym dniem, w którym ją pierwszy raz widziałem, a dniem dzisiejszym, zaszło tyle, mój ty rozpustny Alfredzie, że najgorętszy kaprys najognistszego zapaleńca mógłby ostygnąć... przyznasz to przecie?”

— „Zkądże ta nagła chętka dzisiejsza?”

— „Muszę ci przyznać się Alfredzie, że jestem trochę artystą; i gdybym się nie był urodził hrabią i panem, co zapewne rozumniejszą jest rzeczą, jak urodzić się jakim gołym durniem, byłbym może został pisarzem dramatycznym a przynajmniej powieściarzem, jakkolwiek zaprawdę nie głupszego, jak łamać sobie głowę nad napisaniem dubów, które ledwie kto przeczyta, chociaż głodnemu pisarkowi, smarzącemu mózg, zdaje się, że piramidy stawia... dosyć, że lubię drażliwe położenia, takie wrażenia elektryzujące, które przerywają choćby na chwilę nudną jednostajność życia... Owóż za ten dług honorowy, który miałem u ciebie, kupiłem taką jedną chwilę dramatyczną, której się spodziewam przecie... i wyznam ci, że jestem po raz pierwszy od dawna niecierpliwy, bo się boję, by się ta nadzieja moja jakiej rozrywki nie rozwiązała jak tyle innych... i by ta scena dramatyczna jakiej się spodziewam, nie okazała się prostą sceną odania i odebrania kupionego przedmiotu.”

W tej chwili ozwały się kroki jakieś w przedpokoju. Pan Alfred skoczył z miejsca, wyraz szczególnej niepewności wystąpił mu na twarz; porwał za nową szklanę ponczu, i do większej połowy wypił. Hrabia Franciszek, który w czasie rozmowy był się z sofy podniósł, usiadł w miękkim fotelu, naprzeciw drzwi wchodowych stojącym, i wygodnie się w nim rozpostarł, jakby się przygotowywał do słuchania jakiej książki zajmującej. Pan hrabia z swemi rykami delikatnemi i mdłemi, tą płcią mięką białawą, z przerzedzonymi włosami, z których każdy prawie zdawał się układać w pewien wyrachowany i kunsztowny kierunek, z temi oczami pokrytemi jakby mgłą wiecznego znużenia, z ustami, które duma urodzenia i przekonania o wyższości własnej wydymały naprzód, a przesycenia nudy w dół ociagały, w stroju swym wykwintnym, żurnalowym i z tą postawą całą, która zdradzać się zdawała małodbałą uwagą zepsutego powodzeniem i użyciem człowieka, który tyle już widział, iż ledwie wierzy, by co jeszcze widzieć warto było, — był w tej chwili istnym uosobionym typem ludzi, dla których zleniwiących

niedbałością nerwów wszystko, co w drugich wre i kipi życiem, uczuciem w niebo się wznosi, zalem i rozpaczą w grób dąży, co z głębi serca harmonią prawdy płynie, co wyrazem Nioby na ustach kamienieje, co śpiewa raju wspomnieniem, co wyje Danta piekłem, błogosławi aniołem, przeklina szatanem, wszystko to jest tylko sceną naumyślnie odgrywaną przed nimi, z woli tego łaskawego we wszystkim im sprzyjającego przeznaczenia. Czem były dawniej dla starożytnych wykwintnisiów bolesne walki na krwią zlanej arenie, chrypienie i jęki człowieka pod zajązszą łapą tygrysa, tem są dla tych ludzi wszystkie walki moralne, wszystkie bole, cierpienia i konwulsie namiętne. Widowiskiem są tylko, i niczem innem; spektaklem! by ich językiem nazwać!

Otworzyły się drzwi z lekka, i nieśmiałym krokiem weszła biedna Bogunia. Na pierwszy widok skrzywił się pan hrabia, którego nigdy tak jakoś nie obraziło jej kulanie jak teraz. Olsniona blaskiem oświetlenia salonowego, rzuciła Bogunia strwożone w koło oczy; a postrzegłszy pana Alfreda, pobiegła ku niemu, i porywając go za rękę, przemówiła do niego głosem, któryby najzimniejsze serce poruszyć był w stanie, bo z serca pochodził.

— „Mój luby! ledwie przybiegła strachem pędzona przez ulice o tej porze, alem przyszła, boś kazał mężu!“

Alfred spuścił oczy w dół i nie nie odpowiedział, ręką jeno sięgał mimowolnie ku szklance niedopitej. Hrabia zamglone oczy wyciągnął ku niej, i przybierając wygodniejszą jeszcze postawę, zaczął z większą przysłuchiwać się uwagą. Scena ożywiła się dla niego.

— „To twój stryj kochanku!“ mówiła dalej dziewczyna cichszym głosem „ja drzę cała.“ Alfred milczał ciągle; na bladej i mdłej twarzy hrabiego zakwitnął zimowy uśmiech; słowa dziewczyny odkryły mu stronę komiczną sceny, której się nie spodziewał.

Dziewczyna zdziwiona milczeniem, nieśmiało oczy przyzwyczajone już do światła, rzuciła w stronę hrabiego. Zadrżała okropnie, zbladła jak trup, a oczy jej rozwarte z wyrazem osłupienia tkwiły nieruchomie na pogodnej twarzy hrabiego. W jednej chwili była Bogunia tak zmieniona, że ją rodzona matka nie poznałaby.

Komiczność sceny wzmagała się tak dalece, że hrabiego uśmiech przybierał odcieni dawno na tej znudzonej twarzy niewidzianych, a nawet pan Alfred uśmiechnął się z lekka.

— „To nie on!... to nie twój stryj!...“ przemówiła po chwili głosem bez wszelkiego wyrazu, bez duszy.

— „A nie śliczna Boguniu!“ przemówił wreszcie pan hrabia, „nie mam zaszczytu być stryjem Alfreda Karlińskiego.“

— „Tak!“ mówiła Bogunia tym samym tonem bezbarwnym, „tak się nazywa pan tego domu z kamienną Bogarodzią.“

Zdawało się, że to myśl jakaś boczna, przypadkowa przypłynęła do odurzonej głowy biednej dziewczyny, bo myśl cała wraz z okiem, wyteżona aż do pęknięcia, spoczywała ciągle na twarzy hrabiego, na której w tej chwili równoważyć się zdawała komiczność i tragiczność tej sceny.

— „To mój ojciec!“ ozwał się po raz pierwszy pan Alfred, głosem, któremu siłą woli i siłą ukradkiem dopitej szklanki nadawał brakującej pewności.

— „Twój ojciec!...“ zawołała głośniejszą Bogunia; „a ten! ten!...“ i wyciągnęła ku hrabiemu widomie drżącą rękę.... „ten!... to nie jest ksiądz!...“

Tu oczywiście komiczność sceny przeważała na twarzy rozkosznie rozpartego hrabiego. Uśmiech wyraźniejszy zajaśniał na ustach jego, z których nawet wyrwał się ton jakiś niby zadowolnionego smaku.

Bogunia porwała się za głowę, i zakryła oczy jakby je otrzeć chciała z tej zaślepiającej mary.

— „Czy to sen?“ jęknęła, a ból wewnętrzny zaczął odbijać się w jej głosie.

— „I księdzem nie byłem... nie miałem tego zaszczytu.“

— „A przecież to on!“ zakrzyczała, i przyskoczyła tak szybko ku hrabiemu, że się aż cofnął dalej, i utonął w głębi elastycznego siedzenia.

— „Odegrałem tylko rolę księdza na żart, by dogodzić memu przyjacielowi, panu Alfredowi.“

— „Więc ty nie jesteś moim mężem!“ krzyknęła biedaczka tak przeraźliwym głosem, że się aż hrabiemu wydał nadzwyczaj pospolitym, i zaczynał rozczarowywać jego dramatyczne usposobienie.

— „Musiałem się udać do tego sposobu, by zwalczyć twoje śmieszne przesady, które nawet nie chciały ustąpić tej miłości, z jaką się dla mnie oświadczałaś, i miłości jaką widziałas, że mam dla ciebie.... wszak chciałem zrobić wszystkie ofiary, jakie były w mocy mojej... proponowałem utrzymanie... ty nic przyjąć nie chciałaś... domagałaś się tylko ślubu... który jak widzisz teraz sama, był niepodobny... musiałem więc...“

— „Oszukać mnie!...“ mówiła Bogunia zimno na pozór, choć w jej łonie drżało namiętnie. Ona czuła śmierć w sobie, ale nie mdłości, z których się wstaje bledszą, ładniejszą i interesowniejszą. „Oszukać mnie!“ powtórzyła, „kiedym nic od ciebie przyjąć nie chciała i nie potrzebowała, bo widziałas, że te ręce, które ciebie pieścić umiały i pracować nie przestawały na chleb codzienny.“

Tu hrabia spojrzął z rodzajem wyrzutu na Alfreda, bo to położenie biednej dziewczyny, mimo romansu z bogatym paniczem, sprzeciwiało się jego wyobrażeniom o miłośkach z przedmiejską córką ludu.

— „Tyś dla mnie był zawsze biednym tylko malarzem.“

Hrabia przerwał jej w tej chwili; źle bowiem zrozumiawszy te jej słowa, chciał poprawić, choćby nawet własną kieszenią, to oczywiście podług niego uchybienie wszelkim zwyczajom salonu, płacącego sownie uwiedzione dziewczęta.

— „Ale teraz kiedy wiesz, że pan Alfred jest bogaty, nie odmówisz piękna Boguniu wynagrodzenia, które będzie sowite... spuść się tylko na mnie.“

— „Wynagrodzenie jeszcze! wynagrodzenie za tę miłość moją dla niego, w którą włożyłam całe życie moje!...“

I zamilkła przez chwilę; w głowie mieszało się biedaczce; ledwie na nogach utrzymać się mogła; wszystko tańcowało w koło niej, jakby we śnie lub w pijaństwie.

— „Czym ja w szaleństwie!“ krzyknęła znowu, ostatnie natężając siły, by nie upaść pod tłoczącym ją ciężarem. „Więc ty mnie już nie kochasz? i pocóż przywołałeś mnie, po co? czy, by drzwi z biednej dziewczyny ludu, wyśmiać jej wstyd i rozpacz...“

W tej chwili wyraz twarzy Boguni był okropny; głos jej tak przejmujący szczerością swoją, a cała jej postawa miała tyle szlachetności prawdziwej, którą nie ogłada salonowa, ale prawda uczuć nadaje, iż obydwaj panowie salonowi pospuszczali oczy.

— „Milczycie obydwaj! ty, który nie wstydzisz się krzywo-przysięstwa, by zdradzać kochającą cię dziewczynę... i ty, któryś się nie wahał w fałszywym stroju kapłana używać imienia boskiego na obrządek, z którego komedję zrobiliście?... i to wszystko, by zdradzić, hańbą okryć dziewczynę biedną!.... Po cóż ja tu przyszłam? czegoż chcecie?... wszak zabraliście mi wszystko.... całe szczęście moje, całą przyszłość i wiarę... bo i w cóż wierzyć już mogę.... czegoż chcecie odemnie?... i serce i ciało moje już pokalane, grzechem i hańbą zmazane!“

W głosie Boguni był zapal, drżały łkania walki wewnętrznej, a oczy jej były suche, gorączką spalone. I wróciła się krokiem niepewnym, by odejść.

— „Nie! przemów do niej panie hrabio!“ rzekł Alfred, porywając za kapelusz.

— „Pan Alfred do niej przemówić powinien,“ odpowiedział hrabia, przechylając się na drugą stronę w miękim fotelu.

— „Gdzie idziesz?“ zagadł nareszcie Alfred, zbliżając się do niej.

— „Do siebie, do naszej chaty.“

— „Zostań!...“

— „Wszak już mnie nie kochasz!... nie kochasz mnie?“ zapytała dobitniej, i oczy swoje wypatrzyła na niego, z wyrazem, w którym odzywała się jej serdeczna dla niego miłość.

— „I do czegoż by to nas prowadziło!... bądź rozsądną Boguniu!“

— „Boguniu!“ powtórzyła dziewczyna, i pierwsza łza wycisnęła się z jej oczu, z głębi piekającej ją rozpacz.

— „Pan hrabia chce się zająć twoim losem, on jest bardzo miłosierny.... miej tylko rozum, a będziesz bardzo szczęśliwą. On jest bogaty!... tyś mu się podobała...“

— „I to nie od dzisiaj!“ dodał zacny hrabia, który podniósł się z fotelu, znajdując, że do końca tej sceny winien wmieszać się jako współdziałający. „Jeszcze wtenczas, kiedy ten zaprawdę głupi żart zrobiliśmy, powiedziałem Alfredowi, że jak tylko przestanie zajmować się twoim losem, ja chcę mieć pierwszeństwo do zajęcia się nim.“

— „Krzywoprzysięstwo i układ w kościele, w obec wezwanego uroczyście Boga!”

— „Nie w kościele, ale w pokoju przyrządzonym niby po kościelnemu“ poprawił Alfred.

— „Kościół jest wszędzie, gdzie jest wiara, a Bóg był nade mną i nad wami w owej chwili... i nie zemsty, o nie! ale przebaczenia dla was błagam, bo zemsta za taką zniewagę jego imienia i wszystkiego co jest świętem, byłaby okropną.“

— „I że cię cenię więcej niż myślisz, najlepszy dowód, że za ciebie odstąpiłem tysiąc reńskich długu honorowego, który miałem u niego.“

— „Przedana! wzgardzona!... zhańbiona!... O mój Boże! pozwól bym mu przebaczyła, bym go nie musiała znieawidzić tak mocno, jak mocno kochałam.“

— „A z tego możesz brać miarę;“ mówił hrabia coraz pospieszniej, bo go ta scena zaczynała już nudzić, „że nie będę żałował niczego dla ciebie. Porzucisz tę chatę brudną.“

— „Czystsza ona od waszego połączanego salonu,“ mruknęła Bogunia do siebie.

— „Będziesz miała pomieszkanie w mieście, stroje jakie zechcesz, służbę, łożę w teatrze, a nawet mój powóz wozić cię będzie...“

Bogunia, której siły coraz więcej upadały, nic nie odpowiedziałwszy, zbliżyła się do drzwi, lecz ją uprzedził Alfred, którego mimowolny wstyd nieopuszczający najwięcej zepsutego człowieka, i wypite zbytne szklanki silnego trunku niecierpliwiły coraz więcej.

— „Przestań tych komedij!... zostaniesz tu... tyś była moja, jam cię odstąpił, więc należysz teraz do pana hrabiego...“

I porwał ją za rękę, a gdy biedna dziewczyna chciała ją gwałtem wyrwać i cisnęła się do drzwi, zasadził pan Alfred kapełusz na głowę, pociągnął ją tak silnie, i popchnął tak mocno, że biedna Bogunia potoczyła się i upadła bezwładnie na krzesło niedaleko stojące.

— „Zostań!“ powtórzył pan Alfred... „i miej rozum... bądźcie zdrowi, jutro przy śniadaniu, na które się zapraszam, będziesz się sama śmiała z głupoty własnej.“

— „Przy śniadaniu, które bez niej jednakże odbędzie się,“ odezwał się głos wchodzącego w tej chwili Władysława Zyleckiego.

Wielkie było zdziwienie hrabiego i Alfreda na widok niespodziewanego gościa. Bogunia patrzyła oczami obłąkanemi prawie na niego, ale tak była okropnością tej sceny ogłuszona, że go ledwie poznać mogła, i jakby nierozumiejąc, o co rzecz idzie, pozostała nieruchoma na krześle. Władysław nie zważając na zdziwione postawy zbliżył się do niej i rzekł głosem słodkim:

— „Przychodzę po ciebie Boguniu!...“

Bogunia jeszcze milczała.

— „Zkądże zdybał mnie zaszczyt wizyty pańskiej?“ przemówił wreszcie pan hrabia.

— „Mówiłem już, że przyszedłem odprowadzić tę biedną dziewczynę do domu rodzicielskiego.“

— „Co pana to obchodzi?... prawdziwie nie rozumiem.... ja nigdy nie miałem przyjemności znania bliżej pana;“ mówił dalej hrabia z tym przyciskiem salonowym, w którym grzeczność pokrywa pogardliwe lekceważenie.

— „Zkąd ta śmiałość?“ ozwał się Alfred, robiąc parę kroków naprzód.

Władysław nic nie odpowiedział, zmierzył jeno obydwóch wzrokiem tak wyzywająco śmiałym, że obydwaj mimowolnie pospuszczali oczy.

— „Zdaje się,“ ciszej przemówił pan hrabia, „iż twoja wierna małżonka Alfredzie, odegrała nam tu czułą komedię, a na zakończenie obdarza nas pojawieniem kochanka.“

— „Postarała się wcześniej o pocieszyciela,“ dodał Alfred, który drżał ze wściekłości.

— „Podłe zdania nie dziwią mnie zupełnie przy podłych czynnościach,“ odpowiedział Władysław.

— „Mój panie! ta zuchwałość?....“

— „Nie rozpalaj się daremnie panie hrabio!.... owóz dla tej biednej dziewczyny winienem panom powiedzieć, że jest ona siostrą mojego przyjaciela.“

— „Krawca czy szewca jakiegoś w Samborze.“

— „Którego siostrę pan nie wahałeś się oszukać haniebnie udanem małżeństwem, do którego pan hrabia, by się rozerwać, przybrał suknie księdza.“

— „Wiadomości pana są doskonałe, choć pode drzwiami, jak uważam podsłuchane.“

— „Mniejsza o to!.... dosyć, że wczas przyszedłem, by wyrwać biedną dziewczynę z tego haniebnego miejsca.“

— „To znalezienie się!....“ wyrzekł pan hrabia, którego twarz znudzona, ożywiła się rumieńcem.

— „Godne ulicznika!“ dodał Alfred.

— „Proszę milczeć!“ grzmiącym głosem krzyknął Władysław, „bym nie użył przywileju ulicy, i nie pokazał ulicznej przemocy. Przyjdź do siebie Boguniu!“ mówił dalej do dziewczyny, która przestraszona oczy wodziła od jednego do drugiego; „ojciec czeka na ciebie...“

— „Ojciec mój!.... co on powie!....“ odpowiedziała wreszcie dziewczyna... „Chodźmy! chodźmy panie Władysławie! niech ci to Bóg nagrodi.“

— „Szczęście asana,“ zarumieniony ozwał się znowu hrabia, „że wyprawilem moich ludzi...“

— „By popełnić łotrństwo.“

I wzięwszy dziewczynę, poszedł Władysław ku drzwiom.

— „Spodziewam się,“ krzyknął głośniejsz niż kiedykolwiek hrabia Franciszek, „że pan zrozumiesz, że takie uchybienie wymaga satysfakcji...“

— „Mój panie!“ odpowiedział Władysław wpół zwrócony do niego, „mojej odwagi osobistej nie potrzebuję dowodzić w walce, która by tylko panu zaszczyt przynieść mogła, bom ją tam dowiódł,

gdzie się odwaga należy, gdzie pan z przyjacielem swoim godnym nie znaleźliście potrzeby zaglądnąć, woląc zbijać bruki miejskie, i szukać sławy w wycieczkach podobnych do tej, której przeszkodzić przyszedłem; ale niemniej przeto czekać będę w pomieszkaniu mojem, które jest w tym samym domu na drugim piętrze, na to wzwanie do honorowej odpowiedzialności. Nie drżjź biedna dziewczyno,“ dodał zwrócony do Boguni, trzęsącej się z wzruszenia i strachu, „jest to tylko fałszywa parada. Pan hrabia ma nadto rozumu, by nie wiedział, że ja szablą nie lubię machać po powietrzu, ani pistoletów tylko prochem nabijać, i w sklepie korzennym pojedynków nie kończę na pasztecie i butelkach.“

Pan hrabia zbladł ze złości, ale mileżał; a Władysław wyszedł z Bogunią, pogardliwym tylko i szyderezym odpowiedziałwszy uśmiechem Alfredowi, który z wściekłością krzyknął za nim:

— „Nasi lokaje mają broń pojedynkową dla ciebie.“

A gdy już wyszli na ulicę, Bogunia świeżością wieczora orzeźwiona, przysła do siebie i spojrzała na Władysława wzrokiem, w którym przebijała się wdzięczność niewysłowiona; i milcząc szła dalej, a na bladej twarzy osiadła niema rozpacz. Na skrócie pierwszej ulicy zatrzymała się i słabym a drżącym wymówiła głosem:

— „Nie trudź się panie Władysławie!... tu niedaleko czeka pocziwy nasz Jurko... Wrócę sama do ojca... O mój Boże! ojciec mój!... biedny mój ojciec!...“

— „Pozwól niech cię odprowadzę... może lepiej zdołam cię wytłumaczyć przed ojcem.“

— „Nie! nie!“ odpowiedziała z mimowolnym strachem; „może nie wrócił jeszcze... on by mnie zabił... a jeszcze dziś... gdyby Jaś był przynajmniej...“

— „Uspokój się Boguniu... ja ciebie odprowadzę... a ojciec twój niech nic nie wie... póki nie nadjedzie Jaś nasz, po którego poszlę... on za dni kilka przybędzie.“

— „Dzięki! dzięki ci szlachetny, panie Władysławie.“

I oparta na rękę młodzieńca wróciła Bogunia do domu, z którego wyszła marząc tyle cudownych nadziei... a teraz z rozpaczą w sercu.

Karosza nie było jeszcze w domu; dotąd gościł pod trzema zajęczkami, z kąd wychodzące śmiechy i głosy wesołe zdawały się urągać biednej Boguni, suchem okiem patrzącej na obrazek Bogarodzicy, zawieszony w sypialnej alkwie. Usta jej gorączką spieczone były nieme; żadne, nawet pacierza słowo nie wymknęło się przez nie; jej rozpacz była modlitwą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Białe i czarne chwile życia.

Czas tymczasem ni łą, ni smutkiem niewstrzymany uchodził pomału, i wiosna nadeszła, wiosna zawsze świeża, zawsze pełna

uroku, czy swem tchnieniem ożywi wiejską przyrodę, czyli nową wonią swego oddechu oczyści ciężkie powietrze brudnych ulic miasta. Przyjście tej młodej pocieszycielki po tylomiesięcznej żałobie zimowej, jest najpożądanse dla ubogich przedmieść, nie dla romantycznych, ale zupełnie rzeczywistych przyczyn; bo cieplejsze słońce zastępuje biednemu ludowi miejsce drogiego opału zimowego, bo dłuższe dni dają mu więcej czasu do roboty, a umniejszają potrzebę owego oświetlenia wieczornego, które jakkolwiek ciemne, kopcające i smrodliwe, drogo kosztuje jednak po przedmiejskich sklepikach sprzedających towary swoje najgorsze, a przecie kosztowniejsze od najlepszych, bo już z trzeciej ręki pochodzące. Ale prócz tego ubogi z pracy żyjący syn ludu nie ma często gotówki, a więc musi żyć kredytem, a kredyt, moi państwo, tłumaczy się na prawdę lichwą lub zastawem. Ileż to razy w głębi sklepiku przedmiejskiego można by ujrzeć wiszący jakiś łachman odzieży, jeżeli nie narzędzie nawet jakiego rzemiosła, które biedny rzemieślnik tam zastawił za suchy kawał chleba, wiązanek drzewa, lub smutną łojówkę!

A jeżeli głodem, nędzą, lichwą zmęczony biedak, wszystko zastawiwszy z siebie i z warsztatu, przez dłużników i jęki a narzekania rodziny wypędzony z domu, do rozpacz przywiedziony, rozwałęsa się i rozpija, a upiwszy się w chwili szału i rozpacz burdę jaką popołni, jaki zewsząd krzyk i kłątwa na niego!

Za pozwoleniem, a robić długi na zbytłkowe zachcenia, i nie płacić je, choćby wierzycciele mieli z głodu umierać; zgrabnemi palcami wyrzuciwszy kilkanaście przejsz djabełkowych, wyszlamować cudze kieszenie, a gdy się już wszystko sprzedało, i włóści, i srebra, i dobytki wszelkie, by dogodzić kapryśnym zachceniom, sprzedać nareszcie i dobre imię, i cnotę żony lub córki, i honor własny, i duszę, i ciało; cożby o tych zanadto często trafiających się zdarzeniach sądzić należało? jakieby im nazwy nadać należało?... Owoż czy nie lepiej byłoby mniej krzycząc na ten lud biedny, więcej wglądać w środki poprawienia jego losu, podniesienia jego oświaty, i zbliżyć się raz do tych biedniejszych, głupszych może, ale zawsze braci!...

Lecz wróćmy do powieści i do wiosny.

Wszystkie przedmiejskie pootwierały się okna, by wypuścić to ożywcze powietrze, a wypędzić ową zgniłą zaduchę nędzy i ubóstwa, która w ścieśnionych ludu pomieszkaniach truje go, fizycznie i moralnie. I wraz z wiosnianem powietrzem, wraz z wiosnianą zielonością, którą lud lubi umajać ubogie chaty swoje, zdawała się wschodzić dla nich i wiosniana nadzieja, i rozlewała się po twarzach wychudłych i wynędzniałych barwę weselszą. Bo lud prosty bliższy jest przyrody od świata oświeconego, któremu przyroda kulisowa zastępuje miejsce prawdziwej; lud rozumie przyrodę, ma dla niej otwarte zawsze zmysły i czucie; to też na wiosnę to powietrze ożywcze z strzelających wymyka się pączków, i jego biedny umysł ludzi nadzieją odrodzenia...

Aleć i w salonach ruch nowy wywołała wiosna, nie ruch uczuć i myśli witających tę najcudowniejszą porę roku. O nie! dla

salonów pory roku są obojętne, a przyroda dla nich niema uroku, mianowicie oczysta, dla której nie mają oczów ni w ciele, ni w duszy. Jeszcze przyroda zagraniczna, w szybkim przelocie podróży zarzana, ma niejaki dla nich znaczenie, jakby nowa opera, którą jużci słyszeć trzeba, nowy romans francuzki, którego choćby tytuł, początek i koniec przeczytać trzeba, by o tem wszystkim pogwarzyć przecie powierzchowną pogadanką. Aby rozmowę z siebie wydobyć, trzeba na to myśleć, zastanawiać się i wejść w siebie, a myśleć nudno, zastanawiać się trudno, a wejść w siebie niebezpiecznie. Owoż ruch, do którego wiosna pobudza salony zwykle, jest ruchem ściśle krawieckim, lub też, by przyzwoitszego dla godności salonowej użyć słowa, ruchem mody. Jużci przyznać trzeba, że mimo całej jenialności właściwej modnym paniom i panom, zima, mianowicie nasza, tak długa, wyczerpała wszystkie koncepta, jakie tylko można było z futer, piór, aksamitów i ciężkich wydobyć jedwabiów. Moda zimowa już w końcu musi się przeżyć. Lecz moda nie ginie; jak fenix nieśmiertelny, z łona zarzuconych strojów ciężkich powstaje młodsza, żywsza, barwniejsza, w kwiaty, wstążki, słomki i tęczowe tkanki lepszych materij strojna.

Proszę jeno pójść ze mną na publiczne przechadzki, ścięnione wśród miasta; zasypane są rojem postrojonych motyli modnych. W chwili zwyczajem uświęcone wylatują i tłumnie przemykają koło siebie panowie i panie. W grona koteryjne podzieleni przynoszą na te uprzywilejowane przechadzki, wszystkie sobie właściwe wrażenia, wszystkie śmieszne i drobne upodobania i zawiści. Całe ich życie powierzchowne, lekko nacięniowane, strzela z tych wszystkich spojrzeń, które z taką ścisłością matematyczną umieją oceniać przemykające współzawodniczek stroje. Całe to życie lekkie, skaczące i oglądzone, przemawia ze wszystkich pogadań muskających powierzchnię każdego przedmiotu, które głośno i wesoło brzmia z jednego końca do drugiego końca publicznej przechadzki.

Bo życie salonowe złożone z samych chwil jasnych i wesołych; wszystkie białe chwile żywota ludzkiego dostały mu się w podziale. Im brakuje czasu na troski zwyczajne życia, które nie przechodzą granicy przedpokojowej, a naprzeciw nadzwyczajnym zdarzeniom mają oni tarcze nieprzebite przez właściwą sobie mięką niedbałość!

Grono za gronem przemyka po przechadzce, a w nich postrzeblibyśmy wszystkie znajome już nam figury, bądź z salonu pana Karlińskiego, bądź też z salonu pani Raińskiej i z owego historycznego śniadania pojedynkowego.

Pan Alfred obok panny Kamilli otoczony mnóstwem odsadzonych zalotników, dumnie rzuca w około spojrzenia; czyliż bowiem nie ma powodu być dumnym, jeżeli nie z wdzięków swojej narzeczonej, to przynajmniej z posagu dwumiljonowego, ku któremu wszystkich przechodzących wnoszą się spojrzenia, pełne gorącej żądz?

Bo dwa miliony uosobione, czy w Kamilli pełnej wdzięków i powabu, czyli nawet w najpotworniejszej postaci, wzbudzają urok

niepospolity. Żaden geniusz, żadna wyższość umysłowa, najpożyteczniejszy dla ludzkości wynalazek wzbudzić go nie potrafią.

To też odsadzeni adoratorowie, chociaż wszelkiej pozbawieni nadziei, przysuwają się mimowolnie do grona, w którym błyszczy panna Kamilla, by choć otrzeć się o atmosferę dwu milionów, choćby poszczycić się jej ukłonem, rozmową z panią Raińską, z panną L'oison, a nawet z faworytem szpicem, który kapryśnie odszczekuje się na wszystkie uprzedzenia zgrai wielbicieli.

Przeszedł koło nich i Władysław. Jego twarz poważna, wzrok pełen lekceważenia, jaki rzucił na ten rój motyli, jest jakby jedną nicią czarną na tej jasnobarwnej tkance, rozciągniętej przez całą przestrzeń przechadzki. A każde jego spojrzenie pogardliwe, rzucone na Kamillę przy każdym zdybaniu się, to w jej życiu wesołym czarna chwila, która mimowolnie cieniem zasępi wesołą jej twarz. To czarna chwila w życiu tych lekkogłowych paniczów, którzy mimowolnie spuszczaają oczy w dół i darmo osłaniają się szyderczym uśmiechem. Nie wystarcza im przecie, by pokryć to przekonanie niższości, które kipi w nich złością. Oko w oko wystąpi, nie mają naprzeciw jego zimnej postawie należytej odwagi, ale za to po za oczy, zuchy niepospolite: sypią nań swój dowcip, rzucają całe błoto najbrudniejszej obmowy. Broń to im najmiłsza, broń najłatwiejsza!...

— „I nie ukłonił się nawet!“ przemówił półgłosem Alfred, który nieraz uważał to wrażenie, jakie wzbudziło w Kamilli zdybanie Władysława, i któremu nieraz po głowie kręciły się rozmaite przez przyjaciół powiedziane słowa.

— „Komu?“ zapytała naiwnie Kamilla.

— „Wszak był podobno najbliższym sąsiadem Żyliniec?“

— „Równe prawo do ukłonu mógłbyś mieć i pan, w którego domu widziałem pana Żyleckiego.“

— „Nie dbam o jego ukłon...“

— „A jeżeli jest w tem uchybienie jakie, pan jako mężczyzna, prędzej mógłbyś się ująć, niżeli ja kobieta.“

— „Czyliż taki jak on... może uchybić?... jakiś tam pokątny literat, którego nie wiem dla czego mój ojciec przypuszczał do salonu swego... ale dawna jego z dziecinnych lat jeszcze znajomość z panią, powinnaby...“

— „Czy panu Alfredowi,“ odpowiedziała Kamilla z przyciskiem i widocznym niesmakiem, „tak mało zależy na przyszłości, byś koniecznie chciał mnie bawić rozmową o przeszłości?“

Pan Alfred zapomniał języka w gębie.

— „Już nie pierwszy raz napada cię panie Alfredzie, chętką wypytywania się mnie o pana Władysława Żyleckiego, który, jak sam przyznajesz, jest un homme de rien... czemuż miał być dla mnie? juźci bym wzięła go za męża, nie masz pan prawa obawiać się... a zresztą,“ dodała z uśmiechem niby wesołym, „czyliż o co więcej panu iść może?...“

— „Kamillo!... czy gniewasz się na mnie?...“ wyrzekł jak mógł najczulej pan Alfred, który po prawdzie pojmował i oceniał słuszność uwag swojej narzeczonej.

— „Jak czule rozmawiają między sobą,“ zagadła pani Raińska do hrabiego Pilińskiego, który ze zwykłym sobie znudzeniem postępywał w milczeniu koło niej i rozmyślał, jakby tu się wymknąć z tego towarzystwa, co zapewne dawnoby już uczynił, gdyby tylko wiedział, gdzie się można było lepiej zabawić.

— „Za kilka dni ślub.... coż dziwnego?....“

— „Oni się tak kochają....“ zagadła znowu pani Raińska z wyrazem takiej czułości, że aż mimowolnie spojrzął na nią znudzony hrabia.

— „Pani się cieszysz ich związkim, bo to pani dzieło....“

— „I spodziewam się,“ mówiła dalej z dodatkiem lekkiego westchnienia, „że będzie szczęśliwa moja kochana Kamilla, którą kocham jak....“

— „Jak prawdziwą córkę!“ przerwał hrabia, chcąc oczywiście powiedzieć grzeczność.

— „Jak siostrę raczej!“ odpowiedziała niezmiészana Raińska, odmładniająca się codziem mnóstwem rużu i bielidła.

Zrozumiał hrabia i tem więcej zaczął się oglądać.

— „Ona go tak kocha!.... oby tylko zawsze znalazła równą w jego uczuciach wzajemność....“ ciągnęła ciotunia dalej na ton sentymentalny nastrojona, do którego dodawała dla odmiany kilka lekkich westchnień....“

Hrabia ziewnął; snąć westchnienia działały nań zarówno z ziewaniem.

— „Znam ją najlepiej, jej uczucia, które się pod mojem okiem rozwijały.... jej miłość jest wyłączna, bezgraniczna.... możeby nawet lepiej było powstrzymywać ją w tem uczuciwem usposobieniu, jakie się w niej zawczasu rozwijało.“

— „Zapewne!... zapewne!...“ mruzczał hrabia ucierając nos, by zakryć wściekłą ochotę ziewania.

— „Ale nie mogłam tego przenieść na siebie, bo w nas kobietach serce czule jest koniecznością.... my sercem żyjemy, i czułość jakkolwiek wiele nieraz przysparza zgryzot i nieszczęść, jest przecie najpiękniejszym, zawsze pełnym powabu i świeżości darem, który natura dała kobiecie....“

Tu zapałem przedmiotu przejęta, rzuciła potężne westchnienie ku niebu, a spojrzenie ogniste na hrabiego, i porwawszy go za rękę, dodała z wyrazem rozczulenia na twarzy, a drżeniem tklivem w głosie:

— „Nieprawdaż panie hrabio?....“

— „Pani tak ślicznie o tem mówi, że najzawziętszy wróg czułości dałby się przerobić.“

— „Ale pan sam, czyliż nie pojmujesz?...“ I coraz więcej wdychała pani Raińska.... ale nadaremnie, bo hrabia przestraszony tym napadem czułości do niego zwróconym, bez przesady, nagle zaczął się odwracać ku innym osobom do tegoż grona należącym.

Całe więc romantyczne natchnienie pani Raińskiej, którego już nie po raz pierwszy próbowała naprzeciw hrabiego, w próżną wionęło przestrzeń.

— „A przecież nie tracę nadziei, że to jest mój mąż czwarty,“ pomyślała w duszy.

— „Djabie się bierze do niego!“ szepnął Leander Aleksandrowi do ucha.

— „Chce się jej być hrabiną koniecznie.“

— „Trudno jej przyjdzie z naszym nudziarzem...“

— „Mniejsza o to.... ale patrz na naszego Alfreda.... to mi szczęśliwy człowiek...“

— „Kamilla jest śliczna...“

— „Głupstwo, ale dwa miljony!...“

— „I że ona wybrała Alfreda, który, między nami powiedziawszy, nie sokoł...“

— „Ba! to dowodzi, że ma miljonowy rozum także.... dobrze ona między nami rozważała, który najlepiej przystanie jej na męża.“

— „Potulnego, milczącego...“

— „I ślepego!...“

— „Cha! cha! cha!...“

Tak śmieli się i rozmawiali między sobą przyjaciele Alfreda.

W tej chwili tak wesołej, tak swobodnej, tak białej, szybkim krokiem zbliżał się jakiś mężczyzna niski, krępy, młody jeszcze, którego twarz rumiana i zdrowa, rześystym wąsem czarnym do pół osłonią, iskrzyła się wyrazem zapału dziwnie sprzeczącym się z dobroduszą rozlaną zwykle na niej. Strój na nim jakkolwiek porządny, i dbałość o siebie zdradzający, krojem swoim wygodę tylko mającym na celu, nie odpowiadał strojom kręcących się po przechadzce; to też wszyscy ci panowie spojrzawszy obojętnie na niego, wyrazem twarzy swoich, zdawali się mówić:

— „To jakiś przedmieszczanin!... zwyczajnie rzemieślnik!...“

Krępy tymczasem mężczyzna o czarnym wąsie szedł ku towarzystwu naszemu wprost, ani się myślał ustępować, jakby właśnie z niem chciał się zdybać koniecznie.

I ozwał się odgłos głuchy, jakby trzaśnięcie bicia.

Był to policzek suty, rześysty, pełny, doskonale trafiony, całą dłonią przylepiony, którym nowo przybyły wąsaty przedmieszczanin obdarzył spokojnie w miljonach Kamilli rozmarzonego Alfreda.

Krzyk zgrozy, przestachu, oburzenia, zadziwienia, krzyk głośny powstał w około; krzyk, którego większa połowa była francuzka; krzyk różnotonny pań i panów.... ale nic już nie pomógł, bo policzek został przeto niezaprzeconym policzkiem, od którego lewa twarz Alfreda zajaśniała rumieńcem, czerwiejszym od urużowania pani Raińskiej.

A koby jeszcze wątpił o przedmiejskiem pochodzeniu wąsatego jegomości, przekonałby się na widok tego policzka. Był to bowiem policzek prawdziwie przedmiejski, policzek uliczny, szczery, nie dla żartu zaaplikowany.

I by nie zostawić żadnej wątpliwości o chęciach swoich, wąsaty jegomość podniósł rękę, by drugim policzkiem utraktować drugą połowę bladą jeszcze twarzy pana Alfreda; lecz ten nauczony doświadczeniem, umknął jeszcze w czas. Skończyło się na kapeluszu

tylko, który, chociaż rodem z Paryża, i dwóch kapeluszy zwykłych mający wartość, poleciał w proch i kurzawę.

Jakkolwiek radbym państwu wytłumaczyć to zdarzenie, które tak żywo przejęło całe towarzystwo na przechadzce zebrane, nie mogę w tej chwili żadnym sposobem tego skutecznie, musimy bowiem pierwiej dla zrozumienia rzeczy zejść na znane nam przedmieście o cmentarz przypierające.

W domu szewca Karosza nie się na oko nie zmieniło, wszystko dawnym szło trybem, nawet w całym postępowaniu Boguni niema żadnej widocznej zmiany, któraby świadczyła o skutkach zdarzenia, opisanego w ostatnim rozdziale. Zmizerniała tylko biedaczka, schudła i skurczyła się pod ciężarem wewnętrznego cierpienia więcej, niżby to całe lata zrobić były w stanie. Ale chodziła spokojnie jak dawniej, i żadną łzą, żadnym jękiem nie wypuściła rozpacz trawiącej pomału jej siły żywotne. Bo córki ludu nie mają czasu rozpaczać, w łzy się rozlewać, spazmatycznie razbijać po miękkich sofach, kurczowemi ryczeć jękami; one muszą pracować na chleb powszedni, dla tego też często bardzo popełniają niesprawiedliwość ludzie nietylko oświaty, ale nawet ludzie uczucia, gdy krzyczą na nieczułość ludu, którego czas i tkliwość wszelkie rozrywają troski codzienne. Przyzwyczajeni do próżniackich wybuchów żalu i rozpacz, nie wierzą w cierpienie milczące, ani też się nad tem zastanowią, że po większej części lud musi wybierać przy każdej, choćby najboleśniejszej stracie, między prózną rozpaczą, a pewnym głodem, i to nietylko własnym, ale głodem całej rodziny, którą syn ludu pracą tylko nieustanną rąk swoich od niego ratować może.

Bogunia miała wprawdzie nieraz oczy czerwone, gdy do dnia wstała z ubogiego łóżka swego, a gdy ją przypadkiem Karosz zapytał o powód tego:

— „Mało spałam!“ odpowiedziała biedaczka, i szła do roboty swojej drżąc ze strachu, by się ojciec z kąd innad nie dowiedział o zdarzeniach, które nocnemi opłakiwała łzami; bo Bogunia bała się ojcowskiej gwałtowności, nie z jego serca pochodzącej, ale z nieszczęśliwej szewca nawyczki do trunków, w których szukał, jak to już mówiliśmy, przy ciężkich życia przejściach rady i pociechy. Codzień z największem upragnieniem wyglądała poczciwego brata, na którego znanem jej sercu składała całą nadzieją pociechy i ratunku. Lecz brat nie mógł tak prędko przybyć, bo dla biednego rzemieślnika podróz kilkunastomilowa była wielkiem, czasu wymagającym i od niejednej okoliczności zależnym zdarzeniem.

W tych dniach smutku i oczekiwania jedyną jej opatrnością był Władysław, który codzień przychodził do chaty szewca Karosza, i przynosił jej braterskie współczucie.

Oczywiście pogróżki Alfreda i hrabiego w czasie onego wieczora, zostały bez skutku, bo nazajutrz ci panowie zapomnieli o tem całym zdarzeniu, które im się tylko śmiesznem wydało. A gorzkie prawdy, jakie im powiedział Władysław, przebrzmiały dla nich bez śladu, bo czyliż taki szlachetka, jakiś tam literat nieznan, mógł im uchybić? Takie urazy z dołu pochodzące, to jakby nie były; a słowa

uraźliwe, wylajanie nawet, to jakby szczekanie psów ulicznych, na które niema odpowiedzi. I dziwił się tu, jeżeli pies znudzony próżnem szczekaniem, ukąsi! A jaki to będzie krzyk! co za wrzawa! jaka solidarna złość, nienawiść i zawziętość!... Władysław także żadnego nie zrobił kroku, czekał bowiem na przybycie Jana Karosza, by z nim razem naradzić się, coby zrobić wypadło w zdarzeniu, które go zapewne obchodziło, jako człowieka prawego, ale w którym nie wypadło mu głośno występować.

Owóż przyjechał wreszcie Jan Karosz, krawiec z Sambora, nie wiedząc o niczem, bo mu Władysław ogólnemi tylko napisał słowami, że potrzeba jest konieczna, by przyjeżdżał najprędzej.

Pocziwy krawiec miał lzy w oczach, gdy się witał z Bogunią, tą od dzieciństwa jego ulubienicą, którą na rękach nosił jeszcze, a póki był w domu, otaczał staraniami i opieką serca. Czułe przywiązanie obydwóch matek Boguni, rodzonej i przybranej, zdawał się łączyć w swoim dla siostry przywiązaniu; to też póki był jeszcze w stolicy, choć rzadko siedział w domu rodzicielskim, biedna dziewczyna marzyła nieraz, że żyją jeszcze i matka i Tekla pocziwa... Pracując młodym chłopcem po warsztatach krawieckich, co tylko zdołał zebrać, to obracał na potrzeby Boguni. Po nocach pracował pocziwy czeladnik krawiecki, by sukienką jaką lub inną niespodzianką obdarzyć piękną siostrzyczkę. A niedziele, to były dni szczęścia dla niego. Ręka w ręce z Bogunią wybiegał za miasto, pomiędzy ogrody zamiejskie, i rozmawiał z nią o przyszłości, w której zawsze szczęście, dobry byt Boguni, było jego najmilszym marzeniem, najpiękniejszym znakiem nadpowietrzynym. Zbierał kwiatki dla niej, lub usiadłszy na zielonej murawie, czytał z nią razem, ucząc ją i siebie razem. Wychodząc z nią na niedzielne wycieczki, i wracając z nich, wstępowały biedne sieroty na cmentarz i modliły się i płakały, a zebrane kwiatki składały u stóp tych dwóch krzyżów, pod któremi spoczywały dwa serca pocziwe, przyjaźne, nadawała jej dla człowieka uczciwego rodzaj powabu niezwykłego.

Toteż w końcu ustąpił po części przynajmniej wachmistrz kochanemu porucznikowi swemu. Z wspólnej porady porobili nawet kroki, o których wynikłości dowiemy się w swoim czasie.

Najczęściej przyszło Janowi rozmówić się z ojcem. Nie dla tego, by się go obawiał, wiedział bowiem doskonale, że ojciec polega zupełnie na jego zdaniu, z sercem swoim dawno zrozumiał ślepe przywiązanie, jakie stary Karosz miał dla niego, jako najstarszego i najmilszego syna swego. Stary Karosz, jakkolwiek człowiek prostego wychowania, szorstkich obyczajów, w przywiązaniu swemu do starszego syna wznosił się do całej szczytności uczucia prawdziwego, uczucia namiętnego, uczucia miłości ojcowskiej. Jeżeli stary szewc kochał Bogunię, jak się na oko zdawało najlepiej, że nie dla tego, że to była jego córka jedyna, najmłodsza, a przytem także dobre i pocziwe stworzenie, ale dla tego, że ona była siostrą Jana i jego ulubienicą. Kiedy w owej chwili pijanego szału stary szewc złamał nogę biednej Boguni, szczerzył i wyrzut sumienia w sercu jego tą najpierwszą przemówił myślą: jak to zdarzenie boleśnie dotknie

Jasia drogiego. Lecz ten o tem dotąd nic nie wiedział; w ówczas wachmistrzował jeszcze, a gdy powrócił, poczciwa Bogunia sercem rozumiejąca cały stosunek ojca do syna, szlachetnem kłamstwem oszczędziła ojcu to dlań najboleśnieszsze wyznanie własnej winy przed synem.

I teraz podobną delikatnością uczucia wiedziony, tą delikatnością, w którą zapewne nie uwierzą salonowi czytelnicy wierzący, że monopol wszelkiej uczuciowej delikatności posiadają, niebaczni na to, że ta delikatność uczuć nie polskiem słowem wyrażona, i nie po polsku też w salonach rozumiana, po polsku tłumaczy się prawdą uczucia, mieszkającą najchętniej w sercach prostych ludu. Taką więc prawdą uczucia wiedziony, Jan Karosz, odkładał jak mógł rozmowę, w której czuł, że musi ojcu robić zarzuty srogie; przyczem radby już i tak biednej Boguni oszczędzić widoku pierwszego wybuchu gwałtowności ojca, który oczywiście zechce w pierwszej chwili własnej winy brzemię zrzucić na córkę.

Lecz nareszcie trudno mu było już dłużej odkładać, i w ów dzień piękny, pogodny, wiosniany, od którego opisania zacząłem ten rozdział, przystąpił do niej.

W domku szewca dnia tego okna były pootwierane; wonne powietrze wiosny zewsząd wpływało, a za nim ciepłe i jasne słońca promienie wpadając wolno i swobodnie, łamiąc się na zielonych listkach i gałązkach, któremi Bogunia okna i drzwi chaty umiała, nadawały tej biednej chatce powierzchowność prawdziwie świąteczną. A byłoto też uroczyste święto, było pierwszy dzień zielonych świąt, zielonych bez przenośni dla ludu, który się w ówczas otacza zarówno liśćmi, jak i myślami i nadziejami zielonemi. Bo lud wierzy wiara dzieciinną w święta swoje, które dla niego mają swój najczystszy język symboliczny. Zielone święta dla niego są prawdziwym zstąpieniem ducha nadziei wiosennej na ziemię, uciskiem zimowym dręzionej.

Jasno więc, wonno, wiosniano i lubo było w ubogiej chatce szewca Karosza; a zielono wszędzie, bo nawet podłoga cała zasłana była zielem tatarskiem, które syn ludu, gdyby za ostatni grosz swój, kupi niezawodnie, i podłogę swą ustroić w nie nie zapomni. Bo tak zawsze było w dawnym zwyczaju, tak robił ojciec jego i dziad, tak niesie obyczaj ojczysty, który wypędzany z pałaców i salonów, ucieka do chat ubogich, i tam jeszcze zachowuje się w swej najprawdziwszej szczerocie. A było cicho, swobodnie w chatce szewca Karosza, tak spokojnie, że możnaby zamarzyć o szczęściu, gdyby się po jednej stronie w warsztatach szewca nie wyszczerzały wczorajsza nędza a jutrzejsza troska, gdyby nie na drugiej stronie w izdebce Boguni na jej czole myśl cięższa, cierpienie moralne, to piętno człowieczego rodu.

Stary Karosz siedział sam w swoim warsztacie i czekał na syna, który go już uprzedził i prosił, by nigdzie nie wychodził. Na twarzy starca był smutek, i rzecz dziwna: pod jego powłoką zeszlachetniała twarz szewca. Bo smutek z głębi serca dobywający się, wyciąga z niego i wyprowadza zdaje się z sobą na wierzch i uczucia

lepsze, i wspomnienia najpiękniejsze, które każdy człowiek chowa w sercu, jakby w tajemnej skarbnicy, i te wszystkie myśli, które każdemu człowiekowi zbiegną nieraz z głowy do serca, i tam zamieszkają kącik jakiś. Nie było to przecucie w starym Karoszu, ale skutek czy jakiejś myśli, a może i wrażenia, z którym się przed nikim nie odkrywał, choć go widocznie bolało. Nieraz już stary szewc przebywał takie posepne chwile, w których to szlachetniejsze rysy, jakby cienie dawnych wspomnień, przechodziły mu po twarzy; w ówczas głębszemu nad zwyczajne usposobienie rozpamiętywaniu jakimś oddany, zdawał się walczyć sam z sobą. dziwne jakieś przemawiał słowa i nazwiska wspominał, aż póki przez nagięcie smutnego zwyczaju nie poszedł utopić tego cierpienia chwilowego w trunku. A gdy po kilkodniowym zapijaniu się letargicznym zasnął wreszcie, budził się bez pamięci zdaje się na chwilę wewnętrznego niepokoju; jednym słowem, wstawał już szewc Karosz tylko, bez śladu szlachetniejszych myśli, czy wspomnień na twarzy, powleczonej jeno wyrazem zwykłej chlebowej troski.

Lecz tym razem stan jego trwał dłużej niż zwykle, i czy powód był ważniejszy, czy się wstydził syna, już się nie uciekał do wódeczki; sam tylko z sobą zdawał się być w ciągłej walce, jakby mu szło o wzięcie stanowczego jakiego postanowienia. Powód stanu tego był niewiadomy, nie tłumaczył się bowiem, jak mówiliśmy, przed nikim. Z miasta powróciwszy przyniósł już na swej twarzy wyraz tak okropnie na niej odbity, że go Bogunia, chociaż własnem cierpieniem zajęta, dostrzegła, i mimowolnie zawołała:

— „Co tobie jest mój ojcze?...“

— „Nic!... nic!...“

— „Lecz zkąd przychodzisz tak okropnie zmieniony?“

— „Zkąd?... czy nie znasz tej ulicy i tego domu?... przeklęta ulica!... i przeklęty!... o nie! nie!... święty to był dom, póki cudownej nie zamalowali Bogarodzicy!...“

Bogunia zadrżała; nie raz to bowiem pierwszy jak już nadmieniliśmy, słyszała tajemnicze jakieś słowa o tym domu, którego każde wspomnienie mimowolną, jakby przecuciową przechodziło ją bojaźnią. Ten dom od lat dziecinnych tkwił w jej pamięci, jakby wspomnienie o jakiejś okropnej, duchami i występkami napełnionej bajce. Był jakiś szczególny związek między szewcem Karoszem a tym domem, lecz jaki? tego odgadnąć Bogunia nie mogła, chociaż nieraz tysiące o nim marzyła najpotworniejszych wyobrażeń. I nie wiedziała nawet biedaczka, że jej marzenia bajeczne ziściły się po części, bo z tego domu wyszedł potwór, który miał na zawsze połknąć całe szczęście jej życia!...

W takim więc usposobieniu siedział szewc Karosz i czekał na syna. Przyszedł wreszcie były wachmistrz, i przystąpił do długo odwlekanej rozmowy. Zmieniony był okropnie; swobodę, zwykłego gościa jego twarzy spokojnej, zastępował namiętny jakiś, gorączkowy zamysł: jakby chmura czarna ciężka wisząca, z której za lada poruszeniem co chwila może wystrzelić błyskawica i piorun.

Nie będziemy szczegółowo opisywać tej długiej rozmowy, która

jakkolwiek psychologowi nastreczyłaby niejedno ważne postrzeżenie, mogłaby może znudzić większość czytelników zwykle obojętną. I nawet lekkim piórem nie chciałbym dotknąć tej lekkiej pogadanki, niewymownej słowami prostego szewca i krawca, ale zajmującej jeno wynurzeniem szczerych uczuć i tego całego rodzinnego stosunku między ojcem i synem, który już przelotnie dotknąłem.

Sposób, w jaki przystąpił poczciwy krawiec, by zrobić to tak bolesne dla ojca odkrycie, przynosił zaszczyt zarówno jego sercu, jak i jego rozsądkowi. Była bowiem dobroć serca i rodzaj faktu dyplomatycznego, że tego użyję słowa, w zwrocie jakiego użył, by zarazem i winę nieostrożności ojcowskiej zmniejszyć i siostrę osłonić.

Główną wziął winę na siebie, mówiąc: że sam pierwszy powinien był zwrócić ojca baczność i siostry uwagę na ten stosunek z Konstantym malarzem, który od razu wydał mu się człowiekiem fałszywym i na ufność niezastługującym.

— „Ale on kocha Bogunię.. przyrzekł się z nią ożenić.. i ona będzie jego żoną.. sama mnie zapewniała.. ja chcę, by była jego żoną..“ mówił stary szewc, „bo ja nie chcę, by nasza Bogunia była żoną rzemieślnika prostego.. któryby się upił kiedy.. i zapomniawszy się, bił to biedne i poczciwe dziecko.. i drugą nogę jej złamał..“

— „Nogę złamał?..“ zawołał Jan Karosz i wypatrzył się na ojca.

— „Alboż nie wiesz?“ zagadł ojciec i urwał nagle, zarumieniwszy się po uszy jakby student.. „że między nami biednymi, gdy nędza dokuczy, a wódka zamroczy głowę.. czyżto jeden rzemieślnik tłucze bez miłosierdzia żonę..“

Młody Karosz zarumienił się, bo zrozumiał tym rozumem serca, który często przenikliwszy jest od rozumu głowy, rozumiał od razu wszystko. Żal za tą biedną, i to tak niezasłużenie biedną zawsze Bogunią, ścisnął poczciwe serce jego.

— „Ale jeżeli Konstanty nie zechce się z nią ożenić?“ przemówił nagle, by sobie i ojcu przerwać tę smutną rozmyślania chwilę.

— „Nie zechce?..“

— „Jeżeli on nie jest malarzem?..“

— „Nie jest malarzem!.. Któż on jest?.. i cóż to ma do tego, kiedy przyrzekł się z nią ożenić..“

— „Są ludzie mój ojczy, których nie wiążą przyrzeczenia dawane nam, dzieciom ludu.“

— „Prawda!.. więc ty wiesz o tem?..“

— „A jeżeli Konstanty należy do rodziny i towarzystwa, które z szewcami łączyć się nie zwykło?“

— „On malarz!..“

— „A jeżeli tylko udawał malarza.. a jest synem jakiego znakomitego pana, w którego wyobrażeniu rzemieślnik, syn ludu to jakby pies, jakby zwierzę domowe, dobre dla użytku chwilowego, ale nie do pokojowej poufałości.. a córki nasze i siostry nasze dobre na kochanki chwilowe, ale nie na żony; dobre, by przez kilka chwil wypieścić z nich tyle przyjemności, ile się podoba, a potem wyrzucić

precz na ulicę... i dalej ku innym rozkoszom pogonił szybko, choćby pobryzgawszy i potratowawszy dawną kochankę uliczną...”

— „Więc ty wiesz także Jasiu! jak ze mną się obeszli,” krzyknął z dziwnym przyciskiem stary Karosz, który już od chwili z rodzajem nateżenia trudnego do wyrażenia słuchał mowy syna, jakby go pojąć nie mógł: a na twarz jego występowały coraz więcej te rysy raz po raz cieniowane szlachetnością pewną i zapałem szczególnym.

— „A tak! tak! mój ty biedny Jasiu!... szedłem ulicą po pod ten dom stary, poważny, który oni pomalowali i ustroili, jakby pajaca jakiego, po pod ten dom przeklęty i miły razem, gdy się raptem otworzyły wrota, i wyjechał angielskim czy francuzkim powozem pan tego domu, baron czy hrabia Karliński...”

— „Stary czy młody?” zapytał w pierwszej chwili zdziwiony tem szczególnem zdybaniem poczciwy nasz krawiec.

— „Stary!... alboż ty go znasz? ty wiesz Jasiu kto on jest? wiesz?...“

— „Nie!... pytałem się tylko...” i nie śmiał dalej mówić, czekając, aż zrozumie, jaka być może styczność ojca Boguni z ojcem fałszywego malarza.

— „Przez chwilę oczy pańskie zdybały się z spojrzeniem przechodzącego szewca, z spojrzeniem mojem... Dobrześ powiedział Jasiu; patrzył się jakby na psa, a przecie była długa chwila, w której patrzaliśmy sobie oko w oko, bo pańskie konie chimerowały, i omal co nie ztratowały biednego szewca, który tym razem uszedł szczęśliwie, obryzowany tylko błotem. I jasny pan uśmiechnął się tak szyderczo, jakbym ja i błoto umyślnie zdybaliśmy się dla jego rozrywki, Czy pojmujesz Jasiu!... pojechał dalej, a nawet obejrzał się, by jeszcze raz szyderczo wyszczerzyć zęby do mnie!...”

Nie zrozumiał wprawdzie Karosz, co w tem tak mało znaczącem zdarzeniu upatrzył ojciec tak ważnego; ale mimowolnie uczuciem, którego sam sobie wytłumaczyć nie był w stanie, wiedziony zatrzymał się z wyjawieniem prawdziwego nazwiska malarza Konstantego.

— „Pojmujesz zatem ojczy, że jeżeli Konstanty nie jest malarzem, ale synem jakiego pana, takiego jeżdżącego powozem, jak mam pewne tego dowody, to zapewne nie zechce się ożenić z naszą biedną Bogunią... która płacze... opuszczona, nieszczęśliwa,.. i... zhańbiona!...”

— „Zhańbiona!... i on się z nią nie ożeni!... O nie, mój Jasiu... dosyć już znosiłem, a Bóg widzi, że cierpliwie... lecz dosyć tego... dosyć!... On się ożeni z Bogunią, choćby był synem księcia... ja ci powiadam, że się ożeni...”

Przestraszył się syn, bo widząc zapał niezwykły ojca i słysząc takie słowa, szczególne pomieszanie zdradzające, zaczął wpatrywać się w niego, jakby chciał poznać, czy to pomieszanie jest tylko przypadkową jaką wycieczką do garbatego sąsiada nabyte, czy może zaprawdę owładło głowę starca w skutek tylu udręczeń, nędzy i rozpacz.

— „Ależ ojcze! on nie chce się z nią żenić... on ani myśli o niej... pogardza nią... drwi z córki szewca przedmiejskiego...”

— „Ożeni się, ożeni z nią!” odpowiedział ojciec z wyrazem jeszcze większego pomieszania na twarzy; „bo... bo Bogunia nie jest moją córką...”

— „Nie jest twoją córką ojcze!” krzyknął przeraźliwie syn.

— „Nie!... nie!... ona nie jest moją córką...” odpowiedział ojciec.

— „Więc ona nie jest siostrą moją!...” jeszcze przeraźliwiej zawołał Jan Karosz.

W tej chwili stanęła mu widomie przed oczy cała przeszłość jego przywiązania, jego staranności dla Boguni, jego uczuć tak silnych, przechodzących granice zwykłego przywiązania rodzinnego.

— „Bogunia nie jest siostrą moją!” powtórzył raz jeszcze, uderzając się w czoło... „Ojcze! ojcze! czemuż mi tego pierwej nie odkrył...” i w tej chwili zrozumiał Jan Karosz swoje przywiązanie do Boguni... on ją kochał nie jak siostrę.

— „Ona jest córką Tekli...” mówił dalej ojciec wpółzamysłony.

— „Ojcze! ojcze!...” przerwał mu syn z wyrazem żalu i wyrzutu. „Dla czegoż ta tajemnica przedemną, tajemnica, która tyle nieszczęścia wniosła do domu naszego. Ona byłaby dotąd niewinną i szczęśliwą... i ja ojcze byłbym szczęśliwy... bo ja ją kocham... bo jabym ją był obronił... i lepiej pilnował od ciebie... bo... a ten łotr zgubił biedną dziewczynę i drwi teraz z naszej hańby, z jej nieszczęścia; tego już nadto!...” I uderzył się w piersi silną pięścią; dzika namiętność łysnęła mu z oczów, i pobiegł ku drzwiom, rycząc prawie głosem nie swoim: „Zemsta! zemsta teraz!... gdybym miał zginać!”

— „Właśnie dla tego nie mówiłem,” zawołał za nim ojciec nierozumiejący dobrze tej sceny, „bom nie chciał, by Bogunia była żoną rzemieślnika, nie chciałem, by była żoną twoją... bo Bogunia nie jest córką ludu... kiedy ja należę do tego pogardzonego ludu, i chcę w nim do śmierci pozostać... bo Bogunia jest córką...”

Lecz darmo wołał za synem; ten już wybiegł na ulicę i zapomniał w tej chwili szalu, że przyrzekł swemu porucznikowi widzieć się z nim zaraz po rozmowie z ojcem, aby wspólnie uradzić ostateczne kroki, jakieby im w tej okoliczności zrobić wypadało.

Gdyby był się chwilę jeszcze zatrzymał popędliwy wachmistrz, lub gdyby stary Karosz dokończył rozpoczęte wyjawienie urodzenia Boguni, możeby jeszcze dostyszał je Jan Karosz, i powrócił, i zmienił postanowienie chwilą namiętności obudzone. Jedna chwila, jedno słowo, odwróciłoby może katastrofę, ku której biedny pobiegł młodzieniec. Lecz stary nie dokończył, młody się nie zatrzymał, i Jan Karosz pogonił ku przeznaczeniu swemu, jakby wiatrem burzy, szaleł pędzony; polecał gdyby chmura piorunna, gniewem i zemstą tylekroć pokrzywdzonej i zhańbionej ulicy brzemiennea.

A panowie i panie swobodnie i wesoło, strojnie i barwno przechadzali się tymczasem po miękkich piaskiem posypanych ścieżkach publicznej przechadzki; wśród rozpekających się liści wiosnianych, w blasku słońca wiosnianego.

To są owe niezrozumiane i niewytłumaczone przypadki w życiu

ludzkiem, które my chętnie fatalnością zowiemy. Chwila jedna je rodzi, chwila wstrzymuje; jedno słowo mniej lub więcej, prędzej lub później wymówione, porusza zawieszoną u szczytu Alp lawinę, by się w przepaści w śnieżny piasek rozstrzaskała, lub ciężką zaspą śnieżną przygniotła spokojnego wędrowca, którego gdzieś tam daleko żana i dzieci z spokojnem i radośnem wyglądały uczuciem.

Lecz wachmistrz mógł pierwiej zdybać porucznika swego; albo nie zastawszy Alfreda w domu, mógł ostygnąć w ślepym szale swoim; służący Alfreda mógł nie wiedzieć, gdzie jest pan jego, mógł pogardliwym milczeniem galonowego lokaja odpowiedzieć na dopytywania się jakiegoś tam mieszczuka; mógł zamilczeć przed nim, że jego pan w tej chwili z narzeczoną swoją na przechadzce!... Mógł!... Ale w tem jest fatalność, którą w wielkich czy małych zdarzeniach życia doświadczaliśmy wszyscy niemal!

I Bogunia mogła przypadkiem zdybać Jana Karosza. Bo gdy ojciec wystraszony ostatniemi słowy syna wpadł na drugą stronę, i kilką słowy opowiedział Boguni swoją rozmowę z synem, Bogunia przerażona, ledwie mogąc sobie wytłumaczyć, o co rzecz idzie, zarzuciwszy chusteczkę na szyję, mimo nogi kulawej i stanu swego, mimo cierpień moralnych, które ją tak osłabiły, pobięła także ku miastu. I gonila po ulicach ile jej sił starczyło, i biedaczka najwięcej dotknięta, najmocniej pokrzywdzona, niosła przebaczenie z sobą; uczucia słodkie, pełne pobłażania, strzelały z jej oczów patrzących przed siebie, jakby promieniem słonecznym goniącym za chmurą, by jej groźne pioruny w deszczowe rozpuścić krople.

Po chwili odurzony zupełnie i wątpliwemi miotany myślami, stary Karosz wybiegł z domu i pogonił także ku miastu.

A biedna chata szewska została samotna, opuszczona i cicha. Tylko słoneczne promienie barwne rozścielały kręgi; tylko wietrzyk wiosniany igrał po szemrzających liściach zielonego umajenia, poruszał zartobliwie tatarskiem zieleń po podłodze rozrzuconem.

I fatalność zwyciężyła jak już widzieliśmy. Huk rozgłosnego policzka zamilkł na publicznej przechadzce, i wszystko milczało w około. Odurzeni panowie i panie stali jak wryci, skupiając się w bliższe i dalsze grona, z których tu i owdzie błyszczały złociste lornetki, zwrócone na tę scenę tak niespodzianą.

Alfred pół rumiany a pół blady, bez kapelusza i z rozpuszczoną na wiatr fryzurą, stał osłupiały przez chwilę, mierząc okiem pomieszaniem prawie stojącego przed sobą człowieka, którego po raz pierwszy widział w życiu.

— „To warjat oczywiście!..” ozwał się głos jeden.

— „Warjat!” powtórzyło głośno wielu, którzyby chętnie przez solidarność uczucia zatrzeć żądali tę skandaliczną sprawę.

— „Ale warjat! otóż go tego zamalował!” godały głosy kilku ulicznych przechodniów, którzy się do widowni szybkimi zblizali krokami.

— „Kto jesteś lotrze?.. i czego chcesz odemnie?...” ozwał się nareszcie głosem pomieszanym pan Alfred, który całą siłą woli swojej

wstrzymywał rękę ciągnącą się gwałtownie ku rumianemu, spuchniętemu i dolegliwie bolącemu policzkowi.

— „Ależ to warjat!.. gotów jeszcze wpaść w furję.. chodźmy ztąd* zapiszczała pani Raińska, która dotąd walczyła na przemiany z ciekawością i chęcią zemdlenia.

Kamilla tak zagadniona nie odpowiedziała, oglądała się tylko z pod oka, czy Władysław jest temu zdarzeniu obecny, i rachowała twarze znajome między widzami tej sceny.

Hrabiego Franciszka, który jak widzieliśmy, chciał się wymknąć z towarzystwa, policzek zatrzymał i jako rzecz nowa i ciekawa za-intrygował niepospolicie.

Jan Karosz stał naprzeciw tego całego zgromadzenia z okiem pałającym i roziskrzonym od gniewu i zawziętej wściekłości. I wszystkich tak zuchwale mierzył, że mimowolnie wszystkich oczy w dół się spuszczały przed tēm spojrzeniem okropną prawdą szafu wymownem. I słuchał co mówią, a sam milczał, jak gdyby szukał myśli czy słów; a może chciał w całej pełni użyć rozkoszy zemsty, ucieszyć się pomieszaniem i przestraczem, jakie wzbudził.

— „Wzięść go! związać, wyrzucić!„ zawołali najdalej stojący widzowie z towarzystwa.

— „A zapewne! niechby spróbowali!„ odpowiedziały szydercze głosy stojących widzów innych, którzy z upodobaniem patrzali na żyłaste ręce i silną postawę krępego wachmistrza.

Odważniejsi też posunęli się powoli naprzód, a nawet kilka rąk wyciągnęło się ku niemu, lecz cofnęły się wnet glansowane rękawiczki przed grubem suknem starego surduta, w który wachmistrz nasz był odziany.

— „Po wartę posłać!„ ozwał się wreszcie najgenialniejszy z towarzystwa.

— „Po wartę!„ powtórzyły owieczki panurgowe.

— „Chodźmy precz! chodź Alfredzie! cóż mamy tu stać naprzeciw tego podłego ulicznika, który czy warjat, czy pijany...“ wyrzekła nareszcie panna Kamilla.

— „Spity rzemieślnik jakiś!„ powtórzyli za nią drudzy, którym ta myśl w przekonanie trafiła

— „Ani kroku!„ zawołał głośno i dobitnie Jan Karosz, usiłując nabrać zimnej krwi, która co chwila burzyła się w nim okropnie i ręce mu w pięści kurczyła.

— „Nie jestem ani warjat, ani pijany, ani łotr, choć jestem biednym rzemieślnikiem... krawiec moi panowie.“

Wszystkie twarze skrzywiły się uśmiechem szyderczym.

— „Jestem brat pokrzywdzonej i zhańbionej dziewczyny, przez tego panicza, którego twarz nazaczyłem piętnem, godnem jego łotrowskiego postępowania.“

— „Komedia zaczyna się dramatyzować,“ ozwał się głos jakiś.

— „Nie znam ciebie!.. ustąp mi z drogi!.. a za napaść twoją będę wiedział, gdzie się poskarżyć.“

— „Zostanę, i ty paniczu musisz zostać, i panowie i panie zo-

staną i usłyszą, co mam powiedzieć... a ty mój młody panie nie udawaj... Jestem brat Bogumiły, córki szewca Karosza!

Na te słowa oczywiście uśmiechy szydercze wzmogły się, i nawet w głośniejsze szemranie przechodzić zaczęły.

— Którą cudze przybrawszy nazwisko uwiodłeś, — ciągnął dalej — wyprawileś niegodną komedię ślubu z przebranym za księdza, równym tobie w niegodziwości przyjacielem i zhańbioną biedną dziewczynę porzuciłeś.

— Ten urwisz kłamie! — wygrzytał Alfred przez ścisnięte od złości zęby...

— Plecie jak na mękach! — ozwali się jedni.

— Cały dramat romantyczny! — ozwali się drudzy.

— Milcz mój paniczku! i jeżeli już nie masz wstydu, to ci drugą połowę twarzy zarumienię, jak pierwszą. Za dług w karty przegrany chciałeś ją biedną sprzedać drugiemu... powiedz, czy kłamie?... a gdy napisał do ciebie list pozawczoraj, kazałeś mi go oddać pogardliwie z odpowiedzią, że każesz psami wyszczuć i tego co pisał, i tego, który takie listy przynosi. Więc powtórnie posłałem pana Władysława, mego porucznika, by cię w imieniu mojem wezwał do honorowej odpowiedzialności...

— Dramat robi się heroicznym, — zaszydziło znowu kilka głosów.

— Jestem wprawdzie mieszczanin tylko, ubogi krawiec, to prawda, ale rozumiem może lepiej od niejednego wytrefionego panicza, co to jest honor... bom brudu nie popełnił moi panowie, żadnego... A jeżeli ten paniczek nie chciał stanąć do sprawy honorowej z krawcem, mógł stanąć z wojskowym... bo ja byłem wachmistrzem, mój młody paniczku, byłem tam gdzie pójść było obowiązkiem, gdzie oczywiście pan nie poszedłeś... boś wolał bruki zbijać... i za dziewczętami gonić... A kto piersi swoje wystawiał na kule nieprzyjacielskie, ten przecie może stanąć naprzeciw takiego panicza w honorowej sprawie... I mój porucznik wytłumaczył mu to... ale ten pan odpowiedział, że mu urodzenie jego nie pozwala pojedynkować się z jakimś tam krawcem, który jest na to, by suknie krajał i igłą szył, ale nie szablą lub pistoletem wojował...

— Kłamstwa same! — mruczał Alfred.

— Ze nie kłamstwa, najlepszy dowód mam w tym liście, który pozawczoraj wraz z tą paczką banknotów przysłałeś siostrze mojej... Hańbę biednej dziewczyny chciałeś spłacić pieniędzmi, nie chcąc hańby całej rodziny płacić twoją szlachecką krwią... Weź te pieniądze!... my jesteśmy biedni, pracujemy gorzko na chleb powszedni... ale nasze córki i siostry nieprzedajne za wasze grzeszne pieniądze... Weź je nazad na procenta dla zalotnic waszych...

— Tęgi! zuch! to mi urznął jak siekierką! — ozwały się głosy z po-za krzaków okalających przechadzkę, gdzie się coraz więcej ciekawych głów skupiało.

— Czysty głupiec! — ozwały się głosy z pięknego towarzystwa. — Czegóż on chce? on lui paye! n'est-ce pas assez?...

— *Taka spora paczka banknotów!*— dodał inny patrząc z upodobaniem na jej grubość*.

— *Zapewne nic do rzeczy zrobił Alfred,*— dodała w pół głośno panna Kamilla*— *że się wdawał w takie znajomości... ale kiedy... nie odbiega od zadośćuczynienia, jakiego tylko spodziewać się mają prawo.*

— *Że też takich gburów puszczają na publiczne przechadzki!*— rzekła pogardliwie pani Raińska.

— *Des manans!...* dopiszczala panna L'oisson. Jednym słowem, wszyscy z towarzystwa zaczęli widocznie tłumaczyć pana Alfreda, który też coraz dumniej podnosił ciągle jeszcze dwubarwną twarz swoją.

— *Weź je nazad podły uwodzicielu!*— krzyknął znowu Jan Karosz, którego ucha nie uszły te wszystkie głosy. I rzucił mu paczkę banknotów tak prosto w twarz, że gdyby w sam czas nie był z nią unknął, nos jego byłby niepospolicie zkarambolowany.

— *Szkoda że nie kamieniem!*— zazgrzytał głos z za krzaków, wychodzący z ust wysmukłego młodzieńca w ceglastym surducie— *to brat panny Boguni, najpiękniejszej i najlepszej dziewczyny na naszym przedmieściu. A chociaż nie chciała być żoną moją i przeniosła udanego malarza nad prawdziwego malarza, przecieżbym skoczył w ogień za nią, i chętniebym panu Janowi pomógł pięścią moją do zgruchotania kości temu paniczowi, co to malarza udawał.*

Pieniądze tymczasem rzucone leżały na ziemi, nikt ich nie podejmował, chociaż po prawdzie Alfred miał do tego niepospolitą ochotę.

Pan hrabia Franciszek wysunął się naprzód i wyciągnął ręce ku leżącej paczce banknotów, mówiąc: *Kiedy ten głupiec nie bierze ich, trzeba odebrać co swoje; nieprawdaż Alfredzie?*

I podjął pieniądze, ale zamiast oddania Alfredowi wsadził do własnej kieszeni, tajemnym mruknawszy na niego głosem, zrozumiałym dla Alfredu, który te pieniądze od pana hrabiego był pożyczył.

— *Czekam na ostatnie słowo!*— ozwał się jeszcze Jan Karosz, *spodziewam się, że policzek, jakim pana publicznie potraktowałem, zmienił jego wczorajsze zdanie, i jeszcze raz pytam, czy przyjmujesz ofiarowaną przezemnie satysfakcję?*

— *Idźmy moi panowie!*— wyrzekł Alfred, odwracając się pogardliwie od naszego wachmistrza.

— *Czy tak mój zacny paniczu! raz ostatni pytam, czy chcesz mi odpowiedzieć z bronią w rękę?...*

— *Twoja broń jest igła, mój panie majster... zostań przy niej... i ustąp się spokojnie, a może unikniesz przed karą, jaka cię czeka za twoją napaść.*

— *Igła! igła!...*— wrzasnął Jan Ksrosz, i oczy się jego zaiskrzyły, a lekka piana pokryła mu usta— *mam jeszcze inną broń!*— I pełen wściekłego gniewu porwał się za piersi.

W tej chwili szybkie ozwały się kroki, i z końca przechadzki przyspieszonym krokiem zbliżał się Władysław z biedną kulejącą

Bogunia, która wyszedłszy z domu zdybała go szczęśliwie i opowiedziała mu wszystko.

— *X* Janie wstrzymaj się *X* zawołał Władysław z daleka.

— *X* Jasiu! bracie! zlituj się! *X* zawołała zadyszana i ledwie wlekąca się Bogunia.

Na ten głos wszyscy zwrócili ciekawe oczy na nadchodzących i wszystkie lornetki zwrócono na zbliżającą się parę.

— *X* To tedy bohaterka tej sceny!... *X* wołano z jednej strony.

— *X* Biedna Bogunia! patrzcie jaka blada! *X* krzyczał mularczyk.

X Wal panie Janie, ale dobrze! *X*

— *X* Cóż tam w niej ładnego? *X* rzekła panna Kamilla.

— *X* Patrz pani na tę figurę! *X* — ozwała się jakaś pani, zbliżając się do ucha pani Raińskiej. I drugie panie zbliżyły się, mierząc złośliwymi oczyma biedną dziewczynę.

— *X* Ale to impudencja! *X* — ozwała się jedna z nich — prezentować się w takim stanie.

— *X* Mais c'est revoltant! *X* — dodała druga.

— *X* Co to za obrzydliwe obyczaje u tego motłochu! *X*

— *X* Ça vous donne des nausées! *X*

— *X* Słowo honoru kulawa! *X* — zaśmiał się szyderczo żurnalowy

Kazimierz.

— *X* Kulawa, *X* powtórzyli śmiejąc się drudzy.

— *X* Szczególny gust! *X*

— *X* Lecz któż ją prowadzi?... *X*

— *X* Nasz poeta! literat! literat!... cha! cha!... *X*

— *X* To właśnie dla niego taka rzecz romantyczna między krawcami i szewcami.

— *X* Darmo mnie wstrzymujecie! poruczniku i siostrze droga!... ta chwila jest stanowcza! niech Bóg między nami rozsądzi. *X*

I dobył z zanadru parę pistoletów, których lśnienie powstrzymało nieco humor żartobliwy pięknego towarzystwa.

— *X* Ça tourne au tragique!... *X* — ozwało się kilka rozsądniejszych, którzy pomału zaczęli strategiczną rejteradę.

— *X* Masz pistolet, wybieraj póki czas!... *X*

— „Czy nikt nie zwiąże tego szalonego krawca! *X* — odpowiedział Alfred, który poczuł mrówki na ciele.

— *X* Nie chcesz dwóch pistoletów między nami, a więc jeden rozsądzi nas. *X*

I rzucił pistoletem jednym o ziemię, a drugi podniósł do góry i naciągnął kurek z łoskotem, który się wyraźnie rozszedł w pośród ogólnego milczenia.

— *X* To rozbój!... napaść!... zabójstwo! *X* — krzyczano i piszczano.

— *X* W tej chwili przysiąż! daj słowo! że weźmiesz ślub z moją siostrą... albo strzelę ci jak psu w łeb!... *X*

Pan Alfred nie wiedział co robić... i po prawdzie zadrżał niepospolicie. Otaczający zaś rozpierzchli się na oba boki, niedowierzając zřeczności naszego wachmistrza i celności jego pistoletu.

— *X* Cóż to za sposób... napadać tak!... Panie Władysławie,

spodziewam się, że pan zrozumiesz, pojmiesz, wdasz się...^x przyduszo-
nym i pomieszany mówił głosem pan Alfred.

— ^xWybieraj!^α krzyczał Jan Karosz — ^xalbo jak mi Bóg miły
strzele.^x

I rurka pistoletowa zabłysła tak przeraźliwie przed oczy pana
Alfreda, że aż je zmrużyć musiał.

Jan Karosz skurczył palec od cyngla pistoletowego.

W tej chwili Władysław porzuciwszy Bogunię, która już dalej
iść nie mogła, i przyskoczywszy do dawnego wachmistrza, porwał go
za rękę.

— ^xCzy chcesz być zabójcą?...^α

— ^xGdyby nawet!... ale zemścić się muszę...^α

— ^xJeżeli mnie kochasz, pójdziesz ze mną...^x

— ^xBóg widzi, że po ojcu i Boguni ciebie poruczniku kocham
najwięcej... ale gdyby matka z grobu wstała...^α

— ^xJasiu!^α błagała zdaleka Bogunia głosem i wzrokiem.

— ^xPal! strzelaj!^α krzyczał mularczyk.

W towarzystwie piękną panowało milczenie i bladeść. Kobiety
zaczynały się już nawet skłaniać ku omdleniu i spazmom, a przecież
wszyscy z wielką przytomnością umysłu rozbiegali się coraz dalej.
Alfred byłby chętnie to uczynił, ale przestрах znieruchomił mu
nogi, i nareszcie bał się usunąć z miejsca, by ten ruch właśnie nie
przyspieszył wystrzału.

Władysław robił tymczasem nadludzkie nateżenia, by wyrwać
pistolet z ręki Jana Karosza, który jedną ręką broniąc się od poru-
cznika, drugą trzymał ciągle Alfreda na celu.

— ^xJeżeli nie chcesz, bym tobą pogardził!^α — krzyczał mu
w ucho Władysław, któremu nareszcie udało się ująć wachmistrza
za rękę drugą...^x Uciekaj pan przecie!^α dodał w pół zwrócony do
Alfreda... ^xmiej pan choć odwagę tchórza^x

— ^xPoruczniku, odsuń się!... gdybym miał zginać...^x i wyrwa-
wszy rękę z pistoletem zwrócił go nazad ku bladej drżącej, zimnym
potem złanej głowie Alfreda.

— ^xTeraz strzelaj panie Janie... teraz!... sama głowa na celu...^x
wołał trzepiąc nogami mularczyk.

I pociągnął palcem skurczonym Jan Karosz.

— ^xStój!^α ozwał się głos Boguni, biegnącej naprzód, by stanąć
między Alfredem i bratem... Widząc okropne niebezpieczeństwo Alfreda,
biedna dziewczyna zapomniała o wszystkim, co później zaszło,
a pamiętała tylko o swojej szczerzej dla niego miłości.

Ozwał się huk strzału; dym rozbiegł się chmurą po przed oczy
Jana Karosza i Władysława, krzyk przeraźliwy wyleciał z piersi
Boguni. Biedna dziewczyna w sam czas przybiegła, by zasłonić da-
wnego kochanka, i krwią zboczona padła na ziemię.

— ^xBogunia!^α jęknął Jan Karosz, rzucił pistolet, i rzucił się
na ciało dziewczyny.

Alfred tymczasem skokiem bajecznym, skokiem, któryby skocz-
kowi z rzemiosła zrobił zaszczyt, umknął w bok, i drżący cały oparł
się dopiero koło Kamilli.

— *»*Co za szalona odwaga! po co pan stałeś tam tak długo? *»* słodkim przemówiła głosem panna Kamilla.

A na środku ulicy klęczał nad ciałem Boguni Jan Karosz, i trzymając ją za rękę, płakał jak dziecko; z drugiej strony schylony Władysław smutnym patrzył okiem na tę przerażającą scenę. O parę kroków dalej odbywały się łkania żałośnie. To biedny mularczyk rospaczał... A po chwili stał jeszcze trzeci nad Bogunią. Stary Karosz nadszedł... Po drodze już kilką słowy przechodzących uwiadomiony, wiedział o wszystkim, i zapłakał biedny szewc. Szczere to były łzy, pierwsze, jakie uronił po trzeźwemu stary Karosz.

— *»*Ona żyje! *»* zawołał Władysław... *»* lekarza! *»*
I mularczyk pogonił do miasta.

— *»*Boguniu! przemów do mnie, do brata!... *»*

— *»*Boguniu! popatrz na ojca!... *»*

— *»*Brat!... ojciec!... *»* słabym głosem przemówiła biedna dziewczyna, która sobie przypominała ostatnią z starym Karoszem rozmowę, i poruszyła głową z smutnym wyrazem.

— *»*Co to jest? *»* zapytał Władysław, patrząc na dziwny wyraz wszystkich trzech twarzy.

— *»*Ja nie jestem jej bratem!... *»*

— *»*Ja nie jestem jej ojcem! *»*— odpowiedzieli mu stary i młody Karosz.

W tej chwili stary Karosz postrzegł Alfreda oddalającego się pomału z towarzystwem.

— *»*To ten łotr!... malarz Konstanty... *»*

— *»*To Karliński! *»* odrzekł Władysław.

— *»*Karliński! *»* krzyknął przeraźliwie stary Karosz, ale tak przeraźliwie, jakby to miał być ostatni głos jego. *»*Karliński! *»* powtórzył, a w głosie jego drżało dziwne pomieszanie. *»*Syn tego starego z kamienicy tamtej... I wskazał palcem ku ulicy, na której stała kamienica z zamalowaną Bogarodzą. — *»*To jest okropne przeznaczenie!... *»*

— *»*Ojczy! co tobie takiego! *»*

— *»*Dzieci! biedne dzieci! moja to wina! ja wam to nieszczęście całe przygotowałem. Karliński... tak! tak!... to inaczej być nie mogło!.. Przekleństwo! przekleństwo tobie stary grzeszniku!... I za coś karzesz mnie, wielki Boże! *»* dodał stary szewc, którego twarz dziwnie wyszlachetniała, wznosząc pięście ku niebu; — *»*za co karzesz te biedne dzieci za cudze grzechy... *»*

A w około tego grona było już pełno; był lekarz, ale była już i straż sprowadzona tymczasem, a za nią wychylały się szydercze i groźące głowy tak srodze znieważonego towarzystwa, między którymi najgniewliwiej wyglądała twarz Alfreda, której jedna połowa nosiła jeszcze ślad tęgiego policzka.

— *»*Bierzcie go! chwytajcie! wiążcie, kucicie w kajdany!... to ten!... zabójca... przyszedł już z pistoletem!... a więc był oczywisty namysł!... *»* krzyczeli w około, a najgłośniej krzyczał oczywiście pan Alfred.

Otoczony strażą Jan Karosz, zwrócił się raz jeszcze ku Boguni

z niemym wyrazem głębokiego żalu, ręką pożegnał ją i ojca, a Władysława ująwszy za dłoń, wyrzekł głosem wzruszonym:

— *Poruczniku! tobie powierzam Bogunię...*

— *Bądź spokojny!*... odrzekł Władysław.

I odszedł Jan Karosz strażą otoczony, a za nim rozległ się śmiech szyderyczy towarzystwa oddalającego się pomału... Jan odpowiedział na to milczeniem i wzrokiem politowania. Gniew jego i zawziętość ostygły przed widokiem krwi biednej Boguni.

A stary Karosz stał jeszcze chwilkę, i wzrok głębokim smutkiem powleczonej rzucił za ulubionym synem.

— *Wzięli!... mego Jasia poczciwego!... Karliński, stary grzeszniku!... jeszcze się raz zdybiemy...*

I wraz z Władysławem poszli za Bogunią, niesioną ku ubogiej chacie szewca, na dalekiem przedmieściu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Pogadanka ulicy z salonem.

Był znowu wieczór, jak na początku powiastki, wieczór wiosniany, ale chłodny jeszcze. Wiatr wiosenny z przenikliwym deszczkiem przeciągał przez ulice stołeczne, z których przechodzący uciekali pomału do domów swoich. Rzadki tylko pokazywał się przechodzień na znanej już nam ulicy, i zmykał przed zimnym przenikającym deszczkiem; dla czegoż tak nieruchomo oparty o kamienną ławkę jednej kamienicy stoi mężczyzna jakiś, i nieruchome wlepił oczy na przeciwległy dom z zamazanym obrazem Matki boskiej? Na nic zdaje się nie zważać, ani na deszcz, który już doskonale zmoczył długi jego stary surdut, ani nawet na biedną żebraczkę z trójgiem dzieci, która na zwykłym siedząc miejscu, ozwie się czasem niewyraźnym jękiem, modlitwy do Boga, czy prośby do ludzi. Czasem tylko mimowolny dreszcz wstrząśnie widomie zziębnięte członki stojącego mężczyzny, po którego twarzy przy świetle lamp ulicznych błysnie od czasu do czasu kropla niejedna, gdyby iza. Ale nie iza to, o nie! jego oczy są suche, czerwone, gorączką spalone, to krople deszczu, które mu ściekają z dziurawego daszka czapki. Czasem przytłumionym jękiem żebraczki, lub jej biednych w pół gołych dzieci obudzony, porwie się machinalnie za suknie swoje, jakby w nich szukał grosza dla ubogiej rodziny. Nadaremnie biedny Karosz, bo on to był, sam nic nie ma, i biedniejszy od żebraczki nawet, bo sam jeden stoi bez rodziny. Synowie jego rozsypali po świecie dalekim, a najstarszy i najmilszy w ciemnym więzieniu; przybrana córka, którą stary tak kochał, leży w domu w okropnej gorączce. A sumienie szeptem mu w ucho, że nieszczęście to całe z własnej pochodzi winy. Po co taileś wszystko przed synem i Bogunią? dzwoni mu ciągle w ucho i w sercu.

Wszystkie najsprzeczniejsze uczucia żalu i oburzenia, rozpacz i gniewu, litości nad sobą i swojemi, i złości zawziętej na drugich,

przechodzą po jego twarzy. A oczy patrzą nieruchomie na ledwie widzialne oblicze Matki boskiej, i nowej myśli, dziwne wspomnienia, jakby cienie przesuwają się po bladych i żółtych licach starego szewca. I nowym ogniem lysnął wzrok jego, zwrócony na okna pierwszopiętrowe, których skąpemu dosyć oświetleniu przedrzeźniać się zdawało światło buchające z okien drugiego piętra. Silne, piezmienne, uparte postanowienie zadrgało mu na ustach złowrogim skrzywieniem. Podniósł się Karosz i ruszył z miejsca.

Na pierwszym piętrze znajomego nam domu z obrazem Matki boskiej panowało miiczenie, rzadko przerywane wesołemi krzykami, które czasem z drugiego wybiegłszy piętra, przemknawszy się przez schody, niewyraźnym głosem nikły po pustych salonach pana Karlińskiego. Służba w przedpokoju zabawiała się wesoło, i jak zwykle po domach pańskich, naśladowując pańskie narowy, grała w karty. Pan Karliński zaś siedział samotny w swoim pokoju, którego przystrojenie mniej więcej znamy już; jedyną odmianę widziimy teraz w płonącym kominku i w otwartym stoliku zielonym, przed którym usiadł starzec ufryzowany, by się pocieszyć jego widokiem przynajmniej, kiedy zdarzenia dnia dzisiejszego mimowolną zrobiły przerwę w jego ulubionem codziennem zatrudnieniu, na tem zielonem polu szczęścia. Pan Karliński był w fatalnym humorze; po tragicznem bowiem zdarzeniu ranniejsem, odprosił gości spodziewanych dla zachowania przyzwoitości, którą w duszy przeklinał wszystkiemi francuzkami i polskimi wykrzyknikami, a jak na złość przecucie, to przecucie, które gracza w karty czy w loterię nigdy nie odstępują, ciągle mu syrenim głosem spiewało, że dziś byłby miał szczęście, tę „veine de bonheur“ o której wszyscy szulerzy wiecznie marzą. Zgarbiwszy się nad stołem zielonym, zagasłym wzrokiem śledził wszystkie te marzenia karciane, które po nim igrały w rozmaitych postaciach złota i banknotów. I by marzenia te jeszcze więcej urzeczywistnić, porwał za karty leżące koło niego, i zaczął je przewracać, jakby grał na prawdę z kilku osobami. Przecucie pokazało się prawdziwe, karty jak zaczarowane padały wszystkie na korzyść jego, aż się zaiskrzyły oczy starca. Z coraz większą namiętnością przewracał, mieszał, zbierał i rozdawał karty, uśmiechając się od czasu do czasu nietyłe do tego swego szczególnego szczęścia, ile więcej jeszcze że zgrabności rąk swoich i z doskonałego wzroku jeszcze, którym śledząc porobione na kartach znaki, tak doskonale pomagał szczęściu swemu. Bo gracz prawdziwy, gracz doskonały, gracz postępowy, posiadający pojęcia szulerskie, nowych wynalazków karcianych zdolne, nie lubi tracić czasu. W samotności lubi ćwiczyć palce i oczy, nowe tworzyć kombinacie i doświadczenia, które potem będzie zastosowywał przy grze prawdziwej; jak szermierz, który stępioną szablą i szpadą próbuje zabójczej sztuki swojej, lub jak pływacz, który na materacu wymachuje pierwej wszystkie potrzebne ruchy rąk i nóg, zanim pójdzie do wody próbować sił i zgrabności swojej.

Wtem ozwał się szmer jakiś w głębi pokoju, jakby ktoś dra-
pał czy stukał po ścianie. Stary gracz nie nie słyszał, on w tej chwili taką miał wolnę sławną, niepodobną, zadziwiającą, jeniałną,

że się zdumiał nad sobą, i rozpromienioną twarz rzucił na zwierciadło, które odbijało właśnie tę gładką, obiciem jednostajnym pokrytą ścianę, przy której powtórzył się ten sam szmer cichy i tem dziwniejszy, że ta ściana żadnych drzwi niemająca, zdawała się już przytykać do sąsiedniej kamienicy. Lecz stary szuler nie nie słyszał, patrząc w zwierciadło, powtórzył wolte sławną, pomnika godną, a wykonał ją tak po mistrzowsku, że nie nie postrzegł w zwierciadle, prócz własnego uśmiechu tryumfalnego, wiernie w niem odbitego.

Nagle uśmiech ten zastygł na twarzy bledniejącej okropnie. Oczy Karlińskiego rozwarły się szeroko i strasznie, a usta zadrgały wyrazem osłupienia. Zdało mu się bowiem widzieć w zwierciadle, jakby raptem ściana przeciwniegi rozwarła się w jednym miejscu, i na tle jasnego obicia ściennego, zwiększała się pomалу ciemna przerwa, po której mignęło się coś, jakby cień człowieka. Chciał krzyknąć, nie mógł; chciał wołać, nie miał siły. Cień się zwiększał, nabierał coraz więcej rysów ciała ludzkiego, i oderwał się wreszcie od ściany świecącej znowu jednostajnym jasnym obiciem swoim. Karta w pół zgrabnej wolty małym palcem w powietrzu zawieszona, upadła na stół zielony, a za nią poleciały z turkotem i drugie. Ostatnie zrobiwszy natężenie, podniósł się Karliński z miękiego fotelu, odwrócił się ku ścianie, i oparty o zielony stolik, drżący cały, z wyrazem przestachu i osłupienia patrzył na pomatu zbliżającego się mężczyznę silnej postawy, którego wzrok zawzięty, nieruchomością oczarował, osłupiałego gospodarza domu.

— „Co to?... kto to?...” — wyszeptał wreszcie, a raczaj wydzwonił przypawionymi zębami swymi.

— „Jak wiesz, nie zapomniałem ukrytych schodów i drzwi prowadzących do pokoju ojca naszego,” — odpowiedział stary szewc Karosz.

— „Ojca!” — powtórzył Karliński głosem pomieszanym jeszcze, a wzrok jego uważny utkwiał w twarzy Karosza, który go ciągle mierzył spojrzeniem na poły smutnym na poły zawziętym.

Karliński przychodził pomatu do siebie, wzrok przestraszony zmieniał się w cychający, a usta rozciągały się do uśmiechu złośliwie szydlerczego.

— „Kto jesteś?” — wyrzekł przecie śmielszym nieco głosem — a jeżeli przypadek odkrył ci ten przechód ukryty, o którym sam zapomniałem, po co tu przychodzisz?...”

— „Nie wiesz kto jestem? nie udawaj!...”

— „Wkradasz się jak złodziej!...”

— „Powiedz raczej brat złodzieja!...”

— „Tego już za nadto! będę przymuszony!...” — odrzekł Karliński, nabierając coraz więcej śmiałości i przytomności umysłu, a ręką zaczął szukać po za sobą dzwonka.

— „Zwołaj ludzi, całą służbę swoją! niech przychodzą, z ulicy nawet... jeżeli wolisz, bym przy świadkach powiedział to, com przyszedł tobie tylko powiedzieć, i odkrył im kto jestem... i jakie mam prawa przychodzić do ciebie!...”

— „Bezwstydy!...” — zawołał zapalczywie Karliński i zmierzył

go pogardliwym wzrokiem, „ja cię nie znam, nie wiem kto jesteś... a twoje suknie podarte i cała postawa złoczyńcy będą już dostateczne, by cię zamknęto... wychodź więc, jeżeli czas... przebaczam ci ten napad, choć cię nie znam... bo ty wiesz najlepiej, że cię nie znam” — dodał z przyciskiem i szyderyczym uśmiechem.

— „A więc zadzwoni! ja będę przecie miał tyle czasu, nim mnie wezmą i zwiążą, że powiem kto jestem, i złożę jasne jak słońce dowody znajomości naszej.”

— „Dowody!” zawołał Karliński pół szyderyczym a pół przestraszonym głosem... „dowody! jakież ty możesz mieć dowody!... chcesz mnie straszyć... ale ja ciebie nie znam... i czy mogę ja znać jakiegos tam ulicznika, draba., choćby się mienił nie wiem kim i kłamał nie wiem co...”

Karosz milczał chwilę i zadumał się, a oczy zwrócił ku łóżku pana barona, i powoli, gdzieś z ich głębi ciemniejszej, jakby z głębi wspomnień dawnych, które wyrazem smutku z nich strzeliły, wydo była się, zebrała pełno i wymknęła na wierzch, łza boleśna...

— „Tak” wyrzekł nareszcie — tu w tem samem miejscu stało inne łóżko dawniej, a na nim leżał starzec błądy i coraz bledszy... bo śmierci zbliżała się godzina... i przed łóżkiem jego dwóch stało ludzi młodych jeszcze... Czy pamiętasz tę chwilę?”

— „Nie wiem co pleciesz... ale...”

— „Nie wiesz! nie pamiętasz! bo od tej dawnej chwili dzieli cię życie grzeszne... cała przepaść ciemna występków, krzywoprzysięstw i rozpusty... Nie pamiętasz tej chwili..., a byłato przecie chwila śmierci twojego ojca... Nadaremnie krzywisz się stary grzeszniku... jam ci przyszedł przypomnieć przeszłość, i przypomnę tak głośno i dobitnie, że się nawet zatwardziała pamięć twoja rozrusza mimowolnie. Więc nie pamiętasz słów, jakie w owej chwili powiedział nam ojciec nasz... nie pamiętasz zapewne, że z jękiem i płaczem biedny umierający starzec bił się w piersi i wyznawał winy swojego żywota? I prosił mnie, biednego młodzieńca, wychowanego jako sierotę, pod opieką starego sługi na wsi, aby mu przebaczyć, że był się mnie zaparł... i powtarzał tobie i mnie głosem od śmiertelnej czkawki przerywanym... to mój syn! to mój syn starszy!...”

— „Cały świat wie dobrze, przerwał pan Karliński głosem szyderyczym i złośliwym, — że mój ojciec miał syna tylko jednaka, a tym jedynakiem jestem ja.. i radzę ci obszarpańcze..”

— „Milcz!” wrzasnął szewe stary i przyskoczył do Karlińskiego, a ściśniona pięść jego mignęła tak blisko po pod nos baronowski, że ten cofając się wraz z stolikiem, ledwie zdołał umknąć z okropnie pobladłą i pomieszaną twarzą swoją.

— „Prostaczysko!...” mruknął tylko do siebie... „ulicznik!...”

— „Milcz salonowcze!” krzyknął znowu Karosz „by ulicznik nie zapomniał na związki nas łączące, i nie przypomniął sobie wszystkich krzywd, i by raz ulicznik z tą silną pięścią w pracy zahartowaną, tą jedyną bronią swoją, którą opatrność obdarzyła w odwet za ukradzione mu wszelkie inne a wam oddane dary... nie stanął przed salonowcem i nie spytał go o ten dawny, ogromny

między nimi rachunek, i nie wyliczył mu całego szeregu krzywd najokropniejszych, i nie przypomniał mu, że w obliczu tej opatrności jest mu bratem... bratem starszym, bo pożyteczniejszym ogółowi, bratem okradzionym, oszukanym, i nie odpowiedział mu pięścią na jego fałszywe przekręcenie praw boskich, pięścią na jego układne salonowe wymówki i wykręty, któremi wojuje... i pięścią nie zemścił się za całe długie dzieje przeszłości swojej. Bo darmo wyrzekasz się mnie... świat nie wie o drugim synie niecnego ojca, świat nie zna praw moich, bo świat nie wie, że matka twoja i moja, którą ledwie znaleźmy, za słaba naprzeciw trudnościom, jakimi jej rodzina przeszkadzała związkowi z ojcem naszym, za słaba naprzeciw własnej i kochanka miłości... uległa... i nim kapłan pobłogosławił ich związkowi, ja byłem już na świecie... Wstyd tego świata wielkiego, w którym żyli, a który najbrudniejszego postępkę, najokropniejszego przestępstwa nie potępia, byle brud i występki pozostał tajemnicą... wstrzymał rodziców moich od przyznania mnie za syna... odkładano od dnia do dnia oddanie mi sprawiedliwości... a tymczasem biedny sierota, chowałem się zaniedbany w wiejskiej ustroni, bez oka ojcowskiego... bez pieczy matki... Szczęście to moje, że stary sługa, któremu byłem powierzony, i który sam nic nie wiedział o prawach moich, był tam kiedyś szewcem... a kochając mnie, tego jednego mnie nauczył, co sam biedak umiał... I dobrze zrobił... lepiej zrobił od rodzzonego ojca, który z niemałym kosztem czasu i pieniędzy, wychował ciebie na takiego bez głowy i serca salonowca. Ja przynajmniej buty robić umiem... a ty?... Prawda, zapomniałem, że wchodząc, zastałem cię przy twojem i wszystkich tobie podobnych, najulubieńszem rzemiośle karcianiem... rzemiośle godnem was, którzy ściany złocicie, a posadzki woskujecie krzywdą cudzą i cudzemi łzami.

— „Czy skończyłeś już bajkę swoją?”

— „I jam zapłakał przy łóżku ojca mego i przebaczyłem mu serdecznie... bo mi żal było starca, którego sumienie srodze męczyło... Mówił do mnie starszerek drżącym głosem, abym cię kochał i tobie przebaczył, i winy ojca nie karał na synie... a ciebie błagał, byś mi był bratem i wynagrodził sercem brata winę ojca...”

— „Ha! ha! ha! to zabawna awanturka, którąś mi przyszedł opowiadać około północy... Cóż się stało dalej, mój ty obszarpany bajarzu, poeto nliczny, powieściarzu z kopytem...”

— „I oddał tobie ojciec,” mówił dalej szewc spokojnym głosem, jakby nadto był siebie pewny, iżby go miały urazić słowa pogardliwe Karlińskiego, „wyznanie swoje i matki..., list do ciebie... i kodycył testamentu.”

W tej chwili uwaga obu braci, barona i szewca, była tak zajęta, że nie słyszeli szmeru dość głośnego, który naszemu przecie nie uszedł powieściarskiemu uchu. Szmer ten nierówny, jakby od stąpienia nierównego i niepewnego, rozchodził się to głośniejsze to ciszsze po pokojach poprzedzających sypialnię pana barona. Coraz się zbliżał... lecz przy ostatniem słowie wymówionem przez Karosza, nagle u drzwi już wchodowych urwał się i ustał... czasem tylko

ozwało się... na słowo powłóciarskie powiadam... złowrogie jakieś, jakby westchnienie, które zaprawdę, gdyby mówiący zasłyszeli, mając zbliżającą się północ na względzie niemałym strachem przejęci, przypisałiby może grzesznej duszy, ciężko zapewne pokutującej, bo też westchnienia były ciężkie... przeciągłe... okropne. I że nie słyszeli, to tylko przypisać można było śmiechowi gwałtownemu, spazmatycznemu, pełnemu dzikiej, tryumfującej złośliwości, jaki wyleciał z piersi pana barona Karlińskiego.

— „I cóż te papiery?” zapytał szyderczo zacny baron.

— „Śmiejesz się! bo przypominasz sobie, jak po śmierci naszego ojca, któremu przysięgałeś co tylko chciał, i przywiązanie dla mnie, i uznanie mnie, i braterski podział majątku... ale skoro zgasł ojciec biedny... ty zniszczyłeś te papiery... a mnie wygnałaś pogardliwie... rzuciwszy kilka groszy... lichej jałmużny...”

— „A więc gdy nie ma dowodu... romans zostaje romansem, a za udzielenie mi jego mocno obowiązany jestem... a więc czybyś nie raczył, szanowny szewcze...”

— „Jeszcze za wcześnie, uzbroj się w cierpliwość... wszak to długiego potrzebuje czasu, zanim ci wyliczę szereg zbrodni i brudów twoich... które ci dziś wszystkie przed myśl przyprowadzić przyszedłem. Otóż mimo całego rozumu twego, całej przewrotności, lat trzydzieści nie wiedziałeś, że nad tobą wisi na jednym włosku kamień twej własnej zbrodni, który cię może zgnieść...”

— „Więc romans jeszcze nie ukończony!” zagadł Karliński szyderczo, ale z wyrazem niepokoju, który pokrył przymuszonym śmiechem...

W tej chwili znowu u drzwi wchodowych wmieszało się do ich rozmowy trzecie między nimi dwoma, jakieś szczególne nierówne i ciężkie westchnienie...

— „Ledwieś porwał papiery, pobiegłeś, opuściwszy łóżko śmiertelne ojca, by je zniszczyć... nie chciałeś patrzeć na okropne konwulsje, w których po oddaniu papierów bezprzytomnie...”

— „Skołał...” zawołał baron.

— „Cierpiał tylko okropnie, ale nie skołał jeszcze, bo przed śmiercią przyszedł do przytomności, i rzekł do mnie: „Boję się, synu mój biedny, o twoją przyszłość... bo... bo... za przewinienie moje, Bóg najwyższy skarał mnie okropnie wadami syna, którego przeniósł nad tamtego... on cię może zdradzić... mam tu te same dowody... moją pisane ręką i ten sam testament powtórzony... weź to... ale błagam cię synu, nie karz na bracie winy ojca, bądź mi miłosiernym... bądź zdrow!...”

— „I!...” zawołał Karliński okropnie blady.

— „I oddawszy mi papiery, skołał starzec biedny, okiem błogosławiąc syna, którego się tyle lat zapierał...”

— „Zabawna... bardzo zabawna bajeczka!”

— „A te papiery mam dotąd...”

— „Masz!” zawołał stary baron drżąc z przestachu i złości, i przyskoczył do naszego Karosza z takim zapałem, jakby mu oczy chciał wydrzeć. I wstrzymał się nagle, a przybierając nazad uśmiech

szyderczy, dodał po chwili: „Doskonały z ciebie bazarz, lepszy podobno niżeli majster; masz te papiery!... ha! ha! pocieszny jesteś! i przez trzydzieści lat chowałeś je, nie chcąc korzystać?”

— „Bo mi ostatnie słowa tkwiły w pamięci i zdawało mi się ciągle słyszyć, jak konającym głosem wołał: „Błagam cię synu, bądź mi miłosiernym!...” I miłosiernym byłem, i pracowałem i znośiłem nędzę... a co więcej, znośiłem cierpliwie pogardę, z jaką odrzucałeś wszystkie moje w razach gwałtownych udawania się. Sto razy przechodziłem tą ulicą i patrzyłem na tę z dzieciństwa znaną mi dobrze Matkę boską, którąś kazał zamazać, mniemając, że tym sposobem zamażesz jedyne go świadka... bo w owej chwili... konającemu ojcu przysiągłeś na tę Bogarodzicę, wielą pamiątkami świętą dla naszej rodziny; i przecież nie przeklinałem ciebie, nie zlorzezyłem tobie, i byłem — ty widzisz, ojciec w niebie — byłem miłosierny, bom nie chciał brata hańbić po sądach.”

Baron, którego twarz mimowolnie zdradzała wewnętrzny niepokój, roześmiał się głośno, przeciągłe, szyderczo, choć przymuszenie.

I rzecz dziwna, ozwało się za drzwiami snać echo śmiechu, równie przeciągłe i szydercze, ale ciche i szersze.

— „Byłem głupi! sto razy głupi! — krzyczał coraz głośniej nasz szewc biedny, rozpalający się coraz więcej — „bo teraz zlorzeczę i przeklinam i siebie i ciebie... i przychodzę spytać się ciebie o syna mego... oddaj mi syna!...”

— „Syna twego!...”

— „Syna, który siedzi w więzieniu...”

— „To syn twój strzelił do Alfreda! on zginie w więzieniu.”

— „Strzelił do łotra, który wszedł do mojego domu pod przybranem nazwiskiem, by wniesić zdradę i hańbę, by uwieść biedną dziewczynę, którą fałszywym oszukał ślubem.”

— „Cóż mi tam do tego?... czemuś nie pilnował lepiej córki swojej, której zachciało się wyjść na panią... znamy my te wasze przedmiejskie dziewczyny cnotliwe!...”

— „Milcz, stary grzeszniku, jeżeli nie chcesz, bym do reszty zapomniał, że w tym pokoju umarł nasz ojciec... a wiesz ty, kto jest ta biedna dziewczyna, którą zranił mój Jasio zamiast syna twego, którą twój syn uwiódł i zhańbił... czy wiesz kto ona jest?...”

— „Córka pana szewca! — odrzekł z urąganiem stary baron.

— „Ona nie jest moją córką... ona jest córką Tekli!...”

— „Te... Tekli!” zawołał z przerażeniem Karliński, i cofnął się w tył z wyrazem dziwnego wzruszenia na twarzy...

A przez krótką chwilę milczenia ozwał się znowu u drzwi dziwny jakiś głos westchnienia, czy przytłumionego śmiechu.

— „W noc jesienną, burzliwą... schorzała, nędzna, głodem i nędzą zmęczona, przyszła do mnie ta biedna kobieta! czy pamiętasz, ty stary grzeszniku, kto była ta biedna poczciwa Tekla?... I ty nie drżysz, ty nie padniesz na ziemię zgryzotą przejęty... czy cię piorun niebieski nie trafi? Nie pamiętasz już, zły synu i zły bracie, że była dziewczyna... sierota... krewna mojej matki rodzonej, która chowała się dzieckiem z nami, a było anioł dobroci i niewin-

ności.... i darmo chciałeś ją uwieść.... kochała ciebie, ale ci nie uległa. Namiętnością wiedziony, wziąłeś z nią ślub w Rosji, twierdząc, że dla rozmaitych przyczyn nie możesz brać ślubu w kraju. Ona ci uwierzyła, uwierzyła słowom kochanka, słowom kobiety przez ciebie podstawionej, kobiety nierządnej, która była twoją kochanką, i szczęśliwa w niewinnej swej myśli, cieszyła się, zostawszy żoną takiego łotra.... bo nie wiedziała, że ty już miałeś żonę.... i czy rozumiesz teraz, jak mocno pamiętałem o przyrzeczonem przezemnie ojcu naszemu miłosierdziu nad tobą, kiedy mogąc się zemścić nad tobą, mogąc cię oddać w ręce karzącej sprawiedliwości, milczałem.... I Bóg słusznie mnie ukarał za to grzeszne milczenie!*

Strasznie był blady pan baron, drżał mimowolnie, ale ostatnie zbierając siły, zerwał się jeszcze, i wyrzekł głosem okropnie zmienionym:

— „Nowa bajeczka pana majstra!“

— „Prawda! prawda! stary grzeszniku! i przyszła chwila sądu i kary na ciebie!...“

— „Czy nie masz nowej jeszcze jakiej bajeczki na podręczu o małżeństwie w Rosji...“

— „Śmiej się ostatnim śmiechem swoim, jeżeli nie zapłaczesz... czy myślisz że biedny szewc, gdy się o tem dowiedział, pozostał nieczynnym?... u nas mój ty salonowy panie, inne uczucia na ulicy! Biedny szewc zastawił suknie, zastawił sprzęty, i piechotą poszedł do Rosji, i świadectwo ślubne przyniósł dla biednej Tekli, aby przecie jej córka miała dowody swego urodzenia... Cóż milczysz teraz?...“

Baron spuścił oczy w dół; chciał mówić, ale tylko usta jego drgały konwulsyjnym drżeniem.

— „Biedna Tekla błagała o miłosierdzie dla ciebie, i umarła przebacząc tobie..... a jam się przywiązał do biednej Boguni..... i głupi nie chciałem korzystać z tych dowodów.“

I wrażeniem tej chwili porwany, dobył Karosz z zanadru paczkę papierów.

— „Tu są te papiery! tu są te dowody! milczysz teraz?...“

Szelest papierów dobytých przez szewca, zdawał się barona przejmować elektrycznym drżeniem; zadrgał cały, i tylko jedno przełotne rzucił na brata spojrzenie, i znowu stał nieruchomy, oparty o stół zielony, z oczami w dół spuszczonemi. Zdawało się, że go już zupełnie siły opuściły, że złamana jego duma cała, że się już próżnej wyrzekł walki.

— „Milczysz teraz!.... i ja milczałem, i Bóg mnie karał, a przecie ja myślałem, że dobrze robię, Bóg widzi, że Bogunię kochałem jak córkę własną, i dzieliłem się mieniem mojem, dzieliłem się chlebem, a tyś się nawet nie spytał o nią.“

Biedny stary szewc coraz więcej był wzruszony, drżał, jakby go febra trzęsła, a łzy zaczęły mu padać z oczu jak groch wielkie; płakał stary jak dziecko, bo też rozpamiętując całą przeszłość, czuł ból w sercu okropny, ból niczem niezasłużony. I zamarzył biedak stary przez długą chwilę, a oczy zwrócił ku łóżku, w którym zdawało mu się widzieć i słyszeć konającego ojca.

Baron tymczasem podniósł oczy pomału, w nich wrzało całe życie myśli, w nich była jeszcze chęć walki niezłamana, i z lekka kociem spojrzeniem spoznał na szewca i za jego idąc spojrzeniami, zatrzymał się okiem na tem samym łóżku, w które patrzył szewe stary. Ale on nie za dawnymi tam patrzył pamiątkami. W jego oczach zdrzał wyraz okropny, złowrogi, wyraz wścieklej pożądl wości, bo te oczy patrzyły na parę krucic przy łóżku leżących, i le dwie je nie przyciągną wzrokiem mocnym, w którym wszystkie, zdaje się, skupiły siły fizyczne i moralne starego barona. Palce mu się wyciągnęły mimowolnie, ruchem czołgającej gadziny zdrzały. On był bratobójcą już!... myślą i chęcią!...

— „Milczysz teraz...“ — zawołał znowu nasz Karosz, zmiekczony znowu wzbudzeniemi pamiątkami. — „I przyszedł twój syn...“

— „Przestań, przestań już...“ — ozwał się baron głosem zmienio nym; ani w nim znaku dawnej dumy i złości.

Zdziwiony Karosz spoznał na niego i ledwie go poznał, tak był zmieniony; pokora i słodycz patrzyły z oczów zgrabnego salo nowca. Na poły był już ulicznik zwalczony.

— „Przestań bracie!“ — ciągnął baron dalej głosem jeszcze większym.

Stary Karosz zapłakał jeszcze mocniej i wyrzekł słodszy m głosem:

— „Widzisz... więc...“

— „Nie mów, bo to jest okropne...“ — i porwał się baron za czoło i za oczy, lecz je przecie tyle nie zakrył, by szybkim spojrzeniem nie zmierzyć przestrzeni dzielącej go od łóżka. I była w oczach pa trzących chwila wątpliwości, lecz mimowolny ruch szewca, który sta nął w tej chwili na środku drogi prowadzącej do łóżka, śnać zdecy dował barona. Westchnął bowiem jeszcze potulniej, ba nawet ręką trzymającą oczy, wycisnął jakąś niby łzę z nich, łzę podręczną, łzę judaszową.

— „Żałujesz teraz...“

— „Bracie, bądź mi miłosierny!“ — wyrzekł znowu baron tak patetycznie, iżby się głosu tego nieboszczyk Talma był nie po wstydzil.

Smiejcie się z głupiej ulicy, drwicie z śmiesznego szewca, który płakał jak bóbr, a płakał głośno gdyby student.

— „Przebac bracie!“ — przemawiał baron coraz czulej; — „złamałeś dumę moją, upokorzyłeś mnie słusznie i otworzyłeś oczy! bracie, to okropnie!“

A co słowo zbliżał się stary baron nieznacznie do rozczulonego szewca.

— „Lecz nie ma chwili do stracenia... ratować potrzeba... ra tować nasze dzieci!“ — dodał z przyciskiem tragicznym.

— „Ratować Jasia!“ — zawołał Karosz, i oczy się biedakowi za iskrzyły, bo Jaś, toć przecie skarb jego cały.

— „Przebac bracie!“ — mówił dalej baron, a był już o dwa kroki od starego szewca; — „i uściśnij brata“ — a dodając równie doskonale udaną mimikę do głosu i spojrzenia, wyciągnął baron obie suche ręce.

Szewc wierzył, bo przecie miarkował, że na jego miejscu byłby podobnie postąpił; więc i jemu mimowolnie roztwierały się ramiona do uścisku braterskiego.

Uciekaj szewcze przed uściskiem salonowym, bo w nim czyha zdrada! Niech cię dotknie tylko, a wnet jesteś oszukany i wysmiany!

— „Uściśnij mnie bracie!” — najmelodramatyczniejszym tonem wygłosił Karliński.

I wszystkie zebrawszy siły, ostatniem nateżeniem stary osłabiony baron przyskoczył do szewca; jedną ręką w pięść ściśniętą uderzył w twarz Karosza, a drugą ręką porwał za papiery. Krew buchnęła z nosa odurzonego szewca. A przed drzwiami rozległ się głośny przeciągły śmiech, i to już nie westchnienie ducha, ale śmiech szatana piekielnej wysokości.

Krótką była walka, mimo istotnej różnicy siły między barczystym szewcem a wychudłym baronem. Znienacka schwycony, szewc uległ Karlińskiemu, który z urąganiem i śmiechem zawołał:

— „Głupi szewcze!...“

Bo już papiery trzymał w ręku swoim i skokiem szybkim, skokiem nateżonym, skokiem, któryby sam powinien nawiecznić pana Karlińskiego zgrabność, rzucił się w tył, jedną ręką pociągnął za dzwonek, aż zatętniło w całym domu, a drugą ręką z papierami wyciągnął ku płonącemu kominkowi.

Lecz w tej chwili szatan za drzwiami śmiejący się, pojawił się w postaci grubej, czerwonej, niepewnie na nogach trzymającej się pułkownikowej, bo ona to pod drzwiami całej rozmowy słuchała. I papiery co tylko wydarte szewcowi, tym samym sposobem znalazły się w rękach tej zacnej pani.

Nadbiegł kamerdyner, nadbiegła służba.

— „Chodźcie, chodźcie!” — zawołał baron zaperzony w ostatniej rozpaczy, patrząc na wydarte sobie tak niespodziewanie papiery.

— „Idźcie precz draby! my tu mamy z sobą pogadać! czy rozumiesz baronku?...“

Baronek spuścił głowę przyzwyczajoną pod tyloletnie jarzmo. A służba przyzwyczajona za panem słuchać rozkazów samowładnej pułkownikowej odeszła, pomrukując śmiechem a żartem, rada, że choć tym sposobem może się zemścić za podległość swoją.

— „W sam czas baronku przyszłam.. a jużto w innej przyszłam myśli, bo mi ten przeklęty kadet sprzeniewierzył się... Iotr, któregoś wypieściła, wyhodowałam, na kadeta zafortragowałam, osadził mnie na koszu, szkoda go, bo ładny i tegi chłopiec... ale chcę mu pokazać, że mnie łatwo o męża... chociaż chudy, łysy, kiepski... ale zawsze mąż... rozumiesz mój baronku?...“

I zaśmiała się znowu szatańskim śmiechem.

— „Teraz zupełnie jesteś w mojej mocy, już mnie teraz tumańnić nie będziesz razem z tym łotrem wychrztą adwokatem... wszystko moje i ty mój... luby baronku...“

Karliński milczał, bo teraz już go zupełnie siły opuściły.

Dziwne losu zrządzenie, stał między występkiem własnym a karą,

występkiem, który mu wyszczerzał się z oczów brata, i karą nieodzowną przeznaczoną, uosobioną w tłustej pułkownikowej.

Karosz stał bezprzytomny prawie; na twarzy jego była krew i łzy... i to w pokoju ojca, z którego już teraz miał na zawsze odejść z krzywdą nigdy niepowetowaną, z bolem w sercu... w nędzy i biedzie.

— **A* pan majster niech się wynosi swoim kosztem z naszego domu! **K* ozwała się tłusta dama rozkazującym tonem, **K* bo mamy w przeciwnym razie służbę, która go wyprosi przez schody. I nie myśl baronku, żebym ja była dała ci uledz w walce z braciszkiem. W razie potrzeby byłabym ci wpadła na pomoc, bo te papiery musieliśmy oczywiście mieć koniecznie. **K*

I śmiała się pułkownikowa, biorąc się pod boki, i szyderczo patrząc się to na jednego to na drugiego.

Rzućmy zasłonę na resztę tej sceny, która prędzej czy później jak każdy rozumie, skończyć się musiała, tak jak się skończyć inaczej nie mogła.

Nasi uliczni bohaterowie i tym razem jeszcze ulegli ludziom mającym za sobą zgrabny fałsz, czyhającą zdradę i popleczników w sługach swoich namiętności, którzy im pomagają, razem mszczą się a potem karzą ich... To jest jedyny dowód wyższej sprawiedliwości, która nigdy nie milczy, ale swojemi idzie drogami...

dotąd

E P I L O G.

Powieść skończyłem, zdaje mi się.. na cóż więc ten epilog!... Dla ciekawości atoli czytelników trzeba koniecznie najdrobniejsze opisać szczegóły....

Co się stało z Bogunią? co się stało z Alfredem? co z Janem Karoszem, jęczącym w więzieniu? co z innymi?...

Słyszę zewsząd pytające głosy, domagające się u powieściarza, by nawet koniec artystyczny powieści miał swój powszedni i konieczny koniec. By słowami żartobliwego Momusa mówiąc, Numa poszła koniecznie za Pompiliusza.

Lecz tu kilka może być końców.. Bo jużż Bogunia mogła umrzeć w skutek rany zadanej?... i toby dla niej było może najlepiej.

Jan Karosz mógł zginąć w więzieniu; a stary Karosz na śmieciu, coby było najpodobniejsze!

Władysław mógł także zasłać w skutek tkliwości swych uczuć, i wyruszyć na kurację koziego mleka!..

Jeden tylko Alfred, co musiał koniecznie ożenić się z Kamillą, boć przecie te dwie zacne osoby dla siebie tylko stworzone.

Ale natomiast mógł Jan Karosz wyjść z więzienia, co przecie nie przeszkadzałoby temu, iż mógł wraz z ojcem żyć i umierać w nędzy.

Ale czyli też Władysław nie mógłby się ożenić z Bogunią, która wyzdrowiała. To podobne! krzykną niektórzy kpiąco i żartobliwie, do głupiego i extentrycznego poety, by się ożenił z biedną opuszczoną i zhańbioną szewcówną.... ale na słowo powieściarza.... bardzo cnotliwą.

I kto wie, czy tak się nie stało, bo kiedyś będąc na cmentarzu, widziałem bladą i ładną kobietę z dwójgiem dzieci i z mężczyzną czule na nią patrzącym.... Modlili się oboje!.. do tego Boga, który wszystko widzi i wszystkie łzy aniołów i śmiechy szatanów rachuje w swej sprawiedliwości, by wymierzyć w swoim czasie nagrodę i karę. Kobieta była kulawą... a mężczyzna miał natchnienie w oku. Modlili się nad dwoma grobami z bliźniętami. A kobieta pieściła oboje dzieci zarówno, mężczyzna nie robił między niemi różnicy.

Z tych więc końców raczcie sobie łaskawi czytelnicy wybrać koniec, jaki wam się lepiej podoba. Ja zaś ani o tem, ani o tamtem zakończeniu nie powiem ani słowa, bo wyznam, że powieść moja o salonie i ulicy nieskończona, równie jak i treść jest dotąd bez końca.

Jeszcze więc spodziewam się pisać w nowej powieści i o biednym krawcu wiarusie, i o innych bohaterach tej powieści.

Do zobaczenia więc z moimi czytelnikami.

JUTRO.

(Pierwsze wydanie 1844 r.)

mski bogowa

mekanski lehen

do cebr hospitalium melrij tabie ubaryhedy, buntij --- 348

nyden Adama - idolewsi nie dazy dylek

Paryż

ORTO

I.

Zatopiony w dumaniu siedział pan Adam Dobek w pokoju swoim; oczy jakby zagasłe przeciągał w koło siebie, i nic z nich nie przemawiało, chociaż nie jeden przedmiot jakich tam było wiele, zdołałby poruszyć najozięblejszą duszę. W pokoju tym był zbytek spanoszonego bankiera: w marmurach, bronzach i mozażce, smak arystokratyczny w całym składzie starych zbroi, szyszaków i orężów systematycznie na ścianie ułożonych; nieporządek poety w książkach, dziennikach i rycinach, bezładnie rozrzuconych na długim stoliku staroświeckimi rzeźbami upstrzonym, stojącym przed krzesłem poręczowem. Lecz spoczywający pan Adam nie czytał, chociaż nęciły do tego księgi zamknięte świeżemi różnymi barwami okładkami, a otwarte drukami brukselskim i paryskim; nie pisał, siedział tylko, a z oczów nic nie przemawiało, nawet w pozbawionym blasku wzroku nie było myśli, nie było marzeń; gdyby nie ciężki ruch oczów można by mniemać, że pan Adam w epileptycznym jest stanie — był to stan odrętwienia zupełnego, gnuśnej obojętności.

Wszedł młody człowiek; życie weszło w ten milczący przybytek; spojrzenie pełne myśli i uczuć spoczęło na obumarłej w szlafrok z prawdziwego kaszmiru owiniętej postaci; słowa drżącemi od wewnętrznego poruszenia zakrzyczał raczej niżeli powiedział. — Są już!.. już przywieźli...

— Co takiego?

— I obraz i posąg jakby cudem razem przybyły.

Cud prawdziwy był w ruchu gwałtownym i konwulsyjnym, z jakim skoczył pan Adam z wygodnego krzesła, nogą potrafił mięki haftowany podnózek; cud prawdziwy w spojrzeniu jakim błysnęły martwe oczy, a usta leniwie dotąd zamknięte wykrzyknęły. Przecież! przecież mój drogi Wacławie doczekaliśmy się. Przyskoczył do młodzieńca z uśmiechem na twarzy, licami zapromienionemi; rzekłbyś widząc te ruchy urwane i żywe, że więcej w nim życia niżeli w młodzieńcu, którego oczy odpowiedziały spojrzeniem przyjaźnym i radośnym razem; lecz uważnie na nich spojrzawszy była wielka różnica: w Wacławie było życie młode, prawdziwe; w panu Adamie życie sztuczne, kapryśne; w tamtym życie było zdrowiem, w tym zaś chorobą. — Chodźmy! ciągnął dalej pan Adam, chodźmy je widzieć, zachwycać się! zachwycać się — powtórzył głosem niestosownym do tego przedsięwzięcia, bo smutnym prawie.

— To będzie trudno, są bowiem jeszcze obwinęte i opakowane; zawieziono je do twego domu w mieście, ale wysłałem już

naszego poczciwego Włocha, aby się zajął ich rozpakowaniem i ustawieniem należytem; jutro...

Skoczył jakby ukąszony od gadziny pan Adam. — Jutro dopiero! — Ja nie chcę jutra, tego przekłętego jutra; ileż cię razy prosiłem Wacławie, byś się tego odkładania oduczył; ja dziś chcę widzieć! ja mam jutru odstępować uczucie, którego się spodziewam doznać; tyła godzinami oczekiwania wykarmione uczucie, niepewnemu jutru! Dziś!.. każ zaprządź, jedziemy zaraz; wyslij Zawieruchę na moim orle naprzód, żeby Rokani zaraz poustawiał w należytem świetle... ale, niech Osman poleci zaprosić Alfreda, Juljusza i innych, tylko prędzej mój Wacławie!.. patrz, dodał porywając zegarek ze stolika, już dwunasta, czas upływa, a ja tak pragnę. — Wyleciał Wacław rzuciwszy spojrzenie pełne żalosego współczucia na pana Adama. Zostawszy sam pan Adam zadzwonił; wpadł kamerdyner, piorunem latała służba, w kilka chwil już był ubrany; szpaczek orzeł strzałą poniosł kozaka; murzyn sławny szybkobiegacz, burzy pędem pognął zapraszać gości; krakowiak Maciek głośnie bicza trzaśnięciem popędzał już dziarską piątkę od stajen do dworu, a przecież pan Adam drżał z niecierpliwości.

Wsiedli przecie; dzielna kasztanów piątka szybko przeleciała tę ćwierć mili, która przedzielała pomieszkane wiejskie pana Adama nad Wisłą położone od pałacu w Krakowie; a pałac, był nim w całym tego słowa znaczeniu. Odkąd Kraków Krakowem, powiada uliczna gawiedź, nie było takiego przepychu; jakoż w samej rzeczy było tam wszystko co bogactwo dać może, sztuka utworzyć potrafi, a smak w harmonijną całość ułożyć zdoła. Dziwnie lekką na wiek swój nogą, ledwie ręką dotykając bronzowych poręczy przebiegł pan Adam marmurowe schody; liczna służba zapełnia zwierciadlane przedśienia; nie wstrzymany pognął z Wacławem wzdłuż galerji szklanej, gdzie najradsze wszystkich krajów krzewy i rośliny wonią i barwą czarują; raźniej od własnej myśli przebiegł przez sale obrazami napełnione, przez ten cały świat wieków przeszłych, zdarzeń przebrzmiałych, świat pędzlem malarzów wywołany, w którym nie wiedzieć, co więcej podziwiać, czy czyn wielki, który na cię historyczną pogląda twarzą, czy pędzel mistrza, który bogactwem wyobraźni i barw swoich nieme płótno ożywił, czy tego wszechwładnego Stwórcę, z którego dłoni sypiące się iskry żywotne padły — tam w ubogą skalistej Judei dziewicę — tu w młodzieńca pięknej ziemi włoskiej, by z czynu i kunsztu powitała wiekopomna Madon rafaelskich pamiątka; nie wstrzymały go liczne ksiąg zbiory, ta spuścizna, dawnych natchnień, marzeń i nauk; ledwie okiem rzucił na posągowy świat, który mu jeszcze przebiecz wypadło, na te skamieniałe czyny i myśli przeszłości; aż nareszcie wstrzymać się musiał u drzwi do galerji posągów wchodzących: przed nimi bowiem zaszedł mu drogę z uniżonością kłaniając się chudy i długi mężczyzna, którego twarz składała się z wielkiego nosa jakby cudem zawieszzonego między olbrzymiami okularami i gęstymi czarnymi bakenbartami.

— Zaraz, zaraz monsignore Conte, zaraz będzie zawieszony

obraz, przesłiczny obraz, przecudowny obraz... i posąg już ustawiają w przyzwoitem świetle.

— Ale prędzej, prędzej mości Rokani! ja niecierpliwy, ja chcę widzieć zaraz.

— Zaproszeni za kwadrans przybędą — rzekł murzyn, ciekawie wyszczerzając oczy na marmurowe twarze, które się uragać zdawały z jego hebanowej barwy.

— To drugi raz będę z nimi widział — i rękę wyciągnął do klamki, której dotąd bronił nadworny malarz pana Adama, a teraz znikł dla przyspieszenia widoku tak niecierpliwie oczekiwanego.

— Adamie, dla czegoż ten pospiech; sam sobie zepsujesz uczucie, którego tak żądny jesteś; poezja piękności spodziewanych zniknie pod prozą przygotowań, rzekł młody sekretarz i przyjaciel razem.

Wstrzymał się pan Adam — poezja! przyjacielu, ty mówisz, że tam jest poezja! — i zamarzył na chwilę tylko, by znowu ruchem niecierpliwości biegać pomiędzy nieruchome posągi. — Wacławie! czy pamiętasz ten dzień, w którym mi przywieziono tę grupę bachantek; mówiłeś mi także o poezji, cieszyłem się jak dziecko uczuciem spodziewanem; patrz Wacławie jakie nieme te twarze, jakie zimne!... marmur!...

— Biedny Adamie! — szepnął z cicha młody Wacław... bo głośno odpowiedzieć czy nie umiał, czy nie śmiał.

Wszystko się kończy na świecie; jakoż w pół godziny już się skończyło oczekiwanie pana Adama: w pół godziny stali wszyscy przed obrazem i posągiem, odsłonięni kolejno przez chudego Rokaniego. Myśl była ta sama prawie w grupie kamiennej, jak i w obrazie; tu i tam wyobrażona była rozpacz matki. Grupa składała się z dwóch osób tylko, z płaczącej kobiety i poległego mężczyzny; na obrazie zaś nikły w dali kłęby dymu wychodzące z popalonych wiosek, a na przedzie w pośród bojowiska pokrytego trupami stała niewiasta między dwoma synami, z których jeden tylko co w ostatniego bólu skrzywieniu skończył, a drugi oparty o kolano matki ostatni wzrok swój dzielił między najdroższą mu matką, poległych brata i towarzyszków, i promienie zachodzącego słońca oświetlające cały obraz. Była to myśl samego pana Adama, zachcenie chwilowe powierzone pędzlowi jednego z paryzkich tegoczesnych mistrzów i dłutu rzeźbiarza włoskiego; pan Adam ciekawy był jedno i to same uczucie widzieć oddane tym dwojakim sposobem; żądał widzieć różnicę pędzla i dłuta. Alfred, Juljusz, Władysław i kilku innych z światowej młodzieży, otaczającej wszędzie pana Adama stało skupionych razem w różnych postawach podziwu kłamanego, uwielbienia złożonego z różnych odcieni próżniaczej ciekawości światowego znawstwa i uprzejmości salonowej, która chwali nie to, co chwalić potrzeba, ale co chwalić wypada. O parę kroków bliżej z założonemi na krzyż rękoma stał Adam zimny, jak marmur między zaperzonym zapalczywie ruszającym się Włochem i oniemiałym Wacławem.

— Signori raczcie przystąpić! to sztuka prawdziwa, tu ge-

niesz na tem płótnie!—wrzeszczał malarz, a pogardliwie uśmiechnąwszy się dodał — tanto na nagrobek dobre: tam śmierć, życie tutaj!

Wacław milczał, słowa przemówić nie zdołał, dusza jego przeszła w oczy; on jeden z całego towarzystwa czuł prawdziwie, chociażby może nie umiał pochwalić.

— C'est très joli! — odezwał się pan Alfred — przekłęcie trudny wybór!

— C'est sublime — głośniejsz ożwał się pan Władysław — jaka piękna twarz tej kobiety na obrazie; a tu jakie kolano dodał zwracając się do posągu: nie u nas to znaleźć modele do takich piękności!

— Prześliczne! precudowne! — wrzasnął z uniesieniem pan Juliusz, którego chuda kibić trzymała równowagę między prózną główką a cienkimi i giętkimi nogami — mais quelle idée ingénieuse! to samo przedstawić na płótnie i w marmurze, dodał z pochlebnym uśmiechem zwróconym do gospodarza domu.

— Nic piękniejszego nie widziałem!.. — A jakże to piękne farby!.. marmur jakby śnieg!.. precudownie, przewybornie, doskonałe!.. Albo jak naturalnie ten dym wznosi się do góry, to mi kapitalne wyobrażenie pożaru — wtórowali inni widzowie.

Pan Adam, który wbiegł do tego pokoju z takim zapałem, z taką niecierpliwością oczekiwał tej chwili, milczał zupełnie, ciekawie wypatrzywszy oczy, wpadał pomału w ten stan odrętwienia w jakim go widzieliśmy z rana.

— Monsignore conte! patrz co za koloryt, jaka karnacja! a ta twarz kobiety — per Dio! tak pięknie okropnej rozpaczy nie widziałem dawno. O moi panowie, takie dzieło tylko malarz stworzyć potrafi, tylko pędzel takie natchnąć życie.

— Ani pędzel, ani dłuto! — rzekł Wacław jakby zbudzony z marzeń — myśl tylko poety!.. różnicy znaleźć nie możecie; a przecie jest wielka, rozpacz na płótnie jest widzialna każdemu oku, ale tu w marmurze trzeba się jej czuciem domyślić; bo tam jest ciało rozpaczy, a tu jej dusza: tam malarz mistrz oddał rozpacz, która się ziemi trzyma, a tu rzeźbiarz poeta wlał w marmur rozpacz, która w niebo ulata natchnieniem, wiarą, nadzieją!.. Adamie! Adamie! co to za chwila! dzięki tobie! tyś powinien być szczęśliwy, bo ty jesteś zdolny ocenić piękność prawdziwą.

— Szczęśliwy? — cichym i smutnym głosem odezwał się Adam, zimną twarz odwracając od widzianego już widowiska. Na ten znak niecierpliwie oczekiwany przez grono młode wszyscy się zwrócili, i poszli za panem Adamem w głąb pokoi, aby usiąść do srebrami przepełnionego stołu, i zjeść obiad jakimi obdarzał często pan Adam, obiad jakich mało.

— Barbara gente — mruknął Włoch między zębami. A Wacław długą jeszcze chwilę przemarzył; myśl jego oczyszczona z ziemskich dodatków wzniosła się w niebo; żywym młodzieńca czuciem podziwiał i rozumiał jenjusz. Obiad był suty; szampan wrzał w próżnych głowach nie pomału: czarna kawa i likiery rozruszały do reszty przyjaciół pana Adama. — Adamie, Adamie kochany i drogi!.. z tobą tylko żyć!.. co za serce! co za rozum! jakie wino!..

Wrzaski w około gospodarza, który nieruchomy bez uśmiechu wesołości i skrzywienia nudoty przetrwał i obiad i szampany i kawę, i wesołe towarzyszków śmiechy, i wonne pochlebnych kadzideł dymki. Po kawie rzecz oczywista, nie było czego dłużej dosiadywać, bo pan Adam w karty grać nie lubił, a sami między sobą o cożby grać mieli? To samo u nich w kieszeniach, co i w głowach.

— A więc kochany serdeczny Adasiu, bądź zdrów, do jutra! — krzyknęli jeszcze. Jutro miał być bal w wiejskim pałacu pana Dobka.

— Do jutra mon cher! — Kilka drzeń konwulsyjnych przebiegło jakby ruchem maszyny elektrycznej wzbudzonych, przez żyły pana Adama. — Ach tak jutro! jutro bal u mnie! może się lepiej zabawię — mruzczał sam do siebie, idąc do pokoju osobnego, który zajmował w miejskim pałacu. Z pomiędzy najliczniejszego może zbioru bursztynów, koralu, drogich drzew zagranicznych, pianek morskich, wybrał sobie serajowego pomieszkania godny, z różanego drzewa cybuch, i na niskiej rozparłszy się sofie puszczał wonne kłęby sultańskiego dymu; marzył czy drzemał, to zagadka równie nieodgadniona jak stan jego duszy: ni radości na twarzy, ni smutku... jestli on szczęśliwy, czy nieszczęśliwy?

Drzwi się z cicha odchyliły. Wszedł Wacław; znikło z twarzy natchnienie, ale natomiast litość osiadła na młodzieńczych rysach; tam dusza przemawiała okiem, tu serce ciśnie mu lzy szczerego współczucia.

— Nie przeszkadzam ci Adamie?

— O nie! co powiesz? — i nieco ciekawości wyjrzało z zamartwych oczów.

Milczał chwilę Wacław; młody jeszcze nie wie jak zacząć mówić to, co jednakże czuje tak doskonale. — Chciałem wiedzieć zdanie twoje o tych dwóch arcydziełach?

Gwałtownie trącony cybuch potoczył się z łoskotem. Zdanie moje?.. piękny obraz, grupa piękna, bardzo piękna!..

— Zimno mój Adamie mówisz o tem, czego jednakże tak żywo pragnąłeś z rana, czego tak długo oczekiwałeś; innego spodziewałem się wrażenia...

— Wrażenia! — krzyknął pan Adam, i zerwał się tak szybko, iż niktby nie poznał, że już pięćdziesiątkę dobiega. — Ja nie mam wrażeń żadnych; ja miałem wrażenia rozmaite dawno temu! jam niezdolny czuć!..

— Sam się chcesz mało cenić!.. ty który tak dobry jesteś, siejesz dobrodziejstwa!..

— Tak! tak! być dobroczynnym, to było jedno z najmilszych marzeń moich.

— To nie marzenie, że codziennie tysiące ubogich błogosławią ciebie; ty tak dobrze używasz bogactw swoich, iż nawet ubogi przebacza ci, żeś bogaty; otoczony wszystkim co życie umilić może; czarownik samowładny talizmanem złota, wywołujesz księgi, obrazy, posągi, kwiaty, by cię nauką, zabawą i wonią otaczały.

— Tak! tak! to było marzenie lat moich młodszych.

— Ale tyś jeszcze młody, bo zdrów, bo umiesz wybierać przyjemności życia.

— Daj temu pokój mój Waławie; przestań, bo mnie męczy mowa twoja. Ach ja pełną piersią używać chciałem. O wrażenia pytasz mnie Waławie? Waławie daj mi coś, coby mnie poruszyć zdołało... Ach! wrażeń! wrażeń pragnę!.. Ale dosyć tego! jedźmy nazad; mnie swobodniej w wiejskim ustroniu; tu mnie cisnie; te posągi duszą mnie.

— Jedźmy! może cię rozerwą przygotowania na bal, który dajesz jutro.

— Jutro!.. ty mnie kochasz Waławie!.. nie śmiej się ze mnie, ale unikaj jeżeli możesz tego słowa złowrogiego. Ja nie cierpię jutra... jutro może mnie zgubić... jutro wiecznie świetne, wiecznie piękne póki jest jutrem!.. O mój Waławie! ileż to razy wyglądałem w życiu mojem tego zdradzieckiego jutra!.. chodźmy ztąd — a obejrawszy się dodał z szyderczym uśmiechem — jutro bal!..

II.

Jasno było jak w dzień w ogrodzie pana Adama nie od światła księżycy, bo ten zawstydzony sztucznym różnofarbnym lamp ogniem skrył się za chmurę, ale od oświetlenia rześistego, które w tysiącznych pełnych smaku kształtach rozlewało blask uroczy.

— Bądź co bądź, wyznać muszę, iż ten Dobek zna swoje rzecz; bal jest pyszny — mówił młodzik jeden z grona mężczyzn przechadzających się po ogrodzie w czasie jednego balowego przestanku.

— Ale z kąd on tego gustu nabrał?.. bo jakkolwiek mój stryjasek twierdzi, że on szlachcic, jest on zawsze parwenjuszem, — mówił pan Władysław, którego ojciec na wolikach, a mamunia na czepeczkach dorobili się fortunki dogorywającej już dzięki synalka rozrutności.

— Mniejsza o gust, ten przychodzi z pieniędzmi, ale powiedzcie mi panowie moi — przerwał pan Teodor, poprawiając okulary psujące doskonały wzrok jego — z kąd on przyszedł do tego majątku?

— I z kąd go tak czerpie — dodał bładny Alfred, dziedzic wielkiego imienia i wielkich długów. — C'est inconcevable!..

— Panowie przecież wiedzieć musicie, będąc jego towarzyszami codziennymi, czego soit dit en passant nie zazdroszczę; ale ja ledwie z Włoch przybywam, i cuda słyszę — pytał dalej pan Teodor, który soit dit en passant był przed trzema laty jeszcze we Włoszech.

— Julku, ty milczysz? a podobno znasz go najlepiej.

— Znać dawniej, a znać teraz, to różnica nie mała — odpowiedział Julek potrząsnawszy główką.

— Zjawił się tu raptem i jak z tysiąca nocy, wystawił pałac, wyczarował ogród nad Wisłą, zakupił pięć domów w mieście, z których utworzył pomieszkanie książęce; daje bale, sypie złotem.

— Ja go zapewne znałem dawniej, lecz przez lat kilka od

czasu wyjazdu swego do Rossji był zupełnie znikł — gdzie był, co robił, tajemnica zupełna; nikt nie wie o jego zatrudnieniach, miejscu pobytu... to jednakże dziwna rzecz!

— Powiadają, że z Rossji przywiózł pieniądze — jakie i gdzie je ma, nie wiedzieć; bo dóbr nie ma żadnych prócz lichiej wioseczki, którą kupił dla romantycznego położenia w krakowskiem województwie.

— Z Rossji?.. może sukcesja jaka?

— Point du tout!.. jemu podobni nie biorą takich sukcesji; ja mniemam, że karteczki, djabełek, szczęśliwe przejścia, zgrabność ręki...

— C'est possible; on ma coś złego w twarzy.

— Albo karty, albo inny jaki przemysł udał mu się pomiędzy bojarami...

— Comment pensez vous?

— Ale zapewne; ręka zgrabna umie nie tylko karty tasować. Ja nie bez przyczyny panów zapytuję, ce que ja go widziałem. Wprawdzie w położeniu bardzo różnem od tego, ale podobieństwo jest frapujące...

— Wiecie panowie, przerwał Julek z filuternym uśmiechem, on musi fałszować pieniądze.

— Djable voilà une idée lumineuse!.. bo słuchajcie, przysięgłbym, że to on raz jadąc dosyć późno wieczorem z Kijowa; wjeżdżałem właśnie do...

— Więc człowiek — krzyknął wychodzący z bocznej ulicy Waclaw — który panu Alfredowi darował konie i powóz na jakieś tam urojone małżeństwo, jest szulerem; ten, który wykupił z rąk lichwiarskich pana Władysława, jest złodziejem lub rozbójnikiem; ten, który wczoraj jeszcze zapłacił za pana Juljusza dług honorowy, jest fałszerzem!..

— Qui est donc ce jeune homme? — zapytał po cichu pan Teodor usuwając się tył.

— Sekretarz naszego Amfitrjona — odrzekł półgłosem zapytany.

Snać dosłyszał Waclaw, bo zmierzwiwszy okiem całe grono, by po prawdzie powiedzieć nieco zgłupiałe na widok jego, rzekł z przy-ciskiem. — Jestem jego sekretarzem, a co więcej jego dobrodziej-stwom winien jestem, to czem zostałem; on mnie z największej wy-dźwignął nędzy, z błota ulicznego wyciągnął, i tu posadził w szlachetnem i dowcipnem panów towarzystwie — ale przytem jestem szlachcic, a zatem jeżeli panowie czujecie się urażeni?..

Pan Teodor tą razą nie wiem czy co dowiedział, ale nie dosły-szał zapewne, bo gwizdząc jakąś barkarolę już był niedaleko pa-łacu; a i drudzy nie zrozumieli, bo po kilku niezgrabnych wymów-kach wynieśli się do salonów w milczeniu.

Gdy się to działo w ogrodzie, w salonach pana Dobka pełno światła, kwiatów, życia i ruchu; chociaż do nieżonatego zjechały się wszystkie damy z miasta i ze wsi okolicznych, nawet szanowna matka pana Juljusza, dama, która pod swoim kluczem trzyma de-pozyt przyzwoitości światowej, przybyła z córką, panią aczkol-

wiek naiwną, ale dobrze już dościął; i wszystkie panie osobliwie matki, ciotki i stryjanki panien na wydaniu sypią grzeczności i ukłony przed panem domu, nie pytając wcale żkąd to bogactwo tajemnicze, które już od dwóch lat wystawą, przepychem i smakiem wschodnie bajki zdaje się w rzeczywistość przemieniać. Jakoż bal dzisiejszy wart być królem balów; odpowiada zupełnie przygotowaniom, jakie robił do niego sam pan Adam. Ktoby go był widział jak wczoraj, i dziś jeszcze przebiegał z ogrodu do salonów, jak za jego szybkimi słowy setne ręce coraz inne, coraz kapryśniejsze tworzyły wymysły, nie poznały go teraz; darmo szukałyby w niemej, nieruchomej twarzy jego, owego wyrazu życia, który niecierpliwością, oczekiwaniem, niepokojem przemawiał wewnętrznym. Od początku balu z najściślejszą grzecznością, uprzejmością wyszukaną odbywał wszystkie obowiązki gospodarza; na chwilę jeszcze nie usiadł, nawet czas, który zwyczajnie odpoczynkiem bywa gospodarza, czas tańców choć wesołością wszystkich zajął uwagę, nie przyniósł mu spoczynku; niezmordowaną nogą przelateje od stolików gry do gron tańczących w salonie, okiem naprzód wyteżonem zdaje się szukać czegoś, lecz darmo tego wyrazu szukania bezowocnego, nadziei nieziszczonej z twarzy jego nie zdolają zdjąć ani namiętne uczucia stolików zielonych, ani namiętne ruchy na woskowej posadzce. Przystanek balowy do nowej powołał go przechadzki; i uśmiechem grzecznym gospodarza na twarzy przesunął się od grona do grona; przemawiał ruchem ust, bo twarz ciągle niema — a szkoda: gdyby nie ta postawa komandora z don Juana, jak to pod sekretem powiedziała dowcipna pani senatorowa, byłby pan Adam przystojny mężczyzna. Rysy twarzy regularne, czoło wyniosłe jakby na siedzibę obszernych myśli przeznaczone, oczy w których spojrzeniu na pozór obojętnem, pochmurnem prawie zaiskrzy się czasem błyskawica dawnego życia, tworzą powabną i szlachetną całość, zwracając na siebie powszechną uwagę i tajemniczą ciekawość: a chociaż mnogie zmarszczki, mocno przerzedzone włosy, postawa nieco pochylona, starszym go jeszcze robią, niżeli nim jest w istocie, a grzeczna lecz zimna obojętność wszystkich odstraszyć by powinna — mimowolny pociąg jakiś zwraca ku niemu wszystkie umysły i serca nawet, jakby ku starożytnej świątyni, która choć ku gruzom pochylona, niema i głucha bo bóstwa pozbawiona, zarysami swemi zdradzającemi świetne swe przeznaczenie mocno działa na patrzących. Tylko co porzucił grono niewiast poważniejszych, i spojrzeniami wszystkich matek popychany prawie zbliżył się do wesołego grona panien, powoli przechodził wzdłuż tego ogrodu żywych kwiatów, nieolśniony blaskiem tyłu oczów zabawą roziskrzonych, nieproszony tem bogactwem wdzięków uśmiechających się do niego z wdzięcznością jako do twórcy dzisiejszej wesołości; a przecież nie jedno spojrzenie ognściej na nim spoczęło, nie w jednym łonie dziewiczym zadrgało życie poruszone tajemniczym wyrazem jego twarzy: a z pomiędzy spojrzeń tyłu niewinnych, ciekawych i załotnych, jak dwie gwiazdy w tym uroczym ogrodzie zawieszono spoglądało ku niemu oczów dwoje. Wyraz niezwykajny na balu, wyraz tęskny prawie wystrzelił z tych oczów należących do najpiękniejszej na tym balu

Ludwika, córki mającego obywatela z krakowskiego. Młode to, bo w wieku na poły dziecięcym, na poły dziewiczym, niezepsute, bo na wsi wychowane lube stworzenie po raz może pierwszy w życiu doznało wrażenia niezwykłego na widok obojętnie patrzącego na nią pana Adama; poczciwe dziecko uczuło żal na widok człowieka, który jeden się nie weselił wśród wesółych. Mniej mając od drugich doświadczenia, niemniej mogąc zrozumieć usposobienie takiego człowieka, ona jedna sercem niezepsutem pojęła jak głęboko cierpieć musi, i westchnienie współczucia poleciało za nim, niesłyszane przez pana Adama, który patrzył na nią jak i na drugie; zdawał się także szukać pomiędzy temi twarzami, ale znaleźć nie znalazł. Rzecz jednakże dziwna, i on westchnął minawszy ten parter kwiatów wonny i uroczy; lecz o! jak różne były dwa te westchnienia, które znikły w drżącym od głosu fortepianowego powietrzu.

W czasie tego przestanku balowego machiaweliczne matki występowały z talentami córek swoich; pan Adam, nie wiedząc, że to dla niego klawisze piszczą i jęczą tony, w którychby się pewnie Talberg i Liszt poznać nie potrafili, wrócił nazad przez grzeczność i stanął koło fortepianu, na którym już trzecia z kolei popisywała się piękność balowa, waląc wariacie z Gis dur.

— Mais chantez donc ma nièce.

— Ciociu na balu przy wszystkich nie mogę—ozwały się głosy za panem Adamem; i po krótkiej sprzeczce, matka pana Juliusza nie mogąc wystąpić z chrapliwym dyszkantem własnej córki, wprowadziła wypraszącą się siostrzenicę, po parafiańsku zacerwienioną, bo do czereśni w tej chwili podobną, ale zawsze przesłiczną pannę Ludwikę. Spojrzał obojętnie po raz już drugi na nią pan Adam, musiał jednakże przyznać, że bardzo piękne ma oczy, bo mimo zmieszania swego tak blisko przechodząc koło pana Adama spojrzała na niego, i rzecz dziwna, znikło dziewicze pomieszanie: siadła do fortepianu ze szczerą chęcią, by śpiew jej rozjaśnił te zachmurzone oczy. Doskonały Steina fortepian umiejętnemi dotknięty palcami innym przemówił głosem, i z pełnego źródła harmonii, najharmonijniejszy wyleciał głos młody, giętki, pełny i uczony razem; to skromnym mrucał strumykiem, to rwącym huczał potokiem, grzmiał burzą, pieniem słowika dźwięczał. Nigdy jeszcze tak pięknie nie śpiewała. Milczenie ogólne przerwał raptowny okrzyk zachwycenia nie udany tą razą; gospodarz jeden zapomniał grzeczności zwyczajnej, milezał, przez krótką chwilę jednakże widział Ludwika najpochlebniejszą pochwałę w oczach jego, z nich bowiem wystrzelił wyraz tak silny, że aż w głębi serca zadrdzała dziewczyna: była chwila, w której spojrzenie jego mocno w nią utkwione przemówiło całym dawnym życiem; pięknym się wydał Ludwice, najpiękniejszym na całym balu. Krótka trwała ta chwila, lecz w pamięci dziewiczej zostanie na długo. Odeszli od fortepianu...

— Śpiewałaś jak anioł, — szepnęła do niej jej przyjaciółka, — lecz szkoda tego śpiewu było dla naszego gospodarza; czy widziałas go? zimny stał jak gład.

— On zimny! nie znasz go, Zosiu!... o nie!

— Patrzył jednakowo na ciebie i fortepian, i nie wiem prawdziwie czy wiedział nawet, czy to fortepianu, czy twój głos?

— On nieszczęśliwy!

— Nieszczęśliwy bogacz taki!... c'est unique.

— O tym nieznośnym Dobku gadacie? — rzekła zbliżająca się panna Marianna siostra pana Julusza — cóż to za faciata nieszczęśliwa, wygląda jak złe sumienie.

— Co też ty mówisz Marysiu; on ma mieć złe sumienie, on który jest opatrnością wszystkich nieszczęśliwych, on za którego codzień tysiące modłów wznosi się do nieba; on cierpi, ale jest dobry, bardzo dobry.

— Zapewne ty go znasz lepiej, lepiej w twoim wieku moja małańka; lepiej od mamy.

— Ja go mniej znam od was, bo wiele razy jest u cioci, wy go tak obsypujecie słodkimi grzecznościami, że ja ani słówka przemówić do niego nie mogę; ale ja rozumiem go lepiej od was, pojmuję go jak się pojmuje coś wyższego, coś lepszego!..

— Comme elle est ridicule! wyższy zapewne, a przecie go nie osiągnęłaś śpiewem swoim, chociaż przyznać trzeba, że się dartaś niepospolicie.

Pan Adam został tymczasem w gronie rozmawiających przy fortepianie, chociaż oczami pociągał za odchodzącą Ludwiką.

— Jaki głos czysty! — A jaki wysoki! — co za metoda!

— Metoda dobra na deskach teatralnych, ale nie w salonie; nie prawdaż panie hrabio? — rzekła zwrócona do pana Adama pani senatorowa, która sama zdrowiuteńkim mężem obdarzona, nie miała ani córek, ani siostrzenicy, ani kuzynki na wydaniu.

— Na metodzie się nie znam, ale była dusza w tym śpiewie.

Umilkły kobiety zazdrośne, a pani baronowa poleciała do siostrzenicy, avec ce mot dit si joliment. Rozczulone Ludwiki serce uderzyło mocniej; w tej chwili przypomniawszy sobie powiastkę z pisma świętego, zapagnęła być Dawidem, by boskim dźwiękiem ukojć smutek tego nieszczęśliwego człowieka.

— Co też państwo o metodzie mówicie; il y a de l'etoffe w głosie tej panienki, gadał głośno pan Teodor, mrugając oczyma z po za okularów, ale metody niema, jeżeli mowa o metodzie włoskiej; bo metody krakowskiej nie znam; we Włoszech moi panowie trzeba słyszeć śpiew, aby zrozumieć, co to jest metoda; tam metoda jest w powietrzu, bo wszyscy, lud nawet prosty, gondoliery, lazarony, śpiewają jak powiedział pan Dobek z duszą

— Pan byłeś we Włoszech? — przerwał pan Adam.

— Byłem, ach! byłem! to jest raj na ziemi; o całych Włochach powiedzieć można, co mówią o Neapolu: vedi Napoli, e poi mori! Kto nie był choć raz przed śmiercią w tej cudownej boskiej Italii, nie może mówić, że żył! Niema jak podróże, codzienną nową ciekawość nowe zaspokoją przedmioty; osobliwie we Włoszech, tej ojczyźnie... Byłby długo jeszcze prawil o tym jednym przedmiocie, który mu się wylitografował w pamięci, tem więcej że pan Adam nad

swój zwyczaj zdawał go się słuchać z uwagą, gdyby nie głos orkiestry, który go powołał do zamówionego tańca.

Zadumany sam jeden pozostał pan Adam; darmo patrzy za tańczącymi, darmo okiem ścigać się zdaje te ulotne arzbieski taneczne po posadzce, a te migotne lyskawice młodych oczów rozognionych tańcem i wesołością po powietrzu; coraz inne, coraz żywsze następują tańce, coraz weselsze tańczących postacie; jemu coraz smutniej, coraz samotniej w tym tak pełnym salonie, cudzo mu między własnego domu gośćmi. Szaloną wesołością toczy się, leci, pędzi wieniec tańczących w szybkiej galopadzie; pan Adam coraz posepniejszy, rospaczy bliski; nie słyszy nawet gwaru wesołego, nie ożywiły go nawet spojrzenia, które ciągle ku niemu zwrócone, przy każdej tańca przemianie iskry życia rzucają ku niemu. Biedna Ludwika nie przewiduje, że on jej już nie widzi, zapomniał, że widział, że słyszał jej śpiew, i tak go pochwalił: jego nudzi ten bal nieznośnie długi jednostajnie wesoły.

Skoczył raptem z miejsca, szukającym wzrokiem przebiegł salon cały, i przepychając się przez tańczących i nietańczących stanął wreszcie u drzwi, o które oprarty stał Wacław, a okiem pełnym wyrazu i zapału spoglądał w środek tańczących. Nie uważał pan Adam, z jakim natężeniem Wacław gonić się zdaje za przedmiotem, którego doścignąć nie zdoła; nie uważał tego ognia młodzieńczego, jaki strzela z oczów, goreje zapełem niezwyčajnym na całej twarzy; idąc za popędem własnej myśli porwał go za rękę — Wacławie! każ pakować, pojedziemy.

Wacław nie wrócił jeszcze zupełnie z kraju marzeń dalekich.

— Jechać? o nie! nie!..

— Ty nie chcesz ze mną jechać?

Zbudził się do reszty Wacław. — Jechać mamy?

— Jeżeli nie chcesz, ja sam pojedę, i zapewne — zimniejszym jeszcze głosem dodał pan Adam — wolisz bawić się, niżeli..

— I owszem, ja z tobą wszędzie, gdyby nawet na śmierć, — i westchnął, jakby tem westchnieniem chciał pożegnać lube marzenia swoje.

— I gdzież?..

— Do Włoch.

— Dobrze! jutro...

— O nie jutro! to długo czekać! dziś! prosto z tego nudnego balu.

Jeszcze chwila, i znikli obadwa z salonu; Wacław rzuciwszy długie pożegnawcze spojrzenie; Adam zimno bez pożegnania, a przecie tak się cieszył tym balem. Nikt ich nie postrzegł odchodzących; jedno tylko spojrzenie pobiegło za nimi niespokojne, Ludwika w tej chwili takt zgubiła.

III.

Dobrze już było z południa; porozrzucane różnych kształtów skały, jakby członki jakiegoś potwora przedpotowego, przedłużone

rzucały cienie na niżej rozłożone zielone łąki, przerzniete wężykiem srebrnego strumyka, i dalej jeszcze ciągnąc się, zdawały się łączyć z cieniem drzew, które tu i owdzie porozrzucane jakby gaje ogrodwe, coraz cieśniej kupiąc się zielonym pasem otaczały tę od całego prawie świata oddzieloną dolinę Alpejską. Byłoto u podnóża wzniesłego Montblanc, który jak starzec siwowłosy poglądał surowem obliczem na dolinę; tylu pokoleń, tylu wiosen świadek, tam gdzieś w obłokach rozpowiada dzieje tylu wieków, które się rozbiły o granitowe ziobra jego. Cichość taka panuje w tem miejscu, które już nie jest doliną, a nie jest jeszcze górą na tej zawieszonej na bryłach kamiennych ścieżce, jakby natura nie śmiała przerywać tego milczącego zadumania góry potworu. I milczenie panuje tak olbrzymie, jak olbrzymie są jego barki nieba prawie sięgające, jak olbrzymio rozległy jest widok, który się z tej ścieżki rozciąga póki oko sięga, i dalej za okres tępego wzroku ludzkiego w mgliste obłoki jakby w nieskończoność!..

Suchy kaszel przerwał raptem ogólne milczenie; głos ten zdradzał bytność człowieka karła, u stóp olbrzyma skały; powrotny uporczywy chorowity kaszel zdawał się być szyderstwem z tego przyrodzenia, które tu tak czerstwo i zdrowo wygląda. Na załomie ścieżki wiodącej do tego skalistego kraju, na którym jakby na podstawie siebie godnej spoczywa Montblanc, o skałę oparty siedział człowiek, którego twarz wiek jesienny i zmęczenie, a kaszel chorobę okazywał; jedno z najpiękniejszych miejsc obrał sobie, by od jednego razu ujrzeć krajobraz jakich mało, bo ztamtąd, z pomiędzy skał różnokształtnych jakby dekoracji porozstawianych rozciąga się widok na całą dolinę, strojną we wszystkie barwy hojnego przyrodzenia: w środku samym tej doliny zwierciadło jeziora zdaje się być na to umyślnie rzucone, aby odbijało pogodne żadną chmukrą niezaćmione niebo, i siwy szczyt góry; inaczej bowiem oko upojone pięknością ziemi nie widziałoby piękności nieba!... Lecz ten człowiek nie widzi, bo oczy martwym ruchem powlokłszy po całej okolicy spuścił na dół, jakby chciał kamyki rachować, które stopą pnącego się w górę młodzieńca trąceane, coraz szybszym z góry zsuwają się pędem; i wyżej na cienkiej w olbrzymi ząb wykrojonej skale stanął wreszcie młodzieniec; okiem pełnem życia spoglądał przed siebie, napatrzeć się nie mógł, w niebo wzniosł oczy jakby dziękować chciał Stwórcy za ten widok czarowny, pierś młodzieńczą szybkim podniósł ruchem, by nic nie stracić z tego czystego powietrza; na boku stało kilku mężczyzn z obojętnymi twarzami, pomiędzy którymi dwa najdobitniejsze były wyrazy na twarzach murzyna i kozaka: ten nie tu nie widzi, bo tu niema stepów, tamten nie podziwia, bo tu niema puszczy... A jeszcze wyżej szybował między niebem a ziemią orzeł olbrzymi; ten ziemi widokiem pogardza, bo w słońce się patrzy, które coraz niżej zsuwając się po niebieskiej przestrzeni tęczowemi barwami zaczyna oblewać śnieżny Montblancu szczyt.

Słyszając tylekroć powtórzony kaszel zeskoczył młodzieniec, i smutnem spojrział okiem na ponurą twarz siedzącego pod skałą.

— Adamie! Adamie! czyliż nawet ta cudowna okolica rozwe-

selić cię nie zdoła; patrz na to boskie dzieło, i ożyj wśród tylu cudów wszechmocną ręką skupionych tutaj!

— Zmęczony jestem; nie dla mnie skaliste ścieżki górzystej Szwajcarii! Zimno mi w tych górach!

— A we Włoszech było ci za gorąco!

— Prawda! prawda! — krzyknął pan Adam, skoczył z miejsca i rzucił okiem przed siebie — od godziny stoje, patrzę przed siebie, patrzę na tę obszerną dolinę, widzę lasy, gaje, trawy i wody; ach! ja i niebo widzę nad sobą, a przecież Wacławie tak zimny stoje, jak ten siwy i nieruchomy kamienny starzec za mną; lodowa głowa jego do mojej podobna! Zimno mi Wacławie i w głowie i w sercu.

— Adamie ty chory jesteś!..

— Chory, i bardzo chory! starość ciała i duszy to moja słabość!... o mój Wacławie, jak ja dawniej żądałem objechać cały świat, który mi się tak pięknym wydawał; ile ja nocy przepędziłem na marzeniach, na żądzy bezowocnej, która mnie ciągnęła w świat zamknięty dla mnie. Ja to wszystko już przemarzyłem, co tu widzę; ach! ja to to tak pięknem marzyłem!... marzenia zabiły rzeczywistość! O! gdybym ja mógł wrócić do owego czasu, w którym młody chłopiec jechałem o mil parę z uczuciem Kolumba wybierającego się w świat nowy; dziś darmo chcę wywołać z pamięci mojej dawne uczucia, darmo przierzucam wszystkie dawne marzenia moje, które były moją rozkoszą i rozpaczą razem; próbuję jedno po drugie; skarłały dziś dla mnie, czy ja dla nich skarlałem; darmo dmucham w zagasty popiół mojej wyobraźni, niema już iskry ożywej!.. Ja dawniej dnie, miesiące całe mogłem się pieścić z myślą bycia tu u stóp tego ojca gór europejskich; a dziś jestem tu, patrzę, i nic nie widzę tylko drzewa takie jak wszędzie; woda ta sama co u nas, góra wyższa od naszej Bronisławy, i nic więcej; ale góra martwy kamień, nieme przyrodzenie!... Włochy przeleciałem; Włochy dwadzieścia lat temu to był raj moich dumań samotnych, Eldorado mojej wyobraźni; Wacławie płakać mi się chce, jam się znudził w Rzymie, spociał w Neapolu, trząśł ze strachu o moje złoto w górach kalabryjskich: Kolizeum i Wezuwiusz, ruiny Pompejów, i wiecznie zielone Toskanii niwy przeszły koło mnie obojętniej, jak dawniej obrazki w jakiej panoramie podróźnej! Gdzie młodość moja? gdzie uczucia moje? gdzie marzenia? gdzie?... krzyczał pan Adam głosem tak przenikliwym, aż włosy Wacława do góry stanęły, dreszcz go przejął, a gorące łzy ściekały po drżących licach jego.

— Naturo! niegodna macocho! oddaj mi te lata bez życia przepędzone, te lata nędzy i daremnej żądzy! na co mi to złoto, kiedy dusza żebrze!... — i oczy jego w słup się obróciły — Nie! nie! mówił dalej cicho jakby się obawiał, by go kto nie słyszał; nie! ja nie chcę być żebrakiem!... żebrakiem! ach! to okropnie!

— Adamie! uspokój się; dziś zmęczony jesteś, czarno widzisz wszystko, ale pomalutku nie może być, abyś nie odżył w pośród tej coraz nowszem, coraz rozmaitszem życiem odnawiającej się natury.

— Ta natura nieludzka, sroga, daje co roku nową zieloność drzewom, ziemi; o! ten nawet głaz potworny stroi co roku w mech

cudnej zieloności, w róże barw uroczych, a mnież człowiekowi nigdyż nie odda lat nadaremnie straconych... by jedną chwilę w którejbym mógł pełną piersią użyć tak, jak marzyłem, by jedną chwilę; ale nie ja sypię złotem i kupuję za nie godziny, dni, miesiące, lata, bez barw, bez życia: dni życia mego, które tak rozmaicie przepędzam podobne są do olbrzymiego zielnika — są tam kwiaty i zioła wszystkich części świata, słiczne barwami, wonią kształtem, użytkiem — wszystkie zasuszone!.. Ty płaczesz Wocławie! szczęśliwy! możesz płakać; daj mi łzy! łzy to przeciw wrażeń jakieś!..

— Płaczę mój Adamie, bo nie wiem sam, co ci powiedzieć; moje serce kocha ciebie jak nikogo nie kochało; lituję się nad tobą, ale daruj niedoświadczeniu młodzieńca, ja nie mam słów... czuję iż są lekarstwa...

— Na śmierć tylko niema lekarstwa! — ozwał się raptem głos głuchy tuż koło niego.

— Widmo! widmo życia mego — krzyknął przeraźliwie pan Adam, i zakaszłał mocno przyduszony dymem cygara, który rozchodził się w około.

— Tak jest! tak! Widmot nazywam się; ale zkąd mnie pan znasz? — wyrzekł nadeszły wysoki, chudy i łysy mężczyzna, którego oczy miały wyraz przykrego szyderstwa, a gestami kłębami wypuszczał dym z cygarówki w kształt trupiej głowy zakowanej.

Chwila uroczysta milczenia nastąpiła; pan Adam drżał na całym ciele, wpatrywał się z uwagą w twarz nieznanego, która przez tajemne jakieś połączenie myśli, w tej chwili bolesnej dla niego musiała mu przywieść na pamięć smutne jakie własnego czy cudzego życia dzieje; promienie zachodzącego słońca oświecały okropnie brzydką twarz nieznanego; wzdrygnął się pan Adam, lecz odczchnął, bo zdało mu się, iż po raz pierwszy widzi tego człowieka.

— Owóż przepraszam, że pozwoliłem sobie przerwać panów rozmowę; ba, nawet nie wiedziałem, że mnie pan zna... ale zkądże?

— Ja nie znam pana!... twarz pańska...

— Twarz moja!... ha! ha! ha! twarz moja wiekiem i chorobą tak zmieniona, iż gdybyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi, gdybyśmy lata całe przepędzili z sobą, nie poznałbyś mnie pan. Ale odszedłem od rzeczy; gadatliwy jestem zwyczajnie jak stary, przeżyło się też wiek najgadatliwszy... mój Boże, wieki czynów przeminęły; my w ciągłej żyjemy paplaninie, zacząwszy od sylabizowania dziecinnego, na romansach tegoczesnych, aż do mów olbrzymich w parlamencie, i w izbie panów, na które mało jest miejsca w kolumnach tegoczesnych dzienników. No! no! nie niecierpliwicie się moi panowie!

— Ten pan jest chory; sądzę zatem, że rozmowa z nieznanym...

— Chory! tem lepiej, a jeżeli się nie znamy, możemy się poznać; ja jestem lekarz. na usługi panów moich; długo bawiłem w Polsce, i kosztem zębów moich nauczyłem się języka waszego

— Lekarz? i byłeś w Polsce? czy dawno?

— O dawno! pan byłeś zapewne wówczas żywym młodzienaszkiem, pełnym wyobraźni, uczuć, żądz.

Niewymownego uczucia doznawał pan Adam; nie znał go jak mu się zdawało, ale słowa jego, gusta, przycisk mowy zdają się być np. umyślnie wyrachowane, by wzbudzić w nim wrażenie.

— Dziś — ciągnął dalej pan Widmot — jesteś starcem prawie! ha! ha! ...

Widząc jak się Adam męczy porwał go Wacław za rękę i rzekł: — przebac doktorze, ale musimy cię pożegnać!

— Ledwie powitawszy już żegnać! Młodzieńcze, także ci przykre zdybanie z doświadczeniem? a przecież musisz się z niem zdybać, czy pod sklepieniem Montblancu, czyli — dodał zwrócony do pana Dobka — pod sklepieniem więzienia; nie prawdaż panie Adamie?... Nie patrzcie tak zdziwionemi oczyma na mnie; tajemnica cała znajomości waszych nazwisk jest w tem, iż słyszałem waszą rozmowę: wyszedłszy szukać jednej rośliny bardzo rzadkiej, która rośnie u stóp tego alpejskiego olbrzyma mimowolnie słuchołem waszej rozmowy schowany za ułam skały, a słysząc, że pomoc moja może być przydatną, jako lekarz przyszedłem.

— Ten pan jakkolwiek może być chory nie powierzy się nieznajomemu.

— Nieznajomemu? a któż ci powiedział, że ja nieznajomy; czy mniemasz, że mi potrzeba znać wasze nazwiska, tytuły, by wiedzieć, co jemu brakuje, albo tobie; czy myślisz, że doświadczony rzut oka człowieka, który tyle przeżył co ja, nie zdoła wyszukać rany, czyli ta jest na wierzchu jak u pana Adama, czyli tak ukryta, jak u ciebie panie Wacławie?

— U mnie?

— Jeżeli tak nie jest, powiedz więc, czyli zupełnie w tej chwili spokojny jesteś; nicze nie masz na sercu twojem, i kiedy stałeś tam na skale patrząc tęsknem okiem przed siebie, czy tylko piękność natury podziwiałeś? Uśmiechem młodości nie zamaskujesz tak twarzy twojej, bym nie zajrzał do serca twego! Wacławie ty kochasz!

— Ja kocham!... kocham mojego przyjaciela Adama!

— Ha! ha! ha! jeżeli go kochasz, nie miejże tajemnicy przed nim, by ci ta kamieniem przekleństwa nie spadła na głowę.

— Lekarzem jesteś! słyszałeś co mi brakuje, radź więc! widzisz żem bogaty; złota ile zechcesz za jedną chwilę pełnego uczucia takiego, jakiego doznałem tyle razy przed laty.

— Za złoto uczuć kupić nie możesz; zkadże przybywasz?

— Z Polski... z Włoch!

— W Polsce nie można kupić za pieniądze prócz chleba powszedniego, we Włoszech martwe płótna, posagi, pamiątki — to nie dla ciebie!... tu w górach śmiać mi się chce, ty szukasz wrażeń; po co daleko szukać było gór; wasze Karpaty!...

— Ach Karpaty! — krzyknął Wacław, a lekarz puścił dym przeciągły, i uśmiechnął się ze złośliwą litością.

— Na łonie najpiękniejszego nawet przyrodzenia nie już nie żyje dla ciebie; wiosna tylko dobrze się wydaje na wiejskich niwach; twoja wiosna dawno już skończona!

— A więc gdzież kres moich cierpień; gdzie nowe życie dla mnie?

Nastała długa pauza, Wacław posmutniał znacznie, i gdzieś daleko w wieczorny zmrok zamarzył; pan Adam pełen oczekiwania wlepił oczy w lekarza, który z uśmiechem złośliwym na twarzy, zdawał się szydzić ze swojego chorego.

— Im więcej uważam słabość twoją, mój panie, tem więcej przekonuję się, że ciebie świat wielki wyleczyć może!... dla ciebie Paryż!... zostaw świat natury dla młodych zapaleńców; dla wieku dojrzalszego jest świat wrażeń sztucznych, galwanicznych, co cię elektryzują barykadami, buntami, mowami pięknie brzmiącemi; operą, baletem, handlem papierów publicznych na giełdzie, handlem wiszącym na brodzie Ibrahima, lub cygarze Espartera; a taki świat codzieln inny, codzieln nowy, świat z głową w wymarzonych ideałach, ciałem tonącym w rozkoszach, stopniami na kolejach żelaznych; świat taki jest tylko w Paryżu.

— Paryż! prawda Paryż! ach! to jedno z najświetniejszych marzeń moich dawnych; ja tak pragnąłem być w Paryżu, żyć tem życiem paryskim bez dnia i nocy, ale żyć, pełną piersią żyć... Wacławie ty śpisz? ty marzysz? do Paryża jedziemy; to boski lekarz! czuję, iż odżyję w Paryżu.. do Paryża Wacławie!

— Jam nniemał, że pod nasze Karpaty — rzekł smutno Wacław; — jam nniemał, że do Krakowa nazad.

— Czy ci tam za czem tęskno? Jeżeli żałujesz, żeś się przywiązał do mnie, weź ile chcesz pieniędzy, jedź, porzuć mnie i bądź szczęśliwy, póki nim jeszcze być możesz.

— Uzywaj świata, póki służą lata! mówi wasze przysłowie polskie.

— Nie Adamie, ja ciebie nie porzucę, gdyby nawet szczęście najwyższe przyszło mi zostawić za sobą; poświęcę je chętnie dla ciebie... pamiętasz ową noc?..

— Nie mów dobry Wacławie; tyś mi się odwdzieczył sownie.

— Przysiągłem i dotrzymam.

— Młodzieńcze nie przysięgaj!.. a jeżeli ci przyjdzie trudno dotrzymać słowa?

— W takim razie może łatwiej umrzeć przyjdzie.

— Nie wyzywaj losu w szranki, młody człowieku; szkoda by cię było.

— Darmo mój panie złowrogimi słowami straszysz mnie; tu w duszy mojej słowa wyższe, że jest jeszcze drugie życie, a tam nagroda!.. Adamie ja ciebie nie porzucę; gdyby mi przyszło poświęcić szczęście, jakie tylko poeta wymarzyć potrafi, chętnie je poświęcę dla szczęścia twego.

— Dobry Wacławie! — z pół rozrzewnieniem wykrzyknął Adam. i ścisnęli dłonie; śmiech szyderski i przeciągły odbił się o strome skały, a gdy się zbudzili z rozrzewnienia już, był znikł lekarz w wieczornym zmroku; wierne tylko murzyna i kozaka oczy świeciły koło nich, a cichość w około jakby się natura bała przebudzić olbrzyma, który w mgle wieczornej pusnął.

IV.

Pierwsze wiosenne słońce wyгнаło wszystkich mieszkańców Paryża na tę tyłu lat sławną a zawsze ulubioną przechadzkę, odbywającą się co roku w Longs champs; tłumy pieszych z ruchawością Francuzom właściwą przebiegały boczne ulice, i wszyscy zdają się być zajęci, chociaż całem ich zatrudnieniem jest ulubione Paryżanom wyszczerzanie oczów: w samej rzeczy widok, przedstawiający się ich oczom, godny był ciekawości; żadnego nawet roku nie było podług twierdzenia najzawziętszych tej przechadzki lubowników takiej różnaitości w powozach, koniach, strojach i pięknych twarzach, bo też dawno nie było tak pięknego słońca wiosnianego. Już od dwóch godzin przesuwa się ta żywa panorama, a przeciwie dotąd nieporuszony stoi w jednym miejscu mężczyzna wysokiej postaci, którego twarz kwadratowa i zasepiona, włosy błęd w nieładzie rozrzucone, strój do żadnej mody niestosujący się, oczy leniwo zwracające się, i jakiś wyraz znudzenia na twarzy znamionują jako Anglika, niepospolitą porcją splenu obdarzonego. Nie mało powozów przejechało koło niego, lecz ani ich widok, ani grzeczne dam ukłony zimno nawzajem oddane poruszyć nie mogły opartego o drzewo Anglika; obojętnym kiwaniem głowy odpowiadał na ukłony strojnej młodzieży przejeżdżającej koło niego na koniach, których ruchy wyuczzone uśmiech pogardy w nim wzbudzały, raptem stanęło koło niego trzech młodych ludzi, których strój i postawa nacechowane były piętnem lepszego towarzystwa.

— Sir Willjam! czy założyłeś się, że przez cały ciąg przechadzki dzisiejszej nie ruszysz się z miejsca?

— Nie zakładałem się o to.

— Może się kochasz? a twoja bogini spóźniła się?

— Nie głupim kochać się, i nie czekam na żadną kobietę.

— A więc cóż u diabła, czy nie myślisz sobie w łeb strzelić?

— Wolałbym któremu z was, bo mię nudzicie.

— Doskonały! wyborny! zdowcipniałeś w Paryżu — i śmiech powstał szczerzy dowodzący, że tych panów stosunki przyjacielskie nie przypuszczają urazy.

— Przeciwnie zgłupiałem między wami.

— Patrzał! jedzie nowym powozem piękna Eliza.

— Cóż mnie do tego.

— Ale warto podziwiać wdzięki tej kobiety; wczoraj jeszcze nikt ją nie podziwiał, póki była w futerale ubogiej handlarki bukietów.

— Piękne, bardzo piękne!

— Poruszyłeś się przecie na widok tych wdzięków.

— Zdają się być prawdziwie angielskie.

— Co takiego?

— Konie!

— Konie podziwiasz! konie i powóz ma od tego bogatego Polaka, który rok już cały prawie zapełnia cały świat wielki swoim przepychem i zimną obojętną, sybirską twarzą.

— Jakto? — żywiej niż zwykle przerwał Willjam — to jego konie?

— I powóz i piękna Eliza jego.

— To mnie cieszy!

— Coż cię to może obchodzić?

— Cieszy mnie nieskończenie! — powtórzył Aglik.

— Otoż i on sam na koniu z nieodstępnym przyjacielem swoim!.. Co za konie! Jaki rząd! Dzielnie siedzą obydwaj. Wyznać trzeba, że ten pan Dobek jak go nazywają, piękny jest mężczyzna, mimo bladeści niezwykłej, i tego wyrazu złowrogiego na twarzy. Zdaje się być z marmuru. Co za zbytek; a jaki koń nawet pod kozakiem; co za ubranie fantastyczne murzyna; z całym orszakiem swoim i życiem w Paryżu jest on prawdziwie czarodziejską powiatką.

— Goddam wszystkie konie arabskie!

Zbliżył się w tej chwili pan Adam z Wacławem; skłonili się wszyscy uprzejmie; Anglik zaś szybkim krokiem wystąpił ku niemu, trzymając w ręku zegarek, co widząc pan Adam zatrzymał konia.

— Mój panie, nie znam ciebie, ale proszę, abys mi powiedział! wiele chcesz za odstąpienie tej tam dziewczyny... jak się ona nazywa... Elizy? jestem bogaty, zapłacę co ci się podoba.

— W Anglii tylko sprzedają żony podobno — odrzekł Adam, i ciekawością rozjaśnione oko spoczęło na szerokiej Anglika twarzy — takie jak tu nie sprzedają się: daruję ci wraz z końmi, powozem i domem, który dla niej kupiłem; dziękuję ci przytem, iż dałeś mi sposobność pozbycia się kłopotu; oddaję ci ją tak, jak ją wziąłem, życząc szczęścia. I podniósł oczy jakby w tłumie powozów chciał szukać tej, o której mówił; snać coś postrzegł, krzyknął bowiem porwawszy Wacława za rękę. Tam patrz! to on!.. i spiąwszy konia znikł z orszakiem swoim rozpędzając tłumy ludu.

Pozostali w śmiech. Anglik, schowawszy zegarek do kieszeni, rzekł zwrócony do otaczających go. — Przegrałem zakład znaczny z Lowondalem; chciałem z nim gadać choć nieznamy mu przez kwadrans; brakowało pięciu minut, przegrałem; a natomiast dostałem kobietę... oryginalny Polak!..

— Oryginały obydwaj! — szepnęli młodzi do siebie ze śmiechem...

Wieczorem dnia tego siedział Wacław zamyślony w pokoju swoim; zmienił się od dwóch lat niepomału, w rysy młodzieńcze żywe wcisnął się jakby robak zepsucia, w świeży pączek kwiatu jakiś rys zamyślenia czy smutku; widać po nim, że starszy o całe dwa niepowrotne lata. Zerwał się z miejsca; niepokojem gnany długo biegał po pokoju. — Nie! ja go nie porzucę, mruzczał sam do siebie, on mi dawniejszy przyjaciel; darmo sili się mój rozum tem życiem fałszywem skrzywiony, sumienie co innego mi powiada. Żegnaj was urocze marzenia!.. lećcie ku lubej, ku drogiej ojczyźnie!.. I znowu zaczął biegać. Maż to być prawdą, co tyle mi razy powiadał, że nieszczęście jest zaraźliwe?... Nie, ja bez niego nie chcę szukać szczęścia... oby on mógł być szczęśliwy!.. Po chwili walki wewnętrznej poszedł do pana Adama, który na sofie rozłożony starszy był o dwa lata, bleśszy i smutniejszy. Podniósł się pan Adam na widok Wacława.

— Żadnej więc nie mogłeś powziąć o nim wieści?

— Żadnej; byłem we wszystkich kancelarjach policyjnych; ani nazwisko, ani opisanie szczegółowe osoby nie pomogło, nikt o nim nie wie, i zdaje się, że nawet istotnie niema go w Paryżu.

— Jak ty to obojętnie mówisz!

— Nie obojętnie, ale mój drogi! mnie się zdaje, iż się tobie przywidziało; i już patrzałem w tę stronę, i nic nie widziałem.

— Ja go widziałem.

— A gdyby i tak nawet, dla czegoż takie wrażenie robi na tobie; od czasu jak zdybaliśmy tego człowieka u stóp Montblanc, nie możesz się uspokoić.

— Ten człowiek zna mnie dawniej!

— Dla tego tak sądzisz, że podsłuchawszy nas, jak sam się do tego przyznał, umiał korzystać z powziętych wiadomości o naszych imionach, usposobieniach chwilowych; cóż w tem dziwnego?

— Co dziwnego? ja nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale głos jakiś wewnętrzny powiada mi, że ten człowiek zna mnie, przynajmniej wyrazy jego przypominają mi człowieka, który dawniej kilka razy w różnych chwilach życia mego pojawiał mi się... był to także lekarz; młodszy byłem od ciebie gdy go raz pierwszy poznałem... on mnie pierwszy marzyć bez celu nauczył; ten człowiek zabił mnie!.. Waclawie darmo walczyć, darmo próbowałem rad tego szatańskiego lekarza, nic mnie zająć nie może, towarzystwo, opera, znudziły mnie; gram szalenie w papiery bankowe, dotąd mi się szczęści — a przecież, dodał trzęsąc się jak w frebrze, jutro mogę zostać żebrakiem... Jutro!.. żebrakiem!.. Jutra się boję, a dziś mnie nie nudzi, oto są dzieje moje całe. Słuchaj Waclawie, ty nie znasz całej przeszłości mojej, wiesz tylko, że byłem ubogi, oddany pisaniu próżnych marzeń, i nic więcej. Pamiętasz ową noc burzliwą, w której cię poznałem w lichem miasteczku stepowem na Ukrainie?

— Adamie! jażbym mógł zapomnieć kiedy, wszak tobie winien jestem, iż nie poszedłem jako prosty żołnierz na linię kaukaską; tyś mnie wykupił nieznajomego; tyś się potem postarał za pomocą pieniędzy nieszczędzonych o papiery, dowodzące moje pochodzenie szlacheckie; ojciec mnie się własny zaparł; matka, na haniebne puściwszy się życie, porzuciła mnie jako ciężar niepotrzebny. Tobie Adamie winien jestem wszystko i nigdy, nigdy tego nie zapomnę.

— O! pamiętam jakby dzisiaj to było, w lichej karczmie z płaczem dziecka rozповідаłem żebrakowi jakiemuś, który się chlebem ze mną podzielił, jak ze służby do służby przechodząc, z żądzą i pamiętką lepszego bytu porwany nareszcie zostałem, jako nie mogący dowieść szlacheckiego rodu, za rekruta.

— Przestań Waclawie! nie przypominaj!..

— Pozwól, pozwól niech sobie przypomnę; może nigdy tak nie potrzebowałem takiej pamiętki jak dzisiaj: o mój Adamie! ja się tu psuję w tem życiu wielkiego świata, tracę listek po listku niewinność i szczerotę moich dawnych uczuć, a przecie ciebie kochać powinienem nad wszystkich. Długo płakałem; wszyscy wyszli i żebrak wyszedł, sam jeden z myślą o przyszłości przebyłem noc całą, nad

rankiem mieliśmy już wyruszyć, kiedy zjawił się człowiek jakiś płaszczem owinięty; ty nim byłeś, złożyłeś znaczną kwotę, by zatrzymać dalszy pochód nasz, a w kilka dni wolny zupełnie pojechałem z tobą, i z tobą do grobu zostanę.

— Tym żebrakiem byłem ja!

— Ty żebrakiem?

— Tak jest; wszystkie zdolności moje, marzenia niebios sięgające nie dały mi kawałka chleba, pracować ręką nie umiałem, pracy głowy nie chciano kupować; ręka była za niezgrabna nawet do tasowania kart fałszywych: poszedłem żebrać w kraju gdzie mnóstwo znajomych, krewnych moich używało bogactw; z myślą sięgającą nieskończoności, z marzeniami bujnemi jak wyobraźnia poety, z żądzą używania niewstrzymaną, zostałem żebrakiem, to było okropne; nie byłem już w wieku, w którym niewygody ciała łatwo wytrzymać można, a prócz tego... słuchaj Wacławie! ja nie byłem tak niewinny jak ty, ja miałem na sumieniu nieszczęście dwóch istot, dwóch kobiet... nie żyją już obydwie; kochały mnie i zostały nieszczęśliwe; o! bo ja ci to powtarzam zawsze, nieszczęście moje jest zaraźliwe. Ty nie zrozumiesz, gdybym ci najdłużej rozpowiadał, co ja się nacierpiałem; walki z duszą, walki z ciałem; codzień kłaść się spać z myślą o jutrze. — To jutro przeklęte jak widmo okropne stało codzień nad nędzną wiązką słomy, na której zasnąć nie mogłem; i wlokły się te jutra okropne, jednostajne, niezmiennione długim szeregiem, myślałem, że już nigdy nie umrę, że już nigdy używać nie będę; a codzień wyciągając ręce do przejeżdżających powozów, marzyłem sam siebie w powozie, marzyłem opływającego w dostatkach, marzyłem książki, które zakosztowałem, zbytek, który znałem, marzyłem życie pełne użycia, marzyłem bez granic, wyobraźnię moją wyrzucałem z siebie w postaciach coraz czarowniejszych — a dziś nędzny na złocie, niczego użyć nie mogę, niczego: i biedziłem się z myślą okropnej nędzy... może jutro los mój poprawi. To były męczarnie bez końca; a jeżeli poznałem twarz znajomą, fałszywy wstyd nie pozwalał podnieść ręki choć głód szarpał wnętrzności: jednego z późniejszych krakowskich gości moich, tego w okularach zdybałem raz; było to w Rossji, plunął na mnie ze złości, bom go pieśnią żebracką przebudził. Przyszło nareszcie to jutro; w pierwszej młodości mojej zasłyszałem powiastkę, długoby opowiadać o skarbie ukrytym w znanej mi dobrze majątności; miejsce, w którym skarb ten zakopany, było mi długo niewiadome; przypadkiem dowiedziałem się o tem miejscu, w chwili kiedy cała dusza moja zajęta była innem uczuciem, zapomniałem o tem, a nawet miałem rzecz całą za bajkę: teraz w marzeniach moich o jutrze przyszła mi ta powiastka na pamięć; ze wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka zaszedłem we dwa lata z okolic nadwiślańskich, aż w dalekie Polesie wołyńskie, by szukać skarbu tego.

To była jedna pełna chwila w życiu mojem, aż wstyd powiedzieć, jedna! kiedy wśród ciemnej nocy, sam jeden, wśród świstu jesiennego wiatru, spocony, przestraszony dobyłem złoto, wiele złota, dobyłem kufry ze srebrami, z drogimi kamieniami, i rozrzuciłem

w koło siebie; w tej chwili zapomniałem wykopując złoto, zem zakopał na wieki spokój duszy i niewinność w grobie, który je pokrył na zawsze!.. okropnie!.. i widziałem już wszystkie wymarzone jutra, świetne, przynoszące mi w rzeczywistości te wszystkie moich chwil samotnych urojenia. Zasypałem skarb mój, zkał codzień po trochu w pewne, mnie znajome i ukryte wynosiłem miejsce; przedostatniego dnia widziałem ciebie w karczmie; męczyłem się w ówczas, mając złota tyle, iżbym mógł księstwo zakupić. Musiałem dostać płaszcz, by pokryć mój ubiór żebracki, bez sprowadzenia na siebie podejrzenia jakiego; ile ja wycierpiałem, gdy żyd, od którego nareszcie płaszcz ów kupowałem, mierzył mnie od stóp do głowy! Po raz ostatni poszedłem po resztę skarbu; deszcz lał ulewny, zimno kości przejmowało, a ja jeszcze przerzucałem ziemię czy się co nie schowało przedemną, dukat jaki nie zasunął, perła nie wyleciała; bogaty już się podłego skąpstwa nauczyłem. Wstałem owinąwszy w szmaty żebrackie garście drogich klejnotów, i podniosłem oczy ku niebu — nie, by podziękować najwyższemu, ale, by dostrzedz, czy daleko jeszcze do dnia jutrzejszego, w którym miałem zacząć nowe życie. Jutro! jutro! ozwałem się mimowolnie z tryumfem podłym. — Jutro umrzeć możesz — usłyszałem tuż koło siebie, tuż nad uchem mojem; lata minęły, a zdaje mi się, że słyszę jeszcze ten głos głuchy i piskliwy... nie, to nie był głos puszczyka, to nie był głos urojenia mojego. Wacławie, dziś przysiągłbym, zem słyszał te słowa złowrogie! I to jutro przesładuje mnie, to jutro zabija mnie codzień, to jutro jest chorobą niewyleczoną dla mnie; jak przekleństwo przywiązało się do mnie to okropne jutro; niczem odpędzić nie mogę bojaźni przed tem tajemniczem jutrem: chcę używać, wszystko mnie nudzi, bo się boję, by jutro nie skończyło tego źródła użycia mojego — złota! bo tylko złoto jest źródłem, zkał czerpię moje użycia wszystkie. Dusza moja, przygnieciona klątwą sumienia, boi się jutra; umysł mój zubożały przez trwonienie daremne wyobraźni na marzenia bezcelne, niczego użyć doskonale nie potrafi! Choroba moja jest niewyleczona, śmierć ją tylko skończyć może, a boję się śmierci; tak spodlałem przez to podłe złoto, że boję się, bym jutro nie umarł, boję się bym jutro nie został żebrakiem; a trwonię to złoto, bo bym chciał kupić choć jedno wrażenie silne młodzieńcze!.. Niestety próbowałem już wszystkiego; ten lekarz szatański zniszczył mnie do reszty swoim Paryżem, resztę sił duszy i ciała rzuciłem w tę bezdenną beczkę Danaid, w to życie parową machiną goniące!... Wacławie, jest to jedna może chwila, w której pozbyć się mogę samolubstwa które mnie jak rdza na wskrós przetrawia!.. w tej chwili zaklinam ciebie porzuć mnie, bo staniesz się nieszczęśliwy!.. stałeś się mi potrzebny, to prawda!.. może nawet nie dam sobie rady bez ciebie, bo ty równie mojemu smutkowi, jak i moim interesom jesteś potrzebny; bo ja nie umiem nic, nawet pieniądze zachować nie potrafię, a nazywali mnie za młodu wielką głową! — Głupie półgłówki! Porzuć mnie, weź z moich pieniędzy ile chcesz, i ruszaj gdzie chcesz!.. widziałem nieraz lży w twych oczach, gdy czytasz listy z Krakowa, widzę tęsknotę, <http://rcin.org.pl> bądź szczęśliwy póki czas,

póki nie zarazisz się, nie przepadniesz koło mnie. Dziś cię o to proszę, zaklinam nawet; jutro, ach jutro! zechcę cię może zatrzymać. Jedź mój Waławie, niech choć jeden człowiek będzie szczęśliwy przezemnie!

— Nie Adamie, w takim stanie nie mogę cię porzucić; czuję to teraz więcej jeszcze, że ci jestem potrzebnym, teraz kiedy poznałem cię!..

— Teraz poznawszy pogardzasz mną!

— O broń Boże, bym ja pogardzał tym, który mnie dał prawdziwe życie, życie umysłowe!

— Kto wie! szczęśliwszy może byłbyś wśród skał kaukazkich, z kulą nawet w piersi, niżeli z myślą, która cię trawi potajemnie; bo daremnie kryjesz przedemną, ty masz tu w sercu uczucie jakieś! Waławie może ty kochasz?

Zadrzał mimowolnie Waław, przycisnął piersi pięścią ściśnioną. — Kocham! cię Adamie z całej duszy mojej; Adamie, cię widzieć szczęśliwym jedyna żądza moja!

— Szczęśliwym! ach Waławie, daj mi szczęście, daj mi użycie, wszak ja nie żałuję złota; jeden dzień Waławie, jedną godzinę! dawniej, dawniej ach jako inaczej było!

— Słuchaj Adamie! — wykrzyknął nagle Waław, i przyskoczył z iskrzącymi oczyma do niego — jeszcze jedno lekarstwo dla ciębie; sam mnie naprowadzasz na tę myśl! ty możesz być jeszcze szczęśliwym!

— Mów! mów! zlituj się, nie odwlekaj! weź perły, weź drogie kamienie, weź papiery moje bankowe; daj dzień szczęścia!

— Pierwszym powodem nieszczęść twoich były kobiety, niech cię więc wyleczy miłość kobiety!.. kochaj Adamie i bądź kochany!.. to rozkosz najwyższa, to raj; w miłości młodej i niewinnej dziewczycy zapomnisz o przeszłości, żartować będziesz z jutra!.. Precz z radami prawdziwie szatańskimi, precz z cudzoziemskim miastem; do kraju wracaj Adamie; na ojczystej ziemi pokochaj dziewczynę z rodzinnego kraju!

Słuchał go z uwagą pan Adam; rozjaśniła się twarz jego po mału, nie unosił się zapałem jak Waław, gdy mówił o miłości, ale myślał o niej, jak o nowej nieużywanej jeszcze rozrywce. — Lecz czyż mogę być kochany? wyrzekł nareszcie; mamże kupić tę miłość, jak kupiłem Elizę, którą nieużywwszy oddałem, jak kupowałem w wielkiej operze, w teatrze francuzkim; taka miłość!..

— Adamie nie poznaję ciębie; uciekaj z tego zatrutego miasta, i wierz mi, że w naszej lubej ojczyźnie znajdziesz, jak zechcesz poszukać, serce co się na wieki do ciębie przywiąże. Ty jesteś nieszczęśliwy, cierpiący, blady, to są zalety u kobiet naszych, które poświęcać się mają za rozkosz najwyższą... Adamie ty będziesz szczęśliwy! kochanek! mąż! ojciec!

— Prawda! prawda! nie jestem jeszcze stary!

— Wróć tylko na chwilę do dawnych myśli swoich, a pojmiesz, że najwyższe, jedyne szczęście jest w miłości kobiety, która

jak anioł czuwa nad szczęściem naszym, czy to jako matka, czy jako kochanka, czy jako żona.

Adam nie słuchał; w myśli swojej przechodził tylko znajome kobiety, pomiędzy któremi mógł jak najprędzej znaleźć ziszczenie nowej pobudzonej żądzы swojej.

— Dobrze! dobrze! dziękuję ci Wacławie; myśl dobra, za myślą dobrą idzie... mam już tę kobietę, tego anioła, który mnie wyleczy, uszczęśliwi!

— Masz? kogo?

— O, tę dziewczynę na ostatnim balu moim!

Wacław pobladł, oczy na wierzech wyskoczyły, uchem nateżonym słuchał, jakby słowa Adama miały być wyrokiem stanowczym dla niego.

— Tę dziewczynę co tak pięknie śpiewała; ona jedna przyjaźnym na mnie patrzyła wzrokiem; czy nie przypominasz sobie jej imienia; ta o której nieraz mi wspominałeś chwalać jej przymioty, której brat pisuje podobno do ciebie, i ty mu opisujesz nasze zdarzenia podróżne.

— Ludwika? — przytłumionym zapytał głosem.

— Aha! Ludwika! — odrzekł obojętnie Adam, jakby sobie przypomniał nazwę konia zatargowanego; ani uważał, co się działo na twarzy Wacława; myślał tylko o sobie, niecierpliwie biegał po pokoju, by tylko zbliżyć chwilę widzenia Ludwiki, która przed godziną była mu tak obojętną jak darowana Anglikowi Eliza.

Wacław był spokojny na pozor, milczał ze ściśniętymi zębami, a ręką kaleczył piersi niemiłosiernie.

— Coż mówisz na mój wybór? prawda, że dobry; młoda, niewinna, o ile nią kobieta być może.

— O, niewinna! pewnie niewinna! — krzyknął Wacław.

— Zapaleniec jesteś! — z uśmiechem pół szczerym odpowiedział Adam — więc chwalisz wybór mój?

— Doskonały! — zimno odrzekł Wacław.

— Dzięki jeszcze raz za radę!

— Jeżeli jesteś mi wdzięczny za tę radę, więc po raz pierwszy w życiu mojem poproszę ciebie o nagrodę; ale przyrzeknij, że cobym zażądał, zrobisz niezawodnie.

— Zrobię, zrobię! — odpowiedział pan Adam na pół zadziwiony, na pół przestraszony.

— Mam słowo twoje! Jedziesz do kraju po szczęście, które spodziewam się nie minie ciebie; ja zostanę tutaj!

— Ty Wacławie zostaniesz tutaj? dla czego? z kąd taka myśl nagła?

— Póki mogłem myśleć, że do szczęścia twego niezbędnie potrzebny jestem, nie chciałem cię porzucać, ale teraz składając szczęście twoje w tak dobre ręce, muszę ci się przyznać, że już dawno mam myśl....

— Jaką myśl?

— To jest, — jakając się i myśląc mówił Wacław — to jest chciałbym innego życia... ja chcę... tak... ja chcę do Algieru!

— Do Algieru!.. i ty już Wacławie starzejesz się, zaczynasz się nudzić; czy to nieodmienne postanowienie twoje? — mówił dalej pan Adam, nie widząc nic nadzwyczajnego w postanowieniu przyjaciela, a nareszcie nie zastanawiając się nad tem żądaniem; stracił bowiem pomału nawet chęć zastanawiania się: to nadto męczące; bogacz jak on znajdzie zawsze takich, którzy zechcą za pieniądze zastanawiać się za niego.

— Niezmienne! jutro jadę do Algieru; a ty jutro do Krakowa! oby to jutro pogodziło cię z tem strasznem dla ciebie jutra nazwiskiem.

Kozak Zawierucha wszedł w tej chwili, oznajmując jakiegoś nieznajomego, który nie chce nazwiska swojego wymienić. Pan Adam kazał wpuścić; wszedł lekarz z podnóża Montblanu: godzinę wprzód byłby zrobił mocniejsze wrażenie.

— Zły lekarz jesteś mój panie; dawszy radę porzuciłeś chorego, a i rada omal mnie nie zabiła... to jest lekarz doskonały — dodał, wskazując na Wacława.

— Mnie się on więcej do chorego podobnym być wydaje — rzekł lekarz ze skrzywieniem ust wątpliwem — powołany do niebezpiecznie chorego, porzuciłem panów raptownie; a nazajutrz, gdym chciał pomówić jeszcze z nimi przed wyjazdem do Paryża, poleciełiście już byli pocztą.

— Znudzony tym nieznosnym Paryżem, wracam nazad do kraju.

— Zapewne, i to dobrze; byle zmiana miejsca: ja także na wędrowną wyruszyłem; raz jeszcze przed śmiercią chciałbym się przejechać.

— Jedź ze mną panie Widmot do Polski! — Pan Adam potrzebował towarzysza, to było głównem u niego; tracąc Wacława, kontent był z nadarżającego mu się lekarza: zapomniał już prawie lata, które przepędził z Wacławem, zapomniał wszystkie czułe dowody jego szczerego przywiązania, droższe jednakże nad wszystkie skarby, jakie posiadał.

Wacław nieruchomy stał oparty o ścianę; patrzył na nich, a myśl jego... o myśl jest lotna! myśl jest wszechwładna, buja bez granic, niema dla niej ni czasu ni przestrzeni.

— Pomyśleć muszę nad szanowną pana propozycją... a pan Wacław?

— Pokazuje się, że już dawno ma chęci niespokojne, które go w świat ciągną; do Algieru wyjeżdża.

— Czy tak? — z przyciskiem rzekł Widmot — a przecież słyszałem podobno owego wieczora, że nigdy nie porzucisz swojego przyjaciela.

— Dopóki mnie potrzebować będzie.

— Dziwne się rzeczy dzieją na tym świecie, jak uważam role wasze zmienione tak prędko, wieki wasze pomienialiście; pan Adam idzie w górę w wiek młody, a pan Wacław w dół w wiek stary.

— W grób! — mruknął Wacław, a głośno dodał z wymuszoną obojętnością. — Panie Widmot, spodziewam się, że poświęcisz się

zupełnie mojemu przyjacielowi, że o jego spokój i uszczęśliwienie
wszystkimi środkami starać się będziesz.

— Jestem lekarz i człowiek doświadczenia.

Udana obojętność Wacława nie mogła dotrwać długo; łyzy
gwałtownie wstrzymywane puściły się raptem, skoczył do pana
Adama, i porwawszy go w pół namiętnym ruchem — Adamie! Ada-
mie! — krzyknął, — obyś był szczęśliwy szczęściem swoim.... i mojem —
dodał łkając prawie. Z nierozumiejącem zimnem zadziwieniem spoj-
rzył na niego pan Adam; a pan Widmot, złośliwie uśmiechnąwszy
się, kiwnął łysą głową, i wsadził hawańskie cygareto do cygarówki
z trupią główką.

V.

Na grodeckiej ulicy w domu, którego powierzchowność, zaczer-
niona ciosowym kamieniem i upstrzona wiekowymi rzeźbami, mi-
nionie czasy przypomina, był salon tegoczesnym smakiem ustrojony,
tyle różny od zewnątrz domu, ile się różnią fraszki tam porozrzu-
cane lekkie, wysmukłe i nietrwałe od sprzętów, które zajmowały
niegdyś obszerne domu tego komnaty.

Pomiędzy temi wszystkimi filgranowemi modnych wymysłów
drobnostkami, które wszystkie świeżością prawie sklepową tchnęły,
siedziała pani tego salonu; istne wyobrażenie starego domu wiekiem
swoim, a modnego umeblowania strojem, wykrojonym zdaje się z dzien-
nika mód. Jest to uroczysta chwila wizyt, chwila pogadanki, plotek
miejskich, obmowy zgrabnej, chwila nader zabawna dla kobiet w wieku
pani baronowy Rowoskiej; dla kobiet, które nie mogąc już nikogo
sobą zająć, lubią się drugimi zajmować, nie mogąc być straszne
okiem, stają się zabójcze językiem; ruiny towarzyskie popodpierane
wiotkimi tykami przyzwoitości, są niebezpieczne jak zwyczajnie
wszystkie ruiny upadkiem grożące: biada nieostrożnemu, który nie-
zgrabnie trąci o jedną z tych podpór niepewnych; złośliwym kamie-
niem obmowy dotknięty, łatwo ochromić może i upaść na ślizkiej
woskowanej posadzce, która jest podstawą tych pobielaných ruin.
Pani hrabina jest to dama, która na wielkim świecie wzrosła i pe-
starzała; osiwała w walkach salonowych, burzliwą młodość prze-
mienila w przyzwoitą starość, zimnym obdarzona rozsądkiem zamiast
cnoty, przeżyła lata wiośniane i letnie, jeżeli nie bez szwanku, to
przynajmniej bez głośnych przygód: a potem gdyby co było, to tak
dawno było, że już nikt jej nie pamięta inaczej, jak damą, u której
ton i przyzwoitość w dawnym spoczywają depozycie; z tego skarbcza
rozdaje ona skąpą dłońią przywileje dobrego znalezienia się, zasłu-
gującym się u niej różnowiekowym obojej płci członkom towarzystwa
modnego. Ze starszemi jest w zbrojnej neutralności, a młodszych
podbija strachem swojej towarzyskiej powagi pod berło przyzwoito-
ści. Obok niej siedzi jej córka panna hrabianka Marianna, która
się już od lat dwunastu przynajmniej do dwudziestu sześciu lat; znika
ona przy matce, chociaż przy wykształceniu jakie od niej odebrała,

nie jej nie brakuje do piastowania sukcesyjnego po matce berła, prócz męża; lecz niestety, mimo wszelkich zabiegów, dotąd nie mogły znaleźć w pokoleniach przesuających się koło nich człowieka, któryby się dał uszczęśliwić ręką panny Marianny — taki to głupi świat młody; nie widzi szczęścia tuż koło siebie! Znają się te panie doskonale, rozumieją się jak koniarze na jarmarku; nie lubią się bardzo, ale czułość pozorną rozciągają aż do poufałego ty, którem przemawiają do siebie. Pani hrabina ma wprawdzie męża, ale ten podrzędną odgrywa rolę w jej salonie; najstarszym jego jest meblem, i jako taki stoi oczywiście w kącie; majątek pani hrabiny okrywa mgła nieprzejrzana; budżet finansowy odbywa się przy zamkniętych drzwiach, i dotąd utrzymuje się w dziwnej równowadze, dzięki oszczędności tak doskonale zamaskowanej, że nikt nie wie tego, jak skromny powszedni obiad pokrywać musi wystawę wieczornej herbaty: budżety takich domów modnych są to tajemnice rachunkowe, logarytmy niezrozumiałe dla ogółu!

Mało jeszcze osób w salonie, rozmowa toczy się obojętna, bo dotąd żadna nowość nie wleciała plotką, by ożywić suchą pogadankę o pogodzie, modach, teatrze; uważny dostrzegacz poznałby jednakże nie na twarzy pani hrabinej, bo ta umie milczeć, ale po jej nadzwyczajnej uprzejmości nacechowanej odcieniem wewnętrznego zadowolenia, że jest jakaś nowinka dobrze jeszcze zamknięta, na którą nie przyszła jeszcze chwila wypuszczenia w świat. Oczy hrabinej, zwrócone ku drzwiom, z radośnym uśmiechem witają każdego nowego przychodnia, a gdy spojrzy na tych, którzy już są w salonie, zdaje się niecierpliwie rachować nie wielką dotąd ich liczbę; rozmowa idzie leniwo, chociaż już panna Marianna wezwała do pomocy leżące na stoliku książki, i rzuciła kilka zadań towarzyskich o literaturze; ten przedmiot do niej należy, matka bowiem w rzadkich a stanowczych tylko chwilach rzuca nieznacznie i niedbale uwagi o nowych dziełach, na których nie mówię, ażeby się znać nie mogła; lecz nie lubi się zajmować tym przedmiotem, ubliżającym arystokracji salonowej, która opiera się jak może wciskającej się gwałtownie arystokracji rozumowej, arystokracji wczorajszej jak ją nazywa — jak gdyby rozum był dopiero wczorajszy. Najbliżej siedzący panny Marianny pan Teodor Kłamiński, najczęściej rozmawia wśród potakujących; jakoż posada jego w tym salonie jest mocniejsza od drugich; niedawno wzięwszy znaczną sukcesję po ciotuni, zmarłej bogobojnie na prowincji, stał się jako kawaler ważną figurą dla hrabinej, która nie traciła jeszcze nadziei wydania córki za mąż: od kilku miesięcy bywał częściej w salonie hrabinej, a choć dotąd żadnem wyraźnem słowem myśli nie objawił wewnętrznej, matka i córka wietrzą w nim starającego się. Pan Teodor jak wiemy był we Włoszech, podróżował nie mało, i choć z za granicy nie wiele więcej przywiózł rozumu, niżeli go wywiózł, nie jest jednakże bez zgrabności towarzyskiej, którą kieruje się dotychczas tak szczęśliwie po tym salonie, iż bez oświadczenia się wyraźnego umie sobie przecie skarbić grzeczniejsze od drugich przyjęcie: dziwi go to nawet, iż dzisiaj mniej niż zwykle odbiera tych słodkich gła-

skających słówek, któremi go wabia i próbują razem; często bywając u hrabiny mógł ją tyle poznać, iż przeczuwał jakieś nieznanne sobie zdarzenie czy odmianę; lecz dotąd nadaremnie próbuje różnych przedmiotów, niczego namacać nie potrafił.

— Byłem dzisiaj u pana Dobka — ozwał się po pauzie; — wyznać potrzeba, że jeszcze dziwniejszą przybrał postawę od czasu powrotu swego z za granicy. Hrabina podniosła oczy na mówiącego z dosyć oziębłym wyrazem.

— Co mówisz dziwniejszą; śmieszna jest postawa jego: te nowe cugi, konie wierzchowe, ciągłe karuzele; zdaje się jakby chciał wydawać się młodszym — przerwał pan Władysław Woliński.

— Czy tak starym jest pan Dobek? — spytała pani domu zwrócona do pana Kłamińskiego.

— Ma foi, ja nie wiem — i umilkł, bo mu się spojrzenie hrabiny nie wydało potakujące jak zwykle, gdy była mowa o nie bardzo od niej lubionym panu Adamie.

— Mniemam, że będzie miał lat pięćdziesiąt — rzekł znowu pan Woliński.

— Nie wygląda na tyle, — słodziutkim przemówiła głosem panna Marianna.

Pan Teodor milczał, należał tą razą do blakających się po salonie; najdziwniejszem mu się zdawało, że pan Juliusz z niezwykłą powagą siedział nad książką, tą główną nieprzyjaciółką swoją i ani słowa się nie odzywał do rozmowy o Dobku, którego nie cierpiał.

— Mój Teodorze, opowiedz damom to zdarzenie o panu Dobku, jak go zdybałeś w Rossji?

Dusznieby opowiadał pan Kłamiński, bo opowiadanie zdarzeń przeżytych było jego namiętnością i rozumem całym, ale czuł w powietrzu salonem burzę, z całą więc towarzyską przezornością odpowiedział:

— Nie zdybałem pana Dobka, o ile sobie przypominam.

— Ależ to zdybanie z żebrakiem? — odezwał się hrabia Alfred Rolicki.

— Mon cousin, — rzekła pani domu, bo hrabina była oczywiście kuzynką po kądzieli hrabiego Alfreda — są rzeczy, które nie wypada wprowadzać... wolisz nam rozpowiedzieć, co się stało z sekretarzem pana Dobka, owym romantycznym Wacławem, byliście bardzo dobrze z sobą.

Zaczerwieniał się hrabia Alfred.

— Nadto zaszczytu! — wyjąknął — lepiej zapewne opowie o tem votre cousin Casimir, którzy z nim korespondował.

— Au contraire mon cousin, mówiono mi nawet, że przed odjazdem zegnałeś się czule z panem Wacławem w czasie tego pięknego balu, którym nas pożegnał pan Dobek. — Hrabia Alfred spuścił oczy w dół, a hrabina jak gdyby nie nie zaszło, zadała obojętne pytanie o projektach na dzień jutrzejszy pani pułkownikowej Wojeńskiej prostej, duszą i ciałem poczciwej kobieciny, która bez tego zapytania byłaby zapewne milcząc odbyła całą wizytę swoją;

bo zapewne nie można było nazywać rozmową, spojrzenia jakie rzucała na pana Władysława.

Boczne drzwi się otworzyły, i ze środka domu weszła panna Ludwika Sitowska tak piękna jak przed dwoma laty, chociaż okryta żalobą, z piętnem ledwie dostrzeżonym smutku czy choroby na twarzy. Dawno pozbawiona matki, po świeżej stracie ojca, przeniosła się do siostry matczynej, bo nie miała innego wyboru; jakoż ona jedna zdawała się nie należeć do tego salonu: była jak kwiat świeżo zerwany w sklepie bukietów sztucznych. Mężczyźni ukłonili się grzecznie robiąc miejsce; usiadła na krześle ustąpionem przez pana Teodora, który przy tej sposobności powiedział jej coś grzecznego, o zachowanym dla niej miejscu bardzo cicho, a pannie hrabiance daleko głośniej, o poświęceniu tak miłego dla siebie miejsca.

Grzeczniej niż zwykle przyjęła ją pani domu. — Wdzięczni ci jesteśmy kochana Ludwiko, żeś porzuciła ulubioną samotność.

— Patrz jak Ludwisia ślicznie dziś wygląda — rzekła hrabianka do matki z wyrazem bezinteresowności spartańskiej.

Wchodowe drzwi otwarły się na oścież, i weszła pani senatorowa; czoło hrabinej zajaśniało radością: senatorowa była jej przyjaciółką od serca, to jest nie cierpiały się serdecznie, ale były sobie przydatne. Senatorowa Wyżyńska była roznosicielką wyroków towarzyskich pani hrabinej, a donosicielką wszystkich plotek miejskich; nie mając żadnych planów osobistych, bo i nie młoda, i nie ładna, bez dzieci i kuzynek na wydaniu, namiętnie lubiła się bawić: samotność była jej nieprzyjaciółką największą, i dla tego salon hrabinej był jej najmiłszy, bo tam najwięcej osób bywa, tam najwięcej nowości dowiedzieć się można. Były jeszcze i inne stosunki rachunkowe między temi paniami; złośliwy świat po cichu rozpowiadał, że senatorowa miasta Krakowa kupuje obywatelstwo salonowe u hrabinej: czy tak było, nie wiem, jakoż przemilczę o tem, co nie należy do zakresu naszej powieści. Wbiegła szybko do pokoju swoim zwyczajem, bo lubiła oryginalność, za dowcipem zaś goniła więcej jeszcze jak za plotkami, lecz podobno częściej się zdybywała z temi i z tamtym. — *Savez vous la nouvelle du jour?*

Zasepiła się twarz hrabinej; przestraszyła się o swoją nowinę dobrze schowaną.

— Nic nie wiemy; od czasu przybycia kochanej Ludwiki nie wyjeżdżam prawie z domu... *pauvre orpheline!* — dodała z wyrazem, któregooby się i panna Rachel nie powstydziała.

— Jesteś zawsze anicłem!.. Ależ do mojej nowiny; hrabia Dobek... — ludzi bogatych pani senatorowa nazywała hrabiami; to był jej narów.

— Dobek hrabia! w rzeczy samej to niepospolita nowina, którą nam pani udzielać raczysz — przerwał hrabia Alfred, kontent, że swój zły humor ma na kim wyrzucić.

— Jest on z bardzo dobrej familji, *n'est ce pas mon mari?*

Zapytany, niski i pękaty mąż pani hrabinej podniósł się z bocznej kanapki, na której dotąd siedział jak nieruchomy posąg

bożków domowych, przyszedł tym sposobem do słowa, i wyrzekł głosem dosyć śmiałym, bo herbarze posiadał i w bibliotece i w głowie.

— I niezawodnie hrabią zostanie, jeżeli nim już nie jest — ciągnęła dalej pani senatorowa — kupił od kasztelana Solarskiego Oświerzyn.

— To ogromna majątność — odezwał się pan Władysław.

— Oczywiście rozumnieje! — wpół głosem rzekł pan Teodor stojący między hrabianką i Ludwiką; cierpki uśmiech hrabianki odebrał mu odwagę do dalszej mowy: nie uchodziło jego baczności, że od czasu przyjścia Ludwiki hrabianka rzucała na niego spojrzenia złośliwe.

— Nie wiedziałem o tem, i cieszę się mocno, że człowiek taki jak pan Dobek, tem kupnem ustali się w naszych stronach... Spodziewam się go właśnie dzisiaj; wspominał mi o tem pan Widmot.

— Zaanonsowana wizyta? — odezwała się ciekawa senatorowa.

— Je ne saurais vous dire.

Pan Teodor sposepniał, i zbliżył się do hrabiego Juljusza, bo mu się tajemniczy jego wyraz nie podobał. — Jakże Julku — rzekł półgłosem — mówileś stosownie do przyrzeczenia swego z panną?...

— Powiem ci szczerze, iż wolałbym się nie wdawać w to; mniemam, iż lepiej sambyś mógł pomówić.

— Dobrze! ale ja chciałem, abyś tylko wyrozumiał...

— En fait d'amour nie mam talentu dyplomatycznego.

Ludwika od czasu jak zaczęto mówić o panu Adamie słuchała z uwagą; a gdy się o spodziewanem jego przybyciu dowiedziała, kilkakroć spojrzała przez okno wychodzące na ulicę.

Ozwał się tętent koni.

— Otoż i pan Dobek! — rzekł Julek.

— Jak bohater dawnych wieków na koniu, otoczony całym orszakiem służby! — ozwał się pan Teodor, dodając sobie odwagi uśmiechem niby dowcipnym.

Wszedł pan Dobek; zobaczywszy towarzystwo dosyć liczne, zatrzymał się krótką chwilę, wyraz nawet nieukontentowania przeleciał przez twarz, lecz widząc podnoszącą się hrabinę z kanapy, szybkim krokiem przebiegł przestrzeń salonu, i grzecznie skłoniwszy się, rzekł wyrazem grzecznym ale zimnym jak zwyczajnie. — Chociaż to co mam pani powiedzieć zwykle się mówi bez tyłu świadków, jednakże nie chcąc odkładać... cieszę się nawet, że tyle znajomych nam osób usłyszy prośbę, z jaką przychodzę do pani hrabiny.

Twarze wszystkich przytomnych były nader ciekawe w tej chwili, ale najciekawsze było zdziwienie teatralne, malujące się w rysach hrabiny; nowinka chowana wyjeżdżała na wierzch. Senatorowa literalnie uchem była; Ludwika zaś patrzyła na pana Adama z wyrazem niepodobnym do oddania. Ona go tak dawno nie widziała, a przecież to współczucie wzbudzone w niej nie zgasło dotąd; patrzyła na niego, starając się z czułą troskliwością poznać z twarzy jego, czy się zmieniło to smutne i tajemnicze owego balu usposobienie; radaby wyczytać z jego rysów, czy przez czas niebytności jego zmarszczki te na czole smutek czy wesele wycisnęły.

— Prośba do mnie?

— Tak jest, przychodzę prosić pani hrabiny o rękę jej siostrzenicy panny Ludwika.

Takie milczenie nastąpiło, iżby muchy lot usłyszeć było można.

— Zaszczytana i nadspodziewana propozycja pańska jest tego rodzaju, iż mi przykro, że nie wiedząc, nie przeczuwając, wystawiłam go na wyznanie przy tylu świadkach, wyznanie, które miło mi przyjąć, i jakkolwiek w tej chwili, stanowczej nie mogę dać odpowiedzi... ile że tylko doradczy głos mieć mogę u siostrzenicy mojej, jednakże spodziewam się, że.... — Pani hrabina nie była tak pomieszana jakby się zdawać mogło słysząc ten długi, przerywany perjod; ale bawił ją ten coup de théâtre, przygotowany jej towarzystwu salonowemu.

Ożywiało się pomału całe towarzystwo różnemi wyrazami po większej części udanemi; najnaturalniej poglądał na to wszystko pan Widmot, bo od początku całej tej sprawy zdawał się złośliwie żartować z całego towarzystwa wpatrując się przenikliwie kolejno we wszystkich. Ludwika była pomieszana na pozor pomieszaniem zwyczajnem w takim razie, pomieszaniem panieńskiem, ale w duszy walczyła radość niespodziewana zupełnie, z uczuciem przykrem zmylonej nadziei; ona inaczej sobie wyobrażała człowieka, który się o jej posiadanie starać będzie, inaczej, osobliwie człowieka takiego jak pan Adam, który rzeczywiście, prócz jednego przelotnego spojrzenia na nią rzuconego, stał po tak ważnem wyznaniu, jak gdyby po zaproszeniu na bal, zimny i obojętny. Pan Adam wiedział, że mu nie odmówią, znał bowiem dobrze władzę bogactwa; przyzwyczaił się do niej.

— Miło mi będzie — ciągnęła dalej pani hrabina po krótkiej przerwie — widywać pana odtąd w domu naszym, jako starającego się o rękę córki mojej ukochanej siostry; po lepszem poznaniu się, i po skończonej żałobie, Ludwika zapewne da odpowiedź, jakiej się spodziewam po niej...

Pan Teodor, gdy się zbliżył do hrabiego Juljusza, ten na ciche zapytanie odpowiedział mu dosyć głośno.

— Widzisz jak się dobrze stało, że się nie wdawał w twoje zaloty do Ludwisi.

— Co mówisz o Ludwisi? — zapytała matka.

— Pan Kłamiński życzy jej zapewne szczęścia — z przekąsem odpowiedziała hrabianka za brata.

Coś bąknął pan Teodor po cichu, ale matka i córka uwiadomione z rana przez zdradzieckiego Julka o jego istotnych zamiarach, zaczęły się uśmiechać, i pan Teodor wyszedł jak zmyty. Stało się; nowina wybuchła i senatorowa wyleciała. W godzinę całe miasto dowiedziało się o szczęściu panny Ludwika, i o długim nosie pana Kłamińskiego: senatorowa szeroko i długo rozповідаła o całej tej sprawie, w której hrabina podług jej wewnętrzznego przekonania, dyplomatyczniejsze od Tallejranda okazała zdolności. Pan Teodor nadrabiał miną zuchwałą; ale w gruncie nie mógł zrozu-

mieć, jakim sposobem rzeczy tak dobrze przez niego ukartowane tak nieszczęśliwie poszły.

Tego samego dnia wieczorem, w innym pokoju pomieszkania hrabiny odbywała się cicha pogadanka przy drzwiach zamkniętych; do rozmowy należeli matka, córka, i... któżby się tego spodziewał, lekarz nadworny pana Adama, pan Widmot: było rozmowa mniej salonowa, ale więcej przyjacielska. Czy więcej szczerza? nie umiem tego powiedzieć.

— Jak widzi pani hrabina, wszystko poszło jak mówiłem; wiedziałem, że nie zechce odwlekać choć zdybie gości, bo ma ten narów, iż się boi odwlekania.

— Mniemam, iż to pochodzić musi ze stanu jego zdrowia który mnie, jakkolwiek nie znam się na tem, nie wydaje się bardzo dobrym.

— A toby było bardzo źle, gdyby pan młody... ha! ha! ha!

— Zapewne, ale właśnie starania przywiązanej żony mogą go uzdrowić, ile że nie znajdujesz go pan tak bardzo słabym.

— Ja tego nie mówiłem; i owszem...

— Jakto? więc pan Dobek jest chory! niebezpiecznie może!

— Czyż to panią hrabinę tak mocno obchodzi?

— Przez wzgląd właśnie jak mówiłeś pan na moją siostrzenicę...

— Tak, tak! — i utkwiał szydercze oczy w matkę najprzód, a

potem w córkę, która siedziała jak gdyby dwóch zliczyć nie mogła. — Mnie się zdaje, iż lepiej pomówić szczerze, niżeli wybadywać o zdrowie pana Dobka; on nie jest zapewne bardzo zdrow, ale jego majątek jest dotąd jeszcze czerstwy.

— Dobrze pan mówi; w teraźniejszym czasie trzeba przede-wszystkiem myśleć o realnych rzeczach.

— Pani hrabina zna mnie dawniej jeszcze, kiedy byłem w domu jej matki.

— Czy być może? — zagadła panna Marianna — pan nie wygląda tak staro.

— Zwyczajnie jako lekarz zachowuję zdrowie moje... jako więc dawno znajomemu sprawy pani hrabiny są pierwsze dla mnie; pan Dobek zrobi dla siostrzenicy pani zapis majątności, którą kupił dzisiaj, po jego śmierci ona będzie panią Oświerzyna.

— Taki jest zamiysł pana Dobka?

— On nic dotąd nie mówił, ale ja wiem, że to zrobi; ufa mi zupełnie, podpisze lub nie podpisze stosownie do rady mojej; majątkowe sprawy i rachunki są zupełnie w ręku mojem, jak pierwej były w ręku Wacława.

— Zapewne musiał skorzystać nie mało, i dla tego porzucił.

— Nic nie skorzystał! za cnotliwy do tego!.. on stracił!.. ale to nie należy do rzeczy.

— Zapewne byłby to zapis piękny dla mojej kuzynki, tem więcej, że majątek jej nie jest znaczny.

— Czy tak? ja mniemałem, że prócz majątku ojca, posag matki, siostry pani hrabiny...

— Moja siostra zrobiła wybór najgorszy, bo po prawdzie po-

wiedziawszy ten pan Sitowski był... ale prawda, że dzisiaj nie uważają tak jak dawniej na pochodzenie... bądź co bądź matka nasza wyraźnie ją wydziedziczyła.

— Na piśmie?

— Niema testamentu wprowadzie, ale mnie pod błogosławieństwem nakazała; jakoż ojciec Ludwika nawet nie upominał się... myślę nawet, że pan jako przyjaciel dawny domu musisz sobie przypominać ostatnią wolę świętej pamięci matki mojej...

— Nie koniecznie!.. ale dajmy na to, że sobie przypominam, nic zatem sprawiedliwszego jak, że w intercyzie umieścimy zapis Oświerzyna na pannę Ludwikę, i teżże reces do posagu matczynego...

— Widzę, że pan jesteś prawdziwym przyjacielem naszym; i reces ten tym będzie sprawiedliwszy, że my popłaciliśmy wiele długów za nieboszczkę siostrę moją w czasie kuracji za granicą, gdzie umarła.

— Mąż nie chciał zapłacić?..

— Nie chcieliśmy mu wspominać nawet o tem.

— Nic sprawiedliwszego zatem, ażeby te długi zapłaciła panna Ludwika z majątku ojcowskiego...

— Dla czegożby nie z majątku przyszłego jej męża?

— Jako pełnomocnik jego — rzekł Widmot z uśmiechem, który go jeszcze brzydszym robił — muszę jego majątek oszczędzać jak mój własny... Niech tylko panna Ludwika podpisze wszystko, za pana Dobka ja zaręczam; on to zechce, co ja zechcę.

— Z Ludwisią łatwo pójdzie; podpisze wszystko, co jej tylko mama zechce wytłumaczyć.

— Tym sposobem rzecz cała byłaby ukończoną zupełnie... Widi pani hrabina, że przyjaźń moja dla jej domu...

— Jest bezinteresowna — przerwała hrabina — gdyż wszystko dla nas, nic dla siebie.

— Zapewne — mówił Widmot ze znaczącym uśmiechem — nie jest to lekarza zwyczajem; ale porzucając ten zawód niewdzięczny...

— Pan porzuca, tyle w nim położywszy zasług...

— Porzucam, i kupuję majątność w okolicy tutejszej, tu bowiem się osiedlić pragnę, a przede wszystkim na przyjaźń pań zasłużyć pragnę; wracając do układów naszych, mógłbym włożyć warunek, że gdyby bezpotomnie pani Oświerzyna zesza z tego świata, cały jej majątek ma spaść na pannę hrabiankę.

— Rozczulasz mnie pan przyjaźnią swoją.

— Dobry pan Widmot — dodała panna Marianna, i chustkę nawet podniosła do oczów.

— Czegożbym dla pani nie zrobił — rzekł lekarz z uśmiechem przymilającym się, brzydzącym jeszcze okropniej twarz jego — trzeba być tak nierozsądnym jak pan Dobek, aby pannę Ludwikę wybierać z domu pani hrabiny.

Hrabina rzuciła spojrzenie przenikliwe na lekarza. — Tą razą pan Dobek najszcześliwiej wybrał, trafił bowiem niespodziewanie, czego pan zapewne nie wie, na miłość wzajemną... Ludwika kocha go.

— Kocha go? zapytał Widmot, a twarz zajaśniała radością prawie.

— I to namiętnie; niedawno dowiedziałyśmy się o tem.

— Kocha go! biedna! żałuję ją, mówił dalej, a szatańska radość błyskała z oczów.

— Dla czegoż ta litość?

— Nie znajdzie wzajemności!... a jeżeli jest namiętna, to może mieć wpływ bardzo zły na jej zdrowie.

— Tak, ale ona jest dosyć zdrowa? — rzekła hrabina na pół zapewniającym, a na pół pytającym głosem.

— To są tajemnice lekarza, lecz pacjent mój czeka na mnie niecierpliwie... odejść muszę; od pań zależy tylko będzie ukończenie całego układu, zapisów...

— Od nas? — zapytały naiwnie obydwie damy.

— Zaiste! moje bowiem działanie w tym względzie zależy będzie od tego, co panie postanowią; polecam się tymczasem pamięci.

— Do widzenia się!... — Do widzenia!... Prosimy odwiedzać nas częściej, nie zapominać o przyjaciółach.

A gdy odszedł, wstała pani hrabina, i posłuchawszy chwilę za odchodzącym, rzekła zwrócona do córki. — Jest to człowiek zdolności niepospolitych; i jeżeli się nie myle, cały majątek Dobka wkrótce należeć będzie do niego.

— Nie mówiłaś mi nigdy, iż go znałaś.

— Nie za twojej pamięci był on domownikiem mojej matki... odznaczałam go zawsze, ile że on pochodzi z rodu szlacheckiego, nawet pisywał do mnie czasami osobliwie ostatnich czasów o Dobku, który jak się zdaje musiał znać dawniej, niepoznany od niego, zmienił się albowiem od czasu słabości ciężkiej nadzwyczajnie.

— Tak, tak, był więc przecie czas, w którym był przystojny; mieszkając u babki.

— Bądź co bądź trzeba byśmy były grzeczne dla niego; zdaje się, iż wiele, a może wszystko od niego zależy.

— Jako twój dawny przyjaciel, — rzekła naiwnie hrabianka.

— Będzie i twoim zapewne przyjacielem. Jest on zapewne stary i brzydki...

Roześmiała się panna Marianna śmiechem szczerzej dziewczynki.

— Cóż tak śmieszno?

— Przyszło mi coś na myśl!... a potem cóż z tego, że stary to dla niego gorzej, jeżeli nie długo pożyje!... ha! ha! ha!...

Gdy się te panie poufną bawią pogadanką, Ludwika tymczasem siedziała samotna w swoim pokoju, oddana dumaniom na poły wesołym, na poły smutnym; w samej rzeczy kochała ona pana Adama pierwszą miłością namiętną: jakkolwiek miłość ta wydaje się niepodobną, wypływała jednakże bardzo naturalnie z usposobienia Ludwika. Dzieckiem jeszcze straciła matkę; pieścił ją ojciec człowiek poczciwy i czuły, który się z żoną swoją z miłości ożenił, przeciw woli jej rodziców, uważających to małżeństwo za mezalians, i namiętną miłość jaką miał do żony, przeniósł na jedynaczkę, jakoż dogadzał wszelkim jej dżiocinym zachceniom; samowładną panią czasu,

zatrudnień i wszystkich domowników wzrosła mała Ludwika, i to właśnie coby inne dziecko popsuć mogło, dało jej tylko więcej samoistności, więcej hartu duszy: dobre jej serce, czułością i łagodnością prowadzone, nie zepsuło się bynajmniej; wykształcenie zaś umysłowe winna była dalekiej krewnej swojej, którą ojciec wziął do siebie. Była to tak nazwana stara panna; bez zwyczajnych śmieszności starym pannom właściwych, miała jednakże jedną śmieszność: była szczerze sentymentalną; nie dla tego że się nikt o nią nie starał jak to bywa zwyczajnie, ale dla tego że przedmiot jej namiętnej miłości okazał się niegodnym, nie poszła za mąż; dla tego chowała w sercu swoim niezatartą pamięć pierwszej miłości swojej i nigdy straconej nie odzyskała wesołości. Z takich zasad złożone wychowanie Ludwiki, musiało mieć ten skutek, iż doszedłszy do wieku młodzieńczego była romantyczna w najwyższym stopniu, bo wykarmiona romantycznymi opowiadaniem kuzynki i czytaniem romansów bez liku, przytem dobra, otwarta, bo wolno wychowana, stała i nieugięta w przedsięwzięciach, bo pieszczona, bo od dziecka pani woli swojej; przy tem wszystkiem obdarzona od natury usposobieniem nerwowem dalikatnem, łatwiej i prędzej przyjmowała wrażenia wszelkie, które działały na nią daleko mocniej, niż na inne zdrowsze i inaczej wychowane dziewczęta jej wieku. Gdy ojciec stracił zdrowie, i dla poratowania onego mieszkał w Krakowie, weszła ona pod opiekę pani hrabiny w świat wielki, który kuzyna jej malowała jako zbiór fałszu, i zaraz na wstępie wśród obojętnych, jednostajną grzecznością nudzących ją mężczyzn, odszczególniła pana Adama; romantycznemu jej usposobieniu musiał się podobać tajemniczo zimny człowiek, który siał złotem, o którym tysiąc wieści krążyło dziwnych, sypał dobrodziejstwa, i otoczony był jakby mgłą jakimś urokiem niezwykłości. Pan Adam bywając u ciotki Ludwiki, dawniej jeszcze kiedy pod dobroczynnym wpływem przyjaźni Wacława miewał chwile zapału, mówił pięknie i nie tak jak drudzy; nieraz gdy do niej przemówił bez wszelkiej wyszukanej grzeczności, ona wszystkie słowa jego zbierała, i w samotnem rozpamiętywaniu ubierała w szaty własnej wyobraźni; nie mało do zaprzątnięcia jej serca przyłożył się ten wyraz smutku na twarzy pana Adama, miłość bowiem najłatwiej przez litość wchodzi do serca kobiety: ona już na tym balu jego tak była usposobiona, iż chętnie w światby była poszła za nim, w chęci poświęcenia mu wszystkich dni życia swego. Wróciwszy do domu rozповідаła to wszystko kuzynce swojej, która na starość mniej zdrowo jeszcze sądząc rzeczy jak dawniej, widziała w panu Adamie jakiegoś ukrytego bohatera, i jeszcze więcej rozpalała wyobraźnię Ludwiki. Z ojcem mało rozmawiała, ale tem więcej ze stryjeczynem bratem swoim Kazimierzem Sitowskim, który był poufnym przyjacielem Wacława; który bywał u nich w domu, i z zapałem przyjaźni i wdzięczności zaczął rozповідаć o Adamie, piersi dziewczicy wznosiły się coraz wyżej, serce biło gwałtownie; onaby życie chętnie oddała za pana Adama: ani zważała wówczas na opowiadającego, który jednakże dla tego tylko rozповідаł, że ją to obchodziło; ani uważała z jakim zapałem Wacław spoglądał w jej

natchnione oczy. Gdy pan Adam wyjechał za granicę, żal ją ogarnął okropny; namiętność jej już była tak mocną, że zachorowała nawet, bo się jej zdawało, że już go nigdy nie zobaczy, zdawało się że po śmierć pojechał. Cios po ciosie uderzały w nią: najprzód umarła krewna błogosławiąc Ludwikę, i w ostatnich dniach jeszcze prawila jej o tym rycerzu, który na dalekie wyjechał wyprawy, ale wróci z wawrzynami po wieniec mirtowy; potem listy Waclawa, które jej Kazimierz pokazywał, zupełnie inne mając w tem celu: listy te były pełne Adama; smutne bardzo, ale smutne smutkiem biednego Adama; opisywał w nich jego męczarnie, przechodził potem biedny Waclaw do opisywania losu cierpiącego na oddalenie cd przedmiotu wiernie ukochanego: Waclaw był młody, pełen wyobraźni, pięknie pisał; Ludwika zaś tłumaczyła to sobie podług swojej woli, i czerpała z tych listów jad, którego się nie domyślali ani Waclaw, ani Kazimierz. Nagle zapadł ojciec; w kilka dni już nie żył; rozkołysane zdrowie Ludwiki tem ciągłym życiem w obrębach świata urojonego uległo; zachorowała powtórnie, młodość ją wyratowała; ledwie przyszła do zdrowia, kiedy Kazimierz dał jej list do przeczytania; było list ostatni Waclawa: szlachetny ten młodzieniec nie pisząc nic o sobie, chociaż niewyraźnie, daje jednakże do zrozumienia, że Adam jedzie do Krakowa po szczęście najwyższe; w końcu poleca go z całym zapalem szlachetności młodzieńczej, sercu Ludwiki. Cały romans ułożony w głowie Ludwiki pokazał się prawdziwym, jakoż nie zdziwiła się bynajmniej publicznem wyznaniem pana Adama, ale tem że jej pierwszej nie nie mówił. Temi właśnie myślami zajęta chodziła Ludwika po dziewiczym pokoju swoim; są chwile, że tłumaczy pana Adama przyzwoitością, Bóg wie jakie romantyczne wynajduje przyczyny takiego wyznania; to znowu strach ją przejmuje i przecuciowym przemawia głosem, że nie jest tak kochaną jak sobie wyobraża, że nie jest zupełnie kochaną: czuje ona, że w takim razie umrze; miłość Adama jest już niezbędnie potrzebną do jej życia.

W tej chwili wszedł murzym ulubieniec Adama i przyniósł jej bukiet z kwiatów rzadkiej piękności. Rozwijając go, wypuszcza papier i paczkę pieniędzy; pan Adam prosił ją, by załączoną kwotę rozdała między ubogich: nic niema o czułości w liście, nic o miłości, ale jest czyn szlachetny, ale jest bukiet wymowny wdziękiem i wonią. Biedna Ludwika tłumaczy sobie jak może; a po wyjściu murzyna przykładła bukiet do ust dziewczycych: na co jej zdały się myśli wątpliwe; czuje że kocha Adama nad życie, jemu się poświęcić to największe szczęście!

Po oświadczeniu swoim wrócił pan Adam równie zimny jak był przedtem; widok Ludwiki nie zdołał go rozgrzać, ale postanowił sobie dopiąć celu przedsięwziętego, i dopnie, bo jest bogaty, bo go rozerwie, choć na jedną chwilę przerwie jednostajność jego życia. Z odejściem Waclawa duch dobry zdał się go opuścić, a o władnął zły w postaci sztychającego ze wszystkiego Widmota; widok Waclawa przypominał mu czasem młodsze lata, uniesienia lat wiośnianych, jeszcze czasem wzbudzały się w nim chęci do lepszego użycia bogactw swoich: z przybyciem lekarza, opamiętał go do reszty egoizm,

człowiek młodzieniec umarł zupełnie, został bogacz starzec. Znużenie i zniszczenie wszystkich sił fizycznych i moralnych to jego choroba; codzień kupuje nowe rozrywki, które mu Widmot zdaje się dla tego tylko poddawać, by mógł lepiej trzymać go w swej władzy, i potem jeszcze szydzić z niego, i codzień nie używszy nawet dostatecznie, odrzuca z obrzydzeniem: o tem ożenieniu myśli jak o rozrywce, o której przekonany jest naprzód, iż go nie długo zabawi; bierze żonę jakby kupował ładną fraszkę. Zobojętniał zupełnie, i tylko go to nudzi, że nie może co godziny wynaleść co nowego do zabawki; goni jak dawniej za wrażeniami, ale nadaremnie; wesołych i przyjemnych zdybać nie może, czasem tylko gdy przeszłość przypomni sobie, gdy o jutrze pomyśli, doznaje wrażenia rozpaczy, jedynego wrażenia, jakiego jeszcze doznać jest w stanie.

— Więc wszystkie skończone? — zapytał wchodzącego Widmota.

— Na przeszkodzie jest tylko żałoba panny Ludwiki.

— Ja nie chcę czekać!

— Więc lepiej rozerwać?

— Ja nie chcę zrywać.... nudzicie mnie....

— A jednakże twierdzą, że czas przed ślubem jest najpiękniejszy.

— Czas przed ślubem?... zapewne dla tego który kocha!

— Alboż nie kochasz?

— Kochać!... gdybym mógł jeszcze kochać... Wacławie! kochać była twoja rada... wiesz Widmot, ja się brzydę czasem sobą, brać to niewinne dziecię: ona będzie nieszczęśliwa.

— Ona kocha ciebie!

— Kocha mnie, ta młoda i niewinna dziewczyna... ona mnie kocha! więc będę jeszcze kochany!

— Czy znasz już przyjemność być kochanym, nudzonym dzień i noc miłością, która cię nie popuści, póki nie wysuszy ciała i duszy.

— Wesoły jesteś mój Widmot!... odkąd jesteś u mnie, same mi smutne przedstawiasz obrazy.

— Twoje je oko smutnemi widzi.

— Życ znowu tem życiem małżeńskim, podwójnem, ścierającym się codzień o drobnostki....

— To nie długo potrwa!

— Jakto?

— Ludwika nie ma zdrowia.

— Szatanie! prawdziwy szatanie.... Widmot powiedz mi raz prawdę, czy nigdy mnie dawniej nie znałeś?... powiedz, a dam ci połowę majątku mego.

— Ha! ha! ha! wszak ja go mam w ręku cały, bo sam się nie chcesz niczem zająć; ja muszę za ciebie starać się utrzymać ten majątek.

Spojrzał na niego ostro pan Adam.

— Widmot mógłżebyś zdradzić zaufanie moje?

Roześmiał się na całe gardło Widmot, i z pogardą szyderczą odpowiedział:

— Odbierz rachunki, odbierz pieniądze i weź sobie innego rachmistrza, innego lekarza.

— Nie! nie! — krzyknął pan Adam żywo, bo się śmierci bał — ja żartowałem, ale wiele razy do mnie mówisz, zdaje mi się, że słyszę głos dawny, głos który mi przypomina kilka zdarzeń z życia mego, głos, który mi z rozpaczą przypomina, że czas, który już przeszedł, nie wróci więcej... Nie wróci i ciągle odkładać! ciągle czekać; Widmot ukończ przedzej, ja nie chcę czekać; niech zrzuci żalobę, ja tak chcę, ja tak żądam!... ja kocham Ludwikę!... O Boże! gdybym ja mógł — dodał przeraźliwie krzyżąc — powiedzieć to słowo „ja kocham,” tak, jak trwonilem go tyle razy.

— Postaram się o przyspieszenie; ale są jeszcze niektóre poprzednie pisma, akta publiczne, intercyzy...

— Idź precz szatański nudziarzu!... pisz co chcesz, ja podpiszę, byle przedzej; niech Ludwika będzie już raz żoną moją... Może Wacław dobrze mówił, może mnie miłość kobiety uzdrowi!...

VI.

Na łożu boleści rozciągnięty leżał pan Adam; znikły resztki zdrowia z jego twarzy, znikły resztki duszy i uczucia z oczów jego; chore tylko i zmęczone ciało leży, a po otaczających sprzętach drogich poznać jeno można, że to ciało bogacza. W szerokich i pysznych salonach pana Dobka milczenie osiadło ponure; pozasuwane wszędzie okna światła dziennego nie dopuszczają, jakoż dzień i noc przechodzą bez różnicy: żaden dźwięk zegara nie śmie przypominać czas uchodzący, bo taki jest rozkaz chorego pana, który boi się teraz więcej jak kiedy tego czasu, który nielitościwie ubiega. Mniej dbały już o rozrywki, bo się przekonał, iż nic go już rozerwać nie zdoła, musiał się więc zgodzić z nudami, które osiadły pomieszkaniu jego, ale drży zawsze przed jutrem; nie wolno nikomu mówić słowa któreby mu przypominało jakąkolwiek oznakę czasu: na cóż mu tej różnicy dni minionych i przyszłych? wczoraj okropne, dzisiaj nudne i jutro straszne, łączą się w jedno olbrzymie cierpienie, które go trawi. Przy chorym siedzi rozparta w krześle Ludwika piękna zawsze, ale blada i nieruchoma jak posąg z marmuru; patrząc na jej rysy zubożnięte, zdaje się być zmrożoną lodem swego męża: czasem tylko drżenie przeleci kurczem przez ciało, rysem boleści ściągnie usta, oczy mimowolnie wzniesie do góry, jakby ku niebu: poznać można, że tam, pod tą lodową powłoką, mieszka wielka rozpacz szarpiąca siły żywotne. Machinalnie za każdym męża ruchem podnosi się, z wszystkimi oznakami troskliwości dogadza wymyślnym kaprysom chorego; a i w tej staranności brakuje duszy: zgąsłoli tak prędko przywiązanie tak szczytne, tak czułe?

O nie! ona nie przestała kochać, ale pogardzać zaczęła; nie długo trwała Ludwika w szczęśliwym omamieniu: niecierpliwość pana Adama, niecierpliwość, pochlebnie tłumaczona przez dziewicze rozkochane serce, nie dała jej dostrzeć do przepaści w jaką leci. Prze-

szły dnie balów i zabaw jakich Kraków nie pamięta: bo Dobek przeciągał jak mógł najwymyślniejsze zabawy, byle później zostać się sam na sam z sobą, i z żyjącym odtąd wyrzutem sumienia w osobie Ludwiki. Nie długo trwało, a mimo wszelkich urojeń jakimi sama się ludziła Ludwika, przyznać sama przed sobą musiała, że nie jest kochaną; przyszedł dzień, w którym zrozumiała, że stoi w rzędzie obrazów, posągów, kwiatów, monet i innych zbiorów, które z zapalem zaczynał robić pan Adam, a ze znudzeniem odrzucił; że jest jednym sprzętem więcej w domu mężowskim, który on dla chwilowej nabył rozrywki, a który go znudził prędzej jeszcze, jeżeli zbiór motylów pierwiej nieco nabyty. Przeczuwał on to pierwini jeszcze, ale nadto zepsuty, aby się wstrzymać — co mu do cierpień Ludwiki! — żeniąc się z nią, ledwie półkaprysowi dogodził: zimny, obojętny, znudzony i omylony w nadziei rozerwania się, a zatem zły i wymyślny zabijał codziem Ludwikę na ciele i na duszy, niszcząc codziem jeden zapal namiętny po drugim, jedno uczucie wzniosłe po drugim. Coż uczuć musiała Ludwika młoda ciałem i duszą, gdy poznała w mężu swoim starca we wszystkich władzach jego; jakież musiała być jej cierpienie, gdy musiała pomału zrozumieć i pojąć, człowieka jakiego w pieszczonych marzeniach swoich nie przeczuwała nigdy: do jej dawnych uczuć, dumań i urojeń, na tle wyobraźni urobionych, zastósowany pan Adam musiał się jej wydać potworem, okropnym potworem; były chwile, w których bała się oszaleć, kręciły się bowiem po jej głowie powiastki zmartej kuzynki o potworach, połykających młode i niewinne dziewczęta. Nie porzucił jej pan Adam, sądząc wycisnąć wszelką rozrywkę z tego tak drogo kupionego przedmiotu, ale pierwsze pożycie z człowiekiem zgniołością zepsucia przeszłym były obrzydzeniem dla jej duszy, katuszą dla ciała; musiała nim pogardzić, musiała cierpieć i umierać codziem, pokryła się powłoką obojętną na pozór, aby namiętnemi słowy nie urażać chorego męża, którego otaczała staraniami z poświęceniem się, jakie tylko kobiety rozumieją: czuła obowiązek swój być dobrą żoną, właśnie dla tego, że została oszukana; być zupełną ofiarą, była jedyna jej pociecha. Ale i za to nie miała wynagrodzenia, albowiem pan Adam czując winę swoją, odpychał ją od siebie, nie lubił jej widoku, bo go znudziła, bo mu żywiej przypominała bytnością swoją przewinięcia przeciw niej, a zatem i dzieje jego przeszłe, a co najgorzej, daremne usiłowania być szczęśliwym. Nudził się będąc sam, a gdy ona przychodziła, zimną troskliwością swoją męczył się; z dwóch więc złych wybierając wolał się nudzić; Ludwika zimna w obec jego, wyrachowanemi słowami odpowiadała na skąpe zagadnienia; żadnem skrzywieniem, żadnym wyrzutem nie przemówiła do zabójcy swego, ale w samotnem rozpamiętywaniu cierpiała nad miarę; cierpienia niewieście w takim względzie są nie do obrachowania. Niewiasty sercem i uczuciem żyją; w nich skaleczone umierają w katuszach najokropniejszych; mężczyźni, życiu więcej zewnętrznemu oddani, nie znają tego kalektwa, i mniemają fałszywie, że kobieta każda w modny strój owinięta, w futerał modnego salonu wiożona, musi być szczęśliwą; serca

i uczucia owinać w słodkie pieszczoty, w czułe słowa, przyjaźne obejście się, ani im w głowie. A jeżeli jeszcze uśmiech na twarzy niewieściej się zjawi, ten uśmiech, którym kobieta jak bładem słońcem pokrywa zimą sparzone swe uczucia — ona szczęśliwa! krzykna, bo nie wiedzą, że kobiety stworzone by miłość wzbudzać, nie zapominają nigdy przeznaczenia swego, i że uśmiech ostatni, którym nieraz umiłą twarz palcem już śmierci naznaczoną, jest ostatnią chęcią podobania się, wzbudzenia żalu — jest to ostatnie wonne tchnienie kwiatu!

Cicho stąpając po suknie obitych posadzkach pałacu, nie postrzeżenie weszły hrabina Rowoska z córką; przywitane grzecznie lecz zimno przez pana Adama, zimniej jeszcze przez Ludwikę, która nie zdołała utaić drżenia jakie przechodzi na widok gadziny: nabrała ona ze wszech miar smutnego doświadczenia przez krótki czas swojego małżeństwa, i wiele zrozumiała, co było jej niezrozumiałem; poznała ciotkę doskonale — nie jestże to okropność dla takiego serca jakim było serce Ludwiki, być przymuszonym, pogardzać najbliższymi siebie!... Milczała jednakże, nawet tej sobie zemsty nie chciała pozwolić, aby hrabinę ukarać odkryciem jej planów; nadto zobojętniała na wszystko. Hrabina z układnością i niezmiśzaniem zwyczajnem przyjaźnie uściśnęła siostrzenicę, grzecznym ukłonem obdarzyła chorego, a okiem na pozór obojętnem śledziła ślady zniszczenia na ich twarzach, rachowała zmarszczki, i po nich jak po wskazówkach zegara radaby odgadnąć, ile godzin życia mają jeszcze.

— Spodziewam się, że się masz lepiej kochany kuzynku?

— Lepiej dziś wyglądasz kochana Ludwisiu; zdrowsza być musisz? — przemówiły matka i córka

— Zdrow jestem, dosyć zdrów! — smutnym głosem odpowiedział pan Adam.

— Mam się jednakowo — odrzekła Ludwika.

— Bardzo mnie to cieszy — ciągnęła pani hrabina, i uśmiech nieodgadniony osiadł na jej licach, uśmiech towarzyski, ta maska do wszystkich twarzy — albowiem przykroby nam było, gdybyśmy mieli obchodzić bez kochanych kuzynów uroczystość ważną w domu naszym.

Odetchnęła niby, i spojrzała jakie wrażenie robi na przytomnych jej przemowa. Pan Dobek patrzył na nią z wyrazem chorowitej półciekawości, Ludwika bez żadnej, panna Marianna Bóg wie co myślała, patrząc jak się wydają chude chorego policzki na haftowanych poduszkach.

— Przekonana jestem po znanej mi kochanych kuzynów przychylności, iż równy z nami będziecie mieli udział w tem tak ważnem zdarzeniu, jakim jest zamezcie mojej córki. — Panna Marianna wstydlive spuściła oczy; trzy ćwierci ciekawości na twarzy Adama, żadnej na twarzy Ludwiki.

— Mimo tego że Marysia nie wiele miała skłonności do przemiany stanu, który ją oddzielić musi od rodzicielskiego domu, zwa-

żywszy jednak, że związek, o którym jest mowa, nie oddali ją bardzo od nas, a przytem zawiera w sobie wszystkie warunki..

Panna Marianna robiła nadludzkie nateżenie, by raka upiec; pana Adama trzy ćwierci ciekawości przeszło nagle w niecierpliwość; Ludwika zimno jak pierwej słuchała; ledwie postrzeżony uśmiech pogardy igrał na białych ustach.

— Winszuję, lecz któż jest pan młody?

— Pan Paweł de Widmot!

— Jakto? córka pani idzie za tego starca; jakto? on się żeni, on mnie chce opuścić; — i zadzwonił gwałtownie; jakby duchy niewidome wbiegli wierni panu smemu murzyn i kozak. — Doktora zawołać!

— Przystaje nim być, albowiem myśli osiąść na wsi; kupił Zahorów nie daleko miasta, chcąc odtąd swobodnie na wsi przepędzać wiek swój: spodziewam się, że nie odmówicie nam przytomności swojej na ślubie, który się za miesiąc odbywać ma, a tymczasem może raczyście przyjechać na zaręczyny, które się odbędą jutro.

— Jutro! nigdy!.. — krzyknął chory przeraźliwie. Wiedziała dobrze hrabina o tej jutromanii pana Adama; ale tą razą jutro było tym towarzyskim sztylecikiem, którym dopomagała chorobie zabijającej.

— Przynajmniej Ludwika kochana nie odmówi mi swojej bytności jutro. Ludwisiu proszę cię jutro..

— Jutro! nigdy! — krzyknął pan Adam; przewracając się na łóżku. Ludwika starała się go uspokoić, podając mu trunek orzeźwiający przygotowany przez lekarza. Odwiedziny skończyły się; lekarza szukano nadaremnie, zajęty był zapewne przygotowaniami do tak ważnego aktu.

— Zostaw mnie samego; idź z ciotką, odprowadź tę głupią babę... idź precz!

Został się sam jeden, tysiączne myśli krzyżowały się po głowie jego, bolesne uczucia dobywały się jedne po drugich: Widmota oddalenie było dla niego nieznośne. Stosunek jego z Widmotem był nader ciekawy; nie lubił go wcale, ale czuł, iż bez niego obejść się nie może: pan Adam bowiem będąc młodym i ubogim marzył tylko, później stawszy się bogaczem, myślał tylko jakby używać, rozumu zatem praktycznego nie mógł nabrać, i dla tego koniecznie potrzebował kogoś, ktoby za niego trudził się maszyną jego codziennego życia. Duchem tej maszyny był lekarz Widmot; prócz tego pan Adam tracąc resztę szlachetnych uczuć, oddany egoizmowi zupełnie bał się śmierci, i jakkolwiek nudził się okropnie przez zwykłą takim ludziom nielogikę nie chciał umierać: dla tych więc dwóch przyczyn był Widmot jako rachmistrz i jako lekarz koniecznie potrzebny; prócz tych dwóch jego dobrych własności nie cierpiał go pan Adam dla ciągłych cierpień, a czy przez znajomość usposobienia swojego chorego, czyli rzeczywiście przez znajomość dawniejszych dziejów, o co go nie raz posądzał pan Adam, słowy swojemi rozdmuchiwał popiołem zasypane pamiątki jego dawne, które gorszem jeszcze stawały się dla niego cierpieniem. I przez tę samą właśnie nienawiść jaką miał do niego, przez ten systematyczny sposób, ja-

kim był męczony przez niego, stał mu się pan Widmot potrzebny, był bowiem w tej ciągłej nudzącej jednostajności, jednym wrażeniem żywszem, jedną pozostałą mu rozrywką.

— Widmot ty się żenisz! — krzyknął widząc go wchodzącego.

— Żenię się!

— Ty mnie chcesz porzucić?

— Porzucić? może ty sam mnie pierwej porzucisz!

— Jak to rozumiesz? — drżąc zapytał go.

— Po co to wzruszenie niepotrzebne; rzeczy tej zmienić nie można, a miesiąc, który nas dzieli od tego, poda nam środek pogodzenia wszystkich sprzeczności: ja muszę się raz ustalić, ożenić!

— Ty, który mnie samemu odradzałeś głupstwo, jakie zrobiłem z namowy Wacława tego zapaleńca.

— Piękne podziękowanie za czyn Wacława.

— A teraz sam...

— Ja ci nigdy nie odradzałem zupełnie; ja ożenienie twoje uważałem ze stanowiska mojego jako lekarza, i twojego jako chorego: jako lekarz twój nie sądziłem tak romantycznie jak Wacław, nie myślałem, by na chorobę duszy małżeństwo pomódz mogło; ale z drugiej strony wiem z mnogiego doświadczenia, że wpływ magnetyczny ciała młodego na stare jest bardzo dobroczynny, że krew młoda przechodząc w żyły zatrute krwią zepsuta...

— Okropnie! więc jest to być upiorem, ssać krew niewinną.

— Upiór jest słowo! zabobon!... Człowiek taki bogaty, jak ty jest upiorem, ssie ze wszystkich krew pożytku, aby jedną chwilę przyjemną przepędzić więcej.

— Wyobrażenia jakie mi podajesz są okropne; odkąd przybyłeś do mnie, nieszczęśliwszy jeszcze jestem niż dawniej.

— Czy ty możesz nazywać się nieszczęśliwym; ledwie poczujesz jakiś wymysł, już go przemieniasz w rzeczywistości, wszystkich roskoszy używałeś!...

— Używam! szatan jesteś ze słowami twemi; cóż ja używam? ja próbuję wszystko, co kiedyś pięknem i dobrem marzyłem, i wszystko znajduję brzydkiem, szkaradnem; potrawy, które mi się niegdyś słodkie wydawały, są dziś gorzkimi, gdy je kosztuję.

— Rzecz naturalna, bo więcej sobie wyobrażałeś niżeli jest w istocie; ty bajki marzyłeś, a żyć trzeba historię.

— Bajki, ale bajki moje były cudowne... okropny jesteś człowieku, ty mnie jeszcze więcej zniszczyłeś swojemi zimnemi słowy... słuchając ciebie, przysiądz mógłbym, że już cię nie raz słyszałem; bo przed laty, dawno temu, znałem człowieka, ten był lekarzem także, a stał się zabójcą moim, pierwszy mnie rozmowami swemi marzyć nauczył, skrzywił pierwszy wyobraźnię moją... i kwiat mej młodości nie wydał żadnego owocu; zdybałem go po raz drugi; w ówczas byłem zajęty miłością prawdziwą.

- Jakto? ty kochałeś kiedy co więcej prócz siebie?
— Kochałem! kochałem namiętnie!
— Biedna! miłość samoluba zabija!
— Wielka prawda! zabiłem ją!... zdybałem po raz drugi tego samego lekarza, dawał mi nauki doświadczenia, nauki ziębiące wszelkie uczucie; owocu nie dopuścił, kwiat otrząsł.
— Szkoda ciebie Adamie; byłbyś poetą, gdyby...
— Gdyby co?
— Gdybyś nie był zepsutym rozpustnikiem.
— O ja byłem poetą! pisałem nawet marzenia [moje... marzenia uleciały, pisma pogniły, jedne i drugie bez pożytku.... nieszczęśliwy jestem!
— To długo potrwać nie może!... stan twój się przemieni.
— Jakto, na lepsze czy na gorsze?
— Przyszłość okaże; jest to przesilenie. Skończysz jak zwyczajnie, śmiercią albo wyzdrowieniem.
— Szatanie! zdrowia mi daj! szczęścia mi daj! użycia!
— Miałeś już to wszystko, odpowiedział ci szatan, który to tylko daje, czego kto nie posiadał, to tylko co jest... ha! ha! ha! Człowiek stary jak ty, podobny do dziecka, żądającego kawałka nieba... ale bądź zdrów tymczasem; jutro...
— Precz ty zabójco mój! niema jutra! nie chcę jutra!
— Jutro moje zaręczyny! — zimno ciągnął dalej pan Widmot.
— Idź! idź!

A gdy lekarz odszedł, siedział na łóżku pan Adam ponury; po chwili milczenia krzyknął sam do siebie z wyrazem większego niż zwykle uczucia. — Wacławie! Wacławie: po coś mnie porzucił;

Otwarły się drzwi: wierny murzyn wszedł do pokoju i oddał panu gruby opieczętowany pakiet: obojętnie wziął go pan Adam z rąk służalca, otworzył, przeczytał, i krzyk wydał przeraźliwy. Na ten krzyk, który się głucho po całym milczącym rozszedł domu, wpadła Ludwika, Widmot i cała służba.

— Ja go zabiłem — wrzeszczał pan Adam, zrywając się z łóżka... — Widmot ciesz się, szatanie ciesz się! ja jestem zabójcą! Ludwiko! jesteś żoną zabójcy.

Milcząc patrzali wszyscy na niego.

— Uciekajcie odemnie! jam zarażony nieszczęściem; kto się mnie dotknie, padnie ruszony zarazą... Kto mnie lubi, zginąć musi.

Głos ten wymownie przemówił do serca Ludwiki, bo była w nim prawda; przyskoczyła więc do niego. — Adamie! opamiętaj się — rzekła.

-- Zabiłem twoją przyszłość.... czytaj! czytaj! szczęście twoje zabiłem: on ciebie kochał, i mnie upirowi poświęcił. Prawdę mówi

Jeś Widmot! patrz na jej twarz bladą, niema w niej krwi: wyszana! Czytajcie list od mego Wacława ostatni, pożegnawczy! czytajcie! zginął w Algierze.

— Zginął przynajmniej w sprawie, która go powinna była obchodzić, — rzekł śmiejąc się pan Widmot.

— Czuję swojem pożegnaniem przeklina mnie... zginął, czy słyszycie; nie żyje, bo kochał Ludwikę i mnie ją odstąpił; mnie chciał widzieć szczęśliwym... mnie szczęśliwym! o głupi młodzieniec!

— Głupi! bo wierzył w twoją cnotę i przyjaźń.

— Zabiłem syna Haliny!

— Haliny? Haliny? — krzyknęli Ludwika i Widmot.

— Haliny, która przezemnie porzuciła męża... i umarła. Widmot, ty wiesz gdzie ona umarła... o, może przecucie było prawdziwe; jam cię poznał szatanie! ona umarła w szpitalu... pamiętasz? tam pomiędzy choremi i wariatami zdybałem cię... Wacława ojciec się wyrzekł, matka porzuciła; jam go wziął do siebie, by go zabić!... Ludwiko, przeklinj mnie, jam ci zabił kochanka; on jeden był wart ciebie!

— Adamie ja ciebie nie przeklnę... ty mnie pobłogosław na drogę, bo ty mnie przeżyjesz. — Pierwszy raz tak zagadała do męża; ona wiedziała już o miłości Wacława, z niektórych powiedzeń Kazimierza domyśliła się i odtąd ileż razy przypominała sobie tego młodzieńca, ile razy jej wyobrażenia zamarle ostatnie robiąc wysilenie malowały barwami świetnymi szczęście miłości przy boku kochającego, pełnego życia i czucia Wacława.

— O ja przeklęty, o ja nieszczęśliwy! — krzyczał dalej tak przeraźliwie, że się aż łzy puściły z oczu kozaka i murzyna. Ludwika płakać nie mogła; rozpacz cisnęła serce. Widmot promieniejącym od szyderstwa wzrokiem poglądał w około siebie, i utkwiał złośliwe oczy w twarzach Adama i Ludwiki; doświadczonym lekarza wzrokiem mierzył resztę pozostałych sił po tak gwałtownem wzruszeniu.

I milczenie osiadło w całym pałacu. Mijały dnie, pan Adam czy zapomniał stratę nie wiedzieć, ale wróciwszy nazad do stanu dawnego bał się jak dawniej śmierci, i dla tego podlegał jak dawniej lekarzowi swemu, który coraz mniej dbał o niego, coraz więcej będąc zajęty przygotowaniem do ślubu swego.

W miesiąc prawie po tych zdarzeniach był dzień posepny zimowy, zawierucha gonila po mieście; śniegiem zasypane ulice, ale na ulicach życie, bo to zapsuty. W domu pana Adama Dobka, sprzeczne wesołemu miastu usposobieniu, panuje ciągle ponure milczenie. Rozciągnięty na łożu boleści, leży pan Adam bledszy i chudszy jak przed miesiącem: na poręczowem krześle, dawnem siedzeniu pięknej Ludwiki, siedział rozparty pan Widmot, odmłodniony strojem, który starannością swoją dziwnie odbijał od jego starej i okropnej twarzy. Milczenie ogólne przerywał głos muzyki smutny i ponury; marsz pogrzebowy grają tuż pod oknami pałacu. Pan Adam posłu-

chał chwilę, i spuścił głowę bez dalszego znaku poruszenia; Widmot zaś podniósł oczy ku zamkniętemu oknu, i przenikliwym rzekł głosem.

— Zaczyna się pogrzeb! może ci przykrzy ten głos muzyki pogrzebowej?

Nic nie odpowiedział pan Adam; marzył li czy drzemał?

— Nie można było jej wyratować; przypomnij sobie, że sam przed ślubem powiadałem tobie, że Ludwika nie ma mocnego zdrowia; główna jej słabość była w nerwowem usposobieniu: systemat jej nerwów osłabiony od dzieciństwa zaatakowany został przez wrażenia późniejsze jakimi były nadzieje omylone, nadzieje, które nadto sobie świetnie wystawiała.

— Dobrze bawisz chorego! — rzekł nareszcie pan Adam.

— A ponieważ te cierpienia działały najczęściej na nerwy sercowe; aneuryzm....

— Skończ już raz.

— Rozciągnięcie nerwów przez serce z krwią idących...

— Czy przestaniesz na miłość Boga!....

— Musiało spowodować pęknięcie tych żył, czyli śmierć...

— Skończyłeś przecie; masz roszkosz męczyć mnie.

— Ja chciałem tylko wytłumaczyć tobie, abyś rozumiał, że nie było ratunku dla Ludwiki: gdyby była szczęśliwą w pożyciu domowem....

— Zabójco przestań!

— I znowu się gniewasz; a wiesz, że tobie to szkodzi.

— Ty mnie naumyślnie zabić chcesz!

— Nie tak to łatwo, bo wyznać muszę, iż masz siły więcej jak herkulesowe; a potem wierz mi, iż dzisiaj śmierć twoja jest mi zupełnie bezkorzystną; jeżeli teraz umrzesz....

Bojaźń śmierci pana Adama była tak mocna, iż nie zważając na przykre słowa lekarza, wykrzyknął: — więc nie masz dla mnie żadnego ratunku?

— Tego ja nie mówię; nie wiem... być może... stan ten polepszy się jeżeli....

— Kiedy?

— Może jutro!

— Jutro! jutro ja umrzeć mogę.

— Jutro możesz zostać żebrakiem.

— Żebrakiem! — krzyknął na całe gardło pan Adam i utkwilił oczy w Widmota. — Żebrakiem! ja nie chcę być żebrakiem, ja nie mogę być żebrakiem, ja bogaty!

— Wiadomości jakie miałem z Paryża o przedsiębiorstwie nowej siły, mającej zastąpić parę, nie są pocieszające; a wiesz, że prawie wszystkie pieniądze swoje tam włożyłeś.

— Za twoją idąc radą!.... ale Oswierzyn!

— Wszak wiesz, że po śmierci twojej żony, spada Oświerzyn przez układ familijny na pannę hrabiankę Rowoską.

— Żonę twoją przysła! —

— Tak jest, jutro!

— Szatanie jutra!

— A im więcej zastanawiam się nad tem, być bardzo może, że najlepsze dla ciebie byłoby lekarstwo, gdybyś stracił majątek; wróciwszy do dawnej nędzy, wróciłbyś może i do dawnego zdrowia: nie umiesz używać, lepiej więc, abys żądał.

— Ja nie chcę być żebrakiem!

— Jutro może nastąpić — ciągnął zimno lekarz — przesilenie, jutro możesz umrzeć.

— Ja nie chcę umrzeć, ani zostać żebrakiem na powrót!

Pan Widmot ruszył ramionami i wyszedł. Pan Adam obłąkanym prawie wzrokiem spojrział za nim.

— Jutro — mówił sam do siebie... o to jutro zawsze mnie przesładować będzie.

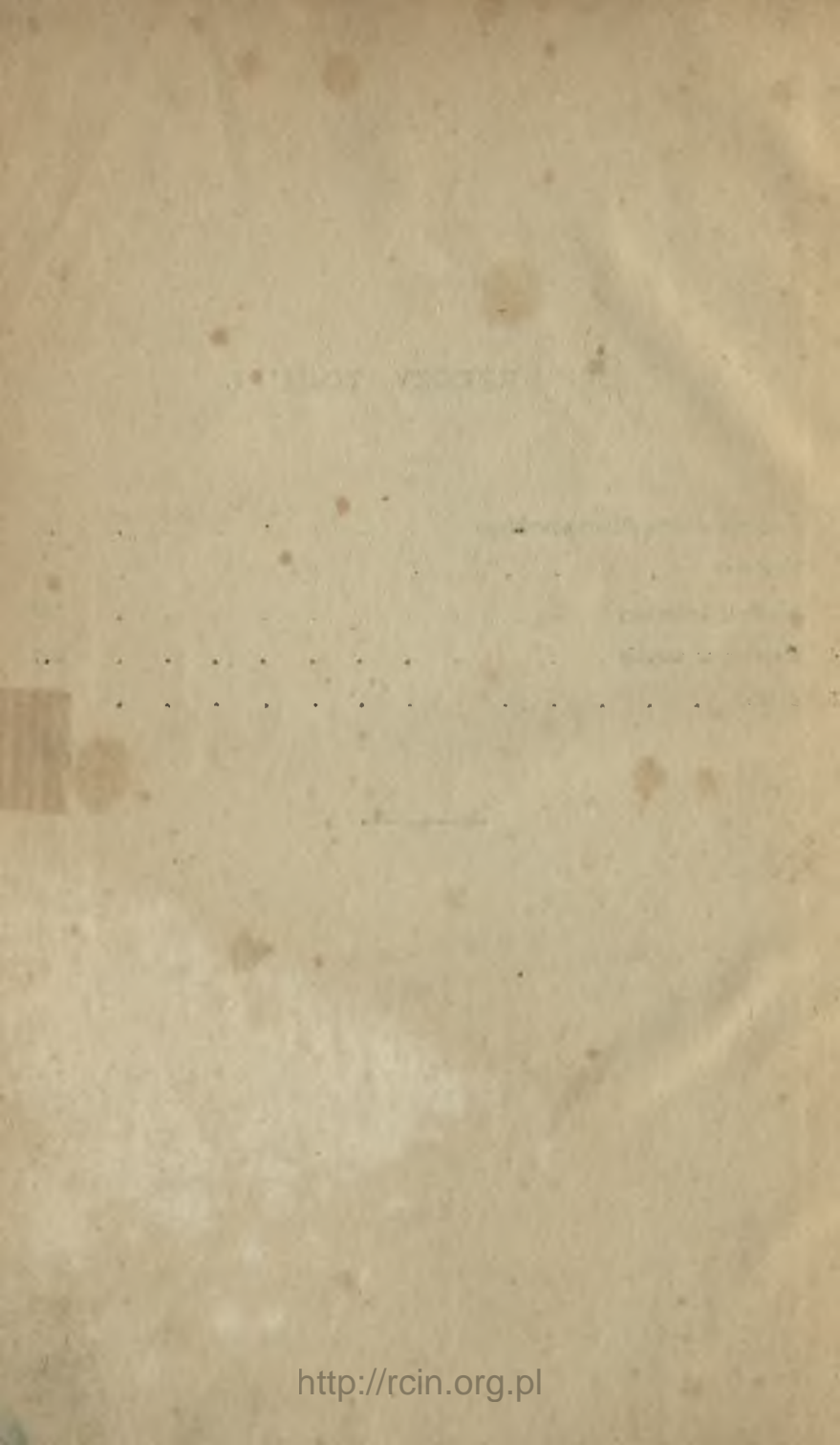
Koniec tomu pierwszego.



SPIS RZECZY TOMU I.

1. Życiorys Józefa Dzierzkowskiego	III.
2. Kuglarze	3 - 45
3. Szpicrut honorowy	129 - 148
4. Rodzina w salonie <i>Salon i rodzina</i>	207 - 117
5. Jutro	331 - 111

**INSTYTUT
BADAŃ ETNOLOGICZNYCH
BIBLIOTEKA
ul. S. 14 Nr 72
01-001 Warszawa
Tel. 26-68 53, 26-52-31 w. 42**



25

F
709